

CATHERINE JINKS

INKWIZYTOR

The Inquisitor

Przełożyła: Ewa Penksyk-Kluczkowska

Wydanie polskie: marzec, 2004

TMN

dla Johna O.Warda (raz jeszcze)

SALUTATIO

Do przewielebnego Ojca Bernarda z Landorry, Mistrza zakonu Modlitewnego, Bernard Peyre z Prouille, brat tegoż zakonu w mieście Lazet, sługa niewielkiego pożytku i bezwartościowy, śle pozdrowienia w duchu błagalnym.

Kiedy Pan ukazał się królowi Salomonowi i rzekł: „Proś czego chcesz, żeć dam”, Salomon odrzekł: „A przeto daj słudze twemu serce rozumne, aby mógł twój lud sądzić i rozeznąć między dobrym a złym”. Taka była modlitwa Salomona i taka przez wiele lat była też moja modlitwa, kiedy z wielkim staraniem przesłuchiwałem wszystkich heretyków prowincji Narbonne i ich współwyznawców, sprzymierzeńców i zwolenników. Nie uzurpuje sobie mądrości Salomona, Wielebny Ojcze, ale wiem jedno: poszukiwanie prawdy wymaga czasu i wytrwałości, podobnie jak poszukiwanie człowieka w nieznanym kraju. Kraj ten należy zbadać, podążając wieloma drogami i zadając wiele pytań, nim starania przyniosą owoce. Można by więc powiedzieć, że poszukiwanie zrozumienia przypomina tę formę retorycznego dyskursu, którą zwiemy sylogizmem – jako że tak jak sylogizm przechodzi od uniwersaliów do szczegółów, przedstawiając pewną niezmienną prawdę, jeśli ta składa się z prawdziwych twierdzeń, tak też zrozumienie jednego brzemiennego w skutki aktu będzie wynikało ze zrozumienia wszystkich ludzi, miejsc i wydarzeń, które mu towarzyszą i go poprzedzają.

Wielebny Ojcze, potrzebuje Twego zrozumienia. Potrzebuje Twojej ochrony i uwagi. Wyciągnij swą rękę mimo gniewu mych wrogów, albowiem zaostrzyli języki swe jako węzowe, jad żmijów pod ich wargami. Być może znane Ci jest moje położenie i odwróciłeś się ode mnie, ale przysięgam, że zostałem fałszywie oskarżony. Wielu ludzi zostało fałszywie oskarżonych. I wielu ludzi patrzy, a nie widzi, wolą bowiem trwać w zadowoleniu, pozostając w ciemności swojej niewiedzy, niż spojrzeć na światło prawdy. Wielebny Ojcze, błagam Cię – potraktuj to pismo jak światło. Przeczytaj je, a dostrzeżesz o wiele więcej, wiele zrozumiesz i wiele wybaczysz. Błogostawieni, których odpuszczone są nieprawość, ale moje nieprawości były nieliczne i nieznaczące. To z racji poczucia winy i złych zamiarów zostałem tak okrutnie ukarany.

Aby więc oświecić Twoją drogę, w imię Boga Wszechmogącego i Błogosławionej Maryi Dziewicy, Matki Chrystusowej, i błogosławionego Dominika, ojca naszego, i wszystkich sędziów niebieskich, niniejszym zapisuję wypadki, które wydarzyły się w mieście Lazet, w prowincji Narbonne, w związku z zabójstwem naszego czcigodnego brata Augustyna Duése w czasie Święta Narodzenia Błogosławionej Dziewicy, w roku pańskim 1318.

NARRATIO

Cień śmierci

Kiedy po raz pierwszy zobaczyłem ojca Augustyna Duése, pomyślałem: „Ten człowiek żyje w cieniu śmierci”. Myśl tę nasunęła mi, po pierwsze, jego powierzchowność – anemiczna i wychudzona, jak wysuszone kości z wizji Ezechiela. Był wysoki i niezwykle chudy, ramiona miał pochylone, skórę bardzo szarą, policzki zapadnięte, a oczy niemal ginęły w oczodołach okolonych ciemnymi workami. Włosy miał przerzedzone, zęby zepsute i powłóczył nogami. Wyglądał jak chodzący trup, i to nie tylko z powodu podeszłego wieku. Wyczuwałem, że śmierć krąży wokół niego, atakując go nieustannie chorobami: zapaleniem stawów – szczególnie dłoni i kolan – dolegliwościami trawiennymi, słabnącym wzrokiem, zaparciami, problemem z trzymaniem moczu. Tylko jego uszu nic nie tknęło – słuch miał bardzo ostry. (Myślę, że źródłem jego zdolności inkwizytorskich była umiejętność wyczuwania każdej fałszywej nuty w głosie słuchanej osoby). Jestem także przekonany, że więzienna jakość jego posiłków miała silny wpływ na niedomagania żołądka, zmuszonego trawić jedzenie, które odrzuciłby sam święty Dominik. Jedzenie, które wahałbym się nazwać jedzeniem i które Augustyn spożywał w bardzo małych ilościach. Posunąłbym się nawet do stwierdzenia, że gdyby nie żył, jadłby może nieco więcej, chociaż spożywanie większych porcji wiktuałów, do których miał upodobanie – chleba twardego jak kamień, gotowanych obierków warzyw, skórki sera – byłoby trudniejsze niż przełknięcie kolczastego żywopłotu. Niewątpliwie swoje umartwienia składał w ofierze Panu.

Wierzę głęboko, że takiej diety nie należy przestrzegać równie gorliwie. Święty Tomasz mawiał, że w religijnym żywocie surowość jest uważana za niezbędną do umartwiania ciała, ale, jeśli jest praktykowana bez umiaru, niesie ze sobą ryzyko osłabienia. Ojciec Augustyn nie obnosił się, oczywiście, ze swoim umartwieniem: jego abstynencja nie była czczym i wiarałomnym gestem, przypominającym te, przed którymi przestrzegał nas Chrystus, kiedy potępiał obłudników, smętni i twarze sobie niszczą, aby się ludziom zdać poszczaćymi. Ojciec Augustyn taki nie był. Jeśli umartwiał swe ciało, to dlatego, że czuł się niegodny. Domagając się spleśniałej rzepy i poobijanych owoców, nie przyczyniał sobie jednak przyjaciół wśród klasztornych świniopasów. Tego rodzaju resztki zawsze były bowiem uważane za ich własność – o ile dominikanin może posiadać choćby listek kapusty. Pewnego razu wytknąłem

ojcu Augustynowi, że kiedy sam głoduje, głodzi nasze świnie, a poszcząca świnia nie stanowi dla nikogo pożytku.

Nic na to nie odpowiedział, oczywiście. Większość inkwizytorów doskonale wie, jak używać milczenia.

W każdym razie ojciec Augustyn nie tylko wyglądał i – jestem tego absolutnie pewien – czuł się jak człowiek umierający, lecz także zachowywał się w stosowny sposób. Mam na myśli to, że zdawał się nieustannie śpieszyć, tak jakby jego dni były policzone. I aby dać przykład owej dziwnej pilności, opiszę, co się wydarzyło tuż po przybyciu ojca Augustyna do Lazet, niespełna trzy miesiące przed jego zgonem, kiedy poprosiłem o pomoc w chwalebnym zadaniu „łapania małych lisów, które próbują niszczyć Pańską winnicę” – tak właśnie należy nazwać wrogów, którzy czyhają na Kościół jak ciernie na lilię. Owi wrogowie na pewno nie są Wam obcy. Być może zetknęliście się z tymi nosicielami heretyckiej doktryny, tymi siewcami niezgody, sprawcami schizmy, niszczycielami jedności, którzy kwestionują świętą prawdę głoszoną przez Biskupstwo Rzymskie i brukają czystość Wiary swoimi wielorako błędnymi naukami. Już jednak pradawnych ojców nękali wysłannicy Szatana. (Czy to nie sam święty Paweł zapewniał nas: „Boć muszą być i kacerstwa, aby i którzy są doświadczeni, stali się jawni między wami”?) Tu, na południu walczyliśmy z wieloma wynaturzonymi dogmatami, z wieloma parszywymi sektami, których nazwy i zwyczaje różniły się między sobą, ale ich trucizna demoralizuje z jednakowo szkodliwym efektem. Tu, na południu starożytne nasiona herezji manichejskiej polepionej przez świętego Augustyna zakorzeniły się głęboko i wciąż przynoszą owoce, na przekór pobożnym wysiłkom świętego zakonu świętego Dominika.

Tutaj wielu braci poświęciło życie w obronie Krzyża Chrystusowego. Kiedy wyznaczono mi funkcję wikariusza przy Jakubie Vaquier, inkwizytorze heretyckiej nieprawości w Lazet (jakżeż odległym to się wydaje!), nie miałem spędzać większości dnia na ściganiu tych wyrobników niegodziwości, lecz moim zadaniem było ulżyć ojcu Jakubowi, kiedy tylko uzna on ciężar swego brzemienia za przytłaczający. Tak się jednak stało, że ojciec Jakub często czuł się przytłoczony. Spędzałem więc w Świętym Oficjum dużo więcej czasu, niż pierwotnie zamierzałem. Niemniej jednak Jakub Vaquier prowadził śledztwa w sprawie wielu dusz, które, niestety, jak owieczki zeszyły na manowce, a kiedy zmarł minionej zimy, ogrom pozostawionej przezeń pracy był zbyt wielki jak na jednego człowieka. To dlatego wysłałem do Paryża prośbę o wyznaczenie nowego zwierzchnika. I to dlatego ojciec Augustyn przybył do klasztoru pewnego letniego wieczoru, sześć dni przez Świętem Nawiedzenia Najświętszej Maryi Panny (którego to dnia się go spodziewaliśmy), niezapowiedziany, nieoczekiwany i sam jeśli nie liczyć jego pomocnika, młodego skryby Sicarda, który służył za oczy swemu panu.

Obaj byli zbyt zmęczeni, by uczestniczyć w wieczerzy, jak również w komplecie. O ile wiem, udali się od razu na spoczynek. Ale na jutrzni następnego ranka zobaczyłem ojca Augustyna w stalli naprzeciwko, a po tercji dołączyłem doń w jego celi. (Na co, oczywiście,

otrzymaliśmy specjalne pozwolenie). Muszę wyjaśnić, że w klasztorze w Lazet braciom wyznaczonym do służby Świętemu Oficjum przysługiwały te same przywileje, którymi cieszył się nasz lektor czy bibliotekarz – a mianowicie własne cele i pozwolenie na zamykanie ich drzwi. Ojciec Augustyn swoich drzwi jednak nie zamykał.

– Wolę nie rozmawiać o kwestiach bezbożnych w miejscach przeznaczonych Bogu – wyjaśnił. – O ile to możliwe, będziemy rozmawiać o sługach Antychrysta tylko w trakcie atakowania ich, aby nie zatruwać powietrza klasztoru niegodziwymi myślami i czynami. Dlatego też nie widzę potrzeby zachowania tajemnicy czy też zamykania drzwi, nie tutaj.

Zgodziłem się z nim. Potem poprosił mnie, tonem oficjalnym, bym dołączył doń w modlitwie, aby Bóg pobłogosławił nasze wysiłki zmierzające ku oczyszczeniu tej ziemi z heretyckiej zarazy. Znać było wyraźnie, że on i Jakub Vaquier są ulepieni z innej gliny.

Ojciec Augustyn miał w zwyczaju stosować pewne uczone frazy, kiedy mówił o heretykach – „lisy w winnicy”, „kąkol w zbożu”, „ci, co zboczyli z właściwej drogi” i tak dalej. Był też bardzo precyzyjny w używaniu zwrotów zdefiniowanych przez sobór w Tarragonie w ostatnim stuleciu, dotyczących różnych stopni przewiny w heretyckim stowarzyszeniu: na przykład nigdy nie nazywał poplecznikiem heretyków kogoś, kto był ich obrońcą (to rozróżnienie, jak wiecie, jest doskonałe) ani obrońcą tego, kto był ich współwyznawcą. Dom lub zajazd, w którym prawdopodobnie zbierali się heretycy, zawsze określał mianem „kryjówek”, jak to zarządzał sobór.

Ojciec Jakub nazywał heretyków „szumowiną stawową”, a ich domy „gniazdem szkodników”. Nie był, jak by to wyłożył święty Augustyn, jednym z tych ludzi, którzy sercem łączą się z aniołami.

– Wiem, że wielki inkwizytor skrupulatnie opisał ci moje losy i edukację – mówił dalej ojciec Augustyn. Jego głos był zdumiewająco silny i donośny. – Czy chciałbyś mi zadać jakieś pytania na temat mojego doświadczenia... może na temat mojego życia w zakonie...?

Opis wielkiego inkwizytora był w rzeczy samej gruntowny, zawierał dokładne daty piastowania przez ojca Augustyna wszystkich stanowisk dydaktycznych, przeorstw i komisji papieskich, od Cahors do Bolonii. Ale człowiek to nie tylko piastowane przezeń stanowiska. Mógłbym spytać o zdrowie ojca Augustyna, o jego rodziców albo o ulubionych autorów; mógłbym zapytać o jego poglądy na rolę inkwizytora albo na ubóstwo Chrystusa.

Zamiast tego zadałem mu pytanie, które bez wątpienia zdumiałoby Was, a na które on musiał odpowiadać tysiące razy:

– Ojczy, czy jesteście spokrewnieni z Ojcem Świętym, papieżem Janem?

Skrzywił usta w znużonym uśmiechu.

– Ojciec Święty by mnie nie rozpoznał – odrzekł niejasno i nie powiedział już ani słowa na ten temat, ani wtedy, ani kiedykolwiek indziej.

Nigdy nie odkryłem prawdy. Moim zdaniem jako Duése z Cahors musiał być spokrewniony z papieżem, ale z jakiegoś powodu te dwie gałęzie rodu rozdzieliły się i w

rezultacie ojciec Augustyn nie czerpał profitów ze znanej szeroko hojności papieża Jana wobec krewnych. W przeciwnym wypadku byłby teraz kardynałem – albo przynajmniej biskupem.

Wykręciwszy się od odpowiedzi na moje pytanie, ojciec Augustyn przystąpił z kolei do przepytывania mnie. Przedstawiałem się jako Peyre z Prouille, chciał więc wiedzieć, czy rzeczywiście dorastałem w pobliżu pierwszej fundacji świętego Dominika? Czy to ta bliskość natchnęła mnie, by wstąpić do zakonu dominikanów? Mówił z rewerencją i przykro mi było poinformować go, że Peyre'owie z Prouille popadli w ruinę na długo przed przybyciem tam świętego Dominika. Za jego czasów forteca już nie istniała, a prawa senioralne Peyre'ów przeszły na rodzinę bogatych chłopów. Wiem to z lektury relacji z początków istnienia klasztoru, która to lektura zupełnie nieoczekiwanie upewniła mnie w kwestii zawsze budzącej we mnie pewien lęk – byłem mianowicie w najwyższym stopniu niepewny co do dokładnych okoliczności upadku mojej rodziny. W tej części świata upadła chwała bardzo często była rezultatem heretyckich przekonań: ulżyło mi, kiedy odkryłem, że moja rodowa posiadłość nie została skonfiskowana przez Święte Oficjum ani też przez wojska Szymona z Montfort, lecz utracono ją po prostu przez słabość i głupotę.

Powiedziałem ojcu Augustynowi, że dorastałem w Carcassonne i że mój ojciec był tam publicznym notariuszem i konsulem. Jeśli nawet miałem jakichś krewnych w Prouille, nic o nich nie wiedziałem. A prawdę mówiąc, nigdy nawet nie odwiedziłem tego miejsca.

Ojciec Augustyn wydawał się rozczarowany. Chłodniejszym tonem zapytał mnie o karierę w zakonie, a ja dokonałem szybkiego przeglądu: uroczyste śluby w wieku dziewiętnastu lat, trzy lata filozofii w Carcassonne, nauczanie filozofii w Carcassonne i Lazet, pięć lat teologii w Studium Generalnym w Montpellier, stanowisko kaznodziei generalnego, defmitora w różnych kapitułach prowincjonalnych, przełożonego kleryków w Beziers, w Lazet i Tuluzie...

– I z powrotem w Lazet – zakończył ojciec Augustyn. – Od ilu lat?

– Od dziewięciu.

– Dobrze bratu tutaj?

– Dobrze. Tak. – Miał na myśli oczywiście to, że moja kariera straciła tempo, że sprawiałem wrażenie, jakbym stanął w martwym punkcie. Ale z wiekiem człowiek traci pasję młodości. Poza tym są w zakonie pewni ludzie, którzy nie śmieją się tyle co ja. – Wino tutaj jest dobre. Klimat wyśmienity. Jest wystarczająco dużo heretyków. Czegóż więcej mógłbym chcieć?

Ojciec Augustyn przyglądał mi się przez krótką chwilę. Potem zaczął mnie wypytывać o ojca Jakuba, o jego życie i zwyczaje, upodobania i talenty, życie i śmierć. Bardzo szybko zdałem sobie sprawę, że prowadzi mnie w konkretnym kierunku, zupełnie jak psy wiodą jelenia na ucztę myśliwych. Tak samo jak ja wiodę heretyka ku wyznaniu prawdy.

– Ojczy, nie ma potrzeby lawirować – powiedziałem, przerywając delikatne wypytывanie o przyjaźń ojca Jakuba ze znaczniejszymi w mieście kupcami. – Chcicie wiedzieć, czy plotki są

oparte na prawdzie, czy wasz poprzednik rzeczywiście potajemnie przyjmował pieniądze od osób oskarżonych o herezję.

Ojciec Augustyn nie okazał śladu zaskoczenia ani niepokoju. Na to był zbyt doświadczonym inkwizytorem. Po prostu patrzył na mnie i czekał.

– Ja również słyszałem te opowieści – mówiłem dalej – ale nie jestem w stanie ani ich potwierdzić, ani im zaprzeczyć. Ojciec Jakub przywiózł do zakonu wiele drogich i pięknych ksiąg, które podobno otrzymał w prezencie. Miał również w tym regionie wielu zamożnych krewnych, ale nie umiem powiedzieć, czy oni jemu zawdzięczali swe bogactwo, czy też to on z niego czerpał. Jeśli przyjmował jakieś niedozwolone podarki, nie mogło to się zdarzać często.

Ojciec Augustyn trwał w milczeniu, ze wzrokiem utkwionym w podłódze. Przez lata nauczyłem się, że nikt, nawet doświadczony inkwizytor, nie potrafi czytać w sercach i myślach ludzi jak w otwartej księdze. Człowiek patrzy bowiem na wygląd zewnętrzny, a Pan zagląda w serce – powierzchowność ojca Augustyna była natomiast tajemnicza jak kamienna ściana. Niemniej jednak z niesłychaną i bez wątpienia nieuzasadnioną pewnością siebie wierzyłem, że potrafię odgadnąć jego myśli. Czułem, że zastanawia się – co rozumiałe – nad tym, w jakim stopniu byłem w to zamieszany, pośpieszyłem więc z zapewnieniem:

– Ja z kolei nie mam żadnych bogatych krewnych. A moje zarobki jako waszego wikarego są przekazywane wprost do klasztoru, o ile w ogóle się je wypłaca. – Widząc, że mój zwierzchnik marszczy brew w zdumieniu, wyjaśniłem, że ojcu Jakubowi, pomimo nieustannych żądań kierowanych do królewskiego skarbnika konfiskat, w chwili śmierci zalegano z zarobkami za trzy lata. – Konfiskaty nie są tak dochodowe jak być powinny – dodałem. – Heretycy, których teraz ścigamy, to przeważnie biedni chłopci z gór. Od dawna nie schwytano ani nie pozbawiono majątku żadnych heretyckich możnych panów.

Ojciec Augustyn odchrząknął.

– Za wydatki Świętego Oficjum odpowiada król – powiedział. – To nie jest Lombardia czy Toskania. Inkwizycja we Francji nie potrzebuje konfiskat, by przetrwać.

– Teoretycznie może nie – odparłem. – Ale król nadal zalega ojcu Jakubowi czterysta pięćdziesiąt liwrów.

– A wam? Ile wam jest winien król?

– Połowę tego.

Ojciec Augustyn znowu zmarszczył brew. Potem rozbrzmiał dzwon na prymę i obaj wstaliśmy.

– Po mszy – powiedział – chciałbym odwiedzić więzienie i pomieszczenie, w którym prowadzicie przesłuchania.

– Zaprowadzę tam ojca.

– Chciałbym też spotkać się z królewskim skarbnikiem konfiskat... i oczywiście z królewskim seneszalem.

– To jest wykonalne.

– Naturalnie, zapytam o kwestię wynagrodzenia – mówił dalej i ruszył w stronę drzwi. Wydawało się, że nasza konwersacja dobiegła końca. Kiedy jednak przekraczał próg, odwrócił się i spojrzał na mnie. – Powiedzieliście, że zagubione owieczki w naszym więzieniu to w większości biedni chłopcy? – zapytał.

– Tak powiedziałem, w rzeczy samej.

– Może więc powinniśmy zadać sobie pytanie, dlaczego tak jest. Czy wszyscy moi są sumiennymi katolikami? Czy też może mają sposoby, by kupić sobie wolność?

Nie umiałem odpowiedzieć na te pytania. Po chwili ojciec Augustyn ruszył więc do kościoła, ciężko opierając się na lasce i zatrzymując się od czasu do czasu dla uspokojenia oddechu.

Podążając za nim, musiałem iść dużo wolniej, niż miałem w zwyczaju. Byłem wszelako zmuszony przyznać, że choć ciało ojca Augustyna jest może zniedołężniałe, to jego umysł zachował nadzwyczajną żywotność.

Przychodzi mi do głowy, że poza kwestiami oczywistymi mało wiecie o Lazet: możecie wiedzieć, że jest to znaczne miasto, niewiele mniejsze od Carcassonne; że leży u stóp Pirenejów, góruje nad żyzną doliną przeciętą rzeką Agly; że handluje się tu głównie winem i wełną, trochę zbożem, oliwą z oliwek i drewnem z gór. Może nawet wiecie, że od śmierci Alfonsa z Poitiers jest to własność królewska. Ale nie wiecie nic o tym, jak wygląda, co w nim jest charakterystycznego, jakich ma możnych obywateli. Zanim więc przejdę do relacji z wypadków, które się tu wydarzyły, przedstawię wierny opis miasta, i niechaj Bóg przyda mej dłoni wymowności, której nie staje językowi.

Lazet jest miastem dobrze ufortyfikowanym, posadowionym w koronie niskiego wzgórza. Jeśli wjechać do niego północną bramą, zwaną bramą Świętego Polikarpa, wnet dociera się do katedry Świętego Polikarpa. To stary kościół, raczej niewielki i o prostej konstrukcji. Krużganki kanoników tuż obok niego są bardziej wymyślnie zdobione, jako że ukończono je w późniejszym okresie. Pałac biskupi służył za dom gościnny kanoników, zanim papież Bonifacy XIII w 1295 roku stworzył diecezję Pamiers i Lazet. Od tego czasu przeszedł poważne przeobrażenie (tak w każdym razie mi powiedziano) i szczylił się taką liczbą pomieszczeń, która zadowoliłaby nawet arcybiskupa. Jest to niewątpliwie najbardziej okazały budynek w Lazet.

Przed katedrą rozpościera się otwarta przestrzeń, gdzie zbiega się pięć dróg, i w tym miejscu znajdziecie targ. Wielu ludzi przychodzi tu, by kupić wino, odzież, owce, ryby, garnki, plecy i inne towary. Pośrodku targu stoi kamienny krzyż wzniesiony nad skrytym pod dachem dołem, swego rodzaju grotą, która jest własnością kanoników od Świętego Polikarpa. Słyszałem, że dawno, dawno temu, zanim jeszcze zbudowano miasto, w grocie tej przez pięćdziesiąt lat żył pobożny pustelnik, ani razu stamtąd nie wychodząc (a nawet nie

wstając, sądząc z wielkości wnętrza), i że to on przepowiedział zbudowanie Lazet. Nazywał się Galamus. Chociaż nigdy nie został kanonizowany, jego grootę zawsze traktowano jako miejsce święte. Od niepamiętnych czasów ludzie zostawiają tu anonimowe ofiary dla kanoników – czasami pieniądze, częściej chleb i warzywa, zwój tkaniny, parę butów. Te ofiary są zbierane każdego dnia o zachodzie słońca.

Winą za to, że przez ostatnie kilka lat niewiele można było tu zebrać, obarcza się Święte Oficjum – które w tej części świata zwyczajowo obwinia się o większość złych rzeczy.

Idąc z targu ulicą Galamusa, miniecie po prawej zamek. Niegdyś dom książąt Lazet (linia obecnie wymarła, dzięki swoim heretyckim skłonnościom), forteca ta jest w tej chwili kwaterą senesza królewskiego, Rogera Descalquens. Kiedy król Filip odwiedził ten region jakieś czternaście lat temu, nocował w pokoju, w którym obecnie sypia Roger – sam Roger zresztą dba, by każdemu o tym przypomnieć. Comiesięczne sądy wyjazdowe, którym na ogół przewodniczy jako sędzia, także odbywają się na zamku, a więzienie królewskie mieści się w dwóch jego wieżach. Większość miejskiego garnizonu stacjonuje w koszarach i wartowni.

Klasztor braci kaznodziejów leży na wschód od zamku. Jako jedna z najstarszych dominikańskich fundacji wiele razy był odwiedzany przez świętego Dominika, który zaszczycił go niewielkim zbiorem strupów i odzieży, starannie przechowywanych w kaplicy. Żyje tu dwudziestu ośmiu braci, a także siedemnastu braci świeckich i dwunastu kleryków. W bibliotece są sto siedemdziesiąt dwie książki, z czego czternaście nabył (środkami z jemu tylko znanych źródeł) ojciec Jakub Vaquier. Jak podaje powszechnie poważane dzieło Humberta z Romans, opisujące żywoty naszych pierwszych ojców, Lazet było miejscem, gdzie pewien brat Benedykt, nękaną ponad wytrzymałość przez Siedem Skrzydlatych Demonów (które były go bezlitośnie, znacząc jego ciało krostami, i wypełniały jego nozdrza, diabelskim odorem), całkiem oszalał i ze względu na bezpieczeństwo współbraci konieczne okazało się przykucie go łańcuchami do ściany. Kiedy święty Dominik wyegzorcyzmował te demony, ich pan pojawił się osobiście – przybrawszy postać czarnej jaszczurki – i toczył ze świętym spór teologiczny, póki nie został pokonany przemożnym zbiorowym entymematem.

Na szczęście takie rzeczy więcej już się tu nie zdarzały.

Z klasztoru niedaleko już do siedziby Świętego Oficjum. Kiedy jednak prowadziłem ojca Augustyna tą drogą, witałem się czterokrotnie z mijanymi znajomymi – rękawicznikiem, sierżantem, oberżystą i pobożną matroną – i zdawałem sobie sprawę, że mój przełożony ukradkiem rzuca zagadkowe spojrzenia.

– Czyż nie powiedzieliście mi – rzekł w końcu – że tutejsi ludzie patrzą na Święte Oficjum z wrogością?

– Tego się obawiam.

– A jednak ci tutaj zdają się spoglądać na was przyjaźnie.

Roześmiałem się.

– Ojcie, gdybym był na ich miejscu, również wolałbym mieć przyjaciela w miejscowym inkwizytorze.

Wydawał się przekonany, chociaż wyjaśnienie nie było całkiem zgodne z prawdą. W rzeczywistości dokładałem starań, by utrzymywać dobre stosunki z obywatelami Lazet, ponieważ aby zdobyć dokładny obraz najbardziej szanowanych rodów miasta, powiązań handlowych i waśni rodzinnych, trzeba spędzać czas z ludźmi zorientowanymi w tych tematach. Gwarantuję, że dowiecie się więcej o miłosnych sekretach kobiety, zamieniając kilka słów z jej służącą albo sąsiadką, niż przestuchując ją na mękach (czego zresztą nigdy nie robiłem, chwała Bogu). „Oto Ja was posyłam jak owce między wilki: bądźcież tedy mądrymi jako wężowie, a prostymi jako gołębnice!” Wedle tych właśnie słów przystoi żyć, nie tylko kapłanowi, lecz także inkwizytorowi.

Zawsze mówiłem, że dobry inkwizytor nie musi zadawać swojemu świadkowi wielu pytań. Dobry inkwizytor zna już odpowiedzi. I nie znajdzie ich wszystkich w książkach ani też w rozmyślaniach o nieopisanym majestacie Chrystusa.

– Tu, jak ojciec widzi, jest więzienie – oznajmiłem, kiedy dotarliśmy do murów miejskich. W Lazet, podobnie jak w Carcassonne, więźniowie Świętego Oficjum są osadzeni w jednej z obwarowanych wież, które zdobią mury wokół miasta niczym klejnoty naszyjnik. – Mamy szczęście, że nasza siedziba przylega do więzienia, pozwalając nam przemieszczać się swobodnie między obydwoma budynkami.

– Dobry plan – przyznał ojciec Augustyn poważnym tonem.

– Nie znajdziecie tego stanowiska równie lukratywnym, co w Tuluzie – dodałem, ponieważ wiedziałem, że przez pewien czas pracował z Bernardem Gui, który miał siedzibę w owym domu w pobliżu zamku Narbonnaise, ofiarowanym świętemu Dominikowi przez Piotra Celle. – Nie możemy pochwalić się takim refektarzem ani dormitorium, jakie mają w Carcassonne. Mamy stajnie, ale nie mamy koni. Nasza służba jest nieliczna.

– Lepiej jest mieć mniej, a żyć w bojaźni Bożej – szepnął ojciec Augustyn.

Potem pokazałem mu, jak zbudowano stajnie, wyrębane w łagodnym stoku, tak aby wielkie drewniane drzwi, zaryglowane od wewnątrz, otwierały się na ulicę nieco poniżej drogi, na którą wychodziło główne wejście. Dzięki temu, chociaż budynek miał trzy pietra – ze stajniami umieszczonymi na najniższym poziomie – od północy zdawał się liczyć jedynie dwa, skupione pod wieżą więzienną jak owieczka szukająca schronienia u boku matki.

Ale może to niewłaściwe porównywać siedzibę Świętego Oficjum do stworzenia tak słabego i delikatnego jak owieczka. Składnica wielu ponurych tajemnic, równie dobrze umocniona jak sąsiadujące z nią więzienie, o grubych kamiennych murach z trzema niewielkimi wejściami. Główne drzwi były szerokie i wysokie ledwie na tyle, by przeszedł przez nie człowiek przeciętnej postury. Podobnie jak drzwi do stajni, te także można było zaryglować od wewnątrz. Tego ranka jednak spotkaliśmy wychodzącego Rajmunda Donatusa, nie musieliśmy więc pukać.

– Ach! Oto Rajmund Donatus! – powiedziałem. – Pozwól, że przedstawię ci ojca Augustyna Duése. Ojcie, oto nasz notariusz. Większość czasu poświęca on specjalnym wymaganiom Świętego Oficjum, którego wiernym sługą jest od ośmiu lat.

Rajmund Donatus wyglądał na wstrząśniętego. Domyśliłem się, że odszedł na stronę, by opróżnić pęcherz (jako że rękoma gmerał w odzieży), i nie spodziewał się spotkać przy wejściu nowego inkwizytora. Szybko jednak doszedł do siebie i skłonił się nisko.

– Wasza obecność, wielbny ojcie, jest dla nas wielkim zaszczytem. Moje serce się raduje.

Ojciec Augustyn zamrugnął powiekami i wymamrotał błogosławieństwo. Wydawał się nieco zaskoczony przesadzoną – można by nawet powiedzieć, że teatralną – kurtuazją Rajmunda. Ale takie zachowanie było dla niego charakterystyczne. Zawsze przesadzał, dobierając słowa, które były albo słodkie jak chleb aniołów, albo jak młot, który rozbija skałę w kawałki. Był kapryśnym osobnikiem, wielokrotnie w ciągu dnia przechodzącym od posępności do rozradowania, porywczym, głośno wyrażającym swoje zdanie, komicznym w przyływie dobrego humoru, żarłocznym, nieumiarkowanym i równie lubieżnym jak kozioł (o krwi tak gorącej, że roztopia brylanty). Będąc człowiekiem nisko urodzonym, szczyił się swoim wykształceniem. Ponadto ubierał się w kosztowne szaty i wiele rozprawiał o swoich winnicach.

Te drobne przywary nic jednak nie znaczyły wobec jego biegłej znajomości litery prawa i godnej szacunku sprawności ręki. W czasie wszystkich swoich peregrynacji nigdy nie spotkałem notariusza, który potrafiłby tak szybko zapisywać słowo mówione. Ledwie pierwsze zdanie opuściło usta mówiącego, już było zanotowane.

Aby dopełnić opisu aparycji Rajmunda (Cycero użyłby tu słowa *effictio*), powiem, że liczył sobie około czterdziestu lat, był średniej postury, pulchny, ale nie otyły, o rumianym obliczu i gęstej czuprynie, czarnej jak trzeci koń Apokalipsy. Miał dobrze utrzymane zęby i zawsze z dumą je prezentował; teraz uśmiechał się promiennie do ojca Augustyna z taką zawziętością, że mój zwierzchnik zdawał się nieco skonsternowany.

Chcąc przerwać niezręczne milczenie, wyjaśniłem, że Rajmund Donatus sprawuje pieczę nad rejestrami inkwizytorskimi, które przechowujemy na górze.

– Ach! – Ojciec Augustyn ożywił się nagle i przekroczył próg zadziwiająco szybkim krokiem. – Tak. Rejestry. Chciałbym porozmawiać z wami o rejestrach.

– Są całkowicie bezpieczne – powiedziałem, podążając za nim. Kiedy nasze oczy przyzwyczyły się do mroku, wskazałem swoje biurko, zajmujące jeden z rogów pomieszczenia, do którego weszliśmy. Poza nim, jedynymi meblami w zasięgu wzroku były trzy ławy, ustawione pod ścianami po naszej lewej i prawej stronie. – Tu właśnie wykonuję większość swojej pracy. Ojciec Jakub przekazywał mi niemal całą korespondencję.

Ojciec Augustyn wyteżał wzrok jak ślepiec. Potem niedołążnym krokiem podszedł do drewnianego pulpitu i dotknął go – też jak ślepiec. Musiałem zaprowadzić go do jego

własnego gabinetu, który był większy niż poczekalnia i miał otwór w ścianie, dający nieco światła. Wyjaśniwszy, że ojciec Jakub zazwyczaj przesłuchiwał świadków w tym właśnie pomieszczeniu, wskazałem jego następcy biurko i fotel inkwizytora (szykowny mebel, wymyślnie rzeźbiony) oraz skrzynie, w której ojciec Jakub trzymał pewne prace podręczne: *Speculum judiciale* Wilhelma Duranda, *Summa de Catharis et Leonistis* Rayniera Sacchoni, *Sentences* Piotra Lombarda, przypisy Rajmunda z Penyaafort do *Liber extra* Grzegorza IX.

– Te książki – powiedziałem – były teraz pod pieczęcią klasztorного bibliotekarza, ale gdyby ojciec musiał z nich skorzystać, wystarczy poprosić.

– A rejestry? – zapytał, jak gdybym nie powiedział ani słowa. W jego zachowaniu wyczuwało się chłodne skupienie, które mnie zadziwiło.

Zabrałem go z powrotem do poczekalni i na wyższe piętro, na które prowadziły schody, wbudowane w wąską narożną wieżyczkę łączącą wszystkie trzy kondygnacje. Kiedy dotarliśmy na górę, Rajmund Donatus czekał już tam na nas, wraz ze skrybą, bratem Lucjuszem Pourcelem.

– Tu właśnie trzymamy rejestry – wyjaśniłem. – A oto brat Lucjusz, nasz skryba, kanonik u Świętego Polikarpa. Brat Lucjusz jest szybkim i bardzo dokładnym skrybą.

Ojciec Augustyn i brat Lucjusz wymienili braterskie pozdrowienie, ten ostatni ze zwykłą sobie pokorą, mój zwierzchnik – jakby jego myśli zajęte były ważniejszymi kwestiami. Zdałem sobie sprawę, że nic go nie odwiedzie od powziętego zamiaru, którym było zlokalizowanie i sprawdzenie rejestrów inkwizytorskich. Poprowadziłem go więc do dwóch wielkich skrzyń, w których je przechowywaliśmy, po czym wręczyłem mu klucze jego poprzednika.

– Kto jeszcze dysponował tymi kluczami? – zapytał. – Wy, bracie?

– Oczywiście.

– I ci ludzie?

– Tak, oni także – wskazałem na Rajmunda Donatusa i brata Lucjusza.

Niedobrana para: jeden pulchny i zamożnie odziany, zdecydowanie prostacki w wyglądzie i upodobaniach, drugi blady, drobny i cichy. Często słyszałem, jak Rajmund mówi coś do Lucjusza swoim donośnym głosem rozlegającym się aż na dole, wyliczając zalety obcowania z kobietami albo rozprawiając o kwestiach dotyczących katolickich dogmatów. Lubił wygłaszać swoje poglądy na wszystko. Nie przypominam sobie, żebym słyszał brata Lucjusza wyrażającego swoją opinię na jakikolwiek temat, może z wyjątkiem pogody albo pieczenia oczu. Kiedyś, przez litość, zapytałem go, czy nie wolałby rzadziej widywać Rajmunda Donatusa, ale zapewnił mnie, że nie jest niezadowolony. Odrzekł, że Rajmund jest uczonym człowiekiem.

Był też człowiekiem pławiącym się w próżności i ani trochę nie schlebiało mu, że ojciec Augustyn zdawał się nie pamiętać jego imienia. (W tym bowiem upatrywałem przyczyny jego drażliwego zachowania). Ojca Augustyna frapowała wszelako jedna nadrzędna kwestia. Było oczywiste, że dopóki jej nie rozwikła, nic innego nie zdoła odwrócić jego uwagi.

– Nie mogę otworzyć tych skrzyń – wyznał, pokazując mi na dowód swoją opuchniętą i drżącą dłoń. – Proszę mi pomóc.

– Szuka ojciec jakiejś szczególnej książki?

– Szukam wszystkich rejestrów zawierających dokumenty ze wszystkich śledztw prowadzonych tu przez ojca Jakuba.

– A więc Rajmund będzie bardziej przydatny niż ja – przyzywając gestem Donatusa, dźwignąłem wieko skrzyni. – Rajmund utrzymuje te książki w należytym porządku.

– Z wielkim zapałem i pilnością – dodał Rajmund, który nigdy nie wzbraniał się przed głoszeniem swych cnót. Wystąpił do przodu, ochoczo zgłaszając się na zarządcę inkwizytorskich rejestrów. – Czy wielbny ojciec chce poznać jakąś szczególną sprawę? Na początku każdej książki jest bowiem zestawienie...

– Chcę poznać wszystkie sprawy – przerwał mu ojciec Augustyn. Zerkając w dół na akta w woluminach oprawionych w skórę, przerwał i zapytał, ile ich jest.

– Jest tu pięćdziesiąt sześć rejestrów – powiedział z dumą Rajmund. – A także kilka zwojów i kwaternionów.

– Jak wiecie, to jeden z najstarszych oddziałów Świętego Oficjum – zauważyłem. Przyszło mi do głowy, że ojciec Augustyn nie poradzi sobie z uniesieniem choćby pojedynczego rejestru, ponieważ każdy kodeks jest spory i waży niemało. – Należy też do jednego z najbardziej zajętych. W tej chwili na przykład mamy tu stu siedemdziesięciu ośmiu dorosłych więźniów.

– Chcę, żeby wszystkie rejestry ojca Jakuba zniesiono w skrzyni na dół – zaordynował mój zwierzchnik, raz jeszcze ignorując moje uwagi. – Sicard pomoże mi je przejrzeć. Czy z tego piętra możemy wejść do więzienia?

– Nie, ojcze. Tylko z parteru.

– Wrócimy więc tą samą drogą. Dziękuję – ojciec Augustyn skinął bratu Lucjuszowi i Rajmundowi Donatusowi. – Porozmawiam jeszcze z wami później. Teraz możecie wrócić do swoich obowiązków.

– Ojcze, ja nie mogę – zaprotestował Rajmund. – Bez ojca Bernarda nie mogę. Mieliśmy prowadzić przesłuchanie.

– To może poczekać – powiedziałem. – Napisałeś protokół dla Bertranda Gasco?

– Jeszcze nie skończyłem.

– No więc skończ. Wezwę cię, kiedy będziesz mi potrzebny.

Ojciec Augustyn schodził do sieni powoli, jako że schody były wąskie, a światło przyćmione. Trzymał jednak język na wodzy, póki nie znaleźliśmy się w bezpiecznym miejscu za moim biurkiem, w pobliżu drzwi do więzienia. Wtedy rzekł:

– Chciałbym was, bracie, otwarcie zapytać, czy ci ludzie są pewni?

– Rajmund? – powiedziałem. – Pewny?

– Czy są godni zaufania? Kto ich wyznaczył do tych obowiązków?

– Ojciec Jakub, oczywiście. – Jak mówi święty Augustyn, są pewne rzeczy, w które nie uwierzemy, póki ich nie zrozumiemy, i pewne rzeczy, których nie zrozumiemy, póki nie damy im wiary. Tu jednak było coś, co rozumiałem, a i tak nie wierzyłem. – Ojciec – zapytałem – czy przybyliście tutaj, by przeprowadzić inkwizycję Inkwizycji? Jeśli bowiem tak jest, powinniście mi to powiedzieć.

– Przybyłem tu, by powstrzymać żarłoczne wilki od psucia Wiary – odpowiedział ojciec Augustyn. – Aby tego dokonać, muszę się upewnić, że rejestry Świętego Oficjum są bezpieczne. Rejestry to nasze najważniejsze dobro bracie, i wrogowie Chrystusa zdają sobie z tego sprawę. Nie będą szczydzili wysiłków, by je zdobyć.

– Tak, wiem. Awinion. – Każdy, kto pracował dla Świętego Oficjum, miał wyryte w sercu imiona inkwizytorów zabitych w Awinionie w ostatnim stuleciu. Niewielu wiedziało, że ich rejestry zostały skradzione, a następnie sprzedane za sumę czterdziestu su. – A także Caunes. I Narbonne. Każdy atak przeciwko nam zdaje się kończyć kradzieżą i spalaniem rejestrów. Ale ten budynek jest dobrze strzeżony i robimy kopie wszystkich akt. Znajdziecie je w bibliotece biskupa.

– Bracie, wszystkie największe klęski zostały ukartowane przez zdrajców – odparował ojciec Augustyn. Opierając się ciężko na swoim kijku, dodał: – Trzydzieści lat temu inkwizytor Carcassonne odkrył spis, który miał doprowadzić do zniszczenia pewnych akt. Widziałem zeznania – ich kopie przechowywano w Tuluzie. Dwóch spośród spiskowców było zatrudnionych przez Święte Oficjum, jeden jako kurier, drugi jako skryba. Musimy być czujni, bracie... zawsze. *Każdy niech się strzeże bliźniego swego, a niech nie ufa każdemu bratu swemu!*

Znowu czułem się zakłopotany. Jedyne, co potrafiłem powiedzieć, to:

– Dlaczego sprawdzacie zeznania sprzed trzydziestu lat?

Ojciec Augustyn się uśmiechnął.

– Stare akta mówią równie wiele, co nowe – rzekł. – To dlatego właśnie chciałbym przejrzeć rejestry ojca Jakuba. Odnajdując w jego aktach nazwiska wszystkich osób posądzonych o herezję, a następnie porównując je z nazwiskami osób oskarżonych i skazanych, sprawdzę, czy ktoś uniknął kary.

– Może uniknęli kary, bo są martwi – zauważyłem.

– W takim wypadku, jako że są proskrybowani, dokonamy ekshumacji ich szczątków, spalimy je i zniszczymy ich domy.

Dla gniewu Pana Zastępów strwożyła się ziemia i będzie lud strawą ognia. Nie ulega wątpliwości, że jestem człowiekiem małego ducha, ale ściganie tych, którzy odeszli, zawsze wydawało mi się przesadą. Czyż martwi nie należą do Królestwa Bożego... albo szatańskiego?

– Mieszkańcy tego miasta, ojciec, nie będą patrzeć na was życzliwym okiem, jeśli wykopiecie ich zmarłych – zauważyłem, znowu myśląc o tych wypadkach, do których zawsze się odnosiłem: do ataków na Święte Oficjum w Caunes, Narbonne i Carcassonne. Do

wydarzenia opisanego w *Kronice* brata Wilhelma Pelhissona, gdzie brat Arnold Catalan, inkwizytor Albi, został pobity do krwi przez wrogo nastawioną społeczność za palenie kości heretyków.

Odpowiedź ojca Augustyna brzmiała jednak następująco:

– Nie jesteśmy tutaj, by przysparzać sobie przyjaciół, bracie.

I posłał mi z lekka oskarżycielskie spojrzenie.

Wśród wielu znaczących prac zgromadzonych w klasztorze w Lazet znajduje się *Historia Albigensis* Piotra z Vaux-Cernay. Owa kronika zawiera relacje tych czynów, które – gdyby nie Boski dar listów – niemal na pewno poszłyby w zapomnienie, jako że niewielu chciało pamiętać tamte krwawe czasy i korzenie zawziętości, które leżały u ich źródeł. Być może (kto wie?) w większości zostały zapomniane; na pewno nie chciałbym, aby szeroko rozpowszechniała się haniebna historia o zafascynowaniu tej prowincji przewrotnymi doktrynami. Wystarczy powiedzieć jednak, że gdybyście sięgnęli do *Historia Albigensis*, zyskalibyście aż nadto pełne zrozumienie tych mrocznych niewierności, które ściągnęły na nas gniew chrześcijaństwa, tu, na południu. Nie poważyłbym się nawet na próbę streszczenia tych wypadków, opisanych przez rzeczonoego Piotra, śladami samego Szymona z Montfort prowadzącego słuchacza przez tyle bitew i oblężeń, podczas których armie krucjaty oddały góry nasze na spustoszenie, a dobytek nasz szakalom pustyni. W każdym razie była to wojna, która ma niewielki związek z moją skromną opowieścią. Zwróciłem waszą uwagę na prace ojca Piotra jedynie dlatego, że wiernie relacjonuje ona, jak bardzo „odrażająca zaraza heretyckiej nieprawości”, sekta manichejskich albo albigeńskich heretyków (znanych też pod nazwą katarów) zatrula moich ziomków, zanim powzięto przeciwko nim krucjatę. Wędrowali oni to tu, to tam, przez bezdroża i pustkowia błędu. Jak mówi sam Piotr, nawet szlachetnie urodzeni tej ziemi „niemal wszyscy stali się sprzymierzeńcami i współwyznawcami heretyków”. A za szlachtą, czego z pewnością macie świadomość, zawsze podąża prosty lud.

Dlaczego tak się dzieje? Dlaczego ci ludzie odwracają swoje twarze od światła? Niektórzy mówią, że winę za to ponosi Święty i Apostolski Kościół, przez swoją chciwość i ignorancję, przez próżność swoich kapłanów i symonię papieży. Ja jednak rozglądam się wokół siebie i widzę pychę i ignorancję u źródeł wszystkich odstępstw. Widzę ludzi niskiego stanu, którzy dążą nie tylko do kapłaństwa, lecz do władzy apostołstwa. Widzę kobiety, które mają śmiałość nauczać, i chłopów, którzy nazywają siebie biskupami. (Nie teraz, dzięki Bogu, lecz w czasach, kiedy katarzy mieli swoich biskupów i konsulów).

Taka była nasza dola mniej więcej sto lat temu. Dzisiaj, dzięki staraniom Świętego Oficjum, herezja została niemal wytrzebiona: choroba nie jest już powszechna i jawna jak wrzody trędowatego, lecz jątrzy w mrocznym schowaniu, po lasach i górach, pod fałszywą pobożnością, pod przebraniem owieczki. Wedle moich ustaleń, po konsultacji z Janem z Beaune w Carcassonne i Bernardem Gui w Tuluzie (a także z nowym biskupem Pamiers,

Jakubem Fournierem, który ostatnio sam przypuścił atak na nieprawomyślne wierzenia w swojej diecezji), ostatni wybuch tej zarazy wywołały prace Piotra Authier, niegdysiejszego notariusza w Foix, spalonego za swoje błędy w 1310 roku. Piotr i jego brat Wilhelm zeszli na drogę herezji w Lombardii; do swojej ojczyzny wrócili pod koniec ubiegłego wieku jako Doskonali – albo kapłani – by szukać kolejnych wyznawców. Bernard Gui szacuje, że musieli pełnić obowiązki duszpasterskie wobec co najmniej tysiąca wiernych. Siali więc ziarno, które kiełkowało, kwitło i znowu się zasiewało, tak że teraz zbocza i przełęczce Pirenejów są zarośnięte tym trującym chwastem.

To dlatego do naszego wiezienia trafiło wielu chłopów z gór – nieświadome dusze, których można by żałować, gdyby nie były tak bezmyślnie uparte. Jakże nieustępliwie trwali przy swoich głupich błędach, utrzymując na przykład, że jeśli ktoś nie ma chleba w żołądku, nie ma też duszy. Albo że dusze ludzi niskiego stanu po Sądzie Ostatecznym nie idą ani do nieba, ani do piekła, lecz są zrucane z urwiska przez demony. Czy nawet to, że ci, którzy idąc, nie trzymają rąk lub ramion przy boku, czynią wielkie zło, jako że takimi ruchami zrzucają na ziemię dusze wielu zmarłych! Wątpię, żeby manichejscy Doskonali sami nauczali takich nonsensów (mieli oni bowiem kodeks wiary, który – chociaż błędny – w swej przewrotności nie był pozbawiony logiki). Nie, dziwne przekonania tych niepiśmiennych to ich własny wynalazek. Doskonali nauczyli ich wątpić i zadawać pytania, stworzyli więc takie doktryny, które im odpowiadały. A do czego to prowadziło? Do ludzi takich jak Bertrand Gasco.

Bertrand pochodził z Seyrac, górskiej wioski pełnej herezji i hodowców owiec. Ponieważ Doskonali nauczali, że stosunki płciowe, nawet pomiędzy mężczyzną a kobietą, są grzeszne (a jeśli sprawdzicie pierwszą część *Historia Albigensis*, zobaczycie, że autor przedstawia ten błąd w następujący sposób: „To święte małżeństwo nie jest niczym innym, jak tylko nierządem, ani też nie może nikt płodzący w tym stanie synów lub córki osiągnąć zbawienia”), ponieważ, jak mówię, to jedna z zasad manichejskich, Bertrand Gasco użył jej do własnych celów. Przysadzisty, chorowity tkacz o ponurym obliczu, niewielkim stanie posiadania i żadnym wykształceniu zdołał jednak omamić pewną liczbę kobiet – nie oszacowałem jeszcze całkowitej – z których część była mężatkami, jedna jego siostrą rodzoną, a inna siostrą przyrodnią. By wytłumaczyć tak potworny grzech, powiedział swoim nieświadomym ofiarom, że obcowanie cielesne z własnym mężem to większy grzech niż kontakty fizyczne z innym mężczyzną, nawet z bratem. Dlaczego? Ponieważ żona, jeśli obcuje tylko z mężem, nie wierzy, że grzeszy! Mówił też, że Bóg nigdy nie zabraniał człowiekowi pojąć swojej siostry krwi za żonę, jako że na początku świata bracia obcowali cielesnie z siostrami. W tej deklaracji wyczułem wpływ kogoś bardziej uczonego niż Bertrand i zdołałem wyciągnąć z niego imię tej osoby – imię Doskonałego, Ademara z Roaxio. A kiedy już tego dokonałem, tenże Ademar został pojmany i osadzony w więzieniu z Bertrandem.

Nie wierzę, że Ademar nauczył Bertranda takich perwersyjnych dogmatów, aby ułatwić mu kontakty z kobietami. Bez wątpienia błędy te były przedstawione po prostu na poparcie twierdzenia, że znajomość cielesna jest grzechem, tak w związku małżeńskim, jak i poza nim, tak pomiędzy obcymi, jak i rodzeństwem. Ademar, będąc mężczyzną o ascetycznym temperamencie, nie zaaprobowałby poczynań Bertranda. Domyślam się, że Doskonały żył zgodnie z zasadami, które głosił – tak jak nakazywała heretycka doktryna: cnotliwie, biednie, nie jedząc mięsa, jaj ani sera (jako powstałych na drodze stosunku), wystrzegając się przekleństw, żebrząc i modląc się. Wedle niektórych źródeł heretycy łżą, kiedy twierdzą, że są cnotliwi albo ubodzy, albo czyści w inny sposób, i prawdą jest, że wielu heretyków to kłamcy, cudzołóżnicy i żarłoki. Nie wszyscy jednak są tacy. Niektórzy, jak na przykład Ademar, to prawdziwi wierzący. I to czyni ich bardziej przerażającymi.

Z zeznania świadka o nazwisku Rajmund Vitalis dowiedziałem się, że pewnego razu Ademara poproszono, by udzielił umierającemu dziecku błogosławieństwa zwanego *consolamentum*, składającego się z kilku modlitw i nałożenia rąk. Jak wierzą heretycy, zapewnia to umierającej duszy udział w życiu wiecznym – ale tylko jeśli chory nie przyjmie potem jedzenia ani picia. „Nie dawajcie swojej córce nic do jedzenia ani picia, nawet jeśli o to poprosi” – poinformował Ademar. Kiedy matka odparła, że nigdy nie odmówi swojej córce jedzenia czy picia, Ademar powiedział jej, że naraża na niebezpieczeństwo duszę dziecka. Po czym ojciec siłą zabrał żonę od dziecka, które umarło, wołając o mleko i chleb.

Ten straszliwy post heretycy określają mianem *endura*, i wierzą, że jest to święta postać samobójstwa. Bez wątpienia stojąca za tym filozofia ma pewien związek z ich odrazą do świata materialnego, nazywanego tworem i domeną boga zła, szatana, któremu przypisują moc równą władzy Boga. Ale odbiegam od tematu. Nie zamierzam tu zgłębiać zawłości heretyckiej doktryny. Moim celem jest opowiedzieć historię jak najszybciej i najprzejrzysiej.

Dlatego też wystarczy stwierdzić, że Ademar sam pościł w taki właśnie sposób, kiedy ojciec Augustyn po raz pierwszy odwiedził więzienie.

– Ten człowiek jest nieskruszonym Doskonałym – poinformowałem swojego zwierzchnika (i muszę wyznać, że mówiłem z pewną dumą, jako że Doskonali w dzisiejszych czasach to rzadkość). – On jest umierający.

– Umierający?

– Odmawia przyjmowania jedzenia.

Otworzyłem okienko w drzwiach celi Ademara, ale było zbyt ciemno, żeby cokolwiek zobaczyć. Odryglowałem więc drzwi, wiedząc, że osłabiony z głodu i przykuty do ściany Ademar nie stanowi dla nas zagrożenia. Był sam, ponieważ Doskonałych umieszcza się w osobnej celi, bez względu na to, jak zatłoczone jest więzienie. W przeciwnym wypadku zatruliby umysły innych więźniów, przekonując ich, by wyparli się swoich zeznań i umarli za wiarę.

– Witaj, Ademarze – powiedziałem radośnie. – Wyglądasz na bardzo chorego, mój przyjacielu. Czy nie zmienisz zdania?

Więzień drgnął lekko, tak że brzęknęły jego kajdany. Nic jednak nie powiedział.

– Widzę, że Pons zostawił ci trochę chleba. Dlaczego go nie zjesz, zanim stęchnie?

Ademar wciąż milczał.

Przyszło mi do głowy, że jest zbyt słaby, by mówić. Może zbyt słaby, by podnieść chleb. W przyćmionym świetle wyglądał jak trup, jego długa, koścista twarz była blada jak siedem aniołów.

– Chcesz, żebym cię nakarmił? – zapytałem z prawdziwym zatroskaniem. Kiedy jednak odłamałem kawałek chleba i położyłem mu na ustach, odwrócił głowę.

Wzdychając ciężko, wyprostowałem się i zwróciłem do swojego zwierzchnika:

– Ademar złożył pełne i szczere zeznanie, ale odmawia wyrzeczenia się swoich błędów. Polecenia ojca Jakuba nakładały post o chlebie i wodzie na wszystkich świadków odmawiających współpracy i nieugiętych grzeszników, tak aby cielesne rygory otworzyły ich serca na światło prawdy – przerwałem, kiedy uniemożliwiło mi mówienie gęste, cuchnące powietrze w celi. – Post Ademara jest nieco surowszy, niż bym sobie życzył – dokończyłem.

Ojciec Augustyn pochylił głowę. Potem podszedł blisko do więźnia, uniósł rękę i zaintonował słowa:

– Żałuj, a będziesz zbawiony.

Ademar podniósł wzrok. Otworzył usta. Wydobywający się z nich głos był słaby i upiorny, jak skrzypienie drzewa na wietrze.

– Żałuj, a będziesz zbawiony – zawtórował.

Musiałem kaszlnąć, by ukryć śmiech. Ademar był niepoprawny.

– Wyrzeknij się swoich błędów i zostań z Bogiem – domagał się ojciec Augustyn jeszcze bardziej surowym tonem.

Po czym Ademar powtórzył:

– Wyrzeknij się swoich błędów i zostań z Bogiem.

Patrząc to na jednego mężczyznę, to na drugiego, z niepokojem dostrzegłem pomiędzy nimi pewne podobieństwo. Obaj byli równie niewzruszeni, równie nieprzejednani, co miedziane góry Zachariasza.

– Twoje życie nie należy do ciebie, by mogło dobiec końca, kiedy sobie tego zażyczysz – poinformował ojciec Augustyn Doskonałego. – Jeśli będzie trzeba, zarządę na jutro *auto da fé*. Nie myśl, że w ten tchórzliwy sposób zdołasz uciec płomieniom.

– Nie jestem tchórzem – wychrypiał Ademar, pobrzękując kajdanami. – Gdybyś naprawdę był sługą Bożym, a nie chodzącą skarbonką, wiedziałbyś, że głód boli o wiele bardziej niż wszelki ogień.

Tym razem po prostu musiałem się roześmiać.

– Tę uwagę mógłbyś skierować do mnie, Ademarze, ale nie do ojca Augustyna. Ojciec Augustyn wszem i wobec słynie z tego, że żyje na pokrzywach i kościach. On wie, czym jest głód.

– Powinien więc wiedzieć, że głód działa powoli, bardzo powoli. Płomienie są szybkie. Gdybym był tchórzem, rzuciłbym się na stos. Ale nim nie jestem.

– Jesteś – powiedziałem. – Jesteś tchórzem, ponieważ skazałeś dziecko na śmierć i odszedłeś. Zostawiłeś rodziców dziewczynki, by samotnie znosili jej krzyki. To jest akt tchórzostwa.

– Nie odszedłem! Zostałem do końca! Patrzyłem, jak umiera!

– I idę o zakład, że dobrze się bawiłeś. Wiem, co myślisz o dzieciach. Powiedziałeś brzemiennej kobiecie, że jej łono zostało skalane diabelskim nasieniem.

– Błądzisz w ciemności, nieoświecony mnichu. Nie rozumiesz tych tajemnic.

– Prawda. Nie mogę zrozumieć, dlaczego oddajesz życie za fałszywą wiarę, która pewnego dnia zniknie, skoro żaden jej wyznawca nie może mieć dzieci. Biedny głupcze. Dlaczego zabiegasz o śmierć w ten sposób, skoro, jak wierzysz, twoja dusza może być w następnym wcieleniu kurzą albo świńską! Albo nawet, Boże uchronaj, biskupią!

Ademar odwrócił twarz do ściany. Zamknął oczy i odmówił odpowiedzi.

Następną swoją uwagę skierowałem więc do ojca Augustyna.

– Za twoim pozwoleniem, ojcze, mógłbym tu przysłać Ponsa ze smakowicie pachnącymi grzybami... może jakimś winem, miodowymi ciasteczkami... czymś na pokuszenie apetytu.

Ojciec Augustyn zmarszczył czoło. Pokręcił niecierpliwie głową, jakby moje słowa mu się nie podobały. Potem pokuśtykał do drzwi.

– Ademarze – powiedziałem, zanim ruszyłem za swoim zwierzchnikiem – jeśli umrzesz w tej celi, nic ci to nie da. Jeśli natomiast umrzesz na oczach innych, może poruszy ich twoja odwaga i nieugiętość. Mało mnie więc obchodzi, czy umrzesz tutaj. Nie przeciwstawiasz mi się tą głodówką, raczej mi pomagasz. Ostatnia rzecz, której potrzebuję, to manichejski męczennik taki jak ty.

Kiedy wyszedłem z celi Ademara, ojciec Augustyn czekał na korytarzu. Rozlegał się tu straszny hałas, albowiem więzienia to głośnie miejsca (bez względu na to, ile siana położysz, każdy głos odbija się echem jak wiadro uderzające w kamienną cembrowinę), a cele były wypełnione wściekłymi, nieszczęśliwymi ludźmi. Niemniej jednak ojciec Augustyn ściszył głos, kiedy do mnie mówił.

– Wasze uwagi są nierozważne, bracie – rzekł po łacinie.

– Moje uwagi...?

– Nazywanie tego pierwotnego syna szatana męczennikiem i zapewnienie go, że może wpływać na współczujący tłum.

– Ojcze, on potrzebuje jedynie pretekstu – odpowiedziałem. – Jeśli będzie miał najmniejszą wymówkę, by jeść, zrobi to. Ja dałem mu tę wymówkę. A ponieważ, jak

przypuszczam, przesadziliście nieco, mówiąc, że możecie na jutro przygotować jego *auto da fé*...

– To nie była prawda – przyznał.

– No właśnie. Jeśli nie będzie jadł, do jutra może umrzeć. Na pewno umrze do końca tygodnia. A umarli w więzieniu nie są... nie są pożądani.

– Nie – powiedział ojciec Augustyn. – Z tego kielka niewierności trzeba zrobić przykład.

– T-tak... – Muszę przyznać, że byłem zaniepokojony, nie propozycją nauczania ludu, ale pewnością ojca Augustyna, że osoby na eksponowanych stanowiskach nie zaczną zadawać pytań. Zaledwie dwanaście lat temu śledztwo papieża Klemensa w więzieniu Świętego Oficjum w Carcassonne przyniosło w rezultacie oficjalną reprimendę.

Poza tym śmierć nie jest sprawą Inkwizycji. To władza świecka ponosi odpowiedzialność za pozbawianie życia.

– Jak widzicie – zauważyłem, przechodząc do mniej kłopotliwych tematów – na tym piętrze są więźniowie skazani na reżim *murus strictus*, i ci, którzy uparcie odmawiają zeznań. Wyższe piętro zajmują więźniowie *murus largus*, którzy mogą przebywać na korytarzu i prowadzić tam rozmowy. Życzenie sobie zobaczyć dolny donżon, ojczy? Możemy tam dotrzeć przez drzwi zapadowe.

– Nie – odparł szorstko ojciec Augustyn. A potem dodał: – Czy on jest często używany?

– Tylko kiedy potrzebuję miejsca do przesłuchiwania ludzi. – Dobry inkwizytor nie musi uciekać się do tortur. – Ojciec Jakub używał go czasami do innych celów, ale nie ostatnio. Wejdziemy teraz na górę? Mieszka tam Pons z żoną, u niego więc możemy skończyć wędrówkę, jeśli sobie życzyce.

Mój zwierzchnik zażyczył sobie obejrzeć wiezienie, zanim pozna się z jego nadzorcą. Nie podał żadnych powodów, dla których obrał tą właśnie kolejność, ale domyślałem się, że gdyby zarządzanie Ponsa okazało się indolentne pod jakimkolwiek względem, ojciec Augustyn na pewno odnotowałby ten fakt i domagałby się później wyjaśnień.

Kiedy prowadziłem go przez rzędy nierzadko przepelnionych cel *murus largus*, wypytywał mnie dokładnie, dzięki jakim procedurom mamy pewność, że więźniowie otrzymują dobra, przynoszone przez ich rodziny i przyjaciół. Czy te dobra, pytał, zawsze przechodzą przez ręce strażnika?

– Dajcie spokój, ojczy – brzmiała moja odpowiedź. – O ile strażnik w ogóle potrafi być uczciwy, to Pons jest uczciwym strażnikiem.

– Skąd wasza pewność?

– Stąd, że znam przyjaciół i krewnych wielu więźniów. Pytam ich, co dali, od więźniów zaś dowiaduję się, co dostali. Nigdy nie ma rozbieżności w odpowiedziach.

Ojciec Augustyn chrząknął. Wyczułem, że nie jest może przekonany, ale zdecydowałem – jak zawsze – że byłoby głupotą rzucać mu wyzwanie. *W milczeniu i w nadziei będzie moc wasza*. On nic nie powiedział, ja również milczałem. Poszliśmy dalej. W drodze na górę

przedstawiłem mu kilku strażników i naszego familiara Isarna, który często doręczał wezwania. Isarn sam był nawróconym heretykiem, a także chorowitym, poważnym młodzieńcem, dzieckiem heretyków (od dawna nieżyjących). Traktował nadzorcę i jego żonę jak przybranych rodziców, jedząc z nimi, oddając im większość skromnych zarobków i śpiąc na ich stole.

Zawsze uważałem, że ten młodzieniec dość się już nacierpiął i w zasadzie nie jest wart uwagi, zaskoczyła mnie więc odpowiedź ojca Augustyna, kiedy opowiedziałem mu nieszczęśliwą historię Isarna.

– Ten młodzian był wyznawcą fałszu? – wykrzyknął na tę opowieść.

– Tak – rzekłem. – Ale już nie jest. Odwołał swoje błędy dawno temu, kiedy jeszcze był dzieckiem.

– Skąd macie tę pewność?

Spojrzałem na niego zdumiony. Aby to uczynić, musiałem się zatrzymać i odwrócić, ponieważ wchodziliśmy po schodach do mieszkania Ponsa.

– Nigdy nie aprobowałem przyjmowania na służbę takich ludzi – oznajmił. – To nie jest bezpieczne. Ani rozsądne. Spisek w Carcassonne ułatwił właśnie człowiek o podobnych skłonnościach...

– Ojciec – przerwałem – chcecie mi powiedzieć, że nie ma czegoś takiego jak „byli” heretycy?

– Mówię wam, że ten młodzieniec nie może u was służyć – odpowiedział ojciec Augustyn. – Pozbądźcie się go.

– Ale on nigdy nie dał nam żadnego powodu...

– Natychmiast, jeśli będziecie tak łaskawi.

– Ale...

– Bracie Bernardzie – ojciec Augustyn mówił teraz z wielką surowością – czy Etiopczyk może zmienić swoją skórę, a leopard cętki?

– Ojciec Augustynie – zripostowałem – wasz imiennik sam był nawróconym heretykiem.

– On był świętym, wielkim człowiekiem.

– I powiedział kiedyś: „Nikt nie uchroni wielkich ludzi przed herezją”.

– Nie życzę sobie wdawać się w retoryczną dysputę, bracie. Nie budzi chyba waszego współczucia pęd odcięty od winorośli?

– Nie – powiedziałem zgodnie z prawdą.

Starożytny ojciec Kościoła napisał kiedyś: „Nie ma heretyka bez sporu”. Sam święty Paweł krytykował tarcia i podziały, z których nie wynikało nic poza ruiną, nieszczęściem, rozpaczą. Zgoda jedności jest opoką świata chrześcijańskiego. Tylko próżni pyszałkowie, powodowani dumą i żądzą, chcieliby rozłupać tę skałę i patrzeć, jak nasza cywilizacja stacza się w otchłań wieczystej ciemności.

A przeto z owoców ich poznacie. Rozdarte rodziny, pomordowani kapłani, siostry uwodzone przez braci, umierające dzieci pozbawione jedzenia. Powszechnie jest mniemanie, że dobry heretyk bardziej by się wzdragał przed zabiciem kurczaka niż mnicha. I dokonują tego wyboru. Jak zapewne wiecie, „wybór” to właśnie znaczenie słowa *haeresis*.

Oni wybierają błędną drogę i muszą za ten wybór płacić.

– Nie, ojcie – powiedziałem. – Żaden heretyk nie budzi mojego współczucia.

– Musisz więc być czujny. Czyż człowiek jest władny odkryć, co jest w sercu drugiego człowieka?!

– Nie, ojcie.

– Nie. Nie, o ile nie jest oświecony duchem Bożym albo pouczony przez aniołów. Czy ty jesteś tak pobłogosławiony?

– Nie, ojcie.

– Ja też nie. Musimy się więc strzec. Nie możemy pozwolić, aby wrogowie rodzaju ludzkiego stali się naszymi przyjaciółmi.

Pokonał mnie po raz trzeci tego dnia. W potęgę swej woli był naprawdę przekonujący. Skłoniłem mu się, wyrażając zgodę, po czym zaprowadziłem go do seneszała, biskupa, skarbnika królewskiego i królewskiego skarbnika konfiskat, by pokazał królewskie listy mianujące. Po powrocie do klasztoru rozmawiał na osobności z przeorem, po czym wziął udział w komplecie.

Tej nocy, kiedy położyłem się na pryczy, zasypiałem przy cichych odgłosach dobiegających z przyległej celi, gdzie biedny Sicard czytał rejestry ojca Jakuba. Kiedy rozbrzmiały dzwony na jutrznię, czytał nadal.

Czy było niedorzeczne, że zacząłem postrzegać swojego nowego zwierzchnika jako człowieka żyjącego w cieniu śmierci?

Lew w skrytych miejscach

Święte Oficjum nękałyby kłopoty z każdej strony, gdyby nie pomoc niezawodnych funkcjonariuszy niższego rzędu – skrybów, strażników, gońców, nawet szpiegów – których ogólnie zwaliśmy „familiarami” i na których wielu szacownych obywateli, często niesprawiedliwie, patrzyło z pogardą. Isarnowi mogła ciążyć heretycka przeszłość, ale był dobrym i unizonym sługą wyzbytym próżności czy przebiegłości. Ojciec Augustyn też nie był próżny ani przebiegły, jego dusza obfitowała w cnoty, wzbogacona łaską Ducha Świętego – ale oddalając biednego Isarna, czynił źle. Bez wątplenia czynił źle. W kwestiach takich jak ta nie należy nikogo potępiać a priori, albowiem miłosierdzie i prawda to cnoty, które często idą w parze. Błogostawieni miłosierni dobrodziejstwami, które są bardzo szczodne – co sam mogę zaświadczyć.

Jakieś trzy lata temu zdobyłem familiara, którego usługi okazały się niemal bezcenne, człowieka o tak wyjątkowym umyśle, tak mistrzowskiego w swojej sztuce, że moje pióro nie jest w stanie oddać wiernie jego wspaniałości. Był on jednak Doskonałym (a przynajmniej tak się wydawało) i nie zasługiwał na zaufanie. Jakże łatwo mogłem odrzucić jego dziwne propozycje! Jak stanowczo mógłbym trzymać się swoich podejrzeń i utracić szansę, którą oferował! Byłem jednak nieostrożny. Słuchałem. Rozważałem. Zgodziłem się. I decyzja ta przyniosła obfite owoce.

Po raz pierwszy spotkaliśmy się w więziennej celi niedługo po tym, jak go w niej umieszczono. Niewiele o nim wiedziałem, oprócz tego, że został złapany – razem z drugim Doskonałym – na targu w Padern. Znałem też jego imię, ale nie podam go tutaj. Ponieważ tożsamość owego człowieka jest najściślej strzeżoną tajemnicą, będę nazywał go po prostu „S”. Z wyglądu (i tu znowu nie mogę dać wam pełnego i szczegółowego *effictio*) był wysoki i bły, o małych, bardzo jasnych, taksujących oczach.

– Więc, mój przyjacielu! – powiedziałem. – Domagałeś się posłuchania u mnie.

– Domagałem się. – Jego głos był spokojny i gładki jak masło. – Chciałbym coś wyznać.

– Powinieneś więc poczekać do jutra – poradziłem. – zbierze się trybunał i notariusz spisze wszystko, co masz do powiedzenia.

– Nie – odrzekł. – Chcę porozmawiać z wami w cztery oczy.

– Jeśli chcesz wyznać winy, musi to zostać zapisane.

– Chciałbym coś zaproponować. Poświęć mi trochę czasu, panie, nie będziesz żałował.

Zaintrygowało mnie to. Zazwyczaj „panem” jestem jedynie dla przestraszonych chłopów i pełnych szacunku sierżantów; nigdy wcześniej żaden Doskonały nie zwracał się do mnie w ten sposób. Poleciałem więc więźniowi, by mówił dalej, a on zaczął tymi słowami:

– Nie jestem Dobrym Człowiekiem, mój panie.

Wiedząc, że „Dobry Człowiek” to określenie na Doskonałego, odpowiedziałem:

– Nie jest to więc przyznanie się do winy, ponieważ mam już zeznanie dowodzące, że nim jesteś.

– Ubieram się jak Dobry Człowiek. Noszę niebieską szatę i sandały. Nie spożywam mięsa, kiedy jem z innymi, i mówię o Wielkim Babilonie Kościoła Rzymskiego. Ale w duchu nie jestem heretykiem i nigdy nie byłem.

Na to roześmiałem się głośno i przemówiłbym, gdyby on mnie nie ubiegł. Powiedział, że jego rodzice byli katarami; że ojciec został spalony na stosie jako heretyk, a matkę osadzono w więzieniu; że jego ojcowiznę skonfiskowano, a dom, w którym się narodził, zniszczono. Powiedział, że w wieku sześciu lat stracił wszystko, co kiedyś do niego należało. Młodość spędził w stodołach krewnych, doglądając ich owiec, jedząc resztki po nich. Wszystko to opowiadał spokojnie, łagodnym głosem, jakby mówił o pochmurnym dniu albo spleśniałym bochnie chleba.

– Dobrzy Ludzie zniszczyli moje dziedzictwo – zakończył. – A jednak wciąż do mnie przychodzili, oczekując, że podzielę się z nimi łóżem i strawą, spodziewając się, że będę ich prowadził z miejsca na miejsce, że dam im schronienie i pomoc i że ich wysłucham, nawet wtedy gdy narażają na niebezpieczeństwo całą wioskę. Moi krewni zawsze witali ich z otwartymi ramionami, a ja leżałem w nocy, nie śpiąc, w strachu, że ktoś powiadomi inkwizytorów.

– Powinieneś sam nas powiadomić – zauważyłem.

– I dokąd pójść, panie? Byłem tylko dzieckiem. Ale przysięgłem, że pewnego dnia odzyskam swoje dziedzictwo, niszcząc tych, którzy mnie z niego obrabowali.

Mówił z siłą i spokojem, które znalazłem niezwykle przekonującymi. Wciąż jednak byłem w konfuzji.

– To twoi wrogowie, a wstąpiłeś w ich szeregi. Nie rozumiem.

– Aby zdradzić swego wroga, musisz dobrze go poznać – odpowiedział „S”. – Mój panie, Dobry Człowiek, Arnold, został schwytany wraz ze mną. Przyprowadziłem go do waszych drzwi. Mogę ci powiedzieć wszystko o nim, a także o innych Dobrych Ludziach, o ich zwyczajach, miejscach spotkań, o szlakach, których używają, i o ludziach, którzy są ich przewodnikami. Mogę wam oddać minione pięć lat swego życia i cały dystrykt Corbieres.

– W imię wrogości? – zapytałem, ale on nie zrozumiał. (Nie był, jak wkrótce miałem odkryć, uczonym człowiekiem, chociaż umysł miał bystry). Musiałem więc ująć pytanie inaczej. – Ponieważ tak bardzo nienawidzisz heretyków?

– Nienawidzę ich, to prawda. I chciałbym mieć z nich pożytek. Minione pięć lat daję wam za darmo, na znak swojej dobrej woli. Za następny rok musicie zapłacić.

– Proponujecie, że będziecie dla mnie szpiegować?

– Dla was, tylko dla was. – Spojrzał na mnie swoimi małymi, przejrzystymi oczyma koloru miodu, a ja wiedziałem, że musi być potężnym kapłanem, albowiem jego wzrok przykuwał uwagę. – Nikt inny nie może o tym wiedzieć. Opowiem ci swoją historię jako nawrócony heretyk. Ponieważ zdradzam tak wielu ludzi, moja kara będzie lekka. Puśćcie mnie wolno, a ja wrócę do służby duchowej w nowym dystrykcie, w dystrykcie Rousillon. Za rok aresztujecie mnie w Tautavel. Powiem wam wszystko, czego się dowiedziałem, a wy zapłacicie mi dwieście liwrów.

– Dwieście? Mój przyjacielu, wiecie, jakie są moje pobory?

– Dwieście – powiedział stanowczo. – Za to kupię dom, winnice, sad...

– Jak to zrobicie, jeśli zostaniecie uwięzieni? Nie mogę uwolnić nawróconego heretyka. Pójdiesz na stos.

– Jeśli pomożesz mi uciec, panie, to nie pójdę – przerwał, a po chwili dodał: – Jeśli spodoba ci się moja praca, może najmiesz mnie na następny rok.

W ten oto sposób nabyłem najznamienitszego familiara, jakiego kiedykolwiek najęto Święte Oficjum – nie na jeden rok, nawet nie na dwa, lecz na tyle, ile zechce mi dać. Jakimż grobem pobielanym był ten człowiek! Przebiegły jak parandus (który zmienia ubarwienie zależnie od kryjówki) i niebezpieczny jak lew wśród stworzeń leśnych. A jednak obdarzyłem go zaufaniem, a on odplacił mi tym samym. *Nie bój się ani nie lękaj, bo z tobą jest Pan Bóg twój we wszystkim, do czego się obrócisz.*

Przyznaję jednak, że nie wszyscy nasi familiarzy są godni zaufania. Niektórzy sprzedają swoją prawość za srebro, a biedak za parę butów. Taki właśnie był Grimaud Sobacca; jego lizusowskie zachowanie było fałszywe, ale ojciec Jakub rzucał niekiedy kilka liwrów za usługi haniebne i wątpliwej jakości. Czasami Grimaud rozsiewał fałszywe pogłoski, wywołując waśnie między ludźmi, którzy potem denuncjowali siebie nawzajem jako heretyków. Zdarzało się, że udawał więźnia i stawał się powiernikiem sekretów, które potem zdradzał ojcu Jakubowi. Nierzadko przekupywał służbę, groził dzieciom, kradł dokumenty. Jeśli ojciec Jakub kiedykolwiek przyjął pieniądze, jest niemal pewne, że to Grimaud je zebrał.

Potem, wraz ze śmiercią swego patrona, Grimaud liczył na pomoc ojca Augustyna. Przyniósł do Świętego Oficjum mnóstwo plotek, tak jak bezpański kot przynosi zdechłe myszy do kuchni – on jednak bardziej przypominał był szczura niż kota i jak większość szkodników, zawsze znajdował drogę do środka. Pewnego wieczoru, kiedy wracaliśmy do klasztoru na komplety, zwierzchnik zapytał mnie o Grimauda, który przyszedł do niego tego właśnie dnia

z opowieścią o heretyczkach mieszkających w Casseras. Wprowadziły się tam do starego zamku katarów i nie chodzą do kościoła.

– Słyszeliście o tych kobietach? – zapytał ojciec Augustyn. – Ja nie byłem świadom, że w Casseras istnieje jakikolwiek zamek.

– Nie ma żadnego – powiedziałem. – Jest tam forcja, obwarowane gospodarstwo, które zostało skonfiskowane jakiś czas temu, kiedy jego właściciela skazano za herezję. Wiem, że te ziemie należą teraz do korony. Kiedy byłem w Casseras po raz ostatni, w forcji nikt nie mieszkał, a ona sama była zrujnowana.

– A wiec Grimaud kłamie?

– Grimaud zawsze kłamie. Chodzi po ulicach Babilonu i tarza się w jego błocie jak w łożu pachnideł i cennych maści.

– Rozumiem. – Siła mojego potępienia najwyraźniej zrobiła wrażenie na ojcu Augustynie.

– Niemniej jednak napiszę do tamtejszego proboszcza. Kto sprawuje tę funkcję?

– Ojciec Paweł z Miramonte.

– Napiszę i poproszę o potwierdzenie.

– Dał ojciec Grimaudowi pieniądze?

– Powiedziałem mu, że jeśli po należycie przeprowadzonym śledztwie aresztujemy którąś z tych kobiet, to dostanie małą sumkę.

– Jeśli w Casseras są jacyś heretycy, ojcze, proboszcz wam o tym powie. To bardzo wiarygodny człowiek.

– Znasz go?

– Dołożyłem starań, by poznać większość proboszczów w okolicy.

– I wielu spośród ich parafian, jak sądzę.

– Tak.

– Więc może wy potraficie opowiedzieć mi o tych ludziach. – Po czym mój zwierzchnik wyrecytował sześć nazwisk: Emery Ribaudin, Bernard z Pibraux, Rajmund Maury, Oldryk Capiscol, Petrona Capdenier i Bruna z Aguilar. – To ludzie, których nazwiska wspomniano w rejestrach ojca Jakuba, a jednak nigdy nie zostali oskarżeni ani skazani.

– Emery Ribaudin! – krzyknąłem. – Emery Ribaudin?!

– Czy to nazwisko jest wam znane?

Zatrzymałem się, wziąłem go pod ramię i wskazałem ulicę po prawej stronie. Była zabudowana imponującymi budynkami – wielkimi mieszkaniami na piętrze, podpiwniczonymi sklepami i magazynami na parterze. – Widzicie ten przybytek? Należy do Emerego Ribaudin. Jest on rusznikarzem, konsulem i bogatym człowiekiem.

– Czy słyszałeś, żeby kiedykolwiek ktoś go zadenuncjował?

– Nigdy. Jest patronem Świętego Polikarpa.

– A pozostali? Co wiecie o Bernardzie z Pibraux?

– Pibraux to wieś na zachód od Lazet. Rodzina senioralna ma trzech synów, a Bernard jest najmłodszy. Nigdy go nie spotkałem. – Zatrzymaliśmy się, ale widząc dziwne spojrzenia rzucające w naszym kierunku, ruszyłem dalej. – Rajmund Maury jest piekarzem, mieszka obok klasztoru. To człowiek o nieprzyjemnym usposobieniu, ale nie dziwota, skoro ma dziewięć dzieci na utrzymaniu. Bruna z Aguilar to wdowa z probostwa Świętego Mikołaja, zamożna, jest głową rodziny. O niej słyszałem różne opowieści.

– Jakie opowieści?

– Niemądre. Że spluwa po trzykroć, błogosławiąc chleb. Że jej świnia potrafi odmówić *Pater noster*.

– Hmm.

– Pozostałe dwa nazwiska są mi obce. Znam kilku Capiscolów, ale żadnego Oldryka. Może już nie żyje.

– Może. Widziano go na zebraniu, które odbyło się czterdzieści trzy lata temu.

– A więc może już nie żyć. Niewykluczone, że był oskarżony i skazany na długo, zanim nastał tu ojciec Jakub. Powinniście sprawdzić stare akta.

– To właśnie uczynię.

I zrobił. Rajmund przeszukiwał dla niego akta w pięćdziesięcioletnich księgach, a Sicard je czytał, każdej nocy od komplety do jutrzni, póki biedak nie ochryplł i oczy mu nie poczerwieniały. Aż pewnego dnia, kiedy pisałem w naszej siedzibie list do Jana z Beaune, inkwizytora Carcassonne (który chciał otrzymać kopie pewnego zeznania będącego w naszym posiadaniu), ojciec Augustyn zszedł niemrawo po kręconych schodach i zatrzymał się przed moim biurkiem.

– Bracie Bernardzie – powiedział – czy ostatnio sięgaliście do tych akt?

– Ja? Nie.

– Nie macie u siebie żadnych rejestrów?

– Żadnych. Dlaczego? Czy któreś księgi brakuje?

– Na to wygląda. – Ojciec Augustyn wyglądał na nieco roztargnionego; kiedy mówił, jego spojrzenie wędrowało od moich piór do ziemi fulerskiej i pumeksu. – Rajmund nie może znaleźć jednego ze starych rejestrów.

– Może szukał w niewłaściwym miejscu?

– Powiedział, że mogliście wysłać go do innego inkwizytora.

– Nigdy nie wysyłam oryginałów, ojczy, zawsze przygotowujemy kopie. Rajmund powinien o tym wiedzieć. – Zacząłem podzielać obawy mojego zwierzchnika. – Od jak dawna nie ma tej księgi?

– Tego nie mogę ustalić. Rajmund nie ma pewności, do starych akt sięgamy bardzo rzadko.

– Może przez pomyłkę oba egzemplarze zostały umieszczone w bibliotece biskupa.

– Może. W każdym razie poleciłem mu, by odszukał egzemplarz biskupa i przyniósł go tutaj.

Nad tym się mocno skupiłem. Taka zagadka nie powinna pozostać niewyjaśniona.

– Czy brat Lucjusz widział tę księgę?

– Nie.

– A biskup?

– Zamierzam go zapytać.

– Nikt inny nie miał dostępu do naszych akt. Chyba że... – przerwałem i dzięki jakiejś niezwyklej jednomyślności ojciec Augustyn zakończył to zdanie za mnie.

– ...chyba że wziął je ojciec Jakub.

– Chyba że je gdzieś przeniósł.

– Hmm...

Spojrzeliśmy po sobie, a ja zadałem sobie pytanie: Czyżby ojciec Jakub zacierał za sobą ślady? Nic jednak nie powiedziałem, albowiem kto miarkuje wargi swe, bardzo roztropny jest.

– Wejrzę w tę kwestię – oznajmił w końcu mój zwierzchnik. Zdawał się odepchnąć ją na bok gwałtownym ruchem ręki i zniemacka przeszedł do zupełnie innego tematu. – Jutro będę potrzebował koni – powiedział. – Jakie są odnośne procedury?

– Dla zdobycia koni?

– Chciałbym się udać do Casseras.

– Ach. – Wyjaśnwszy, że należy powiadomić stajennego biskupa, zapytałem swojego zwierzchnika, czy otrzymał wiadomości od ojca Pawła z Miramonte. – Czy podejrzenia Grimauda się potwierdziły? – zapytałem. – Czy w forcji w Casseras mieszkają heretyczki?

Ojciec Augustyn długo trwał w milczeniu. Już miałem powtórzyć pytanie (niepomny, że jego słuch jest szczególnie ostry), kiedy okazał, że jednak mnie usłyszał.

– O ile mi wiadomo – odpowiedział – kobiety, o których mowa, są dobrymi katoliczkami. Uczęszczają do kościoła, ale niesystematycznie, z powodu złego stanu zdrowia. Ojciec Paweł mówi, że forcja jest w pewnej odległości od miasteczka i że to też może powstrzymywać je od praktykowania wiary w złą pogodę. Żyją skromnie i pobożnie, hodują drób i wymieniają jajka na ser. Nie widzi w ich zwyczajach nic zagadkowego.

– A więc? – byłem skonsternowany. – Po co ta podróż?

Ojciec Augustyn znowu pomyślał chwile, zanim przemówił.

– Kobiety żyjące samotnie w taki sposób aż się proszą o niebezpieczeństwo i oszczerstwa – powiedział w końcu. – Jeśli niewiasty chcą żyć w czystości, służąc Bogu i podporządkowując się Jego prawom, powinny szukać ochrony kapłana albo mnicha i wstąpić do klasztoru. W przeciwnym wypadku narażają się na poważne niebezpieczeństwo, po pierwsze dlatego, że prowadząc życie w odosobnieniu, wystawiają się na gwałt i grabież, po drugie ludzie pamiętają, że niegdyś tak właśnie żyły zwolenniczki albigensów, zakładając wiele heretyckich

„konwentów”. Ludzie podejrzliwie patrzą na kobiety, które przedkładają żywot Marii nad żywot Marty, odrzucając przy tym przewodnictwo wyświęconych władz.

– To prawda – zgodziłem się. – Takie sprawy zawsze są zagadkowe. Jak słusznie zauważyliście, powinny wstąpić do klasztoru.

– Poza tym... – i tu ojciec Augustyn przerwał, by z emfazą powtórzyć się, korzystając rozmyślnie z figury retorycznej zwanej *conduplicatio*. – Poza tym jedna z nich umie czytać.

– Ach. – Jakże niejednoznaczna jest ta umiejętność wśród ludu! – Zapewne nie po łacinie?

– Myślę, że nie. Ale jak wiecie, niedouczeni są daleko bardziej niebezpieczni niż ci, którzy nie mają żadnego wykształcenia.

– Tak, w istocie. – Sam byłem świadkiem uporczywej pychy mężczyzn i kobiet jedynie częściowo znających litery. Potrafili oni spamiętać kilka ustępów Ewangelii, ale uważali siebie za lepszych od najbardziej uczonych autorytetów. Słyszałem niewykształconych prostaczków fałszywie wykładających Biblię, jak na przykład w liście świętego Jana „a swoiż go nie przyjęli”, tłumacząc „swoi” jako „świnie”, myląc *sui* z *sues*. A w psalmie „Pogrom zwierzę trzcinne” przekładali „Pogrom jaskółki”, myląc *harundinis* z *hirundinis*.

Przywdziewali pozór piśmiennych jak opończę, która przed resztą niepiśmiennych skrywała głębię ich ignorancji.

– Jeśli te kobiety narażają się na zarzut herezji, żyjąc w taki sposób, to ja podejmę wysiłek naprowadzenia ich na właściwą drogę – powiedział ojciec Augustyn. – Być może potrzeba im jedynie jednego ojcowskiego napomnienia. Delikatnej rozmowy.

– Tak jak to czynił święty Dominik – odpowiedziałem, i on wydawał się polectany tym porównaniem.

– Tak, jak święty Dominik. – Potem, w swój oschły, ale przekonujący sposób dodał: – Mimo wszystko *Domini Canes* to psy Pana nie tylko dlatego, że atakujemy żarłoczne wilki. Jesteśmy tu też po to, by zaganiać owieczki, które odłączają się od stada.

Zdradzając ten sentyment, potknął się, sapnął jak miech kowalski i oparł się ciężko na lasce. Muszę wyznać, że przez mój umysł przemknął w tym momencie karygodny obraz – bardzo starego, łysego, bezzębnego i trójnogiego psa – i uśmiechnąłem się pod nosem.

Ale uśmiech zbladł, kiedy zadałem sobie pytanie: jak bezzębne psy utrzymują się przy życiu, jeśli nie żerując na padłych stworzeniach?

Ojciec Augustyn był najwyraźniej zdecydowany ścigać pomówionych o herezję aż po ich grób, i jeszcze dalej. Wiedziałem, że jeśli to zrobi, sprowadzi na nas kłopoty. Rozgorzeją protesty i padną wzajemne oskarżenia. Pielgrzymować będą do nas wpływowi patroni.

Nie spodziewałem się jednak najgorszego. I tu zabrakło mi przezorności.

Casseras leży w pobliżu większego miasteczka Rasiers. O ile pamiętam, Rasiers liczy około trzech setek mieszkańców, a należy do nich królewski prewot. To on właśnie zajmuje

zamek, niegdysiejszą siedzibę rodziny, która zbudowała forcję pod Casseras – rodziny, o której wiedziałem niewiele, poza tym, że jej senior, Jordan z Rasiers sto lat temu poddał swój zamek wojskom z północy. Na podstawie rejestrów Świętego Oficjum mogę też powiedzieć, że jego wnuk, Rajmund Arnold stracił forcję Casseras, jak również dom w Lazet, kiedy został skazany za herezję w 1254 roku.

Zarówno Rasiers, jak i Casseras dawno temu zostały zainfekowane herezją. Widziałem zeznania, setki zeznań, ze śledztwa z 1253 i 1254 roku, kiedy większość mieszkańców w małych grupach wezwano do Lazet na przesłuchanie. O ile sobie przypominam, było tam około sześćdziesięciu osób, a wszystkie należały do czterech rodzin. (Często obserwowałem, że herezja zaraża krew, podobnie jak choroby dziedziczne). Te rodziny nie mają już w miasteczku swoich przedstawicieli: ich członkowie albo są uwięzieni, albo straceni, albo wysłano ich na długie pielgrzymki, z których nigdy nie wrócili. Niektórych, przeważnie dzieci, odesłano do dalekich krewnych. Jak oznajmia Hieronim w komentarzu do Galatów: „Odetnij zgniłe ciało, wygnaj ze stada parszywą owcę, aby całe domostwo, całe ciało, całe stado nie szczyło, nie zgniło, nie wymarło”. Kiedy infekcja herezji została przyżegana, Casseras powróciło do zdrowia (choć – jak mawia ojciec Augustyn – zawsze trzeba być czujnym).

Aby dotrzeć do miasteczka z Lazet, trzeba przez pół dnia jechać na południe, aż do Rasiers znajdującego się na zielonym płaskowyżu pastwisk, lasów i pól pszenicy. To harmonijne połączenie naturalnego bogactwa gorliwemu chłopu daje zarówno wytchnienie dla oka, jak i różnorodne płody rolne. *Jako wielmożne są, Panie, uczynki Twoje, wszystko w mądrości uczynił, napełniona jest ziemia osiadłością Twoją.*

Casseras leży jeszcze dalej na południe, u podnóża gór, gdzie ziemia nie jest już tak płodna. Nie ma tu sadów ani winnic, wozów ani koni, nie ma młynów, gospod, klasztorów ani kuźni. Jedynie dwa gospodarstwa mogą się poszczycić osobnymi budynkami dla owiec, mułów i wołów. Kościół jest skromną kryjówką łaski Boga – ciemnym blokiem ze skały wapiennej, zawierającym kamienny ołtarz, drewniany krucyfiks i zamkniętą skrzynię na kielich, patenę, bieliznę i ornat. Na ścianach wiszą jeszcze obrazy, źle wykonane i w nie najlepszym stanie. Oczywiście lepiej jest korzyć się cichymi (i tak dalej), ale niewiele tu kojarzy się z wysławianiem majestatu Chrystusa.

Z Casseras kamienista dróżka prowadzi przez wioskowe poletka i dzikie lasy do pastwisk na tarasach starej forcji Rasierów. Często można tu zobaczyć wypasające się owce, należące do pewnych miejscowych rodzin, które płacą prewotowi za przywilej używania królewskiej ziemi. (Wiele jest narzekania na te podatki: słyszę je wszędzie, gdzie pójde. „Za dużo podatków” – mówią chłopci. „Jak możemy jeszcze dawać Kościołowi, skoro król chce tak dużo?”) Dróżka, o której wspominałem, jest w niektórych miejscach stroma jak schody, w innych zaś głęboka jak rów, niemal nie do przebycia w deszczową pogodę, niebezpieczna w śnieżną, bardziej stosowna dla kóz niż dla ludzi, i trudna nawet dla najbardziej doświadczonych, wprawnych jeźdźców. Stało się więc tak, że ojciec Augustyn i jego sierżanci,

przekroczywszy rzekę Agly, popędzili swoje rumaki przez surowe zbocze pod palącym słońcem i narażając życie, przeszli przez gęsty las słynący ze zbójeckich napadów, by na samym końcu swej podróży stanąć wobec wspinaczki najbardziej uciążliwej ze wszystkich tych trudów.

Wrócili tą samą drogą tego samego dnia, i to jeszcze szybciej, tak aby dotrzeć do Lazet, zanim jego bramy zostaną zamknięte na noc. Trzeba powiedzieć, że te decyzje podjął ojciec Augustyn i że była ona głupia, albowiem niemal go zabiła. W konsekwencji spędził w łóżku trzy dni – i to dlaczego? Ponieważ nie chciał (tak przynajmniej twierdził) opuścić komplety. Oczywiście rozumiem, że uczestnictwo w niej to obowiązek każdego dominikanina, że jest ona koroną i kulminacją naszego dnia, a żadna nieobecność nie przemknie niezauważona i nie usprawiedliwi jej żadna wymówka. Niemniej jednak, jak wykazał święty Augustyn, Bóg stworzył umysł ludzki racjonalnym i zdolnym do myślenia i rozsądek podpowiada, że słaby człowiek, którego zmogą bóle i udręka długiej podróży, opuści kompletę więcej razy niż człowiek, który mądrze przerwie podróż, by spędzić noc pod dachem miejscowego prewota.

Doszedłem do tego wniosku, kiedy odwiedziłem swego zwierzchnika drugiego dnia jego ozdrowienia, a on przyznał, że przecenił swoje siły.

– Następnym razem zatrzymam się na noc – powiedział.

Byłem zaskoczony.

– Ojciec zamierza tam wrócić?

– Tak.

– Ale jeśli te kobiety są nieprawomyślne, powinniście je wezwać tutaj.

– One nie są nieprawomyślne – przerwał ojciec Augustyn.

Mówił z wysiłkiem, głosem słabym i ochrypłym, ale kiedy zniżyłem głowę niemal do poziomu jego ust, mogłem pochwycić zarówno wypowiedane przezeń słowa, jak i cień, najłżejsze echo gniewu, którym był przepełniony. Zadziwił mnie ten gniew wypływający z jakiegoś ukrytego źródła. Nie widziałem ku niemu żadnego powodu.

– One potrzebują duchowego przewodnictwa – ciągnął ojciec Augustyn z zamkniętymi oczyma, a jego cuchnący oddech odbijał się od mego policzka. Mogłem bez trudu wyśledzić kontury jego czaszki pod skórą.

– Ojciec Paweł bez wątpienia jest w stanie im je zapewnić – powiedziałem, a on uniósł głowę z irytacją, niemal gorączkowo.

– Nie może.

– Ale...

– Ojciec Paweł to prosty człowiek, który ma pod opieką ponad sto dusz. Te kobiety są dobrze urodzone i inteligentne, o ile kobieta może kształcić w sobie te zdolności wyżej rozwinięte w mężczyźnie.

Przerwał, a ja czekałem, ale nie padły żadne dalsze wyjaśnienia. Ośmieliłem się więc zaryzykować.

– Tak więc – zauważyłem – gdyby w nich kiełkowało ziarno zbłądzenia, a ojciec Paweł zgałby je, one prawdopodobnie nawróciłyby jego. To właśnie chcecie powiedzieć, ojczy?

Mój zwierzchnik, rozdrażniony, znowu pokręcił głową jak ci, co piją wino gniewu Bożego, i nie mają odpoczynku we dnie i w nocy. Jego niedołączny stan zaczynał wpływać na jego zachowanie, na co dzień tak spokojne i opanowane.

– Nie macie dla mnie szacunku – narzekał. – Ta kpina... dręczycie mnie...

Skruszony, zacząłem błagać o wybaczenie.

– Ojczy, moja wina. Nie powinienem mówić w ten sposób, to moja słabość.

– To są poważne sprawy.

– Wiem.

– A jednak z nich kpicie. Zawsze. Żartujecie nawet z więźniami w kajdanach. Jak mam to rozumieć?

A ja pomyślałem: Słuchajcie słuchając, a nie rozumieście. Obawiam się, że tak było zawsze. Bez względu na to, do jakiego mnich należy zakonu, zawsze wymaga się od niego, żeby mówił cicho i bez śmiechu, pokornie, poważnie i w niewielu słowach.

– Ojciec Paweł nie zostałby nawrócony – mówił dalej mój zwierzchnik, a oddech grzechotał w jego gardle. – Ale mógłby ich nie przekonać.

– Oczywiście. Rozumiem.

– Kobiety potrzebują przewodnictwa duszpasterskiego. To ja, jako zakonnik świętego Dominika, mam obowiązek chronić je od zbłądzenia. Zaproponowałem, że będę je odwiedzać od czasu do czasu i pełnić obowiązki duszpasterskie dla zdrowia ich dusz. To moja powinność, bracie.

– Oczywiście – powtórzyłem, ale nie pojmowałem.

Opieka duszpasterska to obowiązek kleru świeckiego, a nie braci kaznodziei. Jest kilka wyjątków (Wilhelm z Paryża, jak wiadomo, przez wiele lat był spowiednikiem królewskim), ale zakon świętego Dominika, chociaż wysyła naszych braci do najdalszych zakątków ziemi, abyśmy mogli nieść słowo Boże z przekonującą mocą słodkiej retoryki – chociaż zaprasza lud, by wraz z nami uczestniczył w komplecie – nie zachęca jednak do bliskości związanej z opieką duszpasterską. Co więcej, na pewno nie nakłania do swobodnych i częstych kontaktów z kobietami.

To właśnie mnie zadziwiło i skonsternowało bardziej niż wszystko inne. Nie muszę was przekonywać o niebezpieczeństwie czającym się w przyjaźni między mnichami a kobietami, bez względu na to, czy są one matronami, dziewicami czy nierządnicami. Święty Augustyn stanowczo uznawał takie przyjaźnie za okazje do grzechu. „Te wszystkie i podobne im rzeczy mogą być sposobnością do grzechu wtedy, gdy przez nadmierne ich umiłowanie porzuca się dla nich, będących dobrami ostatniego rzędu, dobra cenniejsze od nich, dobra najwyższe.”* Święty Bernard z Clairvaux zapytał: „Być zawsze z kobietą i nie znać jej cielesnie, czy to nie

* Św. Augustyn, Wyznania, tłum. Z. Kubiak, Warszawa 1987, s. 37.

jest więcej niż wskrzesić umarłego?” Nawet najbardziej bosko natchnione związki, takie jak świętej Krystyny z Markgate i pustelnika Rogera, mogą być narażone na niebezpieczeństwo – albowiem czyż diabeł, ten wróg cnoty, nie wykorzystał ich bliskiej przyjaźni i nie pokonał oporu człowieka?

W świętych zakonach jest wielu mężczyzn, którzy – ponieważ Ewa zbeczczyła zakazane drzewo i złamała Boskie prawo (i ponieważ bardziej gorzka niż śmierć jest kobieta, której serce to wnyki i sieci) – wolą powstrzymać się od rozmowy z jakąkolwiek kobietą przecinającą ich ścieżki, a nawet od spojrzenia na nią. Brakuje im przy tym ducha wyrozumiałości i przesadnie lękają się kontaktu cielesnego. Czyż sam Chrystus nie pozwolił postępującej mu kobiecie, by całowała jego stopy, zmyła je swoimi łzami i wytarła włosami? Czyż nie przemówił do niej słowami: „Wiara twoja zbawiła cię, idź w pokoju!”? Rozmawiałem z wieloma kobietami na ulicy, przed klasztorem, za jego murami i na schodach wejściowych. Wygłaszałem do nich kazania w kościołach i słuchałem ich w więzieniach. Taka rozmowa może być bardziej zbawienna pod każdym względem.

Ale żeby jeść z niewiastą, spać pod jej dachem, często się nią spotykać i otwierać przed nią serce – tu czyha wielkie niebezpieczeństwo. Wiem o tym (i tu muszę złożyć haniebne wyznanie), ponieważ kiedy byłem młodym człowiekiem, igrałem z takim niebezpieczeństwem, i naraziłem się na grzech i niełaskę. Jako młodzian, zanim przystąpiłem do zakonu, poznałem kobiety cielesnie – grzesznie – poza więzami małżeńskimi. Jakże pilnie studiowałem arkaną sztuki miłosnej! Jak uważnie przeglądałem dzieła trubadurów i wykorzystywałem ich miodopłynne frazy jako strzały wymierzone w serca wielu panien! Śluby czystości składałem jednak z głębokim postanowieniem dotrzymania ich! Nawet jako zwykły kapłan, podróżując przez kraj ze starszym, bardziej doświadczonym kaznodzieją generalnym (czcigodnym ojcem Dominikiem z Radel), żarliwie pragnąłem roztrzaskać o Chrystusa jak o skałę te złe i lubieżne myśli, które rodziły się w mojej głowie. Gorliwie odwracałem wzrok od każdej niewiasty, dążąc do osiągnięcia doskonałej miłości Boga i do wyzbycia się strachu.

Wszyscy jednak jesteście grzesznikami, nieprawdaż? I ja upadłem, jak Adam, kiedy w Ariege przez kilka tygodni więziła mnie choroba, która zdjęła i obezwładniła mojego towarzysza. Moje modlitwy w miejscowym kościele tak silne wywarły wrażenie na pewnej młodej wdowie, że przyszła szukać u mnie duchowej porady. Rozmawialiśmy, nie raz, lecz wiele razy, i... zmiłuj się nade mną, Panie, bom chory. Żeby nie rozpamiętywać bluźnierczego i haniebnego incydentu, powiem, że połączyliśmy się w zmysłowym zaspokojeniu.

Oczywiście, nie spodziewałem się, że ojciec Augustyn ulegnie temu grzechowi. Stan jego zdrowia nie pozwoliłby na to. Co więcej, postrzegałem go jako człowieka, który mocnym krokiem postępuje wedle Boskich przykazań. (Powiedziałbym, że kuśtyka wedle Boskich postanowień, ale to byłby zbędny brak powagi). W efekcie był jak zielone drzewo oliwne w

domu Bożym, i nie mogłem sobie wyobrazić, że jego dusza zrasta się z inną duszą, ani też że ogień piekielnej żądzły gorzeje w jego łądźwiach.

Niemniej jednak irytowały mnie jego podróże do Casseras. Nie były regularne ani przesadnie częste, a jednak zdołały opóźnić prace Świętego Oficjum. A żeby zrozumieć dlaczego, musicie poznać rozmiary ówczesnych działań *inquisitio*.

Powiadomił mnie Jan z Beaune z Carcassonne, że przesłuchiwał świadków z Tarascon, czy też jego okolic. Jeden z tych świadków rzucił podejrzenie na człowieka z wioski o nazwie Saint-Fiacre, podlegającej pod Lazet. Wezwany i przesłuchany, człowiek ten zadenuncjował niemal wszystkich mieszkańców Saint-Fiacre. Nawet miejscowego księdza oskarżył, że ten daje schronienie i pomaga Doskonałym. Wobec takiej liczby zeznań nie wiedziałem, co robić. Gdzie powinienem zacząć? Kogo wezwać w pierwszej kolejności?

– Aresztuj ich wszystkich – rozkazał ojciec Augustyn.

– Wszystkich?

– Tak robiono w przeszłości. Dziesięć lat temu ówczesny inkwizytor Carcassonne aresztował wszystkich mieszkańców górskiej wioski. Zapomniałem jego nazwiska.

– Ale ojcie, w Saint-Fiacre mieszka ponad półtora setki ludzi. Gdzie mamy ich trzymać?

– W więzieniu.

– Ale...

– Albo w więzieniu królewskim. Porozmawiam z seneszalem.

– Ale dlaczego nie wzywać ich w małych grupach? Byłoby o wiele łatwiej, gdyby...

– Gdyby reszta uciekła do Katalonii? Bez wątplenia my mielibyśmy wówczas o wiele mniej pracy. – Mój zwierzchnik nie dodał: „Czy tak będziesz się tłumaczył, kiedy zmartwychwstaniesz, by stanąć przed Tym, przed którego obliczem uciekła ziemia i niebo?” Kamienny wyraz jego twarzy był jednak równie wymowny, jak wszelkie słowa.

Wątpiąc w ucieczkę przez góry całej populacji Saint-Fiacre, musiałem jednak przyznać, że przynajmniej niektórzy, zwłaszcza pasterze, mogliby skorzystać z takiej możliwości. W wielkim więc znużeniu duszy postanowiłem przekonać Rogera Descalquens, by udzielił nam swego wsparcia – jako że bez seneszała nie zdołalibyśmy zmusić ponad stu pięćdziesięciu ludzi, by pomaszrowali aż do Lazet i tam oddali się w ręce Świętego Oficjum. (Oczywiście Roger składał przysięgę posłuszeństwa jak każdy, kto piastował oficjalny urząd, ale miał wiele zajęć i czasami trzeba go było przejednywać).

Musiałem też udobruchać Ponsa, naszego nadzorcę, którego bynajmniej nie cieszył tak nadzwyczajny napływ więźniów – i konieczne było najęcie kolejnego notariusza. Nawet Rajmund Donatus, przy swojej biegłości i wszystkich umiejętnościach, nie zdołałby zapisać tak wielkiej liczby zeznań. Ojciec Augustyn i ja byliśmy zobowiązani przesłuchać nie tylko mieszkańców Saint-Fiacre, lecz także świadków, którzy mogli dostarczyć informacji o czterech podejrzanych wskazanych przez mojego zwierzchnika jako ci, co prawdopodobnie wręczyli łąpówki ojcu Jakubowi: o Emerym Ribaudin, Bernardzie z Pibraux, Rajmundzie

Maurycy i o Brunie z Aguilar. Ponieważ tymi sprawami zajmował się wyłącznie ojciec Augustyn, mieszkańcy Saint-Fiacre spadli na moje barki. W rezultacie potrzebowaliśmy dwóch notariuszy. Złożyliśmy więc podanie do królewskiego skarbnika konfiskat, a on wysuwał kilka liwrow na zatrudnienie Duranda Fogasseta.

Durand pracował był już ze mną kilka razy. Był chudym, bladym młodzieńcem o palcach poplamionych atramentem, odzianym w znoszone ubrania, i z wielką strzechą ciemnych włosów opadających na oczy. Jego umiejętności i doświadczenie były współmierne do skromnej kwoty, którą mu płaciliśmy. Prawdę mówiąc, jedynie konieczność sprawiała, że w ogóle z nami pracował, w Lazet jest bowiem aż nadto notariuszy, a i po wioskach nie było w tym czasie żadnych wakatów. Chociaż jego nastawienie wskazywało na to, że chętnie zachowałby stanowisko na dłużej, nie starał się ukryć swojego zdania na temat Świętego Oficjum i jego funkcjonariuszy. Z tej przyczyny zapewne, a także dlatego że nie był tak wprawny jak Rajmund, ojciec Augustyn nie darzył go wielką estymą. „Ten nieporządny młodzian” – tak oto określał Duranda. W rezultacie młody notariusz pracował tylko ze mną.

Przeglądając raz jeszcze powyższy akapit, zaniepokoiłem się, że może on być mylący. Durand nie wyrażał poglądów karygodnych czy heretyckich. Nigdy nie otworzył ust w czasie moich przesłuchań, ani też nie skrytykował mnie później za cokolwiek, co mogłem powiedzieć. Po prostu czasami grymasem albo kwaśną uwagą („Chciałby brat, żebym w przyszłości pomijał wszystkie błagania do Najświętszej Pani, czy też włączając je do zapisu?”) udawało mu się wyrazić pewną umiarkowaną dezaprobatę.

Kiedyś, po przesłuchaniu szesnastoletniej mieszkanki Saint-Fiacre, zapytałem Duranda szczerze, co myśli. Wspomniany świadek mówił przez jakiś czas o swoim oddaniu ciotce, a ja pozwoliłem jej zboczyć ze ścieżki, którą ją prowadziłem. Czyniłem tak zazwyczaj, wiedząc, że ludzie muszą pewne sprawy wylać z siebie – dając ulgę przeciętnemu sercu – zanim będzie można przepytwać ich o inne kwestie. (Tą drogą mogłem także okazać swoje pełne współczucie nastawienie). Na zamknięcie posiedzenia powiedziałem Durandowi, że kiedy będzie przepisywał protokół w jego ostatecznej postaci, może pominąć większość odniesień do ciotki świadka.

– Istotne są jej uwagi o Świętym Sakramencie i, oczywiście, te o wizycie Doskonałego. Resztę możemy wyrzucić.

Durand przyglądał mi się przez chwilę.

– Uważacie ją za nieistotną? – zapytał.

– Dla naszego śledztwa tak.

– Ale ta ciotka jest dla dziewczyny jak matka. Opiekowała się nią tak czule. Z takim oddaniem. Jakże dziewczyna mogłaby ją zdradzić? To byłoby wbrew naturze.

– Być może. – Ale spieranie się o naturę, i o to, co się na nią składa, oznacza wchodzenie w teologiczne bagno. – Niemniej jednak jest to nieistotne dla naszego śledztwa, zbieramy dowody, Durand. Dowody udziału w herezji. Naszym zadaniem nie jest szukanie wymówek.

Przerwałem i przyjrzałem się Durandowi, który wpatrywał się bez ruchu w podłogę, z kartami protokołu przyciśniętymi do piersi.

– Uważacie, że jestem niesprawiedliwy? – zapytałem delikatnie. – Myślicie, że byłem okrutny dla tej dziewczyny?

– Nie – potrząsnął głową, wciąż skamieniały. – Był brat całkiem... brat jest miły dla takich ludzi jak ona. – Potem posłał mi ironiczne spojrzenie. – To brata sposób, jak zauważyłem. Brata technika.

– I skutkuje.

– Tak. Ale brat wyciąga zeznania z tych ludzi, by potem je wyrzucić. A one mogą być ważne.

– W jaki sposób?

– W obronie tej dziewczyny.

– Myślicie, że to miłość zmusiła ją do zdrady Świętego i Apostolskiego Kościoła?

Durand zamrugnął powiekami. Zawahał się, wyglądał na zmieszanego.

– Durandzie – powiedziałem – pamiętajcie słowa Chrystusa: „Kto miłuje ojca albo matkę więcej niż mnie, nie jest mnie godzien”?

– Wiem, że ona czyni źle – odpowiedział – ale motywy działania tej dziewczyny na pewno są mniej karygodne niż jej ciotki czy kuzyna, prawda?

– Być może. I zostaną wzięte pod uwagę, kiedy będzie skazywana.

– Ale czy na pewno? Jeśli nie zostaną zapisane?

– Ja będę obecny przy ferowaniu wyroku, dopilnuję, żeby tak się stało. – Widząc zmarszczone czoło Duranda, dodałem: – Przypomnij sobie stan finansów Świętego Oficjum, mój przyjacielu. Czy możemy pozwolić sobie na wydatek setek ares pergaminów na osobiste zwierzenia każdego świadka, którego przesłuchujemy? Gdybyśmy to robili, obawiam się, że nie byłoby nas stać na płacenie ci pensji.

Na to twarz Duranda oblekła się w wyraz nadzwyczajny, złożony z niesmaku, żalu i zażenowania. Potem wzruszył ramionami i pochylił głowę w swojej zwykłej, pobieżnej próbie pożegnального ukłonu.

– Tu mnie brat ma – zauważył. – Pójdę więc i to przepiszę. Dziękuję, ojcze.

Przyglądałem mu się, kiedy dużymi krokami zmierzał do schodów. Zanim jednak tam dotarł, byłem już poruszony na tyle, by podeprzeć swoje racje jeszcze jedną uwagą.

– Durandzie! – powiedziałem, a on się odwrócił. – Pamiętaj też, że ta dziewczyna dokonała wyboru. Koniec końców wszyscy to robimy. Ta wolność jest darem Boga dla rodzaju ludzkiego.

Durand wydawał się to rozważać. W końcu rzekł:

– Może ona czuła, że nie ma wyboru.

– A zatem była w błędzie.

– Bez wątpienia. Cóż... dziękuję, ojcze. Będę o tym pamiętał.

Odbiegam jednak od głównego wątku. Ta rozmowa nie miała związku z zasadniczym tematem mojej opowieści, którym jest przytyływ pracy spowodowany wypytywaniem ojca Augustyna o morale jego poprzednika i aresztowaniem wszystkich dorosłych mieszkańców Saint-Fiacre. Byliśmy tak zajęci, jak powiedziałem, że potrzebowaliśmy drugiego notariusza (Duranda), tak zajęci, że pewnego razu spóźniłem się na kompletę i zostałem surowo napomniany za nieposłuszeństwo. Niemniej jednak w środku tego wielkiego zamieszania ojciec Augustyn odwiedził Casseras trzykrotnie. Mimo że znał wagę spraw, które nas obarczały, był nieobecny, i muszę wyznać, że, Boże, wybaczą mi się wywracały. Myślałem jak Hiob: „Przetóż i ja nie sfolguję ustom moim, mówić będę w udręczeniu ducha mego, będę się rozmawiał z gorzkością duszy mojej”.

Dlatego też poszedłem do spowiednika.

Trudno jest w klasztorze oczyścić serce ze złości i urazy. Mnich rozmawia rzadko, a kiedy już coś mówi, to przeważnie formułkami – jego nieczęste rozmowy są w zasadzie podstuchiwane, ponieważ prawie nigdy nie jest sam. Musi skrywać uczucia i stwarzać pozory, że radzi sobie ze wszystkim w spokoju. Nie muszę jednak wam tego wyjaśniać. W nocy wszyscy leżymy, nie śpiąc, pijąc z kielicha zapalczywości, a w duchu przeklinamy swego brata, który często leży, nie śpiąc i wściekając się, na postaniu tuż obok!

Tylko spowiedź niesie nam wytchnienie. Opisuując nasze karygodne odczucia, możemy wyliczyć winy i nieprawości swoich braci. I to właśnie zrobiłem, zamknięty w konfesjonale z przeorem Hugonem. Wyznałem swoją gorycz i przeszedłem do pełnego wyliczenia jej źródeł. Przeor słuchał z zamkniętymi oczyma. Mieliśmy za sobą długą wspólnie przebytą drogę – spotkaliśmy się w szkole klasztornej w Carcassonne – wzajemnie szanowaliśmy swoje osądy.

– Nie wiem, co czynić – powiedziałem mu. – Ojciec Augustyn jest taki wytrwały i nieugięty, tak pilny i zagorzały w swoim poszukiwaniu prawdy, a jednak tak często jeździ do Casseras, o ile wiem, bez żadnego powodu, chyba że ucieka w jakiś sposób od klasztoru.

Przeor otworzył oczy.

– W jaki sposób?

– Och, tu w grę wchodzi kobiety, ojczce. Czyż można się pokusić o coś więcej niż spekulacje?

– Co do ojca Augustyna?

– Wiem, że to się wydaje mało prawdopodobne...

– Mało?! Dalibóg!

– Ale dlaczego, ojczce? Dlaczego on to robi?

– Zapytaj go.

– Zrobiłem to. – Krótko wyliczyłem wyjaśnienia ojca Augustyna co do jego zachowania. – Ale my nie jesteśmy parafialnymi księżmi, jesteśmy mnichami. Nie potrafię tego zrozumieć.

– A musisz rozumieć? „Zalim ja jest stróżem brata mego?”

Powiedziałbym „tak” – ponieważ w klasztorze przeor jest stróżem wszystkich swoich braci w Chrystusie. Ale wiedziałem, że taka uprzejmość jedynie zadziwiłaby mojego starego przyjaciela. Chociaż mądry i spokojny, nie był skory do przekomarzania się.

Zmilczałem więc.

– Ojciec Augustyn naprawdę czuje, że wykonuje dzieło Boże – ciągnął przeor spokojnie, jak to on, a ja zdałem sobie sprawę, że jako czujny pasterz swego stada musiał już podjąć ten temat z moim zwierzchnikiem. – Inkwizytorowi – wskazał – powierzone jest zbawienie dusz.

– Kosztem pracy w Świętym Oficjum?

– Mój synu, wybacz, ale źle czynisz, kwestionując poczynania swego zwierzchnika. – Z życzliwym uśmiechem przeor zdołał upomnieć mnie, nie urażając zarazem. – Twoim zadaniem jest jedynie służyć i dzielnie dźwigać swój krzyż.

Znowu nic nie powiedziałem, zdawałem sobie bowiem sprawę, że ma słuszność.

– Niech ci wystarczy, że ja czuwam nad twoim bratem – zakończył przeor – i że będę go strzegł, by nie odniósł uszczerbku. Skoncentruj się na swoich obowiązkach i oczyść serce z tych pełnych złości myśli. Czemu one służą, prócz tego, że zatruwają twoje życie?

Starłem się więc ukoić swą duszę, by poczuła się jak zroszony ogród, podczas gdy ojciec Augustyn, najwyraźniej w spokoju sumienia, postępował tak jak wcześniej, odwiedzając Casseras co tydzień lub dwa, uporczywie realizując cel, który dla jego otoczenia był tajemnicą. Z każdej podróży wracał silnie wyczerpany. Prawdę mówiąc, przestrzegałem go kilkakrotnie, że te podróże go zabiją.

I miałem słuszność, albowiem w dniu swojej śmierci był właśnie w Casseras.

Ojciec Augustyn odszedł z tego świata w Święto Narodzenia Błogosławionej Dziewicy. Jego nieobecność w klasztorze tego dnia szeroko komentowano, a ja odebrałem ją jako niewłaściwą, a nawet jako brak szacunku. Fakt, że nie wrócił na komplecie, nie wzbudził jednak komentarzy; ojciec Augustyn przed powrotem do Lazet zwyczajowo już bowiem spędzał wieczory z ojcem Pawłem w Casseras.

Dopiero w południe następnego dnia, kiedy on i jego orszak wciąż byli nieobecni, poczułem niepokój.

W tym punkcie swej opowieści muszę pokusić się o *demonstratio* wydarzeń, których sam nigdy nie byłem świadkiem. Trudne to zadanie sparafrazować słowa innych, ponieważ mogę odtwarzać żywo pewne epizody, których szczegóły jedynie mgliście zarysowują się w moim umyśle. Niemniej jednak trzeba to zrobić, jako że epizody te są rozstrzygające, jeśli macie zrozumieć los, który mnie spotkał.

Wspomniany wcześniej trakt z Casseras do forcji był, jak powiedziałem, urwistą, nieprzystępną dróżką, rzadko używaną przez wieśniaków wypasających owce na królewskich pastwiskach. Końcowy, najbardziej stromy jej odcinek, biegnący pomiędzy skałami a młodnikiem, był niemal nieużywany. Jedynie mieszkańcy forcji – a ostatnio inkwizytor, który

ich odwiedzał – byli zmuszeni pokonywać tę kozią ścieżkę. Ale dnia następnego po Święcie Narodzenia dwóch i chłopców wybrało się do forcji, aby pokłonić się i podziwiać zarówno świętą inkwizytora, jak i wspaniałe konie, na których przyjechali ci świetni mężowie. Chłopcy byli oczywiście z Casseras.

Na imię mieli Gwidon i Wilhelm.

Do chwili przybycia ojca Augustyna Gwidon i Wilhelm nigdy nie widzieli koni. Nigdy też nie widzieli miecza ani maczugi. Wieczory, które inkwizytor z Lazet spędzał w domu ich proboszcza, witali z wielkim podnieceniem, jako że zawsze towarzyszyło mu czterech zbrojnych i ich rumaki. Wszyscy spali w stodole Bruna Pelforta. Chłopcy byli rozkochani we wszystkim, co miało jakkolwiek związek z wojną. Często widywano ich, jak śledzili krok w krok naszych familiarów: Bertranda, Mauranda, Jordana i Gerarda, a ci nierzadko nagradzali ich za wytrwałość – dawali im resztki jedzenia albo na chwilę sadzali w siodle.

Dlatego więc, kiedy ich bohaterowie przejechali przez Casseras w Święto Narodzenia i nie wrócili wieczorem, chłopcy byli potężnie zawiedzeni. Podobnie jak reszta wioski, doszli do wniosku, że ojciec Augustyn zdecydował się nocować w forcji. („Myśleliśmy, że ten mnich swawoli ze swoją damą” – tak to później wyłożyli miejscowi). Następnego ranka popędzili więc na spotkanie zbrojnych, niespokojni, że mogą ich w ogóle nie zobaczyć.

Kiedy pojechałem rozmawiać z Wilhelmem, starszym z tej dwójki, opisał mi ów ranek niezwykle szczegółowo. Wedle jego słów Gwidon trochę bał się forcji, ponieważ dzieci z wioski uważały ją za nawiedzoną przez demony. Pełne znaczenie tej uwagi umknęło mi, jako że dorośli wieśniacy wydawali się usposobieni całkiem dobrze do kobiet z sąsiedztwa. Może wzmianka o demonach miała związek z heretycką przeszłością rodziny Rasierów. Może rzeczywiście ukazały się tam jakieś wcielenia złych duchów. W każdym razie Wilhelm musiał namawiać swojego przyjaciela na ścieżce, tłumacząc, że w forcji nie mogły pozostać żadne demony, bo wszystkie wszak przegnał inkwizytor z Lazet.

Właśnie mówili o inkwizytorze i o tym, ile demonów mógł zamknąć w więzieniu w Lazet, gdy poczuli paskudny zapach. (Miejcie łaskawie na względzie, że był wrzesień i dni były bardzo ciepłe). Kiedy przeszli jeszcze kawałek, smród przybrał na sile. Wilhelm natychmiast uznał, że gdzieś niedaleko zdechła owca, chora albo napadnięta przez psy, albo też spotkał ją jakiś inny smutny los, na który owce, jak rozumiem, są szczególnie podatne. Powiedział coś na ten temat, ale Gwidon nie zgodził się z nim, jako że nikt nie skarżył się na zaginięcie żadnej owcy.

Potem usłyszeli muchy. Najpierw się przestraszyli, że zbliża się rój pszczoł, i Gwidon chciał zawrócić. Wilhelm posłużył się swoim rozumem: wyszedłszy związek pomiędzy zapachem a dźwiękiem, doszedł do wniosku, że padłe zwierzę przyciąga owady, a ponieważ tych było mnóstwo, padłe zwierzę musiało być ogromne.

Nieco bojaźliwie ścisnął więc w dłoni zaostrzony kij i tam, gdzie ścieżka rozszerzała się w niewielką polankę otoczoną gęstymi zaroślami, znaleźli szczątki oddziału ojca Augustyna.

Bez wątpienia słyszeliście, że ojciec Augustyn i jego towarzysze zostali posiekani na kawałki. Być może jednak nie w pełni zrozumieliście, że kiedy napisałem „posiekani na kawałki”, nie użyłem hiperboli, lecz dosłownie i precyzyjnie opisałem stan ofiar. Ich ciała były podzielone na małe cząstki, a te rozrzucono jak ziarno. Nie pozostał ani jeden skrawek odzienia. Jedyne *translatio*, które oddać może stan ciał, to złupiona krypta – albo może Dolina Kości – tylko że te kości nie były czyste i wyschnięte. Były pokryte krwią i ropiejącym ciałem i pod warstwą much wołały o pomstę do nieba.

Rozważcie tylko widok, który ukazał się oczom Wilhelma: scena najstraszliwszej rzezi, pył ciemny od krwi, spryskane nią liście i kamienie, fragmenty poczerńniętego mięsa przyklepione do każdej powierzchni i wiszący w powietrzu odór tak przemożny, że wydawał się cielesnie obecny. (Wilhelm wyznał mi później, że ledwie oddychał). Z początku oszołomione dzieciaki nie były w stanie rozpoznać tego, co widzą. Wilhelm przez chwile myślał, że to owca rozszarpana przez stado wilków. Kiedy jednak podszedł bliżej i spłoszył gromadę much, tak że podniosły się i rozpierzchły jak żaby, zobaczył ludzką stopę i zrozumiał, co się stało.

– Pobiegłem – powiedział mi, kiedy go zapytałem – pobiegłem, bo Gwidon biegł. Obaj pobieglśmy z powrotem do wioski.

– Nie do forcji? Przecież była bliżej.

– Nie przyszło nam to do głowy. – I dodał jakby ze wstydem: – Gwidon bał się forcji. Gwidon się bał. Ja nie.

– A potem?

– Zobaczyłem księdza. Jemu wszystko powiedziałem.

Jak możecie sobie wyobrazić, ojciec Paweł był przerażony i nieco zagubiony. Poszedł do Bruna Pelforta, najbogatszego, najważniejszego człowieka w Casseras, i razem zebrali oddział wieśniaków. Zdecydowano, że część ludzi należy wysłać na miejsce masakry, by pozbierać to, co zostało z ciał. Wzięto różne narzędzia gospodarcze, które miały służyć za broń na wypadek zasadzki, a także – za radą Wilhelma – liczne wiadra i worki. Potem czternastu mężczyzn, uzbrojonych w kosy, łopaty i ościenie, ruszyło w kierunku forcji.

Wrócili po długim czasie, ścigani przez roje much.

– To było straszne – powiedział mi ojciec Paweł. – Smród był potworny. Niektórzy z tych, co zbierali kawałki... pochorowali się. Wymiotowali. Ktoś powiedział, że to robota szatana, więc byli przerażeni. Po tym wszystkim wiadra i worki spalono. Nikt ich nie chciał z powrotem.

– I nikt nie pomyślał o kobietach?

– O tak, pomyśleliśmy o nich. Baliśmy się, że spotkało je to samo. Ale nikt nie chciał pójść i sprawdzić.

– Ktoś jednak to uczynił.

– Tak. Kiedy dotarliśmy do wioski, wysłałem wiadomość do prewota, do Rasiers. On miał tam mały garnizon... bardzo mały. Przybył z kilkoma żołnierzami, i żołnierze poszli do forcji.

Tymczasem rozgorzał wielki spór dotyczący szczątków. Ustalono, że są męskie, i większość wieśniaków podzielała zdanie, że należą do ojca Augustyna i jego ludzi. Nikt jednak nie miał pewności, ponieważ nie znaleziono żadnej głowy. Brakowało też innych części ciała i niektórych ludzi oskarżono, że je przeoczyli.

Ojciec Paweł upierał się jednak, że wszystkie szczątki zostały pozbierane. Z wielką starannością upewnił się był w tej kwestii.

– Jeśli czegokolwiek brakuje, to musimy szukać gdzie indziej – powiedział. – Może w lesie. Powinniśmy wziąć do tego psy.

– Ale nie teraz – odrzekł Bruno. – Dopiero jak przybędą żołnierze.

– Dobrze. Dopiero jak przybędą żołnierze – zgodził się ojciec Paweł.

Potem ktoś zapytał go, co należy zrobić ze szczątkami, które już są, i to wywołało jeszcze większy spór. Ktoś doradzał natychmiastowy pogrzeb, ale został zakrzyczany. Jak można pogrzebać pół człowieka, jeśli jego druga połowa wciąż leży gdzieś w lesie? Poza tym te ciała należą do Świętego Oficjum. Święte Oficjum na pewno się o nie upomni. Do tego czasu trzeba je przechować.

– Jak możecie tak mówić? – zaprotestowała matka Wilhelma. – One się nie przechowują. To nie są półcie solonej wieprzowiny. Czuć je nawet stąd.

– Powściągnij swój język! – warknął ojciec Paweł. Był bardzo wstrząśnięty, jako że ze wszystkich mieszkańców wioski jedynie jego łączyła zażyłość z ojcem Augustynem. (Później dowiedziałem się, że na widok miejsca rzezi padł na kolana i przez jakiś czas nie mógł wstać). – Nie mówcie tak lekceważąco! To nadal są ludzie, bez względu na to, jak bestialsko ich potraktowano!

Zapadło długie, pełne zadumy milczenie. Potem jeden z wieśniaków powiedział:

– Może powinniśmy ich zasolić... jak wieprzowinę – i wymieniono ostrożne spojrzenia. Sugestia wydawała się niemal bluźniercza, ale z drugiej strony – cóż innego mieli zrobić? Po chwili nawet ojciec Paweł musiał przyznać, że wybór leżał pomiędzy soleniem a wędzeniem. Niechętnie więc zaaprobował użycie soli, po czym wybuchła zażarta kłótnia, kto poświęci na to swój czas, a kto beczki solanki, jako że nikt nie był skory podjąć się tego przerażającego obowiązku.

Jedna z matron stwierdziła nawet, że to ojciec Paweł powinien być za to odpowiedzialny, ponieważ podobnie jak inkwizytor jest duchownym.

Ale ojciec Paweł pokręcił głową.

– Muszę udać się do Lazet – zauważył. – Trzeba powiadomić ojca Bernarda. – I wszyscy przyznali, że to zadanie najlepiej wykona ksiądz. Namawiano ojca Pawła, by zaczekał, aż przybędzie prewot, Estolt z Couze, tak żeby mógł pożyczyć odeń konia. Ksiądz jednak niecierpliwił się i postanowił jak najszybciej wyruszyć piechotą. – Jeśli prewot będzie chciał wysłać za mną konia, to koń mnie dogoni powiedział. – Muszę się spieszyć, bo jeśli wyruszę natychmiast, dotrę do Lazet przed zmrokiem.

Zdecydował się zabrać syna Bruna, Emerego, i wkrótce wyruszyli ze skromnym zapasem wina, chleba i sera. Nie odeszli zbyt daleko, kiedy dołączył do nich jeden z sierzantów prewota, jadący na koniu, którego użyczył ojcu Pawłowi – było więc oczywiste, że Estolt przybył był do Casseras wkrótce po tym, jak oni je opuścili. Ksiądz konno popędził więc naprzód, podczas gdy Emery i sierzant podążyli jego śladem.

W Casseras tymczasem prewot pełnił swoje obowiązki. Wysłuchał z powagą relacji Bruna Pelforta z porannych poczynań. Obejrzał szczątki ojca Augustyna i jego towarzyszy. Potem, w asyście swoich sierzantów, kilku dzielnych ochotników z wioski i własnego psa, ostrożnie udał się na miejsce zbrodni.

– Mój pies to dobry ogar, ma świetnego nosa – powiedział mi, kiedy go odwiedziłem. – Chociaż był przestraszony tą całą krwią, szybko wywąchał głowę i inną część ciała ukrytą głęboko w zaroślach. Domyśliłem się, że ktoś musiał je tam rzucić.

W przeciwieństwie do ojca Pawła, Estolt miał na tyle przytomny umysł, że przebadał ziemię w poszukiwaniu śladów. Niestety, spieczony słońcem grunt był twardy i suchy jak stara kość. W postaci złamanego listowia i smug krwi znalazł jednak dowody wystarczające, by dojść do wniosku, że konie wpadły były do lasu i prawdopodobnie zostały z niego wyprowadzone.

– Nie wiedziałem, czy napastnicy byli w forcji, czy też uciekli. – Nie przyszło mu wówczas do głowy, że mogli wrócić do wioski.

Z nowo znalezionymi szczątkami starannie zawiniętymi w czyjs płaszcz Estolt i jego ludzie ruszyli do forcji. Ścieżka, którą zdążali, nie była pokalana choćby kroplą krwi, nie dostrzegli też żadnych innych podejrzanych śladów. Z ruin podnosiła się kolumna dymu, ale był on wąty i powolny, jak z kuchni. Dobięły ich kobiece głosy, nie były one jednak podniesione ze strachu; łączyły się w spokojny pomruk, niczym gruchanie gołębic. Jak powiedział później Estolt, właśnie ten dźwięk uświadomił mu, że w tym miejscu nie znajdzie zabójców.

Zamiast tego znalazł cztery przyjaźnie nastawione kobiety: starszą wiekiem niewiastę Alkaję z Rasiers; bezzębną, obłożnie chorą staruszkę, która jak na ironię nosiła imię Witalia; wdowę Joannę z Caussade i jej córkę Babilonię. Nie miały pojęcia o rzezi, której dokonano nieopodal ich domostwa, i wydawały się przerażone, kiedy o niej usłyszały.

– Nic nie słyszały, nikogo nie widziały – poinformował mnie prewot. – Nie umiały znaleźć żadnego wytłumaczenia na to, co się stało. Rozmawiałem z Alkają, ona jest potomkinią starego Rajmunda Arnolda z Rasiers, domyślam się więc, że w pewnym sensie czuje się panią tej posiadłości. Rozmawiałem głównie z nią, ponieważ wydawała mi się tam rządzić. Ale to wdowa wróciła ze mną do Casseras.

I tam – jak się dowiedziałem – sama podjęła się posolenia szczątków pięciu zamordowanych mężczyzn. Był to akt niemal wzniosłego oddania, które wieśniacy postrzegali jako wielce podejrzane. Domyślam się, w świetle tego, czego się później dowiedziałem, że ich domniemania nie były bezpodstawne. Niemniej jednak wierzę, że Joanna z Caussade

wykonała to straszliwe zadanie nie z poczucia moralnego obowiązku i powinna być nagrodzona za swoją odwagę.

Chociaż poważałem ojca Augustyna i szanowałem go, sam nie mógłbym czegoś takiego zrobić.

Oto tajemnicę wam powiadam

Kiedy ojciec Augustyn nie wrócił tak, jak oczekiwałem, byłem oczywiście lekko zaniepokojony. Po naradzie z przeorem Hugonem posłałem do Casseras dwóch familiarów z listem do ojca Pawła z Miramonte. Musieli minąć go gdzieś w pobliżu Crioux, jako że dotarł on do Lazet tuż przed nieszporama. Skutkiem tego nie uczestniczyłem w owym nabożeństwie, a nawet byłem nieobecny na komplecie, musiałem bowiem zanieść biskupowi i seneszałowi nieszczęsną wieść, że szczątki ojca Augustyna są teraz pożywką dla ptactwa niebieskiego.

„Umarli usłyszą głos Syna Bożego, a którzy usłyszą, ożyją”. Wierzyłem wtedy, i wierzę teraz, że przeznaczeniem ojca Augustyna jest życie wieczne. Dla niego śmierć jest na pewno bramą Niebios – i z jakąż radością jego dusza musiała opuścić tę ulotną i słabą śmiertelność! Pamiętam słowa jego imiennika: „Tam wystawiają Boga i tu wystawiają Boga, ale tu ci pełni niepokoju, tam wolni od troski; tu ci, którzy mają umrzeć, tam ci, których czeka życie wieczne; tu w nadziei, tam w nadziejach spełnionych; tu w drodze, tam w naszej ojczyźnie”. Wiem, że ojciec Augustyn znajdzie chwałę wieczną w tym mieście, które nie potrzebuje słońca ani księżyca, bo świecą jego jest Baranek. Wiem, że chodzić będzie w bieli wśród tych, którzy nie pokalali szat swoich. Wiem, że umarł jako świadek Wiary, i w ten sposób ma zapewnione zbawienie.

Nie znalazłem jednak pocieszenia w tej wiedzy. Prześladował mnie natomiast obraz rzezi, który nie dawał mi spokoju i sprawiał, że w głębi duszy byłem przerażony. Strach – przytłumiony wszystkim, co się wydarzyło, kiedy ojciec Paweł przyniósł potworną nowinę – ogarniał mnie powoli, krok po kroku, jak lew w skrytych miejscach. To seneszał, Roger Descalquens dopuścił do głosu mój lęk w trakcie naszej pierwszej rozmowy dotyczącej morderstwa.

- Mówicie, że nie było żadnych ubrań? – zapytał księdzę z Casseras.
- Żadnych – odpowiedział ojciec Paweł.
- Ani śladu? Ani strzępka? Nic?
- Nawet najmniejszej niteczki.

Roger myślał przez chwilę. Siedzieliśmy w wielkiej sali zamku, gdzie zawsze panowało wielkie zamieszanie. Pełno tu było dymu, psów i łażących tam i sam sierżantów, lepkich

stołów, porzuconej broni i zapaszku dawno spożytych posiłków. Od czasu do czasu któreś z dzieci seneszala wpadało do pomieszczenia, robiło rundę dookoła niego i wybiegało.

Za każdym razem, kiedy tak się działo, musieliśmy podnosić głos ponad wydawane przez to dziecko niesamowite piski, wielce zresztą podobne do kwików zarzynanej świni. W ten sposób wieść o zamordowaniu ojca Augustyna przedostała się do wiadomości publicznej, wielu bowiem ludzi z garnizonu słyszało naszą rozmowę i rozniosło szybko jej przedmiot. Co więcej, wielu przyłączyło się do nas, przedstawiając swoje opinie bez najmniejszej zachęty z naszej strony.

– Rabusie – powiedział któryś. – To musieli być rabusie.

– Rabusie pewnie wzięliby konie i odzież – odparł Roger – ale dlaczego marnowałiby czas na odcinanie rąk i nóg?

To było, jak sądzę, pytanie zasadnicze. Rozważaliśmy je przez chwilę. Potem Roger znowu zabrał głos:

– Ofiary poruszały się konno – powiedział powoli. – Czterech z nich było żołnierzami, zgadza się, ojczy?

– Tak.

– Doświadczonymi żołnierzami. Żeby pokonać zawodowych żołnierzy w pełnym rynsztunku... cóż, moim zdaniem, żadna nędzna banda głodnych chłopów nie mogłaby tego zrobić.

– Nawet strzałami? – zapytał jeden z sierżantów.

Roger zmarszczył brew i pokręcił głową. Kiedy przeglądałem ten tekst, zauważyłem, że nie przedstawiłem *effictio* seneszala, nawet nie opisałem pokrótce jego życia, chociaż ma to ogromne znaczenie dla mojej opowieści.

W czasie, o którym mówię, służył królowi od dwunastu lat, energicznie, rozumnie, może nieco drapieżnie, ale jedynie w imieniu króla – styl jego życia nie wskazywał na nadmierne uposażenie w ziemskie dobra. Był mężczyzną mniej więcej w moim wieku, w przeszłości wiódł żołnierskie życie. Ciało miał krępe i muskularne, zachował o wiele więcej włosów niż ja (prawdę mówiąc, jest on jednym z bardziej włochatych znanych mi osobników), i był trzykrotnie żonaty – dwie pierwsze żony zmarły w połogu. Dzięki nim jednak doczekał się siedmiorga dzieci, z których najstarsza córka wyszła za bratanka hrabiego Foix.

Przy żywym, nieco gruboskórnym sposobie bycia Roger Descalquens na ogół dobrze maskuje głębię i przenikliwość swego intelektu. Lubi hodować psy i polować na świnię; jest niepiśmienny, często małomówny, nieszkolony w wielu zasadniczych kwestiach doktryny katolickiej, nie interesuje się historią ani filozofią, nie odczuwa potrzeby poszerzania wiedzy geograficznej, nie wykazuje pobożnej troski o zbawienie swej duszy. W poplamionych wełnianych szatach i znoszonej skórze bardziej przypomina stajennego niż urzędnika królewskiego. Czytałem, że Arystoteles w liście do Aleksandra Macedońskiego radził mu kiedyś, żeby wybrał na doradcę „tego, który jest szkolony w siedmiu sztukach wolnych,

uczony w siedmiu zasadach, i jest mistrzem w siedmiu kulturalnych umiejętnościach. To uważam za prawdziwe szlachectwo”. Wedle tych norm Roger w ogóle nie był szlachcicem.

A jednak to człowiek o przenikliwej intuicji politycznej, wyposażony w niezwykle rozważny, jasny i logiczny umysł. Takie właśnie sprawiał wrażenie, kiedy rozważał dowody do tej pory ujawnione.

– Żeby zaatakować jeźdźca na koniu, trzeba być uzbrojonym, a może i nawet trzeba samemu być konno – rozważał – chyba że napastników jest wielu, a ja wątpię, żeby tak było. Większość rabusiów nie ma pieniędzy na broń i konie, chyba że żyją niedaleko szlaku bogatej pielgrzymki. Tacy bandyci, jak słyszałem, są w pobliżu drogi do Compostelli, ale nie w okolicy Casseras, przynajmniej o ile wiem.

– Wątpicie więc, że to robota zwykłych rabusiów? – zapytałem, a on rozłożył ręce.

– Kto to może wiedzieć?

– Ale zastanawialiście się, czy rabusie traciliby czas na rąbanie ciał?

– Tak. Zastanawiam się też, skąd wiedzieli, gdzie urządzić zasadzkę. Gdyby ktoś mnie zapytał o zdanie, powiedziałbym, że tam żaden atak nigdy nie powinien się zdarzyć. Jacy uzbrojeni bandyci mogli zbłądzić w tak nieużyteczne ziemie? To jest rzeczywiście doskonałe miejsce na zasadzkę, ale kogo mieliby nadzieję tam obrabować? Ktoś musiał mordercom powiedzieć o ojcu Augustynie.

Zwróciłem już wcześniej na tych stronach uwagę na niemożliwość odgadnięcia myśli drugiego człowieka. Jak kiedyś napisał sam święty Augustyn: „Ludzie mogą mówić, można widzieć ruchy kończyn, można ich słyszeć, jak mówią: ale czyja myśl została przeniknięta, w czyje serce wejrano?”. Wiem jednak, że moje rozważania zbieżne były z myślami Rogera. Kiedy bowiem przemówiłem, skinął głową jak ktoś witający znajomą twarz.

– Wizyty ojca Augustyna nie były regularne ani też nagłaśniane wszem i wobec – powiedziałem. – Nie wiedziałby o nich nikt, kto by go nie spotkał na drodze.

– Chyba żeby mieszkał w Casseras...

– Albo otrzymał wiadomość z stajni biskupa – dokończyłem. – Stajnie biskupa zawsze były powiadamiane o jego wyjeździe wieczorem poprzedniego dnia.

– Nikt z Casseras by tego nie zrobił – niemal wykrzyknął ojciec Paweł. – Nikomu nawet nie przyszłoby to do głowy! – Z żalem jednak muszę powiedzieć, że jego głos został zignorowany.

– Mówię, co mi się wydaje dziwne – zauważył senezal, postukując palcem w policzek i patrząc w przestrzeń. – Rozerwanie kogoś na kawałki to czyn bardzo gniewny. Można to zrobić jedynie, jeśli się nienawidzi osoby rozrywanej. Jeśli więc uczynili to rabusie, musieli żywić urazę do inkwizytora. A jeśli nie zrobili tego rabusie, to dlaczego zabrali ubrania?

– Musieli rozebrać ciała, zanim je rozczłonkowali – zauważyłem. – To jeszcze więcej zmarnowanego czasu.

– Właśnie.

– Może wynajęty zabójca chciał zatrzymać ubrania – zaryzykowałem. – Jeśli konia i broń dostarczył mu ktoś inny, mógł być na tyle biedny, by zatrzymać nawet podarte i przesiąknięte krwią ubrania, które mógłby uprać i naprawić.

Roger chrząknął. Potem przeciągnął się, kilkakrotnie przeczesał palcami gęstą czuprynę siwych włosów, jakby gręplował wełnę. – Niektórzy ludzie mają jakiegoś jednego wroga, który nienawidzi ich tak bardzo, że mógłby ich posiekać – zauważył. – W wypadku inkwizytora połowa świata chętnie żywcem by go ugotowała. Na waszym miejscu, bracie Bernardzie, bardzo bym teraz uważał, gdzie chadzam. Fakt, że strażnicy też zostali posiekani, świadczy o tym, że ktokolwiek to uczynił, nienawidzi całej Inkwizycji, nie tylko ojca Augustyna.

Ta pogrzejająca uwaga brzmiała długo w moich uszach i chyba nie dziwota, że nie zdołałem zasnąć tej nocy. Co prawda i tak nie miałem spać, odmawiano bowiem nocne modlitwy za duszę ojca Augustyna. Trzeba wam jednak wiedzieć, jak to jest z czuwaniem (i po prawdzie, z jutrznią) – bez względu na szczerą intencję, w najciemniejszych godzinach nikt nie zdoła zachować przytomności przez cały czas. Tej nocy jednak czuwałem w kontemplacji tej śmierci, tak okrutnej i nieuzasadnionej i tak bardzo mnie dotyczącej. Muszę wyznać, że nie tyle odczuwałem żal, co strach, odrazę i nawet (Boże, wybaczyć mój brak szacunku) litość nad samym sobą, jako że odejście zwierzchnika pozostawiło mnie z brzemieniem różnych śledztw do ukończenia. Jakże próżni jesteśmy my, ludzie, mimo że nasze dni jako cień przemijają. Jakże jesteśmy przywiązani do spraw tego świata, nawet w obliczu takiej tajemnicy jak śmierć. W ten sposób, zamiast zanosić modły za dusze zmarłego, zacząłem analizować w myśli liczne wypadki minionego dnia: seneśzał pojechał do Casseras, by zabrać ciała i sprawdzić miejsce zbrodni; przeor Hugon napisał do generała zakonu, informując go o tym potwornym morderstwie; biskup napisał do Inkwizytora Francji, domagając się następcy ojca Augustyna. A ja? Chociaż stanąłem w obliczu ogromnej pracy, spędziłem większość dnia, rozważając, kto ze wszystkich ludzi ściganych przez mojego zwierzchnika zajmował taką pozycję, że poważałby się go zamordować. Przyszło mi bowiem do głowy, że wielu z nich nie byłoby w stanie uczynić tego osobiście. Rozumiecie – mogli przebywać w więzieniu.

Ojciec Augustyn był w Lazet zaledwie trzy miesiące: w tym czasie podjął śledztwo w sprawie Emerego Ribaudin, Bernarda z Pibraux, Rajmunda Maury, Bruny z Aguilar i całej wioski Saint-Fiacre. Uznałem za prawdopodobne, że to któryś z mieszczan ponosi odpowiedzialność za śmierć mojego zwierzchnika, ponieważ niewielu wieśniaków, jeśli jacyś w ogóle, miało rodzinę poza więzieniem czy też fundusze, by wynająć zabójców. To była moja pierwsza myśl. Potem zacząłem się zastanawiać, czy – jak rozważał seneśzał – atak był wymierzony nie w ojca Augustyna osobiście, lecz w całe Święte Oficjum. W takim wypadku winowajcą mógł być ktoś ścigany na moje polecenie – czy nawet na polecenie ojca Jakuba. Nagle przyszło mi do głowy, że ojciec Augustyn to pierwszy od wielu lat inkwizytor, który

postawił stopę poza Lazet. Jego poprzednik pozostawał w obrębie murów miasta, odkąd go znałem; ja sam rzadko podróżowałem. Może więc ktoś doszedł do wniosku, że ojciec Augustyn jest celem oczywistym. Niewykluczone, że jakiś wrogo nastawiony grzesznik od lat rozmyślał o tym krwawym czynie, czekając tylko na właściwą sposobność.

W tym właśnie momencie ze smutkiem w sercu zdałem sobie sprawę, że ów grzesznik nigdy nie zostanie aresztowany, jeśli jedyną drogą do osiągnięcia tego celu jest sprawdzenie śledztw z minionych dwudziestu lat. Było ich tak wiele, a archiwa Świętego Oficjum są tak nieznaczące. Nawet jeśli śledztwo seneszala ujawni nowe dowody, i te dowody zawężą krąg podejrzanych, nadal będzie on spory, a jego naturalnym źródłem muszą być akta Świętego Oficjum.

Tym właśnie byłem zajęty, kiedy klęczałem na chórze w trakcie czuwania nad ojcem Augustynem. Nie modliłem się za niego, jak powinienem był czynić; nie skupiłem myśli na cierpieniu Chrystusa i złożyłem swą pychę w ręce Pana, korząc się, aż stałem się tak skromny jak proch letniego bojowiska i wtedy dopiero mogłem błagać o Boskie wybaczenie w imieniu mojego zwierzchnika. Nie rozmyślałem o jego straszliwych ranach i nie płakałem nad nimi, jak powinienem był płakać nad ranami naszego Zbawiciela. Zajmowałem się natomiast troskami tego świata (gdzie zaznajemy ucisku), błędząc po omacku w ciemności, kiedy powinienem był podnieść wzrok do światła.

Nie pomyślałem nawet: mój przyjaciel nie żyje, nie zobaczę go już nigdy. Czytając to, musicie postrzegać mnie z niechęcią i potępiać jako człowieka o kamiennym sercu. Ale ja wiem, że z upływem czasu zacznę tęsknić silniej za ojcem Augustynem i już teraz zdaję sobie sprawę, że to z racji rzadko spotykanej wartości naszej przyjaźni. Prawdziwa przyjaźń, jak mówią mędrcy, to ścieżka cnoty – i wielu podąża nią ramię w ramię. Aelred z Rievaulx w swoich *Spiritualis amicitia* wyklada to tak: „Przyjaciel, połączony ze swym przyjacielem w duchu Chrystusa, ma z nim jedno serce i jedną duszę i przechodzi przez stopnie miłości do przyjaźni Chrystusa, on to, jednym pocałunkiem, tworzy z nim jedną duszę”. To wzniosły ideał, ale nieznaczny ma związek z tym, co łączyło mnie z ojcem Augustynem. Ojciec Augustyn i ja trzymaliśmy nasze serca i dusze zdecydowanie z dala od siebie, i obawiam się, że to z powodu mojej karygodnej miłości własnej. Wiedziałem jednak, że on postępował według praw Pana i przypominam sobie słowa Cycerona z *De amicitia*: „umiłowałem bowiem cnotę tego męża. A cnota ta nie poszła w zapomnienie”^{*}

Ojciec Augustyn i ja nie dzieliliśmy miłych żartów ani czułych sekretów. Nie radowaliśmy się wzajemnym towarzystwem ani też nie szukaliśmy siebie, by zrzucić z serc ciężar, kiedy waga ziemskich spraw czyniła go ciężkim ponad miarę. Ale drogą cnoty on szedł przede mną, pochodnia nogom moim słowo twoje i światłość ścieżkom moim. Był wzorem i ideałem, doskonałym inkwizytorem, gorliwym, a jednak spokojnym, silnym w wierze, niezachwianym w odwadze. Z jego obecności czerpałem nową siłę, której nawet nie dostrzegłem, póki jej

^{*} M. T. Cicero, O przyjaźni, tłum. W. Kornatowski, [w:] Pisma filozoficzne, t. 4, Warszawa 1963, s. 117

źródło nie zniknęło. W ojcu Augustynie rozpoznałem, nieobecne u jego poprzednika, poczucie misji i ślepo pozwoliłem mu prowadzić moje kroki, wiedząc, że nie sprowadzi mnie na manowce.

Bez niego nie miał mnie kto poprowadzić. Znowu musiałem podążać własną drogą, błędząc ścieżkami, które prowadziły na bagna i w chaszczę – albowiem ja sam zawsze pozwalałem, by przewrotny humor i ciekawość, lenistwo i duma panowały nad cnotami, które zdawały się tak płytkie mieć korzenie w moim charakterze. Gdyby ojciec Augustyn żył, może... ale gdyby ojciec Augustyn żył, do żadnego z tych wydarzeń by nie doszło.

Wiem, że umarł dzielnie. Chociaż słaby na ciele, był silny duchem, i przyjął śmiertelny cios tak spokojnie, jak tylko jest to możliwe, myśli i uczucia skupiając na wiecznych nagrodach. Wierzę też, że był lepiej przygotowany na śmierć niż większość z nas, jako że tak długo żył w jej cieniu. Ale teraz, kiedy sobie przypominam jego drżące ręce, kruchą posturę (bezbronną jak u pisklęcia) i to, jak powoli, z jakimż wysiłkiem wykonywał nawet najprostsze czynności... kiedy sobie przypominam to wszystko, moje trzewia skręca ból, a oczy wypełniają się łzami. Wiem bowiem, że kiedy padł pierwszy cios, ojciec Augustyn nie miał czasu ani nawet siły, by podnieść ramię albo pochylić głowę, w daremnej próbie uniknięcia go. Prawdę mówiąc, wzrok miał tak słaby, że mógł nie zauważyć spadającego nań ostrza.

Zabicie go było jak zarżnięcie spętanej owcy.

To dziwne, że teraz mogę po nim płakać, a nie mogłem robić tego wówczas. Zapewne mam poczucie, że teraz, z powodów, które wkrótce się wam objawią, znam go lepiej... a i ja pod wieloma względami jestem inny. Wypadki sprzysięgły się, by poszerzyć granice moich uczuć.

Mimo to powinienem był pogрузić się w żalu, kiedy po raz pierwszy wzrok mój padł na jego okaleczone szczątki. Ja zaś poczułem mdłości i słabość. Może w obliczu tak straszliwego dowodu ulotności życia, człowiek w sposób naturalny nie przyjmuje do świadomości, że te krwawe strzępy i mięso, te potrzaskane kości mogą być w istocie ludzkie. A może po prostu te szczątki w żaden sposób nie przypominały ojca Augustyna – albowiem jego głowy, najbardziej charakterystycznej części ciała, wciąż brakowało.

Ale nie powinienem jeszcze mówić o szczątkach. Przybyły nieco później, po kolejnych dwóch dniach. Muszę nauczyć się nie wybiegać do przodu w swej opowieści, kiedy trzeba omówić to, co się wydarzyło tymczasem.

Seneszal, jak powiedziałem, wrócił z ciałami ofiar dopiero po dwóch dniach. Tymczasem ja byłem bardzo zajęty. Jeden z zabitych familiarów (i tylko jeden, Bogu niech będą dzięki) był żonaty i miał dzieci; musiałem udać się do nich i posłużyć pocieszeniem, jeśli w ogóle cokolwiek mogło ich pocieszyć. Za przyzwoleniem przeora i biskupa mogłem jednak obiecać wdowie niewielką rentę. Moim obowiązkiem było też poinformować inkwizytorów Carcassonne i Tuluzy, że ojciec Augustyn stracił życie, i przestrzec ich, że im samym może

grozić niebezpieczeństwo. Nie chciałem wyprawiać posłańców z tą wieścią, z obawy, że jako sługi Świętego Oficjum padną ofiarą kolejnej zbrodni. Poprosiłem jednak biskupa o użyczenie trzech ludzi i tym samym zagłuszyłem wszystkie strachy w tym względzie.

W dodatku cała praca, dotychczas wykonywana przez ojca Augustyna, w sposób naturalny spadła na mnie. Z jakimiż mękami sumienia przypomiąłem sobie teraz, że jeszcze niedawno żywiłem do niego urazę za wyprawy do Casseras. Jakże to sobie wyrzucałem! Sprawdzając spis jego śledztw, zdałem sobie sprawę, że próbował odpokutować swoje nieobecności, biorąc na barki dużo więcej, niż można by oczekiwać od kogokolwiek – a tym bardziej od człowieka słabowitego zdrowia. Wstydziłem się, a jednocześnie byłem zatrwożony. Jak mogłem w ogóle mieć nadzieję, że zdołam go zastąpić? Prawda wyglądała tak, że nie dałbym rady. Wielu ludzi miało gnić w więzieniu przez wiele kolejnych miesięcy, czekając na przesłuchanie, ponieważ Święte Oficjum nie było w stanie zająć się ich sprawą.

Nie muszę mówić, że przyszło mi do głowy, iż sprawca śmierci ojca Augustyna mógł równie dobrze znajdować się wśród tych, z którymi był on ostatnio związany. Dlatego też ochoczo uporządkowałem jego dobytek i przejrzałem dokumenty, które dotyczyły prowadzonych przezeń śledztw. W celi nie znalazłem nic interesującego, jako że trzymał tam tylko skromne bagaże przewidziane regułą: trzy zimowe tuniki i płaszcz, zapasowe rajtuzy i skarpety oraz bieliznę, trzy książki, które posiadał niemal każdy z nas, kto dążył do osiągnięcia wyższego poziomu nauki – *Historia Scholastica* Piotra Comestara, *Sentencje* Piotra Lombarda i *Pismo Święte*. Jego szkaplerz i tunika, czarny płaszcz i skórzany pas, nóż, sakiewka i chustka do nosa... te, oczywiście, zniknęły.

Znalazłem i rozłożyłem balsamy i kordiały przygotowane dla niego przez brata infirmariusza, jak również zapachową świecę, która miała podobno wywierać zbawienny skutek na bóle głowy i pieczenie oczu. Poduszeczkę ziołową dałem biednemu Sicardowi. Zaniedbałem Sicarda w swej opowieści, ale jego rola jest jedynie pomniejsza. Wstąpił do zakonu jako oblat i miał wiele wartościowych cech człowieka, który dopiero co przeżył dzieciństwo w klasztorze: ściszony głos, wilczy apetyt, nieduży garb i pewien zachłanny szacunek do ksiąg. (Brat Lucjusz, nasz skryba, był podobnie wyposażony). Chociaż Sicard nigdy nie zrobił na mnie wrażenia młodzieńca o wielkim intelekcie czy też zaletach, służył jako skryba ojcu Augustynowi lojalnie i sprawnie i był do głębi wstrząśnięty jego śmiercią. Trzymałem go więc przy sobie przez kilka dni po tym wydarzeniu, tak jak się chroni osieroconego kociaka, i pozwoliłem mu zatrzymać poduszkę ojca Augustyna, wiedząc, że da mu ona nieco pocieszenia. Uczyniłem to za aprobatą przeora, który wkrótce przejął ode mnie Sicarda. Pod koniec miesiąca był już pomocnikiem brata bibliotekarza i sypiał o wiele więcej niż pod pieczę ojca Augustyna.

Ten nigdy nie zostanie kaznodzieją. Nie ma po temu zdolności.

Ale mówiłem o dobytku ojca Augustyna. Uprzątnąwszy jego celę, przeszedłem do sprawdzania biurka i skrzyni z dokumentami w siedzibie Świętego Oficjum. Tu znalazłem

cztery rejestry z czasów ojca Jakuba: w każdym były dopiski wszędzie, gdzie pojawiały się nazwiska Emery Ribaudin, Bernard z Pibraux, Rajmund Maury, Oldryk Capiscol, Petrona Capdenier i Bruna z Aguilar. Znalazłem też stary rejestr, oznaczony w kilku miejscach, który zawierał całą powieść skruszonego Oldryka Capiscola.

Czterdzieści trzy lata temu, jako trzynastolatek, Oldryk wielbił Doskonałego na żądanie swego ojca. Trzy lata później ktoś obecny przy adoracji rzucił oskarżenie na Oldryka, który został osadzony w więzieniu na dwa lata; po wyjściu na wolność musiał znosić *poena confusibilis* – poniżającą karę, podczas której pokutnik musi nosić szafranowe krzyże na piersi i plecach. Oldryk nosił haniebne insygnia przez rok, ale kiedy zdał sobie sprawę, że uniemożliwiają mu one zdobywanie środków do życia, zdał je i znalazł zatrudnienie jako wioślarz. Nie trzeba mówić, że tak łatwo nie mógł ująć karze. „Wiedźcie, że grzech wasz pochwyti was”. Kiedy znaleziono go i wezwano przed trybunał w 1283 roku, uciekł, lękając się gniewu Świętego Oficjum – co w konsekwencji skończyło się dla niego ekskomuniką. Pozostając przez rok pod karą kościelną, zadeklarował się jako heretyk w 1284 roku. W 1288 został w końcu schwyty, ale uciekł w drodze, po czym znowu go złapano w pobliżu Carcassonne. Wymierzono mu karę dożywotniego więzienia o chlebie i wodzie.

Zadziwiło mnie to, wiedziałem bowiem, że gdyby to ojciec Jakub przewodził *auto da fé*, skazałby go na śmierć. Na marginesie ojciec Augustyn zanotował, że w chwili obecnej żaden Oldryk Capiscol nie przebywa w więzieniu, z czego wynika – skoro nie ma żadnej wzmianki o kolejnej ucieczce – że musiał umrzeć w niewoli pomiędzy rokiem 1289 a dniem dzisiejszym.

Oldryka nie można więc winić za śmierć ojca Augustyna – chociaż zastanawiałem się niespokojnie, czy aby nie miał następców, którzy nosili w sobie nienawiść do Świętego Oficjum. Żaden z Capiscolów, których znałem, nie wydawał się mieć zajadłego usposobienia; byli handlarzami drobiu, a wszyscy znani mi handlarze drobiu (tak często zajmujący się dekapitacją ptactwa) prezentują nad wyraz spokojne usposobienie, być może dlatego, że mają sposobność ulżyć złym humorom na żywym inwentarzu. Zdałem sobie jednak sprawę, że może istnieć jakaś nieznana mi gałąź rodziny, i kiedy siedziałem tak przy biurku swego zwierzchnika, wertując powoli zakurzone akta pełne dawnych nazwisk i występków, zdjęła mnie wielka bojaźń. Czyż w Lazet była chociaż jedna osoba, której nie dotyczył nasz niestrudzony pościg za zbłąkanymi duszami? Jak można było wyszukać i zidentyfikować zabójców, skoro tylu ludzi miało powód nienawidzić – albo bać się – zmarłego? Wilhelm Arnold i Stefan z Saint-Thibery zostali zabici w Awinionie przez heretyckich żołnierzy, z których wielu nie znało swoich ofiar, a przebyli daleką drogę z Montsegur tylko po to, aby zamordować tych dwóch orędowników Wiary. Czy podobny los spotkał ojca Augustyna? Czy jego zabójcy byli po prostu heretykami niezwiązanymi bezpośrednio z człowiekiem, którego tak brutalnie zamordowali?

Ale wtedy przypomniałem sobie, że sprawcy wiedzieli, gdzie i kiedy uderzyć. Do przygotowania zasadzki niezbędne było zaplecze w pobliżu Casseras – albo informator w

domostwie biskupa. Jeśli śledztwo seneszała będzie gruntowne, na pewno ujawni jakieś nazwisko albo rysopis. Tymczasem na mnie spoczywał obowiązek dostarczenia listy nazwisk, którą można by dopasować do tego, co odkryje seneszał.

To właśnie starałem się uczynić w ciągu dwóch dni przed jego powrotem. I zacząłem od podejrzanych o przekupstwo.

Ze wszystkich tych podejrzanych tylko jednego, Bernarda z Pibraux, aresztowano i wtrącono do więzienia z polecenia ojca Augustyna. Rajmund Maury został natomiast wezwany do stawienia się przed trybunałem za pięć dni. Rozumowanie ojca Augustyna przedstawiało się dla mnie jasno w tym względzie – mniejsze było bowiem prawdopodobieństwo, że zniknie piekarz z dziewięciorgiem dzieci niż energiczny, nieżonaty młody pan wielkiego rodu bez (o ile mogłem wnosić z różnych zeznań) żadnych perspektyw odziedziczenia rodzinnego majątku. Prawdę mówiąc, żaden z podejrzanych mężczyzn nie wydawał się posiadać zbyt wielu dóbr doczesnych, i początkowo zastanawiałem się, jak mieliby znaleźć środki na przekonanie ojca Jakuba, by ich pominął w śledztwie. Ale ojciec Bernarda z Pibraux kochał syna do szaleństwa, a przypomniałem też sobie, że krewni żony Rajmunda byli całkiem dobrze sytuowaną rodziną kuśnierzy. Większość ludzi chętnie zapłaciłaby sporą sumę za to, by u niknąć niesławny heretyckich koneksji. To jest bowiem skaza dziedziczna.

Sprawdzając akta ojca Jakuba, zaznajomiłem się z pierwotnymi oskarżeniami przeciwko Bernardowi z Pibraux i Rajmundowi Maury. Oba nazwiska wspomnieli świadkowie wezwani w zupełnie innych sprawach. Jeden z nich słyszał, jak pewnego dnia Rajmund rzucił u siebie w sklepie, że „muł ma duszę równie dobrą jak człowiek”. Inny świadek widział, jak Bernard z Pibraux kłania się Doskonałemu i daje mu trochę żywności. Żaden z tych incydentów nie stał się przedmiotem śledztwa ojca Jakuba, mimo to ojciec Augustyn przesłuchał Bernarda, który utrzymywał, że nie miał rozeznania co do tożsamości Doskonałego. Poznał tego głosiciela fałszywej doktryny w domu swego przyjaciela, pokłonił mu się, ale bez grzeczności, i dał mu trochę chleba, którego sam nie chciał. Bernard zaprzeczył, jakoby miał kiedykolwiek dawać ojcu Jakubowi jakieś pieniądze, z jakiegokolwiek powodu.

W sprawach takich jak ta bardzo trudno rozeznaczyć, co jest prawdą. Ojciec Augustyn przesłuchał wielu świadków, żaden z nich nie był w stanie przypisać Bernardowi innych poczynań, które można by określić jako odbiegające od zwyczajnych. Młody człowiek uczęszczał do kościoła, chociaż niezbyt regularnie: proboszcz skrytykował go tymi słowami: „Bezmyślny młodzieniec, nieumiarkowany w picu i często zaniedbujący kwestie zbawienia duszy tak jak wielu jego współmieszkańców. Należy do niewielkiej grupy przyjaciół, którzy zachowują się w podobny sposób. Nie mogę przekonać ich, żeby zostawili w spokoju młode panny”. W swój zwykle skuteczny sposób ojciec Augustyn zadbał o zebranie nazwisk „niewielkiej grupy przyjaciół”. Należeli do niej: kuzyn Bernarda, Guibert, Szczepan, syn kasztelana z sąsiedztwa i Otto, syn miejscowego notariusza. Zastanawiałem się, czy mieli

żywiolowe usposobienie i poszedłem zapytać Ponsa, czy Bernarda z Pibraux odwiedzali jacyś rówieśnicy.

– Nie – powiedział Pons. – Tylko jego ojciec i brat.

– Czy ojciec ręczył za brata?

– Nie było potrzeby – Pons uśmiechnął się lekko, a wierzcie mi, to rzadki widok. – Ci trzej są ulepiani z tej samej gliny.

– Jak oni wyglądali? Czy sprawiali wrażenie wściekłych? Czy było coś zagadkowego w ich zachowaniu?

– Zagadkowego?

– Czy wyglądali jakoś niecodziennie?

Pons zmarszczył brew. Podrapał się po brodzie.

– Każdy, kto tu wchodzi, wygląda na przerażonego – wskazał. – Myśli, że już stąd nie wyjdzie.

To była słuszna uwaga. Nie pomyślałem, że przecież w większości ludzi więzienie nie budzi miłych wrażeń.

– Ale co z Bernardem? – zapytałem. – Jak znosi więzienie?

– Och, mogę wam opowiedzieć. Bernard ma szatański charakter. Nigdy się nie zamyka. Mogłem wylać na niego trzy wiadra wody, a i tak nie pomagało. Niektórzy więźniowie się skarżyli.

– Więc jest gwałtowny?

– Byłby, gdybym mu pozwolił. Jednego razu wsadziłem go w kajdany, to go trochę uspokoilo.

– Rozumiem.

Z tymi informacjami wróciłem do swojego biurka i oddałem się rozmyśleniom. Wyglądało mi na to, że nie sposób ustalić, czy Bernard jest winny czy niewinny, pozdrawiając Doskonałego – o ile sam się nie przyzna do heretyckiego czynu. Ojciec Augustyn musiał myśleć tak samo, jako że z wielką starannością przepytwał Bernarda o nazwiska wszelkich wrogów, którzy mogli źle mu życzyć. Ta procedura, zmierzająca do aresztowania fałszywych świadków, jest pożyteczna, jeśli trudno ustalić winę podejrzanego. Ale skoro Bernard nie podał nazwisk świadków odpowiedzialnych za oskarżenie go, nie było podstaw do podejrzewania zmywy.

W obliczu tego dylematu, zastanawiałem się, co by zrobił ojciec Jakub. Miałby alternatywę. Głodem wymusiłby z Bernarda zeznanie, potem zaleciłby łagodny wyrok, albo zignorowałby całą sprawę. W przeszłości raz czy dwa sam widziałem, jak lekcewał doniesienia o pewnych nieprawościach – „z braku dowodów”. I nie jestem przekonany, że moim zwierzchnikiem powodowała żądza korzyści materialnych, a nie miłosierne serce. „Jeśli człowiek decyduje się nie zabić kuraka dla swojej macochy – spierał się przy pewnej okazji –

nie znaczy to, że jest heretykiem. Ta kobieta to jędza i złośnica. Kto by dla takiej poświęcił dobrą, tłustą kurę? Powiedz jej, żeby sobie poszła”.

Nigdy nie powiedziałem ojcu Augustynowi o tych małych odstępstwach, jako że nie były one częste, dotyczyły ludzi, których nie stać na rogatkowe (a co dopiero na łapówkę) i na ogół zdarzały się, kiedy ojciec Jakub czuł się szczególnie udręczony. Prawdę mówiąc, pochwaliłbym go za jego miłosierdzie, gdyby nie to, że zdarzały mu się też najbardziej przykre ataki mściwości. Moim zdaniem fakt, że błąd Bernarda z Pibraux został zignorowany, nie był niczym niezwykłym, jeśli chodzi o zachowania ojca Jakuba.

W wypadku Rajmunda Maury wiedziałem jednak, że coś jest nie tak. Jeśli ktoś mówi, że muła ma dusze równie dobrą jak człowiek, oznacza to, że wyznaje katarski dogmat, wedle którego dusze ludzi i stworzeń zostały zabrane z Królestwa Światła przez Boga Ciemności i umieszczone w cielesnych powłokach, póki nie zostaną zbawione. Możliwe, że ktoś chciał obrazić wroga stwierdzeniem w rodzaju: „On ma duszę muła i moralność szczura” albo czymś podobnym i że ta obelga została źle usłyszana albo opacznie zrozumiana. Ale ojciec Augustyn, przestuchując pewnych przyjaciół i znajomych Rajmunda Maury, wyciągnął od nich dalsze dowody, że rzeczony piekarz był wyznawcą błędnych doktryn. Jeden sąsiad, informując Rajmunda, że zamierza udać się na pielgrzymkę, aby zdobyć odpust, usłyszał w odpowiedzi: „Wierzysz, że jakkolwiek człowiek może odpuścić ci grzechy? Jedynie Bóg może to uczynić, mój przyjacielu”. Inny znajomy pamiętał, że jak szedł do kościoła Świętej Marii z Montgauzy, by modlić się o odzyskanie skradzionych dóbr, spotkał po drodze Rajmunda Maury, który szydził z jego zamiarów. „Modlitwy nic ci nie dadzą” – miał powiedzieć.

Jak widzicie, ojciec Augustyn zebrał obciążające dowody przeciwko Rajmundowi – a uczyniwszy to, powziął poważne wątpliwości co do ojca Jakuba. Wyglądało na to, że uczciwość dawnego inkwizytora rzeczywiście była mocno wątpliwa, dlaczego bowiem Rajmund Maury nie został aresztowany dawno temu? Nie mogłem uwierzyć, że oczywista ślepotą ojca Jakuba wywodziła się z miłosierdzia, bez względu na to, ile dzieci miał Rajmund. W takich wypadkach miłosierdzie powinno dojść do głosu w chwili orzekania kary. Nie. Kiedy przeczytałem te zeznania, byłem już pewien, że jakaś sprzeczna z prawem opłata przeszła z ręki do ręki.

Przykro to wyznać, ale nie byłem zaskoczony. Zdumiał mnie natomiast dokument, który znalazłem w jednym z rejestrów. Kiedy przestudiowałem go starannie, stwierdziłem, iż jest to list, ale nie poznałem, czyją ręką został napisany.

Chociaż nie potrafię wiernie odtworzyć tekstu epistoły, przypominam sobie taki mniej więcej jego kształt:

Jakub Fournier, Biskup, z łaski Boga sługa uniżony Kościoła Pamiers, do swego czcigodnego syna, brata Augustyna Duése, inkwizytora heretyckiej nieprawości, śle pozdrowienia w umiłowaniu Boga.

Z radością odebrałem Twój łaskawy list. Co do kwestii, w której potrzebujesz porady: czy będzie to zarówno znawstwo, jak i miłość, jeśli powiem, że mogę wspomóc mojego drogiego syna wartościową wskazówką. Piszesz o młodej kobiecie, wielkiej urody i wartości duchowej, „którą zawładnęły demony”; szukasz inwokacji, dzięki którym zostałaby oswobodzona od tego przekleństwa. Rzeczywiście, jak przypuszczałeś, mam w bibliotece książki opisujące takie egzorcyzmy, ale zanim spróbujesz odprawić rytuały tej natury, zachęciłbym cię, byś skrupulatnie sprawdził te osobę i objawy jej choroby. Czy jest to, jak mówisz, przypadek zawładnięcia, czy też chwila słabości, wywołana przez jakiegoś wroga szkolonego w diabelskich sztuczkach? Sam Doktor Anielski przestrzegł nas przed starymi kobietami, które potrafią rzucić urok, szczególnie na dzieci – ale są też inni, jeszcze bardziej niebezpieczni, sprawni w zaklinaniu „piekielnych królów”, o których wiem niewiele. Upewnij się, że przywdziałeś zbroję wiary i odwagi, zanim dobędziesz miecza na takiego wroga.

Jeśli chodzi o formułę wypędzania demonów, brzmi ona tak: *Niech ta osoba trzyma świecę, siedząc albo klęcząc; kapłan powinien zacząć od „Nasza pomoc jest w imię Pana”, a obecni niech śpiewają odpowiedzi. Potem niech kapłan pokropi osobę wodą święconą, obwiąże stulą jej szyję i wyrecytuje psalm siedemdziesiąty „Racz mnie wybawić, Boże” – i niech kontynuuje litanie za chorych, mówiąc w Inwokacji Świętych: „Módl się za niego i bądź łaskawy: wybaw go, Panie”.*

Potem zaczyna egzorcyzm, który ma być wyrecytowany tak: *„Uwalniam cię, boś słaby, lecz odrodzony przez chrzest święty, w imię Boga w Trójcy jedynego, Boga prawdziwego, Boga, który zbawił cię swoją krwią. To on cię oswobodzi, wszystkie iluzje i podłości szatana opuszczą cię i każdą duszę, co zbłądziła od Niego, który nadejdzie sądzić żywych i umarłych i który ziemię oczyści ogniem. Amen...”*

Nie przytoczę formuły w całości, ponieważ nie ma ona znaczenia dla mojej opowieści. List kończył się pełnym szacunku pozdrowieniem (Niech pokój naszego Pana Jezusa Chrystusa będzie z wami et cetera) i prośbą o kopie pewnych akt, które także nie są związane z tą historią. List nosił datę sprzed niespełna trzech tygodni.

Powiedziałem, że zdumiał mnie ten list, ale za mało powiedziane: byłem tak wstrząśnięty, że niemal spadłem ze stołka. O jakiej to młodej kobiecie wielkiej urody i wartości duchowej pisał ojciec Augustyn? Na pewno nie chodziło o żadną z niewiast, które spotkałem. Może to jedna z mieszkanki forcji – córka wdowy na przykład. Ale dlaczego

ojciec Augustyn miałby kłopotać się jej schorzeniami? Demony, czy to przywołane, czy władające nieoświeconą duszą, nie należały do spraw Świętego Oficjum. Papież Aleksander IV szczególnie przestrzegał inkwizytorów, żeby nie zajmowali się sprawami wieszczania (i temu podobnych), o ile jawnie nie noszą znamion herezji.

Jeśli chodzi o podaną formułę, nie wiem, jak miałyby w ogóle posłużyć mojemu zwierzchnikowi, skoro nie był on kapłanem. Powinien właściwie porozmawiać z którymś księdzem, zanim zwrócił się do biskupa Pamiers. To tylko jedna spośród wielu zagadek. Wiedziałem jednak, że ojciec Augustyn nie mógł sam napisać do biskupa, słaby wzrok nie pozwalał mu na to – poszedłem więc do Sicarda i zapytałem go o list.

– Tak – powiedział, mrugając swoimi wielkimi, bladymi oczyma. (Sprawdzał, czy w pewnych tomach *Summów* Tomasza z Akwinu nie ma robaków). – Pamiętam, że go przepisywałem. Ojciec Augustyn posłał go do Pamiers z innymi dokumentami, ale o nie zapytajcie brata Lucjusza.

– Co było w tym liście? Przypominasz sobie?

– Było w nim o kobiecie. I o diable w tej kobiecie.

– Wiesz, kim ona jest? Czy on wspominał jej imię?

– Nie.

Czekałem, ale szybko zdałem sobie sprawę, że aby dowiedzieć się czegokolwiek więcej, musiałbym to z niego wyrwać jak ząb. Sicard zawsze był taki – dyscyplina klasztoru wyszkoliła go zbyt dobrze. A może to ojciec Augustyn wymagał od niego, by mówił tylko wtedy, kiedy jest o to proszony, odpowiadał jedynie na zadane pytania i nie wyciągał żadnych wniosków, dopóki nie nadejdzie czas po temu, czyli kiedy osiągnie wysoki poziom dojrzałości i wykształcenia.

– Sicardzie – zapytałem – czy ojciec Augustyn wspominał, gdzie ona mieszka albo z kim mieszka? Czy podawał jakikolwiek szczegółowy opis? Zastanów się.

Sicard, posłusznie, zastanowił się. Posłał górną wargę. Jego delikatne palce bawiły się nerwowo piórem, kiedy potrząsnął głową.

– Powiedział tylko, że jest młoda. I wielkiej wartości duchowej.

– I tobie nie przedstawił żadnego wyjaśnienia?

– Nie, ojczu.

– I nigdy nie przyszło ci do głowy, żeby go o jakieś poprosić?

– Och, NIE, ojczu! – Sicard wyglądał na wstrząśniętego. – Dlaczego miałbym to robić?

– Bo byłbyś ciekaw. Na pewno byłeś ciekaw, prawda? Ja bym był.

Biedny chłopiec wpatrywał się we mnie, jakby słowo „ciekaw” było mu obce i nie miał ochoty się z nim zapoznawać. Zrozumiałem zatem, że ojciec Augustyn wybrał skrybę bardzo rozważnie. Zdecydował się na kogoś, kto był całkowicie dyskretny, z natury uległy, niestety, mało spostrzegawczy – i z wszystkich tych względów niemal niezdolny do wyjawienia tajemnic Świętego Oficjum. Zostawiłem go więc, ze słowem dodającym otuchy, i wyszedłem

na komplecie, wciąż dumając nad nadzwyczajnym listem, który zdecydowałem się (mądrze, jak się okazało) trzymać w sekrecie, aż do tej chwili.

Powziąłem jednak ciche postanowienie, że odwiedzę kobiety w Casseras, aby upewnić się, że wszystko tam się przedstawia należycie. Miałem jednak opory, by uczynić to przed powrotem seneszała; chciałem usłyszeć jego raport, zanim podejmę jakiegokolwiek dalsze decyzje.

Tak się złożyło, że wrócił następnego dnia, nie mogłem więc podać mu swojej listy podejrzanych. Nie zdążyłem nawet przesłuchać Bernarda z Pibraux. Może zanadto ufałem swoim możliwościom, ale szczerze mówiąc, nie spodziewałem się, że seneszał wróci tak szybko. Wydaje mi się, że gdybym to ja był odpowiedzialny za śledztwo, poruszałbym się wolniej i ostrożniej.

Wszyscy zapewne mamy swoje sposoby pracy.

Pisałem listy, kiedy przywieziono ciała. Przyszło mi do głowy, że powinienem porozmawiać z trzema serdecznymi towarzyszami Bernarda z Pibraux – Szczepanem, Ottonem i Guibertem – aby ustalić, jeśli zdołam, miejsce ich pobytu w dniu zamordowania ojca Augustyna. Co najmniej dwóch z nich mogło mieć wprawę w sztuce wojennej, a jako że byli młodzi, w gorącej wodzie kąpani i nie wylewali za kołnierz, miałem podstawy wierzyć, że zagrzali się nawzajem do dokonania straszliwej zemsty na sprawcy upadku ich przyjaciela. Moje przypuszczenia były tym silniejsze, że wierzyłem w niewinność Bernarda z Pibraux. Banda dzikich, porywczych młodzieńców przekonanych, że ich przyjaciel został niesłusznie uwięziony, na pewno mogła doprowadzić się do ślepej furii na tyle wielkiej, by doprowadziła ich do tak potwornej zbrodni.

Oni byli głównymi podejrzаныmi.

Może nie wiecie, że wzywając kogoś do stawienia się przed trybunał, trzeba przestrzegać procedury i formalności. Piszę się do ich proboszcza w ten sposób: *„My, inkwizytor heretyckiej nieprawości, ślemy pozdrowienia, nakazując Wam i surowo pouczając, na mocy sprawowanej przez nas władzy, będziecie wezwali w naszym imieniu takiego to a takiego, by zjawił się tego i tego dnia w takim i takim miejscu, by odpowiadać za swoją wiarę”*. W tym wypadku oczywiście wymieniłem trzy nazwiska i zażądałem, by stawili się przede mną w różnym czasie, w różnych dniach – jako że chciałem przepytac każdego z nich z osobna.

Zapieczętowałem ten list i ostrzyłem pióro, by przygotować następny (wzywający ojczyzna Rajmunda Maury), kiedy rozległo się pukanie do drzwi wejściowych. Ponieważ były zaryglowane od środka – taki mieliśmy w siedzibie zwyczaj – wstałem i poszedłem je odemknąć. Na progu stał Roger Descalquens.

– Panie! – zakrzyknąłem.

– Ojciec. – Był zlany potem i pokryty kurzem; w prawym ręku trzymał cugle swego rumaka. – Weźmiecie te beczki?

– Co?

– Ciała są w beczkach – wyjaśnił, wskazując na konie za sobą. Do każdego z rumaków przywiązano sznurami dwie małe drewniane beczki. W obstawie stało sześciu czy siedmiu zmęczonych sierżantów, a wszyscy nosili ślady ciężkiej jazdy. – Są zasolone.

– Zasolone?!

– Włożono je do solanki. Żeby się zachowały.

Przeżegnałem się, a dwóch sierżantów poszło w moje ślady.

– Pomyślałem, że będziecie chcieli, abym je przywiózł prosto tutaj – ciągnął seneszał. Głos miał schrypnięty, a oddech ciężki. – Chyba że macie inny zamysł?

– Och... hmm...

– Cuchną naprawdę niemożebnie, ostrzegam.

W tym momencie wyłonił się ze skryptorium zawsze czujny Rajmund Donatus; słyszałem go za sobą, jak wydaje odgłosy znamionujące, że jest wstrząśnięty.

– Trzeba będzie je zbadać – wyjąkałem. – Powiniennem zapytać naszego brata infirmariusza.

– Chcecie je zabrać do klasztoru?!

– Nie! Nie... – Myśl o tych makabrycznych szczątkach bezczeszczących i zakłócających spokój klasztoru napawała mnie wstrętem. Wiedziałem, jak bardzo by poruszyły wielu moich braci. – Nie, zabierzcie je... wiem. – Przypomniałem sobie puste stajnie pod swoimi nogami. – Zanieście je na dół. Tędy. Rajmundzie, pokażesz im drogę? Ja idę po brata infirmariusza.

– Jan może to zrobić. Ja muszę porozmawiać z wami! Janie! Słyszałeś. – Seneszał skinął na jednego z sierżantów. – Arnoldzie, ty będziesz pilnował rozładunku. Gdzie możemy porozmawiać, ojczce?

– Tutaj.

Weszliśmy do pomieszczenia wcześniej zajmowanego przez mojego zwierzchnika. Poprosiłem seneszała, by usiadł, a widząc, jak pada na krzesło inkwizytora, zaproponowałem, by się odświeżył. On jednak machnął ręką na tę sugestię.

– Tym się zajmę już w domu – odparł. – Proszę mi teraz powiedzieć, czy coś się wydarzyło pod moją nieobecność? Dowiedzieliście się czegoś, co mogłoby nam pomóc?

– Ach. – Było oczywiste, że nie przywiózł dobrych wieści. – Chciałem zadać wam to samo pytanie.

– Ojczce, nie jestem ogarem. Nie mam nosa do takich spraw. – Westchnął, patrząc na swoje piękne hiszpańskie buty. – Mogę jedynie powiedzieć, że gdyby mieli z tym coś wspólnego wieśniacy, to musieliby wszyscy. Co do jednego.

– Powiedzcie mi, co udało wam się zrobić.

Tak też uczynił. Powiedział mi, że jego sierżanci przetrząsnęli Casseras, szukając ukrytej broni, koni i odzieży. Że wszystkich wieśniaków przepytał, co robili tego popołudnia, kiedy

zginął ojciec Augustyn. O ile sobie przypominam, pomiędzy ich relacjami nie było żadnych rozbieżności.

– Nie ma tam nic. Tego dnia nikt nie widział żadnych obcych. Nikt nie żywi urazy do Świętego Oficjum. I nikt nie był poza domem tej nocy – co jest prawdopodobnie najważniejszą rzeczą, jakiej się dowiedziałem.

– Dlaczego?

– Ponieważ znaleziono więcej szczątków. – Okazało się, że w trakcie pobytu seneszała w Casseras w pewnej odległości od wioski dokonano dwóch znaczących odkryć. Pewien pasterz znalazł kawałek ciała wysoko w górach i przyniósł go do Casseras, chcąc go oddać najbliższemu księdzu. Znaleziono też głowę w pobliżu wioski, przy drodze do Rasiers. Tamtejszy ksiądz słyszał o masakrze w Casseras i dlatego z pośpiechem wysłał głowę do Estolta z Couze. Estolt z kolei przesłał ją Rogerowi.

– Szczątki zostały rozrzucone daleko i szeroko – wskazał seneszał. – Ramię znaleziono dobry dzień drogi piechotą od Casseras, gdyby więc zostawił je ktoś z wioski, na pewno byłby nieobecny tamtej nocy...

– Nawet gdyby jechał konno?

– Nawet wtedy, musiałby bowiem wrócić piechotą, ponieważ w Casseras nie ma koni, ojcze.

– Rozumiem.

– Doprawdy? Ja chciałbym rozumieć. Wydaje się, że mordercy rozdzielili się i udali w różnych kierunkach.

– Rozrzucając po drodze krwawe szczątki.

– Czy to ma dla was jakiś sens?

– Obawiam się, że nie ma najmniejszego.

– Przynajmniej wiemy, że jest ich dwóch – a niechybnie więcej – i że nie pochodzą z wioski. Jestem pewien, że nie są z wioski. Musieli być bardzo wprawni w walce i przebyć wielkie odległości... Nie. Moim zdaniem przybyli skądinąd.

Podzieliwszy się ze mną swoim zdaniem, Roger zamilkł. Przez krótki czas siedział wpatrzony w swoje buty, najwyraźniej pogrążony w rozmyślaniach, a ja rozważałem w duchu jego argumenty. Wydawały się wystarczająco przekonujące.

Nagle znowu przemówił.

– Wiecie, ile to kosztuje? Wynajęcie grupy zabójców? – zapytał szorstko, a ja nie mogłem powstrzymać uśmiechu.

– Dziwnym trafem, panie, nawet nie zaryzykuję zgadywania.

– Cóż... to zależy, czego się chce. Do byle czego można chyba wynająć kilku włóczęgów. Ale sądziłem niedawno dwóch najemników, i im płacono piętnaście liwrów! Piętnaście! Na dwóch tylko!

– A skąd ktokolwiek w Casseras miałby wziąć piętnaście liwrów?

– No właśnie. Skąd? Powiedzmy, że opłata wynosiła dwadzieścia liwrow, za taką sumę można w Casseras kupić pół domu. Przypuszczam, że nawet Bruno Pelfort musiałby sprzedać dużą część swojego stada, a on jest najbogatszy w wiosce. A zresztą ksiądz mówi, że jego stado ostatnio się nie zmniejszyło.

– Więc o ile nie złożyli się wszyscy wieśniacy...

– ...ani nie dostali pieniędzy od kogoś takiego jak Estolt z Couze.

– Ale waszym zdaniem nie dostali?

– Nie widzę powodu. O ile wierzymy ojcu Pawłowi.

– A myślę, że wierzymy.

– I ja tak myślę. Czy ostatnio w Casseras nie było żadnych heretyków?

Pokręciłem głową.

– Przynajmniej żaden nie zwrócił naszej uwagi.

– A co z Rasierami?

– O Rasierach też nic do nas nie doszło.

– A co z tymi kobietami w forcji? Ojciec Paweł mówi, że inkwizytor pojechał tam udzielić im porady duchowej. Czy to prawda?

Zawahałem się, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Nie byłem pewien, co tu jest prawdą. Widząc mnie w takim wahaniu, seneszał przybrał bardzo zakłopotany wyraz twarzy.

– To na pewno nie była sprawa sercowa? – spytał. – Niektórzy wieśniacy mówili, że była...

– Mój panie, a czy to prawdopodobne?

– Chcę poznać wasze zdanie.

– Ja myślę, że to nieprawdopodobne.

– Ale nie niemożliwe?

– Myślę, że to bardzo nieprawdopodobne.

Nawet mówiąc to, wiedziałem, że nacisk kładziony na słowa i wyraz mojej twarzy, kiedy je wypowiadałem, były karygodnie pozbawione szacunku – sugerowały bowiem, że ktoś w wieku i o wyglądzie ojca Augustyna musiał wyrzec się wszystkich udręk miłości dawno, dawno temu. Ku mojemu zdumieniu jednak seneszał nie odpowiedział tak, jak się tego spodziewałem. Zamiast zareagować w sposób dwuznaczny – choćby z uśmiechem – zmarszczył się i podrapał po szczęce.

– Też bym myślał, że to nieprawdopodobne – powiedział – gdybym nie widział tych kobiet. Ich oczy są czerwone od płaczu. Mówią nieustannie o jego uprzejmości, pobożności i mądrości. To było bardzo... – Przerwał, a potem się uśmiechnął, ale niejako z oporami. – Widzicie, ojcze, gdyby one mówiły o was, zrozumiałbym to. Należycie do mnichów, nad którymi kobieta mogłaby płakać.

– Och! – Naturalnie roześmiałem się na głos, chociaż muszę przyznać, że mi schlebił, wybacz, Panie. – To komplement czy zarzut?

– Wiecie, co mam na myśli. Mówicie w taki sposób... ach! – Najwyraźniej czułem się nieswojo, odepchnąłem więc ten temat na bok szorstkim ruchem ręki. – Wiecie, co mam na myśli! Ale ojciec Augustyn był... prawdziwym mnichem.

– Prawdziwym mnichem?

– W jego żyłach nie było krwi! Był suchy jak kurz! Boże, wspomóż mnie, ojczcze, na pewno wiecie, co mam na myśli.

– Tak, tak, wiem, o czym mówicie. – To nie był czas na przekomarzenie się. – Myślicie więc, że afekt tych kobiet był szczerzy?

– Kto to może wiedzieć? Kobięce łyż... Ale myślałem, że gdyby ojciec Augustyn prowadził śledztwo w ich sprawie, i miałyby powód, by go zabić.

– A skąd miałyby wziąć środki?

– Sam nie wiem. One żyją bardzo skromnie, ale z czegoś żyć muszą. Z czegoś więcej niż kilka sztuk drobiu i ogród warzywny.

– Tak. Muszą – powiedziałem, myśląc o liście od Jakuba Fournier. Leżałem w pokoju obok i mogłem go wtedy przedłożyć seneszalowi. Dlaczego się zawahałem? Ponieważ jeszcze nie pokazałem go przeorowi? Może dlatego, że chciałem chronić reputację ojca Augustyna. Gdybym w trakcie swojej planowanej wizyty w Casseras odkrył, że miał on jakieś haniebne związki z tymi kobietami – które nie łączyłyby się z jego śmiercią – byłoby moim obowiązkiem ukryć przed światem jego niemoralne zachowanie. – Niestety, kobiety nie były obiektem śledztwa – oznajmiłem. – O ile wiem, ojciec Augustyn próbował przekonać je, by wstąpiły do klasztoru. Dla swego własnego bezpieczeństwa.

– Och.

– A gdyby chciały go odstraszyć, mogłyby to uczynić, nie uciekając się do dzielenia go na kawałki.

– Tak.

W tym punkcie zamilkliśmy, jakby wyczerpani, i pogrążyliśmy się w rozmyślaniach. Moje dotyczyły Bernarda z Pibraux i stosu niedokończonych prac na biurku. Myśli Rogera najwyraźniej dotyczyły stajni biskupa, jako że po chwili powiedział:

– Rozmawialiście może ze stajennym biskupa?

– Nie, a wy?

– Jeszcze nie.

– Gdybyśmy zdołali uzyskać informacje, kto wiedział o wizycie ojca Augustyna... poza Casseras...

– Tak.

– I potem porównali te nazwiska z nazwiskami wszystkich, którzy mogli czuć do niego urazę...

– Oczywiście. A wy możecie się też rozejrzeć wśród ludzi związanych z waszymi zabitymi familiarami... jeśli wspominali komukolwiek o swej podróży...

– Będzie bardzo dużo pracy do wykonania – westchnąłem. – To może potrwać tygodnie. Miesiące. I może okazać się bezowocne.

Seneszał odchrząknął.

– Gdybym wysłał wiadomość do każdego bajlifa, prewota i kasztelana w odległości trzech dni jazdy od Casseras, może znaleźliby się świadkowie, którzy widzieli uchodzących zabójców – tu pozwolił sobie na szerokie ziewnięcie. – Ci ludzie musieli się zatrzymać i obmyć z krwi. Może ktoś znalazł jednego ze skradzionych koni.

– Może.

– Mordercy mogli się nawet przechwalać tym, co uczynili. To się często zdarza.

– W Bogu nadzieja, że tak było.

Znowu zmęczenie zdało się ogarnąć nas jak mgła. Niewątpliwie powinniśmy zakończyć rozmowę, wstać z krzesel i ruszyć do obowiązków. Zamiast tego po prostu siedzieliśmy, a pokój powoli wypełniał się zapachem końskiego potu. Pamiętam, że patrzyłem na swoje ręce pokryte atramentem i woskiem do pieczętowania.

– Cóż – powiedział w końcu Roger, niemal z jękiem, jakby podjęty wysiłek był ponad jego siły. – Chyba powinienem pójść porozmawiać ze stajennym biskupa. Wezmę te nazwiska, o których mówiliście. I opis zaginionych koni.

– Biskup był bardzo zmartwiony z powodu tych koni. – Obawiam się, że moje słowa podszyte były uszczypliwością, ale seneszał zareagował jedynie na treść mojej wypowiedzi, nie na jej ton.

– Pięć z nich zginęło? – powiedział. – Ja też bym się zmartwił. Zastąpienie ich będzie kosztowało fortunę. Zamierzacie zająć się ciałami, ojcze?

– Oczywiście – zapewniłem go, podnosząc się, kiedy on wstał.

Zza zamkniętych drzwi dobiegało mnie szuranie, pomruki i zgrzyty, wskazujące, że beczki ze szczątkami ojca Augustyna (i jego towarzyszy) były przenoszone do stajni. Czyżbym słyszał głuchy plusk solanki o drewno? Zrozumiałem nagle, że będę musiał osobiście sprawdzić makabryczną zawartość tych pojemników – a to zadanie wywołało we mnie wielką niechęć.

– Panie? – powiedziałem, zatrzymując Rogera na progu. – Jeśli nie macie nic przeciwko temu, odwiedzę Casseras w najbliższym czasie. (Składając tę prośbę, wiedziałem, że muszę postępować ostrożnie, by nie urazić go czymś, co mógłby odebrać jako brak poszanowania dla swoich metod). – Jako że lepiej znam symptomy wskazujące na obecność herezji, może odkryłbym jakieś ślady, które wam mogły umknąć. Bez waszej winy.

– Wy? – Na obliczu seneszala odbiły się osłupienie i trwoga. To naprawdę wspaniałe, że człowiek może mówić bez słów – albowiem tak jak niebiańskie naczynia pełne zapachów są modlitwami świętych, tak zmiany cieni to język oblicza człowieka. – Wy pojedziecie? Ależ to głupota!

– Nie jeśli będzie mi towarzyszyć kilku waszych ludzi.

– Ojcu Augustynowi też towarzyszyli. Widzicie, co się z nim stało.

– Podwoiłbym strażę.

– Moglibyście postać po wieśniaków, to byłoby mniej niebezpieczne.

– Prawda. – Taka myśl przyszła mi do głowy. – Ale to by ich przestraszyło. Chcę, żeby mnie postrzegali jako przyjaciela. Żeby mi ufali. Poza tym nie mamy miejsca w więzieniu.

– Ojcie, na waszym miejscu przemyślałbym to raz jeszcze – ostrzegł Roger. Zamknął drzwi (które chwilę wcześniej otworzył) i położył dłoń na moim ramieniu, pozostawiając szary ślad na białym płótnie. – A jeśli was zarzną?

Próbowałem zbyć śmiechem jego zatroskanie.

– Ponieważ użyję waszych koni, panie, będzie przynajmniej wiadomo, że sprawca nie dostał informacji ze stajni biskupa – zażartowałem.

I w rzeczy samej, moje nastawienie było wyrazem lekkomyślnej odwagi, chociaż w głębi duszy drżałem. Albowiem, choć rozum mówił mi, że zabójcy ojca Augustyna są już daleko od miejsca zbrodni, moje serce przepętniał irracjonalny strach, który musiałem zdusić.

Niestety, jak może przewidujecie, moje pierwsze spojrzenie na szczątki ojca Augustyna jedynie lęk ten wzmogło.

Żeby go poznać

Amiel z Veteravinei jest infirmariuszem klasztoru. To niewysoki, żylasty, energiczny człowiek, mówiący szybko i krótkimi zdaniami. Jego czaszka jest całkowicie łysa, brwi natomiast aż nazbyt obfite, gęste i ciemne jak północny las. Jeśli chodzi o jego charakter, powiedziałbym, że brat Amiel nie jest tak życzliwy, jak można by się spodziewać po infirmariuszu; ma jednak niezwykłą wprawę zarówno w diagnozowaniu chorób, jak przygotowywaniu lekarstw. Wykazuje też głębokie zainteresowanie i ogromną sprawność w sztuce balsamowania.

O tej starożytnej umiejętności, dzięki której, przez użycie pewnych mikstur i tajemniczych technik, martwe ciało nie ulega zepsuciu, moja wiedza jest znikoma. Nigdy nie uznałem jej za temat pociągający. Dla brata Amiela z kolei jest ona źródłem żywej fascynacji, takiej jak ta, którą teolog może znaleźć w debacie nad istotą boskości. A zainteresowanie brata Amiela nie ogranicza się do teorii, ponieważ zaznajomiwszy się z różnymi rzadkimi i szacownymi tekstami (z czego niektóre zostały napisane przez niewiernych), często postępował wbrew etyce zawodowej i świeżo przyswojoną wiedzę praktykował na ciałach małych ptaków i innych zwierząt.

To do brata Amiela zwróciłem się więc, kiedy stawiałem czoło żalonym szczątkom pięciu zamordowanych mężczyzn. Nie znałem żadnej innej osoby, która miałaby na tyle wytrzymały żołądek, by pieczołowicie sprawdzić i rozpoznać każdą część ciała. Przybył niezwłocznie, niosąc kilka wielkich lnianych prześcieradeł i natychmiast zrozumiałem, że intuicja mnie nie zawiodła, jako że jego wzrok był jasny, a krok zdecydowanie ochoczy. Kiedy wszedł do stajni, rozpostarł prześcieradła na podłodze, jedno przy drugim, po czym podwinął rękawy jak człowiek, który ma przed sobą smakowity posiłek i nie chce, żeby jakakolwiek część jego stroju zbrukała się gęsim tłuszczem.

W tym momencie powinienem wam wyjaśnić, że stajnie już wcześniej w pewien sposób odpychały zapachem i widokiem, ponieważ przed dwoma laty Pons hodował tam świnie. Zwierzęta nie rozwijały się tu jednak dobrze, a dla nas, pracujących piętro wyżej, smród był ciężki do zniesienia. Zarznąwszy więc swoje cenne świnie (w jednym z koryt przeznaczonych

na wodę dla naszych nieistniejących koni), Pons porzucił marzenia o domowym bekonie, a do stajni zaglądano jeszcze rzadziej.

Skutkiem tego doskonale nadawały się do przechowywania zdekompletowanych ludzkich szczątków.

– Ach! – wykrzyknął brat Amiel, kiedy z pierwszej beczki wydobyl rozmoczoną część ciała.

– Kolano, na pierwszy rzut oka sądząc. Tak. Kolano.

– Ja... ekhm... wybaczcie mi, bracie... – Przyciskając do nosa skraj rękawa, tchórzliwie wycofałem się w kierunku schodów. (Ze stajni można było wyjść albo przez małe drzwi na schody, albo przez wielkie wrota na ulicę. Te były zawsze zaryglowane od wewnątrz). – Wróć, kiedy zakończycie swoje badanie.

– A to nie jest ręka ojca Augustyna. Znam jego rękę, ta jest o wiele większa.

Odwrociłem się, by odejść, ale brat Amiel powstrzymał mnie.

– Czekaście! – powiedział. – Dokąd idziecie?

– Ja... ja mam bardzo dużo pracy, bracie...

– Znaliście tych zabitych sierżantów? Musieliście znać. Oni tu pracowali, prawda?

– Znałem ich, ale bardzo, bardzo słabo.

– Więc kto znał ich dobrze? Potrzebuję pomocy, bracie Bernardzie, sam nie zdołam ich poskładać.

– Dlaczego nie? – Z ubolewaniem muszę przyznać, że w pierwszej chwili nie pojąłem, co ma na myśli. – Są dla was za ciężkie?

– Bracie, te szczątki muszą być roz-po-zna-ne.

– Och, tak. Oczywiście – powiedziałem szybko, ale kiedy spojrzałem na opuchnięty, sino-czarny przedmiot w jego dłoni, mój rozum nagle odzyskał siły. – Bracie, na pewno ten wysoki stopień rozkładu uchroni nas... Mam na myśli... Wątpię, by ktoś rozpoznał te części ciała, bez względu na to, jak dobrze znał ofiary.

– Niedorzeczność.

– Zapewniam was.

– Te włosy na ręku są czarne. Te na kolanie siwe. – Brat Amiel mówił protekcyjnie i nieco szorstko, jak do nierozgarniętego dziecka, ale mnie zbyt mocno zbierało się na wymioty, bym mógł podjąć wyzwanie. – Pewnych cech rozkład nie zatrze.

– Tak, ale musicie wziąć pod rozwagę naturalny wstręt. – Westchnąłem, zdając sobie sprawę, dokładnie w chwili, kiedy to mówiłem, że brat Amiel nigdy nie doświadczył żadnego wstrętu. – Widok tych szczątków... będzie dla ludzi mocno poruszający.

– Więc nie otrzymam żadnej pomocy?

– Bracie, nie możecie się niczego spodziewać. Ja was po prostu przestrzegam, to wszystko. – I wygłosiwszy tę przestrożę, wycofałem się w pośpiechu, by poszukać żony nieszczęsnego Gerarda Gantiera, a także innych familiarów, których można by przekonać, by badawczo się przyjrzeni temu, co pozostało z Gerarda i jego towarzyszy.

Kiedy wróciłem, przyprowadziłem ze sobą Ponsa. Z siedmiu pozostałych sierżantów naszego sztabu czterech zgodziło się raz zejść na dół, jako że tego wymagał plan ich służby, a trzech spało w domu po nocnej warcie. Wysłałem zmiennika Isarna, nowego posłańca, by przyprowadził Matewę Gantier. Bóg jeden wie, jak bardzo nie chciałem prosić jej o pomoc, ale wyglądało na to, że mam niewielki wybór.

– Jezusie Nazareński! – krzyknął Pons, wchodząc do stajni.

Pod moją nieobecność brat Amiel opróżnił beczki i rozłożył ich zawartość na prześcieradłach. Natychmiast zauważyłem, że niektóre kawałki zostały poukładane w zbiory przypominające nieco ludzkie postaci, z głowami leżącymi u szczytu płótna, a stopami u dołu.

Dostrzegłem tylko dwie głowy.

– Wielu kawałków brakuje – oznajmił brat Amiel, nie zaszczyciwszy nas choćby spojrzaniem. – Bardzo wielu. To znacznie utrudnia sprawę.

– Och, Jezu Chryste... – wymamrotał Pons. Dłoń przycisnął do ust, a był biały jak drugi koń Apokalipsy. Poklepałem go po ramieniu we współczującym geście.

– Może powinieneś poprosić żonę, żeby przyniosła tu jakieś ziele – podsunąłem. – Mocne ziele. Żeby zdusić ten odór.

– Tak, tak, natychmiast! – Nadzorca umknął pośpiesznie, tak że zostałem sam na progu. Potrwało trochę, zanim zebrałem się na odwagę, by wejść dalej. Brat Amiel po prostu mnie zignorował. Kucnął przy lampie olejowej, w jej świetle drobiazgowo sprawdzał każdy przerażający artefakt i dopiero kiedy przy nim stanąłem, odezwał się do mnie.

– Widzicie, znalazłem to, co zostało z ojca Augustyna – wskazał. – Głowy brakuje, ale znam dobrze jego ciało. Ręce miał tak zdeformowane, że nie sposób je pomylić z innymi. Stopy także... widzicie? Jest tylko jedna. To z pewnością górna część jego pleców. Pamiętacie, jak się garbił... widać te charakterystyczną krzywiznę. Jego ręce były bardzo chude i drżące.

Odwrociłem się.

– Z pozostałymi szczątkami będzie trudniej. Oczywiście mamy dwie głowy, co pomoże rozróżnić pewne typy dzięki gęstości i kolorowi włosów na ciele. Włosy ojca Augustyna są siwe, więc możemy dołączyć wszystkie siwe włosy do tej grupy. Mamy też włosy czarne i brązowe, przy czym te pierwsze są grube i twarde, drugie zaś zdają się delikatniejsze. Widzimy jednak również jakieś grubsze brązowe, i trzy ramiona z czarnymi włosami, trzeba więc wziąć pod uwagę różnice pomiędzy włosami rosnącymi na rozmaitych częściach ciała...

– Uch... bracie? Czy sądzicie, że to można było zrobić siekierą?

– Sądzę, że to musiało być zrobione siekierą. Spójrzcie, jak przecięte są kręgosłupy! Wątpię, czy można by to uczynić mieczem.

– Trzeba więc być bardzo silnym, żeby tego dokonać?

Brat Amiel zawahał się.

– Trzeba być na tyle silnym, by porąbać drewno – rzekł w końcu. – Widziałem dzieci rąbiące drewno, i brzemiennie kobiety. Ale kalek nie.

– Oczywiście.

– Dziękuję Ci, żeś mnie stworzył tak cudownie – wymamrotał brat Amiel. – Niedoskonałość moję widziały oczy twoje i w księgach twoich wszystkie będą napisane. Gdybyśmy mieli księgi Boże, bracie, zdołalibyśmy rozpoznać każdy kawałek.

– Bez wątpienia.

– Obawiam się, że trzeba będzie pochować ich w jednym grobie – mówił dalej infirmariusz – ale co ze zmartwychwstaniem? Jak ojciec Augustyn stanie przed sądem Boskim, skoro jego głowa leży gdzieś w górach, nie wiadomo gdzie?

– W rzeczy samej – mruknąłem, potem podniosłem głowy, jakby jego spostrzeżenie ucięło moje mdłości niczym czysty dźwięk dzwonu. Czy to mógł być powód porąbania ciała ojca Augustyna? Czy zamiarem zabójców było odmówienie mu zmartwychwstania?

Trudno mi było uwierzyć, że ktokolwiek mógł nienawidzić go tak gorąco.

– Gdyby zasolono je na sucho, byłbym o wiele szczęśliwszy – brat Amiel przeszedł do narzekań. – Zgniętego mięsa nie sposób właściwie zachować w solance. Ale śmiem twierdzić, że sól dostępna w Casseras mogłaby nie wystarczyć...

– Mhm... spróbuję rozpoznać głowy, bracie. – Trudno mi było na nie patrzeć i pomyślałem, że jeśli można je w ogóle rozpoznać, to po brodach. – To jest Gerard, a to Bertrand.

– Tak? To dobrze. A który był wyższy?

– Tego nie potrafię powiedzieć.

– Tu nam rozpaczliwie brakuje członków. Jest tylko pięć stóp.

Odór przyprawiał mnie już o zawrót głowy, ale wiedziałem, że wypada mi zostać, skoro tylko w taki sposób mogę ulżyć Matewie. Była drobną i delikatną kobietą, niedawno wyzdrowiała z gorączki; tak jak się obawiałem, widok głowy męża wstrząsnął nią niepomieranie i trzeba było wynieść ją ze stajni. Sierzanci też niewiele pomogli: jeden wymiotował na schodach (choć później utrzymywał, że zatrzał się nieświeżym jajkiem), a reszta najwyraźniej miała naturę mało spostrzegawczą, jako że na pytania brata Amiela reagowali z pustym wyrazem twarzy i gburowatymi prośbami o wybaczenie.

A jednak zadanie infirmariusza po części zakończyło się sukcesem. Do komplety podzielił szczątki na cztery grupy: jedna zawierała członki ojca Augustyna, druga Gerarda Gantiera, trzecia „szczątki czarnowłose” – których duża liczba była najbardziej myląca – a na ostatnią składała się głowa Bertranda Borrela oraz różne kawałki (w większości bezwłose), których nie sposób było dopasować. Każdy z tych zbiorów został zawinięty w osobne prześcieradło. Odniesiono je do klasztoru, a w stajni pozostały tylko beczki z solanką.

Wydałem polecenie, że mają pozostać tam, gdzie stoją, dopóki nie zapytam ich właścicieli, czy chcą je dostać z powrotem, czy też trzeba je po prostu zniszczyć. Nie wyobraziłem sobie, że ktoś będzie chciał te straszliwe beczki odzyskać, ale uznałem, że należy przestrzegać form. Tę kwestię łatwo będzie rozwiązać, kiedy odwiedzę Casseras.

Musiąłem jedynie zachować w pamięci tę pomniejszej wagi sprawę. Szczerze jednak wątpiłem, by wieśniacy spodziewali się zobaczyć znowu swoje beczki.

Co się tyczy mojej wizyty, byłem w stanie zebrać eskortę dwunastu zbrojnych z miejskiego garnizonu. Seneszał pożyczył mi nawet swojego konia bojowego, wielkiego, czarnego rumaka o imieniu Gwiazda. Wydał mi się on stworzeniem porażającej waleczności, wielkością przewyższając słońca, siłą byka, a szybkością tygrysa. Zanim jednak omówię, jak wyruszyliśmy w podróż, chciałbym zapisać dwie uwagi, które przyszły mi do głowy w ciągu trzech dni wcześniejszych. Pierwsza to uzupełnienie mojej teorii dotyczącej porąbania ciała ojca Augustyna; druga to całkowicie nowa teoria, która uderzyła mnie z siłą burzy nocą, kiedy leżałem na pościeli. Obydwie warte są rozważenia, jako że odmieniły moje spojrzenie na wydarzenia.

Muszę zacząć od uzupełnienia, które przyszło mi do głowy, kiedy rozmawiałem z biskupem. Raz jeszcze zaniedbałem ważne *effictio*, pomijając biskupa, który ze względu na samą pozycję już dawno temu powinien pojawić się osobiście w tej opowieści. Ale może już go poznaliście? Jeśli nie, pozwólcie, że przedstawię Anzelma z Villelongue, niegdysiejszego opata cystersów, obecnie prałata. Ma za sobą dwadzieścia lat sumiennego kształcenia, zna arkana sztuki, poezji i polowania, jest też zaufanym wielu wysoko postawionych lordów i dam (zwłaszcza dam), jego serce i dusza nie zniżają się do problemów miejscowej polityki, lecz kierują się ku daleko bardziej podniosłym sferom dyplomacji pomiędzy hrabiami a królami. Biskup Anzelm przewodniczy interesom swego stada z grzeczną i roztargnioną obojętnością, pozwalając legalnie wyznaczonym władzom, by działały, jak uważają za stosowne. Większość czasu spędza na pisaniu listów – i pewnego dnia prawdopodobnie zostanie wybrany na papieża. Jeśli chodzi o wygląd, biskup nie jest ani zbyt gruby, ani zbyt chudy, nie za wysoki i nie za niski. Nosi przedniej jakości stroje i spożywa delikatne jadlo. Ma miły, greczny uśmiech, piękne zęby i gładką, okrągłą twarz o jednolitej barwie.

Ma szczupłe ręce o krótkich palcach, przyciągających uwagę godną pozazdroszczenia kolekcją klejnotów. Trzeba mocno się naszukać, zapewniam was, żeby znaleźć pierścień biskupi do ucałowania. Jeśli wykażecie zainteresowanie tą ekspozycją, on wspaniałomyślnie przedstawi wam historię każdego okazu, przytaczając jego wartość, poprzednich właścicieli i drogi, którymi wszedł w posiadanie klejnotu – w większości wypadków dostał je w podarunku. „Ubogi bliźniemu swemu omierzły będzie, ale bogatych jest przyjaciół wiele”. Przyjaciele biskupa Anzelma stanowili legion i z dnia na dzień ich liczba rosła; niewielu jednak było miejscowego pochodzenia. Być może mieszkańcy Lazet zmęczyli się już próbami przyciągnięcia jego uwagi.

W trakcie spotkania z biskupem trzeba było, na przykład, omówić rozwlekłe różne cechy i słabości zaginionych koni, zanim seneszał i ja zdołaliśmy skierować rozmowę ku ważniejszym kwestiom. Siedzieliśmy w jego sali przyjęć, o ile pamiętam – na damasceńskich poduszkach leżących w rzeźbionych krzesłach – i nawet Roger Descalquens stracił cierpliwość do całej

tej paplaniny o pęcinach i łogawiznie, na długo zanim biskup wyczerpał swoje zainteresowanie tajnikami hodowli koni. (Zawsze się zastanawiałem: czy biskup jest nieczuły na nudę jedynie swoich podwładnych, czy też księżę Foix i arcybiskup Narbonne także żywo interesują się końmi i klejnotami). W każdym razie pamiętam, że kiedy opisywałem biskupowi Anzelmowi dokładny stan zamordowanych ludzi, on siedział ze zboląłym wyrazem twarzy – co jednak wyglądało raczej tak, jakby ugryzł kwaśne winogrono, niż jakby grzechy tego świata rozdzierały jego serce. Powiedziałem mu także, że większości ciała ojca Augustyna nadal nie ma, chociaż okazało się, że nieopodal wioski leżącej bliżej wybrzeża znaleziono kolejną głowę (razem z jednym z koni biskupa). Głowa ta jest właśnie w drodze do Lazet; dałby Bóg, by brat Amiel rozpoznał ją jako należącą do ojca Augustyna.

– Brat Amiel mówi, że wciąż jest za mało szczątków – wyjaśniłem. – Wedle jego słów, z tego, co ma, nie można złożyć czterech ciał, nie mówiąc o piątym.

– Boże, bądź miłościw.

– Ktokolwiek to zrobił, musiał być pełen nienawiści – przerwał seneszał. – Ojciec Bernard myśli, że to może mieć coś wspólnego ze zmartwychwstaniem.

– Zmartwychwstaniem? – powtórzył biskup Anzelm. – Jak to?

Musiałem więc powtórzyć swoją teorię i zrobiłem to z pewnym oporem, jako że wciąż uważałem ją za nieprawdopodobną. Biskup pokręcił głową.

– Synowie człowieczy, pókiż ciężkiego serca? Przecz miłujecie marność i szukacie kłamstwa? – zaintonował. – Co za bestialski czyn, odmówić duszy ostatecznego zbawienia! To bez wątpienia sprawka heretyków.

– Cóż... nie, mój panie – powiedziałem, zdając sobie jednocześnie sprawę z wszelkich konsekwencji tego, co proponuję. – Prawdę mówiąc, katarzy nie wierzą w zmartwychwstanie ciał.

– Och.

– Są jeszcze oczywiście waldensi – kontynuowałem – ale ja nigdy żadnego nie spotkałem. Jedynie o nich czytałem.

Biskup machnął ręką ze zniecierpliwieniem.

– Wszystko to pomiot nienawistnej siły – odparł. – A powiedzieliście wcześniej, że mojego konia, albo konia, który wygląda jak mój, znalazł mnich?

– Tak, mój panie, franciszkanin.

– Człowiek poza podejrzeniem?

– Na to wygląda. Twierdzi, że znalazł go wałęsającego się po pastwiskach należących do jego klasztoru. Posłaliśmy po niego, oczywiście.

– I on prowadzi ze sobą konia?

– Tak, myślę, że na nim jedzie.

– Och? – Biskup cmoknął. – Jakież to niepokojące. Franciszkanie w siodle są jak worki z prowiantem. To dlatego, że zwykle wszędzie chodzą.

Seneszal, najwyraźniej pełen obaw, że rozmowa znowu przejdzie do kwestii końskich, szybko włączył się do wymiany zdań.

– Mój panie, przepytaliśmy waszego stajennego – powiedział. – Wygląda na to, że jedynie czterech ludzi wiedziało o wyjeździe ojca Augustyna do Casseras: wasz stajenny, dwóch koniuszych i wy, panie, oczywiście. Stajenny wspomniał o tym jednemu z kanoników. A wy mówiliście o tym komuś? Komukolwiek?

Biskup jednak nie słuchał, zagubiony być może w swoich rozmyślaniach nad samopoczuciem konia dosiadanego przez franciszkanina.

– O czym mówiłem? – zapytał.

– O wyjeździe ojca Augustyna do Casseras, panie.

– Nie miałem pojęcia, że on jeździ do Casseras.

– Nikt więc nie pytał was o pozwolenie? Na pożyczenie koni?

– Och, koni! Tak, oczywiście.

Tak więc brnęliśmy jak przez jezioro błota, a nasz wysiłek wydawał się daremny. Tej nocy przemyślałem jednak raz jeszcze całą tę rozmowę, kiedy moje myśli skoncentrowały się na jednej konkretnej uwadze, którą sam poczyniłem, a mianowicie na zdaniu: „Z tego, co ma, nie można złożyć czterech ciał, nie mówiąc o piątym”. Była to szczególnie przykra uwaga, chociaż dosadnie opisywała problemy brata Anzelma. Jej pełnia – zaiste, jej dosłowność – nie docierała do mnie aż do tej chwili. Pamiętam, że nagle otworzyłem oczy i z bijącym sercem wpatrzyłem się w ciemność.

Brat Amiel nie składał pięciu ciał. Można więc zakładać, że obecne były jedynie cztery. Moje myśli zdawały się ugrząść w tej supozycji na długi, długi czas; potem nagle skoczyły do przodu i zaczęły się ścigać po ścieżkach rozumu z prędkością mknącej strzały. Może najlepszym *translatio* ilustrującym to zjawisko będzie mysz zaskoczona w stodole: z początku, w szoku, stoi bez ruchu; potem, w przerażeniu, rzuca się do ucieczki. Moje myśli miotały się tam i z powrotem jak przerażona mysz – zadawałem sobie jedno pytanie po drugim. Czy zabito jedynie czterech ludzi? Czy ten piąty został porwany, czy też, co bardziej prawdopodobne, był zdrajcą? Czy ciała porąbano i rozrzucono, by ukryć jego nieobecność? Czy zabrano odzienie, by ułatwić to oszustwo?

Zrozumiałem, że moja nowa teoria tłumaczy wiele aspektów masakry, do tej pory pozostających dla mnie zagadką. Wyjaśniała dziwne połączenie bestialstwa i staranności, wiążących się z porąbaniem kogoś na kawałki. Wyjaśniała zniknięcie ubrań. I wyjaśniała również źródło informacji o wizytach ojca Augustyna w Casseras. W końcu kto wiedział o nich lepiej niż jeden z jego strażników?

Familiarzy zawsze byli powiadamiani o swoich obowiązkach wieczorem przed wyjazdem ojca Augustyna. Zdrajca miał więc wystarczająco dużo czasu, by ostrzec pozostałych morderców, którzy natychmiast ruszyli w drogę, i tak spędzili noc, albo uczynili to o pierwszym brzasku. W tym ostatnim wypadku mogli nawet podążyć za ojcem Augustynem w

bezpiecznej odległości – wiedząc, że zdążą przygotować zasadzkę w czasie, kiedy on będzie wforcji.

I co dalej? Dalej, w drodze powrotnej do Casseras zdrajca poprowadził ojca Augustyna prosto na śmierć. Kiedy było już, po wszystkim, parszywy obłudnik uszedł, szukając schronienia w jakiejś odległej ziemi. Zastanawiałem się, kto mógł mu zapłacić za tę zdradę, ponieważ on ze swego żołdu nie byłby w stanie wynająć bandytów; rozmyślałem też nad tym, gdzie jest teraz, o ile żyje – musicie bowiem zrozumieć, że ta teoria wciąż była tylko teorią. Nie miałem dowodu ani pewności, że moje podejrzenia są uzasadnione.

Gdyby jednak były, to ustalenie tożsamości zdrajcy nie powinno nastroczać trudności, pod warunkiem że trzecia głowa, znajdująca się właśnie w drodze do Lazet, nie należy do ojca Augustyna. W przeciwnym wypadku będziemy mieli do czynienia z dwoma podejrzanymi: Jordanem Sicre i Maurandem z Alzen. Zapadając w sen, obiecałem sobie, że zapoznam się z historią tych dwóch ludzi.

Postanowiłem też zatrzymać te podejrzenia dla siebie, dopóki nie pojawią się dalsze dowody, które mogłyby je potwierdzić. Nie chciałem pochopnie obwieszczać, że jeden z zabójców ojca Augustyna wykarmił się na łonie Świętego Oficjum. Takie bowiem przyznanie się do winy, gdyby okazało się przedwczesne, trudno byłoby odwołać – może dlatego, że wielu ludzi chciałoby, żeby było prawdziwe.

Najstynniejsze przysłowie odnosi się do pewnego Greka i podobno znajduje się na świątyni Apollina: „Poznaj samego siebie”. To najjaśniejsza rzecz w ludzkiej naturze, najbardziej wartościowa, najwspanialsza wreszcie. Te wartości wywyższają człowieka spośród wszystkich wrażliwych stworzeń, a przez więź jedności łączą go też z tymi niezdolnymi do wrażliwości.

Usiłowałem zobaczyć siebie takim, jaki jestem, i uczyniwszy to, dostrzegłem haniebny brak pokory w swoim butnym uporze, w szyderstwie z przykazań Pana, wierze, że mogę pojechać do Casseras, tego gniazda zagrożenia, niczym nie ryzykując. Seneszał mi to odradzał; odradzał mi to Rajmund Donatus i Durand Fogasset; odradzał mi to przeor Hugon. A ja, zamiast podporządkować się powinnościom wobec mojego przełożonego (naśladując naszego Pana, o którym Apostoł rzekł, że był posłuszny aż do śmierci), zignorowałem wszelkie apele z godną potępienia butą, uparcie dążąc do celu. Dlatego właśnie sprowadziłem na siebie karę, którą powinienem był przewidzieć – albowiem Pismo Święte przestrzega nas, byśmy nie ulegali swoim zachciankom.

Pominę opis podróży, który nie ma wielkiego znaczenia, powiem tylko, że zauważono mój przejazd i szeroko go komentowano, ze względu na liczebność mojego orszaku. Prawdę mówiąc, w asyście dwunastu ciężkozbrojnych strażników czułem się raczej jak król albo biskup. W większości byli to ludzie niskiego pochodzenia, grubiańscy w manierach i nieokrzesani w mowie. Wyczułem, że niektórzy z nich są nie do końca uradowani faktem, że

włączono ich do tej wyprawy – ale to raczej z powodu mojej obecności niż z poczucia zagrożenia: z początku podejrzewałem, że to niechęć do Świętego Oficjum jest źródłem ich niezadowolenia, ale po pewnym czasie zdałem sobie sprawę, że ludzie ci czuli się nieswojo, kiedy musieli przebywać w bezpośredniej bliskości osoby duchownej. Wyglądało na to, że nie są zanedo przyzwyczajeni do modlitw ani nabożeństwa. Zнали swoje *Pater noster*, i swoje *Credo*, i na pewno chodzili do kościoła w dni świąteczne, niektórzy nawet przyznawali się, że mają ulubionych świętych (głównie wojowników, takich jak Jerzy czy Maurycy). Przeważnie jednak wydawali się postrzegać Kościół jako surowego i męczącego rodzica, który zawsze łąje ich za grzechy i jest bogaty jak Salomon, ale skąpy – tak zazwyczaj czują ludzie, którzy muszą sobie odmawiać wielu rzeczy, a zaleca się im ćwiczenia duchowe i samokrytycyzm. Ci ludzie nie są heretykami, jako że wierzą w to, co Kościół podaje im do wierzenia; to z nich jednak często heretycy się wywodzą. Jak przypomina nam święty Bernard z Clairvaux, niewolnik i najemnik mają swoje własne prawo, które nie jest dane od Pana.

Powinienem dodać, że odkryłem to wszystko nie na drodze przesłuchania, które mogłoby potwierdzić najgorsze obawy moich strażników względem Świętego Oficjum, ale chwając stan i skład ich uzbrojenia. Nie ma nic bliższego sercu żołnierza niż jego miecz, buzdycan albo włócznia; podziwiając te groźne przedmioty, zapewniałem sobie zaufanie ich właścicieli, a wymieniając żarty na temat biskupa (Boże wybac mi, ale w całym Lazet nie ma bardziej wzgardzonej osoby), zdobyłem sobie dalsze ich względy. Zanim dotarliśmy do Casseras, w naszym towarzystwie panował miły nastrój, chociaż byliśmy zmęczeni i potrzebowaliśmy odświeżenia. Prawdę mówiąc, jeden z żołnierzy posunął się do tego, że pogratulował mi, iż „nie jestem jak mnich” – moi współbracia, chociaż zupełnie innym tonem, często mi to zarzucali.

Casseras to miasteczko otoczone murami. Nie ma w pobliżu zamku, do którego mieszkańcy mogliby umknąć w razie zagrożenia. (Forcja jest zaledwie obwarowaną farmą, a i to od niedawna). Na szczęście teren jest tak ukształtowany, że domy mogą stać w koncentrycznych kręgach dookoła kościoła; gdyby miasteczko ulokowano na stromym terenie, nie byłoby to możliwe. Za murami skrywały się dwie studnie, a także kilka ogrodów i dwie młockarnie, dwa tuziny drzew owocowych i kilka stodół. Cała okolica silnie śmierdziała gnojówką. Oczywiście nasze przybycie powitano ze zdumieniem i może z pewną obawą, dopóki nie poinformowałem mieszkańców, że mój liczny orszak nie stanowi dla nich zagrożenia, lecz powstał na wypadek, gdyby oni mieli zagrażać mnie. Kiedy to powiedziałem, wielu się roześmiało, ale inni czuli się urażeni. Zapewnili mnie gniewnie, że nie mieli nic wspólnego z zamordowaniem ojca Augustyna.

Ojciec Paweł wyglądał na zadowolonego z faktu, że jestem tak dobrze chroniony. W przeciwieństwie do tyłu księży w małych miasteczkach – którzy postrzegają siebie jako pomniejszych panów, poza zasięgiem władz kościelnych – jest dobrym i pokornym sługą Chrystusowym. Choć nieco zatroskany, może odrobinę zbyt uległy wobec żądy bogactwa

Bruna Pelforta, to jednak całkowicie godzien zaufania i sumienny proboszcz. Zapewniał, że jest szczęśliwy, goszcząc mnie tej nocy, i przepraszał za – jak to ujął – charakter swej gościnności, którą określił jako bardzo prostą. Naturalnie, pochwaliłem go za to i przez chwilę rozmawialiśmy o cnotcie ubóstwa, starając się jednak nie zajmować przesadnie radykalnego stanowiska – żaden z nas nie jest bowiem franciszkaninem.

Potem powiedziałem mu, że przed zmrokiem chciałbym odwiedzić forcję. Zaproponował, że będzie mi towarzyszył i wskaże miejsce masakry, na co ja ochoczo przystałem. Aby mógł dotrzymać nam kroku, obstawałem, aby jeden z moich strażników odstąpił konia księdzu i pozostał w wiosce do naszego powrotu. Ledwie skończyłem mówić, żołnierz po mojej prawej stronie zeskoczył z siodła. (Zastanawiałem się później, czy tego pośpiechu nie wywołała obfitość ładnych dziewcząt w Casseras). Potem nastąpiły liczne działania, których relacjonowaniem nie będę się trudził, i wyjechaliśmy, kiedy słońce wciąż stało wysoko na zachodnim niebie. Jakimś tajemniczym sposobem w czasie krótkiego postoju w Casseras wielu moich ludzi zdobyło kawałki chleba i wędzonej wieprzowiny, które wspaniałomyślnie podzielili pomiędzy tych z nas, których nie kuszono tak przemożnie i skutecznie. Mogłem jedynie domyślać się, co mogliby otrzymać w czasie nocy spędzonej w stajniach Bruna Pelforta.

Opisywałem już trakt do forcji. Mnie suche koleiny i listowie zasypujące drogę wydawały się złowieszcze – groźne – rozumiem jednak, że te wrażenia podsycił nieco fakt, że wiedziałem, iż są to cisi świadkowie zbrodni. Panował upał, niebo było ciężkie, blade i bezchmurne, większość ptactwa milczała. Bzyczały owady, skrzybiała skóra. Od czasu do czasu jeden z sierżantów spluwał albo bekał. Nikt nie wydawał się nazbyt skory do rozmowy; jazda była tak trudna, że wymagała koncentracji.

Nie musiałem wypatrywać miejsca śmierci ojca Augustyna, ponieważ wciąż znaczyła je krew. Chociaż częściowo pokrył ją kurz albo suche liście, większość ciemnych plam można było nieomylnie rozpoznać, nie ze względu na ich kolor, lecz kształt: krople i smugi, kałuże, bryzgi, strużki. Nawet moją eskortę przygnębiły te ślady, podobnie jak ulotna woń rozkładu. Zsiadłem z konia i odmówiłem kilka modlitw; ojciec Paweł poszedł moim śladem. Reszta orszaku pozostała w siodłach, wypatrując wszelkich oznak zagrożenia. Te obawy były jednak bezpodstawne – nikt nas nie zaatakował w drodze do forcji. Nikt nawet nie wyłonił się z lasu, by na nas popatrzeć lub powitać. Wydawało się, że nigdzie dookoła nie ma żywej duszy.

Dotarliśmy do forcji niespodziewanie, podjeżdżało się do niej bowiem stromym podejściem, jak na szczyt góry, tyle że ścieży ostro na kształt trójkątnego płaskowyzu. To na tym płaskowyzu, otoczonym wyniosłymi szczytami, zbudowano forcję. Stoi ona na środku ledwie oczyszczonego pastwiska, w pewnej odległości od miejsca, w którym trakt dociera na szczyt. Podróżnik nie widzi więc celu swej podróży, dopóki nie zakończy wspinaczki.

Wtedy oczom jego ukazuje się odległy, wyraźnie się rozsypujący kamienny mur, z niestrzeżoną bramą. Prowadzi ona na podwórze otaczające nie ufortyfikowaną wieżę, lecz

ogromny, zrujnowany dom. Choć większość gontowego dachu jest zapadnięta, z unoszącej się w niebo smugi dymu można wydedukować, że ktoś w tym budynku mieszka. Inne oznaki obecności ludzi to drób drepczący po udeptanej ziemi podwórka i odzież powieszona na niskiej ścianie, która niegdyś mogła należeć do rozebranej już stodoły. Wciąż znajdowały się tu pozostałości kilku budynków gospodarczych postawionych na przylegającej ścianie. Kiedyś musiała to być bogata i zyskowna posiadłość.

Jaka była teraz, nie mogłem rozpoznać na pierwszy rzut oka. Choć widać było, że jest uboga, nie wyglądała ani jak zapuszczone schronienie trędowatych, ani jak osobliwa chata owczarza. Już jedno spojrzenie powiedziało mi, że ktoś zamiatał podwórko dookoła domu i wytrwale uprawiał ogród zasadzony pod południowym murem. Drób był zadbane i miał gładkie pióra. Pod nogami nie leżały szczątki starych kości ani skorupki orzechów, a w powietrzu nie unosił się zapach odchodów. Prawdę mówiąc, powietrze pachniało różnymi ziołami suszonymi się na słońcu, a także jakąś niewytłumaczalną, niemal triumfującą czystością, która zdawała się wynikać z bliskości gór.

Czyniłem te wszystkie obserwacje, kiedy z domu wyłoniła się kobieta – przyciągnięta bez wątpienia odgłosem naszego przybycia. Nie chcąc budzić jej niepokoju, zsiadłem z konia w pewnej odległości i podszedłem do niej, a za mną ojciec Paweł. Od razu zdałem sobie sprawę, że nie jest to młoda kobieta z listu ojca Augustyna. Musiała być niemal w moim wieku, i o ile musiałem ją uznać za bardzo przystojną – a nawet za najbardziej atrakcyjną matronę, jaką spotkałem od wielu lat – nie mógłbym opisać jej jako kobiety wielkiej urody. Była wysoka, wyprostowana i imponująca. Miała gęste, czarne włosy poprzetykane siwizną i piękną, pociągłą twarz o regularnych rysach, ale krytyczne spojrzenie (*albowiem nie usprawiedliwi się przed tobą żaden żywiący*). Jedyne jej skóra była naprawdę piękna, biała jak niebiańskie suknie męczenników. Ze swoim nienagannym wyglądem, niewzruszoną, choć pełną wdzięku postawą, samym sposobem ułożenia włosów – ze wszystkim tym wydawała się przeobrażać swoje otoczenie. Tam, gdzie przed chwilą widziałem brud i ruinę, teraz dostrzegłem wspaniały górski widok, schludność ogrodu warzywnego, delikatne i barwne wzory utkane w kocu rozpostartym na ziemi pod wspomnianymi wcześniej suszonymi się ziołami. O ile ona nie wydawała się przynależeć do miejsc takich jak to, właśnie jej obecność służyła podniesieniu i udoskonaleniu go, tak aby postrzegano je inaczej, tak jak postrzega się skrawek łachmana albo drzazgę dotkniętą przez świętego. Nie chciałbym opisywać tej kobiety jako świętej wręcz przeciwnie! Chcę tylko przekazać wrażenie, które odniosłem z jej wyglądu, że została urodzona i wychowana wśród ludzi przyzwyczajonych do bogactwa i pięknych przedmiotów.

A pomimo tego wszystkiego nosiła bardzo prosty strój, jej ręce zaś były brudne.

– Ojciec Paweł! – wykrzyknęła, po czym zwróciła się do mnie z ukłonem.

Ksiądz uczynił znak krzyża nad jej głową.

– Joanno – powiedział – to jest ojciec Bernard Peyre z Prouille, przybyły z Lazet.

– Witam, ojcie.

– Chce porozmawiać o ojcu Augustynie.

– Tak, rozumiem. – Wdowa, albowiem ona to była, mówiła spokojnym i melodyjnym głosem, bardzo przyjemnym dla ucha i osobliwie niepasującym do bezpośredniego spojrzenia. Miała głos zakonnicy, a wzrok sędziego. – Tędy, proszę.

– Jak się miewa Witalia? – zapytał ojciec Paweł, kiedy zdążyliśmy w stronę domu. – Czuje się choć trochę lepiej?

– Ani trochę.

– Musimy się więc modlić, i to gorąco.

– Tak, ojcie, modlę się cały czas. Wejdźcie, proszę.

Zatrzymując się w wejściu w północnej ścianie domu, odgarnęła przegradzającą je zasłonę i cofnęła się, aby nas przepuścić. Muszę wyznać, że zawahałem się, zastanawiając się, czy tam, po drugiej stronie, nie czeka na mnie zabójca. Ojciec Paweł jednak nie odczuwał takich niepokojów, może dlatego, że znał to terytorium; bez lęku postąpił do przodu i wkrótce po tym, jak przekroczył próg, dobiegło mnie powitanie jakiegoś niewidocznego gospodarza.

Podążyłem więc za nim, czując za plecami obecność wdowy.

– Witalio, przyprowadziłem w odwiedziny przyjaciela ojca Augustyna – mówił ojciec Paweł.

W słabym świetle widziałem, jak stoi nad niskim łóżkiem albo siennikiem, w którym spoczywa drobna, okutana postać starej kobiety. Po drugiej stronie całkiem sporego pokoju stał piecyk; jako że nie było tu paleniska, domyśliłem się, że pierwotna kuchnia nie nadaje się do zamieszkania, a to pomieszczenie musi służyć za sypialnię albo jakiś składzik.

Nie było tu niemal żadnych mebli – jedynie łóżko starej kobiety i stół zrobiony z nadjedzonych przez robaki drzwi, umieszczonych na ściętych kamieniach, i jakieś ławy powstałe na tej samej zasadzie. Zauważyłem jednak, że sprzęty kuchenne są liczne i (o ile potrafię to osądzić) dobrej jakości, podobnie jak pościel, wyposażenie spiżarni i sam piecyk. Dostrzegłem też książkę. Leżała na stole, jak kubek albo kawałek sera, i rzuciła na mnie nieodparty urok. Większość dominikanów, których znam, nie jest w stanie przejść obojętnie obok książki – zauważyliście to?

Ukradkiem podniosłem ją i sprawdziłem, co to za dzieło. Ku swemu zdumieniu stwierdziłem, że to przekład, w języku pospolitym, *Scivias* Hildegardy z Bingen. Rozpoznałem ją, źle przetłumaczoną, niekompletną, bez podanego tytułu, ponieważ byłem obeznany z pracami przeoryszy Hildegardy. Słowa, które przeczytałem, nie budziły wątpliwości: „Wizje, które miałam, nie były we śnie ani szaleńcze, ani oczyma zmysłowymi, ani uszami cielesnymi, ani w kryjówce; ale na jawie, świadomie i oczyma ducha i uszami duchowymi, patrzyłam na nie na otwartej przestrzeni i zgodnie z wolą Boga”. (Okropne tłumaczenie).

– Czyja to książka? – zapytałem.

– Należy do Alkai – odpowiedziała wdowa i zobaczyłem, że się uśmiecha. – Alkaja umie czytać.

– Och. – Nie wiem, czemu oczekiwałem, że to ona będzie piśmienna. – A gdzie ona jest?

– Z moją córką, zbierają drewno.

Czułem się zawiedziony, ponieważ chciałem spotkać jej córkę – która musiała być młodą kobietą wspomnianą przez ojca Augustyna. Ale jej matka bez wątpienia dostarczy mi jakiś informacji.

Zaproponowałem więc, byśmy przeszli do jakiegoś odosobnionego miejsca, gdzie moglibyśmy omówić pewne kwestie związane z ojcem Augustynem i jego śmiercią.

– Możemy porozmawiać w sypialni – odparła. – Tam.

– A ja zostanę z Witalią – podsunął ojciec Paweł. – Będziemy się modlić do Boga w jego miłosierdziu. Chcesz, Witalio?

Czy Witalia zgodziła się, czy zaprotestowała, skinęła czy pokręciła głową, nigdy się nie dowiedziałem, ponieważ znalazłem się w sypialni, zanim ksiądz dokończył zdanie. Ten pokój niewątpliwie szczyił się niegdyś drzwiami na zawiasach i okiennicami, ale wszelki ślad po nich zaginął dawno temu. Pozostałe po nich otwory teraz były ukryte za kawałkami taniej tkaniny, przybitej gwoździami do drewnianych nadproży. W pokoju znajdowały się trzy sienniki i bardzo imponująca, rzeźbiona i malowana skrzynia posażna. Obejrzałem ją z zaciekawiony.

– To moja skrzynia – zauważyła wdowa. – Ja ją tu przywiozłam.

– Jest bardzo piękna.

– Wykonano ją w Agde. Tam gdzie się urodziłam.

– Pochodzicie z Agde?

– Z Montpellier.

– Naprawdę? Studiowałem teologię w Montpellier.

– Tak, wiem. – Kiedy spojrzałem na nią zdumiony, dodała: – Ojciec Augustyn mi powiedział.

Przyglądałem się jej przez chwile. Stała z rękoma splecionymi w kibici, patrząc na mnie z pewnym zainteresowaniem i bez najmniejszego lęku. Jej postawa mnie zastanowiła. Zupełnie nie przypominała zachowania większości kobiet, stojących w obliczu przedstawiciela Świętego Oficjum – a jednak nie była ani trochę zuchwała czy agresywna.

– Moja córko – powiedziałem – ojciec Augustyn odwiedził was tu kilkakrotnie, jestem więc pewien, że musieliście rozmawiać o wielu rzeczach. Jaki jednak był cel jego wizyt? Dlaczego potrzebowałyście go tak usilnie? Nie wątpię, że po poradę duchową mogłyście się udać do ojca Pawła.

Wdowa zdawała się zastanawiać. W końcu powiedziała:

– Ojciec Paweł ma natłok obowiązków.

– Nie więcej niż miał ojciec Augustyn.

- To prawda – przyznała – ale ojciec Paweł nie ma wiedzy prawniczej.
- Wiedzy prawniczej?
- Toczę spór o własność. Ojciec Augustyn mi doradzał.

Mówiła ostrożnie i z widocznym brakiem szczerości, ale zachowałem uprzejmy wyraz twarzy, który zazwyczaj przybieram w takich okolicznościach.

- Jakiego rodzaju spór o własność? – zapytałem.
- Och, ojcie, nie będę zabierać wam czasu.
- A jednak ojcu Augustynowi go zabierałyście.
- Jedynie dlatego, że on zachowywał się równie ujmująco jak wy, ojcie.

Towarzyszący tym słowom uśmiech wytrącił mnie nieco z równowagi, wydawał się bowiem sprzeczny z błyskiem w oku wdowy. Na jej ustach widniał nieszczerzy uśmiech, w spojrzeniu było wyzwanie.

Zastanowiłem się nad tym dziwnym sąsiedztwem.

– Moje zachowanie może być równie nieprzyjemne jak zachowanie każdego innego mężczyzny – odparłem grzecznym tonem, ale z wyraźnym naciskiem. I aby okazać, że niełatwo zbić mnie z tropu, dodałem: – Proszę mi opowiedzieć o tym sporze.

- Och, to przykra sprawa.
- W jakim sensie?
- Spędza mi sen z oczu.
- Z jakiego powodu?
- Ponieważ jest tak beznadziejna i skomplikowana...
- Może ja mogę pomóc.
- Nikt nie może pomóc.
- Nawet ojciec Augustyn?
- Ojciec Augustyn nie żyje.

Poczułem się, jakbym grał w szachy (rozrywka ta wielce mnie zajmowała, zanim złożyłem śluby). Wzdychając, podjąłem atak, używając nieco cięższej broni.

- Zechciejcie mi wyjaśnić ten spór o własność – powiedziałem.
- Ojcie, to zbyt nużące.
- Pozwólcie, że sam to osądzę.

– Ale ojcie, ja nie mogę wyjaśnić. – Rozłożyła ręce. – Nie mogę wyjaśnić, ponieważ sama nie rozumiem, jestem prostą, nieuczoną kobietą.

A ja, pani, jestem królem trędowatych, miałem ochotę odpowiedzieć na to ewidentnie nieszczerze wyznanie. Powstrzymałem się jednak od wygłoszenia tej myśli. Zamiast tego zauważyłem, że, jeśli rzeczywiście starała się o pomoc ojca Augustyna, musiała jakimś sposobem przekazać mu swoje problemy.

- Czytał dokumenty – odpowiedziała. – Są dokumenty...
- Proszę mi je pokazać.

– Nie mogę. Dałam je ojcu Augustynowi.

Nagle straciłem cierpliwość. To nie zdarza się często, zapewniam was, ale mój czas nie był nieograniczony, a ona w swoich replikach okazywała niemal zuchwałą przebiegłość. Uznałem, że powinienem pokazać jej, iż znam pewne ważne fakty.

– Ojciec Augustyn pisał do biskupa Pamiers o waszej córce – wyznałem. – Wspomniał, że jest ona opętana przez demona. Czy to może dlatego potrzebowałyście jego pomocy, a nie porady ledwie wykształconego, wiejskiego księdza?

Przekazanie tej informacji w taki sposób oznaczało użycie jej w charakterze broni. Czyniłem tak często, kiedy przesłuchiwałem świadków, a reakcja zawsze była zadowalająco żywa. Widziałem, jak ludzie biorą gwałtowny oddech, płaczą i błędą lub czerwienieją widziałem, jak padają na kolana w błaganu i w furii rzucają się na mnie z pazurami. Ale Joanna z Caussade nadal mi się przyglądała, nie zmieniając wyrazu twarzy. W końcu powiedziała:

– Augustyn często o was mówił. – I to ja w odpowiedzi gwałtownie zaczerpnąłem oddechu.

Czy ona rozmyślnie pominęła to nader ważne słowo?

– Powiedział, że jesteście bystrzy i wytrwali – ciągnęła – i że ciężko pracujecie, ale że nie macie natury inkwizytora. Mówił, że traktujecie to wszystko jak zabawę, jak polowanie na świnię, że nie czujecie tego, co on. On ganił taką płochość. Ale ja nie.

Czy możecie sobie wyobrazić moje odczucia w tej sytuacji? Możecie sobie wyobrazić, że obca kobieta mówi wam, iż wasz zmarły, szanowany przełożony postrzegał was jako wadliwego w pewnych podstawowych kwestiach. I że ona miała tyle czelności, by to powiedzieć! Zapewniam was, odjęło mi mowę.

– Według mnie to świadczy o tym, że macie jakieś ludzkie słabości i współczucie – zauważyła wdowa. Potem, nie prosząc o pozwolenie, siadła na swojej skrzyni posażnej i westchnęła. – Wyjawię wam tę tajemnicę, bo jeśli spróbuję ją ukryć, wiem, że i tak się dowiecie. Nie spoczniecie, póki jej nie odkryjecie. Ale muszę was prosić, ojczy, byście zatrzymali to dla siebie. Ta informacja nie jest przeznaczona dla uszu innych ludzi.

W końcu odzyskałem głos. Z wielkim upodobaniem powiedziałem, że nie mogę złożyć takiej obietnicy.

– Nie? – zastanowiła się chwilę. – Czy mówiliście komukolwiek o mojej córce?

– Jeszcze nie.

– Wiecie więc, jak zachować swoje zdanie dla siebie – stwierdziła.

Jakież pochlebstwo! Ja, inkwizytor heretyckiej nieprawości i wieloletni spowiednik niezliczonych bretończyków – ja, Bernard Peyre z Prouille – zostałem oceniony jako człowiek zdolny do zachowania dla siebie swojego zdania!

Nagle przestałem już być zły, a czułem tylko zadziwienie. Zuchwalstwo tej kobiety było tak skrajne, że niemal wymuszało mimowolny podziw.

– Tak – przystałem, splatając ramiona. – Wiem, jak dotrzymać tajemnicy. Dlaczego jednak miałbym dochować waszej?

– Ponieważ ona nie należy wyłącznie do mnie – odpowiedziała. – Widzicie, moja córka jest córką Augustyna.

Wierzcie mi, że z początku nie ogarnąłem pełnego znaczenia tej rewelacji. Potem, kiedy wdowie słowa przeniknęły w najgłębsze zakamarki mej duszy, straciłem panowanie nad ciałem i musiałem oprzeć się o ścianę – w innym wypadku na pewno bym omdlał.

– Urodziła się dwadzieścia pięć lat temu – wdowa opowiadała dalej, spokojnym tonem, nie dając mi czasu na zebranie myśli. – Ja miałam lat siedemnaście, byłam jedyną córką bogatego kupca handlującego wykwinnymi szatami. Jako osoba bardzo pobożna chciałam zostać zakonnice. Mój ojciec, który pragnął wnuka, próbował przekonać mnie, że powinnam wyjść za mąż, ale ja byłam pod wrażeniem historii o umęczonych świętych dziewicach. – Mówiąc to, Joanna uśmiechnęła się nieznacznym, ironicznym uśmiechem. – Rozumiecie, widziałam siebie jako następną świętą Agatę. Mój ojciec, w akcie desperacji, udał się do ojca Augustyna, z którym był zaznajomiony. W owym czasie Augustyn miał czterdzieści dwa lata, był bardzo wysoki i królewski, jak książę. Bardzo uczony, bardzo... – przerwała. – Miał ogień w trzewiach – powiedziała w końcu – i ten ogień wзираł z jego oczu. Jak te oczy mnie podniecały! Ale ja byłam bardzo pobożna, musicie pamiętać. I młoda. I ładna. I głupia. I kiedy rozmawialiśmy o umiłowaniu Boga, ja myślałam o miłowaniu Augustyna. Wtedy wydawało mi się, że to jedno i to samo.

Nagle roześmiała się głośno i pokręciła głowę w zadziwieniu. Jej niedowierzenie nie mogło jednak równać się mojemu. Próbując wyobrazić sobie ojca Augustyna jako namiętny, pełen wigoru, ekscytujący obiekt pożądania, poległem żałości.

– Powiedział ojcu, że wejrzy do mojego serca, by sprawdzić, czy naprawdę jestem oblubienicą Chrystusa – wyjaśniła wdowa. – Rozmawialiśmy kilka razy, siedząc w ogrodzie mojego ojca, ale nasze dysputy dotyczyły jedynie Boga, Jezusa i świętych. Miłość duchownego. Mogłam słuchać go, jak mówi o czymkolwiek, mogłam słuchać go, jak powtarza te same słowa, bez końca! To nie miało znaczenia.

Nastąpiła kolejna przerwa. Ta przedłużała się, aż poczułem się zmuszony zachęcić niewiastę do dalszej opowieści.

– I co dalej? – dociekałem.

– Zdecydował, że nie powinnam zostać zakonnice. Oczywiście musiał wiedzieć, że jestem w nim zakochana. Może zobaczył moje prawdziwe oblicze: ckliwej dziewczyny z głupimi pomysłami. W każdym razie powiadomił mojego ojca, że lepiej mi będzie poza stanem małżeńskim. Mnie powiedział to samo. I miał słuszość, wiecie, miał zupełną słuszość. – Wdowa kiwnęła głowę do własnych myśli, nagle spoważniała; nie patrzyła na mnie, lecz na ścianę za moimi plecami. – Mimo wszystko byłam bardzo nieszczęśliwa, czułam się zdradzona. Kiedy pewnego dnia spotkałam Augustyna na ulicy, nie chciałam na niego

spojrzeć ani z nim rozmawiać. Minęłam go. Takie głupie, dziecinne zachowanie. Ale uwierzcie, ojczy... – znowu się zaśmiała... – uwierzcie? Uraziłam go okropnie! Myślę, że uraziłam jego dumę. Przyszedł do mego domu, byłam wtedy sama, i pokłóciliśmy się. Skończyło się tak, jak możecie przypuszczać: ja płakałam, a on wziął mnie w ramiona... cóż, możecie się domyślić, co działo się później.

Mogłam, ale postarałam się tego nie uczynić. Pograżanie się w takich nieczystych myślach jest niewiele lepsze niż działanie pod ich wpływem.

– To zdarzyło się tylko ten jeden raz, ponieważ... cóż, ponieważ on był tak zawstydzony. Wiem, że nigdy sobie tego nie wybaczył. Rozumiecie, złamał śluby. A potem odkryłam, że jestem brzemienna. Nikomu nie powiedziałam, ale dziecka nie da się ukrywać bez końca. Mój ojciec zobaczył, co się stało, i bił mnie, dopóki nie podałam mu imienia winowajcy. Biedny Augustyn został odesłany, nigdy nie dowiedziałam się, dokąd. Jego przeor bardzo nalegał, żeby żaden skandal nie rzucił cienia na Augustyna, ani na klasztor, całą rzecz okryto więc wielką tajemnicą, dzięki Bogu. Mój ojciec, z pomocą ogromnego posagu, przekonał Rogera z Caussade, żeby mnie poślubił i uznał dziecko. Moje jedyne dziecko. Moją córkę. – W końcu wdowa spojrzała na mnie. – Córkę Augustyna.

Taka była opowieść Joanny. Nie uznałam jej za niewiarygodną; wierzyłam w każde słowo, chociaż zawiodła mnie wyobraźnia (Bogu niech będą dzięki), kiedy próbowałam zobrazować sobie ojca Augustyna namiętnie obejmującego siedemnastoletnią dziewczynę. Wydawało mi się też niemożliwe, że spokojna, opanowana, tak wyraźnie dojrzała kobieta, która siedziała przede mną na skrzyni posażnej, stanowiła niegdyś naiwny, gorący obiekt jego żądzy. Zupełnie jakby mówiła o jakiejś innej osobie.

– A wasz mąż... czy on już nie żyje? – zapytałam.

– On nie żyje, a jego brat zabrał jego dom, chociaż własność mojego ojca należy do mnie. Rodzina Rogera nigdy mniej nie lubiła. Podejrzewali, że Babilonia nie jest jego córką.

– Ale co robicie tutaj? – To pytanie nurtowało mnie najbardziej. – Przyjechałyście tu z powodu Augustyna?

– Och nie! – Po raz pierwszy naprawdę się ożywiła; podniosła rękę i wtuliła je pod brodę.

– Nie, nie. Nie miałam pojęcia, gdzie on jest.

– Więc dlaczego?

– Z powodu mojej córki. Musiałam znaleźć dla niej dom.

W odpowiedzi na delikatne, ale uporczywe wypytywanie wyjawiała, że z jej córką, słodką i piękną dziewczynką, zawsze było „coś nie tak”. Nawet jako małe dziecko miewała koszmary nocne, nagłe ataki furii, napady nienaturalnego letargu. Ogniste kazania wzruszały ją tak, że wybuchwała niepohamowanym płaczem i kaleczyła swe ciało. W wieku dwunastu lat doświadczała „diabelskich wizji” i za każdym razem, kiedy podchodził do niej kuzyn, zaczynała krzyczeć, twierdząc, że otacza go „ciemna aureola”. Jej problemy pogłębiały się z upływem lat: padała na ziemię, plując, krzycząc i gryząc się w język. Czasami siadała w rogu,

kołysząc się w przód i w tył i bełkocząc, czasami wykrzykiwała w kółko to samo, bez żadnego wiadomego powodu.

– A jednak to dobra dziewczyna – mówiła Joanna. – Taka dobra, słodka, pobożna. Nie zrobiła nic złego. Jest jak małe dziecko. Nie mogę zrozumieć...

– „Zbyt dziwna jest dla mnie Twa wiedza, zbyt wzniosła; nie mogę jej pojąć”. Ścieżki Pana są niepojęte, Joanno.

– Tak, tak mi mówiono – odparła nieco niecierpliwie. – Chodziłam do wielu księży i sióstr zakonnych, a oni mówili mi, że kara boska może być okrutna. Niektórzy uważali, że Babilonię nęka szatan. Ludzie na ulicach obrzucali ją kamieniami, bo krzyczała i pluła. Mój mąż zaczął bać się jej tak bardzo, że w końcu nakazał, by opuściła dom. Nikt jej nie poślubi. Nie miałam wyboru, została wysłana do klasztoru. Chciała tam pójść, a ja myślałam, że to może jej pomóc. Cały jej posag oddałam Kościołowi. Myślę, że gdyby był mniejszy, odesłano by ją.

– Tak myślicie? – Chociaż na świecie bardzo brakuje miłosierdzia, nie mogłam uwierzyć, że wśród wszystkich zbiorowości oddanych służbie Chrystusowi nie ma takiej, do której mogłaby się uciec opętana dusza. Bóg jeden wie, ilu swego czasu spotkałem wypaczonych i prześladowanych mnichów. – Ale w końcu została przyjęta.

– Tak, za swoje grzechy. Próbowali wypędzić z niej demony! Powiedzieli mi, że jest umierająca, a kiedy pojechałam ją zobaczyć, leżała w swoich... w swoich własnych nieczystościach. – Wspomnienie wciąż wzburzało Joannę. Przywołując je, wzdrygnęła się trochę, a jej głos zdrzął. – Zabrałam więc ją. Mój mąż już nie żył, więc ją zabrałam. Pojechałam do Montpellier, gdzie nikt nie znał nas na tyle, by ukamienować ją na ulicy. I spotkałam Alkaję.

– Ach tak, Alkaję. – Alkaja, jak się okazało, była wnuczką tegoż Rajmunda Arnolda z Rasiers, co zbudował dom, w którym siedzieliśmy. Jako małe dziecko została odesłana z domu do krewnych w Montpellier, kiedy jej rodzice zmarli w więzieniu. Wzięła ślub, ale opuściła swego męża, by przez pewien czas żyć z jakimiś nabożnymi ludźmi. (Joanna mówiła o nich tak niejasno, z tak ewidentnym brakiem zrozumienia, że nie byłam w stanie ich rozpoznać). Kiedy Joanna spotkała Alkaję, ta prowadziła życie, które w najlepszym wypadku można określić jako żebracze: prosiła ludzi o chleb, spała pod dachem miłosiernych przyjaciół, większość czasu spędzała przy studniach miejskich, rozmawiając z kobietami czerpiącymi wodę. Czasami czytała im z jednej z trzech ksiąg, które ze sobą nosiła. Z tej opowieści wywnioskowałam, że postrzegała siebie jako kapłankę, co wydawało mi się wielce kłopotliwe.

– Pewnego dnia moja córka upadła na ulicy – opowiadała Joanna – i ktoś rzucił w nią wiadrem. Wszyscy byli przerażeni jej krzykami, wszyscy oprócz Alkai. Ona wzięła moją córkę w ramiona i modliła się. Powiedziała mi, że Babilonia to wyjątkowa osoba i że jest blisko Boga; mówiła o wielu świętych niewiastach (nie pamiętam ich imion, ojciec), które widząc Boga, płakały przez całe dni albo tańczyły jak pijane, albo krzyczały bez przerwy, dopóki nie

przebudziły się z transu. Powiedziała, że moja córka jest wyniesiona w swojej miłości do Boga. – Wdowa spojrzała na mnie wzrokiem zmartwionym i niepewnym. – Czy to prawda, ojcze? Czy święte tak się zachowują?

Bez wątpienia wiele świętych kobiet (i mężczyzn) w swoim mistycznym uniesieniu doprowadza się do stanu przypominającego obłąd. Mając w wizjach, wydają się martwi, kręcą się dookoła albo mówią nieznanymi językami. Czytałem o takich świętych szaleństwach, chociaż nigdy nie byłem ich świadkiem.

– Niektórzy błogosławieni słudzy Boga dziwnie się zachowywali w ekstazie – odpartem ostrożnie. – Nie słyszałem jednak, żeby gryźli własny język. Myślicie, że wasza córka... hmmm... doświadcza radości Bożej, kiedy pada na ziemię i gryzie sobie język?

– Nie – odpowiedziała szorstko wdowa. – Gdyby był z nią Bóg, dlaczego ludzie by się bali? Dlaczego bałby się Augustyn? On myślał, że to dzieło szatana, a nie Boga.

– A wy?

Kobieta westchnęła, jakby zmęczyła się roztrząsaniem dylematu, który zestarzał się już i zwietrzył.

– Wiem tylko jedno – powiedziała bezbarwnie. – Wiem, że jest jej lepiej, kiedy dobrze je, dobrze śpi i może wędrować, gdzie chce, niczym się nie kłopotując. Wiem, że jest jej lepiej, kiedy czuje się kochana. Alkaja kocha moją córkę, może ją ukoić i uszczęśliwić. Dlatego przyjechałam tu z nią i z Alkają.

– A dlaczego przyjechała Alkaja? – zapytałem. – Żeby upomnieć się o swoje dziedzictwo? To miejsce należy teraz do króla.

– Chciała znaleźć spokój. Wszystkie tego pragnęłyśmy. Witalia też. Ona miała ciężkie życie.

– Spokój?! – krzyknąłem, a ona od razu pojęła, co mam na myśli.

– Tu było spokojnie. Zanim przybył Augustyn.

– Chciał, żebyście wyjechały.

– Tak.

– Miał słuszość. Nie możecie mieszkać tu zimą.

– Nie. Zimą pójdziemy gdzie indziej.

– Powinnyście pójść już teraz. Tu jest niebezpiecznie.

– Być może – powiedziała spokojnie, ze wzrokiem wbitym w podłogę.

– Być może? Widziałyście, co się stało z ojcem Augustynem?

– Tak.

– Myślicie, że uchronicie się przed takim losem?

– Być może.

– Doprawdy? A jakże to?

– Ponieważ ja nie jestem inkwizytorem.

Kiedy to mówiła, podniosła wzrok i nie dostrzegłem w nim ani śladu strachu. Na jej twarzy malował się upór, wyczerpanie i niecierpliwość. Zapytałem ze szczerym zaciekawieniem:

– Czy powitałyście z radością pojawienie się ojca Augustyna w swoim życiu? Czy też sprawił wam kłopot?

– Miał prawo mnie kłopotać. Babilonia jest jego tak samo jak moja.

– Zainteresował się nią?

– Oczywiście. Nie interesował się mną. Ale kiedy ojciec Paweł podał mu nasze imiona, chciał zobaczyć swoją córkę. Podjął wielkie ryzyko, sami rozumiecie. Mogłam go pohańbić przed światem, kiedy przybył tu ze strażnikami. Mogłam wszystko ujawnić, nie miał pewności, że tego nie zrobię. A jednak przyjechał. Przyjechał spotkać się z Babilonią. – Wdowa potrząsnęła głową. – A kiedy to zrobił, nic nie powiedział. Wydawał się nieporuszony. Dziwny człowiek.

– A kiedy zobaczył was? Jak wtedy zareagował?

– Och, był na mnie bardzo zły. Za to, że przywiozłam Babilonię w to miejsce. – Zagadkowy wyraz twarzy Joanny zmienił się w sardoniczny. – On nienawidził Alkai.

– Dlaczego?

– Bo się z nim spierała.

– Rozumiem. – Prawdę mówiąc rozumiałem aż za dobrze. Podane przez Joannę *notatio* jej przyjaciółki nie brzmiało pociągająco. Wyglądało na to, że Alkaja jest niebezpiecznie niekonwencjonalna w swoich zachowaniach, a może i w wierze. – Czy Alkaja mogła mu życzyć śmierci, jak myślicie?

– Alkaja?! – krzyknęła wdowa. Spojrzała na mnie ze zdumieniem, a potem wybuchnęła śmiechem, który jednak szybko zagasł. – Nie wierzycie chyba, że zabiła Augustyna powiedziała. – Jak możecie tak myśleć?

– Weźcie pod uwagę, pani, że nie znam Alkai. Skąd mógłbym wiedzieć, do czego jest zdolna?

– Oni zostali rozerwani na kawałki! Pięciu rosnących mężczyzn!

– Zabójców można nająć.

Wbiła we mnie wzrok pełen takiej trwogi, tak bezbrzeżnego zdumienia, że musiałem się uśmiechnąć.

– Przyznaję jednak, że nie zajmuje ona wysokiego miejsca na mojej liście podejrzanych – dodałem.

Te słowa zdawały się ją uspokoić; nasza rozmowa zeszła na inne tematy, dryfując od pogody, przez Montpellier, aż do licznych cnót ojca Augustyna. To może karygodne, ale poczułem wielką ulgę, rozmawiając o moim zwierzchniku z kimś, kto znał go blisko, a sam nie był mnichem.

– On się zapracowywał – zauważyła Joanna w pewnym momencie. – Pogardzał swoją słabością. Mówiłam mu: „Jesteś zbyt chory. Jeśli musisz przyjeżdżać, to zostań dłużej”. Ale on nie chciał.

– Miał gorliwą duszę – przyznałem. – Nie spał całą noc, żywił się resztkami z kuchni. Musiał czuć, że jego życie dobiega końca.

– Och nie, zawsze tak się zachowywał. Taką miał naturę. Dobry człowiek, ale niemal za dobry. Jeśli wiecie, co mam na myśli.

– Tak, wiem. Za dobry, żeby z nim żyć – zaśmiałem się. – A wasza córka jest taka sama?

– Zupełnie nie. Ona jest dobra jak owieczka. Augustyn był dobry jak... jak...

– Jak orzeł. – Napomniałem ją delikatnie, że powinna o nim mówić „ojciec” Augustyn. – Zastanawiam się... czy często o was myślał przez wszystkie te lata? Gdybym ja miał dziecko, modliłbym się za nie każdego dnia.

– Wy nie jesteście jak Augu... jak ojciec Augustyn.

– Nie musicie mi o tym przypominać, zapewniam was. Moje przewiny są liczne.

– Moje także. Zawsze to powtarzał.

– Chłosta zbawienia dla was – powiedziałem, ale ona nie pochwyciła aluzji. – Wierzcie mi, nikt z nas nie mógł się z nim równać. Czy łąjał też swoją córkę?

– Och nie. Nigdy. Nie można łąjać Babilonii, ponieważ żaden z jej grzechów nie jest przez nią zawiniony. – Po raz pierwszy zobaczyłem, że oczy wdowy napełniły się łzami. – On ją kochał. Jestem tego pewna. Miał wielkie serce, ale wstydził się tego. Biedny człowiek. Biedny człowiek, a ja nigdy jej nie powiedziałam...

– Czego jej, pani, nigdy nie powiedziałaś?

– Że on jest jej ojcem – wdowa załkała. – Z początku się go bała, a ja czekałam. Zaczynała go poznawać, a on już się do niej uśmiechał... To było takie okrutne. Takie okrutne.

– To prawda, było – powiedziałem.

Widok jej łez przekonał mnie, a tży rzadko tak na mnie działają, że Joanna w żaden sposób nie ponosi odpowiedzialności za śmierć ojca Augustyna. Widzicie, to nie były łatwe łzy: nie wypływały z niej, miały źródło w głębokim wstydzie.

Ich kojące działanie na spieczoną glinę moich uczuć sprawiło, że omal nie pogłaskałem jej po dłoni. Powstrzymałem się jednak.

– Wybaczcie mi – westchnęła. – Wybaczcie mi, ojczy, ostatnio nie sypiam dobrze.

– Nie ma czego wybaczać.

– Żałuję tylko, że nie kochałam go bardziej. On czynił to tak trudnym.

– Wiem.

– Potrafił być tak irytujący! Kilka razy chciałam go uderzyć, a kiedy usłyszałam, co mu się stało... ta straszna rzecz... poczułam się, jakbym sama się do tego przyczyniła...

– Chcecie, bym wysłuchał waszej spowiedzi?

– Co? – podniosła wzrok i zamruwała oczyma. Wyglądała na zdumioną. – Och nie. Nie, nie – szybko doszła do siebie. – Nie ma takiej potrzeby.

– Na pewno?

– Ja niczego nie ukrywam, ojcze. – Jej głos był suchy. – To o to wam chodzi? Chcecie dowiedzieć się, czy go nie zabiłam?

– Chcę się dowiedzieć, kto go zabił. A żeby to uczynić, muszę wiedzieć jak najwięcej. Jesteś inteligentną kobietą, Joanno, powinnaś zrozumieć. Co byś zrobiła na moim miejscu?

Spojrzała na mnie, a jej uraza uchodziła. Widziałem, jak łagodnieje jej twarz. Powoli skinęła głową, otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale przerwał jej gwar podniesionych głosów. Zdawały się dochodzić nie z pomieszczenia obok, lecz z daleka. Brzmiały jak kłótnia.

Zaniepokojeni wymieniliśmy pytające spojrzenia. Potem pospieszyliśmy na zewnątrz, by zobaczyć, co się stało.

Bo przyszła światłość twoja

Święty Augustyn napisał kiedyś, że wszystkie rzeczy są równie obecne dla ślepcy, jak dla widzącego i że jeden i drugi, stojąc w tym samym miejscu, są otoczeni tymi samymi przedmiotami. Jedne są dla nich jednak obecne, a inne nie. Nie dlatego, że przedmioty same zbliżają się lub odstupują, lecz właśnie ze względu na różnice pomiędzy widzeniem a ślepotą.

Otóż odkryłem, że ta obserwacja stosuje się również do sytuacji, kiedy dwoje ludzi widzi. Jeden z nich może patrzeć i widzieć pewną osobę, rzecz czy zdarzenie, podczas gdy drugi może z początku nie widzieć tej samej osoby, rzeczy ani zdarzenia, lecz całkowicie inne. Tak właśnie było, kiedy wdowa i ja wyszliśmy z domu. Ja odniosłem wrażenie, że moi strażnicy (teraz wszyscy zebrani na podwórzu) biorą udział w jakimś żarcie, jako że zachowywali się jowialnie i swobodnie. Zsiedli z koni i przekazywali sobie bukłak z rąk do rąk.

Joanna, wręcz przeciwnie, zobaczyła bandę uzbrojonych żołnierzy zagrażających jej ukochanej przyjaciółce, Alkai. Wiem to, ponieważ ścisnęła moje ramię i głosem niecierpliwym z przestrachu zapytała:

– Co oni robią?

– Robią? – powtórzyłem. – Co macie na myśli?

– Tych ludzi!

– To moja świta.

– Oni jej zagrażają!

– Tak myślicie? – Spojrzałem raz jeszcze i zobaczyłem starszą kobietę próbującą rozbroić jednego z sierżantów, który skutecznie się jej wymykał. Jeden z jego towarzyszy chwycił ją od tyłu, a kiedy ona uderzyła go lekko w nadgarstek, upadł w udawanym cierpieniu, wśród wybuchów śmiechu.

– Wydaje się, że to ona zagraża im.

Niemniej jednak wystąpiłem naprzód i zapytałem o przyczynę całego zamieszania.

– Och, ojcie, ona chce, żebyśmy odjechali! – Najwyraźniej takie życzenie zawodowi wojacy potraktowali jako przedni żart: coś, czego nie sposób wziąć poważnie. Takie żądanie musiało być postawione w równie lekkim duchu, w jakim zostało odebrane. – Powiedziałem jej, że rozkazy wydaje nam seneszał!

– Oto cała Alkaja – mruknął ojciec Paweł, który również wyszedł z domu. – Alkajo, co cię niepokoi? Ci ludzie przybyli tu ze mną.

– Ojczy, jesteś mile widziany. Oni też są mile widziani, ale przestraszyli Babilonię. Ukryła się na górze. Nie wróci, dopóki oni nie odejdą.

– Och, ale jest już późno – zaprotestowała Joanna. – Ona musi zejść na dół.

– Nie zejdzie – powtórzyła stara kobieta.

Przyglądając się Alkai, ze zdumieniem zauważyłem, że jej zachowanie nie jest ani zaczepne, ani w żaden sposób władcze; miała pogodny wyraz twarzy, a jej głos, choć starczo chrapliwy, zdawał się emanować ciepłem jak ogień kuchenny. Kiedy na mnie spojrzała, zobaczyłem jasne, niebieskie oczy (kolor rzadko spotykany w tych okolicach), które wydały mi się niewinne jak oczy dziecka.

– Jesteście wysokim człowiekiem, ojczy – powiedziała. – Nigdy nie widziałam tak wysokiego mnicha.

– A wy jesteście niską kobietą. – Byłem zdumiony swoją dziecinną ripostą. – Choć nie najmniejszą, jaką w życiu widziałem.

– To ojciec Bernard Peyre z Prouille – wtrącił ksiądz. – Musisz okazywać mu szacunek, Alkajo, jako że jest on inkwizytorem heretyckiej nieprawości, ważnym człowiekiem.

– Widzę to po wielkości jego eskorty – powiedziała Alkaja i mam pewność, że bez ironii; jej głos brzmiał słodko i uroczyście. – Witam was serdecznie, ojczy. Jesteśmy zaszczycone. – I skłoniła się nisko.

– Joanna powiedziała mi, że potrafisz czytać – brzmiała moja odpowiedź, jako że ciekawiło mnie, ciekawiło do żywego, jak nabyła tę umiejętność. – Widziałem jedną z twoich książek, przeoryszy Hildegardy.

Twarz Alkai rozjaśniła się.

– Ach! – wykrzyknęła. – Jakaż błogosławiona książka.

– W rzeczy samej.

– Jakaż mądrość! Jaka pobożność! Jaki wzór niewieściej cnoty! Ojczy, czytaliście tę książkę?

– Kilka razy.

– Ja czytałam ją wiele razy. Czytałam ją moim przyjaciółkom.

– A pozostałe twoje książki? Chciałbym je zobaczyć. Pokażesz mi je?

– Oczywiście! Z radością! Proszę, są w domu.

– Zaczekaj – powiedziała Joanna, która obserwowała nas uważnie (pochwyciwszy jej spojrzenie, zdałem sobie sprawę, że ojciec Augustyn musiał okazać podobne zainteresowanie kwestią czytania Alkai), ale teraz jej uwaga skupiona była na dziecku. – A co z Babilonią? Ona boi się zejść z góry. Nie może tam zostać, ojczy, wkrótce zapadnie zmrok.

– Nie lękaj się. Odeślę moją eskortę.

Strażnicy jednak nie zamierzali odejść. Poinstruowano ich, że mają nie odstępować mego boku i byli niezachwiani w swoim posłuszeństwie wobec tego rozkazu. Żadne moje słowa nie mogły ich od tego odwieść.

– Jeśli będziemy nieposłuszni seneszalowi, zedrze z nas pasy – powtarzali, niesłusznie zresztą, albowiem Roger Descalquens, o ile wiem, nigdy nikogo ze skóry nie odarł. W końcu zgodzili się oddalić z podwórza, zostawiając jednego strażnika przy drzwiach domu, podczas gdy reszta miała bronić bramy – która była niemal nie do obronienia. Tym musiałem się zadowolić.

– Jeśli twoja córka nadal będzie się bała – powiedziałem Joannie – wszyscy odejdziemy. Ale mam nadzieję, że wróci, albowiem nie mogę się doczekać, żeby ją poznać.

Powiedziawszy aż tyle, uznałem, iż okazałem swoje dobre intencje. Co jeszcze mogłem zrobić? Wdowa chyba jednak oczekiwała o wiele więcej – prawdę mówiąc, patrzyła na mnie z wyrazem takiego niepokojącego błagania, że czułem się zakłopotany. Opuściłem ją więc i wszedłem do domu, gdzie Alkaja wyjmowała książki ze skrzyni posażnej swej przyjaciółki.

Trzymała je z umiłowaniem, z wielkim szacunkiem i złożyła w moje dłonie jak matka oddająca nowo narodzone dziecko w ramiona udzielającego chrztu księdza.

Promieniała miłością i dumą.

Książki były dwie: traktat świętego Bernarda z Clairvaux, *O miłowaniu Boga* i traktat o ubóstwie Pietra di Giovanni Olivi. Obie zostały przetłumaczone na język miejscowy, a praca świętego Bernarda była naprawdę pięknym woluminem, chociaż bardzo starym i zniszczonym. Na pewno czytaliście ten traktat i cieszyliście się zacnym jego początkiem: „Pragniesz zatem usłyszeć ode mnie, dlaczego i w jaki sposób powinniśmy kochać Pana Boga – więc odpowiadam: przyczyną miłości Boga jest sam Bóg”. Czy istnieje prostsze, głębsze, radośniejsze *exordium*? (Oprócz tego z Pisma Świętego!) Praca Olivi natomiast jest w zupełnie innym stylu. Ten zmarły franciszkanin tłumaczy, że napisał traktat, „ponieważ węzowa przebiegłość starego przeciwnika (przez którego rozumie Złego) wciąż, tak jak w przeszłości, podburza przeciwko ewangelicznemu ubóstwu”. Potępia „pewną pseudoreligijność otoczoną władzą nauczającą i modlącą się”, innymi słowy – dominikanów takich jak ja. Krytykuje nas jako tych, którzy porzucili rygorystyczne przestrzeganie ubóstwa, uważanego przezeń za warunek niezbędny do zbawienia. Nie wiem, czy znacie prace i artykuły tego człowieka. Możecie nie być świadomi, że rozpalają wzburzenie jego współbraci franciszkanów w tej części świata. Wierzcie mi, kiedy mówię, że ten ciemny braciszek z południa, ze swoimi fałszywymi i skrajnymi poglądami w pewnym stopniu ponosił odpowiedzialność za nieugiętość czterech franciszkanów spalonych ostatniego maja w Awinionie. Przypominacie sobie te sprawę? Podobnie jak tylu innych franciszkanów, i nawet ludzi świeckich, byli opętani głupim (naprawdę, całkiem nierealistycznym) poglądem, że służy Boga tacy jak oni powinni żyć jak biedacy, nie posiadając nic osobiście ani nawet wspólnie. Zalecali zebranie w łachmanach i obwieszczali, że Kościół stał się „Babilonem,

wielką ladacznicą, która zrujnowała i zatrąła rodzaj ludzki"! Dlaczego tak mówili? Ponieważ, jak utrzymywali, nasz Święty Apostolski Kościół jest oddany lubieżności, chciwości, pysze i chuci. Niektórzy z ich pobratymców nazwali nawet naszego papieża Antychrystem i głosili, że nadchodzi nowa era, w której oni sami poprowadzą chrześcijaństwo ku chwale.

Cóż, nie muszę wam przypominać o tym, co już na pewno wiecie; niewątpliwie zapoznaliście się z dekretem *Gloriosam ecclesiam*, w którym Ojciec Święty wylicza wiele z błędów, w które popadają „zarozumiali ludzie”. Jako inkwizytor heretyckiej nieprawości byłem naturalnie zobligowany do przestudiowania tego dokumentu z wielką dbałością, kiedy dotarł był do biskupa. Znalazłem tam świetny podział: na tych, którzy kochają ubóstwo, i tych, którzy wielbią je ponad wszystko inne – nawet ponad posłuszeństwo należne władzom apostolskim. Do tej pory, mogę dodać, nie spotkałem w Lazet nikogo, kto pasowałby do opisu Ojca Świętego; co więcej, żaden z naszych franciszkańskich braci nie nosił „kusego” habitu (jak te potępione w innym dekrete, *Quorundam exigit*, pod koniec minionego roku) ani nie twierdził, że jedynie oni wypełniają ewangelie Chrystusa.

Oczywiście nasi franciszkańscy bracia w Lazet są inni niż wielu zamieszkujących ten region. Nie usunęli swego legalnie wyznaczonego przeora na rzecz kandydata bliższego opiniom Pietra Olivi i jego ludzi – postępując za przykładem danym przez braci z Narbonne w roku 1315. Tutaj w Lazet jesteśmy może odcięci od namiętności i nowych idei, które zakłócają pokój innych miast. U nas w Lazet herezje są bardzo stare, a namiętności przewidywalne.

Ale odbiegam od tematu. Chciałem powiedzieć, że traktat Pietra di Giovanni Olivi, o ile wciąż czyta go wielu czcigodnych ludzi (coraz częściej jednak po to, by podważyć jego twierdzenia), o ile wciąż jest szeroko czytany, i znajduje się na przykład w bibliotece naszych lazetańskich franciszkanów – wydaje się nosić skazę, a może wyciek ciemnej chmury, zwłaszcza odkąd Ojciec Święty nie tak dawno temu wyznaczył ośmiu teologów, by śledzili prace tego autora. W każdym razie posiadanie traktatu wymaga obecnie wyjaśnienia.

Zażądałem więc go od Alkai z Rasiers.

– Traktat o ubóstwie – mruknąłem, odwracając często kartkowane stronicie. – Czytałyście komentarz do Apokalipsy tego autora?

– Apokalipsy? – powtórzyła Alkaja z nierozumiejącym spojrzeniem.

– Pietro di Giovanni Olivi napisał inne książki na inne tematy. Czytałaś je?

– Nie, niestety. – Pokręciła głową z uśmiechem. – Kiedyś słyszałam, jak ktoś czytał z innej książki, która, jak mówili, została napisana przez niego. O doskonałości ewangelickiej?

– *Quaestiones de perfectione evangelica*. Tak, to jego praca. Ja sam jej nie czytałem.

– Ojciec Augustyn czytał. Mówił, że ta księga zawiera wiele fałszu.

– Naprawdę? – Raz jeszcze zachowanie ojca Augustyna odjęło mi mowę. Oczywiście sprawdzał duszę Alkai z wielką uwagą. Z pewnością zaaresztowałby ją, gdyby jej przekonania były w jakikolwiek sposób nieprawomyślne.

A może nie?

Z trudem przyjmowałem, że ojciec Augustyn mógłby zaniedbać powinności ze względu na szczęście swej córki. Z drugiej strony, równie trudno było mi wyobrazić sobie, że w ogóle poczyna jakąkolwiek córkę.

– A co ojciec Augustyn mówił o TEJ książce? – zapytałem, unosząc rękę, w której trzymałem traktat. – Czy powiedział, że ona też zawiera wiele fałszerstw?

– O tak – odpowiedziała kobieta radośnie.

– A wy jednak wciąż wysoko ją cenicie?

– Nie powiedział, że cała jest fałszywa. Tylko kilka rzeczy. – Zamyśliła się na chwilę. – Mówił, że nie można dowieść, że Chrystus był tak biedny, od narodzin do śmierci, że nic nie zostawił swojej matce.

– Ach.

– Zapytałam go, czy można dowieść, że Chrystus nie był biedny od narodzin do śmierci – ciągnęła Alkaja, wciąż się uśmiechając, jak na czułe wspomnienie. – Odrzekł, że nie. Odbyliśmy solidną, ostrą dysputę. On był bardzo mądrym człowiekiem, ten ojciec Augustyn. Bardzo mądrym i świętym.

Kiedy wyobraziłem sobie swego zwierzchnika, jak rozważa *usus pauper* z tą podejrzaną kobietą, przymuszony – co do tego nie mam wątpliwości – świadomością, jak bardzo kocha ją jego córka, niemal się uśmiechnąłem. Jakże chłodne było jego zachowanie! Jak odpychającym musiał znajdować te całe podchody! I jakże chętnie, jestem pewien, wszcząłby wobec Alkai oficjalne śledztwo, gdyby miał jakikolwiek powód, by to uczynić. Zadowolenie, z którym wspominała ich „solidną, twardą dysputę”, jakby opisywała rozmowę dwóch praczek, działało mi na nerwy.

Niemniej jednak wypadało mi rozwiać wszelkie wątpliwości, które mogłem żywić jak najostrożniej.

– Powiedzcie mi – poprosiłem, przeglądając w pamięci i tekst *Gloriosam ecclesiam* (ponieważ w tej kwestii nie miałem żadnego innego świadectwa do skonsultowania) – omawialiście z ojcem Augustynem jakieś inne fałszerstwa? Dyskutowaliście o Kościele, o tym, czy zszedł z drogi Chrystusa, ponieważ zapełnia się bogactwami?

– Och tak! – Tym razem Alkaja roześmiała się głośno. – Ojciec Augustyn zapytał mnie: „Czy ktoś już ci powiedział, że Kościół Rzymski jest nierządnicą i że księża nie mają autorytetu?”. A ja mu odpowiedziałam: „Tak, ojcze, wyście mi właśnie powiedzieli! Na pewno w to nie wierzycie?”. Na co on się zrobił całkiem czerwony! Ale ja mówiłam żartem – pośpieszyła z zapewnieniem. – On oczywiście w nic takiego nie wierzył.

– A wy?

– Och, ja też nie – odpowiedziała spokojnie. – Jestem wierną córką Kościoła Rzymskiego. Robię to, co księża każą mi robić.

– Ale na pewno księża nie mówili, że masz opuścić męża albo żebrać na ulicach, albo zamieszkać tutaj? Muszę wyznać, Alkajo, że twoje życie nie wydaje się przystawać do dobrej chrześcijańskiej kobiety. Wydaje się nieco przewrotne. To życie żebraka, uciekiniera.

Po raz pierwszy spokój Alkai został zmałowany. Westchnęła i spojrzała smutno. Potem ufnie położyła dłoń na moim ramieniu.

– Ojczy, szukałam sposobu służenia Bogu – wyznała. – Nie opuściłam swego męża, on mnie wyrzucił. Nie miałam pieniędzy, więc musiałam żebrać. Chciałam przyłączyć się do religijnej społeczności, ale kto by mnie przyjął? Jedyne beginiki, ojczy, a to, co one głosiły, było złe.

– W jakim sensie złe?

– Och, ojczy, to bardzo dobre i biedne kobiety, kochają Chrystusa i świętego Franciszka, ale mówią straszne rzeczy o papieżu. O papieżu i biskupach. To budziło we mnie złość.

– To grzech – odpowiedziałem z przyspieszonym biciem serca. – A powiedziałaś ojcu Augustynowi o tych ludziach?

– O tak, ojczy.

– I podałaś mu ich nazwiska?

– O tak. – W trakcie dalszego przepytывania Alkaja opisała społeczność w szczegółach, tak że byłem w stanie zidentyfikować grupę tercjarzy (w większości kobiet) pod opieką brata, który jeśli nie znalazł się wśród czterdziestu trzech, od których zażądano pokajania się za błędy w Awinionie ostatniego roku, na pewno powinien być się tam znaleźć. Alkaja poinformowała mnie też, że ostrzegła miejscowego księdza o tym, co głosili ci ludzie i opuściła ich niezwłocznie. – Potem dołączyłam do kobiet związanych z waszym zakonem, ojczy, ale one mnie nie lubiły. Widzicie, żadna z nich nie umiała czytać, bały się mnie i spiskowały przeciwko mnie. – Tu nastąpiła długa i nużąca dygresja o spiskach, oszczerstwach i złośliwych odwetach, które często zdarzają się w rodzinach, dworach i zakonach. Szczegóły, chociaż opowiedziane raczej w tonie smutku i zadziwienia niż goryczy i gniewu, były mało budujące, a ja je zlekceważyłem. Wystarczy stwierdzić, że pomiędzy Alkają a kobietą o imieniu Agnes zaistniał głęboki konflikt. – Zostałam wyrzucona na ulicę – ciągnęła Alkaja – i tam spotkałam Babilonię. Od razu dostrzegłam, że ona jest blisko Boga. Pomyślałam: mógłby to być Boży zamiar względem mnie? Powinnam wziąć tych ludzi, takich jak Babilonia i biedna Witalia, i poprowadzić ich do miejsca, gdzie będą szczęśliwi w miłości Boga? – Głos Alkai ożywił się, a jej twarz pojaśniała. – Widzicie, ojczy, te drogie dziewice dotknęły najczystsza miłość Boga; są jak godne podziwu córki Syjonu stojące przy pogodnej dziewicy, tak cudownie upiękkszzone złotem i klejnotami, jak widziała je przeorysza Hildegarda. Mówiłam im o ich pragnieniach, a one pragnęły tak mocno, ojczy! – objąć Chrystusa najczystsza miłością, wzdychały za nim głęboko, spoczywały spokojnie, kiedy o Nim myślały. Porzucały boleści ciała, zapewniam was; powiedziała im: „Ciało jest bezużyteczne, to dusza daje życie”, i one o tym wiedziały. Rozmawiałam z nimi o ich niebiańskim oblubieńcu, który wejdzie z ochotą

do komnaty ich serca, jeśli będzie przystrojona kwiatami chwały i owocami pasji zdjętymi z drzewa Krzyża. Wychwalaliśmy go razem, mówiliśmy o tej słodkiej chwili, kiedy „Lewica jego pod głową moją, a prawica jego objęła mnie”. A Babilonia poczuła pieśczętę tych rąk, ojciec, zanurzyła się w miłości Boga. Widziała Obłok Żywego Światła, jak przeorysza Hildegarda. – Teraz już głos Alkai był ekstatyczny; jej oczy wypełniły się łzami. – Kiedy przeczytałam jej wizję z książki Przeoryszy, krzyknęła w zdumieniu. Rozpoznała Światło w Świetle. Doświadczyła chwili wiecznej harmonii, która w niej zamieszkała. Och, ojciec, ona zaznała jedności z Chrystusem! Oślepiło ją światło Boskiej Miłości, straciła swoją wolę, a jej dusza weszła w Boga. Jakież to błogosławieństwo, ojciec! Jaka radość dla nas wszystkich!

– Tak, w rzeczy samej – wyjąkałem, ogłuszony tym potokiem słów. Wiele z nich rozpoznałem: pochodziły od świętego Bernarda i przeoryszy Hildegardy. Były jednak nasycone pewną ekstazą, gorejącą pasją, której nie można zafałszować. Zobaczyłem, że Alkaję poruszyła prawdziwa i obezwładniająca miłość Boga, pragnienie boskiej obecności, i to było godne podziwu.

Ale taka pasja może być niebezpieczna. Może prowadzić do nadużycia. Jedynie najsilniejszym i najmądrzejszym kobietom tkniętym takim żarem można ufać, że bez starannego przewodnictwa podążą ścieżką Pana. (Jak Jakub z Vitry mówi o *mulier sancta*, Marii z Oignes: „Nigdy nie zбочyła ani w prawo, ani w lewo, lecz kroczyła środkiem błogosławionej ścieżki z cudownym umiarem”).

– Ojciec, kiedy byłem małą dziewczynką – ciągnęła Alkaja, teraz już spokojniej – wspierałem się na tę górę i słyszałem anioły. Tylko ten jedyny raz w życiu je słyszałem. Więc kiedy Joanna opowiedziała mi, jak lęka się o swoje dziecko, miałam pewność, że Babilonia zazna szczęścia tu, gdzie śpiewają anioły. Wiedziałam, że nikt nie pozazdrości nam tego dachu, który był mi schronieniem w dzieciństwie. Wiedziałam, że z pomocą Joanny możemy tu przyjechać i mieszkać, szczęśliwie i pobożnie, Bogu na widoku. – Pochyliwszy się do przodu, Alkaja ujęła moje dłonie i spojrzała mi w twarz, a jej własne oblicze lśniło pogodnym zadowoleniem. – Poczujesz tu miłość Boga, ojciec? Czy doskonały spokój Jego chwały wypełnił twoje serce?

Co miałem powiedzieć? Że miłość Boga to łaska, do której dążę całe swoje życie, ale rzadko jej dostępuję? Że moją duszę przytłoczyło zepsute ciało, tak że (wedle słów świętego Bernarda) ziemskie mieszkanie pochłonęło umysł, zajęty wieloma myślami? Że jestem człowiekiem praktycznej raczej niż duchowej natury, niezdolnym do roztopienia się w kontemplacji Boskości?

– Kiedy ja patrzę na górę – odpowiedziałem szorstko – moje serce jest wypełnione nie spokojem, lecz obrazem porzniętych członków ojca Augustyna.

Boże, wybac mi. Powiedziałem to ze złośliwą intencją, a moje słowa zgasiły radość w oczach Alkai.

Boże, wybac mi, że zamknąłem serce na Twoją obecność.

Tego dnia nie poznałem Babilonii. Nie powróciła, ponieważ żołnierze pozostawali na miejscu, odmawiając odejścia beze mnie. Przez jakiś czas czekałem, rozmawiając z Alkają i obserwując Joannę (delikatne zmiany wyrazu jej twarzy odbijały myśli, które chętnie bym poznał). Ale musiałem opuścić forcję, kiedy wciąż było światło na niebie – moi strażnicy pragnęli bowiem dotrzeć do Casseras przed zapadnięciem zmroku.

Pojechałem z nimi, postanawiając, że kiedy słońce wstanie, w tajemnicy sam wrócę do forcji. Dzięki temu zdołałem spędzić trochę czasu z Babilonią, zanim moja eskorta znajdzie mnie i ją odstraszy. Zobaczę też kobiety w doskonałości ich niezakłóconego spokoju i przekonam się, czy – jak twierdzi Alkaja – jest to naprawdę pokój Boży. Jakież butne założenie – że zdołałem osądzić, co jest, a co nie jest pokojem, który umyka rozumieniu wszystkich ludzi! Teraz już wiem lepiej. Ale nawet wtedy byłem pod wpływem żaru Alkai. Czułem ciepło bijącego od niej ognia i chciałem odkryć, z czego się on krzesa. Chciałem poznać Babilonię i sprawdzić, czy ona naprawdę jest „blisko Boga”, czy też opętał ją demon. Chciałem zobaczyć jej twarz i odszukać w niej rysy kiedyś tak mi bliskie, a teraz już blednące w mej pamięci.

Trzeba też przyznać, że czułem potrzebę dokończenia rozmowy z Joanną, przerwaliśmy ją bowiem, zanim zdołałem zaspokoić ciekawość. W taką swoją chęć naprawdę wierzyłem, chociaż być może moje pragnienie było bardziej podszyte zmysłowością niż zdawałem sobie z tego sprawę – któż to wie? Tylko Bóg. Ciągnęło mnie do Joanny i przyznałem się do tego sam przed sobą tej nocy, kiedy leżałem na sienniku w domu księdza. Postanowiłem jednak kierować się rozsądkiem, a nie sercem. Wygnałem z umysłu myśli o tej kobiecie (tak jak często czyniłem z tyloma bezbożnymi myślami), i poprosiłem Boga o wybaczenie. Rozmyślałem nad Jego miłością, której nie poszukiwałem tak, jak powinienem, ani nie poznałem, tak jak bym chciał. Oczywiście znałem miłość Boga tak, jak znamy ją wszyscy: mianowicie z darów, którymi nas obdarza („...wino rozweseliło serce człowiecze. Aby uweselił oblicze oliwą, a chleb serce człowiecze potwierdził”), ale ponad wszystko w zesłaniu Syna swego jednorodzonego. Czytałem i mówiono mi, i czułem w głębi serca, że to prawda, iż Bóg kocha świat. Ale czytałem też o Jego Miłości, która tknęła świętych. Czytałem o świętym Bernardzie „objętym w duchu ramionami mądrości”, jak doświadcza „słodkich napełnień Boską Miłością”. Czytałem świętego Augustyna, radującego się, kiedy to dla jego duszy rozbłyska światło i piszącego, że raduje się tym uściskiem, którego nie rozdzieli przesyta. To była Boska miłość w swej czystości, w samej swej esencji; rozpoznałem ją, jak rozpoznaje się odległą i umiłowaną górę, po wsze czasy nieosiągalną.

A jednak Babilonia ją osiągnęła. Alkaja wierzyła, że tak się stało, ojciec Augustyn nie. Ja, oczywiście, bardziej byłem skłonny ufać osądowi ojca Augustyna – człowieka mądrego, wykształconego, wielkiego doświadczenia i cnoty. Alkaja wszakże jakoś poruszała moją duszę, a ja zadawałem sobie pytanie: czy ojciec Augustyn, z całą swoją mądrością, wykształceniem i cnotą, kiedykolwiek naprawdę poczuł wypełniającą go Boską Miłość? Czy

rozpoznał jej objawienie się w drugim człowieku? Czy, tak jak Jakub z Vitry, uznał obecność Boga w niekontrolowanym płaczu Marii z Oignes, czy też był jak ci, potępieni przez rzezonego Jakuba ludzie, którzy złośliwie pomawiali ascetyczne życie takich kobiet i, jak wściekłe psy, sztydziłi ze zwyczajów innych niż ich własne?

Ale skarciłem siebie. Ojciec Augustyn nie był wściekłym psem, a Marii z Oignes nigdy nie kamienowano na ulicy. Uznałem, że moje myśli zmąciło zmęczenie, i skierowałem je ku innym kwestiom. Pomyślałem o traktacie Pietra di Giovanni Olivi, który Alkaja dostała w czasie swego krótkiego pobytu wśród nieprawomyślnych tercjan. Przejąłem się, że nie przepytałem jej tak gruntownie, jak powinienem, wzięwszy pod uwagę poglądy, które wygłaszała na temat ubóstwa Chrystusa. Oczywiście określiła siebie jako „wierną córkę Kościoła Rzymskiego” czyniącą to, co każą jej księża – a zatem nieodrzucającą ich zwierzchnictwa, z powodu takiego, że ci sami księża nie są skromni ani wolni od błędów. Co więcej, wiedziałem, że ojciec Augustyn przeszedł tą drogą przede mną i nie udało mu się rozpoznać Alkai jako rozkochanej w Świętym Ubóstwie do stopnia, który by zagrażał jej duszy.

Niemniej jednak powinienem był rozwiać swoje wątpliwości w tej kwestii i postanowiłem, że tak zrobię.

Pomyślałem też o innych przepytanych ludziach: przewocie Rasiers, dzieciach, Wilhelmie i Gwidonie, miejscowych pasterzach, którzy wypasali swe owce w pobliżu forcji. Postawiłem przed sobą trudne zadanie, ponieważ nie przeprowadzam oficjalnego śledztwa, z takimi procedurami jak ustalone w *Speculum iudiciale* Wilhelma Duranda (sięgaliście w ogóle do tego dzieła?) czy też ustanowione przez zwyczaj i dekret papieski. Zeznanie złożone przed Świętym Oficjum zawsze zapisuje notariusz, w obecności dwóch bezstronnych świadków – takich jak Szymon i Berengar, dominikanie zazwyczaj obecni przy moich przesłuchaniach. Trzeba złożyć i zapisać przysięgi; zarzuty należy wyjawic albo wycofać, zgodnie z tym, co wydaje się słuszne; trzeba udzielić lub odmówić zezwolenia na odroczenie – znowu zgodnie z tym, co wydaje się słuszne. Są zasady i trzeba ich przestrzegać.

Ale w tym wypadku śledztwo było nieformalne, a mną nie kierowały żadne reguły. Trzeba zacząć od tego, że moja władza obejmowała jedynie tępienie heretyków: nie do mnie należało ściganie morderców ojca Augustyna, o ile nie powodowały nimi lub nie przepętniały ich przekonania heretyckie. Ktoś inny może aresztowałby wszystkich mieszkańców Casseras, rozumując (może słusznie – kto wie?), że samo przebywanie w okolicy takiej zbrodni wplątuje w nią człowieka jako kwas faryzejski. Nie byłem jednak przekonany, czy takie posunięcie okazałoby się najwłaściwsze. A poza tym, gdzie mielibyśmy trzymać mieszkańców Casseras, skoro nasze więzienie pękało w szwach od mieszkańców Saint-Fiacre?

Jakże chciałem, żeby ojciec Augustyn był u mojego boku! On wiedziałby, co czynić. Czułem, że mam za mało doświadczenia, że grzęznę w trzęsawiskach niepowiązanych sobą, a jednak w jakiś sposób ważnych informacji: Bernard z Pibraux i jego trzech młodych przyjaciół,

porąbane członki i zaginione konie, traktat Pietra di Giovanni Olivi, list ojca Augustyna do biskupa Pamiers. Ojciec Augustyn napisał, że Babilonia jest opętana przez demona; jeśli ją poznam, czy poczuję, że stoję w obliczu Zagorzałego Wroga Rodu Ludzkiego? Święty Dominik czynił to tyle razy, i odnosił triumf, ale ja nie jestem świętym – ta perspektywa przyprawiała mnie o drzenie.

Pamiętam, że modliłem się nabożnie o nowego zwierzchnika, kiedy nagle zasnąłem. Natychmiast zacząłem śnić, nie o aniołach czy demonach, lecz o świecach, o setkach świec w wielkim i ciemnym miejscu. Zanim zdążyłem zapalić jedną z nich, poprzednia gasła jakimś tajemniczym sposobem (jako że nie było tam powiewów wiatru), a ja musiałem zawrócić z moim knotem. Zdawało mi się, że całą noc biegałem tak od świeczki do świeczki. I obudziłem się przed wschodem słońca – jak to miałem w zwyczaju – z przerażeniem dostrzegając, że pomimo moich nieprzerwanych znojów, nadal otaczają mnie ciemności!

Powinienem powiedzieć wam, że zanim udałem się na spoczynek, rozmawiałem z ojcem Pawłem, ale nie poprosiłem go, żeby mi towarzyszył do forcji. Nad skromnym posiłkiem z chleba i sera rozmawialiśmy o ojcu Augustynie i jego śmierci, nie wspomniałem jednak, że chciałbym znowu odwiedzić kobiety – wiedząc, że w trosce o moje bezpieczeństwo ojciec Paweł bez wątplenia ostrzeże strażników. Musiałem więc jak najszybciej opuścić jego dom. Fakt, że jeden z sierżantów nocował w kuchni, aby chronić mnie przed nocnym atakiem, czynił to zadanie trudnym; chociaż wykradłem się ze swojej izby boso, i tak go obudziłem i byłem zmuszony skłamać, że muszę sobie ulżyć. Ledwie przyjął do wiadomości tę uwagę, nim znowu zamknął oczy. Mimo wszystko wiedziałem, że jeśli nie wrócę, obudzi go instynkt strażnika. W konsekwencji wyruszyłem z pośpiechem, zatrzymując się jedynie po to, by wzuć buty, które niosłem.

Nie mogłem osiodłać swego konia, ponieważ dzielił stajnie z moimi strażnikami. Musiałem więc udać się pieszo, jak żebrak, drogą oświetloną nieśmiałym światłem brzasku. Przybierało ono na sile, aż wreszcie wstało słońce, gwiazdy zbladły i obudziły się ptaki. Za przykładem świętego Franciszka powinienem był pomyśleć o pięknej różnorodności tych stworzeń, które otrzymywały odeń wygłaszane z radością słowo Boże. Mnie jednak oślepił strach. Prawdę mówiąc, już samo podjęcie tej podróży łączyło się z odwagą osadzoną na strachu. Im bardziej się bałem, z tym większym uporem pragnąłem udowodnić, że jestem odważny, męski, nieulekły. „Nie obawiajcie się – napisałem w liście do ojca Pawła. – Udałem się na przechadzkę do forcji i wrócę wkrótce”. Boże, wybac mi moją próżność! Pragnę was jednak zapewnić, że szybko zacząłem żałować za ten grzech: powietrze było tak nieruchome, droga tak pusta, światło tak blade. Szelest w krzakach po lewej stronie sprawił, że się zatrzymałem, potem zdwoiłem tempo wędrówki i znów przystanąłem. Pamiętam, że wymamrotałem słowa „Co ja robię?” i chętnie zawróciłbym swe kroki, gdyby nie fakt, że swoje zamiary obwieściłem ojcu Pawłowi. Wracając, przyznałbym, że bałem się iść dalej. Znowu – jakaż próżność!

Parłem więc naprzód, powtarzając sobie niektóre psalmy, a także wymagania wyliczone niegdyś przez Bernarda Gui jako niezbędne dobremu inkwizytorowi (albowiem przez lata wiele korespondowaliśmy na ten właśnie temat). Wedle Bernarda – a któż miał większe prawo do osądu – inkwizytor powinien być wierny, wytrwały pośród niebezpieczeństw i przeciwności, nawet aż do śmierci. Powinien umieć znosić cierpienia w imię sprawiedliwości, nie narażać się pochopnie na niebezpieczeństwo ani nie wycofywać się haniebnie w strachu, jako że takie tchórzostwo osłabia moc moralną. Zadałem sobie pytanie, czy nie narażam się pochopnie na niebezpieczeństwo, opuszczając samotnie Casseras, i uznałem, że prawdopodobnie tak. Niemal z tęsknotą zacząłem nasłuchiwać stukotu ścigających mnie kopyt. Dlaczego moja eskorta nie nadchodziła, by mnie uratować?

Wtedy, zupełnie niespodziewanie, dotarłem do miejsca zamordowania ojca Augustyna. Zobaczyłem ciemne ślady na jasnej ziemi, wyczułem zgniliznę, poczułem ciężar wdzierającego się tu, ponurego listowia. To było naprawdę przeklęte miejsce. I niewątpliwie zawróciłbym, gdyby nie maleńka złota plamka, która zdawała się błysnąć nieopodal jednego z najbardziej zbrukanych krwią kamieni. Zbliżywszy się, rozpoznałem w tym lśniącym przedmiocie bukiet żółtych kwiatków. Wydawały się świeże i były związane paskiem splecionych traw.

W ich prostym i delikatnym pięknie znać było oddanie.

W pierwszym odruchu podniosłem je, ale czując, że jest to w pewnym sensie niewłaściwe, szybko je odłożyłem. W jakiś tajemniczy sposób czyniły polankę mniej straszliwą. Kiedy je dostrzegłem, mój strach rozwiął się niemal bez śladu; stwierdziłem, że się uśmiecham. A uśmiech przybrał na sile, kiedy do moich uszu dotarła melodia pieśni, cóż bowiem bardziej porusza nasze serca niż muzyka? Czyż góry i wzgórza nie tryskają śpiewaniem? („Śpiewajcie Panu pieśń nową, śpiewajcie Panu, wszystka ziemi!”). Oczywiście, pieśń, którą usłyszałem, nie była psalmem, lecz lichą śpiewką w miejscowym języku – niemniej jednak w jej słowach zawierała się jakaś poezja. Wybaczcie mi, jeśli w próbie odtworzenia i przetłumaczenia tych słów nie zdołam przekazać ich delikatnego uroku. O ile pamiętam, biegły następująco:

*Skowroneczku, z tobą śpiewam,
Bo ja też słońce pozdrawiam!
Skowroneczku, niech wie mój kochany,
Że jest jedyny mi umiłowany.
Skowroneczku, nie zwlekaj,
Wysoko na niebo pomykaj,
Niech mój miły do mnie przyjdzie,
A ja jemu oddam się.*

Jakkolwiek na to patrzeć, były to niegodne pochwały sentymenty, ale piosenka rozbrzmiewała słodko i radośnie. Nie rozpoznałem głosu śpiewającej kobiety. Poszedłem jednak za tym syrenim śpiewem, nie zważając na żadne niebezpieczeństwo; ścigałem go wśród drzew, moje buty ślizgały się na nierównej ziemi, a szatą zaczepiałem o gałęzie i ciernie, dopóki nie wyszedłem na niewielką polanę na łagodnym, ogrzewanym wschodzącym słońcem stoku. I gdybym tylko był poetą, mógłbym oddać wspaniałość rozpościerającą się u moich stóp.

W świeżości poranka powietrze było czyste jak dźwięk tenorowego dzwonu. A przed moimi oczyma roztoczył się bezmierny widok: ujrzałem oddalone doliny i góry, które rzucały długie, mgliste cienie, ujrzałem Rasiers, tak małe, że mógłbym je schować w dłoni, ujrzałem lśnienie rzeki i migotanie kropel w promieniach słońca. Brzegi strome jak mury potężnego zamku wydawały się zabarwione delikatnym różem. Skowronki i jaskółki kreśliły zawile wzory na bezchmurnym niebie. Poczułem, że widzę świat tak, jak musiał go widzieć Bóg, w całym jego majestacie i w całej złożoności. („Aleć i włosy głowy waszej wszystkie są zliczone...”). Poczułem się, jakbym stał na szczycie stworzenia świata i moje serce wezbrało, i pomyślałem: Panie Boże mój, bardzo się wielmożnym okazał. Oblokłeś się w wyznanie i ozdobę, odziany światłością jako szatą. Który rozciągasz niebo jak skórę, który okrywasz wodami wierzch jego. Który kładziesz obłoki wstępem twoim, który chodzisz na skrzydłach wiatrowych. A kiedy ciepło słońca pieściło moją twarz, czyste powietrze wypełniało mi nozdrza, a słodka, delikatna melodia tej prostej, lecz pięknej piosenki zachwycała moje uszy, usłyszałem inny głos, który dołączył do pierwszego w pełnej wdzięku harmonii. Wtem dostrzegłem dwie śpiewające kobiety, które wyłoniły się z zarośli poniżej mnie. Na głowach niosły kosze, a szły w doskonałej zgodzie, trzymając się za ręce. W wyższej rozpoznałam Joannę z Caussade. Ona rozpoznała mnie, jak myślę, ale nie zatrzymała się ani nie przestała śpiewać.

Uśmiechnęła się i pozdrowiła mnie ze swobodną i niedbałą radością, zupełnie jak starego przyjaciela albo znajomego spotkanego w jakichś wzbudzających entuzjazm okolicznościach – może na festynie czy podczas świętowania zwycięstwa. Potem, wciąż się uśmiechając, powiedziała coś do dziewczyny obok, obie podniosły na mnie wzrok, i nagle moje serce przepełniło się nadzwyczajnym uczuciem. Jak mogę opisać owo doznanie, niemal bolesne w swej rozkoszy, ciepłe jak świeże mleko, bezkresne jak morze, nieskończenie cudowne? Chciałem jednocześnie śmiać się i płakać. Moje znużone członki stały się krzepkie, a jednak dziwnie ociężałe. Czułem, że będę żył całą wieczność, a jednak ogarniało mnie szczęście na myśl o tym, że umrę tam, gdzie stoję, wiedziałem bowiem, że moja śmierć nie ma znaczenia. Patrzyłem z jednakową miłością na żółtą trawę, białe motyle, pokrzywy, owcze bobki, kobiety na stoku: chciałem kołysać świat w ramionach. Moja miłość była wszechogarniająca, tak że poczułem, iż naprawdę nie pochodzi ode mnie, ale że przenika moje wnętrze, przepływa dookoła mnie i we mnie. Potem spojrzałem na słońce, które oślepiło mnie swoim

potężnym światłem. Przez chwilę, która trwała niewiele dłużej niż jedno westchnienie, a jednak rozciągała się w nieskończoność, byłem jak dziecko zawieszona w łonie matki. Poczułem, że obejmuje mnie Chrystus, i był on Pokojem i Radością, i był straszliwy jak śmierć. Wiedziałem, że nieskończona jest jego miłość do mnie, ponieważ zobaczyłem ją i chwyciłem i poczułem w swoim sercu.

Boże, jak przekazać wam to wszystko, posługując się zaledwie słowami? Nie mam słów. Żadne słowa nie wystarczą. Czy samemu Doktorowi Anielskiemu, przejętemu w dojrzałym wieku mistycznymi objawieniami, nie odjęto na jakiś czas mowy? Niewątpliwie jego objawienie było wyższego rzędu niż moje; na pewno w doborze słów wykazał się geniuszem, z którym ja nie śmiem się równać. A skoro tak – jeśli obecność Boga pozbawiła go sprawnego języka – to jak ja mogę znaleźć słowa, które umknęły jemu?

Wiem, że Bóg był ze mną na tym zboczu. Wiem, że objął mnie Chrystus, chociaż nie jestem w stanie powiedzieć, dlaczego, skoro nie zrobiłem, nie powiedziałem i nie pomyślałem nic, czym zasłużyłbym na ten cenny dar. Może On po prostu tam był, w doskonałości poranka, i zdjęła Go żalność nade mną, kiedy zbłąkałem się w Jego bliskość. Może przebywał w sercu Joanny, a jej uśmiech był kluczem, który otworzył moją własną duszę, i Boska Miłość w końcu znalazła do niej drogę. Skąd mam wiedzieć? Nie jestem świętym, lecz grzesznym i gnuśnym człowiekiem, który dzięki jakiemuś cudownemu aktowi miłosierdzia sięgnął ponad chmury pokrywające całą ziemię.

Święty Augustyn powiedział kiedyś, że gdy dusza człowieka przebija cielesne ciemności obejmujące ziemskie życie, to tak jakby nagła iskra natchnęła go do zanurzenia się na powrót w naturalną niemoc, pragnienie przetrwania, które może go znowu wynieść na wyżyny, jego nieczysty byt nie pozwala mu jednak na to. Wedle świętego Augustyna, im pełniej człowiek zdoła ten cel osiągnąć, tym jest wspanialszy.

Z tego wynika, że człowiek musi pracować, by uzyskać takie błogosławieństwo. Czy jednak święty Paweł pracował nad czymkolwiek innym niż zło, nim zobaczył Światło na drodze do Damaszku? To dzieło Boga, a nie jego własna praca przywiodło go do Prawdy. Tak też miłość Boga, nie zaś moja własna, doprowadziła mnie tak blisko Niego.

On z pewnością wiedział, że pozostawiony sam sobie, nigdy nie oderwałbym oczu od ziemi. Być może już tego nie uczynię; być może nie staje mi siły albo czystości.

Ale zaprawdę mam w sobie miłość do Boga. Miłuję Go teraz, nie jako Ojca dostarczającego darów i nauk, lecz jako mojego umiłowanego, jako wytchnienie mego serca, moją wiarę i nadzieję, chleb i wino, które żywią mą duszę. Takie miłowanie bez wątpienia wymaga pracy: na szczęście zawsze mogę osiągnąć te wyżyny, rozmyślając nad bezkresną chwilą, w której omdlałem z miłości na posłaniu na zboczu góry, w radosnym i bolesnym uścisku Chrystusa.

Osiągam je również, rozmyślając o uśmiechu Joanny z Caussade. Albowiem kiedy ten uśmiech po raz pierwszy otworzył moje serce, wiedziałem, że będzie robił to dalej.

– Ojczy?

To głos Joanny otworzył znowu moje ziemskie oczy i przywrócił mi świadomość, pociągając mnie jak rybę na wędce. Wieczność boskiej komunii trwała zaledwie chwilę; kobiety nadal szły w moją stronę, kiedy moja dusza uwolniła się od pełnej zachwyty kontemplacji. I stałem tak, wciąż olśniony, a fala miłości odpływała z mojego serca. Przez chwilę patrzyłem, nie widząc i nie mówiąc. Potem mój wzrok zdawał się odzyskać ostrość i pierwszym obiektem, który odbił się w moich oczach, była twarz towarzyski Joanny.

Zobaczyłem oblicze młodej kobiety, doskonale ukształtowane i nieskalane jak lilia (choć trochę naznaczone bliznami na brodzie i skroni). Gdybym był trubadurem, opiewałbym jej chwałę należycie, skórę przyrównując do płatków róży, delikatność do świeżo opierzonego ptaka, rdzawe włosy do jabłek i jedwabiu. Ale nie jestem poetą serca, powiem więc prosto, że była piękna. Przez całe swoje życie nie widziałem niewiasty o tak delikatnej piękności. A ponieważ jej oczy miały niewinność nawet nie dziecka, lecz maleńkiego zwierzątka – ponieważ moje serce wciąż wypełniała miłość, zbyt wielka, by można ją było powstrzymać – uśmiechnąłem się do niej kochająco. Uśmiechnąłem się z równym umiłowaniem do każdej muchy, drzewa albo wilka, który pojawiłby się w owej chwili w moim polu widzenia, ponieważ miłowałem świat. Ale los tak chciał, że ją pierwszą napotkały moje oczy, to ona więc otrzymała uśmiech, który ukształtował sam Bóg.

Odwzajemniła się uśmiechem słodkim jak miód.

– Ty jesteś ojciec Bernard – powiedziała.

– A ty jesteś Babilonia.

– Tak – wydawała się uradowana. – Jestem Babilonia!

– Nic wam nie jest, ojczy? – zapytała Joanna, ponieważ, jak się później dowiedziałem, mój głos był nienaturalnie powolny i pozbawiony tchu. W efekcie sprawiałem wrażenie pijanego albo chorego.

Kiedy zdałem sobie z tego sprawę, pośpieszyłem z zapewnieniem:

– Czuję się dobrze – powiedziałem. – Całkiem dobrze. A wy? Co robicie? Zbieracie drewno?

– Grzyby – powiedziała Joanna.

– I ślimaki – dodała jej córka.

– Grzyby i ślimaki! – Mogły powiedzieć „węlniany tłuszcz i latające jaja”, i tak bowiem nic nie rozumiałem. Wciąż byłem oszołomiony uniesieniem i musiałem zwalczyć chęć roześmiania się na głos albo wybuchnięcia niepohamowanym płaczem. Widząc jednak zdumiony wyraz twarzy Joanny, całą mocą umysłu i duszy zmusiłem się, by mówić cicho i zachowywać się przyzwoicie. – I jak zbiorę? – zapytałem.

– Niewielkie – odparła Joanna.

– Ja znalazłam ślimaka, ale go nie zjem – dodała Babilonia. – Dławię się nimi.

– Naprawdę?

– Przeprowadziłeś żołnierzy, ojczy? – Joanna mówiła spokojnie, bez strachu ani niepokoju, ale zauważyłem, że jej córka zamrugła oczyma. – Są dzisiaj z tobą?

– Dzisiaj nie. Jeszcze nie. – Jakaś wewnętrzna wesołość kazała dodać: – Wymknąłem się rankiem. Udało mi się uciec. Ale oni szybko za mną przyjdą.

– Musimy więc prędko was ukryć! – Biedna Babilonia wyraźnie się przeraziła. Zrozumiałem, że jest niewinna pod każdym względem, może nawet prosta, i nie można z niej dworować ani jej dokuczać, ponieważ widzi tylko to, co ma przed oczyma.

– Żołnierze nie mają zamiaru go skrzywdzić, kwiatuszku – zauważyła Joanna. – Oni chcą go chronić. Przed ludźmi, którzy zabili ojca Augustyna.

– Och nie! – Oczy Babilonii wypełniły się łzami. – To powinieneś zawrócić! Natychmiast!

– Moje drogie dziecko, tutaj nic mi nie zagraża. Bóg jest z nami. – W swoim natchnionym przez Boga spokoju przekazałem ciepło i ufność, które w pewnym stopniu ją uspokoiły; dotknąłem nawet jej ramienia (czego w normalnych okolicznościach, wiercie mi, nie zdołałbym uczynić). Potem zapytałem, czy zakończyły już poszukiwanie darów Bożych.

– Na dzisiaj zebrałyśmy już dość – odparła Joanna.

– Czy mogę towarzyszyć wam w drodze do domu? Chciałbym porozmawiać z Alkają.

– Ojczy, możecie robić cokolwiek, co zechcecie. Jesteście inkwizytorem i ważną osobą. Tak nam powiedział ojciec Paweł.

Wydawało się, że Joanna mówi z delikatną ironią, ale nie czułem się urażony.

– Nie mogę robić wszystkiego, co chce, pani. Są pewne prawa i zasady, których muszę przestrzegać. – Czułem się nienaturalnie beztrusko, więc kiedy zaczęliśmy naszą wspinaczkę do forcji, mówiłem dalej w sposób, który był prawdopodobnie nieroztropny. – Na przykład nie mogę złamać swoich ślubów czystości i posłuszeństwa, bez względu na to, jak bardzo chciałbym to zrobić.

– Doprawdy? – Joanna szła obok mnie, kiedy poczyniła tę uwagę, a ja zobaczyłem, jak rzuca na mnie z ukosa spojrzenie, które miało (nie znajduję innych słów, żeby to opisać) frywolny, a nawet flirtujący wyraz. Zamiast jednak rozpałić moje namiętności, wywołało efekt wręcz przeciwny: poczułem zimny wstrząs, jakbym oblał się wodą, i potrząsnąłem głową, jakby ta woda wdarła mi się do uszu.

– Wybaczcie mi – burknąłem. – Wybaczcie, nie jestem sobą.

– Nie jesteście – powiedziała Joanna, niemal z rozbawieniem. – To właśnie widzę. Jesteście chorzy, ojczy?

– Nie, chory nie jestem, ja... dziwne czary.

– Szliście tu z Casseras?

– Tak.

– A często chadzacie tak wysoko w góry?

– Nie – powiedziałem – ale nie jestem ojcem Augustynem, pani! Nie jestem niedołązny!

– Oczywiście że nie.

Ton jej głosu sprawił, że się roześmiałem.

– Jak umiejętnie schlebiacie mojej drażliwej próżności. Czy ćwiczyłaś to, pani, na ojcu Augustynie, czy to naturalny dar każdej matki?

Tym razem to Joanna zaczęła się śmiać, ale zrobiła to cicho, nie otwierając ust.

– Och, ojciec – powiedziała – wszyscy mamy słabości.

– Święta prawda.

– Na przykład szczerę się, że umiem rozpoznawać dobrych ludzi, którzy mi się przydadzą.

– Takich jak Alkaja?

– Jak Alkaja. I jak wy, ojciec.

– Naprawdę? Obawiam się jednak, że srodze się mylisz, pani.

– Być może – przyznała Joanna. – Być może nie jesteście tacy dobrzy.

Tu oboje się roześmialiśmy i wydawało się, że w tym śmiechu dzielimy nasze myśli i intencje, których nie dzieliłem z żadnym innym człowiekiem. Pozwólcie, że to wyjaśnię, bo wiem, że powiecie: „Oto mnich i kobieta. Co oni mogą widzieć w sercach i umysłach drugiego, oprócz pokus cielesnego pożądania?”. I mielibyście słuszność, do pewnego stopnia, ponieważ będąc grzesznikami w oczach Boga, oboje odczuwaliśmy wzruszenia ciała. Wierzę jednak, że ponieważ jesteśmy grzesznikami – karygodnie próżnymi, nieposłusznymi, zawziętymi, nawet lekceważącymi – ponieważ dzielimy tyle grzechów, widzimy wyraźnie siebie nawzajem. Zdajemy się znać jeden drugiego, znamy bowiem samych siebie.

Wystarczy powiedzieć, że mamy osobowości współczujące. Dziwny związek, zważywszy, że ona jest niepiśmienną córką kupca. Ale Bóg to źródło zagadek daleko większych.

– Na drodze leżą żółte kwiaty – zauważyłem, kiedy stało się dla mnie jasne, że zdążamy jakimś krętym obejściem i nie przejdziemy przez miejsce śmierci ojca Augustyna. – To ty je zerwałaś, Babilonio?

– To ja – odpowiedziała Joanna. – Wątpię, czy kiedykolwiek odwiedzę jego grób, więc musiałam zostawić je tam gdzie umarł.

– Będzie pochowany w Lazet. Zawsze możesz odwiedzić Lazet.

– Nie.

– Dlaczego nie? Nie możecie zostać tu na zimę. Dlaczego nie pojedziecie do Lazet?

– A dlaczego nie do Casseras? Jest o wiele bliżej.

– W Casseras mogą was nie powitać z otwartymi ramionami.

– W Lazet może być podobnie. Babilonia nigdy i nigdziej nie jest witana z otwartymi ramionami.

– Trudno mi w to uwierzyć. – Kiedy spojrzałem przed siebie, na wspinającą się stromą ścieżką Babilonię, znowu uderzyło mnie jej piękno. – Ona jest przepiękna, a do tego łagodna jak gołąbica.

– Dla ciebie jest łagodna jak gołębica. Dla innych będzie jak wilk. Nie poznałbyś jej. – Joanna poczyniła tę uwagę głosem całkowicie pozbawionym emocji. Zupełnie jakby uznawała taką transformację za coś zwyczajnego. Ale ton jej głosu ożywił się, gdy mówiła dalej: – Kiedy zobaczyłeś ją po raz pierwszy, zachowałeś się jak kiedyś Alkaja. Gdyby każdy był taki miły! Augustyn uśmiechnął się do niej, jakby bolały go trzewia.

– Może go bolały. Nie cieszył się dobrym zdrowiem.

– On się jej bał – ciągnęła Joanna, ignorując moją uwagę. – Kochał ją, ale się jej bał. Raz go zaatakowała, a ja musiałam ją odciągać. Siedział roztrzęsiony. W oczach miał łzy. Wstydził się swego strachu. – Nagle zmarszczyła się, ścigając ciemne brwi w jedną kreskę, co sprawiło że wyglądała groźnie. – Powiedział mi, że jest przeklęta przez nasz grzech, jego i mój. Odrzekłam mu, że to bzdura. Myślicie, ojczu, że miał słuszność?

Przypuszczałem, że przez ojca Augustyna przemawiała rozpacz i wstrząs, ale odpowiedziałem ostrożnie:

– Pismo Święte nic takiego nie mówi. „Co jest, że między sobą podobieństwo w tę przypowieść obracacie w ziemi izraelskiej mówiąc: Ojcowie zjedli jagodę winną niedojrzałą, a zęby synów drętwiąją? Żywę ja! – mówi Pan Bóg, jeśli wam będzie dalej to podobieństwo za przysłowie w Izraelu”.

– Więc Augustyn był w błędzie. Wiedziałam, że się myli.

– Joanno, nie znamy zamiarów Pana. Tylko jednego możemy być pewni – że wszyscy jesteśmy grzesznikami, każdy z nas. Nawet Babilonia.

– Grzechy Babilonii nie są jej własnymi – ostro i zawzięcie odpowiedziała wdowa.

– Ale człowiek nosi grzech zawsze od czasu Upadku. To Boski plan dla nas, istot ludzkich, że mamy wykroczać poza ten grzech, osiągając zbawienie. Chcecie powiedzieć, że Babilonia ma duszę zwierzęcą? Że jest mniej niż człowiekiem?

Wdowa otworzyła usta i znowu je zamknęła. Wydawała się intensywnie myśleć. Ponieważ dotarliśmy do ostatniego i najbardziej stromego odcinka wspinaczki, nie byliśmy w stanie rozmawiać, dopóki nie doszliśmy do pastwisk okalających forcję. Wtedy, wciąż dysząc z wysiłku, odwróciła się do mnie z ponurym i bolesnym spojrzeniem.

– Ojczu, jesteście bardzo mądrym człowiekiem – powiedziała. – Wiem, że jesteście miłosiernym i miłym towarzyszem, ponieważ wyjawiał mi to Augustyn. Byłam pewna, że was polubię, jeszcze przed naszym spotkaniem, a wiedziałam to ze sposobu, w jaki o was mówił. Ale nie zdawałam sobie sprawy, że macie w sercu tyle mądrości.

– Joanno...

– To, co mówicie, może być prawdą. Wierzyć, że grzechy mojej córki nie są jej własnymi, to uznawać ją za zwierzę. Ale, ojczu, ona czasami rzeczywiście jest zwierzęciem. Wydaje zwierzęce odgłosy i próbuje rozerwać mnie na części. Jak matka może zaakceptować to, że własne dziecko chce ją zabić? Jak ludzka istota może leżeć w swoich własnych odchodach? Jakże grzechy Babilonii mogą być jej własnymi, skoro ona ich nie pamięta? Jak, ojczu?

Co mogłem powiedzieć? Dla ojca Augustyna najwyraźniej haniebne czyny Babilonii wynikały z obecności demonów, były karą za jego własne grzechy. Ale ja nie czułem pewności, że jego przekonanie było słuszne. Rozważałem czy wstręt, który czuł do swojej moralnej i fizycznej słabości, nie zwiódł go w tym momencie.

– Pamiętaj – powiedziałem po chwili wahania – że Hiob, będąc doskonałym i prawym, został poddany próbie przez Boga i Szatana, a ci doświadczyli go każdym nieszczęściem jakie można sobie wyobrazić. Być może to cnota Babilonii, a nie jej grzech, ściąga na nią ten gniew. Być może ona także jest poddawana próbie.

Oczy Joanny wypełniły się łzami.

– Och, ojcie – wyszeptła – czy to może być prawda?

– Jak powiedziałem, nie znamy intencji Pana. Wiemy jedynie, że jest dobry.

– Och, ojcie, jakim jesteście wytchnieniem. – Jej głos drżał, ale uśmiechała się, przełknęła ślinę i starannie otarła łzy. – Jesteście bardzo mili.

– Nie takie wrażenie zamierzałem sprawić. – Chociaż zamierzałem, oczywiście. Miłosierdzie miłości Chrystusa wciąż przepelniało moje serce i pragnąłem uszczęśliwić cały świat. – Inkwizytorzy nie są mili.

– Prawda. Ale może wy nie jesteście bardzo dobrym inkwizytorem.

Uśmiechnąwszy się, ruszyliśmy do forcji, gdzie radośnie powitała mnie Alkaja. Siedziała przy łożu Witalii, czytając staruszcze traktat świętego Bernarda. Zauważyłem (w sposób jowialny), że to krzepiące widzieć ją ze świętym Bernardem, a nie z Pietrem di Giovanni Olivi. Ona zaś kiwnęła do mnie głową z czułością, jak ciotka.

– Jakże wy, dominikanie, nienawidzicie tego biednego człowieka – powiedziała.

– Nie człowieka, lecz jego idei – brzmiała moja odpowiedź. – Był zbyt żarliwy w swoim dążeniu do ubóstwa.

– Tak właśnie powiedział ojciec Augustyn.

– A wy się z nim zgodziłyście?

– Oczywiście. Za bardzo go złościło, jeśli się nie zgadzałam.

– Alkajo – zaprotestowała wdowa – kłóciłaś się z nim przez cały czas!

– Tak, ale on zawsze w końcu mnie pokonywał – zauważyła Alkaja. – Był bardzo mądry.

– Alkajo – powiedziałem, uznawszy, że jeśli chodzi o moje obawy, będę szczery, zamiast owijać je w bawełnę w pozornie niewinnej i przyjacielskiej pogawędce, jak to miałem w zwyczaju – wiedziałaś, że książki Oliviego są postrzegane z wielką niełaską przez papieża i wielu ważnych ludzi w Kościele?

Spojrzała na mnie ze zdumieniem.

– A co za tym idzie – kontynuowałem – że posiadanie którejś z nich to niemal przyznanie się do wiary heretyckiej. Wiedziałaś o tym?

Usłyszałem prychnięcie Joanny, ale nie spojrzałem na nią. Skupiłem swoją uwagę na Alkai, która uśmiechnęła się po prostu.

– Och, ojciec – powiedziała. – Ja nie jestem heretykiem.

– W takim razie powinnaś czytać inne książki. I powinnaś spalić traktat Pietra di Giovanni Olivi.

– Spalić tę książkę! – krzyknęła Alkaja. Wydawała się raczej ubawiona niż zszokowana, a ja byłem zdumiony, dopóki nie wyjaśniła mi, że ojciec Augustyn w ferworze kłótni wielokrotnie proponował jej, by spaliła traktat: – A ja mu odpowiadałam: „Ojciec, to moja książka. Mam ich tak mało. Kocham je tak gorąco. Czy obrabowałbyś mnie z własnych dzieci?”

– Alkajo, igrasz z ogniem.

– Ojciec, jestem biedną kobietą. Wiem, gdzie książka się myli, jaką więc może wyrządzić krzywdę? – Podając mi traktat świętego Bernarda do sprawdzenia, z miłością pieściła księgę, najpierw oprawę, potem pergamin stron. – Ojciec, zobaczcie, jak piękne są te książki. Otwierają się jak skrzydła białej gołębiczy. Pachną mądrością. Jak moglibyście spalić choćby jedną z nich, skoro są takie piękne i niewinne? Ojciec, to moi przyjaciele.

Miłosierny Boże, cóż ja mogłem na to powiedzieć? Jestem dominikaninem. Spałem z *Wyznaniami* świętego Augustyna przytulonymi do piersi. Płakałem, widząc karty obracające się w pył w moich dłoniach, pod okrutnym wyrokiem moli książkowych. Całowałem Pismo Święte. Każde słowo wypowiedziane przez Aikaję poruszało czułe struny mego serca – tego dnia już mocno zażawionego miłością Boga.

I pomyślałem o swoich książkach (swoich własnych, a jednak nie swoich własnych), ofiarowanych mi przez Zakon i przez pewnych ludzi, którzy kochali mnie w przeszłości. Ojciec podarował mi dwie księgi o moim zawodzie: *Złotą legendę* Jakuba z Voragine, którą to książkę czytałem, i *Decretum* Gracjana, której się radziłem. Od jednego z nauczycieli w Carcassonne, starego i mądrego brata o imieniu Gilabert, dostałem egzemplarz *Ars Grammatica* Donatusa. (Napisał w nim: „Jestem stary, a ty jesteś moim najlepszym uczniem. Weź to, używaj tego mądrze, i módl się za mnie, kiedy będziesz to czynił”. Bóg jeden wie, jak wysoko cenię tę księgę!). W jednej z parafii, w której byłem ordynariuszem, mieszkała szlachetna niewiasta. Zmusiła mnie ona do przyjęcia *Księgi godzin*, mówiąc, że moja elokwencja tak ją poruszyła, że musi rozdać wiele ze swych dóbr. Choć jej zachwyty wprawiały mnie w niejakie zakłopotanie, nie mogłem się zdobyć na odrzucenie wykwintnie dekorowanej i inkrustowanej złotem księgi.

I wreszcie ojciec Jakub pozostawił mi po śmierci jedną ze swych ksiąg: *Ad Herrenium de arte rhetorica* Cyserona. Myśląc o tej pracy, i o innych leżących w mojej celi, byłem zawstydzony – jak zawsze – że moja miłość do nich ma naturę miłości posiadacza. („Żaden nie może dwom panom służyć...”) Oczywiście one nie były naprawdę moje, ale mogłem z nich korzystać, dopóki żyłem, postrzegałem je więc jak własne ręce czy stopy. Czy dla mnicha zakonu świętego Dominika nie był to grzech? Czy mogłem uważać się za lepszego od Alkai, która mówiła o swoich księgach jak o dzieciach, zarówno pięknych, jak niewinnych?

– Alkajo – powiedziałem, i Bóg mi świadkiem, czyniłem straszne poświęcenie – jeśli dasz mi traktat Pietra di Giovanni Olivi, ja ofiaruję ci w to miejsce inną księgę. Dam ci *Żywot świętego Franciszka*, z książki zwanej *Złotą legendą*, która ma o wiele większą wartość. Czytałaś kiedyś *Złotą legendę*?

Alkaja pokręciła głową.

– Otóż – mówiłem dalej – zawiera ona historie wielu świętych, a wśród nich świętego Franciszka. A on, jak wiesz, był zaślubiony Pani Ubóstwu całym swoim ciałem i duszą. Wezmiesz tę błogosławioną księgę w zamian za traktat Oliviego? Jest o wiele lepszej jakości.

Otóż poczyniłem tę hojną propozycję, żeby sprawdzić wiarę Alkai. Gdyby błędy Oliviego zaraziły tę niewiastę, wzbraniałaby się przed wydaniem jego dzieła, bez względu na to, co mogłaby w zamian pozyskać. Ale już kiedy mówiłem, jej oczy jaśniały; dotknęła ust, a potem piersi.

– Święty Franciszek! – krzyknęła. – Och, ja... och, jakież dobrodziejstwo...

– Macie przy sobie tę księgę? – zapytała mnie Joanna.

– Nie. Ale poślę po nią. Będziesz ją miała, zanim opuścę Casseras. Śmiało. – Położyłem dłoń na ramieniu Alkai, i pochyliłem się, tak że nasze twarze znalazły się na tej samej wysokości. – Daj mi książkę Oliviego i pozwól wytchnąć moim myślom. Zrobisz to dla mnie? Ofiarowuję ci księgę mojego ojca, Alkajo.

Ku memu całkowitemu zdumieniu, pogłaskała mnie po policzku, sprawiając, że szarpnąłem się do tyłu. Później przeor Hugon przestrzegł mnie, bym nie pozwalał na takie zdarzenia, mówiąc, że to moje serdeczne – nawet czułe – zachowanie zachęciło do takich poufałości. Może miał słuszość. A może miłość Boga wciąż lśniła w moich oczach, dobywając z Alkai naturalną reakcję.

Tak czy owak, pogłaskała mnie po policzku i uśmiechnęła się.

– Nie musisz mi dawać księgi swego ojca – powiedziała. – Jeśli tamta kłopotuje twoją duszę, możesz ją wziąć z moją miłością. Wiem, że chcesz tylko mojego dobra, jako że oświeciły cię promienie niebiańskiej mądrości.

Jak możecie sobie wyobrazić, nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Nie musiałem jednak nic mówić, ponieważ w tym momencie Babilonia (która była przed domem) wydała straszliwy krzyk.

– Mamo! Mamo, ludzie! Ludzie!

Nie mogę sobie przypomnieć, co dokładnie zrobiłem. Pamiętam jedynie, że nagle znalazłem się na podwórzu, zmierzając do Babilonii, która biegła w tę i z powrotem jak zamknięty w klatce króliczek. Chwyciłem ją i przytrzymałem, a w zamian zostałem pobity i podrapany.

– Spokojnie – powiedziałem. – Spokojnie, moje dziecko. Nie pozwolę, by cię skrzywdzili. No już, spokojnie.

– Mama jest przy tobie, ptaszynko. Mama jest przy tobie – szeptała Joanna, gdy do nas dotarła. Próbowwała objąć córkę, ale Babilonia się uchyliła; miotła się w moich ramionach, kołysząc głową i wydając dziwne dźwięki, brzmiące jak język demonów. Zdumiała mnie jej moc. Prawdę mówiąc, ledwie miałem siłę w ramionach, żeby ją powstrzymać, chociaż była taka mała i drobna.

Potem znowu zaczęła krzyczeć, a był to krzyk przeklętej duszy. Kiedy spojrzałem w jej twarz, zobaczyłem całkowicie odmienione oblicze, czerwone i wykrzywione, z sinym wyciągniętym językiem i zgrzytającymi zębami, wytrzeszczonymi oczyma, nabrzmiałymi żyłami. Ujrzałem twarz diabła, i przeraziła mnie ona tak bardzo, że zakląłem (w duchu wstyd za to czując), a Babilonia zaczęła powtarzać to przekleństwo z nieludzką szybkością.

– Puść ją! – krzyknęła Alkaja. – Boisz się, ojczu, puść ją!

– Ale ona cię zrani – wydyszałem.

– Puść ją!

Okazało się, że nie miałem wyboru, ponieważ w tym właśnie momencie Babilonia i ja zostaliśmy rozdzieleni przez jednego z moich sierżantów. Chociaż nie byłem świadom ich obecności, strażnicy przybyli do forcji; powitały ich przerażające krzyki i zobaczyli, jak z twarzą w strużkach krwi mocuję się z Furią.

Może nic dziwnego, że odpowiedzieli z niepotrzebną siłą.

– Ojczu, ojczu, jesteście ranni?

– Puśćcie ją! Hej, przestań, puść ją! Przestań! – Byłem bardzo zły, ponieważ chwycili Babilonię i rzucili ją na ziemię, a jeden z żołnierzy (wielki, nieporadny osobnik) przyparł ją kolanem. Uwolniwszy się od strażników, którzy trzymali mnie, popchnąłem tego człowieka ze wszystkich sił i przewróciłem na bok. Zapewniam was, że nie uległby, gdyby w jakimkolwiek stopniu spodziewał się ataku z mojej strony.

– Moja kochana. Och, moja kochana, Chrystus jest tu. Pan Jezus tu jest. – Padłszy na ziemię przy bezsilnej dziewczynie, Alkaja kołysała w ramionach jej zakrwawioną i pokrytą pyłem głowę. – Smakujesz jego słodkości? Czujesz jego uścisk? Wypij jego wino, najdroższa, i zapomnij o swoich smutkach.

– Czy ona jest ranna? – Pochyliłem się nad dziwną parą, niespokojnie próbując ocenić stan Babilonii, kiedy poczułem, jak odciąga mnie więcej rąk. Znowu byłem zmuszony wyswobodzić się z uchwytu zmieszanych żołnierzy, którzy widocznie chcieli uchronić mnie od krzywdy. – Puśćcie mnie, błagam, nic mi nie grozi! Patrzcie!

I wskazałem nieszczęsną dziewczynę, która leżała spokojnie u moich stóp i jęczała z zamkniętymi oczyma. Stojący obok mnie sierżant spojrzał na nią wzrokiem, którym można potraktować martwego robaka.

– Czy ona to zrobiła, ojczu? – zapytał.

– Co?

– Czy ona zabiła ojca Augustyna?

– Zabiła...? – Zrozumiałem dopiero po chwili. – Głupcze! – rzuciłem i zwróciłem się znowu do Alkai: – Czy ona jest ranna? – powtórzyłem. – Czy oni ją zranili?

– Nie.

– Bardzo mi przykro.

– To nie twoja wina – powiedziała Joanna. – Ale myślę, że, wybaczcie mi, ojcze, lepiej będzie, jeśli odejdziecie.

– Tak. – Moja eskorta zgodziła się z nią. – Pójdziecie z nami. Ta szalona kobieta wydrapie wam oczy.

Odszedłem więc w tym właśnie momencie. Pomyślałem, że to najlepsze wyjście, chociaż było mi przykro, że mojemu odejściu towarzyszą takie nieprzyjemności. Kiedy wycofałem się z podwórza, odwróciłem się i zobaczyłem, że Babilonia jest z powrotem na nogach, że już nie krzyczy i nie walczy, tylko stoi spokojnie, jak kobieta w pełni panująca nad swoim darem – i to dodało mi otuchy. Zauważyłem, że Joanna podniosła rękę w pożegnalnym geście i to także przyniosło mi pociechę. (Wspomnienie tego gestu, niepewnego i przepraszającego, pozostało ze mną przez jakiś czas).

Alkaja zdawała się zapomnieć o moim istnieniu; nie podniosła wzroku, żeby zobaczyć, jak odchodzę.

W innych okolicznościach być może rugałbym moich strażników przez całą drogę do Casseras, czym zyskałbym ich posępną niechęć. Z początku byłem jednak zbyt wstrząśnięty, żeby mówić. Myślałem o przeobrażeniu Babilonii i o szatańskich mocach, które musiały je wywołać. Potem, kiedy mijaliśmy kwiatki Joanny, pokój Boży na powrót zagościł w mej duszy. Uspokoił mnie i uciszył; byłem jak statek na spokojnych wodach. Usunąć więc smutek z serca, powiedziałem sobie, i pozbądź się zła ze swego ciała. A któż to wie, co w życiu dobre dla człowieka, dopóki liczy marne dni swego życia, które jakby cień przepędza?

– Przyjaciele – powiedziałem do jadących u mego boku ludzi – chciałbym uczynić pewną propozycję. Gdybyście zapomnieli powiedzieć seneszalowi, że sam odwiedziłem forcję, ja zaniedbałbym poinformowania go, że nikt mnie przed tym nie powstrzymał. Czy to wam odpowiada?

Bardzo im to odpowiadało. Prawdę mówiąc, ich strachy zostały uśmierzone, a nastrój wyraźnie się poprawił. Przez resztę podróży rozmawialiśmy o takich przyjemnych rzeczach jak jedzenie, szaleni ludzie i rany, których byliśmy świadkami w przeszłości.

I żaden z nich nie wiedział, że moje serce tęskniło za towarzystwem, które zostawiliśmy za sobą.

Którzy jesteście obciążeni

Pozostałem u ojca Pawła przez dwa dni.

Pierwszego dnia po opuszczeniu forcji pojechałem do Rasiers i rozmawiałem z prewotem. Przekonany o swojej ważności mały człowieczek o pompatycznym sposobie bycia zdał mi pełną relację ze swego śledztwa w sprawie ojca Augustyna, śledztwa, które – muszę przyznać – przeprowadzono nienagannie. Potem powróciłem tą samą drogą do Casseras i wypytałem dwóch chłopców, Wilhelma i Gwidona, o to, jak odkryli szczątki. Chociaż wyczułem, że rodziców nieco niepokoją moje rozmowy z ich dziećmi, samych chłopców aż nadto uszczęśliwiła możliwość wyświadczenia mi przysługi, byłem bowiem na tyle przewidujący, by uzbroić się w łakocie, przygotowane na moją prośbę w klasztornej kuchni. Prawdę mówiąc, wokół mnie szybko pojawili się wszyscy najmłodsi mieszkańcy wioski: czekali na mnie na progu i wyglądali mnie z okien. Ja jednak nie protestowałem przeciwko tej gonitwie, jako że dzieci nie były wprawnymi kłamcami. Jeśli ktoś jest cierpliwy, przyjazny i ochoczo okazuje zdumienie, może się wiele dowiedzieć od dzieci. Często bowiem zauważają one rzeczy, które umykają uwadze dorosłych.

Kiedy na przykład dowiadywałem się o działania ojca Augustyna i jego strażników, przeszedłem do pytania o jakichkolwiek innych obcych, którzy mogli przejść przez wioskę. Może jacyś ludzie w szarych szatach? Tacy, którzy żyli w lesie i przyszli do wioski nocą? Nie? A zbrojni na koniach?

– Był tu seneszał – powiedział Wilhelm. Bystry chłopak z tego Wilhelma. – On przyjechał z ludźmi.

– Ach tak.

– Zadawał nam te same pytania. Zebrał razem całą wioskę i zapytał: „Czy widzieliście jakichś zbrojnych na koniach?”

– A widzieliście?

– O nie.

– Nie.

– Nikt nie widział.

– Oprócz Lili – zauważyło jedno z mniejszych dzieci, a Wilhelm się skrzywił.

– Lili? – zapytał, zwracając się do maleńkiej dziewczynki z burzą ciemnych, kręconych włosów. – Co ty mówiłaś?

Ale Lili tylko patrzyła na niego pustym wzrokiem.

– Ona widziała człowieka ze strzałami – pośpieszył z zapewnieniem kolega Lili. – Ale nie widziała żadnego konia.

– Strzałami? – Wilhelm ponownie wziął na siebie przepytывanie świadka. – Gdzie go zobaczyłaś, Lili? Powinnaś była powiedzieć o tym seneszalowi!

– Ale ona nie widziała żadnego konia. A seneszał mówił o koniach.

– Prima, jesteś głupi! Jakby to miało znaczenie! Lili, kiedy widziałaś tego człowieka? Jak on wyglądał? Czy miał miecz? Lili? – Nie padła żadna odpowiedź, a Wilhelm nagle stracił cierpliwość do małej dziewczynki. – Och, ona nic nie widziała. Jest taka głupia. Zmyśliła to.

– Lili, chodź tutaj. – Kiedy Wilhelm skończył wypytywać Lili, na co pozwoliłem mu, wierząc, że może przyjacielowi będzie odpowiadać chętniej, uznałem, że nie stracę nic, zwracając się do niej osobiście. – Lili, mam coś dla ciebie. Widzisz? Pyszne ciasteczko. W środku są orzechy. Lubisz takie? Tak? Mam jeszcze jedno... gdzie ono jest? Nie, tu go nie ma. Może jest w rękawie? Poszukamy? Nie. Może znajdziemy je w miejscu, gdzie widziałaś człowieka ze strzałami. Myślę, że ono tam właśnie może być. Pokażesz mi, gdzie to jest? Chodźmy więc.

W ten oto sposób wymaszerowałem z wioski ramię w ramię z trzyletnią dziewczynką, ścigany przez wiele innych dzieci. Towarzyszyli mi do skraju pola pszenicy, nad którym wznosiło się skaliste i porośnięte zbocze, w większości ogołoczone z drzew. Dawało jednak dostateczne schronienie dla czającego się zabójcy, który musiałby minąć Casseras niezauważony – mogło go widzieć jedynie dziecko, które było zbyt małe, by ktoś je spostrzegł.

Sprawdziłem rejon wskazany przez Lili, udając, że szukam migdała w miodzie. Przyjęła go łapczywie, ale nie była rozmowna, kiedy próbowałem wydobyć z niej datę albo czas.

– Ona mi powiedziała, że to było dawno temu – zgłosił się na ochotnika Prima.

– Jak dawno?

– Bardzo dawno... całe dni...

– To musiało być, zanim znaleźliśmy ojca Augustyna – przerwał Wilhelm – bo od tego czasu nie wolno nam oddalać się samotnie od wioski.

Jak już zauważyłem, z tego Wilhelma był sprytny chłopak.

– Przestraszyłaś się, Lili? Wtedy jak zobaczyłaś tego człowieka? – zapytałem, a ona pokręciła głową. – Dlaczego nie? Czy on się do ciebie uśmiechnął? Znasz go? – Ona znowu pokręciła głową, a ja zacząłem tracić nadzieję, że wyciągnę z niej choćby jedno sensowne słowo. – Myślę, że ta dziewczynka nie ma języka. Umiesz mówić Lili czy może nie masz języka?

W odpowiedzi jej język ukazał mi się w całej okazałości.

– Och! – wykrzyknął nagle Prima. – Wiem! Ona mi mówiła, że widziała żołnierzy ojca Augustyna! A ja powiedziałem, że kłamie, bo oni już dawno wyruszyli do forcji!

– Chcesz powiedzieć, że to się wydarzyło tego samego dnia?

– Tak.

– Lili, spójrz na mnie. Czy ten mężczyzna miał na sobie krew? Nie? Nie krew? Jakiego koloru miał włosy, czarne? Brązowe? A w co był ubrany? Lili? Spójrz na mnie, proszę.

Ton mojego głosu był jednak zbyt niecierpliwy: jej usta zadrżały, a ona sama zaczęła płakać. Byłem skłonny ją uderzyć, wybacz mi, Boże.

– Ona jest taka głupia – ze współczuciem zwrócił się do mnie Wilhelm. – Dajcie jej jeszcze jednego migdała.

– I mi! I mi!

– Dajcie i mnie jednego.

Poświęciwszy ogromną ilość czasu i energii, zdołałem się dowiedzieć, że zbrojny miał czarne włosy, zieloną bluzę i niebieski płaszcz. Do ustalenia, czy wjeżdżał wcześniej tego dnia do Casseras z ojcem Augustynem, Lili okazała się już nieprzydatna. Szybko stało się oczywiste, że nie jest ona w stanie odróżnić jednego zbrojnego od drugiego.

Niemniej jednak znacznie powiększyłem swoją wiedzę. I byłem rad, wielce rad, że żaden ze strażników ojca Augustyna nie nosił zielonej bluzy ani kołczanu ze strzałami. Wyglądało na to, że w pobliżu pszenicznego pola Lili spotkała obcego, a skoro tak, niewykluczone, że był to zabójca, chociaż co do tego nie mogłem mieć pewności.

Nawet dzisiaj jej nie mam, po zawziętym tropieniu tej Kwestii, nie byłem bowiem w stanie znaleźć choćby skrawka nowej informacji. Namówiłem rodziców Lili, żeby sami ją przepytali, oni jednak byli prostymi wieśniakami, równie niewymownymi jak ich latorośl, nie spodziewałem się więc uzyskać od nich większej pomocy. Również ich sąsiedzi nie dostarczyli mi żadnych użytecznych pogłosek ani domysłów. Jak odkrył już Roger Descalquens, mieszkańcy Casseras niczego nie widzieli, nie słyszeli i nie podejrzewali. Co więcej, utrzymywali, że są dobrymi katolikami, chwając ojca Augustyna, za trzymanie się z dala od ich spraw. Naturalnie byłem bardzo delikatny i ostrożny w swoim przepytaniu – niekiedy rozmawiałem z nimi nawet przy zamkniętych okiennicach. Ale po dwóch dniach spędzonych na zdobywaniu względów każdego z osobna, za pomocą łakoci, życzliwości i kilku ostrożnie złożonych obietnic, niepewny opis Lili wciąż był moim jedynym osiągnięciem. Nie wykryłem ani jednego śladu herezji (jeśli pominąć – a zawsze to czynię – niekończące się narzekania na dziesięcinę). Nikt nie rzucił nawet fałszywego oskarżenia, co mnie zaskoczyło, rzadko się bowiem zdarza, żeby przesłuchiwanie wioski nie zachęciło chociaż jednego mieszkańca do zniesławienia wroga niesprecyzowanym kłamstwem o odrzuceniu mięsa albo o splunięciu na hostie w czasie mszy.

Moje nadzieje pozostały więc niespełnione, ale nie upadłem na duchu. Zupełnie jakby wielki blask Boskiej Miłości, rozniecony w moim sercu na tym zroszonym zboczku, zostawił

ciepłe węgielki, które rozświetliły wszystkie ciemne kąty duszy i nie pozwalały, by mój ponury nastrój przybierał na sile. Zapewniam, że kiedy prowadziłem przesłuchania w Casseras, medytowałem dwa razy więcej nad moją mistyczną komunią z Bogiem; mój umysł nie był jednak zmaćniony pobożnym roztargnieniem, lecz stał się jasny, bystry i silny.

Musze też przyznać, że bardzo dużo rozmyślałem o kobietach z forcji, i to może nie było takie godne pochwały. Wysłałem nawet jednego z moich strażników do Lazet po *Złotą legendę* (a właściwie po kodeks ze świętym Franciszkiem) – której nie mogłem dać Alkai osobiście, ponieważ nie chciałem po raz kolejny zakłócać spokoju Babilonii swoją wielką i niezdarną eskortą. Zostawiłem więc księgę ojcu Pawłowi, uzyskując od niego obietnicę, że dostarczy ją przy najbliższej sposobności. W środku napisałem: „Niech nauczanie świętego Franciszka prowadzi Cię jak gwiazda i daje Ci wytchnienie w troskach. Mam nadzieję, że zobaczę Cię w Lazet tej zimy. Niech Pan błogosławi Cię i strzeże; usłyszysz o mnie jeszcze”.

Naturalnie w tej dedykacji posłużyłem się tonem gminnym i miałem nadzieję, że Alkaja przeczyta ją swoim przyjaciółkom.

Kiedy wróciłem do Lazet, stwierdziłem, że podczas mojej nieobecności wiele się wydarzyło. Przywieziono odciętą głowę i – pomimo zaawansowanego stanu rozkładu – rozpoznano ją jako należącą do ojca Augustyna. Przeor Hugon zarządził więc, że szczątki będą pogrzebane, i to z należyтым pośpiechem: przygotowano skromny pochówek i odprawiono nabożeństwo żałobne. Wrócił także koń biskupa, ku wielkiej radości swego właściciela. Roger Descalquens otrzymał od jednego z miejscowych kasztelanów raport, że dwoje dzieci z Bricaux widziało nagiego obcego obmywającego się w tamtejszym strumieniu, ale umknęły przestraszone, kiedy zamachnął się na nie mieczem. Zgodnie ze słowami dzieci, w pobliżu stał spętany koń, ale nie było ani śladu innego człowieka.

Data tego zdarzenia okazała się trudna do ustalenia, ale i seneszał był przekonany, że działo się to w dniu śmierci ojca Augustyna. Opis mężczyzny również był cokolwiek niejasny. „Wielki i włochaty, z wielkimi zębami i czerwonymi oczyma” – tak sparafrazował go Roger. Niemniej jednak rozesłał tę charakterystykę do wszystkich urzędników królewskich w regionie – wraz z zeznaniem Lili o człowieku z pola pszenicznego. Nie miałem dobrego zdania o użyteczności niekompletnego *effictio*, ale Roger był całkiem ucieszony.

– Ziarnko do ziarnka – powiedział – a zbierze się miarka. Wiemy, że było ich tam co najmniej trzech: jeden przeszedł przez góry do Katalonii; jeden poszedł na wschód, w stronę wybrzeża; jeden skierował się na północ. Ten, który ruszył na północ, był wielki i włochaty. Ten, który poszedł na wschód, porzucił swego konia...

– Porzucił konia biskupa – poprawiłem. – Czy jechał na swoim własnym? Lili nie widziała żadnego konia. Czy koń przy strumieniu wyglądał jak koń biskupa, czy też zabójcy przybyli do Casseras piechotą, a oddalili się na skradzionych koniach?

Roger zmarszczył brew. – Zaatakowanie pięciu mężczyzn na koniach – wymamrotał – byłoby bardzo niebezpieczne, gdyby napastnicy sami nie jechali konno.

– Mieli strzały – zwróciłem uwagę.

– Mimo to...

To wtedy właśnie zaznajomiłem seneszala z moją hipotezą dotyczącą zdrajcy w orszaku ojca Augustyna. Zgodziliśmy się, że prawi słudzy, oszołomieni atakiem z zewnątrz, mogli nie dostrzec zdrady – albo odkryć ją za późno. Można było zasztyletować ich od tyłu – a w takim wypadku napastnicy nie musieli mieć koni.

– Ojczy, macie umysł zbójcy – powiedział z podziwem Roger. – To by wszystko wyjaśniało.

– Niemal wszystko.

– Dajcie mi opis tych dwóch ludzi, których podejrzewacie: Jordana i Mauranda, takie noszą imiona? Dajcie mi pełen opis, a ja powiadomię kogo się da.

– Musimy także sprawdzić ich ostatnie poczynania, ludzi, z którymi byli związani, domy, do których mogli chadzać...

– Właśnie tak. – Seneszal klepnął mnie po ramieniu w geście koleżeńskiej zażyłości. – Zapytajcie ich dowódców, a jeśli podadzą wam jakiegokolwiek nazwiska, przekażcie je mnie.

W ten sposób zostałem obarczony kolejnym ciężkim zadaniem, a tymczasem Święte Oficjum w Lazet niemal przestało funkcjonować. Na szczęście dostałem wiadomość od biskupa Anzelma, że Inkwizytor Francji wie już o śmierci ojca Augustyna i pilnie szuka następcy. Zdawałem sobie sprawę, że wobec tragicznego losu, który spotkał mojego zgłodzonego zwierzchnika, poszukiwania te będą żmudne i trudne. Prawdę mówiąc, miałem niewielką nadzieję, że jego następcą znajdzie się przed Nowym Rokiem. Wiedziałem jednak przynajmniej, że ktoś stara się rozwiązać ten problem i że moją sytuację znają osoby, które mogły coś na nią zaradzić.

Przyznacie, jak myślę, że skoro tyle rzeczy zajmowało moje myśli, byłem usprawiedliwiony, że odprawiłem Grimauda Sobacę, kiedy ten poprosił o rozmowę rankiem po moim powrocie z Casseras. Pamiętacie Grimauda? To sługa, któremu ojciec Jakub powierzał pewne przykre obowiązki – człowiek, który fałszywie oskarżył Joannę i jej przyjaciółki o to, że są heretyczkami. Nie miałem więc ochoty go znosić i odmówiłem mu wstępu do Świętego Oficjum.

Ze zwykłą sobie uporczywością stanął jednak przede mną na ulicy, kiedy wracałem do klasztoru.

– Panie! – powiedział. – Muszę z wami porozmawiać!

– Nie jestem zainteresowany twoimi kłamstwami, Grimaud. Zejdź mi z drogi.

– Nie kłamstwami, panie, o nie! Tylko tym, co słyszałem! Podziękujecie mi za to, na mój honor!

Chociaż niechętnie wyróżniam to przestępcze stworzenie *effctio*, wierzę, że taki opis może służyć zobrazowaniu nikczemności jego duszy, albowiem wygląd Grimauda był równie odrażający jak jego moralna nieprawość. Tłusta i pokryta krostami skóra, czerwony nos,

tusza – wszystko to dowodziło żarłoczności, braku umiaru. Lenistwo uczyniło go sflaczałym, zawiść doprowadzała go do skamlania. Był jak ibis, który własnym dziobem wyszarpuje sobie jelita.

– Panie! – wykrzyknął, kiedy ruszyłem, żeby go ominąć. Mam wieści o śmierci ojca Augustyna! Muszę porozmawiać z wami na osobności!

Słyszając te słowa, byłem oczywiście zmuszony przystać na jego żądanie, ponieważ nie chciałem omawiać tej kwestii w miejscu, w którym mogli usłyszeć nas inni. Zabrałem go więc do Świętego Oficjum, usadowiłem w gabinecie mojego zwierzchnika i stanąłem nad nim, przybierając groźną pozę.

– Gdybym nie był tak zajęty, Grimaud, aresztowałbym cię za doprowadzanie fałszywych świadków – powiedziałem. – Te kobiety z Casseras nie są heretyczkami i nigdy nie były. Więc na twoim miejscu dobrze, bardzo dobrze bym się zastanowił, zanim oskarżyłbym jeszcze kogoś, ponieważ następnym razem będę bezlitosny. Rozumiesz?

– O tak, mój panie. – Ten człowiek był bezwstydnym. – Ale ja tylko mówię wam to, co słyszę.

– A więc twoje uszy są pełne łajna – rzuciłem, na co on roześmiał się rozpaczliwie, myśląc, że zdobędzie sobie względy fałszywym wyrazem uszanowania. – Cicho bądź! Przystań ryczeć i powiedz, z czym przyszedłeś.

– Panie, mój przyjaciel był w Crieux dwa dni temu, w tamtejszej oberży, i zobaczył przy sąsiednim stole ojca, brata i kuzyna Bernarda z Pibaux. Kiedy przechodził, usłyszał ich rozmowę. Ojciec, Piotr, rzekł tak: „To nic nie zmieni. Zabijesz jednego, a Paryż przyśle następnego”. Wtedy ten kuzyn stwierdził: „Ale przynajmniej pomścimy mojego kuzyna”. A Piotr powiedział: „Ćśśś, głupcy, oni wszędzie mają szpiegów!” I wtedy zamilkli.

Przekazawszy te informacje, Grimaud sam zamilkł, wpatrzony w moją twarz z wyczekiwaniem. Był jak pies czekający pod stołem na kość. Splotłem ramiona.

– I oczekujesz za to zapłaty? – powiedziałem, a on zmarszczył brwi.

– Panie, oni powiedzieli: „Paryż przyśle następnego”!

– Grimaud, kim jest ten „przyjaciel”, o którym mówisz?

– To człowiek o nazwisku Barthelemy.

– A gdzie mogę go znaleźć?

– W szpitalu Świętego Szczepana. Gotuje tam jedzenie.

Ta odpowiedź nieco mnie zadziwiła, spodziewałem się bowiem usłyszeć, że rzeczony Barthelemy wyruszył na pielgrzymkę albo umarł na zarazę. Wtedy jednak zdałem sobie sprawę, że mógł się zgodzić potwierdzić zeznanie Grimauda w zamian za udział w przewidzianej zapłacie – zwłaszcza jeśli nie wiedział o karach wymierzanych za składanie fałszywych zeznań.

Z drugiej strony – istniała szansa, cień szansy, że ta historia jest prawdziwa. Grimaud, chociaż zasadniczo kłamca, czasami mógł mówić prawdę. Dlatego właśnie odrzucanie

wszystkich jego twierdzeń bez zastrzeżeń stanowiło problem (zwłaszcza w świetle faktu, że Piotr z Pibraux zajmował wysoką pozycję na mojej liście podejrzanych).

– Porozmawiam z twoim przyjacielem i z oberżystą w Crieux – powiedziałem. – Jeśli dojdę do wniosku, że w twoich słowach jest ziarno prawdy, dostaniesz zapłatę.

– Och, dziękuję wam, panie!

– Wróć za dwa tygodnie.

– Dwa tygodnie?! – Na twarzy Grimauda odmalowało się przerażenie. – Ale... panie... dwa tygodnie...

– Jestem zajęty. Bardzo zajęty.

– Ale ja potrzebuję pomocy teraz...

– Jestem zajęty, Grimaud, zajęty! Nie mam dla ciebie czasu! Ani chwili! A teraz wyńś się i wróć za dwa tygodnie!

Trzeba przyznać, że podniosłem głos, a moi przyjaciele powiedzą wam, że nieczęsto tracę opanowanie w ten sposób. Zniechęcała mnie jednak liczba stojących przede mną zadań. Na początek miałem prześledzić życie Jordana i Mauranda, dwóch podejrzanych strażników, wraz z ich zwyczajami i powiązaniem. Musiałem spotkać się z Bernardem z Pibraux, jego trzema młodymi przyjaciółmi, ojcem i bratem. Rajmund Maury, piekarz, miał się stawić przede mną następnego dnia, a ja nie poczyniłem żadnych przygotowań ani do spotkania z nim, ani do przesłuchania jego ojczy. Jeśli chodzi o innych podejrzanych (takich jak Bruna z Aguilar), ignorowałem ich całkowicie. Rajmund Donatus i Durand Fogasset dopominali się o pracę, a i brat Lucjusz siedział beczynnym. Pons, nadzorca więzienia, poinformował mnie, że jeden z wieśniaków z Saint-Fiacre zmarł był i że pozostali są chorzy. Dodał, że takich zgonów należy się spodziewać w zatłoczonym więzieniu. Kiedy znajdę czas na przesłuchanie więźniów z Saint-Fiacre?

Nie potrafiłem odpowiedzieć. Nie wiedziałem. Wydawało mi się, że muszę wyznaczyć jednego z braci na zastępcę – ponieważ jednak sam byłem zastępcą, nie miałem władzy, by to uczynić. Gdyby biskup Anzelm przypominał biskupa Jakuba z Pamiers, przekonałbym go, by ustanowił inkwizycję episkopalną. Straciłem jednak nadzieję, że doczekam się od biskupa Anzelma jakiejś pożytecznej pomocy. Prawdę mówiąc, byłem zrozpaczony, i to nie tylko z powodu ilości pracy, która rozciągała się przede mną jak dzika puszczę.

W głębi serca mocno zmartwiło mnie, że przeor Hugon szorstkimi słowami potraktował mój pobyt w Casseras.

Po powrocie poszedłem do przeora i poprosiłem o posłuchanie. Przede wszystkim chciałem zapoznać go z tym przekształcającym i ekstatycznym doświadczeniem, którego zaznałem na zboczu góry. Chciałem go zapytać, jak mogę w przyszłości oczyścić swoją duszę i jakie powinienem poczynić kroki, aby raz jeszcze osiągnąć taki podniosły stan. Próby opisan

owego przeżycia musiały być nieudolne, albowiem przeor wydawał się bardziej zainteresowany rolą Joanny w tym, co określał mianem „zmysłowego wydarzenia”.

– Mówiłeś, że ona uśmiechnęła się do ciebie, a twoje serce wypełniło się miłością – rzekł potępiająco. – Mój synu, obawiam się, że byłeś przedmiotem pokus cielesnych żądz.

– Ale to była wszechogarniająca miłość. Kochałem wszystko, co widziałem.

– Kochałeś stworzenie.

– Tak, kochałem stworzenie.

– A co święty Augustyn mówił o takiej miłości? „To prawda, że On stworzył wszystko niezwykle dobrze, ale to On, a nie stworzenie, jest moim dobrem”.

Ta uwaga sprawiła, że się zamyśliłem, a przeor, widząc moje zmieszanie, ciągnął dalej.

– Mówisz o kwiatach, które uciszyły twoje lęki swoim pięknem i zapachem. Mówisz o muzyce, że cię porwała, i o widoku, że cię oczarował. Mój synu, to są jedynie zmysłowe rozkosze.

– Ale one prowadziły mnie do Boga!

– I znowu wracam do świętego Augustyna. „Kochajcie, ale miejcie baczenie, co kochacie. Umiłowanie Boga, umiłowanie bliźniego nazywa się miłością. Umiłowanie świata i życia doczesnego nazywa się chucią.”

Ale ja nie doświadczyłem niczego takiego.

– Ojciec – powiedziałem – jeśli sięgamy do świętego Augustyna, musimy rozważyć wszystkie jego słowa. „Niechaj tkwi w sercu korzeń miłości, wyrośnie z niego tylko dobro”^{*}; „Ty zaś, który Boga nie widzisz, kochając bliźniego zasłużysz sobie, abyś Go widział”^{*}.

– Mój synu, mój synu – przeor podniósł dłonie. – Powstrzymaj swoje namiętności.

– Wybaczcie mi, ale...

– Znam autorytety, które poparłyby twój argument. Święty Paweł mówi: „Lecz nie pierwej, które duchowne jest, ale które cielesne, po tym które duchowne”. Święty Bernard mówi: „Skoro jesteśmy cielesni i jesteśmy zrodzeni z żądz ciała, nasza zachłanność albo miłość musi zaczynać się od ciała, a kiedy to stoi w należyтым porządku, nasza miłość postępuje przez różne stadia, prowadzona przez nie z łaskawością, póki nie zostanie spełniona w duchu”. Ale co jeszcze mówi święty Bernard? Twierdzi, że kiedy szuka się Pana w modlitwie, ze zmusnym wysiłkiem, w strumieniach łez, zagości On w końcu w duszy. Gdzie były twoje wysiłki, Bernardzie? Gdzie były twoje łzy?

– Nie było ich – przyznałem. – Ale czuję, że być może Bóg obdarzył mnie błogosławieństwem swojej boskiej miłości, aby zachęcić mnie do wysiłku tego rodzaju. Pozwalając mi posmakować Swej słodkości, zyskuje pewność, że zapragnę poczuć ją znowu.

Przeor odchrząknął.

^{*} Św. Augustyn, Homilie na Ewangelie i pierwszy list św. Jana, tłum. W. Szołdarski, W Kania, Warszawa 1977, s. 461.

^{*} Ibidem, s.254

– Ojcie – mówiłem dalej, wyczuwając, że jest nieprzekonany – zostałem wypełniony taką tęsknotą. Jestem lepszym człowiekiem dzięki temu, co zobaczyłem i poczułem. Jestem pokorniejszy. Bardziej miłosierny.

– Och, dajcie spokój, Bernardzie, obaj wiemy, że to nic nie znaczy. Nawet Andreas Capellanus wykazuje, że pospolita miłość może uszlachetniać. Co on tam mówi? Coś o miłości, która czyni człowieka lśnącym od wielu cnót, i uczy każdego, bez względu na to, jak niskiego jest stanu, tylu dobrych cech charakteru?

Byłem ubawiony odkryciem, że mój stary przyjaciel czytał *Sztukę miłości dwornej* i nawet zachował w pamięci jej fragmenty. Ja osobiście nigdy nie zetknąłem się z tym dziełem; nie jest to jedna z prac najczęściej znajdowanych wśród braci dominikanów.

– Cóż, ojcie, ja się nie konsultowałem z tymi autorytetami – brzmiała moja nieco ironiczna odpowiedź – ale słyszałem kiedyś pewną piosenkę... jak to szło?

*Wszystko co Wenus mi zaleca
Ja ze stójką czynię.
Bo ona nie zawita do męskiego serca
Jeśli to smutku naczynie.*

– Wstydź się! – poczynił mi wymówkę przeor Hugo. – Bernardzie, nie masz ani krzty szacunku. Rozmawiamy o miłości, a nie o zmysłowych ekscesach.

– Wiem. *Mea culpa*. Ale ojcie, miłowałem już kiedyś kobiety (przykro mi to mówić), i ani jedna z nich nigdy nie skąpała się w boskiej promienistości w moim sercu. To było inne przeżycie.

– Bo kobieta była inna.

– Och, ojcie, nie poważacie mojego osądu?

– A wy nie poważacie mnie? Bernardzie, przyszedłeś do mnie, bym przedstawił ci swoją opinię: wszędzie, gdzie w grę wchodzi kobieta, igrasz z niebezpieczeństwem. Powie ci to każdy Ojciec Kościoła. Jeśli więc lekceważysz swoje śluby posłuszeństwa i chcesz kwestionować mój osąd, wróć się do większego autorytetu. Odszukaj przejawy boskiej i zwyczajnej miłości, naucz się je rozróżniać. Sięgnij do Doktora Anielskiego. Zajrzyj do *Etymologiae*. Potem pokłoń się Bogu, ty, który w swej całkowitej arogancji ducha nie jesteś godzien otrzymać Jego błogosławieństwa w jakiegokolwiek postaci.

Wygłosiwszy tę reprimendę, przeor nakazał mi serię ćwiczeń pokutnych i odprawił mnie. Muszę przyznać, że była to gorzka chwila. Powinienem jeść proch i tarzać się w kupie gnoju, a ja uporczywie obstawałem przy buncie; tkwiły we mnie strzały złości, a ich trucizna upajała moją duszę. Przez jakiś czas nie mogłem opanować wzburzenia. Bracia ustępowali mi z drogi, ponieważ w takim stanie powstrzymywanej furii byłem jak bazylipek: mój głos, choć nigdy

go nie podnosiłem, zdolny był palić i parzyć. Pokutę odprawiłem ze źle skrywaną pogardą. Byłem przekonany, że przeora zmienił osąd w irytację, a owoc prawości w cykutę.

Naturalnie modliłem się, ale moje modlitwy były jako ślizgawica w ciemności.

Sięgnąłem też do autorytetów polecanych przez bibliotekarza, ale robiłem to pod kątem zdyskredytowania przeora i aby dowieść słuszności swego stanowiska. Im więcej jednak czytałem, tym mniejszą miałem pewność co do prawdziwej natury tej chwili na wzgórzu. Kiedy studiowałem teologię, robiłem to – jakby to ująć? – w sposób raczej bezstronny i teoretyczny. Rozważałem jedność duszy z Bogiem, i inne powiązane z tym kwestie, i chociaż wiedziałem, że trwanie w Bogu oznacza bycie niczym wobec siebie, porzucenie wszystkiego, co jest w człowieku znamienne – w głębi serca czułem inaczej. Innymi słowy, zdawałem się czytać z dopiero co otwartymi oczyma, że aby mieszkać w Bogu, trzeba wyrzec się siebie i wszystkich rzeczy, w tym stworzeń, które istnieją docześnie albo wiecznie; że nie można kochać tych czy tamtych dóbr, lecz tylko te, z których wypływa każde dobro. To dziwne doświadczenie, używać takiej mądrości do interpretowania zdarzenia z własnego życia. (Wcześniej używałem swojej wiedzy filozoficznej i teologicznej, jedynie by dyskutować tezy z uczonymi rozmówcami). To było jak przyjmowanie zeznań od świadka i ocenianie ich na tle grzechów potępionych w dekrete papieskim. Musiałem postawić pytanie: czy rzeczywiście porzuciłem siebie i wszystko dookoła? Czy moja dusza całkowicie rozłączyła się z Bogiem?

W miarę jak gniew mój się ulatniał, zobaczyłem to, co powinienem był widzieć od początku (a wy potrząsacie głową nad moją głupotą): że formułowanie twierdzeń, które głosiłem, wiązało się z dużym ryzykiem. Rozważcie, na przykład, jak ja, inkwizytor heretyckiej nieprawości, postrzegałbym taką opowieść, gdyby przedstawiono mi ją jako dowód heretyckiego wyznania. Czy nie zastanawiałbym się, jaka bezbożna buta wypełnia człowieka, który twierdzi, że obcował z Bogiem, chociaż nic w jego życiu czy pracy nie usprawiedliwia takiego błogosławieństwa?

Jakże byłem wzburzony! Zanurzony w niepewności, czułem się jak liść na silnym wietrze, miotany na wszystkie strony. Pamiętałem swoją bezkresną radość na zboczu góry i byłem pewien, że moja dusza sięgnęła Boga. Potem czytałem dalej i zacząłem wątpić. Pomyślałem o podróży świętego Pawła do Damaszku: zastanowiłem się nad światłem, które go otoczyło, nad głosem, który doń przemówił, i nad faktem, że kiedy powstał, nie zobaczył nic. Wielu mistrzów nauczało, że to w niczym zobaczył Boga, ponieważ Bóg jest niczym. Dionizy Areopagita napisał o Bogu: „On jest ponad bytem, On jest ponad życiem, On jest ponad światłem”. W *Hierarchii niebieskiej* mówi: „Ktokolwiek mówi o Bogu przez porównanie, mówi o Nim w sposób nieczysty, ale kto mówi o Bogu, używając terminu *nic*, mówi o Nim właściwie”. Tak więc, kiedy dusza wchodzi w Jedyne, wchodzi w czyste odrzucenie siebie, znajduje Boga w niczym.

Zadałem więc sobie pytanie: czy to właśnie znalazłem na zboczu góry? Nic? Wydawało mi się, że znalazłem miłość, a wszyscy wiemy, że Bóg jest miłością. Ale jaką miłością? A

gdybym rzeczywiście doświadczył miłości Boga, to może, ponieważ ją odczułem (wierzę bowiem, że przez cały czas byłem świadom swojego własnego bytu), nie zostałem naprawdę odkształcony, ukształtowany i przekształcony w boską jednolitość, dzięki której stajemy się jednością z Bogiem. Och, byłem taki zagubiony! Modliłem się o oświecenie, ale nie zaznałem go. Potrzebowałem łaski obecności Boga, ale pozostałem nietknięty Boską miłością – albo przynajmniej tą miłością, która wypełniła mnie tam na zboczu rury. Spędziłem sporo czasu na kolanach, ale nie dość być może; obowiązki zakłócały mi duchowe poszukiwania. Z mojej duszy uleciał cały spokój. Obarczony pracą, skrytykowany przez zwierzchnika, duchowo wzburzony, nie miałem wytchnienia. Nawet na swojej pryczy, jak Hiob, rzucałem się na wszystkie strony aż do świtu.

Pewnego razu spędziłem całą noc, leżąc krzyżem przed ołtarzem, gorliwy w pragnieniu dotarcia do Boga. Nie ruszałem się i po pewnym czasie zacząłem odczuwać przeogromny ból. Złożyłem go w ofierze naszemu Panu; prosiłem Go, by uczynił mnie narzędziem swego pokoju. Jak wytrwale, jak żarliwie dążyłem, by wyzwolić się od siebie! Jak głęboko pragnąłem doświadczyć Go tam, w moim sercu! Ale im rozpaczliwiej go pragnąłem, tym bardziej wydawał się odległy, aż poczułem się sam w całym świecie, miotany bez steru miłości, która kieruje wszelką miłością, i płakałem z rozpacz. „Boże mój, Boże mój, czemuś mnie opuścił?” Byłem jak zagubiona owieczka, owieczka, która nie była bez winy, albowiem nawet w tych czeluściach wątpiłem w Jego nieskończone miłosierdzie. Dlaczego na tym zboczu wydawał się On dotknąć mnie swoją Boską miłością, chociaż nie zrobiłem nic, by ją uzyskać – a teraz, kiedy poszukiwałem jej z takim żarem, odmawiał mi jej?

Zgodzisz się, jak myślę, że to pytanie pokazuje, jak odległy byłem od swego celu. Prawdę mówiąc, zasługiwałem na pogardę, mam bowiem naturę daleką od mistycznej, a moja zdolność pojmowania jest ograniczona. Posunąłem się nawet do stwierdzenia, że moje pragnienie Boskiej miłości było w pewien sposób poparte chęcią udowodnienia, że zaznałem jej już wcześniej. Słaby, zwyrodniały hipokryta! Choć cierpiałem tak bardzo, zasłużyłem, by cierpieć jeszcze większe męczarnie – wzięwszy pod uwagę to, gdzie szukałem ulgi, gdzie moja udręczona dusza znalazła wytchnienie. Na łonie Chrystusa? Niestety nie.

W samym środku udręki wracałem nie do modlitw, lecz do Joanny z Caussade.

Wyobrażałem sobie jej uśmiech i czułem ulgę. Odtworzyłem w myśli naszą rozmowę i śmiałem się. Przywoływałem w wyobraźni jej obraz, nocą w celi, i raczyłem się nim w milczeniu, w udręce, zmaganiach i zagubieniu. Zdziwiający zachowanie jak na dominikanina! „A jam jest robak, a nie człowiek, pośmiewisko ludzkie i wzgarda pospółstwa”. Byłem zawstydzony, ale jednocześnie zatwardziały; spierałbym się z samym sobą, że może ona stanowiła narzędzie Boga, tak jak Maria z Oignes – którą Jakub z Vitry nazwał „duchową matką” – albo święta Małgorzata Szkocka, dzięki której król Malcolm stał się dobry i pobożny. („Co ona odrzuciła, on odrzucił [...] co ona ukochała, on, z miłości do niej, ukochał też.”) Być może miłość tak wyraźna pomiędzy Joanną a jej córką ukazała mi drogę miłości. A

może to była droga Alkai – a Joanna, jej współgrzesznica, ujęła moją dłoń, by poprowadzić mnie nią.

Haniebne myśli! Spójrz tylko na moje wymyślne teorie – moje pokrętne próby usprawiedliwienia karygodnych, hołubionych przeze mnie tęsknot. Przeor Hugon znał mnie dobrze. Wiedział, że jestem pod tak silnym wrażeniem Joanny, że moje śluby są zagrożone. (Zwyczajna okoliczność wśród braci, którzy muszą wychodzić na świat zewnętrzny). Bez wątplenia rola ojca Augustyna w życiu wdowy zachęciła mnie do folgowania emocjom, bo skoro on, doskonały inkwizytor, uległ jej urokowi, to kim byłem ja, żeby jej się oprzeć? Nie znaczy to, że moje zainteresowanie było czyste albo chociaż po części lubieżne. Przypomnijcie sobie, jeśli łaska, moją odpowiedź na jej zalotne spojrzenie – mój wstrząs i strach; nie doznałem żadnych wizji cielesnej natury. Chciałem jedynie porozmawiać z nią, pośmiać się, dzielić myśli i troski.

Pragnąłem, żeby mnie kochała, ale nie tak, jak powinniśmy kochać wszystkich swoich sąsiadów, lecz miłością, która wyróżniałaby mnie w takim stopniu, w jakim wykluczałaby innych mężczyzn. „Zmiłuj się nade mną, Boże, w swojej łaskawości, według wielkiego miłosierdzia swego, a według mnóstwa litości twoich, zgładź nieprawość moją!” Przypomniałem sobie usłyszaną kiedyś tezę, która pochodziła z nauk niewiernego: mianowicie że grzeszna miłość jednoczy rozdzielone w trakcie tworzenia części duszy. Szkodliwy błąd, bez wątplenia, ale wydaje się on poetyckim *translatio* dla mojego stanu. Czułem, że Joanna i ja doskonale do siebie pasujemy, jak dwie części przełamanej pieczęci. Czułem, że jesteśmy pod pewnym względem jak brat i siostra.

Ale nie pod każdym względem. Pewnego dnia, kiedy szedłem ulicą, zobaczyłem od tyłu kobietę, którą omyłkowo rozpoznałem jako Joannę z Caussade. Zatrzymałem się gwałtownie; moje serce zdawało się podejść do gardła. Potem dostrzegłem, że się pomyliłem, a moje rozczarowanie było takie głębokie, że rozpoznałem wielkość i głębię swego grzechu. Przerażony zrozumiałem, jak daleko odszedłem od przyzwoitości.

Obróciłem się na pięcie i poszedłem prosto do przeora, który cierpliwie wysłuchał mojej spowiedzi.

Wyznałem mu, że jestem zakochany w Joannie. Powiedziałem, że ta miłość zaciemnia mój osąd. Błagałem o wybaczenie i ganiłem siebie za próżność, głupotę, zaciętość. Jakże byłem uparty! Jakże oporny! „Żyłą żelazną była szyja moja, a czoło moje miedziane”.

– Musisz powściągnąć swoją pychę – przyznał przeor.

– Muszę ją zniszczyć.

– Uczyń to zatem swoim celem na ten miesiąc. Ćwicz posłuszeństwo. Umartwiaj ciało. Milcz w trakcie kapituły (wiem, że uznasz to za wielkie nieszczęście) i powtarzaj sobie, raz za razem: „Brat Aeldred ma słuszność, a ja jestem w błędzie”.

Wybuchnąłem śmiechem, jako że brat Aeldred, nasz Mistrz Studentów, był człowiekiem, którego nie darzyłem nadmierną sympatią. On i ja różniliśmy się wielce w swoich opiniach, jego bowiem opierały się na niewystarczającej wiedzy i niedostatkach rozumowania.

– To ciężki krzyż – zażartowałem.

– I dlatego tym bardziej skuteczny.

– Wolałbym raczej obmyć mu stopy.

– Twoje pragnienia, Bernardzie, są właśnie tym, co próbujemy odrzucić.

– Może powinienem zacząć od bardziej osiągalnego celu. Mógłbym powtarzać sobie: „Brat Aeldred ma prawo otwierać usta; błędzę, spodziewając się po nim zrozumienia”.

– Synu, ja nie żartuję. – Przeor mówił z powagą. – Jesteś inteligentnym człowiekiem, nikt w to nie wątpi. Ale nazbyt ufasz swemu rozumowi. Jaką ma ona wartość, jeśli towarzyszy jej lenistwo, próżność i nieposłuszeństwo? To nie Rzym ani Paryż, w Łazet nie znajdziesz największych w świecie umysłów. Może gdyby tak było, odkryłbyś, że wcale do nich nie należysz.

– Cóż... być może... – odpowiedziałem, niby to z oporem.

– Bernardzie!

– Wybaczcie mi.

– Ciekaw jestem, czy będziesz się śmiał u bram piekieł? Wydaje mi się, że jeśli naprawdę rozpoznałeś grzeszny charakter swoich działań, powinieneś płakać, a nie śmiać się. Byłeś nieposłuszny. Dopuszciliś do głosu żądze cielesne i kochałeś swoją własną wolę. Byłeś zarozumiały, bardziej niż zarozumiały: porównując żądzę pożądania płciowego z uniesieniem boskiej miłości, okazałeś się lekceważący, a nawet niemoralny! Niech Bóg ci wybaczy, mój synu, ten bezbożny błąd.

Może jakaś słaba nuta pogardy w jego tonie zachęciła mnie, bym przemówił w tym momencie. A może to wiedza, że spowiadając się, trzeba ujawniać każdą myśl i uczucie.

– Ojcze, zgrzeszyłem miłością do Joanny z Caussade – powiedziałem. – Zgrzeszyłem gniewem i pychą. Ale nie jestem przekonany, że to, co czułem tam, na zboczu, miało ziemskie pochodzenie. Nie mam pewności, że to nie była miłość Boga.

– Bernardzie, jesteś w błędzie.

– Może. A może nie.

– Czy to jest pokora? Czy to jest skrucha?

– Czy chciałbyś, żebym odrzucił Chrystusa?

– Czy chciałbyś, żebym przyjął takie bluźnierstwo?

– Ojcze, badałem swoją duszę...

– ...i uległem urojeniu.

Na to, muszę przyznać, ogarnęła mnie wściekłość – chociaż obiecywałem powstrzymać gniew i odrzucić dumę.

– To nie jest urojenie – zaprotestowałem.

– Jesteś chętny.

– Myślicie, że nie jestem zdolny do rozumowania? Nieudolny odróżnić jedną miłość od drugiej?

– Albowiem oślepiła cię pycha.

– Ojciec – powiedziałem, a starałem się przy tym zachować spokój – czy zaznałeś kiedykolwiek boskiej miłości?

– To nie jest miejsce, byś zadawał takie pytanie.

– Wiem, że nigdy nie zaznałeś miłości do kobiety.

– Zamilcz! – Zupełnie niespodziewanie ogarnęło go wielkie wzburzenie.

Rzadko widywałem przeora rozszoszczonego – na pewno nie widziałem go w tym stanie od czasu jego elekcji. Przez całe swoje życie kultywował spokój, nawet jako młodzieniec okazywał światu zrównoważone oblicze. Dawno temu, powodowany jakimiś demonami psoty, często starałem się naruszyć jego opanowanie, drażniąc go i prawiąc mu drobne złośliwości – z niewielkim wszakże sukcesem. Nikt inny jednak nie był w stanie tak zakłócić spokoju jego umysłu.

I chociaż byliśmy dużo starsi niż wtedy, wciąż pozostawał powolnym, ciężkawym byłym oblatem nieobytym w świecie, podczas gdy ja pozostawałem szybkim, szczupłym absolwentem swawoli.

– Zamilcz! – powtórzył. – Albo wychłostczę cię za zuchwalstwo!

– Nie mam zamiaru być zuchwały, ojciec, chciałem tylko zwrócić uwagę, że miłość nie jest mi obca, zarówno świecka, jak i może boska...

– Powściągnij język!

– Hugonie, posłuchaj mnie. Nie próbuję podważać twojego autorytetu, jestem poważny, wierz mi. Znasz mnie, jestem słowny, ale tu chodzi o coś innego, zmagalem się z demonami...

– Ciebie prowadzą demony. Pali cię pycha i lekceważenie woli Bożej. – Mówił bez tchu, jękając się, i wstał, by wygłosić *conclusio*: – Nie widzę sensu dalszej rozmowy. Będziesz pościł o chlebie i wodzie, pozostaniesz w milczeniu w tym klasztorze i za miesiąc pokajasz się przed kapitułą. W przeciwnym razie grozi ci wypędzenie. Jeśli znowu do mnie przyjdiesz, niech będzie to na klęczkach i łokciach, w innym bowiem wypadku nie dostrzegę cię. Niech Bóg się zmiłuje nad Twoją duszą.

I tak właśnie straciłem przyjaźń przeora. Nie zdawałem sobie wcześniej sprawy, aż do tej chwili, jak bardzo wybór na to stanowisko rozdarł jego poczucie godności. Nie rozumiałem, że rzucając mu wyzwanie, zdawałem się, w jego oczach, dyskredytować jego zdolności i kwestionować jego prawo do stanowiska.

Być może gdybym wówczas to zrozumiał, nie znajdowałbym się teraz w takim położeniu.

Minął wrzesień, nastał post. Lato dobiegało końca. W klasztorze świętowaliśmy dzień świętego Michała i świętego Franciszka. W górach pasterze pędzili swoje trzody na południe.

W winnicach udeptywano winogrona. Świat trwał tak, jak zarządził Bóg („Uczyli księżyc dla czasów, słońce poznało zachód swój”), a tymczasem ojciec Augustyn powoli rozkładał się, niepomszczony. Sam bowiem przyznaję, wstydząc się niepomnie, że nie postąpiłem ani kroku w rozwikłaniu zagadki jego morderstwa.

Podjąwszy kilkudniowe wysiłki, zebrałem sporo faktów o Jordanie Sicre i Maurandzie z Alzen. Wiedziałem już więc, że Jordan przybył do Lazet z garnizonu w Puilaurens. Urodzony w Limoux, miał tam rodzinę, o której rzadko mówił. Jego towarzysze uważali, że zerwał z krewnymi wszelkie kontakty. Był dużo lepiej wyszkolony niż większość jego towarzyszy i miał krótki miecz, którym władał „wielce umiejętnie”. Zanim trafił do Świętego Oficjum, służył w garnizonie miejskim, i odkryłem, że przeniesienia dokonano na jego własną prośbę. (Familiarius otrzymuje wyższy żołd niż sierżant garnizonu, a jego obowiązki są mniej uciążliwe, chociaż nie cieszy się on może tak wysoką pozycją). Jordan mieszkał z czterema innymi familiariusami w pokoju za sklepem należącym do Rajmunda Donatusa. Nie był żonaty. Rzadko, jeśli w ogóle, chodził do kościoła.

Te fakty były mi znane. Ale po rozmowie z ludźmi dzielącymi z nim pokój i z sierżantami, którzy z nim pracowali w miejskim garnizonie – część z nich, jako że towarzyszyła mi w drodze do Casseras, ochoczo służyła pomocą – uzyskałem bardziej skrupulatną ocenę Jordana Sicre. Był człowiekiem praktycznym, raczej ponurym, gardził nieudolnością. Lubił ryzyko i swobodnie folgował swemu upodobaniu, czasami popadając w długi. Mówił o stryżeniu i wypasaniu w sposób zdradzający znajomość rzeczy. Był stałym klientem nierządnic. Szanowano go, ale nie kochano; dowiedziałem się, że nie miał bliskich przyjaciół. Większość wolnego czasu spędzał na hazardzie z kilkoma kompanami o podobnych upodobaniach – wszyscy oni byli familiariusami albo sierżantami garnizonu. Zyski (jeśli się zdarzały) dzielił pomiędzy pozostałych mieszkańców pokoju. Miał około trzydziestu lat, kiedy zgłosił się na ochotnika, by towarzyszyć ojcu Augustynowi w owej fatalnej podróży.

Maurand z Alzen również sam się zgłosił na strażnika ojca Augustyna. Był młodszy od Jordana o trzy, cztery lata pochodził z Lazet, a jego ojciec był kowalem w dzielnicy Świętego Szczepana. Mieszkał z rodziną, ale wyglądało na to, że niezbyt za nim tęsknił. Kiedy po raz pierwszy padło jego nazwisko w związku z masakrą, przypomniałem sobie, że często go besztano za bluźnierstwa albo nadmierną gwałtowność; pewnego razu oskarżono go nawet o złamanie żebra więźniowi, chociaż tego zarzutu nigdy nie udowodniono. (Pomiędzy Maurandem a jego domniemaną ofiarą była zła krew, ale więzień zmarł, nie odzyskując przytomności, a nikt nie widział napaści). Skutkiem tego znałem Mauranda jako wściekłego młodzieńca o niewielu widocznych zaletach – to wrażenie potwierdziło się w rozmowie z jego rodziną, towarzyszącymi i z kobietą określaną mianem jego kochanicy.

Ta nieszczęsna dziewczyna, biedna kuzynka, od wczesnych lat pracowała dla ojca Mauranda. Jako szesnastolatka powiła nieślubnego syna Mauranda, liczącego teraz trzy wiosny. Na jej twarzy i ramionach widać było blizny po zalotach kochanka, który miał ciężką

rękę. Prawdę mówiąc wyglądało na to, że po raz pierwszy poznała go cielesnie krótko po swoich trzynastych urodzinach, kiedy ten zgwałcił ją, pozbawiając dziewictwa. Miała do niego żal, nie tyle o swoje krzywdy, co o synka, który także doświadczał razów. Jej kochanek kilkakrotnie był wyrzucany z domu, ale rodzina zawsze przyjmowała go z powrotem.

Chociaż nie powiedziała zbyt wiele, z jej zachowania wywnioskowałem, że śmierć Mauranda zupełnie jej nie zasmuciła.

Wyglądało na to, że inni krewni Mauranda również odwrócili się od niego, z racji częstych i silnych napadów gniewu. Opisywali go jako leniwego, pozbawionego szacunku, porywczego. Zawsze brakowało mu pieniędzy. Wuj oskarżył go o kradzież pasa i płaszcza, ale nie dostarczył żadnego dowodu; ojciec Mauranda odkupił mu jednak te rzeczy. Wiele sąsiadek narzekało na sprośne i dwuznaczne uwagi Mauranda. O dziwo, Maurand pilnie chodził do kościoła, w parafii był postrzegany jako „prosty chłopak, grubianin, ale pobożny”. Niemniej jednak zadałem sobie pytanie: czy takich właśnie ludzi zatrudniamy w Świętym Oficjum? I ślubowałem sobie, że przy pierwszej sposobności przyjrę się bliżej procedurom przyjmowania na służbę. Najwyraźniej ten obowiązek przerastał Ponsa.

Koledzy familiarzy Mauranda nieco chętniej dzielili się swoimi opiniami. Zwali go „wesolek” i chwalili za dowcipne anegdoty. Był wielkim, silnym, masywnym kompanem, niezbyt wprawnym w walce, ale zdolnym zadać potężny cios jakimś stołem, kijem czy hełmem, który by miał pod ręką). Mówili o jego porywczym temperamencie i nie słyszeli, by kiedykolwiek oddawał pożyczone pieniądze. Z tego to powodu nikt nigdy dwukrotnie pieniędzy mu nie pożyczał.

– Nie miał pieniędzy na dziewczki – usłyszałem – zawsze wdawał się w kłopoty z kobietami. Był taki wielki i silny, że niektóre ochoczo z nim szły. Ale większość z nich się bała.

– Gdzie spędzał czas? – pytałem. – Kiedy nie pracował, albo miał wolne, dokąd szedł?

– Ooo, do oberży albo na targ. Większość z nas tam chodzi.

– Oczywiście. – Znane mi były włóczące się gromady sierzantów, którzy siedzieli u drzwi tego przybytku, spluwali na młodych ludzi i czynili lubieżne gesty w stronę młodych kobiet. – Kto się z nim przyjaźnił? Oprócz was?

Dostałem długą listę nazwisk – tak długą, że musiałem ją przepisać. Najwyraźniej Maurand był znany (i niewątpliwie budził obrzydzenie) połowy mieszkańców Lazet. Chociaż nie rozpoznałem żadnego z nazwisk jako należącego do rodziny albo znajomych Bernarda z Pibraux, dostrzegłem nazwisko zięcia Emerego Ribaudin, Mateusza Martina. A jak sobie przypominacie, Emery Ribaudin był jedną z sześciu osób podejrzanych o przekupienie ojca Jakuba.

– Emery Ribaudin?! – krzyknął seneszał, kiedy zasięgnąłem jego opinii w tej kwestii. – Niemożliwe.

– Ojciec Augustyn przesłuchiwał jego przyjaciół i krewnych – odparłem. – Jeśli Emery o tym wiedział, miał powód, by zabić ojca Augustyna.

– Ale przede wszystkim jak Emery Ribaudin mógł być heretykiem? Patrzcie przecież, ile łożył na Świętego Polikarpa!

Bez wątplenia dowody przeciwko Emeremu nie były mocne. Jakies osiem lat wcześniej pewien tkacz został oskarżony o doprowadzenie Doskonałego do łoża śmierci żony tak by mogła doznać heretyckiego *consolamentum*. Jeden świadek przesłuchany na okoliczność tego zajścia, pamiętał, że widział, jak Emery rozmawia z oskarżonym mężczyzną dwa czy trzy lata po śmierci wspomnianej żony (tkacz po tamtym zajściu opuścił rodzinną wioskę i przybył do Lazet) i dawał mu jakieś pieniądze.

Nie chciałem jednak dostarczać seneszalowi tych szczegółów, które nie były powszechnie znane.

– W sprawie Emerego Ribaudin toczy się śledztwo – powiedziałem stanowczo, podczas gdy Roger, kręcąc głową wymamrotał, że na miejscu Emerego pokusiłby się o osobiste zamordowanie ojca Augustyna. Na szczęście dla Rogera wolałem puścić tę uwagę mimo uszu. Powiadomiłem go natomiast o oskarżeniu Grimauda, dotyczącym Piotra z Pibraux i oberży w Crieux. – Nie rozmawiałem jeszcze z przyjacielem Grimauda, Barthelemy, ani z oberżystą – zakończyłem – ale zrobię to, zanim trzej przyjaciele Bernarda z Pibraux przyjadą do Lazet. Wezwałem ich tu jakiś czas temu. Już wtedy miałem pewne podejrzenia.

– Na Boga! To brzmi obiecująco!

– Być może. Jak powiedziałem, Grimaud jest bardzo niewiarygodny.

– Ale ja znam ojca Bernarda z Pibraux – wyjął seneszał, wstając i przemierzając pomieszczenie. (Zdecydowałem się odbyć tę naradę w naszej siedzibie, ponieważ miałem wątpliwości, czy w zamku uda nam się przeprowadzić rozmowę w cztery oczy). – Znam go dobrze, jest bardzo porywczy. W tej rodzinie wszyscy tacy są. Na Boga, ojczyste, oni mogli to zrobić!

– Być może.

– A jeśli tak, możemy postawić ich przed sądem! A król przestanie mnie zdręczać tą sprawą!

– Być może. – Mówiłem nieco zubożniałym głosem, jako że w owym czasie nadal zmagalem się z pewnymi kwestiami duchowymi poruszonymi w trakcie mojej wizyty w Casseras, i spałem niewiele. Seneszał spojrzął na mnie zdumionym wzrokiem.

– Myślałem, że będziecie bardziej podnieceni – zauważył. – Jesteście chorzy, ojczyste?

– Ja? Och nie.

– Wydawało mi się... nie wyglądacie najlepiej.

– Poszczę.

– Och.

– I jest tyle pracy.

– Słuchajcie. – Seneszał znowu usiadł, pochylił się do przodu i położył dłonie na moich kolanach. Oblicze miał zarumienione i wyczułem, że skoro nasz łup był już niemal w zasięgu

ręki (tak się przynajmniej wydawało), jego myśliwskie instynkty ożyły. – Pozwólcie mi porozmawiać z tym Barthelemy. Jeśli będzie wyglądało na to, że mówi prawdę, pójdę do Pibraux i dowiem się, co Piotr i jego rodzina robili w dniu śmierci ojca Augustyna. Mogę nawet po drodze zatrzymać się w Crieux i porozmawiać z oberżystą. Zdejmę ten ciężar z waszych ramion. Co wy na to?

Przez chwile nic nie mówiłem. Rozważałem jego propozycje i cytaty domniemanej rozmowy Piotra w oberży. W końcu powiedziałem:

– Nikt nie sugerował, że Piotr i jego bratanek zabili ojca Augustyna własnymi rękoma. Jeśli najęli zabójców, wszyscy oni w dniu morderstwa przebywali w Pibraux.

Seneszał zmarkotniał.

– Ale – ciągnąłem, myśląc intensywnie – Barthelemy może nie być tego świadom. Jeśli pojedziecie do niego i powiecie mu, co zamierzacie zrobić w Pibraux, i ostrzeżecie go o karach, które grożą za fałszywe zeznania, możecie go przestraszyć na tyle, że przyzna, iż kłamał, jeśli w istocie nie mówił prawdy. Powiedzcie mu, że jeśli Piotr był w Pibraux w dniu morderstwa, dowiecie się, czy ktoś skłamał...

– A jeśli nie zmieni swojej wersji, to będzie oznaczało, że prawdopodobnie mówi prawdę! – dokończył Roger. Klepnął mnie w kolana z radości, i to z takim wigorem, że niemal zrobił mi krzywdę. – Ależ wy macie umysł, ojcze! Przebiegły jak u lisa!

– Bardzo wam dziękuje.

– Pójdę prosto do Barthelemy'ego. A jeśli on mnie zadowoli, jeszcze dzisiaj po południu pojedę do Pibraux. Na Boga, gdybym zrzucił z barków ten ciężar, jakąż poczułbym ulgę! I wy też, ojcze, oczywiście – dodał pośpiesznie. – Będziecie mogli spokojnie odetchnąć, kiedy zabójcy zostaną już ukarani.

Wstyd mi było, że sprawiałem wrażenie, iż cierpię z powodu śmierci ojca Augustyna, podczas gdy naprawdę moje bezsenne noce były owocem zupełnie innych uczuć. Wstyd mi było, bo powinienem więcej myśli poświęcać jego pamięci. Dlatego też, kiedy seneszał już odszedł, skupiłem swe wysiłki na odnowionym poczuciu celu. Tego jeszcze popołudnia zaplanowałem rozmowę z ojczymem Rajmunda Maury (który był, jak może sobie przypominać, zamożnym kuśnierzem); w asyście Rajmunda Donatusa przepytalem tego człowieka o domniemane heretyckie poglądy jego zięcia, po czym – jako że nie zadowolili mnie uzyskane odpowiedzi – przesłuchałem go raz jeszcze. Sięgając do zeznań wydobytych przez ojca Augustyna z różnych innych świadków, wykazałem, że w niektórych wypadkach przeczą zeznaniom kuśnierza. Ci ludzie twierdzili, że był obecny przy wydarzeniu, o którym rzekomo nic nie wiedział. Cytowali jego słowa: „Mój zięć jest cholernym heretykiem!”. Jak mógł się wypierać współwiny, skoro okazała się ona tak oczywista?

Zapewniam, że byłem nieprzejednany. A po długim i męczącym przesłuchaniu kuśnierza w końcu się poddał. Wyznał, że próbował chronić Rajmunda Maury. Błagał mnie, płacząc, bym mu wybaczył. Powiedziałem, że wybaczę mu ze szczerego serca, ale że musi być i będzie

ukarany za swoje grzechy. Wyrok miał zapasć na następnym *auto da fé*, a chociaż będą musiały się naradzić różne uczone autorytety, zazwyczaj kara za zbrodnię ukrywania heretyka składa się z modlitw, postu, biczowania i pielgrzymki.

Kuśnierz wciąż płakał.

– Oczywiście – powiedziałem mu – jeśli z zeznań innych wyniknie, że dzielicie wiarę Rajmunda...

– Och nie, ojcze, nie!

– Skruszony heretyk otrzyma miłosierdzie. Nieugięty heretyk nie otrzyma nic.

– Ojcze, ja nie jestem heretykiem, przysięgam! Nigdy, przenigdy bym nim nie został, jestem dobrym katolikiem! Kocham Kościół!

Nie znalazłszy dowodów, że jest inaczej, uwierzyłem mu; inkwizytor heretyckiej nieprawości ma rozwinięty pewien instynkt, który pozwala wyczuwać kłamstwa. Nawet bowiem ukrytą prawdę można często wyczuć, tak jak świnia wyczuwa pod ziemią trufle. Poza tym kuśnierz przysięgał na wszystko, że mówi najczystsza, najprawdziwszą prawdę – a katarzy nigdy, pod żadnym pozorem, nie składali przysięg.

Niemniej jednak nadal udawałem, że jestem podejrzliwy, domniemywałem bowiem, że ojciec Jakub został solidnie wynagrodzony za pominięcie Rajmunda Maury. Jeśli było tak w istocie, to opłata pochodziła prawdopodobnie od ojczyma.

W każdym razie zdecydowałem się podążać tym tropem.

– Jak mogę ci uwierzyć – powiedziałem – skoro upierasz się mieć przede mną sekrety?

– Nie! Nigdy w życiu!

– Nigdy w życiu? A co z pieniędzmi, które zapłaciłeś, żeby zapewnić zięciowi uniknięcie kary?

Kuśnierz patrzył na mnie przez łyżę. Powoli zmieniały się kolory na jego twarzy. Widziałem, jak przełyka ślinę.

– Och – rzekł słabo. – Zapomniałem o tym...

– Zapomniałeś?!

– To było tak dawno temu! On mnie o to poprosił!

– Kto? Ojciec Jakub?

– Ojciec Jakub? – Kuśnierz patrzył na mnie zdumionym wzrokiem. – Nie. Zięć mnie poprosił. Rajmund.

– O ile?

– Pięćdziesiąt liwrów.

– I dałeś mu je?

– Kocham moją córkę, jest moim jedynym dzieckiem... zrobiłbym wszystko...

– Zabiłbyś dla niej? – zapytałem, a spojrzenie, którym mnie obdarzył, było tak żalosne, tak oszołomione i pełne urazy, że niemal roześmiałem się na głos. – Sugerowano –

powiedziałem fałszywie – że kiedy ojciec Augustyn zaczął ścigać Rajmunda, ty wynająłeś zabójców, żeby go zabili.

– Ja??? – pisnął mężczyzna. A potem wpadł w złość. – Kto tak mówi? – zapytał. – To kłamstwo! W życiu bym nie zabił inkwizytora!

– Jeśli to uczyniłeś, powinieneś to teraz wyznać. I tak bowiem to z ciebie wyciągnę.

– Nie! – krzyknął. – Powiedziałem, że to kłamstwo! Powiedziałem, że dałem pieniądze! Powiedziałem wszystko! Ale nie zabiłem inkwizytora!!!

Pomimo wszystkich swoich wysiłków nie zdołałem przekonać kuśnierza, by zmienił zeznania. Jedynie tortury zmusiłyby go do tego, a ja nie miałem zamiaru uciekać się do nich. Jest bowiem taka granica, po której przekroczeniu człowiek przyznałby się do wszystkiego, a ja nigdy naprawdę nie wierzyłem, że teść Rajmunda Maury ma coś wspólnego ze śmiercią ojca Augustyna. Oczywiście byłem przygotowany, by sprawdzić jego zeznanie. Mogłem wezwać wielu z tych świadków, których już przesłuchał ojciec Augustyn, i przepytąć ich o ostatnie zachowania kuśnierza, jego wydatki i powiązania. Ale nie spodziewałem się dowiedzieć, że odwiedza oberżę na rynku albo gra w kości z Jordanem Sicre. Ani też, że dawał łapówkę w mocne ręce biskupa.

Chciałem go jedynie wykluczyć ze swojej listy podejrzanych.

Odprawiłem go więc, podziękowałem moim „bezstronnym” (wspomnianym wcześniej braciom Szymonowi i Berengarowi) i zakończyłem przesłuchanie. Potem odciągnąłem na bok Rajmunda Donatusa, by poinstruować go, jak ma przepisać ostateczny protokół. Bardzo chciał wyrazić swoje zdanie na temat kuśnierza, którego uważał za „niemal na pewno odpowiedzialnego za zamordowanie ojca Augustyna”. Ale nie powiedział nic na temat ojca Jakuba.

Byłem zdumiony, że zdołał oprzeć się pokusie. Prawdę mówiąc, zdziwiło mnie to tak, że sam podjąłem temat.

– Wiecie, oczywiście, że ojciec Augustyn prowadził śledztwo w sprawie prawości swego poprzednika – zauważyłem.

– Tak, ojcze.

– Czy macie jakiś osąd słuszności tego śledztwa?

– Ja... nie mnie o tym mówić.

Jak możecie sobie wyobrazić, byłem niemal ubawiony jego niezwykłą powściągliwością.

– Ale, mój przyjacielu – zauważyłem – nigdy wcześniej nie milczałeś.

– To bardzo delikatna kwestia.

– W rzeczy samej.

– A ojciec Augustyn pouczył mnie, bym o tym nie rozmawiał.

– Rozumiem.

– A jeśli myślicie, że ja mogę być w to wplątany, zapewniam was, że nie! – wykrzyknął notariusz, sprawiając, że się wzdrygnąłem. – Ojciec Augustyn był bardzo zadowolony w tej kwestii! Przesłuchiwał mnie kilka razy...

– Mój synu...

– ...a powiedziałem mu, że ufałem ojcu Jakubowi, i nie do mnie należało rachować ludzi wymienionych we wszystkich tych setkach śledztw...

– Rajmundzie, proszę, nie oskarżam cię.

– Gdyby on mnie podejrzewał, ojczce, odprawiłby mnie... albo coś gorszego!

– Wiem. Oczywiście. Uspokój się. – Powiedziałbym więcej, gdyby nie przerwał mi familiar, który podszedł do mnie z zapieczętowanym listem od biskupa Anzelma. Ten sam funkcjonariusz miał też ustną wiadomość od seneszała. Przekazał mi ją słowo po słowie. Barthelemy, jak się wydawało, rzeczywiście spotkał się z Piotrem z Pibraux w Crieux, ale nie słyszał, by ten mówił coś zbrodniczego czy podejrzanego.

– Mam wam powiedzieć, ojczce, że wasz mały fortel poskutkował – oznajmił familiar.

– Dziękuję wam, sierżancie.

– Mam wam też powiedzieć, że umarł kolejny więzień. Dziecko. Nadzorca chce z wami rozmawiać.

– Niech Bóg ma nas w swojej opiece. Dobrze, porozmawiam z nim.

– Proszono mnie też, bym was powiadomił, że familiarzy nie dostali żołdu za ten miesiąc. Oczywiście wiemy, że byliście bardzo zajęci...

– Tak, sierżancie, wejrzę w to. Przepróście towarzyszy w moim imieniu i powiedzcie im, że jutro odwiedzę królewskiego skarbnika konfiskat. Jak powiedzieliście, byłem bardzo zajęty.

Pomyślne wieści, nieprawdaż? Nie dziwota, że nie znalazłem wytchnienia, otoczony wątpliwościami, niepowodzeniem i zawodem. Ale miałem jeszcze otrzymać najcięższy cios. Kiedy bowiem otworzyłem list biskupa, znalazłem załączone do niego pismo od Inkwizytora Francji.

Wyglądało na to, że mianowano mojego nowego zwierzchnika – a był nim Piotr Julian Faure.

Oto idzie z obłokami

Jestem pewien, że znacie Piotra Juliana Faure. Musieliście go poznać, kiedy był w Paryżu, przyciąga on bowiem uwagę, prawda? A raczej zmusza ludzi, by nań uwagę zwrócili. Jest człowiekiem głośnym i zawsze taki był; mogę o tym zaświadczyć, ponieważ znam go osobiście od bardzo dawna. Otóż pochodzi on z tego regionu.

Po raz pierwszy spotkaliśmy się, kiedy byłem jeszcze zwykłym kaptanem, zanim mój zwierzchnik zachęcił mnie, bym ponownie przywdział opończę studenta i został lektorem wielkiej sławy i wpływów. (Zabawne, nieprawdaż?) W czasie swoich podróży z ojcem Dominikiem trafiłem do Tuluzy i zatrzymałem się tam na tyle długo, by pokazać się w Metropolitalnym Domu Studiów, gdzie przez rok gościł Piotr Julian. W owym czasie był bladym młodzieńcem rozkochanym w świętym Tomaszu z Akwinu, którego całe *Summa* znał chyba na pamięć. To ten właśnie chyba wyczyn, a nie jakaś wybitna błyskotliwość wypowiedzi czy też spostrzeżeń, zyskał mu uznanie nauczycieli – kiedy ja bowiem uczyłem na jeden z tamtejszych wykładów, byłem pod wrażeniem osobiwej niedorzeczności jego pytań.

Wtedy nie marnowałem zbyt wiele czasu na rozmyślania o jego charakterze, postrzegając go jako niczym niewyróżniającego się chłopca, bladego i chorowitego od studenckiego życia (tak wtedy sądziłem, chociaż teraz wiem, że jego blada cera jest naturalna). Wykazywał entuzjizm, który w pewien sposób mnie odpychał, a jego głos przechodził w pisk, jeśli był ignorowany. Rozmawialiśmy ze sobą tylko raz: zapytał mnie, czy trudno jest mi powstrzymać się od pokus świata, tak bym bez trudu mógł się między nimi poruszać.

– Nie – odpowiedziałem.

Działo się to, zanim wdałem się w znajomość ze wspomnianą wcześniej wdową, której uroki skłoniły mnie do złamania ślubów.

– Widujesz wiele kobiet? – pytał.

– Tak.

– To musi być bardzo trudne.

– Naprawdę? Dlaczegoż to?

Oczywiście wiedziałem doskonale, co próbuje powiedzieć, ale czułem satysfakcję, patrząc, jak się czerwieni, jąka i wycofuje. Pod wieloma względami byłem złośliwym młodzieńcem i często postępowałem okrutnie; tym razem jednak zostałem ukarany za swoją butę. Czyż może być większa kara niż służba pod zwierzchnictwem człowieka, któremu dawno temu utarłem nosa – człowieka, który osiągnął więcej niż ja zdobędę kiedykolwiek, mimo że sprawnością umysłu mi nie dorównuje?

W każdym razie nasze drogi się rozeszły i nie spotkałem go aż do chwili, kiedy obaj studiowaliśmy w *studium generale* w Montpellier. Tu obracaliśmy się w różnych kręgach; widziałem, że jemu wszystko przychodzi z trudem (podczas gdy ja piąłem się w górę), ale rozsiewane przezeń plotki zapewniały mu towarzystwo ludzi zainteresowanych rozprawami w Paryżu czy też polityką dworu papieskiego. Przybierał już wtedy na wadze, tracił natomiast włosy. Pewnego razu zmiażdżyłem go w nieoficjalnej dyspucie, zajął bowiem stanowisko nie do utrzymania, a jego umiejętności retoryczne były znikome; znowu jednak miałem pożałować, że z taką mocą obaliłem jego argumenty. Nikczemność ducha koniec końców prowadzi do upadku.

Nie wiedziałem nic o jego późniejszej karierze, dopóki nie zacząłem go spotykać w prowincjonalnych kapitułach, mniej więcej od 1310 roku. W owym czasie był przeorem; ja – kaznodzieją generalnym i przełożonym studentów (ale nie w jego klasztorze, dzięki Bogu!). Stało się jasne, że różnimy się w wielu kwestiach, łącznie z pracami Duranda z Saint-Pourcain. Nie były one, jak może sobie przypominać, całkowicie zakazane w szkole, lecz dopuszczone, o ile zawierały odpowiednie objaśnienia. Piotr Julian, jak myślę, wolałby, żeby jego studenci nie czytali nic prócz Piotra Lombarda i Doktora Anielskiego. Łajał mnie, obraźliwie ojcowskim tonem, za to, iż mam „niezdyscyplinowany umysł”.

Obawiam się, że nie darzyliśmy siebie nawzajem braterskim uczuciem.

Minęło kilka lat od czasu, kiedy po raz ostatni pojawiłem się w prowincjonalnej kapitule na żądanie Świętego Oficjum. Miało to też związek z faktem – muszę szczerze przyznać – że nie jestem ulubieńcem samego prowincjała. Ale korespondencja z jednym z braci dostarczała mi wiadomości o postępach Piotra Juliana. Dowiedziałem się, że uczył w Paryżu, potem został przeniesiony do Awinionu, gdzie był dobrze postrzegany na dworze papieskim. Dowiedziałem się też, że oddelegowano go do pomocy Michałowi le Moine, inkwizytorowi Marsylii, aby przekonał do pokajania się upartych franciszkanów z Narbonne. Najwyraźniej wyróżnił się w świętym zadaniu trzebień herezji, skoro wyznaczono go na inkwizytora Lazet, „na miejsce ojca Augustyna Duése”.

Muszę wyznać, że wybuchnąłem śmiechem (aczkolwiek ponurym), kiedy zauważyłem, że biskup użył takich właśnie słów, Piotr Julian w żaden bowiem sposób nie mógł być postrzegany jako „zamiennik” ojca Augustyna. Ci dwaj byli ulepiani z zupełnie innej gliny. A jeśli nie jesteście w stanie oszacować różnic między nimi – być może nie znając dobrze

żadnego z nich – pozwólcie, że zreferuję działania mojego nowego zwierzchnika w czasie dwóch pierwszych dni w siedzibie Świętego Oficjum.

Przybył mniej więcej trzy tygodnie po tym, jak zostałem powiadomiony o jego mianowaniu, ale poprzedziło go kilka listów informujących mnie o dacie jego zamierzonego przybycia. Ustaloną datę zmieniał dwukrotnie, po czym powrócił do pierwotnej dokładnie trzy dni przed przyjazdem. (Gdyby rezydował w Paryżu, a nie w Awinionie, czekałbym dłużej!) Oczywiście spodziewał się, że będzie witany zwyczajowym uroczystym przyjęciem – przyjęciem, z którego zrezygnował ojciec Augustyn – byłem więc nieustannie bardzo zajęty, organizując wszystko z biskupem, seneszałem, przeorem, kanonikami od Świętego Polikarpa, konsulami... cóż, wiecie na pewno, z iloma osobami trzeba się naradzać przy takich okazjach. Nowy inkwizytor życzył sobie, by wysocy urzędnicy powitali go u bram miasta. Potem, w towarzystwie grupy żołnierzy i muzykantów, pragnął przejść do Świętego Polikarpa, gdzie miał się zwrócić do wszystkich mieszkańców Lazet i opowiedzieć im o „wspaniałej i rozrastającej się winorośli zasadzonej ręką Pana, odkupionej Jego krwią, nawodnionej Jego słowem, rozmnożonej Jego łaską i opłaconej Jego duchem”. Po odejściu parafian nowy inkwizytor powita po kolei każdego z miejskich notabli, tak aby „mógł jak dobry pasterz poznać każdą owieczkę w swoim stadzie”.

Z tych wskazówek można wnioskować, że Piotr Julian postrzegał funkcję inkwizytora jako jedyną słusznie wyniesioną w hierarchii aniołów. Kiedy już przybył, wrażenie to potwierdził ojcowski ton, którym błogosławił wszystkich oprócz biskupa. Ten w zamian otrzymał ciepły i pełen czci pocałunek. (Seneszala, jestem tego pewien, nie oczarował sposób bycia Piotra Juliana). Ja odczułem wielką satysfakcję, widząc, że mój stary przyjaciel nie potrzebuje już brzytwy, by pielęgnować tonsurę; był niemal całkowicie łysy, jeśli nie liczyć kilku kosmyków włosów przylegających do czaszki nad uszami. Poza tym niewiele się zmienił: był natarczywy, porywczy, spocony i błady jak skrzepnięty tłuszcz. Kiedy mnie zobaczył, po prostu skinął głową, ale też niczego więcej nie oczekiwałem. Gdyby mnie pocałował, niechybnie odpowiedziałbym torsjami.

Nie zamierzam was nużyć wyczerpującym relacjonowaniem jego przyjęcia, powiem jednak, że tak jak przewidziałem, *translatio* winorośli Pana zostało rozciągnięte do granic wytrzymałości – a nawet, prawdę mówiąc, było dłuższe niż sama winorośl. Mówił o nas jako „winnych gronach”, naszym mieście jako „kości”, naszych wątpliwościach jako „robakach ryjących wewnątrz gron”. Mówił o „łapaniu lisów w winnicy”. Mówił o Apokalipsie jako „udeptywaniu gron” i Dniu Sądu Ostatecznego jako „próbowaniu wina”. (Widzicie, niektóre wina zostaną przełknięte przez Boga, a inne wyplute). Wyznam, że pod koniec jego kazania czułem się osłabiony od skrywania śmiechu i musiałem udawać niepomierne poruszenie – że moje prychnięcia i łzy są wyrazem wzruszenia, a nie tłumionej wesołości. Wydaje mi się jednak, że Piotr Julian nie był przekonany co do moich wzruszeń. Niewątpliwie nie postrzegał mnie jako najbardziej soczystego grona na świecie.

Kiedy jednak w końcu porozmawialiśmy (a było to następnego dnia, po tym, jak Piotr Julian odbył rozmowę w cztery oczy z biskupem, seneszałem, przeorem, królewskim skarbnikiem i królewskim skarbnikiem konfiskat), powitał mnie w przyjazny sposób, jak nieco krnąbrnego i niemądrego świeckiego braciszka, którego traktuje się z czułym pobłażaniem.

– Mój synu – powiedział – ileż to czasu minęło od naszego ostatniego spotkania! Wyglądasz dobrze. Najwyraźniej życie tutaj ci służy.

Chociaż nie dodał „poza skrajem cywilizacji”, słowa te wyraźnie wyczuwało się w jego wypowiedzi.

– Tak było do tej pory – odparłem – ale nie mogę powiedzieć, czy w przyszłości to się nie zmieni.

– A jednak to miejsce wydaje się opuszczone przez Boga – ciągnął, zaniechawszy grzeczności. – Taka niegodziwość! Płakałem, kiedy usłyszałem o strasliwym losie brata Augustyna. Pomyślałem: „Szatan wszedł pomiędzy nich”. Mam więc osobiście uzdrowić i oczyścić tych trędowatych.

– Och, nie wszyscy tu jesteśmy trędowaci – powiedziałem, w duchu doprowadzony do szału. – Niektórzy z nas nadal przestrzegają praw Pana.

– Oczywiście. Ale to głębokie bagno, prawda? Wody występują. Powiedziano mi, że więzienie jest pełne i wciąż jeszcze nie złapano zabójców ojca Augustyna.

– Jak możecie sobie wyobrazić, bracie, byłem przeciążony pracą...

– Tak. A teraz ja przybyłem wam pomóc. Opowiedzcie mi o dotychczasowym śledztwie. Czy w ogóle ruszyliście z miejsca?

Zapewniłem go, że i owszem. Opisałem śmierć ojca Augustyna, ze szczególną starannością nie rozwodząc się nad Joanną i jej przyjaciółkami, które określiłem zdawkowo jako „pobożne i pokorne”. Opowiedziałem o śledztwie prewota, śledztwie seneszała i mojej własnej wizycie w Casseras (z pewnymi istotnymi pominięciami). Przedstawiłem listę podejrzanych i moje wysiłki, by określić rozmiar ich winy. Omówiłem też swoją teorię dotyczącą zdradzieckiego familiara, którego dotychczas jeszcze nie zidentyfikowałem.

– Winien może być zarówno Jordan, jak i Maurand – powiedziałem. – Jordan, ponieważ był hazardystą, doświadczonym najemnikiem i bardzo sprawnym żołnierzem. Maurand, ponieważ niemal pod każdym względem był gwałtowny i niemoralny.

– Ale dlaczego uważacie za prawdopodobne, że ktoś zdradził brata Augustyna?

– Ponieważ ciała zostały rozczłonkowane i rozrzucone. Takie osobliwe działanie miałoby sens, gdyby jego celem było ukrycie nieobecności jednego z ciał.

– Ale powiedzieliście, że większość członków znaleziono na drodze.

– Tak, rzeczywiście. Ale kilka głów, które są najbardziej wyróżniającą częścią ciała, zostało uwiezionych...

– Opiszcie mi to miejsce. Mówiliście, że masakra odbyła się na polanie?

– Na czymś w rodzaju polany.

- I tamtędy przebiega droga?
- Myślę, że określenie „ścieżka” jest tu bardziej stosowne niż „droga”.
- Czy tę ścieżkę w okolicy polany przecina inna ścieżka?

Zdumiony tym pytaniem, musiałem zastanowić się przez chwilę, zanim zdołałem na nie odpowiedzieć.

- O ile sobie przypominam, zbiega się tam kilka kozich szlaków.
- Ach! – Piotr Julian wyrzucił ręce do góry. – Otóż to. Skrzyżowanie.
- Skrzyżowanie? – powtórzyłem, zadziwiony.
- Nie jesteście świadomi doniosłości skrzyżowania?
- Doniosłości?

– Chodźcie – Piotr Julian wstał z łóżka. Siedzieliśmy w jego celi wypełnionej czymś, co mogę określić jedynie mianem dobytku, w większości złożonego z książek. Miał mnóstwo książek, a także dwa czy trzy przyrządy astronomiczne, kolekcję maści w szklanych słoiczkach, przenośny ołtarz, inkrustowany klejnotami relikwiarz i rzeźbioną skrzynkę pełną listów. Ze środka tych ziemskich przeszkód wyciągnął małą książkę, którą trzymał ostrożnie, jakby w każdej chwili mogła zająć się ogniem. – Patrz uważnie – powiedział. – Bez wątplenia nie znasz tej pracy. Nosi tytuł *Księga obrządków dusz* i pochodzi ze starożytnego i mistycznego tekstu *Testament Salomona*. Ponieważ pod wieloma względami jest ona niebezpieczna, znajdziesz ją jedynie krążącą pomiędzy uczonymi mężami, których siły pobożności nikt nie kwestionuje.

W tym momencie mogłem powiedzieć: „Jak więc ty ją zdobyłeś?” Zdzierzyłem jednak. Prawdę mówiąc, byłem ciekaw tej niebezpiecznej książki.

– Mówi o gospodarzach piekła – ciągnął Piotr Julian. – znajdziesz tu wszystkie upadłe anioły, ich imiona, ich objawienia i umiejętności. Spójrz na przykład na tę stronę: „Berith ma trzy imiona. Niektórzy zwą go Beall, żydzi nazywają go Berith, a nekromanci Bolfry: ukazuje się jako czerwony żołnierz, w czerwonym odzieniu, na czerwonym koniu. Opowiada prawdziwie o rzeczach przeszłych, teraźniejszych i przyszłych. Jest także kłamcą, wszystkie metale obraca w złoto”.

- Pokażcie mi ją – poprosiłem, sięgając po książkę.

Ale Piotr Julian nie puścił jej.

– Oczywiście są to jedynie „główne” demony – powiedział. – Diabły takie jak Purson, Leraie, Glaya, Labolas, Malaphas, Shax, Focalor, Sitrael i reszta. Wiele z nich włada nienazwanymi zastępami pomniejszych diabłów.

- Bracie, błagam, dajcie mi to zobaczyć.

Książka jednak raz jeszcze została cofnięta.

– Jak możecie sobie wyobrazić, taka wiedza jest bardzo niebezpieczna – wyrecytował Piotr Julian. – Ale książka zawiera też formuły do wywoływania i przywoływania demonów w niej wymienionych. Obrządek do wykorzystywania ich mocy.

– Nie! – Słyszałem o takich tekstach, ale nigdy żadnego nie widziałem. Prawdę mówiąc, zawsze podejrzewałem, że istnieją jedynie w otępiałych majakach. – To jest więc książka magiczna!

– W rzeczy samej. A jeśli przejdziesz do recept na przywołanie, przeczytasz, co następuje: „Oto, w kolejności wyczarowywania pięć demonów: Sitrael, Malantha, Thamaor, Falaur i Sitrami. Po pierwszych przygotowaniach, na które składa się post ścisły i modlitwa, trzeba okadzić, pokropić i wyświęcić noże o czarnych i białych trzonkach...”

– Bracie...

– Jeszcze chwila, proszę... „A następnie, przygotowawszy się na różne sposoby, trzeba wziąć o północy żyjącą, czarną, dziewiczą kurkę na skrzyżowanie dróg, podzielić na części i rozrzucić je, cały czas śpiewając: *Wywołuję was, wzywam, rozkazuję wam, Sitraelu, Malantho, Thamaorze, Falaurze i Sitrami, wy podziemni królowie, w imię potęgi i dostojności Wszechmogącego i Nieśmiertelnego Pana Boga Zastępów...*”

– Bracie, chcecie mi powiedzieć...

– ...choć oczywiście w wypadku śmierci brata Augustyna zaklinający, jako heretycy, użyliby imion ich własnych plugawych bóstw...

– Bracie, mówicie poważnie? – Ledwie wierzyłem własnym uszom. – Chcecie mi powiedzieć, że ojciec Augustyn został złożony w ofierze przy wywoływaniu demonów?

– To bardzo prawdopodobne.

– Ale on nie był dziewiczą kurką!

– Nie. Ale jeśli przejrzyte książki takie jak ta, zobaczycie, że czasami poświęca się ludzkie szczątki. Być może znane wam jest oskarżenie Guicharda, biskupa Troyes. To prawdopodobnie nie taka sama sprawa, ale zapewniam was, że kiedy byłem w Paryżu, czytałem egzemplarze zeznań świadków będące w posiadaniu Inkwizytora Francji. Jeśli wiecie te smutną sprawę, wiecie, że kiedy Guichard i zakonnik Jan le Fay czytali ze swojej książki zaklęcia, pojawiła się postać podobna do czarnego mnicha z rogami, a kiedy Guichard nakazał jej pogodzić się z królową Joanną, ten demon zażądał w zamian jednego z jego członków.

Wierzcie mi, stałem tam z szeroko otwartymi ustami. Oczywiście znałem tę sprawę, która działa się dziesięć lat temu. Pamiętałem opowieści o podłościach Guicharda: że był synem zmory, że trzymał w kolbie osobistego demona, że otruił królową Joannę miksturą ze żmij, skorpionów, ropuch i pajaków. I pamiętam, że myślałem wówczas, iż gdyby tych opowieści tak nie zniekształcała odległość, byłyby tak koszarne, że aż śmieszne. Ale dziesięć lat temu każdy mówił o niegodziwościach templariuszy pamiętacie? Rycerze zostali oskarżeni o oddawanie czci szatanowi aktami bluźnierstwa i sodomii, mordowaniem dzieci i przyzywaniem demonów. Bez względu na prawdziwość tych zarzutów nie mogłem ich w żaden sposób potwierdzić: nie sprawowałem w owym czasie funkcji inkwizytora heretyckiej nieprawości, za co jestem głęboko wdzięczny, i teraz wiem, jak łatwo można wydobyć

wyznanie winy rozżarzonymi węglami. Wiem także, że wielu templariuszy wycofało zeznania, które złożyli pod wpływem tortur, i zostali spaleni na stosie, wciąż zapewniając o swojej niewinności. Ale niechybnie macie własne zdanie na temat działalności zakonu we Francji, nie będę więc odbiegał od tematu. Wystarczy powiedzieć, że kiedy usłyszałem zarzuty przeciwko biskupowi Guichardowi, mimowolnie postawiłem sobie pytanie, czy niektórzy ludzie nie wykorzystywali lęku przed diabelskimi mocami, wówczas tak rozpowszechniono, by zniszczyć jego reputację. I moje wątpliwości były chyba uzasadnione – bo czyż nie został on zwolniony z więzienia cztery lata temu i wysłany jako biskup sufragan do Niemiec? Stało się to po tym, jak pewni świadkowie, niegdyś mu wrorzy, na łożu śmierci zeznali, że jest niewinny.

Nie znaczy to, że zaprzeczam istnieniu demonów czy też nekromantów, szukających sposobów wzywania ich z czeluści. Święty Tomasz z Akwinu wskazywał, że tak naprawdę to nie demon jest wykonawcą woli wywołującego go czarnoksiężnika – to on prowadzi człowieka głębiej w grzech. Ale skoro Guichard popełnił taki grzech, dlaczego był teraz biskupem sufraganem, z błogosławieństwem Ojca Świętego?

Nie wierzyłem więc, że Piotr Julian z powagą sięgnął po przykład biskupa Guicharda. Być może myślałem też o słynnym ataku na papieża Bonifacego VIII podjętym przez te same siły, które stały za szykanowaniem biskupa Guicharda i templariuszy: mówiąc wprost, siły króla Filipa. Niewątpliwie pamiętacie, jak bardzo król i papież Bonifacy byli sobie przeciwni. Zapewne nic dziwnego, że po śmierci Ojca Świętego król oskarżył go o rozmaite praktyki heretyckie i szatańskie. Przypominam sobie nawet, że o Bonifacym także mówiono, iż posiadał osobistego demona, którego miał wywoływać, zabijając koguta i wrzucając w ogień jego krew. Być może, tak jak Guichard, używał książki podobnej do tej w dłoni Piotra Juliana. Ale jeśli rzeczywiście był winien, to dlaczego nagle zawieszono postępowanie przeciwko niemu, kiedy papież Klemens (niech spoczywa w spokoju) w końcu wyraził zgodę na pewne żądania króla dotyczące bulli wydanych przez wspomnianego Bonifacego?

Och, jestem nieufnym i pozbawionym szacunku duchem. Tak zwykł był mawiać prowincjał, kiedy nie mogliśmy dojść do porozumienia w tej właśnie kwestii. Myślę jednak, że nie tylko mnie nurtują te wątpliwości. Wiem, że inni także pytali, jakie powody ma król, by prześladować papieża Bonifacego i biskupa Guicharda.

Piotr Julian jednak najwyraźniej do tych wątpiących nie należał.

– Wydaje mi się, że oskarżenia przeciwko biskupowi Guichardowi nigdy nie zostały udowodnione – powiedziałem.

– Ależ zostały! Uwięziono go!

– Ale jego oskarżyciele się wycofali.

Piotr Julian poczynił lekceważący gest.

– Miłosierdzie okazane grzesznikowi ani trochę nie umniejsza jego grzechu, jak wiecie. Jeśli chodzi o ojca Augustyna, wydaje mi się, że jakieś pozbawione moralności pędy, w swym

pragnieniu służenia diabłu i zaprzeczaniu prawdzie Bożej, mogły złożyć w ofierze jednego z najbardziej zagorzałych obrońców Pana, aby wezwać wszystkie zastępy piekielne.

– Bracie...

– Kiedy po raz pierwszy usłyszałem o tym zabójstwie, zastanawiałem się, czy jest to przypadek czarów. Powiedziałem to Ojcu Świętemu, a on był jak najbardziej zainteresowany.

– Naprawdę? – jakoś trudno było mi w to uwierzyć. Ja osobiście roześmiałbym się na głos. – Ale dlaczego?

Piotr Julian spojrział na mnie wzrokiem żalnym i protekcyjnym. Położył dłoń na moim ramieniu i zmusił mnie, bym usiadł na pryczy, tuż obok niego.

– Tu, w Lazet, jesteście bardzo daleko od Awinionu – pocieszał mnie. – Oczywiście nie macie pojęcia o ostatnich atakach na chrześcijaństwo. Myślę tu o śmiertelnej epidemii czarów, wieszczeniu i przyzywaniu demonów. Zdajecie sobie sprawę, że Ojciec Święty wyznaczył komisję do wyśledzenia czarów na swoim własnym dworze?!

Bez słowa pokręciłem głową.

– Tak właśnie jest. On sam, ze strachu przed tym zapowietrzonym towarzystwem ludzi i upadłych aniołów, posunął się do użycia magicznej skóry węża, by wykryć obecność trucizny w swoich posiłkach i napojach.

– Ale przecież... – Przysięgam, nie umiałem się wystąpić. – Przecież Ojciec Święty nie mógłby popełnić tego grzechu...?

– Mój synu, nie wiecie o wcześniejszych spiskach przeciwko papieżowi Janowi? Nie macie świadomości, że biskup Hugo Geraud z Cahors i inni spiskowcy próbowali w zeszłym roku zabić Ojca Świętego?

– Tak, oczywiście, ale...

– Kupili od Żyda trzy woskowe figury, do których przyczepili trzy paski pergaminu z imionami papieża i jego dwóch najbardziej lojalnych stronników. Potem ukryli te figury, razem z trucizną otrzymaną z Tuluzy, w bochenku chleba, który wysłali do Awinionu.

– Naprawdę? – Chociaż wiedziałem o spisku, nie słyszałem nic o woskowych figurach. – Widzieliście je?

– Co?

– Te figury.

– Nie. Ale rozmawiałem z ludźmi, którzy je widzieli.

– Och. – Zmieszany, zachowałem spokój.

Wyglądało na to, że trwała jakaś kampania, której byłem całkowicie nieświadom. Oczywiście nekromancja nie leżała w kompetencjach inkwizytora heretyckiej nieprawości, nie można się więc było po mnie spodziewać, że się nią zainteresuję. Niemniej jednak po raz pierwszy uświadomiłem sobie, że utraciłem łączność ze światem. Poczułem się jak wieśniak z gór stający wobec najeżdżającej armii, na którą zupełnie nie jest przygotowany.

– Myślę, że powinienes to przeczytać – poradził mi Piotr Julian, uwalniając w końcu *Księgę urzędów duchów*. – Mam też jeszcze jedną książkę, z którą powinienes się zapoznać, a nosi ona tytuł *Lemegeton*. Traktuj je jako podręczniki do wykrywania czarowników i czarownic. Uzbrojony w tę wiedzę, będziesz lepiej wyposażony, by przemóc siły zła.

– Ale ściganie czarowników to nie jest moje zadanie. Nie mam zaleceń do takich działań.

– Być może wkrótce je otrzymasz – zauważył Piotr Julian – jeśli Ojciec Święty uzna to za konieczne. Poza tym prowadzicie śledztwo w sprawie śmierci ojca Augustyna, prawda?

Podniosłem dłoń.

– Bracie – powiedziałem – ojciec Augustyn nie został złożony w ofierze.

– Skąd możecie to wiedzieć?

– Ponieważ nie był kurą, ponadto nie został zabity o północy, a jego szczątków nie rozrzucono na skrzyżowaniu. Ciało ojca Augustyna zostało rozrzucone po całym kraju.

– Mój synu, nie wiemy, ile istnieje innych książek takich jak ta, książek pełnych nieznanymi ceremoniami i zaklęć. Książek, których nigdy nie widzieliśmy, zawierających niewyobrażalne bluźnierstwa.

– Być może. Ale skoro wyście ich nie widzieli, bracie, przysięgnę na Pismo Święte, że tutaj także nikt się z nimi nie zetknął. Jak powiedzieliście, jesteśmy daleko od Awinionu.

Piotr Julian zaczął kręcić głową.

– Niestety, gdyby tak było! – westchnął. – „A On, gdy przyjdzie, będzie karał świat z grzechu”. Nie ma na ziemi ani jednego zakątka wolnego od szatańskiej zarazy.

Nagle poczułem, że ogarnia mnie straszliwe zmęczenie. Zrozumiałem, że walcząc w ten sposób, nigdy nie pokonam Piotra Juliana. Był niestrudzony – pełen zapалу, któremu żaden człowiek o umiarkowanych pasjach nie miał szansy sprostać. Stało się dla mnie jasne, że ta energia, ten nieustępliwy entuzjazm, były środkami, dzięki którym nieustannie postępował do przodu, stawiając czoło wszelkim przeciwnościom. Po chwili można się tylko poddać.

– Na przykład, czy w Casseras szukano czarnoksiężskich tekstów? – zapytał z niesłabnącym zapalem.

– Szukano. Nie znaleziono niczego, co byłoby w jakikolwiek sposób podejrzane.

– Niczego? Żadnych ukrytych noży, haków, sierpów czy igieł? Żadnych czarnych kogutów ani kotów?

– Nie mam pojęcia. Roger Descalquens prowadził przeszukania.

– A wieśniacy? Czy przepytaliś ich pod kątem posiadania przez nich wiedzy o czarach?

– Jakże bym mógł? – Raz jeszcze mój gniew się rozpałił. – Bracie, Święte Oficjum nie ma nakazu włączania się w czary!

– Ja jednak uważam, że nadszedł na to czas – odpowiedział Piotr Julian. Zdawało się, że myśli przez chwilę. – Kiedy znowu będziesz przepytawał podejrzanych i świadków w tej sprawie, zapytaj ich, jakie substancje jedzą albo podają do jedzenia: pazury, włosy, krew i tym podobne, zapytaj ich, co wiedzą w związku z umożliwianiem bezpłodnym zajścia w ciążę,

z niezgodą między mężami a żonami albo dziećmi czy też o umierających albo cudownie uleczonych...

– Bracie...

– Dowiedz się, czy widzieli albo używali jakichkolwiek obrazów z wosku lub ołowiu; a także spytaj o metody zbierania ziół albo o jakieś kradzieże krzyża, świętego oleju bądź sakramentu ciała Chrystusa w obrębie ich własnej wioski...

– Bracie, może wy powinniście zapytać ich o te rzeczy. – Nie mogłem sobie wyobrazić, że prowadzę takie śledztwo, by zadowolić Piotra Juliana. – Jesteście najwyraźniej bardziej oświeceni niż ja. To właściwsze, żebyście wy prowadzili śledztwo w sprawie śmierci ojca Augustyna, a ja zajmę się innymi obowiązkami.

Piotr Julian raz jeszcze się zamyślił, podczas gdy ja zanosilem ciche modły do Pana. Ale Pan mną pogardził.

– Nie – powiedział w końcu mój zwierzchnik – poszliście już za daleko tą drogą. Byliście w Casseras i znacie tamtejszych ludzi. Lepiej, żebyście wy kontynuowali swoje śledztwo, i podczas gdy ja zacznę prowadzić sprawę tej wioski, której mieszkańców aresztowaliście. Jak ona się nazywa?

– Saint-Fiacre.

– Saint-Fiacre. Właśnie tak. Oczywiście zbadam wasze postępy i zasugeruję, jak można je wzmocnić. Poza tym, i w ten sposób pomogę wam najbardziej, zapiszę pytania, które powinniście zadać, z uwzględnieniem magii i przywołań. Nie zaznajomiwszy się ze stosowną literaturą, będziecie prawdopodobnie potrzebowali przewodnika w ściganiu nekromantów.

„Czemuś, Panie, odstąpił daleko, przeglądasz w potrzebach, w ucisku?” Możecie sobie wyobrazić, jak potulnie zniosłem tę próbę – z jakąż cierpliwą pokorą poddałem się woli Boga. Jak Hiob, przekląłem ten dzień. Ale uczyniłem to po cichu, w głębi serca; jakimś cudem znalazłem siłę, by powstrzymać cisnące się na usta słowa. Albowiem gdybym przemówił, zawodziłbym jak szakale i lamentowałbym jak strusie.

Doprawdy, Pan ukarał mnie za moje grzechy. I jak bezkresne jest Jego panowanie i pokój, tak Jego kara nie miała końca.

Wkrótce po przyjeździe Piotra Juliana odbyło się *auto da fé*. Zorganizowałem je, ponieważ wielu więźniów czekało na wyrok. Chciałem także na swoim nowym zwierzchniku zrobić wrażenie, że pomimo wielu błędów i niedostatków odnoszę jednak sukcesy, przynajmniej w aresztowaniu sięjących spustoszenie wilków. Dlatego pomimo ogromu obowiązków wezwałem zgromadzenie sędziów, by wydało wyrok, a z każdej ambony w okolicy oznajmiano dni, w których miała się odbyć publiczna ceremonia. Postarałem się też upewnić, że to oznajmienie zawiera uwagę o planowanej jednej egzekucji – odkryłem bowiem, że jeśli ludziom nie obieca się egzekucji, nie sposób przyciągnąć ich tłumnie na taką okazję.

Sędziami byli biskup Anzelm, przeor Hugon, seneszał, królewski skarbnik konfiskat, przedstawiciel biskupa Pamiers (uczony w prawie kanonicznym), miejscowy notariusz o nieskazitelnej reputacji i – oczywiście – Piotr Julian Faure. Przez półtora dnia rozprawiali nad różnymi przypadkami przedstawianymi im wśród luksusowych wnętrz pałacu biskupa; potem, ugodziwszy się na odpowiednią karę, kazali zapisać wyroki. Rozstali się z wielką ulgą, jako że usposobieniem niezbyt do siebie pasowali. Notariusz poinformował mnie poufale, że biskup Anzelm jest „przeszkodą”, a kanonik z Pamiers „ma zbyt ograniczone rozumienie”. (Wszystko, co wie, pochodzi z *Summa iuris* Penaforta! Prawo to coś więcej niż Penafort, ojczyste.) Roger skarżył mi się, wspomniany notariusz „mijał się z sensem w swoich długich wypowiedziach” i że przeor Hugon był „zbyt łagodny”. Kanonik natomiast mówił o seneszalu, że jest „ignorantem i grubianinem”.

Nikt nie powiedział nic pochlebnego o Piotrze Julianie. Nawet biskup, w wielkiej poufałości, zapytał mnie, czy mój zwierzchnik „myśli, że to on jest biskupem”. A seneszał został doprowadzony do tego, że w trakcie obrad zauważył: „Jeśli ta tłusta larwa jeszcze raz wspomni o swoich papieskich pełnomocnictwach, wepchnę mu te słowa w gardło”.

Jak już kiedyś odkryłem, zgromadzenia tego rodzaju często odsłaniają utajone antagonizmy.

Kiedy wyroki zapadły, w nawie Świętego Polikarpa wzniesiono wielką drewnianą platformę. Tu, w wyznaczonym dniu, zgromadzono szesnastu grzeszników. Stawili się także ci notable, których obecność była konieczna: różni konsulowie, seneszał, biskup, Piotr Julian Faure i ja. Piotr Julian wygłosił kazanie, które stanowiło taki gąszcz *translatio*, że było zupełnie niepojęte. (Wciąż się zastanawiam, co mógł on mieć na myśli, mówiąc o „piciu cierni z kielicha krwi Chrystusowej w tym samym stopniu, co wam zostanie jeszcze wymierzony”). Potem seneszalowi i innym przedstawicielom armii świeckiej przysiężono posłuszeństwo, na wszystkich tych, którzy utrudniają prace Świętego Oficjum uroczyście nałożono ekskomunikę, a Rajmund Donatus miał odczytać wyznania każdego grzesznika językiem pospolitym.

Zazwyczaj składałem to zadanie na barki Rajmunda Donatusa, ponieważ wykonywał je z zapalem i oddaniem. Nawet w podsumowaniu te wyznania bywały długimi, ciężkimi oświadczeniami, pełnymi nudnych i mało ważnych przestępstw, ale Rajmund Donatus, choćby opowiadał o najskromniejszych grzechach, potrafił wzruszyć audytorium do łez albo doprowadzić do wściekłości. (Na przykład błogosławiąc chleb tak, jak to czynią heretycy). Przy tej okazji prześcigał sam siebie; nawet grzesznicy płakali, a ledwie ich słyszano, kiedy potwierdzali prawdziwość wyznań. Gdy już się wyrzekli swych grzechów, zdejmowano z nich ekskomunikę, którą byli zagrożeni, i obiecano im miłosierdzie, jeśli okażą się posłuszni, pobożni i pokorni wobec wyroków, które miały być im zasądzone.

Te zaś były w niektórych wypadkach surowsze, niż przewidywałem. Zazwyczaj kiedy seneszał stawał się całkiem bezlitosny, przeor Hugon domagał się łaskawości, a rezultat był

umiarkowany i rozsądny. W tym jednak wypadku Piotr Julian popierał punki widzenia seneszała, a nikt przeciwny jego surowości nie miał siły stawić oporu tej nienasyconej gorliwości, nad którą już ubolewałem w innym miejscu.

I tak Grimaud Sobacca, za grzech dostarczenia fałszywego świadectwa, otrzymał wyrok dożywotniego więzienia, podczas gdy ja zalecałem czerwone języki na odzieniu, czyszczone różgami w każdą niedzielę w kościele, poszczenie od piątku po dniu świętego Michała do Wielkanocy i wielką grzywnę. Podobnie teść Rajmunda Maury został skazany na pięć lat więzienia, ja nakazywałem zaś dla niego jedynie kilka pielgrzymek: a mianowicie do Świętej Marii z Rocheamour, do Świętego Rufusa z Aliscamp, do Świętego Idziego z Vauverte, do Świętego Wilhelma z Desert i do Santiago de Compostella – wszystkie w ciągu pięciu lat.

Prawdę mówiąc, Piotr Julian zdawał się przedkładać karę więzienia nad pielgrzymkę. (Wiedziałem, że Pons był przeciwnego zdania, ale zrozumiał, że musiałby się przeciwstawić nowemu panu). Tylko jeden grzesznik został skazany na pielgrzymkę, a była to młoda kobieta, której wykroczenie polegało jedynie na tym, że jako dziecko widziała katarskiego Doskonałego w domu swego wuja, nie wiedząc, kto to jest. Skazano ją na odbycie siedemnastu pomniejszych pielgrzymek i dostarczenie z każdego przybytku, jak to było w zwyczaju, listów potwierdzających wizytę. Zaznaczono, że nie musi nosić krzyża ani zgadzać się na biczowanie w którymkolwiek z miejsc, ale moim zdaniem zasłużyła na o wiele łagodniejszą karę. Nakazałbym kilka obrządków: codzienną mszę, *Ojciec nasz* odmawiane dziesięć razy dziennie, wstrzymanie się od jedzenia mięsa, jajek, sera i tak dalej.

Pamiętacie Doskonałego Ademara z Roaxio, o którym wspominałem wcześniej w tej opowieści? Jako zatwardziały heretyk na pewno zostałby stracony, gdyby nie zgnął w więzieniu. Na stos skazano więc jego szczątki, razem z ciałem jeszcze jednego mężczyzny, który otrzymał *consolamentum* na łożu śmierci. Żonę tego człowieka – który, choć sam nie był heretykiem, uznawał ich jednak – skazano na więzienie. Lubieżnik Bertrand Gasco z Seyrac, także wcześniej wspomniany, został skazany na trzy lata więzienia, po których miał nosić krzyże przez całe życie. Jednej z uwiedzionych przez niego kobiet, Rajmundzie Vitalis, wymierzono identyczną karę. W sumie jedynie trojga grzeszników nie skazano na więzienie; jedną z nich była wspomniana już młoda kobieta, której nakazano odbyć siedemnaście pielgrzymek, jedna osoba była nieobecna, a jedną przekazano *debita animadversioe puniendum* – czyli w ręce władz świeckich.

Ten trzeci grzesznik to były heretyk, niegdysiejszy pasterz i bestia w ludzkim ciele. Skazany za oddawanie czci Doskonałym mniej więcej dwanaście lat wcześniej, wyrzekł się wiary heretyckiej i pojednał się. Otrzymał wyrok sześciu lat więzienia i został zwolniony pod warunkiem noszenia krzyży. Czynił to, i to z dumą. Kilka razy oczyszczono go i wychłostano za atakowanie dobrych katolików, którzy drwili, że nosi ten hańbiący znak. Wyciął sobie nawet krzyż na piersi i podobno chełpił się, że był w piekle, które znajdowało się tu, na ziemi – to wierzenie pochodzące z nauki katarów. Kiedy posądzono go, że jest heretykiem, twierdził, iż

jego oskarżyciele dają fałszywe świadectwo przeciwko niemu, a jednak za to wszystko przeklął Święte Oficjum, Kościół i seneszała. Kiedy został aresztowany, splunął na ojca Jakuba i nazwał go diabłem. Powiedział, że Chrystus jest martwy i że my wszyscy zabiliśmy go naszymi grzechami. W więzieniu, oczekując wyroku, skowytął jak wilk i ugryzł Ponsa w nogę. Zjadłszy własne odchody, przepowiadał, że w dniu jego śmierci całe Lazet zostanie zniszczone przez Boga. A jednak ja nie wierzę, że był szalony. Rozmawialiśmy trzykrotnie i mówił spójnie, logicznie, chociaż jego zamiarem zawsze było obrażać i doprowadzać do szału zniewagami, przekleństwami, niemoralnym zachowaniem. Pewnego razu, kiedy nikt mi nie towarzyszył (a zapewniam, że już nigdy więcej nie wszedłem do jego celi bez eskorty!), pociągnął mnie na podłogę, przygniótł do niej w bolesnym uścisku i groził, że pozna mnie cielesnie. Nie wątpiłem, że mimo kajdan mógłby wprowadzić w czyn swoją groźbę, jego siła była bowiem zdumiewająca. Na szczęście jednak moje krzyki zaalarmowały strażników, którzy okładali go łańcuchami, póki mnie nie uwolnił.

Ten nieuleczalny grzesznik nazywał się Jakub Galaubi. Każdy, kto go znał, lękał się go, a ja bałem się najbardziej ze wszystkich. Spojrzałem mu bowiem w oczy, gdy mnie trzymał na ziemi, i zobaczyłem w nich taką nienawiść, że wydawało mi się, iż patrzę w samą Czeluść. Prawdę mówiąc, kiedy pojawił się u Świętego Polikarpa na *auto da fé*, wydawał się wyjść z tej Czeluści, jako że okrywały go rany, które sam sobie zadał, był przygarbiony od ciężaru łańcuchów, którymi go skuto, zgrzytał zębami i wywracał oczyma. Zapewne rzuciłby groźby i bluźnierstwa, gdyby nie przypalono mu języka gorącymi węglami. (Tę okrutnie pierwotną karę doradził Pons, który twierdził, że jest „zmęczony niewyparzoną gębą tego łajdaka”). Zamiast więc miotać przekleństwa Jakub ślinił się jak głodny wilk i wszyscy, którzy go widzieli, dygotali. Odczytano jego występki i odprowadzono go z powrotem do więzienia. Dano mu tam jeszcze jeden dzień, by wyraził żal za grzechy, ponieważ jego dusza mogła nie przejść od doczesnych do wiecznych płomieni. Nie zdumiało jednak nikogo, że pozostawał nieubłagany w pogardzie dla Świętego i Apostolskiego Kościoła. Prawdę mówiąc, kiedy próbowałem nawiązać z nim kontakt w tej kwestii, w ogóle nie zwrócił na mnie uwagi. Oczywiście nie mógł mówić; jego język był zbyt obrzękły. Ale na moje pytanie, czy solennie wyznaje swoje grzechy i wyrzeka się ich, nie uczynił choćby gestu potwierdzenia. Po prostu patrzył na mnie niewidzącym wzrokiem, ziewnął i odwrócił się – porzucony przez Ducha Świętego.

Następnego dnia przywiązano go do pala na targu, wiązki chrustu zmieszane ze słomą i gałęziami winorośli ułożono do wysokości jego brody, potem seneszał zapytał go, czy wyrzeka się dzieła Złego. Szczerze wątpię, czy on w ogóle słyszał to pytanie, jako że z wielką energią stawiał opór przy opuszczaniu więzienia, a w efekcie jego strażnik wykazał się nieco zbyt ciężką ręką. W związku z tym skazaniec był na pół przytomny, a ja muszę przyznać, że poczułem ulgę. Nie przemawiało przede mną miłosierdzie, ponieważ Jakub zasługiwał na śmierć. Wśród nawróconych heretyków są tacy, którzy zbliżając się do śmierci, robią to we właściwym duchu pokory i z płaczem, godząc się z Kościołem. I chociaż ich skrucha może być

udawana, nie potrafię patrzeć na ich agonię bez wyrzutów sumienia. Jakub jednak stanowił ropiejącą ranę na ciele Kościoła, jego jad był jak jad węża. Miał wypić wino zapalczowości Bożej i cierpieć udręki ognia i siarki w obecności świętych aniołów.

A jednak musiałem się odwrócić, kiedy rozpalono stos. Odmawiałem modlitwy na głos, nie – muszę wyznać ze wstydem – by oddać cześć Chrystusowi, ale by się upewnić, że te ostatnie, straszliwe krzyki Jakuba nie dotrą do moich uszu. To wzdraganie się było moją słabością. Człowiek przekonany o słuszności egzekucji powinien mieć siłę, by oglądać rezultaty swojej pracy. Wiem, że ojciec Augustyn nie zasłaniałby oczu ani nie zatykałby uszu.

Ojciec Augustyn patrzyłby nawet na ostatnie upokorzenie, kiedy na wpół spalone ciało wygrzebywano ze stosu, łamano i wkładano do świeżego ognia z kłód, dopóki nie pozostał z niego tylko popiół. Wielu obywateli zostawało, by oglądać ten proces, ale mnie doprowadzał on do ciężkiej choroby. Raz jeszcze nie mogę podać wymówki. Moje ręce są słabe, a kolana jak z galarety.

Kiedy czytacie mój opis *auto da fé*, zastanawiacie się może, dlaczego zaniedbuję w opowieści losy pewnych osób, takich jak Rajmund Maury i Bernard z Pibraux. Może chcielibyście zapytać, czy nie byli tam obecni? Odpowiadam – nie było ich z powodów, które teraz przedstawię.

W trakcie przesłuchania Rajmund Maury bez oporów wyznał swoje grzechy. Był bardzo przestraszony i pragnął się pojednać. Wyznał nawet, że proponował ojcu Jakubowi jak to nazwał – „litościwe pieniądze” – pięćdziesiąt liwrów. Powiedział mi, że ze względu na swoją wielką i zależną od siebie rodzinę ojciec Jakub zdecydował się być miłosierny.

Teraz to wyznanie sprawiło mi poważną trudność. O ile łatwo byłoby skazać Rajmunda Maury za inne jego występki, grzech przekupienia inkwizytora nie należał do tych, które dotychczas wyliczyłem. Nie wiedziałem, co robić. Czy Rajmund powinien być sądzony za ten błąd? Czy może ojciec Jakub? Nie miałem się kogo poradzić, jako że ojciec Augustyn nie żył, a Piotr Julian nie przybył jeszcze z Awinionu. Postanowiłem więc napisać z prośbą o radę do Inkwizytora Francji, podejrzewając, że może on nie chcieć, by taki wstydlivy sekret stał się powszechnie znany, i dopóki nie dostanę odpowiedzi, trzymać Rajmunda w areszcie, w oczekiwaniu na wyrok.

Kiedy Piotr Julian został powiadomiony o tej decyzji, zgodził się, że powinniśmy poczekać na zalecenia z Paryża, zanim podejmiemy postępowanie przeciwko Rajmundowi Maury.

Sprawa Bernarda z Pibraux była inna, ponieważ on do niczego się nie przyznał. W końcu znalazłem czas, by go przesłuchać, i uderzyło mnie jego wielkie piękno, już nieco przyćmione po kilku miesiącach w więzieniu, a także chwytający za serce charakter. Cierpienie zdarło zeń dzikie, nieobyczajne zwyczaje, jego lubieżność i temperament pijaka, i teraz odsłoniło się to, co było ukryte pod spodem: spokojna, ale nieugięta stanowczość oraz czysta, zawikłana młoda dusza. Ten chłopak był lwiatkiem, a siedział sztywno jak hiena. Moje serce zmiękło,

kiedy go ujrzałem. Od razu zrozumiałem, dlaczego ojciec Jakub nigdy nie wezwał go do stawienia się przed Świętym Oficjum.

Nie twierdzą, że ojciec Augustyn źle zrobił, podejmując śledztwo w jego sprawie. Czyż faryzeuszy nie porównywano do pobielonych grobów? Piękna twarz może ukrywać zwyrodniałą duszę, wielu bowiem heretyków, jak wykazuje święty Bernard, jest wyjątkowo przemyślnych – umiejętnych w obłudzie. Kto wie, może się omyliłem w ocenie Bernarda z Pibraux? Ojciec Augustyn mimo wszystko był bardziej prawy ode mnie.

A jednak raz jeszcze zdradziła mnie moja słabość. Patrzyłem na Bernarda z Pibraux, słuchałem jego szczerego, nieśmiałego, niezachwianego zeznania i ach! Jakże pragnąłem być w innym miejscu, innym czasie, przy innym zajęciu! Nagle wstałem i zacząłem się przechadzać. Rajmund Donatus spojrzał na mnie, a Bernard przerwał.

– Mój przyjacielu – rzekłem do więźnia – będę z szczerą. Widziano cię, jak kłaniasz się i dajesz żywność heretykowi. Mamy na to wiele dowodów. Przyznaję, podejrzenia przeciwko tobie nie są ciężkiej wagi. Zdecydowałem więc poprosić twojego ojca, by zebrał dwudziestu świadków oczyszczających cię z zarzutów. Nieczęsto tak się robi, ale myślę, że twoja sprawa na to zasługuje. Jeśli twój ojciec znajdzie takich dwudziestu ludzi, ludzi dobrej reputacji których znasz osobiście i którzy przysięgną na twoją prawowierność, to ja będę w stanie przedstawić mojemu nowemu zwierzchnikowi, kiedy już przybędzie, godziwe argumenty za twoim uwolnieniem.

– Och, ojcze...!

– Czekaj. Posłuchaj mnie. Nie zostaniesz uniewinniony, Bernardzie. Zarzut zostanie po prostu uznany za „nieudowodniony”. Nadal będziesz musiał wyrzec się herezji z której sam się oczyścisz. A jeśli znajdę jakiegokolwiek dalsze dowody przeciwko tobie, nie będę miał litości. Zrozum to.

– Ojcze, ja nie jestem heretykiem. Nie jestem. To wszystko była pomyłka.

– Tak twierdzisz. Może to i prawda. Ale nie mogę mówić za mojego zwierzchnika. On może być nieprzekonany.

I rzeczywiście był. Piotr Julian wyśmiał moją sugestię, by wezwać kompurgatorów – przynajmniej dopóki Bernard nie odbędzie przedłużonej diety o chlebie i wodzie. Jeśli post nie zdoła nakłonić go do wyznania, zawsze będą skuteczniejsze sposoby wydobycia prawdy. Dopiero kiedy te metody nie poskutkują, zaczniemy rozważać możliwość uniewinnienia go. – „Kij na grzbiecie tego, któremu nie staje serca” – zauważył mój zwierzchnik.

Byłem rozczarowany, ale nie zaskoczony. Tortury moim zdaniem zawsze świadczyły o nieudolności. Informując Bernarda z Pibraux o decyzji mego zwierzchnika, zaznaczyłem, że przyznanie się do winy przyniesie w efekcie łagodny wyrok, podczas gdy utrzymywanie obecnej wersji doprowadzi go do upadku, nędzy, rozpacz. Wstawiałem się za nim: był, jak mówiłem, świetnym i zacnym młodzieńcem, dumą swego ojca i radością matki. Czyż pielgrzymka lub mniej więcej rok w niewoli nie będą lepsze niż tortury?

– To byłoby kłamstwo, a nie przyznanie się do winy – odpowiedział blady jak płótno.

– Bernardzie, ty nie chodzisz do kościoła.

– Jestem niewinny!

– Posłuchaj – złożyłem mu ostatnią propozycję. – Ty może jesteś niewinny, ale nie wiem, czy można to powiedzieć o twojej rodzinie. Jeśli twój ojciec stał za śmiercią ojca Augustyna, to powinieneś nam o tym powiedzieć. Ponieważ jeśli to uczynisz, tu mogę cię zapewnić, wyrok w twojej sprawie będzie lekki jak piórko.

Będąc pod takim wrażeniem jego godności, niemal spodziewałem się, że splunie mi w twarz. On jednak nauczył się w niewoli powściągliwości: jego jedyną odpowiedzią był wyraz niesmaku na twarzy i kilka słów pełnych wyrzutu.

– Myślałem, że jesteście dobrym człowiekiem – powiedział. – Ale okazaliście się jak wszyscy inni.

Westchnąwszy, poleciłem mu bardzo starannie rozważyć wszystkie możliwości. Zasugerowałem mu też, żeby się odwołał do papieża, ale że apelacje musi złożyć, zanim zapadnie wyrok. (Nie powiedziałem mu, iż jest bardzo mało prawdopodobne, iż Ojciec Święty ofiaruje mu wolność). Potem wyszedłem z jego celi, pocieszając się myślą, że kilka tygodni o chlebie i wodzie może nakłonić go do zmiany zdania – nie chciałem bowiem widzieć go na torturach.

To więc był powód nieobecności Bernarda na *auto da fé*: wciąż przebywał w więzieniu i pościł. Nie było też Bruny z Aguilar ani Petrony Capdenier odwołujących swe błędy publicznie, jako że nie miałem jeszcze czasu przeprowadzić postępowania w ich sprawie. Jeśli chodzi o Emergo Ribaudin, wezwałem go do stawienia się przed trybunałem, ale kiedy przybył, przyniósł ze sobą, samorzutnie, potwierdzenia swej prawomyślności od pięćdziesięciu kompurgatorów – w tym biskupa Anzelma – oraz dwóch notariuszy i dwunastu świadków, którzy wyrazili chęć potwierdzenia jego wersji wydarzeń. Zgodnie ze słowami Emergo, pieniądze, które dał heretyckiemu tkaczowi, były jedynie zapłatą za odzienie, niczym więcej. Nie zdawał sobie sprawy z przestępczej przeszłości tkacza. Ojciec Jakub, powiedział szczerze, uwierzył w jego słowa. A on, w ramach wdzięczności, dotował klasztor dominikanów winnicą, czterema sklepami i przepięknym relikwiarzem zawierającym część kości palca świętego Sebastiana.

W tych okolicznościach pozostawało mi jedynie uznać zarzuty przeciwko niemu za „nieudowodnione”. Wiedziałem jednak, że ostateczna decyzja należy do Piotra Juliana. Zorganizowałem więc spotkanie tych dwóch mężczyzn i byłem złośliwie ubawiony, kiedy mój zwierzchnik podszedł do mnie później, wyśpiewując pochwały płatnerza. Dobry katolik, rzekł, i wzorowy obywatel. Skromny, prawy i pobożny. A jednak nawet dobry człowiek może mieć wrogów o żmijowych językach.

– Wierzcie zatem, że była to kwestia fałszywego świadectwa? – zapytałem.

– Bez wątplenia. Ktokolwiek jest odpowiedzialny za pomówienie tej chwały obywatelstwa, powinien za to zapłacić.

– Już zapłacił. Zmarł w więzieniu dwa lata temu.

– Ach.

– Bracie, jeśli uważacie, że Emery Ribaudin został fałszywie oskarżony, może powinniście raz jeszcze rozważyć sprawę Bernarda z Pibraux, ona jest niemal identyczna...

– Nonsens.

– On także utrzymuje, że był nieświadom heretyckiej tożsamości...

– On nie jest szlachetną osobistością.

Kiedy Piotr Julian powiedział „osobistością”, miał oczywiście na myśli bogactwo i wpływy. Zawsze tak było na tym świecie. Ale we mnie nie wywołało to zgorszenia, nie miałem bowiem wątpliwości, że bogaci i potężni sami rodzą wrogów, a reputacja Emergo była poza tym bez skazy. Co więcej, zostałem wtajemniczony w pewne fakty, które skutecznie zdjęły z Mauranda z Alzen, czyli zięcia Emergo, wszelkie podejrzenia o udział w zamordowaniu ojca Augustyna. Krótko mówiąc, dowiedziałem się, że Jordan Sicre nadal żyje.

Tę informację dostarczono mi do klasztoru niespełna tydzień przed *auto da fé*. Pewnego wieczoru, już po zarządzaniu dyscypliny, w tym krótkim czasie zanim bracia udadzą się na spoczynek, podszedł do mnie świecki braciszek, który nadzorował personel kuchenny. Poprosił mnie o pozwolenie na rozmowę, a ja dałem mu je, mimo że odmawiałem siedem pokutnych psalmów. (Nie należy zapominać, że przeżywałem rozterki duchowe – o których będę jeszcze mówił w tej opowieści).

Świecki braciszek o imieniu Arnold przeprosił, że mi przeszkadza. Rozmawiał z subprzeorem, który doradził mu rozmowę ze mną. On sam mówił nie w swoim imieniu, ale w imieniu jednego z pomocników kuchennych. Nie kłopotałby mnie sprawą znikomej ważności...

– Przejdź do rzeczy, bracie, proszę – powiedziałem.

Kiedy jednak Arnold się wzdygnął, natychmiast powstrzymałem swoją niecierpliwość, zaprowadziłem go do swojej celi i zwróciłem się do niego w sposób łagodny. Przedstawił mi ciekawą opowieść:

Każdego dnia po naszym głównym posiłku resztki jedzenia rozdawano biedakom – wraz z kilkoma bochenkami upieczonymi specjalnie dla nich. Żywność zanosił do bramy klasztoru pomocnik kuchenny, niejaki Tomasz, który miał obowiązek upewnić się, że wszyscy czekający tam głodni ludzie dostaną przynajmniej maleńką porcję daru dnia. Większość żebrzących przychodziła tu regularnie, Tomasz znał wszystkich z imienia. Kilka dni temu pojawił się jednak człowiek, którego widział po raz pierwszy – ten odmówił kawałka chleba, ponieważ był „pokalany sosem”, a zatem „mięsem, które było grzeszne”.

Tomasz zignorował jego słowa, myśląc, że odnoszą się do postu. Ale dwa dni później ten sam żebrak łątał innego za „wspólne spożywanie jedzenia zrodzonego przez spółkowanie”.

Jako że słowo „spółkowanie” było Tomaszowi obce, zwrócił się on do Arnolda z prośbą o objaśnienie.

– Pamiętam, jak kiedyś mówiliście o grzechach heretyków – zauważył Arnold z wahaniem. – Powiedzieliście nam, że oni nie jedzą mięsa, ponieważ nie zabijają żadnego ptaka ani zwierzęcia.

– Tak właśnie jest.

– Powiedzieliście też, że noszą się na niebiesko, a ten człowiek nie miał niebieskiego odzienia. Ale czułem, że i tak powinienem was powiadomić.

– Bracie, mieliście słuszość, przychodząc do mnie – wziętem go za rękę. – Jesteście stróżem u bram winnicy. Dziękuję.

Zarumienił się i wyglądał na zadowolonego. Poprosiłem, by powiadomił mnie, kiedy następnym razem będzie karmił biedaków, a ja przepytam tego dziwnego żebraka. Chociaż trudno mi było uwierzyć, żeby jakiś gorliwy heretyk szukał pomocy u samych bram dominikańskiego klasztoru, musiałem jednak przeprowadzić śledztwo. Gdybym tego nie zrobił, ryzykowałbym oskarżenie, że jestem przestępcą i ukrywam herezję.

Następnego dnia przed noną Arnold raz jeszcze podszedł do mnie i wspólnie podążyliśmy przyjrzeć się wspomnianym żebrakom. Tłoczyli się przy wejściu do klasztoru, było ich mniej więcej dwudziestu. Wśród nich znajdowały się dzieci, starcy i chorzy. Ale jeden przynajmniej był w kwiecie wieku – smukły mężczyzna o ziemistej cerze, oczach koloru miodu i delikatnych dłoniach.

Rozpoznałem go natychmiast.

Przypomnijcie sobie niezrównanego familiara opisanego na początku tej opowieści. Określałem go mianem „S”. W czasie, o którym mówię, „S” był nieobecny w Lazet od pięciu miesięcy, a został skazany jako nienawracalny heretyk. Dałem mu klucz i aby mógł go użyć, wezwałem do siebie strażnika, czym zapewniłem więźniowi „ucieczkę”. Umówiliśmy się, że pojedzie na południe i przeniknie do grupy heretyków mieszkających w górach Katalonii. Rok później miał ich zwabić z powrotem przez góry. Ustaliliśmy datę, kiedy mieli być znalezieni i aresztowani w wiosce w pobliżu Rasiers.

Cóż więc robił on w Lazet?

– Mój przyjacielu – zagałem go, jakby był obcy, myśląc przy tym intensywnie – czy to prawda, że nie jecie mięsa?

– To prawda – odpowiedział swoim jedwabistym głosem.

– A dlaczegoż to, jeśli łaska?

– Ponieważ poszczenie jest dobre dla duszy.

– Niewątpliwie skoro tu przychodzicie, jesteście zbyt głodni, by pościć. – Kiedy mówiłem, zastanawiałem się: dokąd pójdziemy? Nie mogłem go wszak zabrać do siedziby Świętego Oficjum, gdzie zostałby rozpoznany. Z drugiej strony, gdybym przedstawił taką obcą osobę przeorowi, padłyby pytania.

– Moja dusza jest bardziej głodna niż ciało – zauważył „S”, odwracając się, by odejść.

Odciągnąłem wówczas Arnolda na bok i szepnąłem mu, że pójdę za tym pędem niewiary, aby móc odkryć jego kryjówkę. Przecież on mógł wyjść z prawdziwego gniazda heretyków! I od razu odszedłem, zanim Arnold zdołał zadać mi dalsze pytania.

Guzdrając się w pewnej odległości za moją zdobyczą, śledziłem go, mijając zamek i zdążając na drugą stronę rynku. Szedł krokiem jednostajnym, ani razu się nie odwrócił. Mimo wszystko wyczułem, że zdaje sobie sprawę z mojej obecności. W końcu zostałem poprowadzony nie w kąt ptasiego targu ani też zacienionych drzwi kościoła, lecz do hospitium. Chociaż górne piętro pozostawało niezamieszkane, niższe – magazyn – było zamknięte jak więzienie. Kiedy jednak go mijałem, zobaczyłem, że mój familiar dobywa klucza z odzienia i wchodzi do budynku przez boczne drzwi.

Obszedłem kwartał i wróciłem do tych samych drzwi, które otworzyły się cichutko, by mnie przyjąć.

– Witam – rzekł spokojnie mój familiar.

Potem zamknął drzwi równie delikatnie, tak że jedyne światło oświetlające przestrzeń, na której staliśmy, pochodziło z dwóch niewielkich wysoko umieszczonych okien. Rozglądając się, zobaczyłem, że magazyn jest wypełniony belami wełny i stosami drewna piłowanego. Nieopodal moich stóp dostrzegłem też wiązkę słomy i leżące obok przedmioty (kozia skóra, piętka chleba, nóż, koc), które pozwoliły mi przypuszczać, że ktoś tu nocuje.

– Mieszkasz tu? – zapytałem.

– Chwilowo.

– Ktoś o tym wie?

– Myślę, że nie.

– Skąd więc wzięłeś klucz? – pytałem, a mój familiar się uśmiechnął.

– Ojczy, ten budynek należy do mnie – odparł. – Dzięki twej wspańlomyślności.

– Ach. – Wiedziałem, że „S” zakupił winnicę pod fałszywym nazwiskiem, ale nie, że posiada hospitium w samym sercu Lazet. – Zawartość też należy do ciebie?

– Nie. Dobra, które tu widzisz, są własnością mojego dzierżawcy. – Wskazał na sufit.

Przyjrzałem się ciekawie familiarowi, jako że wydawał się mniej spokojny we własnym magazynie, niż był w więziennej celi. Wyglądał na zmęczonego, a jednak dziwnie czujnego. Jego ruchy były nadzwyczaj nerwowe.

– Dlaczego tu przyszedłeś? – zapytałem. – Zebrać czynsz? Wielce ryzykujesz, mój synu.

– Wiem o tym – rzucił szybko. – Przyszedłem tu, by wam pomóc.

– Pomóc mi?

– Słyszałem, że zabito inkwizytora Lazet. – Siadając na jednej z wełnianych bel, zaprosił mnie, bym poszedł w jego ślady. – Pomyślałem, że może chodzić o was, ale powiedziano mi, że to ktoś inny. Następca ojca Jakuba.

– Augustyn Duése.

– Tak. Moi nowi przyjaciele bardzo chcieli dowiedzieć się czegoś więcej. Zdobyli informację, że zabito też czterech strażników. Czterech familiarów. Czy to prawda?

– Być może. – Ujrawszy jego jasne, baczne spojrzenie, musiałem dać pełniejsze wyjaśnienie. – Ciała zostały rozerwane na kawałki i rozrzucone na wielkiej przestrzeni. Trudno powiedzieć z całą pewnością, czy zabito wszystkich strażników, czy też nie.

– Macie wątpliwości?

– Mam.

– Co do Jordana Sicre?

Gwałtownie zaczerpnąłem powietrza.

– Widziałeś go! – krzyknąłem, na co on położył palec na moich ustach.

– Cicho! – szepnął. – Usłyszysz was mój dzierzawca.

– Widziałeś go! – Starąłem się szeptać. – Gdzie? Kiedy?

– Niedaleko miejsca, w którym mieszkam. Kupił niewielkie gospodarstwo i jest znany pod innym imieniem. Ale rozpoznałem go z tego miłego okresu, który ostatnio spędziłem w waszym więzieniu, ojczu. Zwykł być kafarować mi stopy. – Mój familiar raz jeszcze się uśmiechnął. To był niepokojący uśmiech. – Rozpoznał mnie, oczywiście. Podszedł do mnie i ostrzegł, że jako zbiegły Doskonały byłbym głupcem, donosząc Inkwizycji, albo komukolwiek innemu, o jego tożsamości. I miał słuszność. Jako zbiegły Doskonały byłbym głupcem, tak postępując.

– Nawet gdyby zapewniło ci to łagodniejszy wyrok?

– Tego nie mógł być pewien.

– To prawda. Ale może się zastanawiać, gdzie teraz jesteście.

– Ojczu, często wyjeżdżam nauczać. Mogę być nieobecny przez kilka dni.

– Więc on wciąż tam jest?

– Tak myślę.

– A jeżeli został aresztowany? Co jeżeli o tobie wspomni?

– Och, ojczu – powiedział łagodnie „S” – jeśli go aresztowano, nie mogę tam wrócić.

Oczywiście, że o mnie powie. Musicie więc zdecydować: co jest ważniejsze? Jordan Sicre czy moi nowi przyjaciele?

– Jordan – co do tego nie miałem wątpliwości. – Musimy dopaść Jordana. Ale na pewno po całym tym czasie możesz mi podać jakieś nazwiska? Kilka osób?

– Och tak. Kilka.

– Więc to musi wystarczyć. A ja muszę je zapamiętać, ponieważ nie mam pióra...

– Proszę. – Mój familiar wstał. Zza wełnianej beli wyciągnął atrament, pióro i pergamin.

Byłem mu wdzięczny za tę zdolność przewidywania.

– Pisz – powiedziałem, ale on podniósł rękę, jakby odrzucał moją sugestię.

– Och nie, ojczu – brzmiała jego odpowiedź. – Gdybym to zrobił, zostałyby dowiedzione, że byłem informatorem.

Rozważcie tylko przebiegłość tego człowieka! Był naprawdę niedościgniony. Niezrównany. Powiedziałem mu to, a on odparł, że, jak większość ludzi, zapracowuje na zapłatę.

Na to czym prędzej zapewniłem go, że otrzyma sumę obiecaną za heretyków katalońskich, chociaż przebywało tam, być może, mniej heretyków, niż się spodziewał. Ale pieniądze zostaną wypłacone w uzgodnionym dniu umówionemu odbiorcy.

– Bez względu na to, co będę robił do tego czasu? – zapytał.

– Bez względu na to.

– Wypatrujcie mnie więc za osiemnaście miesięcy w Alet-les-Bains. Zamierzam odwiedzić tam kilku przyjaciół.

Nie powiedział nic więcej na ten temat. Kiedy więc zapisałem informacje, które on nosił w swej głowie (a jego pamięć, muszę podkreślić, była zadziwiająca), zaproponowałem, byśmy się pożegnali.

– Jeśli będę długo nieobecny, padną pytania – dodałem.

– Oczywiście.

– Wyjedziesz teraz?

– Natychmiast.

– Uważaj na siebie.

– Zawsze na siebie uważam.

– Będę cię szukał w Alet-les-Bains. – Z tymi słowami skierowałem się do wyjścia. Zanim jednak otworzyłem drzwi, mój familiar pociągnął mnie za habit, a ja stanąłem zdumiony, nigdy wcześniej nie próbował bowiem mnie dotknąć.

– Wy także powinniście na siebie uważać, ojczyste – powiedział.

– Ja?

– Pilnujcie tyłów. Jordanowi ktoś zapłacił za zabicie waszego przyjaciela. A ktokolwiek to uczynił, wciąż może mieć pieniądze.

– Och, wiem. – Zupełnie absurdalnie poczułem się niemal zaszczycony, że „S” martwi się o mój los. Zawsze sprawiał na mnie wrażenie człowieka o nieznacznym i gorzkim pasjach, odpornego na delikatniejsze sentymenty wywoływane miłością, przyjaźnią czy wdzięcznością. Pod łagodną powierzchownością można było wyczuć twarde i zimne jądro. – Wierz mi – powiedziałem mu – każda możliwość jest brana pod uwagę.

Skinął głową, jakby mówił: tego właśnie się spodziewałem po inkwizytorze. Potem otworzył drzwi i zamknął je za mną.

Od tego czasu go nie widziałem.

A gdy otworzył księgi

„Wyznawajcie Pana, bo dobry, bo na wieki miłosierdzie Jego”. W końcu Bóg udzielił mi pomocy, zdjął mój worek pokutny i dał mi zadowolenie. Wiedziałem bowiem, że jeśli Jordan zostanie aresztowany, znajdziemy rozwiązanie wielkiej zagadki. Zabójcy ojca Augustyna będą nazwani, złapani i ukarani. Sprawiedliwości stanie się zadość. A ja nie będę już się bał opuszczać miasta.

Zapewniam, nie miałem wątpliwości, że Jordan wskaże zabójców. Jeśli zajdzie konieczność łamania kołem, niech tak się stanie. Mogę osobiście obracać kołowrotek, jeśli coś takiego nie jest zakazane. Będę miał tyle wyrzutów sumienia, ile ma ich Jordan za to, że wziął udział w zamordowaniu bezbronного starca.

Jak sobie zapewne wyobrażacie, nie mogłem się doczekać, aż przesłucham go osobiście. Obawiałem się jednak, że Piotr Julian mógłby uznać to śledztwo za swoje własne. Obawiałem się, ponieważ wiedziałem, że jego przesłuchania są niezdarne, chaotyczne i nieodpowiednie, wypełnione dziwnymi odniesieniami do koguciej krwi, włosów na pośladkach i czaszek złodziei. W samym środku przepisowego przesłuchania – „Czy kiedykolwiek widziałeś, jak ktoś otrzymywał *consolamentum*? Gdzie i kiedy? Kto przy tym był? Czy kiedykolwiek wielbiłeś heretyków? Czy kiedykolwiek ich prowadziłeś albo organizowałeś im przewodnika z jednego miejsca na drugie?” – wtrącał nieistotne i mylące pytania o odwiedziny demonów, składanie ofiar, czary. Pytał: „Czy kiedykolwiek porąbałeś człowieka na kawałki i rozrzuciłeś jego szczątki na skrzyżowaniu dróg? Czy kiedykolwiek dokonałeś jakiegoś rodzaju poświęcenia, by wywołać demona? Czy użyłeś jakiegoś dziwnego narzędzia, by to zrobić? Czy kiedykolwiek sporządzałeś napój z obrzydliwymi ingrediencjami takimi jak paznokcie odcięte trupowi albo sierść czarnego kota, aby rzucać uroki na dobrych katolików?”.

Wiem, że często zadawał te pytania, ponieważ chciał, żebym i ja je zadawał. Posunął się nawet do tego, że przejrzał zapis Duranda Fogasseta z mojego przesłuchania Bruny z Aguilar – która, jak może pamiętacie, była podejrzana o przekupienie ojca Jakuba. A kiedy odkrył, że nie poruszam tematu czarów czy przywoływania demonów, złątał mnie srodze w obecności Duranda, brata Lucjusza i Rajmunda Donatusa.

– Musicie ją ponownie przesłuchać! – zarządził. – Musicie ją zapytać, czy składała się w ofierze diabłu...

– Ale nie ma potrzeby, żeby ją o to pytać. Kiedy przybędzie Jordan, dowiemy się wystarczająco szybko, kto jest winowajcą.

– Kiedy przybędzie Jordan? Chcecie powiedzieć, że dostaliście odpowiedź z Katalonii?

– Oczywiście, że nie. Minął ledwie tydzień, odkąd napisałem.

– Więc łaskawie kontynuujcie śledztwo. Jeśli Jordan rzeczywiście został złapany, to dobrze. A jeśli nie, musimy mimo to znaleźć zabójców. A zrobimy to jedynie wtedy, kiedy wytropimy czarownika w naszym własnym gronie.

„Stałem się naśmiewiskiem wszystkiemu ludowi memu, pieśnią ich przez wszystkie dzień”. Rozejrzałem się po skryptorium, popatrzyłem na gorliwą twarz Rajmunda, spuszczonego wzrok brata Lucjusza, lekko drwiący, ale współczujący grymas Duranda, powstrzymałem gniew i przemówiłem. Spokojnie. Grzecznie.

– Bracie, czy mogę pomówić z wami na dole? Na osobności?

– Teraz?

– Jeśli można...

– Dobrze.

Razem zeszedliśmy do jego pokoju, w którym zebrało się tymczasem wiele ksiąg, a wśród nich co najmniej sześć traktujących o czarach i przywoływaniu demonów. Zamknąłem drzwi, odwróciłem się do niego i ośmieliłem się podziękować w duchu Bogu, że w swej łasce uznał za stosowne obdarować mnie wysoką posturą. Górowałem bowiem nad Piotrem Julianem, który, nie będąc co prawda karłem, odznaczał się niewielkim wzrostem. W związku z tym moja postawa była tym bardziej groźna.

– W pierwszym rzędzie, bracie – powiedziałem – byłbym wdzięczny, gdybyście, kiedy zechcecie skarcić mnie za jakąkolwiek dostrzeżoną winę, nie robili tego w obecności sług.

– Ty...

– Po drugie, Bruna z Aguilar nie jest czarownicą. Opowiem wam o niej. Bruna ma sześćdziesiąt trzy lata, pięcioro żyjących dzieci i była dwukrotnie zamężna. Posiada dom i winnicę, osła i kilka świń, regularnie uczęszcza do kościoła, daje biednym jałmużnę, wielbi Najświętszą Dziewicę i jest nieco głucha na jedno ucho. Nie jada brukwi, twierdząc, że to jej nie służy.

– Co...

– Bruna to także drażliwa, nierozsądna, odpychająca starucha. Jest zaangażowana w długotrwały spór z krewnymi swej synowej, oskarża ich, że nie płacą umówionego wiana. Walczyła już ze wszystkimi sąsiadami, najmłodszym synem, dwoma braćmi i rodzinami obu byłych mężów. Opowiedziałbym wam o tych kłótniach, gdybyście mieli pół dnia na zbyciu. Jest oskarżona o zabicie kurczaków sąsiadów – które niedawno zniknęły w tajemniczy sposób – o rozlewanie pomyj w wejściu domu brata i o spowodowanie biegunki u synowej, przez

podanie jej zatrutych suszonych fig. Najważniejsze: jest oskarżona o podanie Świętego Sakramentu jednej ze swoich świń, by wyleczyć ją z zaburzeń trawiennych. Widzicie, ona darzy swoje świnie nadzwyczajną atencją.

– To nie jest...

– Rozmawiałem z każdym członkiem jej rodziny, jej sąsiadami, dziećmi, rodzeństwem i nielicznymi przyjaciółmi. Wiem, co je na co dzień, kiedy się wypróżnia, kiedy przestała mieć krwawienia, co trzyma w skrzyni posażnej, dlaczego umarł jej mąż: mogę wam niemal powiedzieć, kiedy się drapie po nosie. Myślę więc, że gdyby Bruna z Aguilar złożyła ofiarę z inkwizytora, ja bym o tym wiedział. Prawdę mówiąc, jej wrogowie byłiby wielce uradowani, mogąc ją oskarżyć o taką zbrodnię.

– Nie wierzycie chyba, że zrobiła to otwarcie? W obecności świadków?

– Bracie, pozwólcie, że coś wyjaśnię. – Byłem bardziej zmęczony niż zdumiony jego ślepym uporem. – Pracuję w Świętym Oficjum od ośmiu lat. Nigdy ani ja, ani żaden z moich byłych zwierzchników, nie spotkaliśmy nikogo związanego z demonami, wieszaniem czy magią, oprócz może jednej czy dwóch staruch oskarżonych o to, że mają złe oko. Ale, jak już zauważyłem wcześniej, to nie jest przedmiot dochodzeń Świętego Oficjum. My się zajmujemy herezją.

– Nie uważasz, że zadawanie się z diabłem to herezja? Używanie Najświętszego Sakramentu w wynaturzonych okolicznościach?

– Bruna będzie ukarana za nakarmienie świni Najświętszym Sakramentem. Sama przyznała, że to zrobiła, za radą przyjaciółki, która także zostanie ukarana. Ale to był grzech niewiedzy, nie akt czarów. Ona jest głupią, starą kobietą.

– Mówisz, że wszystkie jej świnie mają imiona – powiedział Piotr Julian. – Czy one są czarnej maści? Czy słyszeliście, żeby kiedykolwiek zmieniły postać?

– Bracie! – On mnie nawet nie słuchał. – W Lazet nie ma czarownic!

– Skąd możecie to wiedzieć, skoro nie zadajecie odpowiednich pytań?

– Stąd, że znam to miasto i tych ludzi. A także stąd, że wy zadawaliście te pytania i to wy nie znaleźliście żadnych czarownic!

– Ależ znalazłem – odpowiedział z samozadowoleniem.

Wybałuszyłem oczy.

– Jeden z ludzi z Saint-Fiacre przyznał się do jednania z diabłem – ciągnął mój zwierzchnik. – Powiedział, że ofiarował diabłu lalkę z wosku, śliny i krwi ropuchy, aby móc cieleśnie obcować z zamężną niewiastą. Umieścił lalkę pod progiem domu owej mężatki, upewniając się, że jeśli się nie zestarzeje, będzie dręczona przez diabła. Potem ona się postarzała, a on ofiarował motyla wspomnianemu wcześniej demonowi, który objawił się jako powiew powietrza.

Jak możecie sobie wyobrazić, byłem głęboko wstrząśnięty – aczkolwiek nie z powodów, których spodziewał się Piotr Julian.

– On... on się do tego przyznał? – zapytałem.
– Zeznanie jest właśnie kopiowane.
– Więc musieliście zabrać go do dolnego donżonu. – I nagle zrozumiałem. – Łamaliście go kołem.

– Nie.

– Zastosowaliście *strappado**?

– Wcale. Nie był torturowany. – Widząc, że odebrało mi mowę, Piotr Julian w pełni wykorzystał chwilową przewagę. – Zgodzicie się, myślę, że w obliczu takiego niezbitego dowodu wypada nam szukać i zniszczyć morową i heretycką infekcję nekromancji wśród naszego ludu. „Bo jakoby grzech wieszczbiarstwa jest przeciwieństwem, a jako złość bałwochwalstwa, nie chceć słuchać”. Ty nie chcesz słuchać, mój synu. Musisz podporządkować się mojemu pełniejszemu zrozumieniu tych kwestii i zadawać pytania, o których zadawanie cię prosiłem.

Kiedy już posunął się do tej zniewagi, poprosił, żebym opuścił pokój, jako że musiał przygotować następne przesłuchanie. Zdumiony, uczyniłem, co mi polecił. Bez żadnych oznak gniewu. Nawet nie trzasnąłem drzwiami, zbyt pochłonięty tym niespodziewanym rozwojem wypadków. Zastanawiałem się, jak to się mogło zdarzyć? Co mogło nakłonić owego mężczyznę do tak dziwnego wyznania? Czy było ono prawdziwe? Czy też może Piotr Julian kłamał?

Odszukałem Rajmunda Donatusa, który wciąż pracował w skryptorium. Kiedy wszedłem, natychmiast wywnioskowałem ze zmieszania Duranda, z pełnej ufności postawy Rajmunda i ze sposobu, w jaki brat Lucjusz podniósł swoje pióro, że rozmawiali o mnie. Ale nie zbito mnie to z tropu. To było do przewidzenia.

– Rajmundzie – powiedziałem – przepisywałaś zeznanie o woskowych lalkach dla ojca Piotra Juliana?

– Tak, ojczu. Dzisiaj rano.

– Czy w czasie dochodzenia zastosowano tortury?

– Nie, ojczu.

– Żadnych?

– Nie, ojczu. Ale ojciec Piotr Julian groził kołem.

– Ach.

– Wyjaśnił, jak to działa i jak części ciała mogą się od siebie oderwać...

– Rozumiem. Dziękuję, Rajmundzie.

– Zeszliśmy nawet na dół, żeby na to popatrzeć.

– Tak. Dziękuję. Rozumiem. – I rzeczywiście rozumiałem.

* Strappado – tortura polegająca na tym, że przesłuchiwaną osobę łączyły ręce na plecach liną przesuwaną przez wysoko umieszczoną belkę, a następnie podciągano ją i gwałtownie opuszczano tuż nad podłogę. Czasami do nóg lub genitaliów ofiary przyczepiano ciężary. (przyp. tłum.)

Kiedy się nad tym zastanawiałem, powoli docierało do mnie niepewne spojrzenie Duranda i skrzywienie pióra kanonika, kopiującego to, co niewątpliwie musiało być stosownym zeznaniem. Tak nisko pochylał się nad swoim pulpitem, że niemal dotykał go nosem.

– Ojcze? – Rajmund odchrząknął i podniósł ukończony protokół wyznania Bruny. – Ojcze, wybaczcie mi, ale mam dać to bratu Lucjuszowi do skopiowania? Czy też powinienem zaczekać, aż przesłuchacie ją raz jeszcze?

– Nie będę jej przesłuchiwał raz jeszcze.

Notariusze wymienili spojrzenia.

– Nie ma powodu, żebym ją ponownie przesłuchiwał. Mam już wystarczająco dużo pracy. Rajmundzie, kiedy ojciec Augustyn przeszukiwał stare akta, odkrył, że jednych brakuje. Pamiętasz?

Wydawało się, że Rajmund aż się cofnął lekko na tę zmianę tematu naszej rozmowy. Miała ona odciągnąć go od rozważenia, czy powinienem przesłuchać ponownie Brunę z Aguilar, czy też nie. Zamrugał oczyma, otworzył usta i wydał kilka niepewnych odgłosów.

– Pamiętasz? – powtórzyłem pytanie. – Prosił cię, byś zajrzał do biblioteki biskupa i sprawdził, czy są tam może oba egzemplarze. Zrobiłeś, jak ci polecił?

– Tak, ojcze.

– I oba egzemplarze tam były?

– Nie, ojcze.

– Tylko jeden?

– Nie, ojcze.

– Nie??? – Wybałuszyłem na niego oczy, a on wstał, nieswój. – Co masz na myśli, mówiąc „nie”?

– Tam... tam nie ma żadnego egzemplarza. Ani jednego.

– Ani jednego? Chcesz powiedzieć, że oba egzemplarze akt zaginęły?

– Tak, ojcze.

Jak mogę wam przekazać swoje zdumienie, niedowierzanie? Prawdę mówiąc, byłem jak Daniel, który wprowadzie usłyszał, lecz nie zrozumiał.

– To niewiarygodne – zaprotestowałem. – Jesteś pewien? Szukałeś?

– Ojcze, poszedłem i szukałem...

– Jak dokładnie szukałeś? Musisz sprawdzić jeszcze raz. Musisz wrócić i przeszukać bibliotekę biskupa.

– Tak, ojcze.

– A jeśli nie zdołasz znaleźć tych akt, ja sam ich poszukam. Poproszę biskupa o wyjaśnienie. To bardzo ważne, Rajmundzie, musimy znaleźć te księgi.

– Tak, ojcze.

– Powiadomiłeś ojca Augustyna? Nie? Zupełnie nie? Ale dlaczego nie?

– Ojczy, on nie żył! – Rajmund, zdenerwowany, przyjął ton obronny. – A potem wy pojechaliście do Casseras! Zapomniałem! Nigdy nie pytaliście!

– Ale dlaczego miałem pytać, skoro...? A, niech tam – machnąłem ręką. – Idź już. Idź i znajdź je. Teraz. Idź!

– Ojczy, ja nie mogę. Ja... tu jest...

– Ojczy Piotr Julian potrzebuje go do następnego przesłuchania – wtrącił Durand.

– Kiedy?

– Już niedługo.

– Więc ty musisz zająć jego miejsce – powiadomiłem Duranda. – A ty, Rajmundzie, ruszaj. Chce, żebyś sprawdził każde akta w bibliotece biskupa. Zrozumiałeś?

Rajmund skinął głową. Potem wyszedł, widocznie wciąż oszołomiony, a ja zostałem, by uciszyć sprzeciw Duranda. Te nie były wrzaskliwe ani żałosne, tak jak wyglądałyby protesty Rajmunda w podobnych okolicznościach. (Prawdę mówiąc, zaskoczyło mnie, że Rajmund tak pokornie wysłuchał polecenia, które siłą rzeczy musiało wprawić go w niemałe zakłopotanie). Przeciwnie, Durand zwykle wyrażał dezaprobatę znacząco stanowczym milczeniem.

Tym razem jednak posunął się do wyrażenia niezadowolenia na głos.

– Ojczy, czy ja dobrze rozumiem, że ojczy Piotr Julian groził więźniom kozłem?

To było nie tyle pytanie, co protest. Rozumiałem, co próbuje wyrazić.

– Możemy jedynie mieć nadzieję, że groźba wystarczy – brzmiała moja odpowiedź.

– Ojczy, wybaczcie mi, ale może przypominacie sobie, że kiedy zgodziłem się pracować dla Świętego Oficjum...

– Wyraziłeś swoje odczucia na pewne tematy. Tak, Durandzie, pamiętam to doskonale. I zauważyłeś może, że kiedy pracowałeś ze mną, nigdy nie postawiłem cię w sytuacji sprzecznej z tymi uczuciami. Niestety, teraz musisz pracować z ojcem Piotrem Julianem. Jeśli więc nie aprobujesz jego metod, to sugeruję, żebyś sam mu o tym powiedział, tak jak ja to uczyniłem.

Być może okazałem się zbyt nieczuły, zbyt szorstki. Na pewno wyrzuciłem z siebie gniew, aby ulżyć sercu przeciążonemu troskami. Odwróciwszy się, szybko zbiegłem po schodach do swojego biurka i zacząłem przetrząsać papiery ojca Augustyna. Ale zdaję sobie sprawę, że wy może nie pojmujecie powodów mojego zachowania. Może zapomnieliście, że Bruna z Aguilar nie była ostatnim nazwiskiem na sporządzonej przez ojca Augustyna liście podejrzanych o korupcję. Czy pamiętacie je wszystkie?

Oldryk Capiscol nie żył. Rajmund Maury został skazany. Bernard z Pibraux pościł w więzieniu. Emery Ribaudin sprytnie uniknął oskarżenia. Brunę z Aguilar gruntownie przesłuchano. Jedynym podejrzany, który pozostał, była Petrona Capdenier.

W sprawdzanym przez ojca Jakuba zeznaniu Doskonałego została pomówiona o to, że karmiła i gościła wspomnianego Doskonałego wiele lat wcześniej. Podobnie jak Oldryk, popełniła swój grzech na długo przed objęciem urzędu przez ojca Jakuba. A jednak, podczas

gdy akta zawierające zeznanie Oldryka (pозnaczone i opatrzone wieloma przypisami) znajdowały się wśród papierów ojca Augustyna, nie znalazłem dokumentów, w których zapisano by zeznanie Petrony albo wyrok w jej sprawie. Najwyraźniej ojciec Jakub jej nie aresztował – a jeśli nie uczynił tego, bo już była skazana, wydawało się, że nie ma żadnego dowodu, by ponownie wymierzać karę.

Przypomniałszy sobie, jak ojciec Augustyn szukał zaginionych akt, zastanowiłem się, czy rejestr, o którym mowa, rzeczywiście dotyczy sprawy Petrony Capdenier. Dedukcję tę wspomogła notka na marginesie poczyniona ręką ojca Augustyna obok wspomnianego zeznania Doskonałego. Zawierała wyznaczające pewien okres daty i nazwisko byłego, dawno temu zmarłego inkwizytora Lazet. Najwyraźniej ojciec Augustyn wnioskował z dostępnych informacji, że powinien sprawdzić akta obejmujące śledztwa podejmowane w owym czasie. Wyraźnie szukał wspomnianych akt. I bezsprzecznie fakt, że żadne z nich nie zostały znalezione wśród jego dokumentów, wskazywał albo na to, że poszukiwanie nazwiska Petrony w tych księgach nie przyniosło rezultatu, albo że księga, która je zawierała, zaginęła.

Raz jeszcze przeszukałem notatki ojca Augustyna, ale nie znalazłem już wzmianki o zaginionych rejestrach. Wiedząc, że on niewątpliwie starannie prześledziłby tę kwestię, doszedłem do wniosku, że umarł, zanim zdołał to uczynić. Zrodziło się więc pytanie: czy zaginiony rejestr i jego kopia zagubiły się czy też ktoś je ukraść?

Jeśli dokonano kradzieży, zdarzyła się ona w ciągu minionych czterdziestu lat. Ale dopuścić się tego mogła tylko określona grupa ludzi, albowiem dostęp do akt inkwizycyjnych zawsze był ograniczony. Naturalnie mógł do nich sięgać wedle woli każdy inkwizytor, jak również notariusze zatrudniani przez Święte Oficjum. Ostatnio kopie akt powierzono biskupowi, a przed utworzeniem diecezji Lazet te same kopie były trzymane w klasztorze. O ile sobie przypominam, jedynie przeor i bibliotekarz mieli klucze do skrzyń zawierających dokumenty.

Określiwszy potencjalnych sprawców, zastanowiłem się nad ewentualnymi motywami kradzieży akt. Mógł to zrobić ojciec Jakub, aby ukryć przestępstwo kobiety, która mu właśnie za to zatajenie zapłaciła. (A może to jej potomkowie dostarczyli pieniądze?) Z drugiej strony, jeśli to on zniszczył akta, dlaczego nie usunął nazwiska Petrony również z zeznań Doskonałego? A właśnie, dlaczego pozwolił, by w aktach w ogóle pojawiło się nazwisko Rajmunda Maury?

Przyszło mi do głowy, że istniały dwa o wiele bardziej prawdopodobne powody kradzieży akt. Po pierwsze, jeśli człowiek, którego skazanie odnotowano w aktach, zbłądził po raz kolejny, po latach, na pewno zostałby stracony, chyba że nie odnaleziono by dokumentów jego wcześniejszej zbrodni. Przypomniałem sobie sprawę z Tuluzy, gdzie niejaka Sybilla Borrell, wyznawszy i odwoławszy publicznie heretyckie wierzenia jakieś dziesięć lat wcześniej, została aresztowana po pięciu latach za podobne poczynania. Niewątpliwie poszłaby na stos, gdyby nie zagubiono jej pierwszych akt. Ale skoro nie udało się ich znaleźć,

mogła być tylko oskarżona jak za pierwsze przewinienie i wykpiła się dożywotnim więzieniem.

Trzeba też pamiętać, że heretycy przodkowie to skaza w życiorysie. Jeśli ktoś ma takie heretyckie piętno, nie może pracować jako notariusz ani piastować urzędów publicznych. Czy możliwe, zadałem sobie pytanie, że któryś z notariuszy inkwizycji odkrył nazwisko swego dziadka w zaginionej księdze? Czy możliwe, że był to Rajmund? Ta myśl wydała mi się tak straszliwa, że zerwałem się na nogi. Zdrajca między nami! Kolejny zdrajca! A ja z przerażeniem rozważałem możliwość, że Rajmund mógł zabić ojca Augustyna po prostu dlatego, że ten szukał akt, które zostały skradzione.

Potem jednak mocno pokręciłem głową. Wiedziałem, że założenia tego rodzaju są nieuzasadnione i mało prawdopodobne, dowody nikłe, a potencjalni sprawcy liczni. Przecież akta mogły w ogóle nie być kopiowane, przez jakieś przeoczenie. Mogły zostać zagubione, tak jak zaginęły dokumenty w Tuluzie. Istniało wiele rozsądnych wyjaśnień.

Niemniej jednak, jeśli Rajmundowi Donatusowi nie uda się znaleźć księgi, postanowiłem przepytac go jak najszybciej. Zdecydowałem też osobiście poszukać zaginionych akt. Wróciłem do skryptorium, kiedy tylko podjąłem tę decyzję, i zacząłem przeszukiwać dwie wielkie skrzynie, w których były składane akta. Nikt nie zapytał mnie, co robię. Durand dołączył już do mojego zwierzchnika w dolnym donżonie, a brat Lucjusz nie wypowiedział ani słowa. Skrobał na boku pracowicie, od czasu do czasu pociągając nosem albo pocierając oczy, kiedy ja przesiewałem niemal sto lat nieprawości.

To była żmudna praca, jako że ksiąg nie ułożono w żadnym określonym porządku, chociaż te na wierzchu zdawały się pochodzić z ostatnich roczników. Co więcej, jak to jest w zwyczaju, zeznania w każdym rejestrze były zgrupowane raczej zgodnie z miejscem zamieszkania oskarżonego niż wedle dat, pod którymi je spisano. Kiedy walczyłem z tą niezorganizowaną masą, wpadałem w coraz większą złość na Rajmunda Donatusa. Wydawało mi się, że nie wykonuje swej pracy – a to postrzegałem jako grzech równie wielki jak zamordowanie ojca Augustyna. Prawdę mówiąc, stawało się całkiem jasne, że zaginione akta zostały prawdopodobnie zapodzione. Zacząłem uważać za istny cud, że pod zarządem notariusza nie zniknęła o wiele większa liczba ksiąg.

– Lucjuzu – powiedziałem, a on spojrział na mnie znad końca swego pióra – czy wiesz, jak się orientować w tych aktach?

– No... nie, ojcie. Mnie nie wolno do nich sięgać.

– No cóż, może zainteresuje cię, że one są w całkowitym chaosie. Co Rajmund robi całymi dniami? Gada, jak sądzę. Gada, gada, gada.

Skryba nic nie powiedział.

– I wszędzie są luźne arkusze. I zobacz, mole książkowe! Odrażające. Niewybaczalne. – Zdecydowałem, że sam ułożę od nowa wszystkie dokumenty, i z zadaniem tym wciąż się

borykałem, kiedy tuż przed kompleta do skryptorium wszedł nagle Piotr Julian. Był zdyszany, jakby biegł po schodach. Na jego twarz wstąpiły rumieńce.

– Ach! Mój synu – sapnął. – Tu jesteś.

– Jak widzicie.

– Tak. Dobrze. Uch, chodź ze mną, jeśli łaska. Chcę z tobą porozmawiać.

Zadziwiony, podążyłem za nim na dół. Był niezwykle podniecony. Kiedy dotarł do swojego biurka, odwrócił się do mnie i splótł ramiona. Jego głos drżał od tłumionych emocji.

– Powiadomiono mnie – zaczął – że nie macie zamiaru podążyć za moją radą, jeśli chodzi o przesłuchiwanie więźniów na temat czarów. Czy to prawda?

Zdumiony, przez chwilę nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Ale Piotr Julian nie czekał, aż sformułuję ripostę.

– W tych okolicznościach – rzekł – zdecydowałem się przejąć kontrolę nad śledztwem w sprawie śmierci ojca Augustyna.

– Ale...

– Bądźcie łaskawi przekazać mi wszystkie odnośne dokumenty.

– Jak sobie życzycie. – Pomyślałem sobie, że wolę zupełnie porzucić zadanie, niż zastosować jego absurdalne metody śledcze. – Powinniście jednak wiedzieć, że odkryłem...

– Rozważam także waszą przyszłość w Świętym Oficjum. Wydaje mi się, że nie podchodzicie do tej pracy we właściwym duchu.

– Jak proszę?

– Zdecydowałem się omówić tą kwestię z biskupem i przeorem Hugonem. Tymczasem powinniście zająć się korespondencją i innymi pomniejszych obowiązkami.

– Chwileczkę. Zaczekajcie. – Podniosłem rękę. – Czy próbujecie usunąć mnie z tego stanowiska?

– Mam do tego prawo.

– Niewątpliwie nawet wy nie jesteście tak nierozważni, by wierzyć, że możecie tu funkcjonować bez mojej pomocy.

– Jesteście próżnym i butnym człowiekiem.

– A wy głupcem. Pustą kozią skórą. – Nagle straciłem nad sobą kontrolę. – Jak śmiecie pouczać mnie w czymkolwiek? Wy, którzy nie potraficie przeprowadzić prostego przesłuchania, nie uciekając się do niezdarnych, całkowicie niedorzecznych narzędzi?

– „Niech zaniemieją usta kłamliwe, które mówią nieprawość przeciw sprawiedliwemu, w pysze i w poniewierzeniu”.

– Miałem właśnie powiedzieć dokładnie to samo.

– Jesteś odprawiony. – Jego usta drżały. – Nie chce cię tu więcej widzieć.

– To dobrze. Bo twój widok przyprawia mnie o mdłości.

I tak odszedłem, aby nie był świadkiem ogromu mojego gniewu. Nie chciałem mu bowiem pokazać, jak ciężki zadał mi cios, jak głęboko zranił moją dumę. Kiedy wracałem do klasztoru, obrzucałem go przekleństwami:

– Niech proch twej ziemi zamieni się w mszyce. Obyś służył za gnój na polu. Obyś był przebity mieczem. Niech położą się twoja pszenica i żyto. – I przez cały czas mówiłem sobie, że z radością pozbyłem się jego jarzma z karku. Być wolnym od jego słabowitej tyranii – przecież to błogosławieństwo! Powinienem zanosić podziękowania Bogu! I czyż bez mojej pomocy nie ugrzęźnie on w bagnie zamieszania i fiaska? Czyż nie będzie musiał przyjść z powrotem na klęczkach, szukając ratunku?

To przeświadczenie nie podziałało jednak jak balsam na moją udręczoną duszę. Dowodziło jedynie, jak daleko zbłądziłem od doskonałej pokory! Mogłem zwołać na Piotra Juliana ognie piekielne. Mogłem dotknąć go wrzodem egipskim, hemoroidami, świerzbem i parchami, których nie zdołałby uleczyć. I nie byłem w tym sługą Chrystusa, co bowiem mówi Wysoki i Wyniosły mieszkający w wieczności? Zamieszkuje miejsce wzniesione i święte, lecz jest z człowiekiem skruszonym i pokornym.

Kiedy będziecie się zastanawiali nad moim gniewem, możecie zadać sobie pytanie: czy to jest ten człowiek, który zaznał boskiej miłości? Czy to ten człowiek, który obcował z Bogiem i posmakował jego nieskończonego miłosierdzia? Być może myślicie, że powinniście zrewidować swoje nastawienie do mnie. I zapewne bylibyście usprawiedliwieni, ponieważ ja też zacząłem wątpić. Moje serce stało się teraz zimne jak kamień, zapaliłem kadzidło nicości, winy przerosły moją głowę. Moja dusza uwikłała się w sprawy doczesne, podczas gdy powinienem był szukać tego miasta, którego nurt rzeki jest źródłem radości i którego bramy Bóg kocha bardziej niż wszystkie namioty Jakuba. Odwróciłem się od objęć Pana – a może Jego ramiona nigdy się dla mnie naprawdę nie otworzyły.

Kiedy tej nocy leżałem na pryczy, moje kamienne serce, ogrzane gorączką gniewu raczej niż żarem miłości, powoli stygło. Myślałem z rozpaczą o wszystkich swoich grzechach i o wrogach, którzy umieścili pułapki na mej drodze. W cichości błagałem: Och, wybaw mnie od tego podstępного i niesprawiedliwego człowieka! Potem pomyślałem o Joannie i doznałem ulgi, której nie mogłem znaleźć w rozważaniach o Panu – jako że rozmyślając o Joannie, nie czułem wstydu za swoje winy i słabości. (Boże, wybacz mi moje grzechy!) Zastanawiałem się, co ona robi, czy już wyruszyła do swojej zimowej siedziby i czy o mnie myśli, kiedy leży w ciemnościach. Świadomie spożyłem zakazany owoc, i smakował on słodko, chociaż po nim czułem głód o wiele większy. Przypomniałem sobie złożoną jej obietnicę, że jeszcze o mnie usłyszy. Przez kilka tygodni próbowałem ułożyć list, w którym pragnąłem wyznać moje karygodne przywiązanie do niej i zasugerować, że nie powinniśmy się już nigdy spotkać. Oczywiście byłby to list trudny do napisania i niemal niemożliwy do wysłania bez wzbudzenia podejrzeń. W końcu dlaczego mnich miałby korespondować z kobietą? I jak mogłem otwarcie pisać do osoby, która nie umie czytać?

Wtedy mnie olśniło. List! Myśli o jednym liście sprawiły, że przypomniałem sobie o innym: liście od biskupa Pamiers – liście traktującym o demonach panujących nad Babilonią. Wciąż leżał w papierach ojca Augustyna. Jeśli Piotr Julian na niego trafi, rezultaty mogą być naprawdę straszliwe. Kto może wiedzieć, jakie głupie i mylne wyobrażenia mogą się wylęgnać w tym klocku na jego karku?

Wiedziałem, że muszę odzyskać ten list. Przysięgłem sobie, że to zrobię. A potem leżałem bezsennie, cierpiąc od strachu, że mogę nie dotrzeć do mego celu, zanim to zrobi Piotr Julian.

Następnego dnia nie uczestniczyłem w prymie. Pośpieszyłem od razu do siedziby, przemarznięty pierwszym oddechem zimy. Zapukałem do drzwi i zdumiał mnie brak natychmiastowego odzewu, jako że nocny strażnik zazwyczaj stał właśnie przy tych drzwiach. Potem przyszło mi do głowy, że może strażnik wpuścił już brata Lucjusza, który słynął z tego, iż wcześniej stawiał się w pracy. Załomotałem więc z większą siłą i w końcu doczekałem się odzewu.

– Kto tam? – zapytał skryba.

– Ojciec Bernard. Otwórz.

– Och – rozległ się chrobot, kiedy odryglowywał drzwi. Potem pojawiła się jego twarz. – Wejdźcie, ojczy.

– Czasami się zastanawiam, dlaczego wracasz wieczorem do Świętego Polikarpa – zauważyłem, przeciskając obok niego. – Powinieneś spać tutaj. – Kiedy on na powrót ryglował drzwi, ja pośpieszyłem do swego biurka, okazało się jednak, że sprzątnięto z niego papiery ojca Augustyna. Klnąc w duchu, poszedłem się rozejrzeć do pokoju inkwizytora. Tam też nic nie znalazłem.

Wyglądało na to, że Piotr Julian zabrał dokumenty do swojej celi.

Pozbawiony tchu tym okrutnym ciosem, zapadłem w krzesło i rozważyłem, co mogę zrobić. Zabranie listu z jego celi nie powinno sprawić trudności, pod warunkiem że on sam byłby nieobecny. Jeśli jednak zamierzał nosić ze sobą te dokumenty, mam niewielką nadzieję odnalezienia wspomnianego listu. I jaki byłby z tego użytek, gdyby sam już go znalazł? Wszystko wskazywało na to, że przynajmniej część minionej nocy spędził na czytaniu tych akt, w przeciwnym bowiem wypadku po co by je w ogóle zabierał?

Uznałem, że jedyne, co mogę zrobić, to dotrzeć do tych dokumentów w jego obecności i usunąć list, jednocześnie odwracając jego uwagę. Na przykład zagadnieniem zaginionych akt.

Wstałem.

– Lucjuszu! – zawołałem. – Lucjuszu!

– Tak, ojczy?

Wchodząc do sieni, zobaczyłem, że skryba jest w połowie schodów na górę.

– Czy Rajmund wkrótce tu będzie, bracie? On zdaje się przychodzić przede mną.

Brat Lucjusz zastanawiał się przez chwile.

– Czasami jest wcześniej, czasami późno – padła ostrożna odpowiedź. – Ale niezbyt często jest tak wcześniej.

Postanowiłem natychmiast odwiedzić dom notariusza i zapytać, czy Rajmund znalazł zaginione akta w bibliotece biskupa. Jeśli nie, natychmiast zaprezentuję tę informację Piotrowi Julianowi. Może uzna ją za wystarczająco ważną, by odstąpić od kwestii listu, którego tak pragnę. Nie chcąc tracić ani chwili, jako że czas dawał Piotrowi Julianowi szansę zapoznania się z tymże listem, podziękowałem bratu Lucjuszowi i wyszedłem, kierując się do imponującej rezydencji Rajmunda Donatusa.

Wiedziałem, gdzie się ona znajduje, chociaż nigdy nie przekroczyłem jej progu. Pięć lat temu Rajmund nabył od kupca mącznego hospitium, którego sklezione magazyny zamienił na stajnie. (Powiniem zwrócić uwagę, że notariusz posiadał dwa konie, które były mu równie drogie, co jego winnice. Mówił o nich więcej niż o swoim synu i córce). Mieszkanie było ogromne, ozdobione rzeźbionymi kamiennymi nadprożami nad oknami. Belki dachowe wewnątrz pomalowano w czerwono-żółte pasy. Było nawet kilka krzesel wokół stołu i krucyfiks umieszczony nad frontowymi drzwiami.

Kiedy jednak żona Rajmunda odpowiedziała na moje pukanie, była ubrana w łachmany jak służąca i miała brudną twarz.

– Och – powiedziała. – Ojciec Bernard!

– Ryszardo.

– Sprzątałam. Wybaczcie mi to odzienie. – Zaprosiła mnie do środka, zaproponowała jadło i napitek, ale podziękowałem. Rozglądając się po kuchni, z jej potężnym paleniskiem i wiszącymi szynkami, wyjaśniłem, że chce rozmawiać z Rajmundem.

– Rajmundem?

– Waszym mężem. – Zauważywszy jej nierozumiejące spojrzenie, dodałem: – Jest tutaj?

– Ależ nie, ojcie. On jest w Świętym Oficjum, prawda?

– O ile wiem, nie.

– Ależ musi być. Był tam całą noc.

– Całą noc? – powtórzyłem, myśląc zdecydowanie zbyt wolno.

Biedna kobieta zaczęła okazywać wielkie zdenerwowanie.

– On... on często musi pracować całą noc – wyjąkała. – Tak mi mówi.

– Ach. – Oczywiście, w końcu zrozumiałem, co Rajmund porabia, ale za późno. Spędzał noce z ladacznikami, a potem kłamał. Zdenerwowała mnie myśl, że Święte Oficjum służyło mu za wymówkę.

– Ryszardo – powiedziałem, decydując się nie kłamać w jego imieniu – twojego męża nie było w siedzibie, kiedy stamtąd wychodziłem. Jediną obecną tam osobą był brat Lucjusz.

– Ale...

– Jeśli twój mąż nie wrócił do domu ostatniej nocy, musisz, poszukać innego wyjaśnienia.

– Został uprowadzony! Coś mu się stało!

– Wątpię.

– Och, ojczy, co ja mam robić? Mario, co ja mam robić?

Maria okazała się mamką. Siedziała przy palenisku z niemowlęciem przytulonym do łona i była równie obfita, jak Ryszarda zasuszona.

– Powinna pani zagrzać sobie trochę wina, *domina* – poradziła. – On wróci bez szwanku.

– Ale on zaginął!

– Nikt nie może się zgubić w tym mieście – odparła niańka i wymieniliśmy spojrzenia. Chociaż mówiła w sposób powolny i łagodny, jej umysł nie wykazywał ani krztyny ociężałości.

– Ojczy, musicie mi pomóc – błagała osamotniona żona. – Musimy go odszukać.

– Właśnie próbuję go znaleźć...

– Może zabili go heretycy, tak samo jak ojca Augustyna! Och, ojczy, co ja mam począć?

– Nic – poradziłem stanowczo. – Siedź tu i czekaj. A kiedy wróci do domu, masz go solidnie złać za jego rozwiązłe zachowanie. Niewątpliwie gra gdzieś i nie wie już, czy jest dzień, czy noc.

– Och, nie może być! On nigdy by czegoś takiego nie zrobił!

Widząc Ryszardę zalaną łzami i żywiąc odczucia zupełnie do tych łez nieadekwatne, zapewniłem ją, że znajdę jej męża. Potem wyszedłem, ogarnięty poczuciem winy, że wywołałem jej rozpacz, a jednocześnie pełen nadziei, że Rajmund odcierpi za swój bezwstyd. Twierdzić, że pracuje całą noc! To się w głowie nie mieści!

Uznałem, że powinienem wrócić do siedziby, zgłosić zniknięcie notariusza i wykorzystać tę okoliczność do upewnienia się, gdzie są dokumenty ojca Augustyna – wiedziałem bowiem, że Piotr Julian każdy dzień pracy rozpoczyna po prymie. Kiedy jednak wracałem tą samą drogą, natknąłem się na targu na Rogera Descalquens i zatrzymałem się, by z nim porozmawiać. Prowadził jakiś pomniejszy spór na temat podatków (jako że opłaty rynkowe były przedmiotem tylu narzekań, co dziesięcina), ale kiedy zobaczył, że czekam, przerwał swoją kłótnię z rozsierdzonym sprzedawcą serów.

– Witam, ojczy – powiedział. – Szukacie mnie?

– Nie – odpowiedziałem. – Ale skoro was znalazłem, chciałbym z wami omówić pewną kwestię.

Skinąwszy głowę, odciągnął mnie na bok. Rozmawialiśmy przyciszonymi głosami, podczas gdy wokół nas beczały owce, targowali się kupujący, a wędrowni handlarze wyśpiewywali ceny swoich towarów. Powiedziałem mu, że Rajmund Donatus zniknął w nocy – że być może zaginął. Podsunąłem mu swoje podejrzenie, że notariusz odsypiał rozpustę w łóżku jakiejś nierządniczki. Poprosiłem, żeby garnizon seneszala, dobrze znany pośród co bardziej grzesznych mieszkańców Lazet, miał baczenie na notariusza, jakby chodziło o sprawę największej wagi.

– Zniknął na całą noc? – rzekł Roger z namysłem. – Tak. To martwiące.

– Och, ja nie jestem strapiony. Najwyraźniej to zdarzało się wcześniej. Cóż, może teraz jest już w Świętym Oficjum.

– Ale może też leżeć w jakiejś ciemnej dziurze z poderżniętym gardłem.

Zaskoczony, zastanowiłem się nad tym przypuszczeniem. Dlaczego przyszło seneszałowi do głowy?

– Ponieważ zadawanie się z kurwami oznacza zadawanie się ze złodziejami – odparł. – W dole rzeki, wśród żebraków i wioślarzy, są ludzie, którzy podciąliby wam gardło za parę butów.

– Ale mnie nic nie wiadomo o tym, że Rajmund szukał przyjemności wśród takich ludzi. Raczej wyobrażam sobie, że wołał służące i wdowy.

– Kurwa to kurwa. – Seneszał klepnął mnie w plecy. – Odpocznij, ojcze, ja go odszukam dla ciebie, nawet jeśli rzucili go do rzeki. W tym mieście nikt mi nie umknie.

Złożywszy to przyrzeczenie, wrócił do swojej debaty z kupcem serowym. Ja natomiast obiecałem mu, że jeśli Rajmund jednak będzie w siedzibie, jak najszybciej powiadomię strażników garnizonowych. Chociaż seneszał wydawał się całkiem pogodny, nie zaskoczy was, że jego straszne prognozy wyprowadziły mnie z równowagi. Kiedy wracałem do siedziby, nękały mnie ponure myśli: rozważałem możliwość, że Rajmund rzeczywiście został zabity za swoją sakiewkę i wrzucony do rzeki. Albo taką, że jako sługę Świętego Oficjum spotkał go ten sam los co ojca Augustyna. Oczywiście te lęki były irracjonalne, bardziej prawdopodobne wydawało się bowiem wyjaśnienie, które dałem Rogerowi w pierwszym odruchu. Ale w głębi duszy czułem niepokój. Kiedy dotarłem do siedziby, wpuścił mnie osobiście Piotr Julian. Sądząc z jego nieświeżego i spuchniętego oblicza, on także miał za sobą bezsenność – i teraz nie wydawał zachwycony moim widokiem. Zanim jednak zdołał oprotestować moje przybycie, zapytałem go, czy Rajmund Donatus jest w budynku.

– Nie – odpowiedział – a ja mam ustalone przesłuchanie. Miałem właśnie wystać familiara do jego domu.

– Nie znajdziecie go tam – przerwałem. – Rajmund zaginął na całą noc.

– Co?

– Żona nie widziała go od wczorajszego ranka. Ja nie spotkałem go od popołudnia. – Fakt, że miał się pojawić, by zapisywać zeznanie, wprawił mnie w wielkie zakłopotanie. Mimo że nie była to jego pierwsza noc poza domem, pierwszy raz zdarzyło się, że nie przybył uczestniczyć w planowanym przesłuchaniu. – Podejrzewam, że ma zwyczaj spędzać noce z nierządnicami, i martwię się, że mógł przepaść gdzieś pośród złodziei. Oczywiście może to być po prostu przypadek nadmiernego pobłażania...

– Muszę iść – oznajmił Piotr Julian. Wciąż stałem na progu, jako że on blokował mi przejście, a kiedy przeciskał się obok mnie, niemal mnie przewrócił. – Poślijcie po Duranda Fogasseta – rzucił przez ramię. – Powiedzcie Ponsowi, że przesłuchanie jest odwołane.

– Ale...

– Zostań tutaj do mojego powrotu.

Zdumiony gapiałem się na oddalającą się postać. Takie nadzwyczajne odprawienie nie dawało się wyjaśnić w żaden sposób. Nagle jednak przyszło mi do głowy, że pokój Piotra Juliana jest teraz pusty, poszedłem więc spojrzeć na jego biurko.

I oczywiście były tam papiery ojca Augustyna – a wśród nich znalazłem list biskupa Pamiers. „Weselcie się zawsze w Panu; po wtóre mówię, weselcie się”. Oto zaprawdę był dowód miłosierdzia Bożego.

Ukryłem dokument w ubraniu, zakładając, że później być może go zniszczę. Potem, zgodnie z poleceniem Piotra Juliana, przeszedłem do więzienia i poprosiłem Ponsa, by posłał po Duranda Fogasseta. Powiadomiłem go też o nieobecności Rajmunda. Zgodziliśmy się, że dla nierządnic mężczyzna liczy się tyle co bochenek chleba. Jak powiedział Pons, Rajmund powinien trzymać swego knota z dala od cudzego łaju.

– Ja tam myślę – dodał – że ten głupiec zaczął sypiać z czyjąś żoną i gadał o tym zdecydowanie za często. Zawsze mówiłem, że coś złego go spotka.

– Znasz imię jego ostatniej zdobyczy? – zapytałem.

– Gdybym znał, podałbym je wam. Zawsze byłem zbyt zajęty, by słuchać plugawości Rajmunda. Ale może skryba zwrócił uwagę, albo ten młodziak, Durand.

To była dobra wskazówka. Kiedy jednak rozmawiałem z bratem Lucjuszem w skrytorium, ten mówił ogólnikowo i okazał się niezbyt pomocny.

– Kobiety? Tyle było tych kobiet.

– Ale ostatnio? – naciskałem go. – W ostatnich kilku tygodniach.

– Och... – Biedny kanonik spłonął rumieńcem. – Ojczy, ja starałem się nie słuchać... to jest takie grzeszne.

– Tak, oczywiście. Zdaję sobie z tego sprawę. A także nudne, ośmielę się powiedzieć. Ale może przypominasz sobie jakieś nazwiska, bracie? Albo opisy?

– One wszystkie zdawały się mieć niezwykle pożądlivą naturę – wymamrotał, purpurowy jak grzech. – I miały obfite... obfite biusty.

– Wszystkie?

– Rajmund mówił o nich „wymiona”. Lubił „wielkie wymiona”.

– Ach.

– Jedna miała na imię Klara – ciągnął brat Lucjusz. – Pamiętam ją, ponieważ pomyślałem sobie: jak kobieta, która nosi imię tej błogosławionej świętej, może być źródłem takich niegodziwości?

– Tak. To wielki grzech.

– Ale on nieczęsto podawał ich imiona – zakończył skryba. – Lubił określać je zgodnie z cechami ich wyglądu.

Mogłem sobie wyobrazić. Mogłem też wyrazić współczucie. Doprawdy, wielce żałowałem brata Lucjusza, a nie byłem też w stanie zadawać dalszych pytań. Uznałem, że już

i tak jest dość udręczony. Są mnisi, którzy opisują stosunki cielesne i ciało kobiety bez mrugnięcia okiem, swobodnie i radośnie, ale Lucjusz do nich nie należał. Był człowiekiem wielkiej skromności, wychowanym przez owdowiałą matkę (teraz niewidomą) i zamkniętym w klasztorze w wieku dziesięciu lat.

– Powiedz mi – przeszedłem do innej kwestii – czy widziałeś Rajmunda wczoraj po południu? Poszedł do Świętego Polikarpa, ale czy wrócił tu po moim wyjściu?

– Tak, ojcze.

– Och, wrócił?

– Tak, ojcze. Wciąż był tutaj, kiedy wyszedłem na kompletę.

– I powiedział ci coś? Coś o bibliotece biskupa? Albo dokąd idzie na noc?

– Nie, ojcze.

– Czy w ogóle coś powiedział?

Brat Lucjusz znowu się zarumienił. Nerwowo zaczął przekładać rzeczy na biurku i wytarł dłonie o habit.

– On... on mówił o was, ojcze.

– O mnie, naprawdę? – Tego należało się spodziewać. – I co mówił?

– Był na was zły. Mówił, że go znieważyliście i że traktujecie go jak sługę.

– I coś jeszcze?

– Mówił, że przed zginieniem uprzedza pycha.

– Niezaprzeczalnie – powiedziałem i podziękowałem bratu Lucjuszowi za pomoc.

Zdecydowawszy, że zaczekam na Duranda, wróciłem do swojego biurka, gdzie siedziałem beczynnie, przeglądając informacje, które zebrałem. Ich ilość nie powiększyła się znacznie. Zastanowiłem się, po raz pierwszy, czy to nie Rajmund poinformował Piotra Juliana, że nie zamierzam zastosować się do jego zalecenia w kwestii przesłuchań. Durand, tego byłem pewien, nie powtórzyłby mojego komentarza na temat przepytывania Bruny z Aguilar. A Lucjusz odpowiedziałby tylko na zadane wprost pytanie, z własnej inicjatywy nigdy nie podjąłby tematu.

To musiał być Rajmund. W gorączce swego gniewu, wybierając się do pałacu biskupa, prawdopodobnie powiadomił Piotra Juliana o moim rażącym nieposłuszeństwie. „Przed zginieniem uprzedza pycha”. Rajmund zawsze był bardzo czuły na punkcie własnej dumy.

Wciąż snułem przemyślenia, kiedy do drzwi zastukał Durand Fogasset.

– Rajmund Donatus zniknął – oznajmiłem, otwierając mu.

– Tak słyszałem.

– Widziałeś go od wczoraj? Bo nikt inny nie. Nawet jego żona.

Po Durandzie znać było, że wyciągnięto go z łóżka – spojrzenie miał krzywe, twarz nieświeżą, a ubiór wymięty. Spoglądał na mnie spod wzburzonych czarnych włosów.

– Powiedziałem ojcu Piotrowi Julianowi, że powinniście przeszukać kilka łóżek – odparł. – Znacie Lotara Carbonela? Konsula? Kilka tygodni temu widziałem Rajmunda z jedną z jego służących.

– Zaczekaj chwilę. – Byłem zdumiony wzmianką o moim zwierzchniku. – Kiedy rozmawiałeś o tym z ojcem Piotrem Julianem?

– Dopiero co. – Padłszy na ławę, Durand wyciągnął przed siebie swe nogi konika polnego, przetarł oczy i ziewnął. – Mijam dom Rajmunda w drodze tutaj, jak wiecie.

– Chcesz powiedzieć, że ojciec Piotr Julian był w domu Rajmunda?

– Wszyscy byli w domu Rajmunda. Seneszał, większość garnizonu...

– Seneszał?!

– On i ojciec Piotr Julian kłócili się w progu.

Usiadłem. Nogi odmówiły mi posłuszeństwa, albowiem jak na jeden dzień przyjąłem zbyt dużo ciosów.

– Kłócili się o rejestry – ciągnął Durand leniwie, ale z lekkim zdziwieniem. – Ojciec Piotr Julian utrzymywał, że jeśli jakieś znaleziono, należą do Świętego Oficjum i powinny być mu oddane bez sprawdzania, co zawierają. Seneszał powiedział mu, że żadnych rejestrów nie znaleziono, jedynie osobiste akta Rajmunda.

– Seneszał szukał rejestrów?

– Och nie. Szukał ciała Rajmunda.

– Co?!

Durand wybuchnął śmiechem. Nawet poklepał mnie po ręku.

– Wybaczcie mi – powiedział – ale macie taki wyraz twarzy! Ojczy, powiedziano mi, że jeśli jakiś mężczyzna albo kobieta zostają zabici, seneszał zawsze podejrzewa przede wszystkim małżonka.

– Ale przecież nie ma dowodu, że...

– ...że Rajmund nie żyje? To prawda. Ja osobiście wierzę, że on wypił za dużo i gdzieś zabarłoczył. Może jestem w błędzie. Seneszał ma więcej doświadczenia w takich sprawach.

Potrząsnąłem głową, zapadając się w głębokie bagno, gdzie nie było żadnego oparcia.

– Oczywiście trzeba sobie zadać pytanie: gdzie on sypiał z tymi kobietami? – mówił dalej notariusz. – Ma kilka sklepów w pobliżu, ale tam zawsze ktoś jest. Może jakiś dzierżawca pozwala mu skorzystać z pięterka za niewysoką opłatę? A może po prostu używał wychodka, jak wszyscy inni.

Moje myśli powoli nabierały spójności. Wstałem i powiedziałem, że idę do domu Rajmunda. Durand zawołał mnie jednak, zanim dotarłem do drzwi.

– Ojczy, jedno pytanie.

– Tak? O co chodzi?

– Jeśli Rajmund żyje, a nie mam wątpliwości, że tak jest, co stanie się ze mną?

– Z tobą?

– Jeśli pozostanie tylko jeden inkwizytor, nie będzie pracy dla dwóch notariuszy.

Spotkałem jego spojrzenie i coś w moich oczach albo w moim grymasie musiało odpowiedzieć mu na pytanie. Uśmiechnął się, wzruszył ramionami i rozłożył ręce.

– Oddaliście mi wielką przysługę, ojciec – powiedział. – To stanowisko stawało się zbyt krwawe jak dla mnie.

– Zostań tutaj – odpowiedziałem – do powrotu Piotra Juliana. To po ciebie kazał postać.

Potem wyszedłem, oszołomiony tymi wszystkimi pytaniami, które chciałem zadać. Czy Rajmund Donatus zabierał do domu akta Świętego Oficjum, wiedząc doskonale, że takie działanie jest zakazane wszystkim oprócz inkwizytora? Czy Piotr Julian wiedział o tym złamaniu regulaminu? I które akta zostały zabrane? Szukając oświecenia, biegłem w stronę domu Rajmunda jak niesiony skrzydłami i ledwie opuściłem siedzibę, natknąłem się na rozgorączkowanego Piotra Juliana.

– O! – wykrzyknął.

– Ach! – powiedziałem.

Chociaż staliśmy na ulicy, na oczach wielu zdumionych mieszczan, zaczął łącać mnie głosem piskliwym jak pasterska piszczałka. Jego brzmienie było nawet cieńsze niż zazwyczaj.

– Coście sobie myśleli, idąc do seneszała bez mojego zezwolenia? – perorował. – Jak śmiecie brać na siebie kontakty ze świeckim wojskiem? Jesteście uparci i nieposłuszni!

– Nie jestem wam już winien posłuszeństwa, bracie. Opuściłem Święte Oficjum.

– Prawda! Zechciejcie więc powstrzymać się od wtrącania w jego sprawy!

Ruszył się, by mnie minąć, ale chwyciłem go za łokieć.

– O których sprawach mówicie? – zapytałem. – Może zaginionych rejestrach?

– Puśćcie mnie.

– Durand słyszał, jak mówicie seneszalowi, by oddał wszelkie akta znalezione wśród dobytku Rajmunda. Powiedzieliście, że są własnością Świętego Oficjum.

– Nie macie prawa mnie przesłuchiwać.

– Wręcz przeciwnie, mam wszelkie prawo! Wiecie, że Rajmund zameldował o zaginięciu dwóch rejestrów? Może on je miał, a wy o tym wiedzieliście? Czy nieznaną wam jest reguła ustanowiona przez pierwszego inkwizytora Lazet, że rejestry inkwizytorskie nie powinny nigdy opuszczać granic Świętego Oficjum, o ile nie znajdują się pod opieką inkwizytora?

– Dałem Rajmundowi pozwolenie na zabranie akt do domu – powiedział Piotr Julian pośpiesznie. – To było niezbędne dla zadania, które mu powierzyłem.

– I gdzie one teraz są? W rękach seneszała?

– Może są na biurku Rajmunda. Może jednak ich nie zabrał...

– Powierzyliście mu nadzór nad aktami inkwizytorskimi, a teraz nie wiecie, gdzie one są?

– Odsuńcie się.

– Bracie – oświadczyłem, nieostrożnie nie zważając, że słucha nas mnóstwo ludzi – wydaje mi się, że nie jesteście warci stanowiska, które zajmujecie! Drwiny z reguł w taki sposób, ponoszenie takiego ryzyka...

– Kto z was bez grzechu jest, niech pierwszy rzuci kamień – krzyknął Piotr Julian. – Nie macie prawa mnie potępiać, bracie, tak ograniczeni bowiem jesteście, że nie rozpoznajecie heretyków, których macie pod nosem!

– W istocie?

– Tak, w istocie! Chcecie powiedzieć, że przeoczyliście wśród papierów ojca Augustyna list od biskupa Pamiers?

Przysięgam wam, moje serce przestało bić. A potem zaczęło walić jak kowal w kowadło.

– Gdzieś w tej diecezji jest dziewczyna opętana przez demony – mówił dalej dziko Piotr Julian – a tam, gdzie są demony, są też na pewno nekromanci. Naprawdę, bracie, należycie do tych ślepców, którzy mają oczy. Nie zasługujecie na to, by być moim wikarym.

I odszedł, zanim zdołałem sklecić odpowiedź.

Wody nimrinu

Rozważcie moją sytuację. Zakazano mi przekraczać progi Świętego Oficjum. Moja miłość do Joanny z Caussade, czy to głodziona, czy karmiona jej nieobecnością (autorytety różnią się w poglądach na ten temat), była jednak na tyle silna, by nie pozwalać mi spać. Znałem Piotra Juliana Faure i wiedziałem, jak pracuje jego umysł; kiedy tylko porówna opętaną dziewczynę z listu z Babilonią z Caussade, nie powstrzyma się przed niczym, by wydobyć zeznania zarówno z niej, jak i z jej towarzyszek. Co więcej, chociaż tak nierozgarnięty, nawet on musiał w końcu skierować podejrzenia na Babilonię, choćby przez eliminację. Nie mogłem oprzeć swoich nadziei na niedostatkach jego intelektu.

„Z głębokości wołałem ku Tobie, Panie!” Podobnie jak święty Augustyn, dźwigałem potrzaskaną i krwawiącą duszę; moje serce było bezgranicznie mroczne i widziałem przed sobą jedynie śmierć. Prawdę mówiąc, kiedy Piotr Julian odszedł, stałem przez chwilę, nic nie widząc i nie słysząc. Byłem, jak stwierdził, niczym ślepiec, który ma oczy, i głuchy, który ma uszy. Pożywiłem się chlebem bóleści, znałem bowiem drogi Świętego Oficjum. Kiedy już ktoś przyciągnie jego uwagę, nie ma dlań ucieczki. Sieć nasza jest szeroka, a pamięć długa. Rozumiałem to: któż mógłby rozumieć lepiej? Dlatego też pogrążyłem się w żałobie, a przed sobą widziałem jedynie pokrzywy i usypiska soli – pustynię beznadziei.

Przez jakiś czas błąkałem się po ulicach bez celu i do dzisiaj nie jestem w stanie powiedzieć, czy ktoś mnie wówczas pozdrowiał. Moje spojrzenie było odwrócone od świata, widziałem tylko zmorę swego smutku. Martwiąc się nieustannie, zacząłem coraz bardziej zdawać sobie sprawę ze swojego ciała i otoczenia. Dotarły do mnie protesty moich kiszek, jako że było już po nonie i powinienem był coś zjeść. Wróciłem więc do klasztoru, gdzie z racji późnego pojawienia się w refektarzu napotkałem wiele ganiących spojrzeń. Niewątpliwie skarcono mnie za opieszałość w kapitule uchybień, ale nie robiło to na mnie wrażenia. Czułem się już słaby i boleśnie złamany pod różgą własnej świadomości. Wszelkie nałożone na mnie kary byłyby w pełni zasłużone, ponieważ przez swoją pychę i próżność wygnałem siebie ze Świętego Oficjum. Nie mogłem pomóc Joannie, ponieważ wykluczono mnie z podejmowania wszelkich decyzji dotyczących jej losu. Sam sobie odciąłem ręce i język.

Byłem głupcem, albowiem głupi ujawnia cały swój gniew, mądry go w końcu uśmierza.

Boże miłosierny, jakże ja cierpiełem! Zamknąłem się w celi i modliłem się. Walcząc z rozpaczą, która raz po raz ogarniała mnie całego – a tym samym odbierała mi władzę nad rozumem – szukałem rozwiązania. Ale tylko jedno mi się nasuwało. Muszę jakimś sposobem znaleźć drogę powrotną do Świętego Oficjum, chociaż łatwiej byłoby wielbłądowi przejść przez ucho igielne. Muszę jakoś odzyskać swoją tam pozycję.

Zdałem sobie sprawę, że mój powrót zostanie drogo okupiony. Piotr Julian zmusi mnie, bym rzucił sobie mierzwę w twarz i proch lizał jak wąż. Zapewniam was jednak, że chciałem jak chleb jadać popiół, gdyby to okazało się konieczne. Moja duma była niczym wobec miłości do Joanny.

Może wydać się wam niewytłumaczalne, że uległem nierozważnej, cielesnej pasji tak szybko, po dwóch zaledwie krótkich spotkaniach. Możecie się dziwić sile tak świeżo ukutych okowów, że pętają mnie tak ciasno z odległym obiektem mojego pożądania. Ale czyż dusza Jonatana nie przyłgnęła całkowicie do duszy Dawida po ich pierwszym spotkaniu? Czyż nie zostało poświadczane przez wiele autorytetów, że miłość, wchodząc przez oczy, wywołuje często natychmiastowy skutek? Niezliczona jest liczba przykładów, zarówno dzisiejszych, jak i przeszłych – i mój, muszę wyznać, okazał się kolejny. Z niewielką zachętą, pomimo wszelkich sprzeciwów, wysłałbym truciznę z ran trędowatego, gdyby miało to uchronić Joannę przed krzywdą.

Może więc to z woli Bożej musiałem ścierpieć tyle przeciwności. Może to był Jego plan, że miałem przejść przez upokorzenie i skruchę. Skoro nie udało Mu się zmienić mnie Boską miłością, może zechciał osiągnąć ten sam rezultat doświadczaniem i nieprzyjemnościami. „Dobrze na mnie, iżś mię uniżył, abym się nauczył sprawiedliwości Twoich”.

Dlatego też obmyłem twarz, rozważyłem strategię i wróciłem do siedziby obrać leże na gnoju. Tymczasem nadeszła już prawie pora niesporów i cienie się wydłużyły. Kiedy ja byłem pogrążony w modlitwie i samopotępieniu, minęła większa część dnia. Wyglądało jednak na to, że Rajmund Donatus wciąż się nie odnalazł, bo kiedy brat Lucjusz odpowiedział na moje pukanie, to właśnie mi oznajmił.

– A ojciec Piotr Julian? – zapytałem. – Gdzie on jest?

– Na górze, w skrytorium. Przegląda akta.

– Powiedzcie mu, że przyszedłem w duchu pokory i skruchy prosić go o wybaczenie – oświadczyłem, ignorując ostupiały wzrok kanonika. – Zapytaj go, proszę, czy zechce zejść i zaszczyścić mnie rozmową. Powiedzcie mu, bracie, że mówię z powagą.

Brat Lucjusz posłusznie poszedł przekazać wiadomość. Kiedy tylko zniknął mi z oczu, wśliznąłem się do pokoju Piotra Juliana i umieściłem list biskupa Jakuba Fournier na właściwym miejscu, nie chcąc do pozostałych swych grzechów dodać oskarżenia o kradzież. Nie trzeba mówić, że nie ociągałem się. Nim wrócił brat Lucjusz, stałem znowu przy drzwiach wejściowych, w postawie niewinności i pokory.

– Ojciec Piotr Julian powiedział, że nie będzie z wami rozmawiał – usłyszałem.

– Przekaż mu, że przyszedłem tylko po to, by mnie wysłuchał i przyjął. Byłem w biedzie i szukam przewodnictwa.

Brat Lucjusz znowu wdrapał się na schody. Po krótkiej przerwie zszedł raz jeszcze z zimną i bezwzględną odpowiedzią.

– Ojciec Piotr Julian mówi, że jest zajęty.

– Zaczekam więc. Powiedz mu to, dobrze, bracie? Będę tutaj, kiedy zechce mnie zawołać.

Siadłem na jednej z ław i zacząłem odmawiać psalmy pokutne. Jak przewidywałem, dźwięk mojego głosu (który był dobrze wyszkolony, przynajmniej w mojej ocenie) wyciągnął Piotra Juliana ze skryptorium równie szybko, jak dym wypędza szczura z jego norki.

– Zamilknij! – wybełkotał ze szczytu schodów. – Czego chcesz? Nie jesteś tu mile widziany!

– Ojczy, przyszedłem do ciebie z prośbą. Byłem nieświadomy i nieposłuszny. Pogardziłem rozumem i oddawałem cześć próżności. Ojczy, błagam cię o wybaczenie.

– Nie mogę teraz rozmawiać – odpowiedział, i rzeczywiście wydawał się mocno zakłopotany, rozczochrany, spocony i drżący. – Jest zbyt wiele rzeczy... Rajmunda nadal nie ma...

– Ojczy, pozwól mi dla ciebie pracować. Być twoim podnóżkiem. Pozwól, bym ci służył.

– Drwisz sobie ze mnie.

– Nie! – Poruszony, jakby ogarnął mnie wielki lęk, niespokojny o bezpieczeństwo Joanny i przepełniony obrzydzeniem do swej pożałowania godnej pychy, przybrałem ton całkowicie przekonujący. – Wierz mi, kiedy mówię, że chciałbym porzucić swój upór. Jestem skromny i ustępliwy, zlany jak mleko i zsiadły jak ser. Ojczy, wybac mi. Chodziłem nadęty próżnością, a powinienem myśleć jedynie o swoich grzechach i o strasliwym osądzie Pana. Stałem się jak wrogowie krzyża Chrystusowego, których bogiem jest brzuch i których dążenia są przyziemne. Twój sąd jest moim prawem, ojczy. Rządź mną, a ja okażę ci posłuszeństwo, jako że nie jestem wart spojrzenia Boga. Jestem głupi, a usta głupiego są jego zgubą.

Jak mogę wyjaśnić łzy, które popłynęły wtedy z moich oczu? Być może były to łzy odrazy, choć czy tę odrazę wzbudziły moje liczne grzechy, czy Piotr Julian, czy moje strasliwie ciężkie położenie, czy wszystko to naraz, nie mogę zdecydować po takim czasie. W każdym razie wywarły pożądany efekt. Piotr Julian zdawał się wahać. Spojrzał w górę ku skryptorium, potem z powrotem na mnie. Zszedł kilka stopni.

– Naprawdę jesteś skruszony? – zapytał, z wyraźnym podejrzeniem, chociaż z mniejszą siłą, niż się spodziewałem.

W odpowiedzi padłem na kolana i schowałem twarz w dłoniach.

– Zmiłuj się nade mną, Boże, w swojej łaskawości – zaintonowałem – w ogromie swego miłosierdzia wymaż moją nieprawość!

Piotr Julian odchrząknął. Zszedł, stanął u mego boku i położył lepką dłoń na mojej tonsurze.

– Jeśli jesteś naprawdę świadom swoich błędów – powiedział – to ja wybaczam ci twoją zatwardziałą arogancję. – (Ogniste węgle, zapewniam was!) – Ale to miłosierdzia Bożego powinienesz szukać, mój synu. To Bóg zna twoje serce i to on przywróci ci radość z Twojego zbawienia. Bo ofiarą Bogu duch skruszony. Czy twój duch jest wystarczająco skruszony, mój synu?

– Jest – odpowiedziałem i nie kłamałem. O ile niegdyś bowiem zgrzytałbym zębami w obliczu takiej napuszonej łaskawości, teraz pomyślałem po prostu: „Na to właśnie zasługuję”.

– Więc chodź. – Najwyraźniej moja skrucha smakowała słodko Piotrowi Julianowi. Ożywiła go jak wino, przywracając kolor jego policzkom i uśmiech twarzy. – Chodź, wymieńmy pocałunek pokoju, i niech Bóg błogosławi naszą jedność trzebieciem wielu heretyków.

Za moje grzechy objął mnie; przyjąłem jego pocałunek, jak przyjmowałbym biczowanie, jako karę za swoje zuchwalstwo. Potem podążyłem za nim do jego pokoju, gdzie on rozprawiał przez chwilę o cnocie pokory, która oczyszcza dusze jak ogień złotnika i jak tęg farbiarzy. Słuchałem w milczeniu. W końcu, uspokojony, że nie zamierzam go prowokować, przywrócił mnie do obowiązków „w duchu posłuszeństwa”, napominając, że cisi posiadają ziemię.

– Ojciec – powiedziałem, zanim wrócił do skryptorium – jeśli chodzi o list, o którym wspomniałeś, ten od biskupa Pamiers...

– Ach tak – skinął głową. – Myślę, że to solidny dowód.

– Przeciwko komu, ojciec?

– Ależ przeciwko dziewczynie, o którą chodzi, oczywiście!

– Oczywiście. – Musiałem postępować z wielką ostrożnością, bo nie chciałem sprawić wrażenia krnąbrnego. – Rozpoznaliście ją?

– Jeszcze nie – przyznał. – Ale zapytam Ponsa, czy mamy w więzieniu jakąś piękną młodą dziewczynę, która zdaje się być we władaniu demonów. – Nagle zmarszczył brew i spojrzał na mnie nieco podejrzliwie. – Wy przeglądaliście wszystkie śledztwa podjęte przez ojca Augustyna – rzekł. – Nie natknęliście się na żadną pasującą do tego opisu? Kogokolwiek, kogo mógł przesłuchiwać? Powinna pomóc data tego listu.

Tu byłem w pewnym kłopotcie. Nie chciałem powiadamiać Piotra Juliana o istnieniu Babilonii. Z drugiej strony byłoby niezręcznie, gdyby dowiedział się o niej jakimiś innymi drogami i oskarżył mnie, że próbowałem go oszukać. Dlatego więc odpowiedziałem mu pytaniem, które miało zbić go z tropu.

– Skoro ojciec Augustyn nigdy nie wspominał o tej dziewczynie, nigdy jej nie oskarżył ani nawet nie przesłuchał – powiedziałem – to pewnie był przekonany o jej niewinności?

– Wcale nie. To tylko znaczy, że umarł, zanim rozpoczął śledztwo.

– Ale, ojciec, gdyby ona rzeczywiście była czarownicą, dlaczego nazywałby ją opętaną i starałby się ją wyzwolić?

– Mogło być tak, że ona tylko padła ofiarą czarów – przyznał Piotr Julian. – W takim wypadku zaprowadzi nas do winowajcy. I przypomnij sobie też, co Doktor Anielski mówił o zaklęciach. Chociaż może się wydawać, że czarownik panuje nad demonem, to nigdy tak nie jest. Może dziewczyna przywołuje demony, które potem biorą ją w posiadanie. Ona jest kobietą, pamiętaj. Kobieta jest z natury słabsza niż mężczyzna.

– Ale ojciec Augustyn opisał tę dziewczynę jako osobę o wielkiej duchowej wartości – przypomniałem. – Na pewno by tego nie zrobił, gdyby wierzył, że ona jest czarownicą.

– Synu, ojciec Augustyn nie był nieomylny – odpowiedział mój zwierzchnik z lekką niecierpliwością. – Czy on kiedykolwiek pouczał cię o metodach i charakterystyce czarowników?

– Nie, ojciec.

– Nie. Może więc nie miał wiedzy na ten temat tak jak ty, chociaż niewątpliwie był uczony w innych kwestiach. Pamiętaj też, że on już nie żyje. Musimy sami iść do przodu. – Wstając, Piotr Julian dał do zrozumienia, że nasza rozmowa dobiegła końca. Dodał, że w geście pokajania powinienem jeszcze raz przesłuchać Brunę z Aguilar i zastosować zalecane przezeń metody śledcze. – Możesz zrobić to przed kompleta, jeśli chcesz – dodał. – Ja jestem teraz bardzo zajęty, więc nie potrzebuję Duranda.

– Tak, ojciec – zgodziłem się potulnie. – A jeśli chodzi o notariusza...

– Podejmę decyzję jutro lub pojutrze – przerwał. – Oczywiście jeśli Rajmund Donatus nadal będzie nieobecny, wyznaczę nowego notariusza.

W ukłonie wycofałem się, żeby mógł przejść przez drzwi przede mną. Chociaż wyglądałem ponuro, w sercu się radowałem, ponieważ zapowiadało się, że śledztwo w sprawie listu biskupa Jakuba Fournier trafi w moje ręce. Gdyby tak się stało, miałbym wielką szansę ukryć Babilonię przed jego oskarżycielskim okiem. Wszystko wskazywało na to, że nigdy się nie dowie o jej istnieniu.

Niestety jednak, nie doceniłem ani jego inteligencji, ani pragnienia kontroli. Krótco po powrocie do skryptorium wezwał mnie, podnosząc swój piskliwy głos i zwracając się do mnie po imieniu.

– Bernardzie! – krzyczał. – Bracie Bernardzie!

Jak wierny sługa pośpieszyłem, by wypełnić jego rozkaz i znalazłem go siedzącego przy otwartej skrzyni z aktami, w otoczeniu inkwizycyjnych rejestrów.

– Właśnie przyszło mi do głowy – powiedział – że ojciec Augustyn został zabity, kiedy jechał odwiedzić jakiejś kobiety w pobliżu Casseras. Nazwałeś je „pobożnymi niewiastami”. Czyż nie tak?

– Tak, ojciec – odpowiedziałem z omdlewającym sercem.

– Odwiedziłeś te kobiety, kiedy byłeś w Casseras?

– Tak, ojcie.

– Czy któraś z nich jest młoda i piękna?

– Ojcie – powiedziałem jowialnie, chociaż w środku byłem spustoszony jak wody Nimrinu – takiemu mnichowi jak ja wszystkie kobiety wydają się młode i piękne!

Piotr Julian zmarszczył brew.

– Takie uwagi ci nie przystoją, bracie – rzucił ostro. – Pytam cię raz jeszcze: czy któraś z nich jest młoda i piękna?

– Ojcie, mówię szczerze. To, co jest piękne dla jednego mężczyzny, drugiemu wcale może nie wydawać się piękne.

– Czy więc któreś z nich są młode? – nalegał, i wiedziałem, że muszę odpowiedzieć, jako że robił się coraz bardziej niecierpliwy.

– Żadnej z nich nie nazwałbym młodą – brzmiała moja ostrożna odpowiedź. – Wszystkie są dojrzałe.

– Opisz mi je.

I tak uczyniłem, zaczynając od Witalii. Chociaż bardzo się starałem nie ocenić zbyt wysoko nieskazitelnej płci Joanny ani anielskiej twarzyczki Babilonii, moje niewyraziste i *effictio* każdej z kobiet i tak zainteresowało Piotra Juliana. Gdybym tylko umiał kłamać! Ale kłamanie pociągałoby za sobą ogromne ryzyko – przeogromne ryzyko, prawdę mówiąc.

– Czy którakolwiek z tych kobiet przejawia jakieś dziwne zachowania? – zapytał. – Jakieś bezbożne mowy albo postawę wyrażającą brak szacunku?

– Nie, ojcie, ani trochę – powiedziałem, mając nadzieję, że żaden z sierzantów nie wspomni o dziwnym zachowaniu Babilonii.

– Czy pilnie uczęszczają do kościoła?

– Jeśli zdrowie im pozwala. Żyją w pewnej odległości od wioski.

– Ale miejscowy kapłan odwiedza je regularnie? Codziennie czy niemal każdego dnia? – Kiedy się zawałem, mówił dalej: – Jeśli nie, bracie, postrzegalbym pozycję tych kobiet jako niewskazaną. Kobiety nie powinny żyć razem bez mężczyzn, o ile nie są pod stałym nadzorem kapłana albo mnicha.

– Och, wiem.

– W przeciwnym wypadku kobietom nie wolno ufać. Najpewniej zbłądzą.

– Oczywiście. Ojciec Augustyn rozmyślał nad tym właśnie problemem. Pojechał tam przekonać je, by zostały tercjanekami.

– Nie podoba mi się to – wyznał Piotr Julian. – Dlaczego one żyją w takim odosobnionym miejscu? Przed czym uciekają?

– Przed niczym, ojcie, one chcą po prostu służyć Panu.

– Niech więc wstąpią do klasztoru. Nie, to jest wielce podejrzane. Przebywały w pobliżu miejsca śmierci ojca Augustyna, żyją jak beginki (które właśnie zostały potępione przez Ojca

Świętego, wiecie o tym?) i jedna z nich jest prawdopodobnie czarownicą. W tych okolicznościach myślę, że należy je wezwać na przesłuchanie.

Co mogłem powiedzieć? Gdybym się spierał, odebrałby mi sprawę. Pochyliłem więc głowę, jakbym się poddał, cały czas myśląc: Nie można do tego dopuścić. Nie dopuszczę do tego. I przyszło mi do głowy, że gdybym powoli wypełniał polecenia mojego zwierzchnika – gdybym mitrężył w tym pościgu – to Joanna i jej przyjaciółki zdołałyby może opuścić forcję, zanim zostałyby wezwane do Lazet.

Oczywiście nikt nigdy nie umknął Świętemu Oficjum; ucieczką można jedynie opóźnić nieuniknione. Kiedy jednak leżałem w łóżku po komplecie, analizując wydarzenia dnia, uderzyła mnie kolejna myśl. A co z zaginionymi rejestrami? Zajęty niebezpieczeństwem wiszącym nad Joanną, zaniedbałem zapytać Piotra Juliana, siedzącego w skryptorium i grzebiącego w naszych aktach, czego tam szuka. Podejrzywałem jednak, że szukał tej samej książki, która zawiodła go do domu Rajmunda. Wydawało mi się, że zagubione rejestry przedstawiały w większości ostatnie sprawy zajmujące Święte Oficjum, i zastanawiałem się, czy mógłbym wykorzystać ich zaginięcie, by zdobyć przewagę.

Być może gdybym wystarczająco ciężko pracował, uzyskałbym odprawienie Piotra Juliana. Zagubienie akt było mimo wszystko wyrazem rażącej niekompetencji. I bez wątpienia mogłem także innymi drogami osłabić jego wysiłki.

Zauważycie, że zupełnie nie myślałem o zaginięciu Rajmunda. Moje myśli były całkowicie przy Joannie. Jak powiedział Owidiusz: „Miłość to rzecz pełna dręczącej obawy”^{*}: ten, którego ranił miecz miłości, jest wstrząsany cały czas ciągłym myśleniem o ukochanej osobie, a jego dusza zostaje związana w katordze. Nic innego go nie interesuje, kiedy jego miłość jest zagrożona.

„Tobiem samemu zgrzeszył i uczyniłem złość przed Tobą”.

Następnego ranka uczestniczyłem w prymie, a Piotr Julian nie. Wychodząc z klasztoru, stwierdziłem też, że jego cela jest pusta. I chociaż spodziewałem się znaleźć go w siedzibie, w tej nadziei także doznałem rozczarowania.

Zamiast tego spotkałem żonę Rajmunda, która zapłakana siedziała jak pokutnica przed drzwiami Świętego Oficjum.

– Ryszardo – powiedziałem. – Co wy tu robicie?

– Och... och, ojczy, on nie wrócił do domu! – szlochała. – On nie żyje, ja to czuję!

– Ryszardo, to nie jest miejsce dla ciebie. Wracaj do domu.

– Mówią, że on miał kobiety! Mówią, że ja go zabiłam!

– Nonsens. Nikt tak nie myśli.

– Seneszał tak myśli.

– Więc seneszał jest głupcem. – Pomogłem jej wstać, zastawiając się, czy jest w stanie trafić sama do domu. – Szukamy go, Ryszardo, robimy wszystko, co w naszej mocy.

^{*} Owidiusz, Heroidy, tłum. W Markowska, Kraków 1986, s.17

Wciąż szlochała i zrozumiałem, że nie należy jej zostawiać samej. Zdecydowałem się odprowadzić ją do domu i stamtąd wyruszyć do zamku – jako że nie mogłem się doczekać spotkania z Rogerem Descalquens. Widzicie, postanowiłem uczynić tego dnia trzy rzeczy: zapytać Rogera o jego przeszukanie domu Rajmunda, obmyślić jakiś sposób, by ostrzec Joannę o zamiarach mojego zwierzchnika i odwiedzić pałac biskupa. Przyszło mi do głowy, że lepiej bym zrobił, sprawdzając bibliotekę Anzelma, nie tylko dlatego, że Rajmund uczynił to tuż przed swoim zniknięciem, lecz także dlatego, że tamtejsze rejestry umieszczono nie w skrzyniach, a w biblioteczkach, z każdym kodeksem ułożonym starannie, jeden obok drugiego. Podejrzywałem, że dzięki temu mam szansę zauważyć, gdzie brakuje książki.

Dlatego konieczność towarzyszenia Ryszardzie nie była mi niewygodna. Odprowadziłem ją aż do drzwi jej domu i przekazałem pod opiekę mamki (której pokaźne rozmiary okazały się odpowiednie w tym momencie – jej biedną panią troski tak przytłoczyły, że zdawała się niewiele większa od dziecka). Stamtąd ruszyłem żwawo do zamku, gdzie zostałem jowialnie powitany przez strażnika przy bramie. Rozpoznałem w nim jednego z sierzantów, którzy towarzyszyli mi do Casseras.

- Za późno, ojciec – rzucił. – Wasz przyjaciel właśnie wyszedł.
- Mój przyjaciel? Który przyjaciel?
- Ten drugi. Inkwizytor. Nie pamiętam nawet jego imienia.
- Nie aby Piotr Julian Faure?
- Ten właśnie.
- On tutaj był?
- Tak. Poszedł tędy, jeśli chcecie go dogonić.

Odpowiedziałem, że nie chcę i poprosiłem o spotkanie z seneszałem. Ale on także wyszedł niedawno (musiał wyjaśnić kwestie pewnego przewota, pewnych grzywien i konfiskat), udałem się więc do pałacu biskupa. Tu ze względów grzecznościowych byłem zobowiązany zamienić kilka słów z samym biskupem, zanim zdobyłem klucze (i pozwolenie), które umożliwiły mi dostęp do ksiąg. Na szczęście kiedy podszedłem do niego, prowadził jakąś kłótnię. Czekaając przy drzwiach wejściowych, słyszałem podniesione, gniewne głosy. To z tego powodu oszczędzono mi długiej i nużącej relacji z jego ostatnich zakupów koni.

Nawet biskup Anzelm nie mógł przedkładać koni nad pokój zatłoczony patrzącymi spośród wojowników – w tym kapelana, archidiakona, dziekana od Świętego Polikarpa, skarbnika królewskiego i konsula, Lotara Carbonela.

- Bracie Bernardzie – powiedział biskup w nagłej ciszy, która zapadła, kiedy wszedłem. – Powiadomiono mnie, że chcesz skorzystać z biblioteki?
- Jeśli nie macie nic przeciwko temu, ekscelencjo.
- Och, jesteście tu zawsze mile witani. Ludwiku, ty masz klucze, zaprowadź brata Bernarda do biblioteki.

Kapelan posłusznie wstał i odprowadził mnie na górę do prywatnych komnat biskupa. Ledwie zdołaliśmy wyjść, a dyskusja rozgorzała na nowo. Zdołałem zrozumieć, że biskup Anzelm poczuł się głęboko zgorszony kapitułą kanoników. Nie było w tym jednak nic niespodzianego, ponieważ oni rzadko się z nim zgadzali w czymkolwiek – i ponieważ ten powód wydawał się równie dobry jak inny. Biskup miał skłonność do postrzegania skarbu katedralnego jako prywatnej skrzynki z gotówką.

Ludwik, srogi i skąpy żarłok, poprowadził mnie do biskupiej biblioteki, znajdującej się w zamkniętym na klucz pokoju obok zbytkownej komnaty sypialnej. Jako że światło było liche, zapalił mi lampę olejową. Potem opuścił mnie, ja zaś jąłem przebiegać wzrokiem po półkach, szukając przerwy w szeregu oprawionych w skórę grzbietów. Jakąż mnogość szaf bibliotecznych posiadał biskup! Zamiast leżeć w chybotliwych stosach, każdy kodeks stał na swoim własnym miejscu.

Dzięki temu nietrudno było zobaczyć, gdzie brakuje ksiąg. Jedno miejsce wyraźnie rzucało się w oczy, a kurz leżący na pustej części półki poinformował mnie, że rejestr zaginął kilka tygodni temu – ale (sądząc z kurzu na oprawach stojących obok ksiąg) nie później. Drugie miejsce było mniej wyraziste, ale osobliwe rozluźnienie rzędu zdradziło mi, że coś stamtąd ostatnio wyciągnięto.

Miło było odkryć, że ktoś ze służby biskupa (a może były pracownik Świętego Oficjum) zadbał o ułożenie wszystkich ksiąg w pewnym porządku, a tym samym pomógł mi domyślić się zawartości przynajmniej jednego z dwóch zaginionych woluminów. Ponieważ rejestry po obu stronach pustego miejsca zawierały zeznania mieszkańców Crieux, wywnioskowałem, że zaginiony rejestr także dotyczył grzechów tej wioski. Nie zaskoczyło mnie, że wspomniane zeznania spisano pod przewodnictwem inkwizytora wskazanego przez ojca Augustyna w notce na marginesie. Niewątpliwie ojciec Augustyn poszukiwał był zaginionego rejestru. Niewątpliwie też musiał on zniknąć całkiem niedawno.

Ten drugi brakujący rejestr również był stary – liczył przynajmniej czterdzieści lat. Niestety, nie byłem w stanie nawet zgadywać, co zawierał, ze względu na niewielkie przegrupowanie sąsiadujących akt (miało ono, być może, w zamierzeniu ukryć rzucający się w oczy brak). Nawet po sprawdzeniu części tych rejestrów nie umiałem zdecydować, której wioski akta zaginęły. Dlatego też, skoro nic więcej nie mogłem uczynić, ruszyłem odszukać brata Ludwika. Znalazłem go podsłuchującego pod drzwiami sali audiencyjnej biskupa. Mój widok zdawał się go zirytować.

Niewątpliwie przeszkodziłem mu w trakcie ważnej części debaty.

– Skończyliście, ojcze? – zapytał, i nie czekając na odpowiedź, mówił dalej: – Pójdę więc zamknąć. Znacnie drogę do wyjścia.

– Bracie, zaginęły dwa rejestry – powiedziałem, zanim wypchnął mnie przez próg. – Wyście je zabrali? Może biskup?

– Oczywiście, że nie! – Chociaż głos Ludwika był bardzo niski, wypełnił go zarówno strach, jak i gniew. – Nigdy nie dotykamy tych ksiąg! Zapewne wziął je ojciec Piotr Julian.

– Ojciec Piotr Julian?

– Był tutaj dzisiaj rano. Widziałem, jak wychodził z rejestrem pod pachą.

– Naprawdę? – To było najbardziej interesujące. – Z jednym rejestrem czy z dwoma?

– Ojczy, musicie zapytać ojca Piotra Juliana. Nie do mnie należy sprawdzanie jego poczynąń.

– Nie, nie, rozumiem. – W najbardziej uspokajający sposób zapytałem o Rajmunda Donatusa, który odwiedził to miejsce wczoraj lub przedwczoraj – czy zabrał ze sobą jakieś rejestry?

Ludwik zmarszczył brew.

– Rajmund Donatus tu nie przychodził – rzekł. – Po raz ostatni widziałem go... och, kilka tygodni temu. Miesiące nawet.

– Jesteście pewni?

– Tak, ojczy, całkowicie. – Znowu wyczułem, że Ludwik miota się pomiędzy strachem a wściekłością. – Nie widzieliśmy nikogo ze Świętego Oficjum oprócz brata Lucjusza. Brat Lucjusz zawsze dostarcza nowe rejestry bezpośrednio mnie.

– Ale nigdy sam nie wchodził do biblioteki?

– Nie, ojczy.

– A kiedy Rajmund Donatus był tu po raz ostatni, czy zabrał stąd jakieś rejestry?

– Możliwe. Nie pamiętam. To było dawno temu.

– Ale na pewno byście zauważyli?

– Ojczy, mnie zajmuje wiele rzeczy! Mój dzień jest wypełniony obowiązkami!

– Tak, oczywiście.

– W tej chwili, na przykład, powinienem być tam, z biskupem Anzelmem. Powiedział, że mam wrócić, kiedy tylko skończycie. Czy skończyliście już, ojczy?

Uznałem, że z Ludwika miałbym już niewielki pożytek, odpowiedziałem więc twierdząco, i zostawiłem go. Ruszyłem do siedziby, mając nadzieję, że znajdę Piotra Juliana.

Ku swemu zdumieniu, spotkałem go tuż pod pałacem. Był spocony, zdenerwowany i miał czerwoną twarz. Pod pachą niósł dwa rejestry inkwizycyjne.

– Ty! – krzyknął, zatrzymując się gwałtownie. – Co tu robisz?

Mógłbym zadać mu to samo pytanie. Chciałem mu je zadać. Ale nauczywszy się ostrożności w kontaktach z Piotrem Julianem, odpowiedziałem w potulny i służalczy sposób:

– Sprawdzam bibliotekę biskupa.

– Dlaczego?

– Ponieważ Rajmund, zanim zniknął, powiedział mi, że zaginął jeden z rejestrów biskupa. A teraz, odkryłem, że zniknęły dwa. – Kierując spojrzenie na rejestry pod jego pachą, nie mogłem powstrzymać się od pytania: – Czy to te dwa?

Popatrzył na woluminy nic niemówiącym spojrzeniem, jakby je widział po raz pierwszy w życiu. Kiedy znowu spojrzął na mnie, zdawał się być w kłopotcie – dopiero po chwili zdołał odpowiedzieć.

– To one – rzekł w końcu. – Zwracam je.

– Wzięliście je dzisiaj rano?

– Tak... wzięłem je... dzisiaj rano. – Nagle w jego głosie zabrzmiał pośpiech. – Jak już wam wcześniej mówiłem – wyjąkał – pozwoliłem Rajmundowi zabrać jeden z rejestrów do domu. Ponieważ tam go nie znalazłem, przyszedłem tu dziś rano, by sprawdzić egzemplarz biskupa. Przyszło mi wówczas do głowy, że być może seneszał podczas przeszukiwania domu Rajmunda błędnie uznał inkwizytorskie rejestry za jego własne dokumenty. Poszedłem więc do seneszała i poprosiłem, by pokazał mi rejestry, które był znalazł. Wyobraźcie sobie moją radość, kiedy odkryłem, że miałem słusność!

– Chcecie powiedzieć...

– Rajmund miał nie tylko rejestr, który mu dałem, lecz także egzemplarze innych akt. Ich właśnie musiał poszukiwać ojciec Augustyn. – Z cokolwiek nienaturalnym uśmiechem Piotr Julian machnął swoim oprawionym w skór brzemiem. – Zagadka jest rozwiązana! – oznajmił.

Nie mogłem się z nim zgodzić. Kiedy porządkowałem swoje myśli, przychodziły mi do głowy różne pytania.

– Rajmund powiedział mi, że te księgi zaginęły – przypomniałem. – Te, o które pytał ojciec Augustyn...

– Musiał je wszakże znaleźć.

– Dlaczego więc mi ich nie dał?

– Niewątpliwie... niewątpliwie los go ubiegł, zanim zdołał to uczynić.

Było to rozsądne wyjaśnienie. Kiedy je rozważałem, Piotr Julian mówił dalej.

– Właśnie zwróciłem nasze egzemplarze do skryptorium – powiedział. – Teraz oddam te księgi do biblioteki biskupa i wszystko będzie tak, jak należy.

– I mówicie, że to seneszał miał te rejestry? – uderzyła mnie kolejna myśl. – Dlaczego zabierał dokumenty Rajmunda? W jakim celu?

– Jak to? Żeby zobaczyć, czy zawierają jakiś dowód. – Piotr Julian mówił już tonem niecierpliwym. – Doprawdy, bracie, myślicie zbyt wolno.

– Ale on na pewno na nie nie spojrzął. Gdyby do nich zajrzał, zauważyłby, że to nie są rejestry Rajmunda.

– Właśnie! Seneszał jest zajęтым człowiekiem. Nie studiował tych dokumentów. Oczywiście gdyby to uczynił, powiadomiłby nas.

– I nadal ma inne rejestry? Rejestry notarialne należące do Rajmunda?

– Tak przypuszczam.

– I znalazł wszystkie razem? W jednym miejscu?

– Bracie, dlaczego o to pytacie? Jakie to ma znaczenie, gdzie je znalazł? Znalazł je! To nas obchodzi. Nic więcej.

Ton Piotra Juliana sprawił, że przerwałem myślenie (jako że w gruncie rzeczy myślałem na głos) i zamknąłem usta. Wyczułem bowiem, że mój zwierzchnik jest coraz bardziej poruszony, a ja nie chciałem dawać mu powodu do ponownego odprawienia mnie ze stanowiska.

Skłoniłem się więc, przytaknąłem i starałem się sprawić wrażenie usatysfakcjonowanego. Potem się rozdzieliliśmy (przy wielu miłych słowach) i pośpieszyłem z powrotem do siedziby, tak szybko, jak pozwalało na to dostojeństwo mojego stanowiska. Łomotałem do drzwi, dopóki brat Lucjusz ich nie odryglował. Wbiegłem po schodach do skryptorium, szukając po drodze kluczy u pasa.

– Lucjuzu! – krzyknąłem. – Czy ojciec Piotr Julian odłożył właśnie jakieś rejestry do którejś z tych skrzyń?

– Tak, ojczu.

– Które? Do której skrzyni?

Skryba wciąż włókł się po schodach, musiałem zaczekać, aż dotrze do pokoju, zanim moja ciekawość została zaspokojona. Kiedy wskazał największą skrzynię, otworzyłem ją i wyciągnąłem księgę z wierzchu.

– Nie, ojczu – zaprotestował Lucjusz. – Wsadził ją głębiej.

– Gdzie? Jak głęboko?

Skryba wzruszył ramionami, a ja niemal zatupałem ze zdenerwowania. Wydawało się, że będę zmuszony przejrzeć każdy rejestr – a czy wystarczy mi czasu, zanim wróci Piotr Julian? Miałem szczęście, kiedy bowiem podniosłem piątą księgę, znalazłem zeznania, których szukałem (ja i ojciec Augustyn): zeznania mieszkańców Crioux sprzed dwudziestu lat.

Brakowało jednak dwóch z pierwszych pięciu arkuszy. Duża część listy składających zeznanie i większość spisu treści zniknęły. Kiedy otworzyłem następną księgę, stwierdziłem, że okaleczono ją w ten sam sposób. Dwa rejestry okazały się niekompletne.

Cóż za ohyda!

Wertując nieszczęsne rejestry, stwierdziłem, że brakuje więcej arkuszy. Znalazłem nadużycia; znalazłem luki w zeznaniach. Znalazłem też znane mi nazwisko – nazwisko człowieka, teraz już nieżyjącego, którego synem okazał się Lotar Carbonel (ten sam mężczyzna, którego właśnie widziałem w pałacu biskupim).

Miłosierny Boże, pomyślałem, a jego ojciec zmarł przed egzekucją. Nie mogłem jednak poświęcić więcej czasu tej kwestii, Piotr Julian był już bowiem niewątpliwie w drodze powrotnej do siedziby, a ja nie chciałem, by wiedział, że sprawdzałem akta.

Dlatego też wrzuciłem je z powrotem, wykrzykując na użytek skryby:

– Och, nie mogę ich znaleźć! – i drżącymi dłońmi zamknąłem skrzynię. Zapewniam, byłem głęboko poruszony. Okazało się, że Piotr Julian sam zniszczył rejestry – gdyby bowiem

tego nie zrobił, wspomniałby mi, iż zostały zniszczone. „Pan strzeże maluczkich: uniżyłem się, a wybawił mię.”. Jakże Pan mi dopomógł! Zniszczenie rejestrów inkwizycyjnych było złe samo w sobie, ale powodem tej zbrodni mogło się okazać coś jeszcze gorszego. Najwyraźniej Piotr Julian zajrzał do rejestrów, skradzionych lub nie przez Rajmunda Donatusa, i odkrył nazwisko albo nazwiska heretyków niegdyś oskarżonych – heretyków, z którymi musiał być spokrewniony. Zatwardziałych heretyków, którzy się nie nawrócili i nie odprawili pokuty. Tacy heretycy, gdyby ich związek z Piotrem Julianem został ujawniony, mogli stać się dlań powodem utraty pozycji i okryć go hańbą.

Jakże chlubiłem się swoim odkryciem! Jakże się nim napawałem! Jak żarliwie dziękowałem Bogu, wychwalałem go i dumnie kroczyłem w dół do swego biurka! Wiedziałem jednak, że mój dowód jest niekompletny: że byłby niepodważalny tylko wtedy, gdybym znał nazwiska i zbrodnie przedmiotowych heretyków. Pośpiesznie zaostrzyłem więc pióro i zasiadłem do sporządzania listu.

Zaadresowałem go do Jana z Beaune, inkwizytora Carcassone. Opisałem wszystko, co wiedziałem o zaginionych zeznaniach, i zapytałem go, czy kiedykolwiek w ciągu minionych czterdziestu lat on albo jego poprzednik zażyczyli sobie kopii tychże zeznań. Było całkiem możliwe (choć może nie nazbyt prawdopodobne), że taką prośbę złożono. Gdyby się okazało, że otrzymał te zeznania, prosiłem, by tekst skopiuwano, a nową kopię wysłano do Lazet. Dodałem, że będę na wieki zobowiązany.

Zakończywszy list, napisałem drugi, niemal identyczny i zaadresowałem go do inkwizytora Tuluzy. Potem zapieczętowałem oba dokumenty i zaniósłem je do Ponsa. (To Pons bowiem zawsze wyznaczał i wysyłał familiarów, kiedy potrzebny był posłaniec). Gdyby wszystko potoczyło się dobrze, w ciągu trzech, czterech dni mógłbym się spodziewać odpowiedzi.

„Sprawiedliwyś jest, Panie, i sąd Twój prawy”. Poświęcając Piotra Juliana, chciałem uratować Joannę. I byłem zdecydowany doprowadzić do odesłania mojego zwierzchnika, niezależnie od tego, czy miałbym pewny powód, czy nie. Dalsze moje plany ujawnię jednak w innym miejscu tej opowieści.

Wracając do biurka, zdumiałem się (choć nie zasmuciłem), że Piotr Julian nadal jest nieobecny. Byłem jeszcze bardziej zdziwiony, kiedy nie przybył na posiłek do klasztoru. Prawdę mówiąc, zaczynałem się niepokoić i wyruszyłem go poszukać, gdyby nie pojawił się nagle w siedzibie późnym popołudniem, pachnąc intensywnie winem. Powitał mnie wylewnie i zagłębił się w wyjaśnienia swej długiej nieobecności. Mogłyby one wydać się całkowicie przekonujące, gdyby nie były tak doskonale zagmatwane. Potem położył dłoń na moim ramieniu i przysunął się do mnie blisko.

– Czy mówiłem ci – zapytał – że Rajmund wydarł kilka arkuszy z pożyczonych rejestrów?

Moje niezaprzeczone zdumienie można było, mam nadzieję, przypisać okropności tego oznajmienia. W rzeczywistości byłem zaskoczony, że Piotr Julian w ogóle poruszył ten temat.

Szybko zdałem sobie jednak sprawę, że próbowałem ukryć własne fałszywe zachowanie, na wypadek gdybym sprawdził (albo zamierzał sprawdzić) rejestry. Wymamrotałem jakąś niezrozumiałą odpowiedź.

– Zrobił to prawdopodobnie po to, by uchronić własne imię – ciągnął Piotr Julian – a potem, kiedy zdał sobie sprawę, że jego grzech zostanie odkryty, uciekł z miasta. Ale my go znajdziemy.

– Czy mógł to zrobić dla kogoś innego? – zapytałem. – Czy mógł to zrobić za pieniądze?

– Być może. To bardzo smutne.

– Czy mogła go zabić osoba, która zaoferowała mu zapłatę – ciągnąłem – a chciała się upewnić, że nigdy nie ujawni on tego faktu? – I chociaż wspomniałem o takiej możliwości niemal kpiącym tonem, nagle pomyślałem: czyżbym był bliski prawdy? Czy Rajmunda zabito, ponieważ zdobył rejestry już po tym, jak zostały zniszczone, i wiedział, kto je zniszczył? Taka interpretacja wydarzeń wykluczała jednak winę mojego zwierzchnika, odrzuciłem więc ją.

– Och, myślę, że to jest jak najbardziej nieprawdopodobne! – wykrzyknął Piotr Julian, – zmieszany. – Ale w każdym razie, bracie, możecie spokojnie pozostawić ten problem w moich rękach. Macie i tak wystarczająco dużo zmartwień ze śledztwem w sprawie straszliwego losu ojca Augustyna. Wezwaliście już te kobiety?

– Nie, ojciec – odpowiedziałem z doskonałym spokojem. – Jeszcze ich nie wezwałem.

I zapewniam – nie zamierzałem tego czynić.

Jeszcze tego wieczoru znaleziono Rajmunda Donatusa.

Przypomnijcie sobie grotę Galamusa na miejskim targowisku. Przypomnijcie sobie także, że każdego dnia o zachodzie słońca kanonik od Świętego Polikarpa zbiera z tego świętego zagłębienia złożone w nim ofiary. Wkłada je do wielkiego worka i znosi do katedralnej kuchni, jako że w większości są to zioła, bochenki chleba, owoce i tym podobne. Czasami znajdzie się wśród nich solona ryba, niekiedy poćć boczk, ale tylko raz, właśnie wspomnianego wieczoru, była tam ogromna ilość mięsa – kawałki mocno owinięte warstwami przesiąkniętej krwią tkaniny.

Zaskoczony takim dostatkim, dyżurny kanonik wrzucił wszystko do worka. Waga jego brzemienia była tak wielka, że musiał je ciągnąć przez całą drogę do kuchni. Wśród personelu kuchennego zapanowała wielka radość: Bóg był dobry, że obdarzył taką obfitością swoje wierne sługi. Kiedy jednak odwinęto pierwszy kawałek, radość zamieniła się w przerażenie.

Albowiem mięso było ludzkie: w pierwszym kawałku rozpoznano uciętą w łokciu rękę.

Naturalnie wezwano dziekana, potem biskupa i seneszała. Do jutrzni odwinęto wszystkie kawałki, a z części składowych wyłoniła się postać Rajmunda Donatusa. Przyglądający się identyfikacji ciała Roger Descalquens natychmiast posłał po Piotra Juliana, którego w konsekwencji nie było w klasztorze na jutrzni.

Teraz rozważcie, jeśli łaska, dalsze zachowanie mego zwierzchnika. Nie wiem, czy powiedziano mu, dlaczego seneszał go potrzebuje, ale nawet jeśli został oświecony dopiero po przybyciu do Świętego Polikarpa, zaniedbał powiadomienia mnie o strasliwym odkryciu, którego tam dokonano. Po jutrzni dowiedziałem się, że to seneszał wezwał Piotra Juliana (szybko bowiem zacząłem się dopytywać o jego puste miejsce w chórze); mnie jednak zakazano opuszczać klasztor. Wróciłem więc do łóżka, niepokojąc się niezmiernie i ledwie mogąc spać.

Kiedy wstałem, spotkałem Piotra Juliana na laudzie i natychmiast po nabożeństwie rozmawiałem z nim w jego celi. Powiedział mi, że rozcłonkowane ciało Rajmunda znaleziono w grocie Galamusa, że heroldowie rozpowszechniali tę wieść po całym mieście i szukają świadka, który mógł widzieć, jak składano w grocie szczątki, że ktoś musi powiadomić nieszczęsną wdowę.

– Może ty mógłbyś to zrobić, Bernardzie – zasugerował Piotr Julian. Wyglądał na zmęczonego i chorego. – Z pomocą jej proboszcza albo... albo jakiegoś przyjaciela, albo krewnego...

– Tak, oczywiście – byłem zbyt zszokowany, by zaprotestować. – Gdzie... gdzie on jest?

– U Świętego Polikarpa. Złożyli go do krypty. Wdowa może mieć jakieś życzenia...

– Boże, wybacznij nam wszystkim – wymamrotałem, klękając. – Jak długo był... jakby to powiedzieć... czy szczątki były w miarę świeże, czy...?

Piotr Julian przełknął ślinę i skrzywił się.

– Bracie, naprawdę nie potrafię odgadnąć – odparł. – Moja wiedza w tej materii jest niewystarczająca. – Potem wstał, a ja podniosłem się wraz z nim. – Trzeba powiadomić Duranda – ciągnął. – Ja to zrobię. Napiszę też do inkwizytora generalnego, informując go, że szatan wciąż jest wśród nas. Święte Oficjum jest oblężone, ale podejmiemy walkę i odniesiemy triumf. Albowiem Bóg jest naszą ucieczką i mocą.

– Oblężone? – powtórzyłem, nie rozumiejąc. Potem nagle pojąłem. – Och, tak. Ten sam los spotkał ojca Augustyna. Ale sprawcy nie byli ci sami, ojczu.

– Byli ci sami – powiedział stanowczo.

– Ojczu, Jordan Sicre przebywa w Katalonii. Albo przynajmniej jest w drodze stamtąd.

– Jordan Sicre jest jedynie wysłannikiem złego!

– Ale ojca Augustyna i jego eskortę porąbano na kawałki, by ukryć nieobecność ciała Jordana. Śmierć Rajmunda to zupełnie inna sprawa...

– Jest taka sama. Złożenie w ofierze na skrzyżowaniu dróg. Dokładnie to samo. Akt czarów.

Podważyłbym to stanowisko, gdybym nie bał się, że wzbudzę gniew Piotra Juliana. Bojąc się, że w każdej chwili może podjąć temat Joanny i jej przyjaciółek, szybko się oddaliłem. Opuściłem też klasztor i wiedząc, że proboszcz Ryszardy służy w kościele Świętego Antoniego, skierowałem kroki do tego właśnie przybytku – cały czas myśląc: Jaka jest

odpowieź? Kogo winić? Dlaczego z dala stoisz, o Panie? Zanim jednak dotarłem do Świętego Antoniego, minąłem herolda głoszącego odezwę na ulicy i zatrzymałem się, by posłuchać.

Chociaż wciąż było wcześnie, przyciągnął pokaźne audytorium: ludzie odślaniali okna swoich sypialni, przecierając oczy i nadstawiając uszu, by usłyszeć osobliwe wieści. Ponieważ znałem niektóre z tych osób, a nie chciałem z nimi rozmawiać (nigdy bym bowiem nie doszedł do Świętego Antoniego), wycofałem się, stojąc jednak na tyle blisko, by słyszeć, co herold ma do powiedzenia. A brzmiało to tak:

Rajmund Donatus, notariusz publiczny, został znaleziony w grocie Galamusa, pocięty na kawałki. Seneszał życzy sobie przesłuchać sprawcę tego plugawego czynu albo każdego, kto mógł być jego świadkiem, jak również każdego, kto sprzątał obfite ilości krwi w ciągu ostatnich dwóch dni, albo widział, jak umieszcza się w grocie Galamusa kilka wielkich owiniętych w tkaninę pakunków. Seneszał chce także wiedzieć, czy ktokolwiek ostatnio solił mięso. Życzy też sobie porozmawiać z każdym, kto widział Rajmunda Donatusa w ciągu ostatnich trzech dni. Ponadto, powinien zgłosić się natychmiast do seneszala każdy, kto zgubił płaszcz, albo płaszcz.

Za tę krwawą zbrodnię zostanie wymierzona straszliwa kara, a pomsta Pana będzie jeszcze straszliwsza. Z rozkazu Rogera Descalquens, królewskiego seneszala Lazet.

Dostarczywszy tę wieść, herold uderzył piętami boki konia i podążył dalej. Ulica natychmiast wypełniła się okrzykami. Gdybym się ociągał, niewątpliwie zauważono by mnie i wypytano – ale uciekłem, zanim ostatnie słowa herolda spłynęły z jego ust. Uciekłem tak szybko, kiedy wspomniał o soleniu mięsa. Uciekłem, nie do Świętego Antoniego, lecz do Świętego Polikarpa, gdzie zażądałem okazania ciała.

Tutaj, pośród krypt, zakrystian pokazał mi podzielone części ciała Rajmunda. Nie będę kalął tego pergaminu opisem. Wystarczy powiedzieć, że ciało było częściowo odziane odbarwione i niemal nierozpoznawalne. Złożono je w otwartym kamiennym sarkofagu, tak że każdy osobny kawałek zajmował właściwe miejsce. I każda część silnie woniała solanką.

– To ciało zostało zasolone – wysapałem przez rękaw.

– Tak.

– W co było zawinięte? Gdzie jest ta materia?

– Było zawinięte w cztery płaszcz, które podarto na kawałki – odpowiedział zakrystian, też głosem stłumionym w rękawie. – Seneszał je zabrał.

– A ubrania nie zdjęto z ciała – mruknąłem, myśląc na głos. Jak może sobie przypominać, odzienie ojca Augustyna zostało zdjęte. – Co na to powiedział seneszał? Czy coś podejrzewa?

– Bracie, ja nie wiem. Nie było mnie, kiedy sprawdzał szczątki. – Po lekkim wahaniu zakrystian odważył się zapytać mnie nieśmiało, czy Ryszarda Donatus wkrótce przyśle po ciało. – Powinno zostać spalone, bracie. Muchy...

– Tak. Dopatrzę tego jak najszybciej.

Dziękując mu, opuściłem Świętego Polikarpa. Nie poszedłem stamtąd do domu Ryszardy. W tym, jak myślę, uchybiłem obowiązkowi wobec niej (ale trzeba przyznać, że inna kobieta królowała tego dnia w moim sercu i umyśle). W okrutny sposób pozwoliłem, by biedna Ryszarda usłyszała o strasliwym losie swego męża od herolda na ulicy, a nie z ust współczującego przyjaciela – poszedłem bowiem prosto do siedziby, gdzie brat Lucjusz odryglował drzwi, by mnie wpuścić.

Piotr Julian był u siebie i rozmawiał z Durandem Fogassetem, słyszałem ich głosy. Brat Lucjusz patrzył na mnie w większym wysiłku niż zwykle – w świetle słonecznym mrugał jak sowa. Zapytałem go, czy przypomina sobie ostatnie spotkanie z Rajmundem Donatusem, a on przytaknął milczeniem.

– Mówiłeś, że wyszedłeś przed nim – zauważyłem. – Zgadza się?

– Tak, ojcze.

– Zatem nie możesz mi powiedzieć, którzy strażnicy mieli wtedy służbę, tamtej nocy? Mam na myśli nocną zmianę, nie poranną.

– Nie, ojcze.

– Idź więc i zapytaj o to Ponsa. – Ruszyłem w stronę schodów. – Zapytaj Ponsa, kto był tutaj na nocnej zmianie i powiedz mu, żeby przysłał do mnie tego strażnika. Chcę go przepytąć.

– Tak, ojcze.

– I jeszcze jedno, Lucjuszu! Czy na górze palą się twoje lampy?

– Tak, ojcze.

– To dobrze.

Kiedy skryba poszedł wykonać moje polecenie, wziąłem jedną z jego lamp i zabrałem ją na dół, do drzwi stajni. Przypominacie sobie, że te drzwi znajdowały się u dołu schodów. Starannie zbadałem zamykające je, drewniane belki, ale nie dostrzegłem na nich ani żadnych śladów, że były ostatnio używane. Nie dostrzegłem też kurzu. Podłogę również uprzętnięto z kurzu i śladów stóp. Wydawało mi się dziwne, że podłoga jest tak czysta. Kto pomyślał o jej sprzątnięciu i dlaczego? O ile wiedziałem, nikt nie wchodził do stajni od czasu wyniesienia stamtąd szczątków ojca Augustyna.

Podniosłem rygiel, odłożyłem go na bok i pchnąłem drzwi, otwierając je na oścież. Moje nozdrza natychmiast zaatakował cuchnący odór zgnilizny, za który mogłem winić jedynie siebie. Otóż zapomniałem powiadomić mieszkańców Casseras o ich beczkach. Przez całe tygodnie stały otwarte i pełne solanki, w której swego czasu były trzymane gnijące szczątki. Nie twierdzę, że stajnie kiedykolwiek, od czasu pojawienia się (i zarżnięcia) świń Ponsa,

słodko pachniały. Ten fetor był jednak bardziej cuchnący niż odór jakiegokolwiek świni. Był trujący, dławiący. Obracał moje oczy w wodę.

Wstrzymując oddech, zająrzałem do pierwszej beczki i zobaczyłem jedynie ciemną, tłustą powierzchnię solanki. Podłoga dookoła beczek okazała się wilgotna, ale była też wilgotna wszędzie, była wiecznie wilgotna i śliska jak topniejący lód. Koński żłób stał się ciemny od krwi, czy to ludzkiej, czy świńskiej – nie umiałem ocenić. Chociaż plamy wyglądały na stare, były tak samo lepkie – może od wszechobecnej wilgoci. Zapomniałem wspomnieć, że mniej więcej przez poprzedni tydzień sporo padało, a deszcz zawsze miał zgubny wpływ na te stajnie. Doprawdy, nigdy nie trzymałbym tutaj swojego konia. Mleko, być może, albo ryby – ale nie konia.

Ku swemu bezgranicznemu rozczarowaniu nie zdołałem znaleźć niezbitego dowodu, że Rajmund Donatus został zarżnięty i zasolony w tej cuchnącej pieczarce. Coś tu na pewno zarżnięto, ale to mogły być świni. Z drugiej strony, nic nie sugerowało, że Rajmund NIE został tu zarżnięty, a ja uznałem za możliwe, że tak się stało. Możliwe? Uważałem to za prawdopodobne. Spojrzałem dookoła na wilgotne ściany, gęste cienie, oślizgłe, poczerniałe kamienne drzwi i pomyślałem: to legowisko złego. Niemal słyszałem nietoperzowe skrzydła wywoływanych demonów.

Pośpiesznie wspiąłem się na powrót schodami.

– Och! Brat Bernard! – Piotr Julian był teraz w przedsionku i patrzył na mnie zdumiony. – Powiadomiłeś Ryszrdę?

– Wąchałem ciało jej męża – brzmiała moja odpowiedź. – Został zasolony.

– Zasolony? No cóż, tak. Był w solance.

– A wiedzieliście, że tu na dole stoją beczki z solanką?

– Beczki z solanką? – Znowu wydawał się zdumiony. Ale nie byłem do końca przekonany, że to szczere zdumienie. – Nie. Skąd się tu wzięły beczki z solanką?

– Przybyły z Casseras, ze szczątkami ojca Augustyna. Seneszał wam o tym nie wspominał?

– Ani słowem.

– A więc zaniedbał tego. Ach. – Na odgłos skrzypienia zawiasów odwróciłem się i zobaczyłem, jak brat Lucjusz wchodzi do więzienia, a tuż za nim podąża jeden z familiarów.

Ten człowiek, były najemnik o imionach Jan Piotr, od dawna pracował dla Świętego Oficjum. Rozpoznałem jego żółtą, dziobatą twarz o półksiężycowym kształcie, jak plasterek wydrylowanego jabłka. Pochylone ramiona familiara wskazywały na przygnębienie. Był niewysoki, żyłasty i obficie owłosiony.

– Dobry człowieku – powiedziałem, dostrzegając nieufność na jego obliczu – byłeś na służbie, kiedy wychodził stąd Rajmund Donatus, trzy noce temu?

– Tak, ojcze.

– Widziałeś, jak wychodził? Zaryglowałeś za nim drzwi?

- Tak, ojcze.
- I on nie wrócił? Nikt nie wrócił?
- Nie, ojcze.
- Kłamiesz.

Familiar zamrugał oczyma. Wyczułem, że dookoła mnie rośnie napięcie. Moje następne słowa wywołały efekt jeszcze silniejszy, niż zamierzałem. Wydawało mi się bowiem, że gdyby ciało Rajmunda trzymano w stajniach – hipoteza prawdopodobna, bo gdzie jeszcze można by w tajemnicy zasolić ciało – to równie dobrze mógł je tam złożyć Jan Piotr. Kto inny był sam w budynku w noc zaginięcia notariusza! Kto inny miałby czas przygotować taką rzeźnię?

– Wiem, że kłamiesz. Wiem, że Rajmund Donatus został zamordowany w tym budynku. I wiem, że ty to zrobisz.

- Co?! – wykrzyknął Piotr Julian.

Durand sapnął ciężko, a familiar zatoczył się, jakby otrzymał cios.

- Nie! – krzyknął. – Nie, ojcze!
- Tak.

– On wyszedł! Widziałem, jak wychodził!

– Nie widziałeś, jak wychodził. On stąd nie wyszedł. Został zabity na dole, a jego ciało przez dwa dni trzymano w beczkach z solanką. Wiemy o tym. Mamy dowody. Kto inny mógł to zrobić, jeśli nie ty?

- Kobieta! – dziko wrzasnął Jan Piotr. – Ta kobieta musiała to zrobić!

– Jaka kobieta?

– Ojcze, ja... ja... ja kłamałem. Kłamałem. Notariusz wyszedł, ale wrócił. Z kobietą. Późno.

– I wpuściłeś go?

Familiar nie był już żółty, ale czerwony; wyglądał jakby miał wybuchnąć płaczem.

– Ojcze, on mi zapłacił – wybelkotał. – Rajmund Donatus mi zapłacił.

– Więc kiedy zastukał do drzwi, zażądałeś opłaty za wpuszczenie.

– Nie, nie, to on mi zaproponował! Wcześniej!

– A czy tak bywało już kiedyś?

– Nie, ojcze. Przynajmniej... nie ze mną. – Głos Jana Piotra był niewiele głośniejszy niż krakanie. – Powiedział, że Jordan Sicre zwykł był mu pomagać, zanim został... zanim zniknął. On przyprawdzał wiele kobiet, ojcze, i wiem, że to było złe, ale nie zabiłbym go. Za nic. Jednego razu zaproponował mi pieniądze, żebym zabił Jordana, ale mu oddałem. Nie zrobiłbym czegoś takiego, za nic w życiu.

– Opisz tę kobietę... – zaczął Piotr Julian, ale mu przerwałem. Jak możecie przypuszczać, chciałem usłyszeć więcej o Jordanie Sicre.

– Jak miałeś zabić Jordana? – zapytałem. – Kiedy? Dlaczego?

– Ojcze, on mi powiedział, że to Jordan zabił ojca Augustyna i że wiozą go do Lazet. Powiedział, że Jordana trzeba otruć, bo inaczej ujawni, że Rajmund przyprawdzał kobiety do

Świętego Oficjum. Powiedział: jeśli dowiedzą się o mnie, Janie Piotrze, dowiedzą się też o tobie. Ale ja bym tego nie zrobił, ojczec. Morderstwo to grzech.

– Opisz tę kobietę – powtórzył Piotr Julian. – Ile miała lat? Czy miała rude włosy?

– Tu nie było żadnej kobiety! – rzuciłem. – On kłamie!

– Nie, ojczec, nie!

– Oczywiście, że kłamiesz! – przeszedłem do oskarżeń. – Chcesz mi powiedzieć, że tajemnicza kobieta zabiła Rajmunda Donatusa, zaciągnęła go na dół do stajni, pocięła go na kawałki i wyniosła przez drzwi, których pilnowałeś? Myślisz, że jestem głupcem?!

– Ojczec, wysłuchaj mnie! – Familiar teraz już płakał, był bardzo, bardzo przerażony. – On wziął ją na górę, ojczec, a potem przysłał ją na dół dla mnie! Poszliśmy... poszliśmy tam... – wskazał pokój Piotra Juliana bo tam jest krzesło z poduszką...

– Cudzołożyliście na moim krześle?!

– ...a potem ona wyszła, wróciła na górę po swoją zapłatę. Później słyszałem, jak drzwi się zamykają, a ja siedziałem dalej w waszym pokoju, panie, musiała wyjść z Rajmundem, ojczec, musiała wyjść.

– Widziałeś na własne oczy, jak wychodzą? Oboje? – zapytał nagle Durand, zanim przypomniał sobie, że powinien milczeć. Ale to było dobre pytanie.

– Słyszałem, jak wychodzą – odpowiedział familiar. – Słyszałem kroki, a potem drzwi się zamknęły. Były niezaryglowane. I nic więcej nie zdarzyło się przez całą noc. Ojczec, przysięgam, że to prawda! Albo kobieta ta zabiła go tutaj (mogłem bowiem przysnąć), albo wyszli, a ona zabiła go później.

– Kłamiesz. Ty sam go zabiłeś. Zapłacono ci za to.

– Nie! – Familiar, zawodząc, padł na kolana. – Nie, ojczec, nie...

– Dlaczego miałby kłamać? – zapytał ostro Piotr Julian. – A może ta kobieta była czarownicą z Casseras?

– W Casseras nie ma żadnych czarownic! – niemal splunąłem mu w twarz. – Kobiety z Casseras nie mają tu nic do rzeczy!

– Morderstwo Rajmunda jest dziełem czarownicy, Bernardzie!

– To nie były czary! Tak to zaplanowano, żeby wyglądało na czary! Temu człowiekowi zapłacono, żeby zabił Rajmunda Donatusa i tak przygotował ciało, żeby to wyglądało na czary!

– Bzdura! Kto by za coś takiego zapłacił?

– Wy, ojczec! – wymierzyłem palec w jego pierś. – Wy!

Aby się wstawiał za nami

Potraficie pojąć moje rozumowanie w tej materii? Może wasz umysł nie nawykł do oddzielania nici winy i niewinności, acz niewątpliwie ma doświadczenie w śledzeniu bardziej podniosłych zagadek, takich jak rozumienie wcielenia. Może wolelibyście nie kalać swego intelektu takimi nikczemnymi i krwawymi szczegółami, które budzą wstręt w ludziach cnotliwych, a dla Pana są nie do przyjęcia.

Jeśli tak, to pozwólcie mi przedstawić pewne tezy. Po pierwsze, wydaje mi się, że Rajmund Donatus był wplątany w morderstwo ojca Augustyna – w przeciwnym razie po co planowałby zamordowanie Jordana Sicre? Niewątpliwie nikt nie truje człowieka, żeby ukryć swoje wyuzdane upodobanie do nierządnic. W każdym razie uznałem, że jest to nieprzekonujące wyjaśnienie, podczas gdy moje ma dużo sensu. Z drugiej strony: dlaczego Rajmund miałby chcieć zabić ojca Augustyna – to było pytanie, na które nie potrafiłem udzielić żadnej odpowiedzi. Moje moce dedukcyjne nie były w stanie podołać temu problemowi, kiedy już zrodził się w mojej głowie, skoro tak byłem zaangażowany w spór z Piotrem Julianem, dotyczący mojej drugiej tezy: a mianowicie, że on sam ponosił odpowiedzialność za zamordowanie Rajmunda Donatusa.

Niewątpliwie uznacie taką tezę za absurdalną. Ale spójrzcie choćby na uszkodzone rejestry: były u Rajmunda, prawda? Gdyby rzeczywiście zawierały zeznania dyskredytujące Piotra Juliana (jak podejrzewałem), to jemu samemu zależałoby, żeby nikt ich nie przeczytał ani nie przekazał innym do przeczytania. I to szczególne rozczłonkowanie szczątków notariusza, które miało sugerować czary. Jeśli części ciała rozrzucono na skrzyżowaniu dróg, zamiast na przykład wrzucić do rzeki, to aby naśladować formuły przywołań demonów.

Pytam was: kto inny w całym mieście miał rozeznanie w takich ciemnych i bałwochwalczych praktykach? Kto inny próbowałby wplątać grupę osób – czyli nekromantów – podejrzewaną przez jednego tylko człowieka? Pomyślałem, że gdyby Piotr Julian chciał oskarżyć heretyka o zabicie Rajmunda, nie powinien zostawiać ciała w sposób tak starannie wierny swemu własnemu przedstawianiu rytuałów satanistycznych.

Takie były moje przemyślenia, częściowo karmione rozumem, częściowo emocjami. Bez wątplenia chciałem, żeby mój zwierzchnik okazał się winny. Chciałem go usunąć z drogi. W

pewnym więc stopniu powodowała mną stronniczość, która częściowo mnie też oślepiła. Nie zatrzymałem się, by rozważyć, jakie mogą być powiązania pomiędzy tym, że Rajmund zamordował ojca Augustyna, a tym, że później sam został zabity. Nie zatrzymałem się, by rozważyć zniknięcie pierwszego rejestru, które nastąpiło na długo przed przybyciem Piotra Juliana do Lazet. Za bardzo chciałem szybko dowieść winy mojego zwierzchnika.

Rzuciłem więc oskarżenie, a sam zostałem z kolei obrzucony wyzwiskami.

– Jesteś opętany! – wybełkotał Piotr Julian. – Posiadły cię demony! Jesteś chory!

– A ty jesteś potomkiem heretyków!

– Te kobiety rzuciły na ciebie czary! One zatruiły twój umysł! Żeby je chronić, rzucasz na mnie oszczerstwa!

– Nie, Faure! To ty, żeby chronić siebie, rzucasz na nie oszczerstwa. Zaprzeczasz, że usunąłeś arkusze z tych rejestrów?

– Wynos się! Wynos się stąd! Już!

– Tak, pójdę! Pójdę prosto do seneszała, a on cię aresztuje!

– To ty zostaniesz aresztowany! Twoja pogarda dla świętej instytucji, którą reprezentuję, jest jawnym nieposłuszeństwem.

– Ty niczego nie reprezentujesz – uśmiechnąłem się szyderczo, ruszając do drzwi. – Jesteś kłamcą, mordercą i głupcem. Jesteś drżącą kupą cuchnących odchodów. Będziesz wrzucony do jeziora ognia, ja będę stał obok, śpiewając, w białych szatach. – Spojrzałem na Duranda (który zdawał się postrzegać tę kłótnię zarówno z odczuciem szoku, jak i przyjemności), pozdrowiłem go i wycofałem się.

Potem udałem się do zamku. Niewątpliwie wywołałem wielkie zdumienie wśród mieszkańców Lazet, biegłem bowiem całą drogę z sutanną podkasaną powyżej kolan, tak że każdy, kto mnie mijał, patrzył na mnie jak na jakąś cudowną wizję. To rzadkość, w rzeczy samej, ujrzeć mnicha w pełnym locie (o ile nie ucieka przed bandytą), a zobaczyć inkwizytora heretyckiej nieprawości biegnącego jak zając ścigany przez psa – cóż, jest to widok, którego można nie zobaczyć nawet przez trzy żywoty.

W każdym razie – biegłem. I możecie sobie wyobrazić mój wygląd, kiedy dotarłem do celu. Ledwie mogłem wydyszeć powitanie, gdy stałem pochylony z rękoma opartymi o biedne mnisze kolana (tak niedostosowane do forsownych ćwiczeń po latach modlitw i poszczenia), płomień palił się w mojej piersi, członki drżały, serce biło tak głośno, że mnie ogłuszało. Pamiętajcie także, że nie jestem młodym mężczyzną! A seneszał, kiedy zobaczył mnie w tym stanie, był tak zmieszany, jakby ujrzał zaćmienie słońca albo cielę o trzech głowach, albowiem ów widok zapowiadał kłopoty.

– Wielkie nieba! – przeklął, zanim szybko się przeżegnał. – Co się dzieje, ojcze? Jesteście ranni?

Potrząsnąłem głową, wciąż milcząc z braku oddechu. Seneszał wstał, i tak też uczynił królewski skarbnik, z którym obradowali. Ale inkwizytor heretyckiej nieprawości zawsze ma

pierwszeństwo przed wszelkimi mniejszymi urzędnikami. Kiedy odprawiłem skarbnika gestem, odszedł, zostawiając mnie w wyłącznym towarzystwie senezala.

– Usiądźcie – polecił Roger. – Wypijcie trochę wina. Biegliscie.

Skinąłem głową.

– Od kogo?

Pokręciłem głową.

– Oddychajcie głęboko. Jeszcze. A teraz wypijcie to, porozmawiamy, kiedy już będziecie do tego zdolni.

Podał mi wino ze stołu przy łóżku, jako że siedzieliśmy w słynnym pokoju, w którym usieczono samego króla Filipa. Jak zawsze nie mogłem się powstrzymać od zachwytu nad adamaszkowymi zastonami przy łożu, układającymi się w ołtarz ze srebra i złota. Roger wydawał się nie szczędzić na wszystkie luksusowe zdobienia, których sobie odmawiał.

– A więc – powiedział, kiedy doszedłem do siebie. – Co się dzieje? Czy umarł ktoś jeszcze?

– Widzieliście ciało Rajmunda – odpowiedziałem (ostro, z braku tchu). – Zauważyliście, że było zasolone.

– Tak.

– Pamiętacie beczki z solanką, które przywieźliście z Casseras? Mój panie, one są w naszych stajniach, tam gdzie jej zostawiliście.

Roger zmarszczył brew.

– A były później używane? – zapytał.

– Nie wiem. Na to wygląda. Panie, to wydaje się logiczne. Rajmund był ostatnią osobą, która pozostała w naszym budynku. Ktoś mógł zapłacić strażnikowi na służbie, żeby go zabił i złożył ciało w stajni, gdzie przez jakiś czas pozostałoby niezauważone.

Zapadła długa cisza. Seneszał siedział, patrząc na mnie, z potężnymi ramionami splecionymi na piersi. W końcu chrząknął.

Odebrałem to jako sygnał, że mogę mówić dalej.

– Panie, czy ojciec Piotr Julian przyszedł do was wczoraj i zapytał o rejestry inkwizytorskie, które zabraliście z domu Rajmunda?

– Tak.

– Rejestry, których jeszcze nie sprawdziliście?

– Ojciec, byłem zajęty.

– Tak, oczywiście. Ale kiedy ja przyszedłem je obejrzeć, odkryłem, że zostały uszkodzone. Usunięto arkusze. A jednak ojciec Piotr Julian nic o tym nie wspominał – nic! – Kiedy po raz pierwszy powiedział mi o ich znalezieniu. Czy to nie sugeruje, że właśnie on zniszczył księgi, a nie Rajmund? Albowiem on oskarżył Rajmunda, panie. Powiedział, że notariusz próbował ukryć jakichś heretyckich przodków.

– Ojcie... wybaczcie mi... – Seneszał przeczesał palcami włosy. – Gubię się. Dlaczego myślicie, że Rajmund jest niewinny? Dlaczego tak trudno uwierzyć w jego winę?

– Ponieważ ojciec Piotr Julian nie wspomniał o zaginionych arkuszach, kiedy powiedział mi, że znalazł akta.

– Tak, ale...

– To powinna być pierwsza rzecz w jego ustach, panie. Zbeczczeć inkwizytorski rejestr! To zbrodnia niemal tak wielka jak zamordowanie ojca Augustyna!

– Hmm. – Tym razem seneszał otarł twarz i podniósł ramiona; ogólnie zachowywał się jak człowiek, któremu postawiona teza jest niewygodna. – Cóż... – rzekł – i co dalej? Mówicie, że ojciec Piotr Julian próbował ukryć dziadka heretyka?

– Albo coś w tym rodzaju. Ale to Rajmund natknął się na rejestr, który wspominał ojca Piotra Juliana. Więc...

– Więc Piotr Julian go zabił? Och, ojcie, czy to prawdopodobne?

– Rajmund został zabity w stajniach Świętego Oficjum! Jestem tego pewien! Jeśli przeszukacie te beczki, może znajdziecie jakiś dowód, skrawki odzienia. Pamiętajcie, panie, ojciec Augustyn i jego eskorta zostali znaleźni nago.

– Ojcie, ten strażnik, o którym wspomnieliście. Czy on zeznawał?

– Nie, ale...

– Nie wyjaśnił więc, dlaczego zamiast zostawiać ciało w solance do następnej nocy, nie zaniósł go po prostu do groty od razu po zabiciu Rajmunda?

Przerwałem. Trzeba było przyznać, że to pytanie jeszcze mi nie przyszło do głowy. Znowu splótłszy ramiona, seneszał patrzył... i czekał.

– Być może w ten sposób, chciał... chciał się upewnić, że krew nie będzie taka widoczna – powiedziałem w końcu niepewnym głosem. – Być może... być może... cóż, być może nie miał czasu, bo zaczęło już świtać! I zdał sobie sprawę, że musi posprzątać całą krew.

– Ojcie, pozwólcie, że zapytam was o coś jeszcze. – Seneszał pochylił się do przodu. – Czy rozmawialiście o tym z ojcem Piotrem Julianem?

– Tak.

– I co powiedział?

– A co miałby powiedzieć? – sapnąłem. – Zaprzeczył wszystkiemu, oczywiście!

– Nie zwrócił uwagi, że nawet jeśli ten strażnik zabił Rajmunda Donatusa, musieli go opłacić ci sami ludzie, którzy zamordowali ojca Augustyna?

– Panie, to Rajmund zabił ojca Augustyna.

Do tej pory seneszał pozostawał całkiem spokojny, ale jakoś zagadkowo, ostrożnie sceptyczny. Teraz jednak cała jego twarz wykrzywiła się w wyrazie ogromnego zaskoczenia.

– Co?! – krzyknął, a potem wybuchnął śmiechem.

– Panie, wysłuchajcie mnie! To ma sens! Strażnik powiedział, że Rajmund proponował mu pieniądze, żeby otrął Jordana Sicre, kiedy ten zostanie przywieziony do Lazet!

– A wy mu wierzycie?

Zmarszczyłem się.

– Komu wierzę?

– No temu strażnikowi przecież!

– Tak. – Bardzo się starałem powstrzymać gniew. – Tak, wierzę mu.

– Mimo że nie chce przyznać, iż zabił Rajmunda Donatusa?

– Tak...

– Więc wierzycie mu, kiedy oskarża Rajmunda, ale nie, kiedy odmawia przyznania się, że go zamordował?

Otworzyłem usta i znowu je zamknąłem. Widząc moje zmieszanie, seneszał, który podniósł głos, jakby chciał mnie zakrzyczeć, natychmiast zmienił ton. Nawet przyjaźnie położył dłoń na moim nadgarstku, ściskając go mocno.

– Ojczce, powinniście odejść i przemyśleć to – powiedział z uśmiechem. – Może ojciec Piotr Julian jest muchą końską, ale nie pozwólcie, by jego żądło kłuło was w mózg. Powinniście więcej sypiać. Lepiej będzie, jeśli opuścicie Święte Oficjum.

– On mnie odprawił ze Świętego Oficjum.

– Bardzo dobrze. To miejsce wam nie służy, ojczce, moja żona tak mówi. Widziała was któregoś dnia na ulicy, i powiedziała, że podupadliście na zdrowiu. Mówi, że jesteście za chudzi. Wasza twarz jest całkiem szara i pełna głębokich zmarszczek.

– Posłuchajcie mnie. – Kiedy złapał mnie za ramię, ja chwyciłem jego. – Musimy przesłuchać strażnika. Trzeba zabrać go do siedziby i odkryć prawdę. Ojciec Piotr Julian nie pozwoli mi tam wejść bez was, a musimy się dowiedzieć, co się stało tamtej nocy, zanim on wyciągnie z tego człowieka jakieś fałszywe zeznanie...

– Ale powiedzieliście chyba, że chcecie jego zeznań?

– Prawdziwych zeznań! – Strach o Joannę był teraz tak silny, że wpływał na mój osąd. Trudno mi było panować nad targającymi mną namiętnościami, odepchnąłem rękę seneszala, zerwałem się na równe nogi i chodziłem w tę i z powrotem jak obłąkany. – Strażnik rozmawiał z kobietą, oskarżył kobietę. Piotr Julian będzie próbował powiązać kobiety z Casseras z tą... tą wątpliwą koncepcją. To nonsens...

– Ojczce, spokojnie. Uspokójcie się. Przyjdę tam.

– Teraz? – Ani słowa podziękowań, zauważcie! Jakże błędzili ci, co utrzymywali, że miłość ziemską uszlachetnia! – Pójdziecie teraz?

– Kiedy tylko tu skończę.

– Ale musimy się śpieszyć!

– Nie. Nie musimy. – Znowu wziął mnie za ramię, tym razem żeby doprowadzić mnie do drzwi. – Idźcie do kaplicy, módlcie się i uspokójcie. Przyjdę do was, kiedy skończę ze skarbnikiem.

– Ale...

- Bądźcie cierpliwi.
- Panie...
- Kto jedzie spokojnie, zawsze dotrze do celu, ojczy.

W ten właśnie sposób mnie odprawił: uprzejmie, ale stanowczo. Kiedy coś już sobie postanowił, był nieustępliwy. Wiedząc o tym, obrałem posępnie kurs na kaplicę, która okazała się pusta (Bogu niech będą dzięki), jeśli nie liczyć obecności Ducha Świętego. Niewielkie, ale przepiękne pomieszczenie, chlubiące się szklanym oknem nad ołtarzem ze swoimi bogato malowanymi ścianami i sufitem, swoim jedwabiem, złotem i migoczącymi płytkami, zawsze było moim ulubionym miejscem na świecie. Cieszył mnie ten widok – wybac mi, Boże – albowiem kaplica była jak kobieca szkatułka z klejnotami albo gigantyczny emaliowany relikwiarz, co sprawiało, że czułem się cenny. Uczucie świetnie pasujące do dominikanina! Trzeba jednak przyznać, że nigdy nie twierdziłem, iż jestem szczególnie dobrym przykładem mniszej cnoty.

Na pewno kiedy tam siedziałem, znalazłem trochę wytchnienia w kontemplacji Męki Chrystusa, patrząc na germański krucyfiks wiszący na ścianie. Wykonano go tak po mistrzowsku, że można było dostrzec każdą kroplę potu na skręconym ciele i udręczonej twarzy. „Lecz on zranion jest za nieprawości nasze, zstart jest za złości nasze”. Widok tego wspaniałego ciała, tego świętego nieszczęścia, burzył mnie ogromnie – widziałem w nim bowiem straszną przestrożę, jak może cierpieć Joanna, jeśli trafi do więzienia Piotra Juliana. Pomyślałem o *murus strictus*, a oczy mojej wyobraźni ujrzały łańcuchy, cele i wilgoć ze strasliwą wyrazistością, która przeszła mnie jak ostrze. To wszystko można zaakceptować, kiedy dotyczy zatwardziałych heretyków. Ale okazało się nie do zniesienia, kiedy miało odnosić się do Joanny.

Jeśli chodzi o dolny donżon... ale nie byłem w stanie rozmyślać nad taką możliwością. Mój umysł się wzbraniał. Jęknąłem na głos i kilkakrotnie uderzyłem pięściami o kolana. – Boże, Mścicielu, Panie – modliłem się – Boże, Mścicielu, ukaż się! Powstań, Ty, który sądzisz ziemię, daj pysznym odpłatę! Jak długo występną, o Panie, jak długo będą się chełpić występną?

I tak recytowałem różne psalmy, póki w końcu nie poczułem spokoju tego cichego i pięknego miejsca. Stopniowo spływała na mnie ulga. Przypomniałem sobie, że o ile Jan Piotr rzeczywiście mógł być przesłuchiwany jako heretyk – skoro rzekomo zabił pracownika Świętego Oficjum – tortury wymagały zgody i obecności biskupa albo przedstawiciela biskupa. Konieczna była asysta specjalnych familiarów. Nie można zastosować tortur bez specjalnych przygotowań. A w tym wypadku bez tortur nie może być zeznania.

Jakimż byłem głupcem! Jak zawsze, nie doceniłem Piotra Juliana. Prawdę mówiąc, pocieszałem się złudzeniami, kiedy bowiem w końcu seneszał zakończył swoje sprawy i ruszył wraz ze mną do siedziby Świętego Oficjum, spotkaliśmy na miejscu Duranda, który stał przed wejściowymi drzwiami i wymiotował.

Nie musiałem pytać dlaczego.

– Nie! Boże, nie! – przekląłem.

– Ojczy, ja nie mogę. – Durand płakał. Jego twarz była mokra od łez i wyglądał niemal chłopięco. – Nie mogę, nie mogę!

– To on nie może! To jest zakazane! – Chwyciwszy biednego chłopaka za ramię, potrząsnąłem nim (a powinienem go pocieszyć), w swojej wściekłości i strachu przemieniając się w okrutnika. – Gdzie jest biskup? Przecież znasz regulamin! Powinieneś mnie powiadomić!

– Ojczy, ojczy – zaprotestował seneszał, wrywając notariusza z moich rąk. – Powstrzymajcie się.

– Nie ma czasu na powstrzymywanie! – Wierzę, że w owej chwili przedarłbym się przez strażników, gdyby niespodziewanie Piotr Julian nie pojawił się we własnej osobie z garścią pergaminów.

Najwyraźniej szukał Duranda. Ta kwestia przywiodła go na zewnątrz, a kłótnia, która potem się rozpętała, odbywała się na oczach dwóch strażników więziennych, przechodzącego mnicha i kobiety mieszkającej w domu naprzeciwko więzienia.

– Złamałeś prawo! – zagrzmiałem z taką siłą, że Piotr Julian, zdumiony moją obecnością na progu więzienia, upuścił połowę niesionych dokumentów. – Jan Piotr nie jest oskarżony. Nie możesz przesłuchiwać kogoś, kto nie został formalnie oskarżony!

– Mogę, jeśli już złożył zeznanie przed sędzią zastępczym – zripostował Piotr Julian, schylając się po rozrzucone arkusze. – Jeśli sięgniesz do statutu papieża Bonifacego *Postquam*, zobaczysz, że mogę występować w tej funkcji.

– A gdzie jest biskup? Gdzie jest jego przedstawiciel? Nie możesz stosować tortur bez jednego albo drugiego!

– Otrzymałem pełnomocnictwo biskupa Anzelma, na piśmie, by działać w jego imieniu kiedykolwiek i gdziekolwiek jego obecność jest pożądana – powiedział Piotr Julian. Ku memu zdumieniu zachowywał się z godnością, nawet, w obliczu bezpośredniego ataku. – Wszystko jest w należytym porządku, przynajmniej będzie, jeśli Durand się nie pochorował.

– Czy mam rozumieć, że przesłuchujecie tego strażnika, tego Jana Piotra? – zapytał seneszał.

– Zgadza się.

– Pod torturami?

– Nie.

– Już nie – uzupełnił Durand słabym głosem. – Palił mu stopy, ale zduślił ogień, kiedy Jan Piotr obiecał zeznawać.

– Więzień wyznał swoje grzechy – przerwał Piotr Julian, uciszając notariusza zmarszczeniem brwi. – Jego zeznanie zostało zapisane i potwierdzone przez świadków.

Pozostaje jedynie potwierdzenie, które uzyskamy, kiedy tylko Durand będzie na siłach przeczytać zeznanie.

– Ale musisz odczekać dzień! – zaprotestowałem. – Tak stanowi prawo! Cały jeden dzień, zanim zeznanie będzie potwierdzone!

Mój zwierzchnik oddalił ten sprzeciw machnięciem ręki.

– Formalność – powiedział.

– Formalność? Formalność?!

– Ojcie, musicie nad sobą panować. – Seneszał upomniał mnie surowym i karcącym tonem, po czym zwrócił się do Piotra Juliana. – A do czego dokładnie przyznał się ten strażnik? – zapytał. – Do zabicia Rajmunda Donatusa?

– Dla celów szatańskich. – Piotr Julian sprawdził w trzymany w ręku dokumentach. – By przez złożenie w ofierze jednego ze sług Świętego Oficjum wezwać pewnego demona z niższych poziomów podziemia.

– To właśnie powiedział?

– Tak, panie... chociaż nie w tylu słowach. Oczywiście on asystował i wykonywał polecenia kogoś innego, bardziej wprawnych i odrażających wyznawczyń. Tu mam na myśli te kobiety z Casseras...

– Nie!

– ...z których jedna zabiła Rajmunda na rzeź tej nocy...

– Oszczerstwo! – Moje pióro zawodzi, kiedy próbuję opisać swe uczucia oburzenia i niedowierzania. – Te kobiety nie są czarownicami! One nie są wiedźmami! Wsadziłeś ich imiona w usta tego nieszczęśnika!

– Te kobiety są wiedźmami – powtórzył Piotr Julian – ponieważ mam zeznanie potwierdzające ten fakt. Jeśli nawet nie zdołamy ustalić, czy to one zabiły ojca Augustyna, wiem, że zbezczęściły jego szczątki.

– Nonsens. – Mogłem ujawnić w tym momencie ojcostwo Babilonii. Ale ślubowałem, że nie powiem nikomu, a nie mogłem złamać przysięgi bez zezwolenia Joanny. – One były oddane ojcu Augustynowi!

– Co więcej – ciągnął Piotr Julian nieprzejednanie – jedna z nich skusiła Jana Piotra i obiecując wielką nagrodę, nakłoniła go, by wpuścił ją do Świętego Oficjum i aby zamordował Rajmunda Donatusa, kiedy ona była z nim cieleśnie złączona.

– Fałszerstwo! – krzyknąłem, wrywając zeznanie z garści Piotra Juliana. Próbował je odzyskać, i przez chwilę mocowaliśmy się, póki nie rozdzielił nas Roger Descalquens. Chociaż mniejszy ode mnie, seneszał był potężnie zbudowany i użył siły z przemyślnością, której można się nauczyć jedynie przez lata doświadczeń w walce.

– Dość! – powiedział, pół wściekły, pół ubawiony. – Nie pozwalam na bijatyki na ulicy.

– To fałszerstwo! To jest zeznanie uzyskane pod przymusem! – krzyknąłem.

– On tak mówi, ponieważ jest oczarowany, panie, te kobiety zatrwały go swoją trucizną...

– Wystarczy, powiedziałem! – Potrząsnąwszy nami, seneszał zwolnił uchwyt, tak że obaj się zatoczyliśmy, a Piotr Julian upadł. – Nie będziemy tu o tym decydować. Zaczekamy dzień i zobaczymy, czy Jan Piotr nie wycofa zeznania. Tymczasem dojadą tu kobiety...

– Nie, panie!

– ...pod waszą opieką, ojcie Bernardzie, i kilku sierżantów z mojego garnizonu. Przywieziecie je tutaj i razem z ojcem Piotrem Julianem przesłuchacie, a jeśli zdobędziecie jakieś dowody czarów albo morderstwa, albo czegokolwiek innego, obaj będziecie usatysfakcjonowani.

– Mój panie, kiedy przyjedzie Jordan Sicre, będzie dowód, że ten podły i krwiożerczy człowiek się myli.

– Być może. Ale dopóki jeszcze go tu nie ma, ojcie Bernardzie, sugeruję, żebyśmy działali ostrożnie i mądrze i nie tracili zimnej krwi. Czy takie rozwiązanie możecie przyjąć?

Cóż mogłem zrobić, jeśli się nie zgodzić? Nie mogłem oczekiwać już żadnych ustępstw na korzyść Joanny, która teraz była zdecydowanie podejrzana. Przynajmniej dopóki pozostanie pod moją opieką, mogłem mieć pewność, że będzie dobrze traktowana.

Skinąłem więc głową.

– Dobrze.

Seneszał zwrócił się do Piotra Juliana, który wstał już i otrzepywał swój płaszcz z kurzu.

– Czy wy, ojcie, możecie przyjąć takie rozwiązanie?

– Tak.

– Więc pójdę i zbiorę dla was eskortę, ojcie Bernardzie, wy powinniście powiedzieć przeorowi, że będziecie nieobecni dziś w nocy. Ile tam jest kobiet?

– Cztery – odpowiedziałem. – Ale jedna z nich jest bardzo stara i chora.

– Więc może pojechać z tobą. Dam wam znowu Gwiazdę. Albo... cóż, to można ustalić później. Idziecie, ojcie?

Mówił do mnie. Podejrzewając, że nie chce mnie zostawić z Piotrem Julianem (ażebyśmy nie wypatroszyli się nawzajem), raz jeszcze wyraziłem zgodę, i podążyłem za seneszałem. Musiałem się jednak zatrzymać, kiedy Durand chwycił mnie za sutannę.

– Ojcie – wymamrotał, zrozpaczony do szczętu.

Zajrzałem w jego czerwone oczy i dostrzegłem w nich przerażenie tak ogromne, że zdjęła mnie trwoga. Albowiem Durand nigdy nie sprawiał na mnie wrażenia osoby o duszy szczególnie wrażliwej.

– Odwagi – powiedziałem bardzo opanowanym tonem. – Wkrótce to wszystko będzie za nami.

– Ojcie, ja nie mogę.

Żałowanie w jego głosie wzruszyło mnie, ponieważ w owej chwili tak bardzo przypominało mi Joannę. Głaszcząc po ojcowsku jego policzek, udałem, że w drugi go całuję, a tym czasem przyłożyłem usta do jego ucha.

– Wymiotuj dalej – wyszeptałem. – Nie powstrzymuj się. Jeśli trzeba, zwymiotuj mu na buty. W końcu cię odprawi.

Durand się uśmiechnął. Później, kiedy w stanie niewymownego zdenerwowania przygotowywałem się do podróży, myśl o tym uśmiechu przynosiła mi ulgę. To był uśmiech nadziei i współwiny, a także nieposłuszeństwa. Dawał mi siłę, albowiem wiedziałem, że przynajmniej w Durandzie mam przyjaciela. Nie przyjaciela o wielkich wpływach, być może, lecz takiego, który pomoże mi bez względu na to, jaką drogą podążę.

„Lepiej tedy dwiema być spotem niż jednemu: albowiem mają pożytek z swego towarzystwa. Jeśli jeden upadnie, drugi go podeprze. Biada samemu! Bo jeśli upadnie, nie ma kto by go podniósł”.

Miałem nadzieję, że Joanna i jej przyjaciółki opuściły Casseras. Miałem nadzieję, że mgliste poranki i deszczowe dni mogły, wobec rychłego nadejścia zimy, ponaglić je do szukania cieplejszego, suchszego i bezpieczniejszego mieszkania. Nie wziąłem jednak pod uwagę złego stanu zdrowia Witalii. Wyglądało na to, że kobiety czekały na poprawę jej kondycji (jak można by czekać na prześwit w chmurach), aby wówczas przenieść ją, nie narażając jej na zbyt wielkie niewygody.

– Jest bardzo chora? – zapytałem ojca Pawła, nie zsiadając z konia.

Kapłan wyszedł z domu, by mnie powitać, podobnie jak niemal wszyscy mieszkańcy Casseras. Wielu z nich wołało moje imię z radością, a dzieci obdarzały mnie ciepłymi, powitalnymi uśmiechami.

Nieszczęśliwie tak byłem zajęty Joanną, że patrzyłem na ich twarze niemo i ledwie odpowiadałem na pozdrowienia.

– Ona jest bardzo stara – powiedział ojciec Paweł. – Mnie się wydaje, ojcze, że jej czas jest bliski. Ale może się mylę. – Spojrzał niepewnie na mego konia, na którym pozostawałem niewzruszenie, a potem na dziesięciu towarzyszących mi sierżantów. – Jedziecie tam teraz, ojcze? Czy zostanieie tu do rana?

– Nie będziemy spać w wiosce – brzmiała moja odpowiedź.

W drodze do Casseras przemyślałem tę kwestię starannie i doszedłem do wniosku, że przywiezienie kobiet do wioski na noc naznaczyłoby je piętnem więźniów, wszyscy bowiem by widzieli, że są strzeżone. A pozostając w forcji, ustrzegłbym je przed takim poniżeniem: mogłyby przejechać przez Casseras dumnie, eskortowane jak księżniczki, a nie jak zbrodniarki.

– Zostajecie w forcji? – wykrzyknął ojciec Paweł, najwyraźniej wstrząśnięty. – Ale dlaczego?

– Ponieważ nie zdążymy wrócić do Lazet przed nadejściem nocy! – rzuciłem.

Potem popędziłem konia, nie chcąc składać dalszych wyjaśnień. Spieszno mi też było skierować spragnione oczy na twarz Joanny. Jakże tęskniłem, by ją zobaczyć! A jednak przez

cały czas lękałem się spotkania. Obawiałem się strachu i zamieszania, które spowoduje moje przybycie. Pamiętałem ostatnie spotkanie, na zboczu o świcie, i moja dusza jęknęła z tęsknoty. Tamten niezrównany, promienny poranek! Niewątpliwie był darem od Boga. „Zaczynajcież Panu z wyznawaniem, grajcie Bogu naszemu na cytrze. Który okrywa niebo obłokami i ziemi deszcz gotuje. Który czyni, że rośnie trawa po górach i zioła dla posługi ludzkiej”.

Góry były teraz szare i spowite chmurami. Na niebie nie widniała światłość. Kiedy wspinaliśmy się wyboistym traktem do forcji, zaczęło lekko mżyć. W miejscu zamordowania ojca Augustyna leżała, wsiąkając w błoto, mała gałązka z fioletowymi kwiatkami.

Podniósłbym ją, gdyby nie było ze mną żołnierzy. Zatrzymałbym ją, tak jak zatrzymałem tamte pierwsze złote kwiatki. Obawiałem się jednak, że zostanę osądzony i wydrwiony, minąłem więc je.

Chociaż wiodłem bardzo klasztorne życie, byłem zainteresowany dysputą o naturze ziemskiej miłości, czasami toczoną w jak najbardziej właściwym duchu (jako nośnik esencji boskiej miłości), czasami w duchu mniej odpowiednim. Z tych rozważań i ze swoich lektur, dowiedziałem się, że miłość jest pewnym wrodzonym cierpieniem i że można rozpoznać pewne objawy, które niezmiennie występują u zakochanego mężczyzny. Jest to po pierwsze skłonność do blednięcia i chudnięcia; po drugie utrata apetytu; po trzecie tendencja do wzdychania i płakania; po czwarte ataki drżenia w obecności ukochanej osoby. Owidiusz wyliczał wiele z tych objawów w starożytnych czasach; od tego czasu były sprawdzane i wymieniane wciąż od nowa tak często, że zacząłem je uważać za bezsporne i nieuniknione.

Wcześniej już niepokoiły mnie wszelkie zakłócenia mojego snu i apetytu – postrzegałem je jako kolejne symptomy spętania okowami pożądania. (Patrząc wstecz, zastanawiam się, czy te symptomy byłyby tak ostre, gdyby mojej ukochanej nic nie groziło). Teraz, kiedy zbliżałem się do forcji oczekiwałem, że ogarną mnie płacz i drżenie, które za wszelką cenę musiałem ukryć przed swoją eskortą.

Kiedy jednak po raz pierwszy napotkałem spojrzenie Joanny, czułem jedynie wszechogarniającą radość – która załapała moje serce jak fontanna – a potem, na samym krańcu tego sentymentu, silne zmieszanie. Żołnierze bowiem odmówili pozostania w tyle. Nie pozwolili mi wejść do forcji samemu, daleko przed nimi, abym nie został pochwycony, zabity, czy w jakikolwiek sposób nie wywołał ucieczki. Chociaż spierałem się gwałtownie, że obrażają mnie sugestią, iż mogłyby mnie pokonać dwie stare kobiety, szalona dziewczynka i powolna matrona, zwyciężyli bezsporną przewagą liczebną. W rezultacie weszliśmy do forcji jak armia najeźdźców, sprawiając, że Babilonia zaczęła krzyczeć, biegać i kryć się za ścianą.

– Wybaczcie mi – wysapałem, zsiadając pośpiesznie, kiedy Joanna patrzyła na nas zmieszana. – To nie moja decyzja. Zostałem wysłany. Tam się działo... och, takie szaleństwo. Takie szaleństwo. – Podeszedłem do niej i ująłem obie jej dłonie. Ich palce były długie, ciepłe i twarde. Twarz zachwycała mnie. Kiedyś myślałem, że nie jest piękna. Jakże mogłem być tak

ślepy? Jej skóra była biała i przezroczysta jak perła. Oczy głębokie i jasne. Jej szyja to wieża z kości słoniowej. – Nie obawiaj się, Joanno, albowiem będę was chronił Ale muszę wyjaśnić...

– Ojczy Bernardzie? – teraz z domu wynurzyła się Alkaja, niosąc *Legendę* świętego Franciszka. Uśmiechnęła się do mnie, jakby widok mojej twarzy sprawił jej niewyobrażalną radość; skłoniła się i przycisnęła usta do mojej dłoni w geście ogromnego hołdu. Jakby towarzysząca mi eskorta nie istniała. – Och, ojczy – powiedziała żarliwie – jak to dobrze, że znowu przyjechaliście. Jakże niecierpliwie na was czekałyśmy.

– Niestety, Alkajo, moja wizyta nie jest powodem do radości.

– Ależ jest! – upierała się, wciąż ściskając moją dłoń w swojej drugiej ręce kołyszając książkę. – W końcu mogę wam podziękować! Mogę wam powiedzieć, jak zmieniliście nasze życie tym wspaniałym podarkiem! Och, ojczy, dotknął nas Duch Święty! – Kiedy mówiła do mnie, w jej oczach były łzy i blask, który świecił przez te łzy jak słońce przez deszcz. – Naprawdę, ojczy, święty Franciszek był blisko Boga. Naprawdę musimy starać się podążać za jego przykładem, abyśmy mogli zostać ogarnięci ogniem niebieskim i jeść duchową strawę.

– Tak. Niezaprzeczalnie. – Boże, wybac mi, nie miałem wtedy czasu na świętego Franciszka. – Alkajo, żołnierze przestraszyli Babilonię. Mogłabyś z nią porozmawiać, pocieszyć ją? Powiedz jej, że nie pozwolę im skrzywdzi żadnej z was. Powiedz jej, że jestem waszą kryjówką i waszą fortecą. Powtórzysz jej to?

– Z całym sercem – powiedziała Alkaja, uśmiechając się błogo. – A potem porozmawiamy, ojczy. Porozmawiamy o wzniosłej skrusze i Duchu Świętym, i kontemplacji boskiej mądrości.

– Tak, tak, oczywiście. – Odwróciłem się do Joanny, która teraz przyglądała się zsiadającym z koni sierżantom. Niektórzy zaczęli rozpakowywać swoje sakwy. – Zostaniemy tu dzisiaj na noc – wyjaśniłem szybko – a jutro będziemy was eskortować do Lazet. Joanno, przybył nowy inkwizytor. To głupi, niebezpieczny człowiek. Wierzy, że ty i twoje przyjaciółki jesteście heretyczkami i czarownicami...

– Czarownicami?!

– ...i że to wy zabiłyście ojca Augustyna. Nie słucha rozsądku. Ale wytrwale pracuję nad usunięciem go. Wierzę, że jest wpłątany w inne zabójstwo. Jeśli zdołam to udowodnić, jeśli zdołam porozmawiać ze świadkiem, który pomógł zamordować ojca Augustyna, a który wciąż żyje... – Widząc, jak zmieniają się kolory na jej twarzy, przerwałem. Wyczułem, że tego wszystkiego jest dla niej za dużo w jednej chwili, i ścisnąłem jej dłoń tak mocno, że drgnęła. – Joanno, nie lękaj się. Będiesz bezpieczna – powiedziałem. – Masz na to moje słowo. Moją obietnicę.

– Kto... kto musi jutro jechać? – zapytała słabo. – Chyba nie Witalia?

– Wy wszystkie.

– Ale Witalia jest chora!

– Wybacz mi.

– Ona nie może siedzieć na koniu!

– Sama nie, ale ja pojedę z nią. Będę ją wspomagał.

– To śmieszne. – Teraz zrobiła się wściekła. – Taka chora staruszka! Jak chora staruszka może kogoś zabić?

– Jak powiedziałem, moim zwierzchnikiem nie kieruje rozsądek.

– A tobą? – krzyknęła, wrywając dłoń. – A co z tobą? Mówisz, że jesteś naszym przyjacielem, ale przyjechałeś tu, by wziąć nas jak więźniów!

– Jestem waszym przyjacielem. – Przyjacielem? Byłem jej niewolnikiem. – Nie potępij mnie. Przyjechałem tu, by was chronić. By was wspomóc.

Spojrzała na mnie swoim jasnym, prostym, cudownym spojrzeniem, które przeszło mnie jak strzała, a było niemal na tym samym poziomie, co moje. Zapomniałem już, jaka jest wysoka.

– Uspokój się – powiedziałem delikatnie. – Miej odwagę. Zwycięzimy, jeśli postąpicie zgodnie z moją radą. Nie traćcie serca. Bóg jest z nami, wiem, że jest.

Na to się uśmiechnęła, a jej uśmiech był zmęczony i sceptyczny. Patrząc w bok, powiedziała:

– To dobrze, że jesteś tak pewien swego.

Potem poszła do córki.

Chciałem podążyć za nią i przekonać ją, i dotknąć jej raz jeszcze (Boże, wybac mi mój grzech), ale nie mogłem. Podszedłem więc do dowódcy mojego małego orszaku, aby omówić dyspozycje co do ognia, postać i koni. W obejściu nie było wystarczającej liczby schronień dla dziesięciu ludzi; sierżanci chcieli wracać na noc do Casseras, gdzie poza stajniami, w których mogliby spać, byli bezgranicznie gościnni mieszkańcy. Powiedziałem, że wszyscy mogą wrócić do miasteczka, ale że ja zostanę. Ponieważ takie rozwiązanie było bezdyskusyjnie niedopuszczalne, sześciu ochotników zgłosiło się, by pozostać w forcji, reszta natomiast pojechała z powrotem do Casseras w deszczu i zapadającym zmroku.

Potem ustalono warty. Trzech żołnierzy mogło spać, podczas gdy dwaj mieli stać na straży u drzwi domu, a jeden przy koniach. Miejsca do spania zostały rozlokowane następująco: łóżko Witalii przeniesiono do sypialni, aby pozostała z trzema przyjaciółkami. W kuchni (czy też w pomieszczeniu służącym za kuchnię) położono wiązkę słomy, i to miało być moje postanie. Jeden z sierżantów miał spać na kuchennym stole, drugi przy palenisku, a trzeci u moich stóp. Konie miały być spętane pod resztkami szopy na podwórzu.

Uparłem się, aby nie naruszono drobiu kobiet, ale musiałem się poddać. – Kto to będzie karmił, kiedy nas nie będzie? – zapytała Joanna. Pięć ptaków zostało więc zabitych, wykrwawionych, oskubanych i zjedzonych przez moją zgłodniałą eskortę. Ja osobiście jadłem tylko chleb i pory – był post – Alkaja i Babilonia natomiast odmówiły tknięcia osmalonych szczątków swoich zwierząt (Babilonia dlatego, że ich los dotknął ją do żywego, Alkaja zaś ślubowała nie jeść mięsa do końca swoich dni).

Dla Witalii jednego z kurczaków ugotowano w zupie, którą zjadła z rozmięczonym chlebem. Wystarczyło spojrzeć na staruszkę, by zrozumieć, że nie nadaje się do podróży. Prawdę mówiąc, ledwie mogła chodzić, a gdy ująłem jej dłoń, miałem wrażenie, że trzymam suchy liść albo pusty panczyk zdechłego robaka. Kiedy jednak wspomniałem o nadchodzącej podróży, uśmiechnęła się po prostu i skinęła głową, co sprawiło, że zastanowiłem się, czy w ogóle mnie rozumiała.

– Oczywiście, że rozumie – zauważyła Joanna zwięźle, kiedy podzieliłem się z nią wątpliwościami. Siedzieliśmy przy piecyku, krępowani obecnością kilku strażników, nie mogłem bowiem mówić swobodnie, kiedy oni słuchali. – Jej umysł jest w dobrej kondycji.

– Witalia odważnie poniesie swój krzyż – oznajmiła Alkaja. – Chrystus jest z nią.

– Mam nadzieję. – To powiedział jeden z sierżantów. – W przeciwnym razie może nie przetrwać podróży.

– Wola Boża się stanie – odrzekła Alkaja z wielkim spokojem.

Pośpieszyłem z zapewnieniem, że będę jechać bardzo wolno, tak aby nie trząść chorej kobiety, i że z tego powodu musimy wyjechać o świcie, a w każdym razie jak najwcześniej rano. Po czym Joanna zapytała, czy ona i jej towarzyszkę będą mogły zabrać swój dobytek. Na przykład odzież, książki i kuchenne sprzęty.

Trapił mnie suchy i formalny ton jej głosu.

– Możecie wziąć ubrania i... i takie rzeczy, które nie będą opóźniać naszej podróży – odparłem.

– A więc skrzynia zostaje – powiedziała.

– Obawiam się, że tak.

– Musisz wiedzieć, że zostanie skradziona.

– Poproszę ojca Pawła, żeby przechował ją dla was.

– Do naszego powrotu? – Chociaż słowa dobierała niewątpliwie tak, by uspokoić córkę, ton jej głosu był ironiczny i wyzbyty nadziei. Wyglądało na to, że nie przyjęła moich zapewnień.

To mnie rozzłościło, muszę wyznać.

– Owszem, powrócicie – powiedziałem ostro. – Nie ma wątpliwości, że tak będzie. Wziąłem na siebie doprowadzenie do waszego uwolnienia.

– Modlitwami? – zażartowała, chociaż wciąż mówiła ostrożnie.

– Tak, modlitwami! A także innymi środkami!

– Wszyscy będziemy się modlić – powiedziała Alkaja. – Pomódlmy się teraz. – Trzymała rękę Babilonii i mruzczała do jej ucha. Jedyne nieustanną opieką dawała sobie radę z utrzymywaniem dziewczyny we względny spokoju. – Ojczy, odmówisz dla nas modlitwę?

Zrobiłem to, intonując psalmy, póki sierżanci, wstając, nie oznajmili, że powinniśmy już pójść spać, jeśli chcemy wcześniej wyjechać. (Miałem nadzieję wypędzić ich z pokoju swoimi recytacjami, ale zostałem zawiedziony w tym pragnieniu – może dlatego, że cały czas

padało). Kobiety przystały na to i udały się na spoczynek. Sierzanci po naradzie podzielili się na dwie grupy, jedna się wycofała, a druga została. Kiedy tych trzech, którzy pozostali, skuliło się na swoich płaszczach, wyszeptałem nabożeństwo komplety, strapiony moimi bolącymi członkami i doczesnymi obsesjami. Zachowanie Joanny sprawiało mi niewysłowiony ból; wyglądało na to, że mimo wszystko nie uważała mnie za bliskiego przyjaciela. Jakże zimno jej spojrzenie spoczęło na mojej twarzy! Jakże zranił mnie jej brak wiary i kąśliwe uwagi! A jednak pomiędzy nami wciąż była nić porozumienia – czułem jej uczucia, nawet kiedy nad nimi ubolewałem.

Leżąc na wiązce słomy (która była niemal równie niewygodna jak klasztorna prycza), nie znalazłem spokoju w rozmyślaniach o Joannie. Chciałem do niej pójść i poprosić o wyjaśnienie. Czułem na przemian złość, strach i zdenerwowanie. Mówiłem sobie, że ona także się boi – i to bardziej niż ja – ale moje serce się odwróciło. Chociaż wyczerpany wysiłkami dnia, nie byłem w stanie spać na twardej podłodze. „Teraz dusza zatrwożona jest. I cóż rzekę? Ojczy wybaw mię od tej godziny”. Noc była już głęboka, a ja poddawałem się słabości, słuchając chrapania sierżantów, jęków Babilonii (niewątpliwie ofiary wstrząsających snów) i stukania deszczu o dach. Modliłem się, przeklinałem, rozpaczałem. Zaprawdę, kroczyłem w ciemnościach i nie widziałem światłości.

Ale to Bóg chciał, żeby nie zmorzył mnie sen. Nie spałem bowiem, kiedy Babilonia wysliznęła się z sypialni i minęła mnie bezgłośnymi krokami, zmierzając do drzwi. Słyszałem, jak wzywają ją strażnicy; słyszałem udzielane przez nią drżącym głosem wyjaśnienia, że chce opróżnić pęcherz. I usłyszałem, jak odpowiadają, że może to zrobić za rogiem domu, ale jeśli nie wróci natychmiast, spotka ją naprawdę straszliwy los.

Nasłuchiwałem w wielkim napięciu, ale nie dotarły mnie żadne inne dźwięki, przez krótki czas byłem spokojny. Wiedziałem, że strażnicy nie pozwolą jej uciec. Kiedy jednak jej nieobecność się przedłużała, zacząłem się martwić. Dlaczego jej nie nawoływali? Dlaczego byli cicho? Zapytałbym ich, nie wstając z postania, ale nie chciałem obudzić Witalii i jej przyjaciółek. Odrzuciłem więc płaszcz i podszedłem do drzwi, a kiedy tam dotarłem, ze zdumieniem odkryłem, że strażnicy opuścili swój posterunek. Zniknęła także ich lampa. Nie padało już jednak, zdołałem więc usłyszeć słaby dźwięk, jakby kwik, po którym nastąpił pisk, a towarzyszyły im odgłosy szamotaniny po drugiej stronie domu.

Z perspektywy czasu widzę, że zachowałem się niemądrze. Nic nie wskazywało na to, że dźwięki, które słyszę, nie pochodzą z zasadzki albo skrytej rzezi. Nawet stłumiony śmiech mógł być odgłosem podrzynania gardła. Ale moje odruchowe zuchwalstwo okazało się właściwym krokiem, kiedy bowiem minąłem róg, z krzykiem wściekłości potknąłem się dwóch zaginionych strażników klęczących w błocie. Próbowali zgwałcić Babilonię.

Wierzcie mi, kiedy mówię, że nie jestem porywczym człowiekiem. Błogosławieni cisi, czyż nie? Może jestem grzeszny, ale nie tracę zimnej krwi. Dla mnie słowa świętego Pawła zawsze służyły za wskazanie i nakaz: „Skromność wasza niech będzie wiadoma wszystkim ludziom.”.

Zadanie ciosu to nie jest łagodność. Przemoc rodzi przemoc, pokój natomiast jest nagrodą dla tych, którzy miłują Boga. Cierpliwy mąż jest lepszy niż mocny.

A jednak widok, który ukazał się moim oczom, sprawił, że opuścił mnie wszelki rozsądek. Mogłem jedynie zażądać, żeby mężczyźni schowali broń i uwolnili swoją ofiarę – byli tak wstrząśnięci moim nagłym pojawieniem się, że podporządkowaliby się bez sprzeciwu, a jednak wbiłem piętę w głowę jednego z nich (która to głowa była na poziomie mojego kolana), a pięścią walnąłem w twarz drugiego. Chwyciłem noże, które upuścili, grożąc, że ich użyję. Wrzeszczałem i okładałem pięściami wijące się, okryte kolczugą ciało, które leżało u mych stóp. Zachowywałem jak obłąkany.

Niewątpliwie byłem głupcem. Miałem jednak szczęście ponieważ choć byłem większy i zdobyłem przewagę wynikającą z zaskoczenia, wprawą w walce nie dorównywałem mojemu uzbrojonemu przeciwnikowi, który bez trudu odniósłby zwycięstwo, gdyby miał szansę wziąć odwet. Jak się jednak okazało, nie miał. Albowiem krzyki Babilonii i moje własne głośne oburzenie postawiły śpiących na nogi. Nadbiegli, niektórzy z wyciągniętymi mieczami, po czym stało wielkie zamieszanie.

Babilonia zawodziła i płakała w ramionach Alkai. Ja na całe gardło wymyślałem niedoszłym gwałtocielom. Dowódca, wyrwany ze snu, na próżno próbował nas uspokoić. Domagał się wyjaśnienia. Dałem mu je. Oskarżeni mu zaprzeczyli.

– Ona próbowała uciec! – upierali się. – Poszliśmy za nią!

– Z gaciami opuszczonymi do kolan? – krzyczałem.

– Przechodziłem przez wodę! – Starszy z nich wystąpił naprzód. – Gdybym stał na posterunku, uciekłyby nam!

– Kłamca! Widziałem was! Ona miała zadartą suknie!

– Ojczy, to nieprawda.

– To jest prawda! Zapytajcie dziewczynę! Babilonio, powiedz nam!

Ale Babilonia nie była w stanie mówić; uciekła w krainy demonów. Alkaja ją trzymała, a ona szarpała się i wiła, młóciła rękoma, uderzała głową o ziemię i wyła jak pies. Widząc to, kilku sierżantów uczyniło znak krzyża.

– Moja córka nie próbowałaby uciec – powiedziała ochryple Joanna. Klęczała, a jej oczy lśniły w słabym świetle lampy. – Moja córka została zaatakowana.

Kamraci oskarżonych mężczyzn wciąż mieli wątpliwości. Patrzyli na Babilonię i widzieli nie piękną kobiety, lecz szalone albo opętane stworzenie. Poza tym byli pobłażliwi dla swoich kompanów. Czułem, że gdyby mnie tam nie było, odwróciliby się plecami i pozwoliliby kontynuować zbrodnię.

Nikczemni łajdacy! Powiedziałem im, że seneszał zostanie o tym powiadomiony. Uparłem się, by zabrali z kuchni swoje posiłki; oznajmiłem, że nie wolno im już spać w tamtejszej wygodzie. Muszą spędzić noc na zewnątrz, bez względu na to, czy mają wartość, czy

nie. Przestrzegłem ich, że ja także zostanę na warcie, że będę strzegł drzwi sypialni jak pies podwórzowy.

– Uważajcie na moje zęby – krzyknąłem. – Uważajcie na gniew Świętego Oficjum! Te kobiety są pod moją opieką! Jeśli skrzywdzicie którąkolwiek z nich, odcierpicie za swoje nieposłuszeństwo!

Takimi groźbami wzbudziłem w mojej patrzącej spode łba eskorcie potrzebę sprzeciwu. Niewątpliwie groziło mi pewne niebezpieczeństwo: stałem sam, nieuzbrojony, jeśli nie liczyć rangi mego stanowiska; gdyby wszystkich sześciu strażników zmówiło się i spuściło ze smyczy swoje żądze, nie powstrzymałbym ich. Nie mógłbym też później ich potępić, gdyby zdecydowali się zabić najpierw mnie. Niewątpliwie mogliby zmyślić przekonującą historię. Oskarżenie padłoby na grupę czających się gdzieś w pobliżu uzbrojonych heretyków, a moją śmierć przypisano by tym samym siłom, które były odpowiedzialne za śmierć ojca Augustyna.

Wszystko to przemknęło mi przez myśl, kiedy tam stałem. Wiedziałem jednak, że jako inkwizytor heretyckiej nieprawości jestem wyposażony w straszliwą i budzącą grozę dystynkcję. Święte Oficjum było tak wszechobecne, że jedynie nieliczne dusze ośmieliłyby się rzucić mu wyzwanie. Każdy wie, że obrazić inkwizytora to prosić się o nieszczęście.

Dlatego więc sierżanci, chociaż rzucali złowieszcze spojrzenia, robili groźne miny i złorzeczyli pod nosem, nie zbuntowali się. Podporządkowali się moim poleceniom, opuszczając dom, także zostałem jedynym dowódcą kuchni i całej jej zawartości. Podczas gdy Babilonię uwalniano z mokrego zniszczonego ubrania, suszono, uspokajano, ubierano, tulono i w końcu dano jej jakiś ziołowy napar do picia, ja pozostawałem w sypialni z Witalią, której przekazałem okrojoną wersję relacji z wydarzeń na zewnątrz. Kiedy jednak Babilonię złożono do łóżka, kuchnię zostawiono dla mnie. Mogłem ogrzać się przy piecyku. Mogłem zdjąć odzienie i wysuszyć je, słuchając popłakiwań i szeptów z sypialni, a także ostrzejszych, choć też przytłumionych głosów strażników przy drzwiach, bez wątplenia potępiających najbardziej przykrymi słowami mój charakter, uczucia i działania.

Niebawem mężczyźni ucichli. Babilonia wciąż płakała, od czasu do czasu krzycząc. Słyszałem, jak Joanna jej śpiewa, bardzo cichutko, jakby próbowała ukotłysać dziecko do snu. Poza tym nie dotarł do mnie żaden dźwięk prócz trzaskania ognia w palenisku, który podsycałem garściami suchych wiązek. Po jakimś czasie nawet ten obowiązek okazał się ponad moje siły. Pozwoliłem ogniewi zagasnąć, nie mogąc wstać od stołu, albowiem byłem umęczony niewymownie. Czułem, że gdybym się położył, to, jak słoń, nigdy bym już nie wstał. Pozostawałem więc wyprostowany, patrząc na swoją dłoń, która pulsowała od potężnej kolizji z kością policzkową tego głupiego lubieżnika. Nie myślałem o niczym szczególnym. Byłem zbyt zmęczony, by myśleć. Prawdę mówiąc, prawdopodobnie zasnąłbym tam, gdzie siedziałem, gdyby nie postawiło mnie na nogi nagłe pojawienie się Joanny.

Zanim ją zauważyłem, stanęła przy drzwiach. Kiedy podniosłem wzrok, zobaczyłem, że jest ubrana w jakąś bieliznę albo strój nocny – w każdym razie coś cienkiego, szarego i

bezszałtego. Włosy miała rozpuszczone. Przez długi czas patrzyliśmy na siebie, a ja czułem w głowie pustkę.

W końcu ona się odezwała najcichszym szeptem:

– Myślałam, że nas zdradziłeś. Ale byłam w błędzie.

– Tak.

– Tak bardzo się bałam.

– Wiem.

– Wciąż się boję. – Chociaż jej głos załamał się w tym miejscu, zebrała siły, by mówić dalej. – Wciąż się boję, ale doszłam już do siebie. Wybacz mi. Wiem, że jesteś prawdziwym przyjacielem.

Znowu spojrzeliśmy po sobie. Jak mogę wytłumaczyć swoje milczenie w tej chwili? Oszolomiony ze zmęczenia, ogłupiały z zaskoczenia, zatrzasnąłem się głucho na jej widok i na dźwięk jej głosu. Nie mogłem nic powiedzieć. Nie byłem w stanie nawet się ruszyć.

– Dziękuję – powiedziała.

A kiedy ja nie odpowiadałem, zakryła oczy dłońmi i wybuchnęła płaczem.

Te łzy jak sygnał pobudki sprawiły, że się ocknąłem. Objąłem ją, a ona przywarła do mnie, łkając jak jej córka w sąsiednim pokoju.

– Nie jestem dzielna – płakała na moim ramieniu. – Widziałam, jak ich palą... Widziałam, jak umierają, kiedy byłam młoda...

– Ćśśśśś...

– Alkaja jest dzielna. Witalia jest dzielna.

– Ty jesteś dzielna.

– Jestem przerażona! Babilonia o tym wie.

– Ćśśśśś...

– Ona o tym wie! Nie potrafię jej pomóc. Jesteśmy zgubione.

– Nie.

– Jesteśmy martwe!

– Nie!

Boże, wybacz mi, albowiem jestem grzesznikiem. Zaliczają mnie do tych, co schodzą do grobu, stałem się podobny do męża bezsilnego. Ale Ty, Panie, jesteś Bogiem miłosiernym i łaskawym, nieskorym do gniewu, bardzo łagodnym i wiernym. Czyż Pismo nie mówi nam, że miłość wszelki błąd ukrywa? Łaskawy Panie, kochałem ja. Każda z jej łez uderzała w moje serce, raniąc mnie boleśnie. Moja żółć wylała się na ziemię. Zrobiłbym wszystko, żeby wspomóc Joannę, wszystko, by znieść jej smutki. Ale co mogłem zrobić? W agonii wyrzutów sumienia przytuliłem ją do piersi, całując koronę jej głowy, jej ucho, szyję i ramiona. Potem odwróciłem jej twarz do siebie i moje pocałunki zalały zamknięte powieki, jedwabiste policzki, skronie. Smakowały słono. Wąchałem jej włosy. „Lepsze są piersi twe nad wino

woniające olejkami najwyborniejszemi”. Kiedy zatoczyłem się, pokonany, pociągnęła moją głowę w dół i mocno przycisnęła swoje usta do moich.

Nie karć mnie, Panie, w Twoim gniewie i nie karz mnie w Twej zapalczywości. Albowiem jej pocałunek nie był miodem i mlekiem – był bombardowaniem. Płonącą strzałą. Nie zapraszał mnie, bym przechadzał się po gaju granatów z owocem wybornym; chwycił mnie i tłukł, jak wojownik. Jego gorąc zdawał się rozniecać moją krew i oddzielać moje członki. Nie byłem w stanie oddychać.

Gwałtownie więc odwróciłem głowę.

– Co? – zapytała i rozejrzała się. Być może przez chwilę spodziewała się zobaczyć w pokoju kogoś innego. Ale byliśmy sami.

Tymczasem cofnąłem się o krok i ten mały odwrót powiedział jej wszystko. Kiedy na mnie patrzyła, wyraz jej twarzy się zmienił. Zwolniła uścisk na mojej szyi.

– Wybacz mi – wyszeptała.

Pokręciłem głową, dysząc ciężko.

– Wybacz mi. – Włosy zsunęły się jej na twarz, kiedy ją otarła; gdy nagle stanęliśmy rozdzieleni, znowu poczułem zimno. – Wybacz mi, ojczy – powtórzyła, znużona i pełna skruchy, głosem pustym i przygnębionym. Potem podniosła wzrok raz jeszcze, z leciuteńkim błyskiem w oku. – Nie chciałam cię przestraszyć – dodała.

Cóż, i tak to się stało, że zgrzeszyłem najciężej. Albowiem moja duma została urażona, moja niezniszczalna duma, która była krucha jak spalone ciało i olbrzymia jak góra. Spytałem siebie: Czy jestem mężczyzną? Czy jestem jak lew między zwierzętami leśnymi, czy też wypitem do dna kielich uśpienia? I w najpotężniejszej próżności ducha, nie zważając na swoje śluby, wiedziony żądzą i zuchwalstwem, przyciągnąłem ją z powrotem do siebie nagłym ruchem, dokładnie w chwili gdy się odwróciła. Otoczyłem ją ramionami, tak abym mógł wycisnąć na jej ustach dowód mego uwielbienia.

Pamiętajcie, jeśli łaska, że byłem lekko odziany. Joanna także, i to, być może, przyczyniło się do nieszczęsnego rozwoju wypadków. Ale wątpię, żeby przeszkoda lżejsza niż kolczuga z łańcucha powstrzymała nas od zaspokojenia naszych żądz. Byliśmy głusi na jęki Babilonii i szepty Alkai (choć cały czas świadomi, że my sami musimy pozostawać cicho). Ignorowaliśmy bliskość strażników, jakby licha wełniana zasłona, która skrywała drzwi, była zrobiona z litej skały. Bez słów, nie puszczając jedno drugiego, odsunęliśmy się od stołu i padliśmy na skromne posłanie.

To, co nastąpiło później, nie jest odpowiednim tematem rozważań. Jak zauważył święty Paweł, ciało nie jest dla rozpusty, lecz dla Pana. Niemniej jednak powiedział też: „Lecz widzę inszy zakon w członkach moich, sprzeciwiający się Zakonowi umysłu mojego i biorący mię w niewolę w Zakonie grzechu, który jest w członkach moich. Nieszczęsny ja człowiek, kto mnie wybawi od ciała tej śmierci?”.

Tak napisał święty Paweł, a jeśli jego ciało było obiektem praw grzechu, to kim byłem ja, by oprzeć się urokom zmysłowości – niewoli zepsucia? Albowiem jam jest cielesny, zaprzędany w niewolę grzechu. Oddawałem się nieprawości, gniewowi i zapalczywości. Uczyniłem z ciała Joanny swoją świątynię i oddawałem mu cześć. Wierzcie mi, kiedy mówię, że jestem winien. Albowiem grzeszyłem obficie, całym swoim sercem.

Niemniej jednak grzeszyłem przez miłość, a Pismo Święte mówi, że jest ona potężna jak śmierć; wody wielkie nie zdołają ugasić miłości, nie zatopią jej rzeki. Albowiem ona sama jest strumieniem! Niosła mnie jak gałązkę, a ja zanurzałem się – walczyłem – chwytalem oddech, podczas gdy Joanna, otoczywszy mnie ramionami, zdawała się ściągać mnie w dół, coraz dalej i dalej, w nierozumny stan ekstazy.

Ona prowadziła, a ja podążałem za nią. To raniło moją dumę, jeśli mogę się tak wyrazić, ale to Ewa w końcu była przewodnikiem Adama, kiedy doszło do gonitwy za nieprawością. A może byłem prowadzony jak owca? Na pewno Joanna była groźna jak zbrojne zastępy, jej dotyk silny i pewny, jej namiętność gwałtowna.

– Jesteś taki piękny – tylko tyle powiedziała (a raczej wyszeptala, nasze zespolenie wymagało bowiem skrajnej ciszy). Niemal się roześmiałem na te słowa, jako że ona była cudowna jak księżyc i jasna jak słońce, podczas gdy ja – czymże ja jestem, jak nie zwietrzałym, zwiędłym, łysiejącym, słabowitym mołem książkowym?

Wciąż mnie zadziwia, że mogła pożądać tego szkieletu starego mnicha.

Chciałbym powiedzieć, że świętowałem na liliach, zbierałem mirrę mą z moim balsamem, zszedłem do ogrodu orzechów, by zobaczyć świeżą zieleń doliny. Ale nie było czasu na rozmarzoną rozkosz. Akt, którym się splamiliśmy, był krótki, ostry i nieprzyjemny – i nie będę kłaść waszych oczu dalszymi słowy w tej kwestii. Wystarczy powiedzieć, że szybko zerwaliśmy się na nogi, płacząc się w ubraniach; odgłosy z sypialni natychmiast wydały się groźne i bardzo bliskie.

Mówiliśmy niewiele. Nie było potrzeby nic mówić. Moja dusza była złączona z jej duszą – rozmawialiśmy pocałunkiem i spojrzeniami. Ale zaznaczyłem cichutko, że może spać spokojnie, będę bowiem nad nią czuwać.

– Nie, nie będziesz – wyszeptala. – Też pójdziesz spać. – A kiedy pokręciłem głową, uśmiechając się ponuro, położyła dłoń na moim policzku, kierując na mnie swoje jasne, inteligentne spojrzenie.

– To nie był twój grzech powiedziała. – Jeśli ktoś ponosi winę, to ja. Niech ta rana już się nie jątrzy. Nie bądź jak Augustyn.

– Niestety, nie ma takiego zagrożenia. Nie jestem jak Augustyn.

– Nie – jej głos był spokojny, ale stanowczy. – Nie jesteś jak on. Jesteś cały tutaj. Jesteś doskonały. Kocham cię.

„Boże, Ty znasz głupstwo moje, a występki moje nie są Tobie tajne”. Jej słowa wypełniły mnie radością, która była jak ból. Pochyliłem głowę, walcząc ze łzami i poczułem jej usta na czole.

Potem wróciła do łóżka. Jeśli chodzi o mnie, podporządkowałem się jej nakazowi; spałem, chociaż moje serce było przepełnione. Spałem i śniłem o pachnących ogrodach.

I poznać prawdę

Następnego dnia nie mieliśmy sposobności do figlowania: zbyt wiele było do zrobienia. Trzeba było nakarmić, napoić i osiodłać konie, spożyć pośpieszny posiłek. Witalię należało ubrać i wynieść z domu. Kiedy już pozostałe kobiety spakowały do skórzanych i barchanowych toreb ten dobytek, który można było łatwo przetransportować, okazało się, że Alkaja nigdy w życiu nie dosiadała konia. Ponieważ droga do Casseras była trudna i niebezpieczna, zdecydowaliśmy, że powinna jechać z jednym z sierżantów, a koń przeznaczony dla niej powiezie bagaże.

Wciąż popadywało. Trakt do forcji zamienił się w rzekę błota. Kiedy wyruszaliśmy w drogę po stromym stoku, mówiliśmy niewiele – każdy krok mógł być ostatni. Ja miałem ruchy skrępowane, jako że przede mną siedziała Witalia (gdyby usadowiła się za mną, mogłaby się zsunąć z końskiego zadu), zasłaniając mi widok i przeszkadzając w manewrowaniu lejcami. Nie sądzę, żeby Gwiazda czuła w ogóle jej ciężar, Witalia była bowiem jak porcja hubki – można by ją zdmuchnąć oddechem. I tak jednak teren, pogoda i obecność staruszki w moim siodle sprzyjały opóźnieniu naszej podróży. Kiedy w końcu dotarliśmy do Casseras, była pełnia dnia.

Tutaj dołączyliśmy do pozostałych sierżantów, którzy byli równie radośni, jak ich kompani ponurzy i zacięci. Tych czterech mężczyzn spędziło suchą noc w stajni Bruna Pelforta; wyraźnie było widać z ich nastrojów, że żaden świętoszkowaty dominikanin nie przerywał im wszetecznych poczynań. Miasteczko, w rzeczy samej, traktowało sierżantów dobrze, ale kiedy ojciec Paweł zachęcał ich, by zostali na trochę – albo przynajmniej póki deszcz nie zelżeje – nie chcieli o tym słyszeć. Dostali swoje rozkazy, a te wymagały, by powrócili niezwłocznie. Oznajmili, że mały deszcz jeszcze nikomu nie zaszkodził.

Zrobiłem zastrzeżenie do tej uwagi, albowiem było absolutnie oczywiste, że na Witalię deszcz nie wyrze zbawczego wpływu. Jej płuca świszcząły i huczały; usta były niebieskie, dłonie zimne jak kamień. Większość czasu musiałem podpierać staruszkę. Aby utrzymała się w pionie, jedną ręką otaczałem ją w talii, a drugą prowadziłem konia. Im dłużej podróżowaliśmy, tym bardziej obawiałem się, że ona umrze w podróży. I chociaż nie ujawniałem swojego strachu (ze względu na obecność Babilonii), wyraziłem głębokie

przekonanie, że podróż powinna odbyć się w odcinkach, nawet gdyby miała potrwać kilka dni.

Ale musiałem się poddać.

– Im dłużej trwa, tym bardziej jest ryzykowna – upierała się moja eskorta. – Kobiety mogą uciec. Poza tym nie mamy ekwipunku na długą podróż. A deszcz wkrótce ustanie. Powinniśmy się śpieszyć.

I tak czyniliśmy. Jadąc przed Joanną, ledwie pozwalałem sobie rzucać na nią spojrzenie. Chociaż zerkałem do tyłu, raz czy dwa, widziałem jedynie czubek jej głowy, patrzyła bowiem w ziemię, wypatrując dziur i innych zawał. Na szczęście najtrudniejszą część drogi pokonaliśmy, docierając do Casseras, a od Rasiers podróżowaliśmy ze stosunkową łatwością. Nie musieliśmy, oczywiście, obawiać się zbójców. Deszcz natomiast ustał, nim nadeszło południe. Jedynie Witalii nie poprawiało się z czasem; jej twarz przybrała barwę jeszcze bardziej siną, oddech też się pogorszył, a kiedy zbliżyliśmy się do bram Lazet, tuż po niesporach, padła na szyję Gwiazdy, podczas gdy ja próbowałem wszystkimi siłami utrzymać ją w siodle.

To nie był miły powrót do domu. Babilonia, przekonana, że jej przyjaciółka nie żyje, zaczęła zawodzić, rzucając się przy tym na oślep z konia i raniąc się w kolano. Alkaja też próbowała zsiąść, ale nie pozwolił jej na to jadący z nią sierżant. Inny strażnik pomógł mi opuścić Witalię na ziemię i poprosił o pomoc przechodzących dwóch franciszkanów – przybyłych, jak się okazało, z Narbonne. Potem, kiedy Alkaja szalała ze złości, Babilonia płakała, a dwóch braciszków zapewniało mnie, że jeden z nich jest księdzem i może udzielić ostatniej posługi, gdyby okazała się potrzebna, z toreb Joanny wyciągnięto koc. Niesiony przez czterech sierżantów, służył za transport Witalii na ostatnim odcinku jej podróży do więzienia.

Powoli zbliżyliśmy się do wież bramy narbońskiej. Nieśpiesznie przechodziliśmy pod jej przepastnym sklepieniem. Jako że Babilonia nie mogła już jechać sama, dołączyła do mnie. Siedziała z twarzą schowaną w moich ramionach płacząc tak, że mój płaszcz, tunika i szkaplerz, ledwie co wyschły po porannym deszczu, znowu przemokły. Kiedy weszliśmy do miasta, nasza procesja przyciągnęła wiele ciekawskich spojrzeń, zwłaszcza sierżantów garnizonu i mieszczan pełniących wartę na murach. Niektórzy z nich rzucali mojej eskorcie pytania o liczbę wjeżdżających – wywołując krótkie i obraźliwe odpowiedzi. Niektórzy proponowali poprowadzenie koni, czyniąc wulgarne uwagi na temat naszych więźniów. Ponieważ kobiety nie reagowały na te komentarze, ja także trzymałem nerwy na wodzy, żeby nie niepokoić Babilonii. Ale zwróciłem uwagę na ludzi, którzy kalali powietrze tymi plugastwami. Później, być może, zobaczę ich ukaranych.

Chociaż w drodze do siedziby spotkaliśmy wiele znanych mi osób, mój ponury wygląd i brudna odzież zniechęcały do powitań; prawdę mówiąc, zniechęcały do jakiegokolwiek nagabywania. Joanna jechała z pochyloną głową, w królewski sposób wyprostowana, nawet

po tak długiej i trudnej podróży. Tłumek matron, żebraków, dzieci i starców zatrzymał się przy południowym murze, żeby przyglądać się naszemu przejściu. Jedna z matron, rozpoznawszy mnie, zapytała swoją sąsiadkę, czy jadąca kobieta jest heretyczką. Mały chłopiec splunął na Witalię. Cieśla o imieniu Astro przyklął.

Dotarliśmy do celu dokładnie w chwili, kiedy otworzyły się upusty nieba. Zsiadając w deszczu, zawołałem Ponsa i zażądałem natychmiastowej pomocy. Potem oddałem Babilonię pod opiekę matki i poszedłem odszukać nadzorcę, by przekazać mu, gdzie i jak ma ulokować Joannę i jej towarzyszkę.

– Te kobiety pozostaną razem – powiedziałem, biorąc go na tyły. – Umieścisz je w izbie strażników na górnym poziomie.

– W izbie strażników?! – zaprotestował Pons. – A dokąd pójda familiarzy?

– Jeśli familiarzy chcą jeść albo spać, mogą to robić z tobą. – Wspiąłem się po schodach do jego kwatery, która składała się z wielkiej kuchni i dwóch bogato umeblowanych sypialń. Rozglądając się, nie znalazłem powodów, dla których nie mogłoby tu mieszkać więcej osób. – Wszelkie koce i pościel, których mogą potrzebować kobiety, należy im dawać bez ograniczeń. Chcę, żeby jadły z twojego stołu...

– Co?! – wykrzyknęła żona nadzorcy.

– ...i jeśli to możliwe – ciągnąłem, ignorując ją – postaram się, by jedzenie przysyłano z klasztoru. Te kobiety nie są twoimi więźniami, Pons, masz je uważać za swoich gości. Jeśli doświadczą jakiegoś złego traktowania, możesz oczekiwać tego samego.

– Od kogo? – zapytał nadzorca, w reakcji na moje wymagania posuwając się do zuchwalstwa. – Słyszałem, że wy nie jesteście już w Świętym Oficjum.

– Czy zostałem wysłany w sprawach Świętego Oficjum, gdybym już w nim nie był? Dalej, jedna z kobiet jest bardzo chora, więc chcę, żeby podano jej rosół i tego typu rzeczy. Jedzenie dla chorego. A jeśli jej stan będzie powodem do jakichkolwiek poważnych obaw, trzeba mnie natychmiast powiadomić, rozumiesz? Bez względu na porę. Aha, i jeśli którakolwiek z kobiet będzie chciała ze mną porozmawiać, również należy mnie powiadomić.

Pons parsknął. Jego żona rzucała piorunujące spojrzenia. Może powinienem być mniej obcesowy albo lepiej się obchodzić z ich godnością. Może powinienem być pomny pytań, które mogą paść na temat mojej dbałości o traktowanie Joanny. Ale ja martwiłem się o to, by kobiety trzymane w wygodzie, i chciałem jak najszybciej zyskać pewność, z tak się stanie. Wiedziałem, że Witalia nie może umrzeć u bram więzienia. Bałem się też, że pojawi się Piotr Julian i odwoła moje polecenia.

– W izbie strażników jest broń – przypomniał Pons. – Piki. Opał. Zapasowe kajdany.

– Usuńcie je.

– Ale gdzie mamy je złożyć?

– W dolnym donżonie.

– W dolnym donżonie jest więzień.

– Więzień?

– Nowy więzień. Mówiłem wam, że mamy przepętlenie!

Takie właśnie przeciwności stawały na mojej drodze. Niemniej jednak zwyciężyłem; izbę strażników opróżniono ze wszystkiego oprócz stołów, ław, łóżek i kubłów. Doniesiono dwa sienniki i położono czystą pościel. Zakwestionowano jedynie moje polecenia co do piecyka, który wieźliśmy całą drogę z Casseras. Miałem nadzieję umieścić go przy łóżku Witalii. Pons przestrzegł mnie jednak, że to grozi spalaniem wiezienia.

– Nieprawda – powiedziałem.

– Ojczy, to niezgodne z regulaminem!

– Witalia musi mieć w nocy ciepło.

– Wiec niech śpią z nią przyjaciółki.

Nie pozwolił, by rozpalono w piecyku. Powiedział, że ojciec Piotr Julian nie zgodzi się na takie naruszenie przepisów. A wiedząc, że jest to niemal na pewno prawda, skapitulowałem. Chciałem, żeby Piotr Julian za wszelką cenę pozostał nieświadomy moich poleceń dotyczących Joanny z Caussade.

– Raczej nie będzie ognia – powiedziałem, kiedy prowadzono ją do pokoju strażników. – Ale jeśli potrzebujecie więcej koców, dozorca je przyniesie.

– Dziękuję – szepnęła, patrząc na haki na ścianach. Tuliła Babilonię, która przywarła do niej jak dziecko.

– Noce nie są zbyt zimne. – To zapewnienie miało dać ukojenie zarówno jej, jak i mnie. – Kiedy wyschniecie, będzie wam ciepłej.

– Tak.

Wtedy weszła Alkaja.

– Och, to jest pałac! – krzyknęła. Była pogodna przez całą podróż, poza chwilą, kiedy została doprowadzona do wściekłości przez strażnika, który próbował ją zatrzymać. – Suchy niczym stare kości i wielki jak na dziesięć osób! Ojczy, wasz klasztor niewątpliwie nie oferuje takich wygód?

Babilonia, uspokojona, podniosła wzrok. Nawet wyraz twarzy Joanny się zmienił. Jedyne śpiąca Witalia i familiarzy, którzy ją nieśli, a którzy obrazili się na utratę swojej izby, nie byli wzruszeni pogodnym tonem Alkai. Doprawdy, ta kobieta miała radosną duszę. Z wielką rozkoszą zwróciła naszą uwagę na ćwierkanie ptaków, które podobno gnieździły się w wielkiej liczbie na murach miejskich.

– Nasi mali bracia będą dla nas śpiewać – promieniała. – I jak dobrze znowu usłyszeć dzwony! Ten pokój jest bardzo jasny. Będę mogła czytać, jeśli siądę przy oknie.

– Lampy są zakazane – powiedziałem. – Wybaczcie mi. Ale korytarze zawsze pozostają oświetlone, będzie więc jakieś światło, nawet jeśli zapadnie noc. Jesteście głodne? Chcecie jeść?

– Potrzebujemy wody – odpowiedziała Joanna.

– Oczywiście.

– Potrzebujemy naszych rzeczy.

– Dostaniecie je.

– A gdzie ty będziesz? – zapytała z nieszczęsnym i tęsknym wzrokiem.

Chciałem ją pocałować, ale musiałem się zadowolić położeniem dłoni na jej ramieniu.

– Jeśli będziesz mnie potrzebować, przyjdę. Poślą po mnie. I będę was często odwiedzać.

– Może moglibyście pożyczyć nam więcej książek – powiedziała pogodnie Alkaja.

To była zuchwała prośba, ale sprawiła, że wszyscy się uśmiechnęliśmy. Niewątpliwie z została wyrażona w tym właśnie celu.

– Być może – odpowiedziałem. – Mógłbym poprosić biskupa, żeby do was zajrzał.

– Och tak. To by sprawiło nam wielką przyjemność. Biskup zawsze jest miłym kompanem.

– Nie biskup Anzelm. Ale zrobię, co w mojej mocy. A teraz muszę pójść po wasz bagaż i po wodę. Jeszcze coś? Nie? Spróbujcie odpocząć. Zobaczycie mnie znowu, przed kompletą.

– Ojcie... – odezwała się Joanna. Dotknęła mojej dłoni i pozwoliła, by spoczęły na niej jej palce. Czułem ten dotyk w całym swoim ciele. – Ojcie, co się teraz stanie?

– Śpijcie – powiedziałem, wiedząc, że ona próbuje mnie tylko zatrzymać. Jakże chciałbym zostać! – Najpierw posiłek, potem spać. Jutro wrócę.

– A Witalia...?

– Jeśli będziecie mnie potrzebować, dozorca mnie wezwie. Jeśli będziecie potrzebować księdza, przyprowadzę go.

I ukoivszy ją wieloma innymi zapewnieniami, wyszedłem. Znalazłem zaginione bagaże w mieszkaniu Ponsa; zostały wysłane do izby wraz z cebrem wody i miską zupy, Rozmawiałem z każdym familiarem na służbie, jasno dając do zrozumienia, że jeśli kobietom stanie się krzywda, jeśli będą obrażane albo niepokojone w nocy, gniew Boga spadnie na sprawcę ich frasunku. Potem odwiedziłem siedzibę. W skryptorium znalazłem Duranda i brata Lucjusza.

– Ojcie! – krzyknął Durand. Pótleżał na biurku Rajmunda, wspierając głowę na dłoni i ospale odwracając stronicę leżącego przed nim rejestru.

Lucjusz ostrzył pióro.

– Gdzie jest ojciec Piotr Julian? – zapytałem, ignorując ich powitania. – Czy wyszedł na kompletę?

– Ojcie, nie widzieliśmy go przez cały dzień – brzmiała odpowiedź Duranda. – Powiedział mi, że mam być zawsze pod ręką, ale z nim samym nie sposób się skontaktować.

– Gdzie on jest?

Durand wzruszył ramionami.

– Jest chory? Mieliście od niego wiadomość?

– Tak, ojcze. – Notariusz wydawał się badać wyraz mojej twarzy; a może oznaki podróży przyciągały jego uwagę. – Kiedy przybył Jordan, wysłałem wiadomość do klasztoru, a odpowiedział nam ojciec Piotr Julian. Polecił nam, byśmy byli cierpliwi.

– Kiedy przybył Jordan? – Nie wierzyłem własnym uszom. – Masz na myśli Jordana Sicre?

– Tak – powiedział Durand.

– Jest tutaj?

– Tak, ojcze. Przyjechał dziś rano. Ale nikt z nim nie rozmawiał.

– Więc ja powinienem być pierwszy. Bracie, zechcecie sprowadzić braci Szymona i Berengara? Durand, przygotujesz wszystko? Będę cię potrzebował do pisania. – Rzucając wzrokiem na okno, dostrzegłem, jak jest późno, i zastanowiłem się, jakiej użyję wymówki, aby usprawiedliwić nieobecność na komplecie. – Jordana można przesłuchać w pokoju ojca Piotra Juliana – przeszedłem do organizacji – skoro nie jest teraz zajęty. Porozmawiam z Pensem. To jest najbardziej stosowne.

– Ojcze...

– Co?

Durand spojrzał na mnie ze zmarszczonymi brwiami. W końcu rzekł:

– Jesteście wciąż... jakby to powiedzieć... myślałem...

– Tak?

– Nie zarzuciliście swoich obowiązków?

Zawahałem się, nim zapewniłem go, że gdybym był odprawiony ze Świętego Oficjum, on pierwszy by o tym wiedział. A powiedziawszy to, poszedłem zapytać Ponsa o Jordana Sicre.

Nadzorca powiadomił mnie z posępnym brakiem szacunku, że to Jordan jest więźniem z dolnego donżonu. Wraz z nim przywieziono list zaadresowany do mnie. Ten list znajdował się teraz u brata Lucjusza. Eskorta Jordana – czterech katalońskich najemników – wyjechała już z Lazet. Pons nie otrzymał od ojca Piotra Juliana żadnych rozkazów dotyczących nowego więźnia.

Dodał, że jeśli chcę, mogę go powitać, i podał mi klucze.

– Potrzebuję także strażnika.

– Nie do Jordana. Ma kajdany na rękach i nogach.

– Czy to konieczne?

– On zna to więzienie, ojcze. Niektórzy strażnicy byli jego kamratami. Ale wy wiecie lepiej, oczywiście.

Ależ był wściekły! Uznałem, że to niedorzeczne, i odszedłem, nie dziękując mu. Ale przypomniawszy sobie jedną szalenie ważną kwestię, szybko wróciłem.

– Czy ktokolwiek rozmawiał z Jordanem? – zapytałem

– Ja powiedziałem mu, że jest wszą.

– Ale nie było żadnej dłuższej rozmowy? Nikt mu nie doniósł najświeższych plotek?

– O ile wiem, nie.

– To dobrze.

Zdałem sobie sprawę, że łatwiej będzie mi go przesłuchać, jeśli pozostanie nieświadomy ostatnich wydarzeń w Świątym Oficjum. Wiedziałem też, że mniej byłoby ryzykowne, gdybym przeprowadził to przesłuchanie w dolnym donżonie. Poszedłem więc do skryptorium, powiedziałem Durandowi o zmianie planów i przeszukałem biurko brata Lucjusza, chcąc odnaleźć list z Katalonii.

Został napisany przez biskupa Leridy, który wraz z miejscowym bajlifem aresztował Jordana Sicre i skonfiskował jego własność. Powiadomiono mnie, że więzień używał fałszywego nazwiska, oskarżył kilku swych sąsiadów o to, że są heretykami, a także wspominał o Doskonałym, uciekinierze z mojego własnego więzienia, ostatnio rezydującym w diecezji Lerida, który tymczasem, niestety, zbiegł.

Przez chwilę zastanowiłem się, gdzie może być teraz „S”. Gdziekolwiek był, życzyłem mu wszystkiego dobrego.

– Ojciec?

Podniosłem wzrok. Durand wciąż ślęczał nad swoim biurkiem, pióra i pergamin leżały przed nim schludnie. Podrapał się po swojej niezbyt wydatnej szczęce, a ja czekałem.

– Ojciec, muszę wam coś powiedzieć. Brat Lucjusz zaczął pracować bardzo niechlujnie.

– Pracować niechlujnie?

– Spójrzcie – zwracając moją uwagę na przygotowane do wpięcia arkusze spiętrzone na podłodze. Durand wskazał nierówność tekstu, a także zawarte w nim pomyłki. – Widzicie: *hoc* zamiast *haec*, jakby ich nie rozróżniał.

– Tak, widzę – widziałem i byłem zdumiony. – Ależ on zawsze pracował znakomicie!

– Już tak nie jest.

– Już nie. To bezsprzeczne. – Strapiony, zwróciłem pokazany dokument memu towarzyszowi. – To bardzo niepokojące. Powinienem być zauważyć to wcześniej.

– Byliście zajęci innymi kwestiami – odpowiedział Durand (nieco wielkodusznie, jak myślę). – Jedynie kiedy się z nim pracuje, widać to wyraźnie.

– Mimo to... – zastanawiałem się przez chwilę. – Zauważyłeś może, z czego wynika ta zmiana?

– Nie.

– A może jego matka... wiesz coś, że jego matka zachorowała albo...

– Być może.

– A powiadomiliście ojca Piotra Juliana o tym problemie?

Durand się zawahał.

– Nie, ojciec – powiedział w końcu. – Brat Lucjusz to dobry kolega. A ojciec Piotr Julian jest taki... cóż...

– Nietaktowny – dopowiedziałem. – Niewrażliwy.

– Mógłby ujawnić, że ja byłem pomocny...

– W istocie – rozumiałem doskonale. – Nie obawiaj przyjacielu. Poradzę sobie z tym sam, a twoje imię nie stanie wspomniane.

– Dziękuję, ojczcie – powiedział cicho Durand.

W tym właśnie momencie powrócił Lucjusz z Szymonem i Berengarem, przerywając naszą rozmowę.

Nadszedł czas przesłuchać Jordana Sicre.

Musicie pamiętać, że przy przesłuchiowaniu świadka albo podejrzanego, bez względu na to, czy jest on osadzony, czy odpowiada z wolnej stopy, przestrzega się pewnych procedur. Po pierwsze, inkwizytor wzywa go spokojnie i zaprzysięga na Święte Ewangelie, że będzie mówił całą prawdę i tylko prawdę na temat herezji i wszelkich rzeczy, które tego dotyczą albo w jakikolwiek sposób wiążą się z Inkwizycją. Ma to zrobić przez szacunek zarówno do siebie, jak i pryncypała, a także świadka, w wypadku innych osób, żyjących lub martwych.

Kiedy przysięga jest już złożona i zapisana, przesłuchiwanego poucza się, że powinien mówić prawdę. Jeśli jednak prosi o czas albo warunki do przemyśleń, aby dać staranniejszą wyważoną odpowiedź, można spełnić jego prośbę, o ile inkwizytor uzna to za wskazane – zwłaszcza jeśli przesłuchiwany zdaje się potrzebować tego w dobrej wierze, a nie z przebiegłości. W przeciwnym wypadku wymaga się od niego, żeby zeznawał natychmiast.

Otóż Jordan Sicre nie prosił o taką zwłokę – nie wiedząc, być może, że ma do tego prawo. Nie domagał się też dowodu zbrodni ani podania stawianych mu zarzutów. (Tak właśnie zachowywało się wielu niepiśmiennych pozwanych, dając mi tym samym wielką swobodę postępowania). Niemniej jednak sprawił na mnie wrażenie człowieka inteligentnego, albowiem był na tyle mądry, by zamknąć usta i nie wrywać się z niczym, dopóki nie padnie pytanie. Z kąta, w którym przykuto go do ściany nieopodal narzędzia tortur zwanego kozłem, patrzył w milczeniu, jak Durand, Szymon i Berengar zasiadają w miejscach dla nich przeznaczonych.

Był przysadzistym, mocno zbudowanym mężczyzną o ciemnej cerze, szerokich kościach policzkowych i bardzo małych oczach. Na jego czaszce kwitł wielki siniak. Rozpoznałem go natychmiast.

– Oczywiście! – powiedziałem. – Pamiętam cię. To ty mnie uratowałeś przed Jakubem Galaubim.

Bez odpowiedzi.

– Jestem bardzo wdzięczny za obronę mojej cnoty. Naprawdę bardzo wdzięczny. Ale obawiam się, że to nie ma znaczenia w obecnych okolicznościach. Jaka szkoda, że uległeś pokusie! Oczywiście, powiedziano mi, że nagroda była spora. Szykowna farma, trzy tuziny owiec, muł. Mam słuszność?

– Dwa tuziny – poprawił ochryłym głosem. – Ale...

– Ach. Dwa tuziny, ale nawet przy takim gospodarstwie potrzebna jest jakaś pomoc.

- Wynająłem człowieka. I służącą.
- Służącą! Bogacz z ciebie. Były tam jakieś zabudowania?
- Tak.
- Opisz je nam.

Uczył to. Kiedy go pytałem o urządzenie izb w domu, narzędzia i statki, które tam miał, pobliskie pastwisko i uprawy ogrodu warzywnego, stawał się bardziej rozmowny, w radości wspominania tracąc swoje sztywne, nieufne zachowanie. Widać było, że ta farma stanowiła szczyt jego ambicji, marzenie jego życia – jego jedyną słabość. Była pęknięciem w kamiennym pancerzu.

Pozwoliłem mu mówić, dopóki pęknięcie odrobinę się nie poszerzyło. Potem wsadziłem w nie czubek swego noża.

– Zapłaciłeś wiec, jak myślę, jakieś pięćdziesiąt liwrów za tę powabną posiadłość? – powiedziałem.

- Czterdzieści osiem.
- Wielka suma.
- Odziedziczyłem te pieniądze. Po wuju.
- Naprawdę? Ale Rajmund Donatus twierdzi, że to on ci je dał.

To kłamstwo miało zburzyć linie obronne Jordana i wyraźnie nim wstrząsnęło. Albowiem choć wyraz jego twarzy pozostał nijaki, mimowolny ruch oczu powiedział mi, że uderzyłem w czuły punkt.

– Rajmund Donatus nigdy jeszcze nie dał mi żadnych pieniędzy – powiedział.

Na słowo „jeszcze” uradowałem się. Było jasne, że nie wie nic o niedawnym zejściu Rajmunda.

– A więc nie dostawałeś żadnych pieniędzy za wpuszczanie jego kobiet do siedziby? – pytałem.

Znowu ruszył oczyma. Zamrugał kilka razy. Co widziałem – niepokój czy ulgę?

- To są wszystko kłamstwa – rzekł. – Nigdy nie wpuściłem do siedziby żadnej kobiety.
- Zostałeś wiec fałszywie oskarżony?

– Tak.

– Zeznanie Rajmunda potwierdza jeden z twoich towarzyszy. Jemu płacono za przyjmowanie kobiet Rajmunda i mówi, że tobie także.

- Kłamstwa.
- Dlaczego miałby kłamać?
- Ponieważ nie mogłem się bronić.
- Więc z łatwością przyszło mu cię winić, ponieważ byłeś nieobecny?
- Tak.

Nacisnąłem go w tej kwestii, jakby miała ona wielkie znaczenie. Trwałem przy niej, krążyłem wokół i sprawiałem wrażenie wzburzonego, że w budynku Świętego Oficjum doszło

do cudzołóstwa. Mówiłem o dowodach: o „obrzydliwych i nieczystych plamach”, o intymnej odzieży niewieściej, o pewnych ziołach, które chronią kobiety przed zajściem w ciążę. Czyniąc różne dwuznaczne uwagi, zdawałem się nawet sugerować, że Jordan kupił farmę za pieniądze, które otrzymał od Rajmunda za pomoc w uwodzeniu dziewczek służebnych.

Ale tymi środkami wprowadziłem go w zakłopotanie: po pierwsze dlatego, że mówienie o cielesnym zbliżeniu niechybnie wprawia w szal każdego mężczyznę w kwiecie wieku; po drugie dlatego że spodziewał się on być oskarżenia o morderstwo, a zamiast tego kazano mu bronić się przed mniejszymi oskarżeniami. Zaprzeczywszy współudziałowi od samego początku, musiał stać na tym stanowisku, męcząc się nad mniejszym naruszeniem, podczas gdy powinien był oszczędzać siły. Aby nie było wątpliwości: kłamanie to wyczerpujące zajęcie. Człowiek musi być cały czas czujny i mocny, jeśli ma kłamać przekonująco raz za razem. Kiedy przesłuchanie się przedłuża, coraz trudniej się skoncentrować, a co za tym idzie – coraz większego wysiłku wymaga powtarzanie nienagannie ułożonych kłamstw.

Pod naciskiem moich irytujących rozważań Jordan popełnił swój pierwszy błąd. Niektórzy księża, bolejąc nad wieloma szatańskimi i zwyrodniałymi odmianami cudzołóstwa, zdają się czerpać lubieżną rozkosz z opisów tych aktów, z wyliczania i potępiania ich. Udając takiego księdza, rozwodziłem się nad korzyściami, których Jordan mógł doświadczać od kobiet sprowadzanych przez Rajmunda Donatusa. Narzuciłem mu doskonale obsceniczne przesłuchanie, wypełnione opowieściami o sprośnych aktach, z którymi – zapewniam was – spotkałem się kiedyś, z wielkim wstrząsem, w irlandzkim więzieniu.

Zapytałem, na przykład, czy Jordan używał jakichś przedmiotów, kiedy cudzołożył z kobietami Rajmunda. Zapytałem, czy wytryskiwał swoje nasienie w jakieś inne miejsce niż łono. Chciałem wiedzieć, czy wymagał od kobiet, by obdarzały go jakimiś wyuzdanymi pieszczotami, jadły, ssały albo wydzielały cokolwiek, by mówiły święte słowa albo słowa plugawe, kiedy były zajęte tymi nieprawościami...

Och, ale lepiej to pominąć. Wystarczy powiedzieć, Jordan bronił się mozolnie i z rosnącym niepokojem, kiedy ja zatruwałem powietrze lubieżnymi uwagami. (Biedni Szymon i Berengar byli czerwoni jak sok winnych gron, i nawet Durand wyglądał na zmieszanego). W końcu, kiedy fałszywie zapewnilem, że rozmawiałem z jedną ze wspomnianych kobiet, która zarzuciła Jordanowi sodomie, obiekt tego bezpodstawnego oskarżenia stracił panowanie nad sobą.

– To nieprawda! – krzyknął. – Nigdy tego nie zrobiłem! Nigdy nie robiłem żadnej z tych rzeczy!

– Tylko kopulacje zgodną z prawami natury?

– Tak!

– Bez plugawienia krzesła inkwizytora ani obscenicznego użycia piór Świętego Oficjum i jego pergaminu...

– Nie!

– Tylko zwykłe cudzołożenie na podłodze pokoju ojca Augustyna.

– Tak – rzucił, po czym zamilkł, kiedy zdał sobie sprawę, do czego właśnie się przyznał. – Chciałem powiedzieć...

– Nie próbuj zaprzeczać temu, co właśnie potwierdziłeś – przerwałem. – Twój wstyd jest zrozumiały, ale kłamanie pod przysięgą to większy grzech niż cudzołożenie. Jeśli jesteś naprawdę skruszony, Bóg ci wybaczy. A Święte Oficjum wybaczy ci również. A zatem wprowadzałeś czy nie za opłatą nierządne kobiety do siedziby Świętego Oficjum?

Jordan westchnął. Nie miał już siły trwać przy kwestii takiej znikomej ważności. Poza tym dałem mu niewielki skrawek nadziei.

– Tak – przyznał.

– I użyłeś tych opłat do kupienia farmy w Katalonii?

– Tak.

– Czy to było przed czy po twoim zniknięciu?

Myślał przez chwile. Najwyraźniej przyszło mu do głowy, że daty zakupu mogą być sprawdzone.

– Potem – powiedział w końcu.

– Miałeś więc przy sobie czterdzieści osiem liwrów, kiedy pojechałeś do Casseras z ojcem Augustynem?

– Tak.

– Dlaczego?

– Ponieważ zawsze je ze sobą woziłem. Inaczej ktoś mógłby je ukraść.

– Rozumiem. – Chociaż uznałem to wyjaśnienie za niedorzeczne, w moim głosie ani na mojej twarzy nie pojawił się nawet ślad niedowierzania. – Powiedz mi, co się wydarzyło owego dnia? – ciągnąłem. – Dnia śmierci ojca Augustyna.

Jak długo oczekiwał tego pytania? Niemal z ulgą przeszedł do swojej relacji, mówiąc szybko i głosem jednostajnym.

– Czułem się źle – powiedział. – Może zjadłem coś w forcji, chciało mi się wymiotować. Zostałem więc w tyle i powiedziałem innym, że dogonię ich w Casseras.

– Zaczekaj! – podniosłem rękę. – Od początku, proszę. Kiedy polecono ci dołączyć do eskorty ojca Augustyna?

Raz jeszcze moim celem było znużenie go – i uspokojenie. Słuchałem mile jego opowiadania, nie zgłaszając żadnych gwałtownych sprzeciwów, a jedynie wydając zachęcające odgłosy. Od czasu do czasu prosiłem, by podał więcej szczegółów albo powtórzył coś z uwzględnieniem chronologii wydarzeń, a on czynił to bez trudu, niedbale, póki nie doszliśmy do momentu, w którym „pozostał z tyłu”. Wtedy opowieść stała się nieco bardziej wypracowana, chociaż w sposób, który niewielu ludzi bez trudu by dostrzegło. Widzicie, kiedy historia nie jest prawdziwa, lecz zmyślona, trudniej narratorowi wyodrębnić poszczególne jej części. Ponieważ nie doświadczył tego, o czym mówi, nie może posiłkować

się swoją pamięcią. Dlatego też jeśli jego opowiadanie jest przerywane, snuje je od początku, aby zachować logiczne następstwo wypadków. Osoba mówiąca prawdę nie musi przejmować się logiczną spójnością. Opowiada po prostu to, co pamięta, nie kłopotząc się sprzecznością

Zgodnie z relacją więźnia, zachorował on i musiał zsiąść z konia tuż po opuszczeniu formacji w drodze powrotnej Casseras. Potem, odpocząwszy chwile, ruszył dalej. (Wtedy zapytałem, w którym miejscu Jordan wypróżnił się z poprzedniego posiłku, a on wyjaśnił, że starał się wymiotować na skrawek poszycia, gdzie wymiociny miały szansę zniknąć niezauważone. Inteligentny mężczyzna był z tego Jordana.)

Niebawem usłyszał słaby krzyk i różne inne przerażające odgłosy, które powiedziały mu, że grupa ojca Augustyna została zaatakowana gdzieś na drodze przed nim. Kiedy jednak podjechał, odgłosy ucichły, sugerując, że walka dobiegła końca. Ale kto zwyciężył? Niespokojny, Jordan ukrył swego konia i schowany za skałą czekał na świt.

- Nie chciałeś sam wejść w zasadzkę? – zapytałem życzliwie.
- Nie chciałem.
- Wiedząc, że jeśli pozostałych zabito, ty sam nie masz szans?
- Tak właśnie.
- I co się stało później?

Potem klacz ojca Augustyna przegalopowała obok niego z pustym siodłem. Gonił ją dosiadający konia Mauranda mężczyzna, który dopadł uciekiniarki i sprowadził ją z powrotem z góry.

Ten widok uświadomił Jordanowi, że jego kompani zostali pokonani i najpewniej zabici. Odczekał więc chwilę, nim zliżył się do miejsca masakry, ukradkiem, pieszo. Znalazłszy się w niewielkiej odległości od ścieżki, zobaczył ucieczkę dwóch mężczyzn, którzy zjeżdżali z góry na skradzionych koniach.

Naturalnie zażądałem pełnego opisu tych dwóch mężczyzn. Jordan odpowiedział, że jeden miał zieloną, a drugi czerwoną czapkę, ale minęli go tak szybko, że nie widział nic więcej.

– Nie było w nich nic niezwykłego? – zapytałem. – Nic, co zrobiło na tobie szczególne wrażenie?

- Nie.
- Nic zupełnie, co zwróciło twoją uwagę? Nawet w tym ulotnym momencie?
- Nie.
- A więc faktu, że cali byli pokryci krwią, nie uznałeś za szczególnie intrygujący?

Niemądre stworzenie! Zawahał się, a ja pomyślałem sobie: „Ten człowiek kłamie”. Gdyby bowiem naprawdę widział zabójców, przede wszystkim zauważyłby posokę. „Byli ubrani na zielono”, rzeczywiście!

Powstrzymałem się jednak od komentarza i zachowałem współczującą minę.

– Myślałem, że macie na myśli ich wzrost albo... albo kolor ich włosów – wyjął po krótkiej przerwie. – Oczywiście byli pokryci krwią.

– Oczywiście. A potem co zrobiłeś?

– Poszedłem dalej, aż dotarłem do polanki. Tam gdzie leżały ciała. To był straszny widok.

– Niemniej jednak Jordan opowiadał o nim głosem spokojnym. – Wszyscy rozerwani na kawałki. Rozglądałem się, ale zobaczyłem, że nikt nie przeżył, więc pojechałem dalej.

– Wymiotowałeś?

– Nie.

– Twój żołądek ozdrowiał w tym momencie? Muszę powiedzieć, że taki widok wyróciłby mój żołądek do góry nogami.

Nastąpiła długa chwila ciszy. Po namyśle Jordan zauważył:

– Wy nie jesteście żołnierzem. Żołnierze muszą być silni.

– Rozumiem. No cóż, mów dalej. Co było potem?

Potem Jordan spędził jakiś czas na myśleniu. Przyszło mu do głowy, że jako jedyna ocalała osoba będzie na pewno podejrzewany o udział w tej straszliwej zbrodni. Święte Oficjum zechce znaleźć jakiegoś winowajcę. Może najlepiej by było, gdyby zniknął, gdyby uciekł w góry i kupił farmę. W końcu miał przy sobie pieniądze.

– No i tak zrobiłem – zakończył.

– I tak zrobiłeś. Ale to było akurat głupotą. Jeśli jesteś niewinny, nie musisz się bać Świętego Oficjum.

Jedyną odpowiedzią było zachniecie.

– Na mój honor, my nie oskarżamy bez przyczyny – upierałem się. – Durandzie, zechcecie odczytać zapis zeznania tego człowieka? Musimy mieć pewność, że jest właściwy.

Jeśli Durand był zdumiony (jako że zwyczaj kazał czekać dzień i wtedy odczytać więźniowi zapis, zanim dojdzie do potwierdzenia), to nie pozwolił sobie na okazanie zdumienia. Jego głos był niemal pozbawiony wyrazu, a w efekcie odczytanie zeznania wypadło nużąco. Jordan najwyraźniej też tak to odebrał, albowiem ziewnął kilka razy i przetarł dłońmi zmęczoną twarz. Kiedy na koniec czytania zapytałem go, czy chciałby zgłosić jakieś poprawki, pokręcił głową.

– Zupełnie żadnych?

– Nie.

– Nic ci nie umknęło?

– Nie, ojcze.

– Na przykład to, że Rajmund Donatus zapłacił ci za zabicie orszaku ojca Augustyna i posiekanie ciał na kawałki, tak aby twoja nieobecność pozostała niezauważona?

Jordan przetknął ślinę.

– Nie zrobiłem tego – westchnął.

– Mój przyjacielu, ja nie przypuszczam, że to zrobisz, ja wiem, że tak było. Mam tu zeznanie Rajmunda, leży przede mną. – Kłamałem, oczywiście; dokumenty leżące przede mną zawierały notki poczynione w trakcie rozmów z mieszkańcami Casseras. Ale często bywa tak, że słowo pisane wzbudza strach w sercach niepiśmiennych ludzi, podczas gdy słowo mówione nie. – Zechcesz je przeczytać? – zapytałem, doskonale wiedząc, że Jordan nie umie czytać. Wwiercał się wzrokiem w dokumenty, jakby był wężem chcącym je pożreć. – Zdajesz sobie sprawę, że Rajmund planował cię otruć, kiedy tu wrócisz? To właśnie ten zamiar przekonał mnie o jego winie. Dziwi mnie, że nie zabił cię w Katalonii.

– Rajmund... – przerwał, i odchrząknął. Na jego czole widniały krople potu. – Rajmund kłamie – powiedział.

– Jordanie, posłuchaj mnie. – Przybrałem ton przekonujący. – Mam wystarczająco dużo dowodów, by spalić cię żywcem, bez względu na to, czy przyznasz się do winy, czy też nie. Na pewno zdajesz sobie z tego sprawę. A odmowa przyznania się do winy to wszystko, na co masz szansę. Najgorsze jest to, że wpadniesz w ręce mojego zwierzchnika Piotra Juliana. Widzisz, kiedy zabiłeś ojca Augustyna, wyrządziłeś nam wszystkim ogromną szkodę, ponieważ na jego miejsce przybył ojciec Piotr Julian. A on jest gwałtownym mężczyzną. Powinieneś być widzieć, co zrobił z Janem Piotrem, by zmusić go do wyznania, że zastąpił ciebie w usługiwaniu Rajmundowi. Jeśli chcesz, każę tu przyprowadzić Jana Piotra. Trzeba go nosić, bo nie może chodzić. Ma spaloną stopę.

Jordan wyraźnie drgnął.

– No cóż, może nie zdajesz sobie z tego sprawy – ciągnąłem – ale dla prawdziwej skruchy zawsze jest miłosierdzie. Słyszałeś o świętym Piotrze Męczenniku? Był dominikańskim inkwizytorem tak jak ja, a zamordowała go banda zabójców, dokładnie tak jak ojca Augustyna. Jednym z zabójców był Piotr Balsamo, którego złapano niemal na miejscu zbrodni, a który później uciekł z więzienia. Został jednak znowu pojmany, wyraził skruchę, wybaczone mu i pozwolono wstąpić do zakonu dominikanów. Wiedziałaś o tym?

Jordan pokręcił głową, zmarszczony.

– To prawda? – zapytał.

– Oczywiście, że to prawda! Mogę ci pokazać mnóstwo ksiąg, które opowiadają tę historię. Zapytaj brata Szymona. Zapytaj brata Berengara. Oni powiedzą ci to samo.

Moi bezstronni wskazali, że tak by rzeczywiście powiedzieli, potwierdzając prawdziwość moich słów.

– Oczywiście – mówiłem dalej – nie ma powodu myśleć, że ty zostaniesz przyjęty do zakonu dominikanów. Ale jeśli nie wyznasz swoich grzechów i nie wyrzekniesz się czeka cię tylko jedna droga. Rozumiesz?

Ku mojemu rozczarowaniu Jordan nie odpowiedział. Siedział, wpatrując się w swoje kolana, jakby one i tylko one mogły dostarczyć mu odpowiedź na jego problemy

– Jordanie – powiedziałem, próbując innej taktyki – czy kiedykolwiek byłeś przyjęty do sekty heretyckiej?

– Ja? – poderwał głowę. – Nie!

– Nigdy nie uznawałeś za prawdziwą innej wiary niż ta, którą Kościół Rzymski podaje do wierzenia?

– Ja nie jestem heretykiem!

– Więc dlaczego zabiłeś ojca Augustyna?

– Nie zabiłem ojca Augustyna!

– Może nie – przyznałem – może ty sam nie zadałeś ciosu. Ale ponad wszelką wątpliwość stałeś obok, kiedy on był zarzynany jak świnia. A więc dlaczego tak się stało? Czy zrobiłeś to tylko dla zysku? Czy też dlatego, że jesteś wyznawcą herezji? – Sprawdzając moje notatki z raportu złożonego przez „S”, odczytałem na głos listę zapisanych tam nazwisk. – Wszyscy ci ludzie są heretykami – powiedziałem. – Widziano cię, jak utrzymujesz z nimi kontakty w Katalonii. A jednak nie powiadomiłeś Świętego Oficjum.

Oczy Jordana się zwężyły, jego oddech przyspieszył. Możliwe, że miał nadzieję wykupić swoje życie tymi właśnie nazwiskami – a teraz odkrył, że ja już je znam!

– Doskonały! – powiedział gwałtownie (najwyraźniej mając na myśli „S”). – Ty się z nim widziałeś!

– Dlaczego nie powiadomiłeś Świętego Oficjum? – powtórzyłem, ignorując jego okrzyk.

– Ponieważ się ukrywałem! – szczeptał. – Jak mogłem powiedzieć choćby słowo? A jeśli ten Doskonały nazywa mnie heretykiem, kłamie, żeby ocalić swoją skórę. Wyjawiał wam, gdzie mnie znalazł? Powinienem być...

Nagle przerwał.

– Co? – zapytałem. – Co powinieneś był zrobić? Zabić jego także?

Jordan trwał w milczeniu.

– Mój przyjacielu, gdybyś był dobrym katolikiem, wyznałbyś swoje grzechy i wyraził skruchę – powiedziałem mu. – Myślę, że jesteś bezbożny. A jako bezbożny morderca, będziesz cierpieć karę daleko cięższą niż zasądziłby ci jakikolwiek trybunał Świętego Oficjum. Będziesz wrzucony do jeziora ognia na całą wieczność, jeśli nie odpokutujesz. Namyśl się teraz dobrze. Może Rajmund cię okłamał. Może powiedział ci, że ojciec Augustyn odwiedza heretyczki w heretyckich celach, i dlatego zasługuje na unicestwienie, jeśli mówił coś takiego, twoja zbrodnia może być zrozumiała i łatwo wybaczona.

W końcu moje słowa wywołały zauważalny efekt. Wyczułem, że Jordan je rozważa, sprawdza.

– Czy Rajmund powiedział ci, że ojciec Augustyn jest wrogiem Boga? – zapytałem cicho. – Jordanie? Co on ci powiedział?

Jordan podniósł wzrok, wziął głęboki oddech i oznajmił, unikając patrzenia mi w oczy:

– Powiedział mi, że wy chcecie, żeby ojciec Augustyn został zamordowany.

– Ja? – Zdumiony zrobiłem coś, czego nie powinien zrobić żaden inkwizytor: pozwoliłem, żeby więzień zauważył moje zmieszanie.

– Powiedział mi, że nienawidzicie ojca Augustyna. Obiecał, że zorganizujecie to tak, żeby nigdy mnie nie obwiniono. – Zwracając się do Duranda, nikczemny oprawca wyznał: – To ojciec Bernard jest zabójcą, nie ja!

W tym momencie odzyskałem równowagę i roześmiałem się głośno.

– Jordanie, jesteś głupcem! – powiedziałem. – Gdybym to ja zorganizował to morderstwo, myślisz, że pozwoliłbym ci tu wrócić? Myślisz, że siedziałbyś przede mną, żywy i zdrowy, oskarżając mnie w obecności świadków? No dalej, powiedz mi, co się stało? Właśnie przyznałeś się, że jesteś w to wplątany.

Mówiłem już, że Jordan był rozgarnięty. Tylko człowiek odznaczający się pewną inteligencją usiłowałby mnie zaatakować, mając nadzieję, jak sądzę, zdobyć jakąś przewagę. Ale jemu nie było dane wystarczająco przemyśleć ofensywy, i wpadł w pułapkę, którą sam zastawił.

Siedział w milczeniu, zastanawiając się niewątpliwie, jak trafił w tę przepaść. Ale ja wiedziałem, że lepiej nie dać mu czasu do namysłu.

– Nie masz wyboru. Mamy twoje wyznanie. Kto jeszcze był w to wplątany? Powiedz mi i wyraż skruchę, to unikniesz śmierci. Jeśli będziesz milczał, zostaniesz uznany za nieugiętego heretyka. Co masz do stracenia, Jordanie? Może trochę wina wspomůže twoją pamięć?

Często odkrywałem, że wino na pusty żołądek rozwiązuje język. Ale jeszcze kiedy dawałem bratu Berengarowi znak, żeby przyniósł nieco wina, nalanego specjalnie w tym celu, Jordan zaczął mówić.

Przyznał, że Rajmund Donatus często grzeszył z kobietami w Świętym Oficjum, na jego oczach. Powiedział, że pewnego dnia notariusz złożył mu pewną propozycję: za pięćdziesiąt liwrów Jordan miał zabić ojca Augustyna. Należało to zrobić nie na terenie Świętego Oficjum, gdzie podejrzewano by każdego bywającego w budynku, ale w górach, które, jak wiadomo, są nawiedzane przez heretyków. Jak mówił Rajmund, to ważne, żeby wina spadła na heretyków.

Plan był dobry, ale wymagał udziału innych ludzi wprawnych w walce. Każdy miał dostać trzydzieści liwrów za zabójstwo.

– Pracowałem już w wielu miastach garnizonowych – ujawnił Jordan. – Znałem najemników, którzy robili wcześniej takie rzeczy. Kiedy więc zostałem wysłany do tych miast, wioząc wiadomości ze Świętego Oficjum, rozmawiałem z czterema mężczyznami, którzy chętni byli zarobić trzydzieści liwrów.

– Zechciej podać mi ich nazwiska – powiedziałem, a Jordan spełnił moje życzenie.

Zdał relację z poczynań czterech mężczyzn: jak przyjechali do Lazet, jak dostarczono im połowę zapłaty razem z dziennym żołem i jak czekali, aż ojciec Augustyn wyjedzie do Casseras.

– Mnie powiedziano dzień wcześniej – ciągnął Jordan – przekazałem wiadomość pozostałym. Oni wyjechali przed zamknięciem bram i nocowali w Crieux.

– Nie mieli koni.

– Nie. Musieli iść do Casseras. Ale przybyli na czas. A ja znałem trakt do forcji, mogłem im więc powiedzieć, gdzie mają czekać.

Kiedy burkliwie i bez skruchy opisał fortel, dzięki któremu zmusili orszak do zatrzymania się na wyznaczonej polanie, poczułem, jak w moim sercu rośnie zimny gniew. Udawał zawroty głowy i nudności, wszystko aż do upadku z konia. Wtedy dołączyło do niego trzech bandytów. Jordan, aby uniknąć podejrzania, został pchnięty nożem w brzuch, a potem z poszycia strzelał z łuku.

To było niezwykle ważne, że dwaj konni familiarzy przyjęli impet ataku. Zanim ojciec Augustyn otrząsnął się z oszołomienia, ucieczka okazała się już niemożliwa. Strażnicy zostali usieczeni, a uзда jego konia pochwycona.

Był świadkiem śmierci wszystkich swoich towarzyszy, zanim sam został zamordowany. Musiałem odwrócić wzrok, kiedy Jordan zauważył, że mojego zwierzchnika zabito jednym ciosem, jakby to było jakimś aktem miłosierdzia. Skupiałem wszystkie swoje siły na zachowaniu spokoju, kiedy chciałem chwycić stołek i roztrzaskać nim czaszkę Jordana. Zasługiwał na odarcie żywcem ze skóry. Nie można go nazwać człowiekiem, jego dusza była bowiem martwa. A jego serce było szerniałe od grzechu.

– Rozebraliśmy ciała, zanim je pocięliśmy – opowiadał. – Polecono nam tak zrobić. A także zabrać ze sobą głowy. Głowy i jakieś inne części, żeby ukryć fakt, że mnie nie ma. Potem każdy z nas udał się w innym kierunku. Widzicie, dostaliśmy tylko połowę pieniędzy. Musiałem iść do Bergi i zaczekać tam, aż Rajmund dowie się, ojciec Augustyn nie żyje. Kiedy tak się stało, przesłał drugą połowę mojej zapłaty do notariusza w Berdze, a ten mi ją wypłacił.

– Nazwisko tego notariusza? – zapytałem.

– Bertrand z Gaillac. Ale on o niczym nie wie. To przyjaciel Rajmunda.

– A co z krwią? Z krwią na waszych ubraniach?

– Wszyscy zabraliśmy ze sobą zapasowe odzienie. Mieliśmy się umyć i przebrać, kiedy tylko znajdziemy się daleko od Casseras, nad jakąś wodą albo w kryjówce. Potem trzeba było pozbyć się koni. – Po krótkiej przerwie więzień dodał: – Ja zabiłem swojego. Tak było bezpiecznie. Gdzieś tam w górach kruki i wilki miały go dopaść.

Taka więc była treść wyznania Jordana Sicre. Krwawa opowieść, bez śladu żalu za grzechy. Na koniec Durand odczytał ją na głos, a moi bezstronni poświadczyli, że zapis jest zgodny i kompletny. Jordanowi także dano ten przywilej. Jako że dostałem wszystko, czego potrzebowałem od tego człowieka, nie marnowałem już miłych słów, żeby go uspokoić. Nie zasługiwał na takie grzeczne traktowanie.

– Co się teraz stanie? – zapytał mnie, kiedy ruszyłem do wyjścia.

– Teraz będziesz czekał na osądzenie – odparłem. – Chyba że masz coś jeszcze do dodania.

– Tylko tyle, że mi przykro. – Brzmiało to bardziej wyraz niepokoju, a nie żalu. – Zapisaliście to?

– Poczyniłem notkę o twojej skrusze – brzmiała moja odpowiedź.

Czułem się bardzo, bardzo zmęczony. Chociaż mogłem sobie pogratulować dobrze wykonanego dzieła – albowiem był to, bądź co bądź, mówiłem sobie, kawałek naprawdę dobrej roboty – czułem niewielką potrzebę radości. Zdołałem jedynie wspiąć się po schodach do klapy w podłodze. Durand musiał pomóc mi przedostać się przez nią. W więzieniu panowała ciemność, choć lampy się paliły. Nie miałem pojęcia, jak jest późno.

– Potrzebujecie familiarów, żeby odprowadzili was do domu? – zapytałem bezstronnych, którzy zapewnili mnie, że chcą jedynie lampę albo pochodnię.

Dostarczywszy im jedną z tych rzeczy, pożegnałem ich i odwróciłem się do Duranda. Staliśmy przy moim biurku przez jakiś czas, w świetle jednej lampy; dokoła nas majaczyły gęste, zimne i trochę groźne cienie. Było bardzo cicho.

– Chcę, żebyś strzegł tego protokołu – poleciłem. – Nie spuszczaaj go z oczu, póki nie zostanie zrobiona kopia.

– Może ja zrobię kopię?

– Tak chyba będzie najlepiej.

– Jakies poprawki?

– Możesz opuścić farmę, oczywiście. Możesz też pominąć większość podróży do Casseras.

– Skrucha?

Nasze spojrzenia się spotkały, w jego oczach (a miały bardzo miły kolor – złoto-zielony, jak skąpana słońcem polana) zobaczyłem tę samą okrutną odrazę, która wciąż czaiła się w moim sercu. To mnie nieco pocieszyło. Sprawilo ulgę.

– Zostawiam to pod twoją rozważę, Durand. Zawsze mówisz, że wyrzucam za dużo materiału usprawiedliwiającego.

W tym momencie obaj na chwilę zamilkliśmy, może by rozmyślać nad potwornością czynów, o których usłyszeliśmy. Stopniowo napięcie opadało. Odrętwiały ze zmęczenia, stwierdziłem, że nie mam już nic do powiedzenia.

– Jesteście wielkim człowiekiem – zauważył nagle Durand. Nie patrzył na mnie, lecz w podłogę. – Wielkim człowiekiem na swój własny sposób. – Potem, po kolejnej krótszej chwili milczenia, dodał: – Ale nie powiedziałbym, że na sposób przykazany przez Boga.

– Nie – Każde słowo wypowiadałem kosztem nadludzkiego wysiłku.

Na tym zakończyliśmy rozmowę. Durand opuścił budynek z głową pochyloną, przyciskając do piersi zeznanie Jordana. Ja wszedłem z powrotem do więzienia, żeby pożegnać się z Joanną. Chociaż było bardzo późno, nie mogłem wrócić do klasztoru, nie

życząc jej dobrej nocy, choćby tylko dlatego, że jej to obiecałem. Nie dotrzymać takiej obietnicy było nie do pomyślenia, chociaż dotyczyła zwyczajnego pozdrowienia. Dla kochanka nawet najmniejsze złamanie przysiężenia jest strasliwym występkiem.

Wiecie, że to jak oddać się w niewolę ukochanej osobie. I ja uległem takiej niewoli i nie mogłem uciec daleko od swojej ukochanej. Prawdę mówiąc, przez cały dzień, kiedy podtrzymywałem Witalię, uspokajałem Babilonię i przesłuchiwałem Jordana, myślami krążyłem wokół nocnego występku. Nieskromne wizje nieustannie nawiedzały mój umysł, wywołując wielkie fale gorąca, które obejmowały całe moje ciało i barwiły policzki. A jednak kiedy odrzucałem te wspomnienia, okazywały się nieodparte, wracałem do nich wciąż i wciąż, chociaż przepętniały mnie wstydem – zupełnie jak pies powracający do swoich wymiocin. Jakże słusznie mówi Owidiusz, że „dążymy do tego, co zakazane, i zawsze chcemy tego, czego nam się odmawia!”.

Złamałem ślub czystości. W następstwie pokuszenia ciała raczej niż wiekuistego dziedzictwa, które niebieski Król swoją własną krwią oddał wszystkim ludziom, wpadłem w ogień Gehenny. Czyż Piotr Lombard nie wskazał, że „inne grzechy plamią tylko duszę [...], cudzołóstwo plami nie tylko duszę, lecz i ciało”? „Oto bowiem w nieprawościach jestem poczęty, a w grzechach poczęła mię matka moja”. Co więcej, znalazłem się w niewoli kobiety, a powszechnie wiadomo, że kobiety są źródłem fałszu, próżności, chciwości i lubieżności. Samson został zdradzony przez kobietę. Salomon nie był w stanie znaleźć ani jednej dobrej kobiety. Rodzaj ludzki jest przeklęty przez grzech kobiety. Wszystko to zrozumiała moja głowa, ale serce było nieprzekonane.

Stało się więc tak, że poszedłem do izby strażników, sam i niewzywany. Ponieważ nie była to cela, drzwi nie miały klapy. Musiałem zadowolić się delikatnym pukaniem i wyszeptanym pozdrowieniem, nie mogłem spojrzeć na twarz mojej ukochanej.

To ona oddała moje pozdrowienie, głosem stłumionym przez grubość drewna między nami.

– Reszta śpi – powiedziała cichutko.

– Ty też powinnaś.

– Ale czekałam na ciebie.

– Wybacz mi. Powinienem przyjść wcześniej. Musiałem uczestniczyć w pewnych wydarzeniach.

– Och, mój drogi, to nie był wyrzut.

Ta czuła serdeczność sprawiła, że mój puls przyśpieszył, przycisnąłem czoło do drzwi, jakbym usiłował przez przeniknąć. Jednocześnie wypełniła mnie rozpacz, albowiem materialna bariera pomiędzy nami zdawała się reprezentować te wszystkie inne, trudniejsze do przewyciężenia zawady naszej miłości. Nawet Heloiza i Piotr Abelard mieli większe względy w swoim związku – niemniej jednak Pan doświadczył ich doprawdy srodze. Przyszłość nie dawała nadziei, o ile mogłem osądzić. W najlepszym wypadku mogliśmy

oczekiwać, że Joanna dostanie mniejszą karę, zostanie uwolniona wraz z córką i będzie mogła uciec z zasięgu Piotra Juliana. Ale taka ucieczka, oczywiście, wiązała się także z opuszczeniem mnie.

Mówiłem sobie, że to byłoby właściwe. Miłość to pewne szaleństwo – choroba, która przeminie. „Czas miłowania i czas nienawiści”. Jaką korzyść przyniosłoby mi porzucenie pracy całego życia dla kobiety którą ledwie znam? Miłość będąca równie wielkim udręczeniem, co radością?

– To nie może się znowu zdarzyć – wyszeptałem. – Joanno, nie możemy pozwolić, żeby to się znowu zdarzyło.

– Mój miły, jaka jest tu na to szansa? – odpowiedział smutno. – To był mój ostatni smak miłości.

– Nie. Pozostaniecie tutaj tylko na krótki czas, obiecuję.

– Bernardzie, nie narażaj się.

– Ja? Ja nie ryzykuję.

– Ryzykujesz. Żona nadzorcy tak mówiła.

– Żona nadzorcy?! – niemal się roześmiałem. – Niezbyt poważany autorytet.

– Bernardzie, bądź ostrożny. – Ton jej głosu był natarczywy. – Nadto nas faworyzujesz. Ludzie się domyślą. Och, mój miły, to nie dla mojego bezpieczeństwa, tylko dla twojego.

Jej głos się załamał, a ja sam byłem rozdarty pomiędzy płaczem a śmiechem – zdumionym, przerażonym śmiechem.

– Jak to może być? – powiedziałem. – Jak to się mogło stać? Ledwie cię znam. Ty ledwie znasz mnie.

– Znam cię tak dobrze jak własną duszę.

– Och, Boże. – Chciałem precyzyjnie głowę przez drzwi. Chciałem wyzionąć ducha w jej ramionach. O Panie, pomyślałem, wszelkie me pragnienie i moje wzdychanie nie jest przed Tobą ukryte. Serce się we mnie trzepoce: moc mnie opuściła...

– Bernardzie? – odezwała się Joanna. – Bernardzie, wysłuchaj mnie. To moja sprawa. Kiedy Augustyn wspominał o tobie, o tym, co mówisz i jak się śmiejesz, pomyślałam sobie: „To jest człowiek, którego chcę poznać”. Potem, kiedy się pojawiłeś i uśmiechnąłeś się do mnie, byłeś taki wysoki i piękny, a twoje oczy jaśniały jak gwiazdy. Jakże mogłam się oprzeć? Ale powinnam była. Na litość boską, powinnam była się oprzeć. Uczyniłam bardzo źle.

– Nie.

– Tak! To było takie okrutne! Pomógłbyś nam bez tego. Pozostałbyś silny, czysty i szczęśliwy, ale teraz wszystko zniszczyłam. A zrobiłam to, bo chciałam cię mieć, zanim będzie za późno. Czuje do siebie wstręt. Nie jestem cię warta. Uczyniłam cię nieszczęsnym i nieczystym.

– To absurd. Schlebiasz sobie. Myślisz, że ja nie mam własnej woli? Naprawdę wierzysz, że jestem bez winy? – Uspokoilem ją, a także ukarałem (myślała bowiem, że pod każdym

względem byłem jak wiedziona owca), ujawniłem mój romans z inną wdową, z czasów gdy byłem ordynariuszem proboszcza. – Już wcześniej zbłądziłem z drogi. Byłem nieposłuszny i nieskromny. Taką mam naturę. – Potem, kiedy Joanna trwała w milczeniu, zacząłem się obawiać, że głęboko ją uraziłem. – Ale ta wdowa była niczym – pośpieszyłem. – To próżność i duma zawiodły mnie do jej łoża. Tym razem to coś innego.

– Dla mnie także.

– W pewien sposób – powiedziałem rozpaczliwie – w pewien sposób jestem pewien, że to Bóg nas połączył. Z jakiegoś powodu...

– Więc dlatego musimy cierpieć, kiedy jesteśmy osobno – westchnęła Joanna. – Musisz iść, mój kochany, zanim ktoś cię zobaczy. Nie możemy już nigdy tak rozmawiać, a nawet powinniśmy się pożegnać.

– Bóg nam wybaczy.

– Idź już, już. Idź. Za późno na rozmowy. W pobliżu jest za dużo ludzi.

– Myślisz, że mnie to obchodzi?

– Mówisz teraz jak dziecko. Idź już do łóżka. Módl się za mnie. Jesteś w moich myślach.

Czy miała więcej siły niż ja, czy też jej miłość była słabsza od mojej? Zostałbym tam, gdyby mnie nie odegnęła. I kiedy powoli schodziłem ze schodów, odniosłem wrażenie, że pod pokojem strażników zostawiłem część siebie. Czułem się oszołomiony i chory, jakby wydrenowano mi serce.

Niemniej jednak byłem na tyle przytomny, że spojrzałem na biurko w nadziei, że przybył może list z Tuluzy albo Carcassonne, dotyczący zaginionych rejestrów. (Teraz oczywiście nie zaginionych, lecz niekompletnych). Ku mojemu żalowi, nie było nic w tej sprawie – a biurko Piotra Juliana podobnie nie oferowało żadnych miłych niespodzianek. W tej chwili jednak Bóg obłaskawił mnie krótką i błyskotliwą klarownością wizji. Nagle pomyślałem: „Dlaczego czekać na pomoc, która może nigdy nie nadejdzie? Dlaczego nie skorzystać z tego, co jest dostępne?”. Po czym zaatakowałem stopy mojej korespondencji z ostatnich czasów

Wkrótce znalazłem to, czego szukałem. Był to zwyczajny list od Jana z Beaune; inkwizytor bez szerszych objaśnień nawiązywał w nim do mojej prośby o kopie zeznań związanych z mieszkańcami Saint-Fiacre. (Sprawa dotyczyła świadka z Tarascon, pamiętacie?) „Jeśli chodzi o kopie, o które prosiliście – pisał – dopilnuję, żeby je przygotowano i następnie je wam wyślę”.

Data na końcu listu była łatwa do zatarcia: wystarczył jeden mniejszy kleks.

„Wyznawajcie Panu, boć dobry – modliłem się – bo na wieki miłosierdzie Jego. Niech powiedzą, którzy są od Pana odkupieni, które wykupił z ręki nieprzyjacielskiej”.

Potem przytroczyłem list do pasa i gotów do walki, pełen nadziei, wyszedłem do klasztoru.

Budowniczy kłamstwa

Jak możecie sobie wyobrazić, tej nocy byłem niezdarnym i nieuważnym uczestnikiem jutrzni. Kiedy wstałem po krótkim i niespokojnym śnie, czułem się zbyt oszołomiony z wyczerpania, by dobrze się wywiązać z obowiązków. Stałem, kiedy powinienem siedzieć, siedziałem, kiedy powinienem stać. Nie reagowałem na sygnały i zapadałem w drzemkę, zamiast odmawiać *pater* i *credo*. Ale na co dzień jestem równie, obowiązkowy, jak sam święty Dominik, zdumiała mnie więc wrogość, którą zdawały się wywoływać moje pomyłki. Nawet w swoim półprzytomnym stanie dostrzegłem spojrzenia i grymasy.

Na laudzie jednak byłem jak zwykle punktualny. Mimo to zauważyłem wiele skrzywionych min – i tyleż uważnych spojrzeń, które zdawały się życzliwe, w jakiś zjadliwy i szczególny sposób. Jedynym bratem, który w ogóle odmawiał przyjęcia do wiadomości mojego istnienia, był Piotr Julian. Chociaż siedział niemal naprzeciwko mnie w chórze, zdołał nie rzucić w moją stronę choćby jednego spojrzenia.

Dopiero kiedy podszedłem do niego po prymie, był zmuszony mnie rozpoznać. Skinął głową. Ja również. Potem, po wymianie gestów, udaliśmy się do jego celi, gdzie zezwalano na rozmowy, pod warunkiem że prowadzone dyskretnie i bez zbędnych odgłosów. Zacząłem mówić, zanim on mógł sam ustalić temat naszej rozmowy.

– Wczoraj przybył Jordan Sicre – powiedziałem gwałtownie.

– Tak, ale...

– Przesłuchiwałem go, przestrzegając wszystkich formalności.

– Ty?!

– A on powiedział mi, że Rajmund Donatus zapłacił mu za zabicie ojca Augustyna. Nie umiał powiedzieć mi dlaczego. Nie wiedział.

– Ależ ty nie jesteś już inkwizytorem heretyckiej nieprawości! – krzyknął Piotr Julian, po czym szybko ściszył głos, kiedy przypomniał sobie, gdzie jest. – Nie masz prawa przesłuchiwać podejrzanych! – syknął. – Zakazałem ci wchodzić do Świętego Oficjum!

– Kobiety z Casseras nie są więc wplątane w zamordowanie ojca Augustyna.

– To jest nie do przyjęcia! Porozmawiam z przeorem.

– Posłuchaj mnie, Piotrze Julianie. Wiem więcej, niż myślisz. – Chwyciwszy go za ramię, zmusiłem go, by siadł na pryczy, z której wstaliśmy. – Tylko mnie posłuchaj, nim popełnisz jakieś głupie błędy. Wiem, że cała ta zagadka krąży wokół rejestrów inkwizycyjnych. Ojciec Augustyn poprosił Rajmunda, żeby znalazł brakujące rejestry, po czym zginął. Kiedy z kolei Rajmund został zabity, poszedłeś szukać pewnych rejestrów, które były w jego posiadaniu. Sprawdziwszy je, stwierdziłem, że zostały złupione. Te arkusze zaginęły.

– Nie rozumiem...

– Czekaj. Słuchaj. Kiedy po raz pierwszy zrozumiałem, że zaginęły jakieś rejestry, a było to, zanim je odnalazłeś, napisałem do Carcassonne i Tuluzy. Zapytałem, czy robiono jakieś kopie tych dokumentów do użytku inkwizytorów spoza Lazet. Wczoraj przyszedł list od brata Jana z Beaune z odpowiedzią twierdzącą. Obiecał przygotować kopie ze swoich rejestrów i przysłać mi je tutaj. Mam list. Chcesz przeczytać?

Piotr Julian nie odpowiedział. Patrzył tylko – jego oczy były nieme, a twarz biała jak dwanaście bram Jeruzalem niebieskiego.

Widząc go w zagubieniu, wzmocniłem atak.

– Wiem, że jesteś w to wplątany, Piotrze Julianie. Wiem, że to ty wyrwałeś te arkusze. A kiedy dostanę kopie z Carcassonne, będę wiedział dlaczego. – Przysuwając się blisko do niego, mówiłem bardzo cicho, ale z wielką jasnością i mocą. – Być może myślisz: „Napiszę do brata Jana i powiem mu, żeby się nie kłopotał”. Niestety! Brat Jan i ja żyjemy w przyjaźni, a ty byłeś tematem naszej ostatniej korespondencji. Nie darzy cię nazbyt wielkim poważaniem, bracie. Jeśli odwołasz moją prośbę, na pewno poprosi o podanie powodów.

Piotr Julian trwał w milczeniu – wierzyłem, że wywołanym wstrząsem. Zacząłem więc bardziej zachęcająco, a mniej groźnie.

– Bracie, nie czuję potrzeby oglądać Świętego Oficjum skąpanym w skandalu i obrzuconym zarzutami – powiedziałem. – Być może mamy jeszcze czas, by temu zapobiec. Jeśli od razu zaczniemy działać, jeśli napiszę do brata Jana i powiem mu, że te kopie nie są wcale potrzebne.

– Tak! Napisz zaraz! – Głos Piotra Juliana był wysoki, niecierpliwy. – Natychmiast do niego napisz!

– Bracie...

– On nie może ich przeczytać! Nikt nie może ich przeczytać!

– Dlaczego?

Zdyszany, z oczyma wychodzącymi z orbit, mój towarzysz zdawał się niezdolny do sformułowania odpowiedzi. Przyłożył dłoń do serca, jakby bał się, że go ono zawiedzie.

Zobaczyłem, że potrzebne jest jeszcze jedno pchnięcie.

– Jeśli powiesz mi, dlaczego, napiszę list – obiecałem. – Jeśli każesz uwolnić kobiety z Casseras i zapewnisz mnie, że nigdy nie będą pociągane do odpowiedzialności za zbrodnię, z którą nie mają nic wspólnego, napiszę list. Co więcej, zaniecham podejmowania

jakichkolwiek dalszych działań. Wycofam się ze Świętego Oficjum. Wyjadę z Lazet. Wszystko, czego chcę, to wyznanie, bracie. Wyznanie i przyrzeczenie. Chcę wiedzieć, o co chodzi.

– Gdzie jest list? – zażądał nagle. – Pokaż mi go!

Wznosząc modły w głębi duszy, wydobyłem z sakwy dokument, który minionej nocy zniekształciłem, a tym samym sfałszowałem. Wziął go i trzymał w drżących dłoniach, kiedy ja wskazywałem stosowny ustęp. Choć jednak patrzył, jego oczy pozostawały nieruchome. Nie czytał. Najwyraźniej nie był w stanie czytać. Jego strach i zadziwienie były zbyt ogromne; nie mógł posługiwać się swoimi zmysłami.

– To twój przodek, tak? – zapytałem, obserwując pot spływający z jego nagiej czaszki. Mówiłem delikatnie, bez najlżejszego cienia oskarżenia. – Masz heretyckich przodków. Ale wiesz, bracie, ja nigdy nie popierałem tak często stosowanych w Świętym Oficjum praktyk, wedle których człowiek ma cierpieć za grzechy swego ojca. „Żywę ja! mówi Pan Bóg, jeśli wam będzie dalej to podobieństwo za przysłowie w Izraelu”. Tak okrutne i nieprzejednane działanie wydaje mi się przesadne, a nawet błędne. Święty Paweł powiedział: „Skromność wasza niech będzie wiadoma wszystkim ludziom”. Nie potępiam cię za to, że jesteś obciążony dziadkiem heretykiem, bracie. Wierzę, że wszystkie twoje grzechy są twoje własne.

Łagodniejszą przemowę trudno sobie wyobrazić, musicie przyznać. W rzeczywistości była to zawoalowana groźba. Ale okazało się, że – ku mojemu wieczystemu zdumieniu – poruszyła Piotra Juliana tak, że wybuchnął płaczem.

– Wybacz mi, bracie, bo zgrzeszyłem – łkał, chowając twarz w dłoniach. – Wybacz mi, bracie, bo zgrzeszyłem! Ostatni raz byłem u spowiedzi świętej tydzień temu...

Mówiąc, że chcę spowiedzi, nie miałem, zapewniam, na myśli takiej spowiedzi. Tę obwarowywało zbyt wiele ograniczeń. Dla mnie niewątpliwie miało być to utrudnienie. Ale chociaż protestowałem, Piotr Julian pozostał nieugięty i bałem się, że może odwołać swoją historię. W każdym razie, bez względu na to, czy wyznanie zostaje złożone z własnej woli, nie ma ono praktycznie żadnej wartości, o ile nie jest zapisane w obecności świadka albo świadków. Przystałem więc na jego żądania i czekałem na spowiedź.

A ta nie nadchodziła.

– Bracie – powiedziałem niecierpliwie, kiedy on smarkał w swój habit – skup się. To nikomu nie służy.

– Ty mnie nienawidzisz! Zawsze mnie nienawidziłeś!

– Moje uczucia są nieistotne.

– Bóg mnie przeklął, kiedy mnie tu sprowadził!

– Dlaczego? Powiedz mi dlaczego! – Kiedy nie odpowiadał, zapytałem go szorstko: – Zabiłeś Rajmunda Donatusa?

– Nie! – krzyknął, podnosząc wzrok i wzdragając się, kiedy napominająco pokiwałem palcem.

– Cśśś – szepnąłem. – Chcesz, żeby wszyscy słyszeli?

– Nie zabiłem Rajmunda Donatusa! Ty mnie wciąż oskarżasz, ale ja go nie zabiłem!

– To dobrze. A kto to zrobił?

Piotr Julian westchnął. Znowu schował twarz w dłoniach. – Ja usunąłem arkusze – przyznał stłumionym głosem. – Spaliłem je.

– Dlaczego?

– Ponieważ mój cioteczny dziadek był heretykiem. Umarł zanim go skazano. Nie wiedziałem o tym. W rodzinie prawie o nim nie wspomiano. „Twój wujek Isarn był złym człowiekiem”, mówili. „Umarł w więzieniu. Przyniósł wstyd rodzinie”. Myślałem, że był złodziejem albo mordercą. Nie miał dzieci. Mieszkał poza Lazet. Trudno było wysledzić jego powiązania.

– Ale w końcu to zrobiłeś.

– Nie. Nie ja. Rajmund Donatus.

– Rajmund?

– Przyszedł do mnie, dokładnie... och, nie tak dawno. – Wahając się, mój świadek przyłożył dłoń do czoła. – Nie mogłem uwierzyć. Miał przy sobie starą księgę. Pokazał mi zeznanie, które rzucało oskarżenie na mojego ciotecznego dziadka.

– Kiedy to było? – zapytałem. – Kiedy dokładnie do ciebie przyszedł?

– To było wtedy, kiedy powiedziałeś mu, że ma szukać zaginionych rejestrów. – Odwróciwszy głowę, Piotr Julian patrzył na mnie w nieszczęśliwy, rozpaczliwy sposób. – To był ten rejestr. Zawierał nazwisko mojego ciotecznego dziadka.

– Zaczekaj – powiedziałem, podnosząc dłoń. – Rejestr, którego ja szukałem, był tym samym, który interesował ojca Augustyna. Chciałem go odnaleźć dlatego, że on go szukał. Do czego więc potrzebował go Rajmund?

– Myślę... myślę, że to dlatego, że tam w środku było nazwisko. Nie mojego dziadka. Inne nazwisko. – Zanim poprosiłem go o wyjaśnienie, sam go udzielił. – Rajmund powiedział mi: „Ojciec Bernard szuka rejestru. Jeśli go znajdzie, cały świat się dowie, że jesteś z heretyckiego rodu. Będziesz zelżony. Twoja rodzina zostanie okryta wstydem. Może twój brat straci posiadłość, a ty stanowisko”. – Głos Piotra Juliana załamał się w tej krytycznej chwili, ale on mężnie walczył, by odzyskać nad nim kontrolę. W końcu zaczął mówić dalej. – Rajmund powiedział mi, że mam cię odsunąć od śledztwa w sprawie śmierci ojca Augustyna, i tak też zrobiłem. Może prosiłby o więcej, gdyby nie został zabity. Może prosiłby o pieniądze...

– I ukrywał te rejestry w swoim domu! – krzyknąłem, sam już niezdolny do myślenia. – Rejestr i kopię biskup! A kiedy usłyszałeś, że Rajmund zaginął...

– Poszedłem do jego domu znaleźć dokumenty. Ale seneszał już tam był. On także szukał rejestrów.

– Seneszał?!

– Och, nie tego samego, którego ja szukałem. On chciał odnaleźć rejestr z nazwiskiem swojej ciotki, którą spalono na stosie jako heretyczkę.

Wyobraźcie sobie moje niedowierzanie. Moje zdumienie. Przysięgam, nie byłbym bardziej ogłupiały, gdyby wielka góra płonąca ogniem na moich oczach została w morze rzucona.

– Seneszal znalazł w domu Rajmunda dwa rejestry, ale nie o te mu chodziło – mówił dalej Piotr Julian, najwyraźniej nieświadom, że siedzę ogłupiały z rozdziawionymi ustami. – Nie zawierały nazwiska jego ciotki. Przeszukał je, a kiedy zobaczył nazwisko Faure, natychmiast do mnie przyszedł. Powiedział mi, że kilka lat temu Rajmund zażądał od niego pieniędzy. Spotkali się w domu notariusza, który wydobył z jakiegoś sekretnego miejsca rejestr zawierający zeznanie i wyrok heretyckiej ciotki Rogera. Rajmund powiedział, że występuje tylko w roli posłańca ojca Jakuba. Ale kiedy ojciec Jakub umarł, Rajmund nadal domagał się pieniędzy. Seneszal pomyślał, że ja muszę być w tej samej sytuacji co on.

Zgodnie z relacją Piotra Juliana seneszal również oskarżył go zabicie Rajmunda Donatusa. Kiedy dowiedział się, że tak nie było, wzruszył ramionami i wyraził opinię, że Rajmund najpewniej dostawał pieniądze od wielu nieszczęśników, których skazani przodkowie przewijali się przez inkwizytorskie rejestry. Uznał, że jedna z ofiar notariusza prawdopodobnie została przyciśnięta nieco za mocno.

– Jeśli okaże się, że Rajmund nie żyje, wcale się nie zdziwię – brzmiała konkluzja seneszala. – Właściwie będąc uradowany.

Skoro nie udało mu się znaleźć w domu Rajmunda rejestrów, które zawierały nazwisko jego ciotki, Roger poinstruował Piotra Juliana, żeby ich poszukał w bibliotece biskupa i w skrytorium Świętego Oficjum. Gdyby kodycyłe zostały tam znalezione, miał je przynieść do Chateau Comtal. Wtedy seneszal wydobyłby rejestry, które znalazł w domu Rajmunda i odbyłaby się oficjalna wymiana dokumentów. Potem zniszczyliby stosowne arkusze.

– Tak dużo czasu zajęło mi znalezienie nazwiska jego ciotki – zauważył niespokojnie mój świadek. – Nie poszedłem na kompletę jednego wieczoru, pamiętasz? Przeglądałem te nędzne skrzynie w skrytorium. Ale w końcu znalazłem księgi. Zabrałem je do seneszala. I zrobiliśmy to, co było konieczne. Kiedy znaleziono zwłoki Rajmunda, pomyślałem, że jesteśmy bezpieczni.

Rozważyłem te relację, porównując ją do poczynań mojego zwierzchnika. Jeśli to, co mówił, było prawdą (a nie miałem powodu w to wątpić), to ja musiałem przeszukać bibliotekę biskupa krótko po tym, jak Piotr Julian w imieniu seneszala wyciągnął stamtąd egzemplarze zawierające nazwisko ciotki tegoż. Kiedy ja badałem luki pozostałe po dwóch zaginionych księgach, tomy były okaleczane w Chateau Comtal. A kiedy ja zabierałem się do opuszczenia pałacu biskupiego, Piotr Julian składał dwa oryginały do skrzyni w skrytorium.

Zdumiewające, jak tropiłem jego kroki tamtego ranka.

– Więc ty sam nie zabiłeś Rajmunda? – zapytałem.

– Nie – powiedział tępo Piotr Julian. – Nie zrobiłbym czegoś takiego.

– Kto zatem mógł tego dokonać?

– Czarownice. Jan Piotr wyznał...

– Co za nonsens! – byłem wściekły, że wraca do tych nieuzasadnionych oskarżeń. – To całkowity absurd i dobrze o tym wiesz!

– Te kobiety...

– Bracie, nie marnuj mojego czasu. Seneszał miał lepszy motyw do zabicia Rajmunda niż którkolwiek z nich, i więcej sposobności w dodatku. Zapomnij o tych kobietach. One nie mają nic wspólnego z tą sprawą, są nieistotne.

– Nie dla ciebie, jak widać – zauważył Piotr Julian złośliwie i z wyraźnym oburzeniem.

Zignorowałem to.

– Zagadka jest niemal rozwiązana – powiedziałem. – Rajmund Donatus używał rejestrów Świętego Oficjum, by wyciągać pieniądze od ludzi z heretycką przeszłością albo przodkami. Kiedy ojciec Augustyn zaczął sprawdzać niektóre ze starych rejestrów, Rajmund się przestraszył. Wiedział, że ojciec Augustyn chce szukać zmarłych heretyków i tych, na których nigdy nie wykonano wyroków – tych dokładnie ludzi, których spadkobiercy, także nieukarani, są naturalnym celem szantażu. Martwił się, że jeśli ojciec Augustyn będzie dalej działać, zostanie powołany któryś z płacących mu ludzi. Bał się, że zadenuncjują go do Świętego Oficjum. W końcu ojciec Augustyn zażądał rejestru zawierającego jedno z nazwisk, które Rajmund chciał ukryć. Zabił więc ojca Augustyna, mając nadzieję, że wina spadnie na heretyków.

– Tymczasem ukrył w swoim domu rejestry, których zażądał ojciec Augustyn. Być może przeglądając je, zauważył nazwisko Faure. Kiedy więc przyjechałeś, miał broń przeciwko tobie. A gdy ja zacząłem szukać tego samego rejestru, zrobił z tej broni użytek. – Kiedy to rozważałem, przyszła mi do głowy straszliwa myśl. Czy Rajmund zabiłby mnie, gdybym obstawał przy swoim? Być może tak. – Szczęśliwie dla nas jedna z jego ofiar zdecydowała się wziąć sprawę w swoje ręce – zakończyłem.

– Myślisz, że tak mogło być?

– Sądzę, że to wysoce prawdopodobne. Być może ciało Rajmunda rozczłonkowano w nadziei, że osoba odpowiedzialna za zamordowanie ojca Augustyna zostanie też obwiniona o tę drugą zbrodnię. – Podobała mi się ta supozycja. Była solidna i efektowna. W najwyższym stopniu zaspokajała moje wymagania. – Być może się myliłem, dochodząc do wniosku, że Rajmund został zabity na terenie Świętego Oficjum. Niewykluczone, że Jan Piotr mówił prawdę i nie miał z tym nic wspólnego. Oczywiście, gdybyśmy przesłuchali cały personel, może dowiedzielibyśmy się czegoś więcej. Ale czy tego chcemy? Rajmund był zabójcą. Spotkała go zasłużona kara. Możemy zostawić w rękach Boga ukaranie jego zabójcy.

W tym momencie przypomniałem sobie Lotara Carbonela, którego ojciec został pomówiony w jednym z okaleczonych rejestrów. A może on zabił notariusza? Na pewno był przednim kandydatem na ofiarę szczególnej formy niegodziwości Rajmunda.

Obiecałem sobie, że porozmawiam na osobności z Lotarem, kiedy trafi się po temu sposobność. Potem udzieliłem Piotrowi Julianowi rozgrzeszenia i wyznaczyłem mu potężną pokutę, którą przyjął bez mrugnienia okiem. Nie dbał o pokutę ani o sprawiedliwość, ani o winę. Pragnął tylko jednej rzeczy i to z pasją całkowitej paniki.

– Napisziesz teraz list? – zapytał. – Napisz go natychmiast. Tutaj.

– Dobrze. Ale nie zostanie wysłany, dopóki nie uwolnisz kobiet.

– Tak, tak! Tylko go napisz!

Boże wybacz mi, bawiła mnie jego desperacja. Delektowałem się jego prośbami jak miodem i katowałem go swoimi powolnymi ruchami, pieczołowitym ostrzeniem pióra, starannością ustalania linii i formowania liter.

Jestem głupcem między ludźmi. Jestem pustym naczyniem i kleksem w księdze żyjących. Za nikczemność swego życia i nędzę swej duszy zasłużyłem na wszystko, co nastąpiło.

„Wiedźcie, że grzech wasz dosięgnie was”.

– Zwolnić je? – powiedział Pons z niedowierzaniem.

– Zwolnić – potwierdził Piotr Julian.

– Ale...

– Zwol-nić-je!!! – Oszały z niepokoju, że mogę nie wysłać swego listu, Piotr Julian nie ścierpiałby żadnego sprzeciwu. Mówił naprawdę bardzo ostro: – Słyszałeś, co powiedziałem! Zrób to natychmiast! Daj klucze ojcu Bernardowi!

– Będą im potrzebne konie – zauważyłem, kiedy Pons, kręcąc głową, przebierał w kluczach wiszących mu u pasa. – Cztery konie.

– Pójdę do biskupa – powiedział szybko Piotr Julian – Pójdę już. Przyprowadź je do stajni biskupa.

– Może być opóźnienie.

Ale Piotr Julian już wyszedł. Usłyszałem jego kroki na schodach. Pons, rzucając krzywe spojrzenia, powiedział, że sam otworzy drzwi izby strażników.

– Nigdy nikomu nie powierzam kluczy – powiedział opryskliwie.

– Mądra zasada.

– Jak to zrobiliście?

– Co?

– Posunęliście się za daleko. Za to trzeba będzie zapłacić. Nie jesteście niezwykłymi, ojczce.

Zdumiony otworzyłem usta, by domagać się wyjaśnienia. Ale on już dochodził do izby strażników, pobrękując kluczami tak głośno, że nie mógł mnie usłyszeć.

– Oto twoje „przyjaciółki” – warknął, otwierając drzwi, – Oto wasz „przyjaciel” przyszedł was wybawić. Wynocha! Wszystkie wynocha! Nie jesteście tu mile widziane!

Wyczuwając przerażenie w szmerach i szeptach, które powitały nasze pojawienie się, rozzłościłem się wielce i powiedziałem nadzorcy, żeby sobie poszedł. Usłuchał mnie chętnie, mamrocząc, że nie chce mieć z tym nic wspólnego. Dopiero kiedy wyszedł, zdałem sobie sprawę, że potrzebne będą jeszcze jedne silne plecy do niesienia bagażu.

Zaniepokoił mnie mój własny brak przewidywania.

– Joanno – powiedziałem, wchodząc do pokoju strażników – Alkajo, wszystkie wychodźcie. Możecie już iść.

– Wolne? – Joanna siedziała na podłodze przy łożu Witalii. Trzymała glinianą miskę. – Mamy opuścić tę izbę?

– To więzienie. Chodźcie. – Podeszedłem do niej i wyciągnąłem rękę. – Konie na was czekają. Musicie spakować swoje rzeczy.

– Ale dokąd idziemy? – zapytała Babilonia. Na tle ponurych kamiennych ścian i zakurzonych cieni jej twarz zdawała się lśnić jak węgielek. – Wracamy do domu?

– Nie możecie wrócić do forcji, maleńka – powiedziałem. – Ale możecie pojechać gdziekolwiek indziej. W każde inne miejsce.

– Nie teraz, ojcie. – Sprzeciwiła się Alkaja. – Witalia jest zbyt chora.

Spojrzałem na Witalię i zobaczyłem kobietę, z której siły wyciekły jak z kawałka skorupy obróconej w proch śmierci. Była uschnięta, jej oddech cuchnął i miała szarą skórę, wydawała się krucha jak cieniutkie szkło i mogłem zrozumieć niechęć Alkai do podróży.

– Bardzo z nią źle? – szepnąłem.

– Gorzej być nie może – odpowiedziała Joanna.

– Niemniej jednak pozostanie tutaj jest wykluczone. To zbyt niebezpieczne.

– Ojcie, jeśli ją ruszymy, może umrzeć – zauważyła Alkaja bardzo delikatnie.

– A jeśli zostanie tutaj, umrze na pewno – odpowiedziałem stanowczo. – Wybaczcie mi, ale nie ma wyboru. Trzeba ją przynajmniej przenieść do szpitala. Najbliższy Saint-Remezy. Należy do szpitalników.

– Ale czy oni przyjmą nas wszystkie? – zapytała Joanna, a ja musiałem powstrzymać falę niecierpliwości. Chociaż nie chciałem przestraszyć ani jej, ani jej córki, pomyślałem, że żadna z kobiet nie docenia groźących im niebezpieczeństw.

– Posłuchaj – powiedziałem powoli i ostrożnie. – To, co tutaj zrobiłem, było bliskie cudu. I nie mam pewności, że dalej będziemy mieć takie szczęście. Jeśli nie opuścicie Lazet jak najszybciej, nie mogę zagwarantować, że odzyskacie wolność.

– Ale...

– Wiem, że Witalia nie jest w stanie podróżować. Zdaję sobie sprawę, jak bardzo jest chora. Więc ona pojedzie do szpitala Saint-Remezy, a reszta was założy wspólny dom gdzieś daleko. Może pewnego dnia do was dołączę.

– Ale ojciec – zaprotestowała Alkaja, nie mówiąc tonem pasji czy gniewu, lecz raczej jak ktoś, kto chce wyjaśnić coś ukochanemu dziecku. – Ja nie mogę opuścić swojej przyjaciółki. Ona jest moją siostrą w Chrystusie.

– Nie masz wyboru.

– Wybaczcie mi, ojciec, ale to nie jest tak. Mogę wybrać ryzyko ze względu na miłość do siostry.

Zazgrzytałem zębami.

– Nim minie dzień, twoja siostra może nie być w stanie docenić, jak wiele dla niej zrobiłaś. – Powiedziałem ostrożnie, cały czas świadom nierozumiejącego spojrzenia Babilonii.

– Nagroda będzie niewarta poświęcenia.

– Och, myślę, że nagrodą będzie spokój mojego serca.

– Alkajo! – nie mogłem już się powstrzymać. – Okaż trochę rozsądku!

– Ojciec...

– Nie masz prawa narażać swoich pozostałych sióstr!

Mój ton był zbyt gniewny. Przestraszyłem Babilonię, która uciekła w ramiona matki, mówiąc drżącym głosem:

– Mamo? Mamo!

Joanna podeszła do niej szybko i objęła ją, a do mnie powiedziała:

– Alkaja mówi jedynie w swoim imieniu. Każda z nas ma prawo wyboru.

– Tak, tak! Tylko jedna z nas musi zostać. – Alkaja uśmiechnęła się z miłością do Joanny i Babilonii. – Ja jestem starą kobietą, moje siostry są młode. Mają siłę, by pójść drogą Pana i założyć nowy dom.

Oczy Joanny wypełniły się łzami.

– Ale tylko z tobą, Alkajo – wyszeptła.

– Ze mną lub beze mnie. Najdroższa, ty dążysz do miłości Boga czystym sercem. On cię teraz nie opuści. A ja będę się za was modlić, zawsze.

– Babilonia cię potrzebuje.

– Witalia też mnie potrzebuje. Nie ma matki, która by o nią zadbała. Wybacz mi, najdroższe dziecko. Moje serce krwawi, ale nasza siostra nie może być sama.

Nagle poczułem się, jakbym nie należał do tego pokoju. Stałem się jak kruk nocny w pustkach. Czuwałem i byłem jak ptak samotny na dachu. Wyłączony. Niezauważony.

– Natychmiast zapakujcie swoje ubrania – burknąłem świadom, że moje słowa przeszły w większości niezauważone. – Bądźcie gotowe do wyjścia, kiedy wrócę. Idę do Saint-Remezy, umówić miejsce dla Witalii.

I to właśnie zrobiłem. Powiadomiwszy Ponsa o swoim zamiarze, poszedłem (piechotą było szybciej niż tkackim wózkiem) do szpitala Saint-Remezy, gdzie rozmawiałem z bratem Michałem. Posępny i znużony mężczyzna, z którym trochę się znałem, na perspektywę wspomnienia kolejnego pozbawionego grosza przy duszy starego włóczęgi westchnął tak,

jakby szpital ustanowiono do jakichś wspanialszych, szczęśliwszych celów. Albo może tylko ubolewał, że nie ma dostępu do bogatych zapisów.

– Ale u nas zawsze jest miejsce dla umierającej kobiety – powiedział do mnie, przyglądając się dormitorium pełnemu okaleczonych i chorych. – W końcu nie zostanie tu na długo.

– Ona przyniesie ze sobą pewne swoje rzeczy. Naturalnie, kiedy już umrze, ten dobytek pozostanie w szpitalu,

– Jesteście tego pewni? Tak często w ostatnim momencie pojawiają się jacyś krewni.

– Ona nie ma żadnych krewnych.

Skoro już zapewniłem łóżko Witalii, wróciłem do więzienia, gdzie Pons powiadomił mnie, że „ta obłąkana dziewczyna” wpadła „w jakiś atak szału” i żebym zechciał zabrać wszystkie cztery kobiety z izby strażników, zanim on je wyrzuci na ulice. Jak przewidziałem, rozpacz towarzysząca rozstaniu z Alkają ogromnie wzburzyła Babilonię. Znalazłem ją leżącą na podłodze z czerwonymi oczyma i zakrwawioną twarzą. Ze słów Joanny wynikało, że waliła głową o ścianę.

– Ona nie opuści Alkai – zauważyła moja ukochana, a jej własny głos był ochryply z emocji, kiedy podniosła go ponad rytmiczne zawodzenia córki. – Co mamy zrobić? Ona nie opuści Alkai, a ja nie opuszczę jej.

– A zatem Alkaja musi opuścić Witalię.

– Ojczy, jakżebyś mogła?

– Posłuchaj mnie. – Wziąłem upartą, głupią staruchę pod ramię (Boże, wybac mi, ale takie właśnie uczucia żywiłem do niej w owej chwili!) i wypchnąłem ją na korytarz. Potem, skupiwszy na niej złowrogie, ale błagalne spojrzenie, stłumionym, lecz przekonywującym głosem, słyszalnym tylko dla nas, wyłożyłem jej sprawę. – Ufasz mi, Alkajo? – zapytałem.

– Och, ojczy, cały swoim życiem.

– Czy dbałem o ciebie? Czy umiłowalem was wszystkie jak siostry?

– W rzeczy samej, tak czyniłeś.

– Zatem uwierzysz mi, że zatroszczę się o Witalię? Zaufasz mi, że będę jej usługiwał i o nią dbał? Zrobisz to dla mnie?

Jej otwarte, smutne spojrzenie wydawało się przyjmować moje słowa i ważyła każde zgodnie z jego wartością. Wyczułem, że jest wciąż nieprzekonana. Że szuka kolejnego sposobu opisanie mi i wyjaśnienia głębi swojej więzi z Witalią.

Zwróciłem się więc do niej z ostatnią prośbą.

– Alkajo – powiedziałem delikatnie – musisz się zatroszczyć o Joannę. Musisz mi to obiecać. Jak mam pozwolić jej odejść, jeśli ciebie nie będzie, żebyś ją kochała i chroniła? Błagam cię. Zaklinam! Nie opuszczaj jej teraz, kiedy ja muszę ją opuścić! Ja nie mogę... nie jestem... to zbyt ciężkie. To za wiele. Alkajo, uczyn to dla mnie, proszę.

Czy spowodowało to widmo rychłej utraty, czy ogrom mojego strachu, czy promieniejące, żałosne zrozumienie, które przenikało twarz Joanny, nie wiem, ale w tym momencie łzy zebrały się w moich oczach. Kiedy je otarłem, zobaczyłem, że oczy Alkai też są pełne łez. Wzięła moją dłoń i przyłożyła ją czule do policzka jak kotka.

– Och, mój drogi synu – wyszeptała – twoje serce jest przepełnione. Złóż na mnie to brzemie. Wezmę twoją miłość i użyję jej mądrze. Twoja miłość jest moją miłością, ojcze. Niech twoja dusza odpocznie, albowiem Joanna nie zostanie sama.

I nagle nastał spokój. Takim właśnie spokojem zostałem pobłogosławiony tamtego ranka na wzgórzu nieopodal Casseras. Tym razem nie wypełnił mnie jednak, jakbym był pucharem ani nie oślepił mnie jak słońce. Dotknął mnie delikatnie jak przewiewający mimo zefirek i znowu odszedł. Ogrzał moje zbolące serce niczym pocałunek lekki jak piórko.

Umocniony, czułem się jednak oszołomiony i oniemiały. Pomyślałem: Chryste, jesteś tutaj? Nawet dzisiaj nie potrafię powiedzieć, czy wtedy przyszedł do mnie Duch Święty. Może Jego miłość przypominała tę Alkai, albowiem jej miłość była czysta i prawdziwa, gorejąca i bezinteresowna, górująca nad jej płcią, grzechami i jej omyłkami w osądzie. Wierzę, że w swojej miłości była bardzo bliska Boga. Chociaż zbłądziła w wielu rzeczach, jej miłość pozostała wielka. Teraz to wiem. Wtedy to czułem. Zobaczyłem, dlaczego Babilonię koi i przemienia miłość Alkai – otóż pozwalała jej ona być może posmakować tej bezgranicznie większej, głębszej, słodszej miłości, jaką jest miłość Boga i którą jest on sam.

Jestem ciemnym i grzesznym człowiekiem. Wiem tylko tyle, że nie wiem nic. Na całym świecie nie ma nikogo, kto byłby wart Pana, a skoro jego pokój umyka ludzkiemu rozumieniu, jak mógłbym mieć nadzieję, że rozpoznam go swoimi niegodnymi zmysłami, swoim ułomnym intelektem i grzesznym sercem? Być może zostałem zaszczycony ponad chwałę ludzi i aniołów. Być może byłem prowadzony po bezdrożach przez słabość i żądzę. Nie wiem. Nie umiem powiedzieć.

Ale pocieszył mnie ten rozradowany smutek – z krzepiącą siłą (nie mogę znaleźć słów na opisanie moich doznań) – i odczułem ulgę, kiedy na krótką chwilę oparłem czoło na ramieniu Alkai. Musiałem nisko się schylić, żeby to uczynić, a kiedy już to zrobiłem, ona mnie objęła. Jej zapach nie był słodki pod żadnym względem, ale nie wydawał mi się też zgniły czy zmysłowy. Jej kości odczuwałem jako małe i kruche jak u kury.

– Weź *Kwiatki* – powiedziała. – Poczytaj je Witalii. Ja je znam na pamięć. Ona będzie ich potrzebowała bardziej niż ja.

Skinieniem głowy wyraziłem zgodę. Potem wróciliśmy do izby strażników, nie zamieniając już ani słowa. I to ona przejęła ciężar ewakuacji, decydując, kto co ma nieść. Na jej delikatne polecenie poszedłem szukać ludzi, którzy ponieśliby Witalię.

Widzicie, byłem wciąż nieco zdezorientowany i zaabsorbowany kwestiami bardziej wzniosłymi niż dyspozycje co do bagażu. Byłem wciąż pijany miłością.

W kuchni nadzorcy, gdzie teraz musieli gnieździć się familiarzy niepełniący służby, znalazłem dwóch mężczyzn chętnych przyspieszyć wyjście kobiet – zapewne mieli głównie na względzie odzyskanie swojej izby. Wystarczyło tylko dwóch, albowiem Witalia była lekka i krucha jak sucha trawa; zawinęliśmy ją w koc i położyliśmy na innym kocu, który pełnił funkcję noszy. Z wielką trudnością zniesiono ją schodami. Ja zdążyłem przodem, dźwigając jej piecyk, a przyjaciółki kroczyły za nią z jej ubraniami, statkami, kocami i tym podobnymi. Procesję witało wiele pełnych zdziwienia uwag ze strony służby i więźniów. Nieczęsto widzi się inkwizytora heretyckiej nieprawości wynoszącego czyjś багаż; zapewniam, że jest to widok godzien komentarza.

Poszliśmy najpierw do Saint-Remezy. Tutaj przygotowano siennik na przyjęcie chorej kobiety, wśród takiej nędzy, krwi, ropy, brudu, takich jęków i fetoru, że wszyscy zbledliśmy, zarówno mężczyźni, jak i kobiety. Przy pierwszej wizycie nie pokazano mi tej części szpitala przeznaczonej dla umierających. Nie zdawałem sobie sprawy, że to jest miejsce bez nadziei. Widziałem pogodniejsze leprozoria, katakumby mniej zatłoczone. Zakopcone powietrze wydawało się smakować jak gnijące ciało.

– Nie możemy jej tutaj zostawić – wymamrotała Joanna, zbyt zszokowana, by być dyskretną. – Bernardzie, nie możemy jej tutaj zostawić.

– Musimy – powiedziałem z rozpaczą. – Zobacz, jej łóżko jest w alkwie. Leży osobno od innych. I będę ją często odwiedzał.

– Najdroższa, Witalia nie będzie cierpieć. – Ku moja zdumieniu to Alkaja przemówiła. Rzuciła jeden z багаży, by móc objąć Babilonię. – Świat nic teraz dla niej nie znaczy. Jej oczy widzą Światło Wieczne. Jest głucha na tę wieżę Babel. Wszystko, czego potrzebuje, to przyjaciel trzymający ją za rękę i karmiący ją rosołem.

Spojrząwszy na Witalię, zobaczyłem, że jest rzeczywiście ledwie przytomna i obojętna na swój los. Niemniej jednak wydawało się straszliwe, że musi się spotkać ze swoim Stwórcą w takim otoczeniu, cuchnącym śmiercią i chorobą. I jak mógłbym zapewnić, że będę obecny, by się z nią pożegnać, kiedy wyprawi się w swoją ostatnią podróż?

Udręczony takimi pytaniami rozważałem raz jeszcze swoje plany tam i wtedy, gdyby nie podszedł do nas brat, który przedstawił się nam jako Leon. Uśmiechnięty i uprzejmy, dotknął twarzy Witalii i nazwał ją swoją córką. Mówił do niej, jakby mogła go słyszeć. Jakby była ważniejsza niż ktokolwiek z nas.

– Witaj, moja córko. Pan z tobą. Jego anioły są tu wśród nas; widziałem je w nocy. Nie lękaj się, moja udręczona duszo. Będę się za ciebie modlić, a ty znajdziesz pokój.

Wiedziałem, że dotarła do bezpiecznego portu.

Pozwolę sobie nadmienić, że w bracie Leonie Saint-Remezy posiada bezcenny klejnot. Rozmawiałem z nim, kiedy kobiety żegnały się ze swoją przyjaciółką (a ja pomijam to pożegnanie, albowiem było bolesne w stopniu niewysłowionym); powiedział mi, że uwielbia

troszczyć się o umierających, albowiem są tak blisko Boga. – To zaszczyt. – Utrzymywał. – Zaszczyt. Każdego dnia czuję się błogosławiony.

By poczuć błogosławieństwo wśród takiego bólu, takiej rozpacz, trzeba było wiary w przenoszenie gór. Zawstydził mnie, że jestem świadkiem jego zadowolenia i cichej radości, chociaż wydawało mi się także, że odznaczał się – jakby to powiedzieć? – umiarkowaną inteligencją. Był prostym, ale pobożnym człowiekiem. I pewnym zbawienia. O tak, to nie ulegało wątpliwości. Czasami, wyznawał, musiał wychodzić na zewnątrz i płakać, i wrzeszczeć – ale w końcu nawet Chrystus modlił się do Boga, by oddalił od Niego kielich.

Kiedy w końcu wyszliśmy, poprosiłem brata Leona o błogosławieństwo (ku jego ogromnemu zdumieniu) i przyjąłem je z wielką pokorą ducha. Nawet teraz często myślę o tym człowieku. Niechaj Pan obdarzy go szczerze, albowiem zaprawdę jest klejnotem wielkiej wartości.

Muszę jednak wracać do swojej opowieści. Trzy zapłakane kobiety podążyły za mną do pałacu biskupa, gdzie spodziewałem się czekających na nas czterech osiodłanych koni. I tu niestety, wykazałem się niepomiernym optymizmem. Zamiast do stajni, moją grupę powiedziano do sali audiencyjnej biskupa Anzelma. Tutaj znaleźliśmy nie tylko biskupa, lecz także seneszała, przeora Hugona i Piotra Juliana. Od razu wiedziałem, że to zgromadzenie nie wróży nic dobrego. W postawie tych mężczyzn było coś przywodzącego na myśl trybunał. Przy drzwiach stali nawet żołnierze. I był obecny notariusz biskupa, z piórem w ręku. Jego widok wydawał się chyba najbardziej złowieszczy.

Musicie spróbować wyobrazić sobie to zgromadzenie, albowiem miało ono przynieść dalekosiężne konsekwencje. Biskup, mieniąc się klejnotami, zajmował największe i najpiękniejsze krzesło. Wydawał się zajęty sprawami cielesnymi: od czasu do czasu bekał albo poklepywał się po brzuchu, albo też chwycił grzbiet swego nosa kciukiem i palcem wskazującym, krzywiąc się przy tym. O ile nie jestem w błędzie, cierpiał z powodu nadużycia wina. Niewątpliwie okazywał niezwykajnie ponury nastrój, który miał potęgować złowieszcze wrażenie.

Przeor Hugon ostentacyjnie okazywał niepokój. Chociaż wyraz jego twarzy był niewzruszenie nijaki, jego ręce nie spoczywały ani na chwilę, przenosząc się z kolan na pas i na poręcz krzesła. Piotr Julian siedział z głową odrzuconą i wysuniętą do przodu szczęką, co niechybnie miało znamionować, iż jest on nieposkromiony. Jedyne Roger Descalquens stał i on jeden był spokojny – chociaż może niezwykajnie czujny.

W obliczu takiego szyku klejnotów, broni i pochmurnych budzących grozę spojrzeń, kobiety wyzwoliły z siebie wielką dozę odwagi. Babilonia, chociaż z twarzą ukrytą w łonie matki, nie krzyczała ani nie popadła w szaleństwo. Alkaja przyglądała się mężczyznom niewinnymi niebieskimi oczyma, nie okazując strachu, lecz jedynie żywotne i pełne szacunku zainteresowanie. Joanna się bała. Wywnioskowałem to z jej pozbawionej krwi twarzy i zaciśnięcia delikatnych ust. Niemniej jednak duma kazała jej stać prosto, ze skrzyżowanymi

ramionami. Przy swoim słusznym wzroście Joanna mogła spoglądać z góry na biskupa Anzelma i Piotra Juliana.

Mogła nawet patrzeć seneszalowi prosto w oczy.

– Ach, brat Bernard. – Biskup wymówił moje imię ze znużeniem. Jakby przypomnienie sobie, kim jestem i co tu robię, sprawiło mu pewien wysiłek. Kobiety skwitował jednym spojrzeniem jako zbyt nieistotne, by ich obecność przyjmować do wiadomości. – W końcu możemy przejść do rzeczy. Bracie Piotrze Julianie?

Piotr Julian odchrząknął.

– Bernardzie Peyre z Prouille – zaczął piskliwym głosem – jesteś niniejszym oskarżony na podstawie oskarżenia publicznego o wyznawanie wiary heretyckiej, ukrywanie heretyków i pomaganie im.

– Co?!

– Przysięgasz na Święte Ewangelie mówić prawdę, całą prawdę i tylko prawdę na temat zbrodni herezji?

Bez słowa patrzyłem na Ewangelie podane mi przez Rogera Descalquens. Bezwolnie pozwoliłem umieścić na nich swoją dłoń. Wstrząs odebrał mi władzę nad ciałem (być może to głupie, ale nie przewidziałem takiego rozwoju wydarzeń), i złożyłem przysięgę, nie zdając sobie sprawy, że podejmuję współpracę z nimi, jakby opuściła mnie wolna wola. Wtedy jednak moje błąkające się spojrzenie znalazło przeora i zobaczyłem w jego oku zakłopotanie, które mnie obudziło.

– Ojcze! – krzyknąłem. – Co to za absurd?!

– Przyznajesz się do winy? – Tym razem głos Piotra Juliana był silniejszy i bardziej zgrzytliwy. Nie załamał się. – Przyznajesz się, bracie Bernardzie?

Już miałem krzyknąć „Niewinny!”, kiedy mój rozum nagle odzyskał siły i zdałem sobie sprawę, że o mały włos wpadłbym w pułapkę. Widzicie, w *ordo iuris* inkwizycji pozwany może być oskarżony formalnie, jedynie jeśli się przyzna albo zostanie pomówiony. Jeśli został zniesławiony, i to przez godnego zaufania obywatela, jego sędzia musi przedstawić dowód infamii, zanim zażąda przyznania się. A jeśli pozwany twierdzi, że jest niewinny, trzeba przedstawić dowód winy.

Od czasu *Liber sextus* Bonifacego VIII sędziowie mogli jednak postępować bez przedstawienia dowodu, jeśli pozwany nie protestował. O mały włos tego bym właśnie zaniechał.

Ale przypomniałem sobie swoje prawa, zanim wygłosiłem fatalne słowa i zwracając się do Piotra Juliana, zapytałem:

– Gdzie jest infamia publiczna? Jakie są zarzuty?

– Ty mnie pytasz, jakie są zarzuty? Kiedy przychodzisz tu do nas z tymi heretyczkami, którym przygotowałeś ucieczkę?

– Ucieczkę?! – krzyknąłem. – Dałeś pozwolenie!

– Które zdobyłeś kłamstwami i podstępem – przerwał senezal. Podniosłem wzrok i zobaczyłem starego przyjaciela, teraz obcego mi człowieka, którego małe, ciemne oczy przyglądały mi się zimno, nieubłagane jak kamienie. – Mówiłeś o liście od Jana z Beaune. Wczoraj nie dostarczono żadnego listu z Carcassonne. Żaden list nie przyszedł stamtąd w ciągu ostatniego tygodnia, a Pons to potwierdza. Twoje plany zostały pokrzyżowane.

Przyszło mi wtedy do głowy, że to senezal jest moim prawdziwym wrogiem. Gdyby Piotr Julian został zdemaskowany, jemu także groziłaby kompromitacja. A on był silnym człowiekiem, sprytnym, wojownikiem zaprawionym w boju zarówno na polu walki, jak i poza nim. Niewątpliwie Piotr Julian pobieżył szukać u niego pomocy przy najbliższej sposobności; niewątpliwie to Roger Descalquencs pierwszy zapytał, czy mój sfalszowany list jest prawdziwy. I kiedy ja traciłem czas w szpitalu, Roger szybko ustalił, że mój list rzeczywiście nie jest tym, czym twierdziłem, że jest.

Patrzyłem na niego i wtedy dopiero poczułem coś na kształt strachu.

– Panie – powiedziałem, odwracając się, by zobaczyć twarz biskupa – te zarzuty powstały w wyniku spisku między inkwizytorem a senezalem. Są nieuzasadnione. Piotr Julian przyznał przede mną, dzisiejszego poranka, że on i senezal zniszczyli część inkwizytorskich rejestrów, które dawały do zrozumienia, że ich rodziny są heretyckie...

Ale biskup podniósł rękę.

– Brat Piotr Julian twierdzi coś innego – powiedział. – Utrzymuje, że wy przyszście niego, grożąc ujawnieniem jego dziedzictwa jako skażonego, o ile nie uwolni kobiet, które stoją przed nami. Twierdzi, że sfalszowaliście list, w którym fałszywie oskarżono jego rodzinę. W początkowej rozpacz przychylił się waszych próśb. Wkrótce jednak zdał sobie sprawę, że czyniąc tak, naraża swoją duszę.

– Panie, jeśli sprawdzicie rejestry, zobaczycie, że są zniszczone – zacząłem.

W tym momencie przerwał mi Piotr Julian, bełkocząc coś, że te rejestry były już zniszczone, kiedy odzyskano je z domu Rajmunda.

– Brat Bernard atakuje mnie, żeby bronić siebie! – zakończył niegodziwiec. – Ale można udowodnić, że jest wyznawcą i sprzymierzeńcem...

– Udowodnij to zatem! – rzuciłem. – Gdzie jest twój dowód? Jakie są zarzuty? I co ty tu robisz – wskazałem senezala – i ty, ojcie Hugonie, skoro jest to formalne przesłuchanie trybunału?

– Oni są bezstronnymi obserwatorami – dostarczył wyjaśnienia Piotr Julian. – Jeśli chodzi o dowód, stoi przed nami, w postaci niewieściej. To są te heretyckie, które chciałeś ukryć i bronić!

Po czym wskazał trzy kobiety. Joanna wydała cichy jęk, a ja na chwilę musiałem odbiec myślami od tematu, by posłać jej pokrzepiające spojrzenie. Nie mogłem więc powstrzymać Alkai, która wystąpiła naprzód. W swój pogodny, nieustraszony sposób powiedziała:

– Och nie, ojcie. My nie jesteśmy heretyczkami. – I całe zgromadzenie wlepiło w nią wzrok zaskoczone.

Nikt nie spodziewał się takiego zuchwalstwa po kobiecie. Nikt nie mógł uwierzyć w jej bezczelność. To biskup, zebrawszy się, zaproponował jej niecierpliwie, by pozostała cicho, a ona – jako dobra córka Kościoła – podporządkowała się jego poleceniu.

W konsekwencji sam musiałem bronić jej twierdzenia.

– One nie są heretyczkami – upierałem się. – Nie zostały ani oskarżone, ani pomówione. Nie mogę więc być oskarżony o sprzyjanie im.

– One zostały oskarżone – odpowiedział Piotr Julian. – Jan Piotr oskarżył je o czary i spiskowanie przeciwko Świętemu Oficjum.

– Jego zeznanie jest niepotwierdzone.

– Potwierdził je wczoraj.

– Zostało zdobyte z użyciem tortur.

– Nie ma w tym nic złego, bracie Bernardzie – zauważył senezal.

Na to zwróciłem się do niego:

– Bezstronni obserwatorzy nie mają prawa komentować inkwizycji! – rzuciłem. – Jeśli raz jeszcze otworzysz usta, będziesz wykluczony z tego zgromadzenia! Panie, wysłuchaj mnie – raz jeszcze zwróciłem się do biskupa. – Ostatniej nocy Jordan Sicre, jeden z familiarów, który prawdopodobnie uczestniczył w zamordowaniu ojca Augustyna, wyznał, że zaplanował tę zbrodnię z nakazu Rajmunda Donatusa. Jak widzicie, nie wspomniał o kobietach. One nie mają nic wspólnego ze śmiercią ojca Augustyna.

– Zeznanie Jana Piotra dotyczy śmierci Rajmunda Donatusa, a nie śmierci ojca Augustyna – wtrącił Piotr Julian.

– Ale one są powiązane ze sobą! Panie, Rajmund chciał zabić ojca Augustyna, bo sprawdzał on stare rejestry. A Rajmund używał trzech rejestrów, by żądać pieniędzy od ludzi, którzy mieli heretyckich przodków. Ktokolwiek zabił Rajmunda, miał może dość opłacania go i ciągłego strachu, że zostanie oskarżony...

– Jako heretyk? – zapytał biskup.

– Albo spadkobierca heretyka.

– Więc te kobiety nadal są w to wplątane – uznał biskup. – Ich motywów nie mają znaczenia.

– Panie...

– Widzicie, jak on ich broni! – krzyknął nagle Piotr Julian. – On sam jest oskarżony, a jednak przedtem chce zapewnić im bezpieczeństwo!

– Ja mam pewność własnego bezpieczeństwa – odparłem. – Jeśli one są niewinne, ja także, albowiem kto uwierzy, że jestem heretykiem? Kto? Kto mógłby rzucić na mnie oszczerstwo? Ojcie, wiecie, że jestem dobrym katolikiem. – Zwróciłem się do przeora, który

był mi starym przyjacielem i tak dobrze znał moje kłopoty sercowe. – Musicie wiedzieć, że to jest nonsens.

Ale przeor wstał z krzesła jakiś nieswój.

– Nic nie wiem – mruknął. – Są inne dowody...

– Co? Jakie dowody?

– Posiadanie traktatu Pietra di Giovanni Olivii! – krzyknął Piotr Julian. – Zaprzeczysz, że tę nieczystą księgę znaleziono w twoim pokoju?

Teraz, w tej krytycznej chwili stało się dla mnie jasne, że byłem poddany śledztwu. Moją cele przeszukano, być może wypytywano o mnie ludzi. Doszedłem do wniosku, że postępowanie w sprawie mojej prawomyślności musiało się odbyć, kiedy byłem w Casseras.

Nie dziwiło już mnie, że Piotr Julian był „zbyt zajęty”, by przesłuchać Jordana Sicre. Bez wątpienia był zajęty ważniejszymi sprawami: a dokładnie niszczeniem mojej reputacji.

– W twojej celi, bracie Piotrze Julianie, są księgi dotyczące przywoływania demonów – powiedziałem, pozostając pozornie spokojnym, chociaż w głębi duszy drżałem. – Nikt jednak nie sugeruje, że oddajesz się takim praktykom.

– Prace Pietra di Giovanni Olivi zostały potępione jako heretyckie.

– Niektóre jego idee zostały potępione, nie w całości jego prace. Poza tym znajdziesz tę księgę w bibliotece franciszkanów.

– I w rękach wielu beginiek.

– To prawda. Dlatego zamierzałem ją spalić. Nie zgadzam się z jej tezami.

– Doprawdy? – ton Piotra Juliana był wątpiący. – Dlaczego więc ta księga jest w twojej celi, bracie? Czy została ci podarowana?

– Skonfiskowałem ją.

– Komu?

Wiedząc, że prawda obciąży Alkaję, powiedziałem wymijająco: – Zbłąkanej duszy.

– Heretykowi? Heretykowi, któremu nie tak dawno pozwoliłeś uciec, nie powstrzymując go przed opuszczeniem klasztoru?

Zdziwiony spojrzałem na przeora Hugona. On zaś patrzył na swoje dłonie.

– Heretykowi? – powiedziałem. – Jakiemu heretykowi?

– Brat Tomasz twierdzi, że zwrócił twoją uwagę na heretyka, który zebrał u bram klasztoru. – Piotr Julian przechylił się do przodu. – Twierdzi, że poszedłeś za tym człowiekiem. Ale zgodnie ze słowami Ponsa nie aresztowałeś go, nie oskarżyłeś i nie uwięziłeś. Pozwoliłeś mu uciec.

– Ponieważ on nie był heretykiem. – Niewątpliwie rozpoznaliście „heretyka” po tym opisie. Chciałem ochronić jego anonimowość, a zarazem bronić siebie. – To był familiar przebrany za heretyka.

– Familiar? – powiedział Piotr Julian kpiąco. – A kim jest ten familiar, słucham? Gdzie można go znaleźć?

– Nie możesz go znaleźć. Ja nie mogę go znaleźć. Jest szpiegiem i jego życie straciłoby wszelką wartość, gdyby stało się powszechnie wiadome, że często kontaktuje się z inkwizytorem heretyckiej nieprawości. – Świadom tego, jak niewystarczające może się wydawać to wyjaśnienie, starałem się je uczynić bardziej przekonującym: – To on poinformował mnie o miejscu pobytu Jordana Sicre. Szpiegował dla mnie w Katalonii i znał Jordana z wcześniejszego uwięzienia. Podjął wielkie ryzyko, przychodząc tutaj. Potem odszedł i... szczerze mówiąc, wiem tylko tyle, że za osiemnaście miesięcy będzie w Alet-les-Bains.

Nastała chwila ciszy, podczas której zebrani trawili tę informację. Przeor Hugon wyglądał na oszołomionego, biskup na zmieszanego, seneszał na szczerze niewzruszonego.

– Osiemnaście miesięcy – mruknął jakby do siebie – jak wygodnie.

– Bardzo wygodnie – przyznał Piotr Julian. – A możemy poznać nazwisko tego tajemniczego sprzymierzeńca?

– To by wam nic nie dało. On występuje pod wieloma nazwiskami.

– Wiec podaj nam je wszystkie.

Zawahałem się. Prawdę mówiąc, nie chciałem wciągać w to mojego cennego familiara. Ale wiedziałem, że jeśli odmówię podania nazwisk, może to być postrzegane jako nieposłuszeństwo, wymieniłem je więc z oporem. Mimo wszystko było to działanie podjęte w obronie tego człowieka; lepiej, żeby został publicznie rozpoznany jako sługa Świętego Oficjum niż oskarżony jako heretyk.

Dostarczyłem też Piotrowi Julianowi *effictio* i poprosiłem go, by postępował ostrożnie, jeśli zamierza przepytac nieuchwytnego „S” jako świadka.

– Jeśli musisz zatrzymać tego człowieka, nie podawaj nikomu powodów – powiedziałem.

– On musi być aresztowany jako Doskonały, nie jako szpieg.

– On jest Doskonałym?!

– On udaje, że jest Doskonałym.

– I on dał ci traktat o ubóstwie?

– Oczywiście że nie. Dlaczego katarski Doskonały miałby posiadać księgę Pietra di Giovanni Olivi?

– Ach tak! Więc przyznajesz, że on jest Doskonałym!

– Och! – traciłem cierpliwość. – Ojciec Hugonie, to błazeństwo posunęło się za daleko. Przecież wy wiecie, że zarzuty są bezpodstawne. Czy wystąpisz jako mój kompurgator? Będziesz jednym z wielu.

Przeor spojrział na mnie posępny wzrokiem. Przez krótką chwilę milczał. Potem zmarszczył się, westchnął i powiedział niewyraźnie:

– Bernardzie, ja wiem, skąd ten traktat pochodzi. Powiedziałaś mi, pamiętasz? I wiem, dokąd zawiodły cię twoje namiętności. – Kiedy patrzyłem na niego przerażony, dodał: –

Może zawiodły cię dalej, niż myślałem. Przestrzegałem cię, Bernardzie. Długo o tym rozmawialiśmy.

– Czy wy...

– Nie. Nie złamałem tajemnicy spowiedzi. Wyraziłem jedynie swoje wątpliwości.

– Swoje wątpliwości?! – byłem wściekły. Nie, to określenie niewłaściwie oddaje mój stan. Ogarnęło mnie szaleństwo byłem rozwścieczony. Mógłbym go zabić. – Jak śmiałeś?! Jak śmiałeś choćby rozważać osądzanie mnie, ty bezmyślny, kluchowaty, tchórzliwy analfabeto?! Skąd ci przyszło do głowy, że masz szansę pojąć cokolwiek z tego, co mówię albo robię?

– Bracie...

– I pomyśleć, że ja ci ślubowałem! Więc możesz mnie zdradzić przed człowiekiem, który ma głowę pełną mokrej wełny! Odpowiesz za to, Hugonie, odpowiesz za to przed Bogiem i przed wielkim mistrzem!

– Zawsze byłeś krnąbrny! – krzyknął przeor. – W kwestii Duranda z Saint-Pourcain i jego pracy...

– Och, rozum ci odjęło? Durand z Saint-Pourcain! Nieporozumienie co do definicji!

– Możesz być nieprawomyślny! Nie zaprzeczaj temu!

– Zaprzeczam temu stanowczo!

– I to jest twoje przyznanie się? – nagle wtrącił Piotr Julian. – Czy zaczniemy od tego, że oznajmiasz, iż jesteś niewinny, bracie Bernardzie?

Patrzyłem na niego przez chwilę zmieszany. Potem zobaczyłem, że notariusz czeka, i wyrzuciłem z siebie odpowiedź.

– Niewinny! Tak, jestem niewinny! I są inni, którzy staną się moimi kompurgatorami! Inkwizytorzy! Przeorzy! Kanonicy! Nie jestem zupełnie pozbawiony przyjaciół, a jeśli znajdzie taka konieczność, odwołam się do papieża! Cały świat usłyszy o tej haniebnej mistyfikacji!

Powiedziałem aż tyle, ale już wiedziałem, że są to czcze groźby. Zebranie takich stronników potrwałoby długo, a mój czas był ograniczony. Kiedy ja będę pisał i wysyłał listy, moja ukochana znajdzie się w wielkim niebezpieczeństwie. Piotr Julian bez skrupułów użyje tortur, co do tego nie miałem wątpliwości. I właśnie wtedy, prorokując potępienie wrogów, jednocześnie skupiłem swe siły na obmyśleniu ucieczki.

Rozważyłem jaką bronią jeszcze dysponuję i zadałem sobie pytanie, jak można jej użyć.

– Jak się nazywacie, kobieto? – zapytał Piotr Julian.

I usłyszałem, jak Alkaja odpowiada, że nazywa się Alkaja z Rasiers.

– Alkajo z Rasiers, jesteś oskarżona o zbrodnię herezji. Przysięgasz na Święte Ewangelie mówić prawdę, całą prawdę i tylko prawdę na temat zbrodni herezji?

– Alkajo – przerwałem – musisz zażądać czasu do namysłu. Musisz się domagać dowodu infamii.

– Cisz! – Seneszał popchnął mnie gwałtownym, groźnym ruchem. – Ojciec Piotr Julian już z tobą skończył.

– Dowód infamii? – zapytała Alkaja, wyraźnie zdziwiona.

Ale nie zdążyłem wyjaśnić jej tego pojęcia, ponieważ Piotr Julian podetknął jej pod nos Pismo Święte i nakazał złożyć przysięgę.

– Przysięgaj! – powiedział. – Czy może jesteś heretyczką i boisz się przysięgać?

– Nie. Chętnie złożę przysięgę, chociaż nigdy bym nie skłamała.

– Przysięgaj zatem.

Zrobiła to, uśmiechając się do świętego tekstu, a ja się bałem. Wiedziałem bowiem, że ze wszystkich czterech kobiet Alkaja w swoim życiu najbardziej zbłądziła ze ścieżki prawomyślności. I miałem świadomość, że nie będzie się starała ukryć tego faktu przed swoim prześladowcą.

– Alkajo z Rasiers – ciągnął Piotr Julian – czy kiedykolwiek słyszałaś, żeby ktoś nauczał i twierdził, że Chrystus i apostołowie nie posiadali niczego, osobiście ani wspólnie?

– Alkajo – powiedziałem szybko, zanim zdołała odpowiedzieć i sama siebie oskarżyć – musisz zażądać czasu do namysłu i dowodu infamii.

– Cicho bądź! – Tym razem senezal uderzył mnie dłonią w głowę, a ja uchyliłem się i zadałem mu cios w ramię.

– Dotknij mnie raz jeszcze – ostrzegłem – a pożałujesz.

W oczach Rogera mignęła iskra.

– Doprawdy? – zapytał, uśmiechając się straszliwie.

Potem Piotr Julian zażądał, by usunięto mnie z sali, a Roger zarezerwował dla siebie przyjemność spełnienia tego żądania. Oczywiście byłem na tyle przenikliwy, by odkryć swój los i chciałem odwołać się do przeora o pomoc. Ale senezal nie pozwolił mi tego zrobić, zdecydowanie chwytając mnie za ramiona i wyprowadzając z sali.

Co miałem robić? Potępiacie mnie za to, że nastąpiłem mu na nogę albo że wrażliwym mu w żebra łokieć, kiedy jego chwyt osłabł? Przypomnijcie sobie proszę, że zostałem najokrutniej potraktowany przez tego człowieka, którego tak długo uważałem za przyjaciela. Przypomnijcie sobie proszę, że obaj pogrążyliśmy się w walce na śmierć i życie, i teraz sprowadziła się ona do aktów przemocy fizycznej.

Tak czy inaczej, zaatakowałem go, a on odpowiedział tym samym. Oczywiście nie miałem nadziei na zwycięstwo. Chociaż przewyższałem senezala wzrostem, byłem słabszy i niewprawiony w sztuce walki. Co więcej, nie miałem za plecami sierżantów, którzy by mnie wsparli. Kiedy Roger zatoczył się, trzymając się za klatkę piersiową, dwaj żołnierze przy drzwiach jednym ruchem mnie dopadli i zasypali ciosami. Skrywając głowę przed razami, padłem na kolana, jak przez mgłę słysząc rozpaczliwe protesty Joanny, zanim kopniak wymierzony między łopatki rzucił mnie na ziemię.

Pamiętam, że leżałem twarzą w dół, wzdrygając się w oczekiwaniu na następne uderzenie. Powoli docierało do mnie, że cios nie padnie. Z wolna cichło dzwonienie w moich uszach, zacząłem słyszeć inne dźwięki – krzyki, płacze, wzywanie pomocy. Usiadłem. Przez łzy

bólu widziałem szalejącą awanturę. Zobaczyłem, jak senezal broni się przed Babilonią, która wbija weń paznokcie i gryzie go niczym dzikie zwierzątko, a sierżanci pędzą mu na pomoc. Jeden z nich walnął ją pałką w plecy, tak że się wygięła. Wtedy Alkaja wdarła się między dziewczynę a sierżanta, a Joanna skoczyła na niego. Piotr Julian zanurkował za krzesłem. Co działo się dalej, nie umiem odtworzyć, ponieważ cios który później spadł na moją czaszkę, pozbawił mnie pamięci. Wiem tylko, że ogłuszony, próbowałem odciągnąć Joannę z pola walki.

Wtedy zobaczyłem gwiazdy, a potem przez krótki czas nie widziałem nic.

Powiedziano mi, że zostałem powalony pałką użytą wcześniej przeciwko Babilonii. Dowiedziałem się też, że Joanna, myśląc przez chwilę, że nie żyję, wszczęła lament tak przeszywający, że postawiła na nogi całą salę. Wszyscy oprzytomnieli. Sierżanci opuścili broń. Seneszał nerwowo szukał mojego pulsu, a Alkaja zaczęła się modlić. Kiedy jak podпиты odzyskiwałem świadomość, przyciszonymi głosami zdecydowano, że zgromadzenie powinno się może tymczasowo rozejść.

I tak się stało, że znalazłem się w izbie strażników, nie mając najmniejszego pojęcia, jak do tego doszło.

Więżniom głosił wolność

Spałem i budziłem się, ponownie zasypiałem i znów się budziłem. Kiedy ocknąłem się po raz pierwszy, z bólem głowy, załomotałem do drzwi i zażądałem wyjaśnienia: dlaczego zostałem osadzony w odosobnieniu? Przez chwilę nikt nie odpowiadał. Potem usłyszałem z korytarza głos Ponsa; oznajmił mi, że jestem zatwardziałym heretykiem i stanowią zagrożenie dla innych. Być może powiedział coś jeszcze, ale nie pamiętam tego. Zmęczony zawrotem głowy, wróciłem do łóżka.

Kiedy znowu się obudziłem, mój umysł był jaśniejszy. Wiedziałem, gdzie jestem i dlaczego. Z bicia dzwonów wywnioskowałem, że jest seksta, i zastanowiłem się, co mogło wydarzyć od chwili, gdy mnie pobito. Bardzo, bardzo martwiłem się o Joannę. Byłem też spragniony, sztywny i obolały. Kiedy oddychałem, czułem ból w plecach.

Wstałem z pewnym trudem, po czym zacząłem walić w drzwi, póki nie przyszedł Pons.

– Co jest? – warknął.

– Potrzebuję wina. Jestem w boleściach. Poślij po brata Amiela z klasztoru.

Po krótkiej pauzie Pons powiedział:

– Muszę zapytać ojca Piotra Juliana.

– Zrób, co ci każe!

– Już nie, ojczu. Muszę zapytać ojca Piotra Juliana.

Po czym mnie opuścił i wtedy stało się oczywiste, że widoki na przyszłość są ponure. Jak miałem odwoływać się do papieża, skoro moja prośba o infirmariusza została tak niechętnie odebrana? Niewątpliwie czeka mnie pogarda, odosobnienie, odrzucenie. Jeśli chodzi o moich nielicznych przyjaciół, to ich przyjaźń musi być rzeczywiście silna, by mogła się oprzeć potępieniu Świętego Oficjum.

Siedząc na łóżku, które niedawno zajmowała Witalia, rozważyłem, co mogę zrobić. Możliwości było niewiele i nie przedstawiały się zbyt zachęcająco, stało się bowiem całkiem jasne, że jeśli nie mam pozostać w więzieniu, prześladowany przez Piotra Juliana i dręczony niepokojem o Joannę, muszę uciec. Zatrwożyła mnie już sama myśl o tym: jak miałbym tego dokonać? Mury były grube, w bramie stali strażnicy, drzwi do izby zamknięto i tylko Pons miał do nich klucz. Potem przyszło mi do głowy, że będę musiał uratować też kobiety i moje

serce zdjęła trwoga. Naprawdę wyglądało to na niewykonalne zadanie. Gdyby uwięziono je na dole, uwolnienie ich nie nastęczałoby wielkich trudności, albowiem drzwi celi *murus largus* były zamknięte zasuwą od zewnątrz. Ale moje własne drzwi, jak powiedziałem, były zamknięte na klucz – a poza murami więzienia miasto nie oferowało uciekającym heretykom żadnej przystani.

Mimo to przyszło mi do głowy, co mogę zrobić. Przede wszystkim musiałem się dowiedzieć, gdzie przebywa Joanna.

– Pons! – krzyknąłem. – Pons!

Nikt nie odpowiedział. Ale ja nie ustawałem, póki żona nadzorcy, prychając i parskając, nie oznajmiła mi, że jej mąż poszedł poszukać ojca Piotra Juliana.

– A czego chcesz tym razem? – zapytała.

– Chcę wiedzieć, gdzie są te kobiety.

– Na dole, oczywiście.

– W *murus largus*?

– Dzielą jedną celę.

– A czy ta cela ma okno?

– Nie, nie ma! – zdawała się czerpać jakąś satysfakcję z faktu, że może mi to właśnie powiedzieć. – To na południowym końcu, w pobliżu schodów. Bez okien. Bardzo wilgotno. I twoje przyjaciółki jadają jak reszta więźniów.

Najwyraźniej moje żądanie, żeby kobiety karmiono z jej stołu, było dla niej wielką obrazą. Być może, tak sobie myślę, niemądrze postąpiłem, wydając jej takie polecenie. Przypuszczalnie o to, że teraz jest moim wrogiem, mogę obwiniać wyłącznie siebie.

Słuchając szurania jej oddalających się kroków, odtworzyłem w głowie plan więzienia i zdałem sobie sprawę, że Joanna jest niemal pode mną. Podłoga była jednak gruba i nie przepuszczała dźwięków. Nie miała żadnych szczelin, pęknięć, przez które mógłbym wsunąć list lub wyszeptać wiadomość. Co prawda i tak nie miałbym czym napisać listu, nie dysponowałem bowiem piórem ani pergaminem. Gdybym chciał się odwoływać do moich wpływowych przyjaciół, potrzebowalibyśmy stosownego wyposażenia. A kto się ośmieli przynieść mi je?

Durand – pomyślałem. Durand mi je przyniesie.

Zastanawiałem się nad tym, kiedy przybył brat Amiel z uprzejmości Piotra Juliana.

– Oto twój kręgarz – oznajmił Pons, pobrzękując kluczami. Potem otworzył drzwi i wepchnąwszy przez nie brata Amiela, zamknął je znowu i przekręcił klucz. – Jeśli będziecie mnie potrzebować – powiedział – zawołajcie. Idę do kuchni, tu niedaleko.

Kiedy brzęczenie kluczy ucichło, oznajmiając odejście Ponsa, brat Amiel przybrał skrzywioną minę. Obejrzał cały pokój z wyraźną dezaprobatą, zanim jego spojrzenie spoczęło na mnie. Wtedy jego bujne brwi uniosły się wysoko.

– No tak – powiedział. – Widzę, że ktoś tu się bardzo pochorował, bracie Bernardzie.

- Bardzo.
- Gdzie boli?

Powiedziałem mu, a on sprawdził, czy moje kości nie są połamane. Nie znalazłszy żadnego złamania, wydawał się stracić zainteresowanie; stwierdził, że siniaki zejda, a obrzęk ustąpi. Nałożył mi okład z bandaża i maści, które wydobyl ze skórzanej torby.

– Hyzop, piołun, żywokost – oznajmił. – Trochę majeranku. I wywar na ból, ale musi być ciepły. Czy dozorca podgrzeje wam go?

– Nie wydaje mi się.

– Trzymaj go więc pod ubraniem. Może temperatura twego ciała wystarczy. – Kładąc dłoń na zakorkowanej, glinianej butelce, powiedział, że zaczeka, aż spożyję wywar. – Mówią, że jesteś heretykiem – dodał. – To prawda?

– Nie.

– Wydaje się nieprawdopodobne. To właśnie powiedziałem bratu Piotrowi Julianowi.

– Kiedy?

– Wczoraj rano. Rozmawiał ze wszystkimi braćmi po kolei. Pytał o ciebie. – Ton głosu Amiela był nieco obojętny. On sam zawsze sprawiał na mnie wrażenie człowieka bardziej zainteresowanego umarłymi niż żywymi. – Pytał mnie o mojego królika.

– Twojego królika?

– Mojego zabalsamowanego królika.

– Och – zrozumiałem. – Powinieneś być ostrożny – poradziłem. – On ma dziwne pomysły na temat zdechłych zwierząt.

– Co?

– Wszędzie widzi czary. Zachowaj czujność. On nie jest osobą rozsądną.

Brat Amiel był jednak zbyt mądry, a może zbyt obojętny, by kontynuować ten temat. Nie mogłem go winić. Obmawiania inkwizytora Świętego Oficjum zapewne lepiej unikać. Zapytał mnie o barwę moczu i zauważył, że w izbie strażników jest raczej zimno. Chciałem wiedzieć, czy jego wywar może podziałać na mnie usypiająco. Odpowiedział, że może.

– A zatem raczej go nie wypiję – odpowiedziałem. – Potrzebuję swojego rozumu, bracie. Mam listy do napisania.

– Zrobisz jak zechcesz. – Z gestem wskazującym na to, że zrzeka się wszelkiej odpowiedzialności za moje samopoczucie, Amiel schował wywar z powrotem do torby. – Powinieneś teraz odpocząć. Jeśli wystąpi krwawienie albo gorączka, należy mnie wezwać. Ale w tej chwili nic więcej nie mogę dla ciebie zrobić...

– Zaczekaj. Jest jedna rzecz, którą możesz dla mnie uczynić. Możesz znaleźć Duranda Fogasseta i powiedzieć mu, że muszę napisać kilka listów.

– Duranda Fogasseta?

– Jest notariuszem. Pracuje tam, gdzie ja pełniłem swoje obowiązki. Młody człowiek o niechlujnym wyglądzie, z mnóstwem ciemnych włosów wpadających do oczu. Zazwyczaj jest

poplamiony atramentem. Powinien być w skryptorium albo z ojcem Piotrem Julianem. Jeśli jest z nim, zostaw wiadomość któremuś z familiarów.

– Dobrze. I zależy ci na tym, żeby napisać dla ciebie kilka listów?

– Chcę, żeby dostarczył kilka listów w moim imieniu. Chcę, żeby przyniósł mi pióro i pergamin.

Brat Amiel zdawał się postrzegać to jako logiczne życzenie. Zapewnił mnie, że poszuka Duranda Fogasseta. Potem, pozdrowiwszy mnie na pożegnanie, wezwał Ponsa, który otworzył mu drzwi. Nie zamieniając ani słowa, obaj wyszli, znowu zostawiając mnie samego.

Ale teraz miałem już okład, który dawał mi ulgę. Był zimny i wilgotny, przycisnąłem go więc do moich pulsujących skroni. Zapach ziół zdawał się oczyszczać mój zamglony umysł.

Nagle przypomniałem sobie Lotara Carbonela, którego ojciec był zatwardziałym heretykiem.

Lotar to bogaty człowiek, a teraz, kiedy Rajmund Donatus nie żył, jego tajemnicę znałem tylko ja. Zastanawiałem się, jak wiele poświęci bogaty człowiek, by zatrzymać dla siebie wstydlivy sekret. O ile pamiętałem, Lotar z dumą utrzymywał stajnie. Bez wątplenia jego kuchnie były dobrze zaopatrzone. I na pewno nie zauważyłby braku jednej czy dwóch sztuk odzieży, może... butów... albo krótkiej tuniki...

Z dobrym koniem i przewagą, którą daje zaskoczenie, można by wyprzedzić każdy pościg. Ale wciąż pozostawały nierozwiązane problemy kluczy i strażników. Poranna zmiana nie była zbyt liczna, a to dzięki uszczupleniu inkwizytorskiego budżetu; oprócz dwóch strażników stojących przy wejściu do więzienia, dwóch patrolowało razem wewnątrz budynku, a jeden miał za zadanie nie wpuszczać nikogo do siedziby przez drzwi wejściowe. Familiarzy do tej pory wyznaczani do tego ostatniego obowiązku wykazywali się pewnym niedbalstwem, przynajmniej jeśli chodzi o winowajców rodzaju żeńskiego... W każdym razie – pomyślałem z rosnącym podnieceniem – strażnik tu nie przyjdzie. Brat Lucjusz zawsze przybywa o świcie i będzie w skryptorium. Nie zobaczy nas, ponieważ drzwi do więzienia są w przyziemiu.

Zastanowiłem się, jak przejść przez te drzwi. W nocy były zawsze zamknięte na klucz, ale rano otwierał je brat Lucjusz. Niewątpliwie wyjście o świcie wykluczyłoby wszelkie trudności. Ale moje serce zamarło, kiedy zdałem sobie sprawę, że wciąż pozostaje problem izby strażników. Klucze do niej miał Pons. Nigdy nikomu ich nie przekazywał. Gdybym próbował uciec, musiałbym zdobyć te klucze, a jaką miałem szansę to zrobić? Mogłem go jedynie zaatakować. Kiedy już będzie obezwładniony, zdołam go może skrępować, zakneblować, a może nawet zamknąć w izbie. Jego żona i dzieci będą już w łózkach, a ja bez trudu ominę ich mieszkanie, schody bowiem niemal przylegały do pokoju strażników. Ledwie jeden bieg stopni w dół, by dotrzeć do celi Joanny, a stamtąd jeszcze jeden bieg w dół i już byśmy dotarli do wejścia do siedziby. Musiałbym uniknąć strażników, przeprowadzić moje towarzyski przez stajnie i uciec na koniach podarowanych przez Lotara Carbonela – czy to był plan do zrealizowania?

Nie był może nieprawdopodobny, ale na pewno nie do przeprowadzenia. Choć nieco otyły, Pons był bardzo zwinny, i zdecydowanie nie nazwałbym go słabeuszem. Co więcej, często nosił nóż. Jeśli zawołam go, gdy będzie w łóżku, może nawet nie mieć przy sobie broni, ale i tak istniała możliwość, że to ja zostanę obezwładniony. A bójka w każdym razie na pewno zaalarmowałaby jego rodzinę. Nie sposób mocować się z człowiekiem na podłodze, nie wywołując przy tym żadnego hałasu.

Niepokoiliśmy się tym faktem i marszrutą patrolu, dopóki nie przybył Durand. Zanim go zobaczyłem, usłyszałem, jak rozmawia z Ponsem. Nadzorca zadawał jakieś obcesowe pytania, ale wydawało się, że przekonało go mamrotanie Duranda (mogłem odróżnić ton tych uwag, ale już nie ich treść, mężczyźni rozmawiali bowiem w kuchni). W każdym razie dobyto kluczy i drzwi izby strażników stanęły otworem. Kiedy Durand przekroczył próg, byłem zdumiony krzepiącym ciepłem, ulgą i radością, które poczułem na jego widok.

Niósł kilka ksiąg, a także arkusz pergaminu. Wyglądał blado.

– Przyniosłem kilka rejestrów – zauważył, rozglądając się na boki, kiedy Pons, głośno okazując niezadowolenie, zamykał za nim drzwi. – Chciałbym wyjaśnić kilka rzeczy.

– Naprawdę? – Nie mogłem sobie wyobrazić, o cóż takiego może chodzić, szczerze zaskoczyła mnie jego wypowiedź. Wkrótce jednak zrozumiałem, albowiem kiedy wcisnął rejestr w moje ręce i pozwolił, żeby się otworzył, zobaczyłem długi, cienki, złowieszczo ostry nóż wsunięty między kartki. Rozpoznałem w nim nóż zwykle używany do ostrzenia piór.

– Tu, widzicie? – Wciąż patrzył na drzwi. – Pomyślałem, że może wiecie, co zrobić.

Byłem niemal zbyt zszokowany, by mówić. Ale w końcu odzyskałem głos.

– Durandzie, ty... to nie należy do twoich obowiązków – starannie dobieierałem słowa. – Zostaw to tak, jak jest. Nie kłopotz się.

– Ależ to jest mój obowiązek. To trzeba poprawić.

– Ale nie ty, przyjacielu. Teraz to zostaw.

– Doskonale. Zostawię to. – Wyjmując nóż z ukrycia, przeszedł do łóżka, z którego wstałem, by go powitać i wcisnął broń pod koc.

Chwytając Duranda za ramiona, przyciągnąłem go do siebie.

– Weź go z powrotem – wyszeptalem mu prosto do ucha. – Będziesz w to wplątany.

Pokręcił głową.

– Jeśli mnie zapytają – odpowiedział najcichszym szeptem – powiem: „Tak, dałem mu nóż do zaostrenia piór. Dlaczego nie?”. – Potem, jakby świadom niewidocznych słuchaczy, znowu podniósł głos. – Ojciec Amiel miał szczęście, że mnie znalazł – oznajmił, wpatrując się intensywnie w moją twarz. – Przez cały ranek pracowałem z ojcem Piotrem Julianem, który przesłuchiwał jedną z waszych dam. Tę starszą. Alkaję. – Wstrzymałem oddech, a on pośpiesznie zapewnił mnie, że przesłuchanie nie odbyło się w dolnym donżonie. – Nie było potrzeby. Ona okazała się bardzo szczerą. Mówiła o Montpellier, o księżce Pietra Olivi i... i o innych rzeczach. Ojciec, ona była... Ojciec Piotr Julian jest bardzo szczęśliwy.

Wiedziałem, że to jest ostrzeżenie. Skoro Piotr Julian był szczęśliwy, to Alkaja musiała sama siebie obciążyć. A jeśli Alkaję obwiniono o herezję, to mnie można było oskarżyć jako tego, który sprzyjał heretykom.

– Muszę napisać kilka listów – oznajmiłem, świadom upływu czasu. – Poczekasz i dostarczysz je w moim imieniu? Nie powinienem zatrzymywać cię tak długo.

Durand zgodził się. Pokazał mi, co przyniósł z materiałów piśmienniczych. Wydawało mi się roztropne, żeby mój list do Lotara był ukryty wśród innych, tak aby wina za moją ucieczkę, jeśli do niej dojdzie, spadła nie na jedną osobę, lecz na kilka. Dlatego też zaadresowałem apelacje do dziekana od Świętego Polikarpa, i do królewskiego skarbnika konfiskat, i do inkwizytorów Carcassonne i Tuluzy. Zapytywałem, czy nie wystąpiliby jako moi kompurgatorzy, wiedząc, że jestem człowiekiem bezspornej pobożności i ortodoksyjnej wiary. Podkreślałem potrzebę współpracy, żeby nie zachęcać Piotra Juliana do ataku na coraz większą liczbę dobrych i wiernych sług Chrystusowych. Wspominałem i cytowałem Pismo Święte.

Na szczęście nie musiałem pisać każdej prośby osobiście. Durand – który przyniósł ze sobą kilka piór i tyle atramentu, że wystarczyłoby do zatopienia garnizon i skopiował mój pierwszy list, zmieniając jedynie nazwiska i miejsca przeznaczenia (każdy list miał bowiem identyczną treść). Siedzieliśmy głowa przy głowie przy stole strażników, skrobiąc zawzięcie, nie mając śmiałości zaostrzyć piór. Dwukrotnie przerwał nam Pons, który najwyraźniej przedłużając się ciszę w moim pokoju uznał za wysoce podejrzaną; nasza mnisza pracowitość zdawała się go jednak uspokoić. I za pierwszym, i za drugim razem wycofał się bez słowa.

Durand w ogóle na to nie zareagował, jeśli nie liczyć podniesienia brwi. Po prostu spojrzął na mnie, uśmiechnął się i kończył swoją kopię.

Chciałbym tu zauważyć, że Durand, chociaż powolniejszy niż Rajmund, mógł poszczycić się naprawdę wybornym piśmem, kiedy już okoliczności pozwalały mu się wykazać. Dziwne, że taki niezdarny, rozczochrany młodzieniec był w stanie wytworzyć taką czystą, wdzięczną, harmonijną kaligrafię. A może to pisanie było odbiciem jego duszy. Albowiem miałem powody wierzyć, że pod nieco niesfornym habitem i niestarannym wyglądem leżała gruba warstwa niesprzedajnej cnoty.

Pod każdym względem był miłosiernym człowiekiem.

Oczywiście widzę to teraz, po długich dniach rozważań. W owym czasie moim myśłem było daleko do tej kwestii. Wówczas byłem zajęty listem do Lotara Carbonela. Wiedziałem, że umie czytać, ale tylko w języku pospolitym: był nie do końca piśmienny. Dlatego musiałem sformułować wiadomość w langwedockim, używając prostych słów, jakbym się zwracał do dziecka. Zwięźle powiadomiłem Lotara, że znalazłem nazwisko jego ojca w rejestrach Świętego Oficjum, że jeśli chce zachować swoją pozycję, własność i dobre imię swoich dzieci, musi mi dostarczyć cztery osiodłane konie, tunikę, płaszcz, buty, chleb, wino i ser, które mają być mi dostarczone pod wejście do stajni Świętego Oficjum o świcie następnego dnia.

Dodałem, że na dowód dobrej wiary (albowiem niepokoiłem się, czy zdołam sobie zapewnić jego bezwarunkowe posłuszeństwo) sprezentuję mu wspomniane wcześniej księgi wzmiankujące jego ojca, by uczynił z nimi, co zechce.

Pomyślałem bowiem, że ze strony brata Lucjusza nie będę miał żadnych problemów. Przez jakieś przeoczenie – a może dlatego, że nikomu nie przyszło do głowy, że mógłbym ich użyć – miałem wciąż przy sobie swoje klucze do skrzyń z rejestrami. Gdybym zboczył nieco z kursu i odwiedził skryptorium w drodze ze Świętego Oficjum, brat Lucjusz nie powstrzymałby mnie od zabrania rejestru. Był taki nieduży i łagodny, i taki posłuszny. Gdybym mu powiedział, że zostałem uwolniony z więzienia, nie podejrzewałby, że kłamię. Dlaczego miałby podejrzewać, skoro dysponuję niezbędnymi kluczami? Być może (i tu moja świadomość nieco mnie ogłuszyła) stanie się on przedmiotem surowego śledztwa, jeśli nieobecność rejestru kiedykolwiek zostanie zauważona. Ale szczerze wątpiłem, że padnie na niego najłżejsze choćby podejrzenie o ukrywanie heretyka. A jeśli utrzyma usta zamknięte na klucz – w końcu milczenie było jego zwyczajem – istniała niewielka szansa, że jego pomyłka zostanie odkryta.

W związku z tym dałem ową obietnicę dotyczącą rejestru i podkreśliłem ją dla uwyrażnienia. Potem złożyłem list starannie, aż był tak mały, by zmieścić się w dłoni. W końcu napisałem na nim imię Lotara.

– Najpierw weź ten – powiedziałem, wskazując imię i czekając, aż Durand skinie głową. Otrzymałszy jego potwierdzenie, wsunąłem dokument pod karczek jego tuniki, tak żeby spadł pomiędzy jego pierś a szorstką, zieloną wełnę. – Wiesz, gdzie masz iść?

– Tak, ojcie.

– Musisz udać się prosto do niego i zaczekać na odpowiedź. Zapytaj go: tak czy nie. A potem znajdź sposób, by mi tę odpowiedź przekazać.

– Tak, ojcie.

– Może znajdziesz wosk na moim biurku. Gdyby te listy zostały zapieczętowane, byłbym szczęśliwszy.

Durand znowu skinął głową. Nie było już nic do powiedzenia – przynajmniej nic, co mógłby usłyszeć nadzorca. Wstaliśmy razem, jakby w odpowiedzi na cichy dzwon i notariusz umieścił większość korespondencji (oprócz tego nader ważnego listu do Lotara Carbonela) pomiędzy kartami rejestru. Przez chwilę zdawał się przyglądać mi, spoglądając spod swoich niesfornych włosów. Potem powiedział po łacinie:

– Idź szczęśliwie.

Odpowiedziałem w tym samym języku, jakby intonując modlitwę:

– Niech Bóg cię błogosławi, mój drogi przyjacielu, i uważaj na siebie. – Objęliśmy się mocno. Poczułem, że wyraźnie pachnie winem.

Kiedy go puściłem, zebrał swoje księgi, pióra i pergamin, i zawołał Ponsa. Nic nie mówiliśmy, nasłuchując zbliżającego się brzęku kluczy; może nasze serca były przepełnione. Zanim jednak opuścił pokój, powiedziałem do niego:

– Czy wciąż masz problemy z żołądkiem, mój synu? Mam nadzieję, że nie stanowi to przeszkody, byś pracował tutaj. – A on uśmiechnął się do mnie szeroko przez ramię.

Wtedy właśnie widziałem go po raz ostatni.

Święty Augustyn powiedział o przyjaźni jak ktoś, kto zaznał błogosławieństwa w najczystszej formie. „Uczyliśmy siebie nawzajem i nauczyliśmy się od siebie nawzajem – napisał o swoich przyjaciółach. – Kiedy niektórzy z nas byli nieobecni, tęskniliśmy za nimi niemal boleśnie i witaliśmy ich radośnie po powrocie. Tak właśnie przejawia się miłość przyjacielska, jak również innymi drogami: wyrazem twarzy, słowem i spojrzeniem i tysiącem gestów. Są one jak iskry, rozpalające nasze dusze”.

Jaki gest może być bardziej przyjacielski niż uratowanie przyjacielowi życia? Teraz, za późno, wiem, że Durand był moim prawdziwym przyjacielem. Wierzę, że mogliśmy być przyjaciółmi zgodnymi z definicją i celebracją Cycerona. Ale wierne przywiązanie notariusza było takie powściągliwe i nieśmiałe, niczym skromny i delikatny kwiatek, że całe zdeptałem butami. Oślepiiony płonąca pasją, którą dzieliłem z Joanną z Caussade, nie rozpoznałem z początku cichszej, spokojniejszej, chłodniejszej życzliwości.

Dar taki jak ten jest jednym z największych błogosławieństw Boga: większym, jak mówi Cycero, niż ogień i woda. Pielęgnuję w pamięci przyjaźń Duranda. Trzymam ją blisko serca.

Łaska Jezusa Chrystusa i miłość Boga, i obcowanie Ducha Świętego niech będzie z nim.

Reszta dnia mijala bardzo wolno. Spędziłem ją na spaniu i na zadręczaniu siebie, podlegając tak wielkim wzburzeniom ducha, że były niemal nie do zniesienia. Z pewnością się modliłem, ale nie znajdując w tym spokoju. W porze niesporów, albo mniej więcej w tym czasie, pod moje drzwi wsunięto kartkę; widniało na niej słowo „tak”, a ja rozpoznałem pismo Duranda. Nawet to jednak nie zdołało ukoić mojej strapionej duszy. Skierowało mnie jedynie ku przeświadczeniu, że moje przedsięwzięcie jest przerażające, rozpaczliwe i z wszelkim prawdopodobieństwem skazane na klęskę.

Ani razu nie widziałem Piotra Juliana. Jego nieobecność powiedziała mi, że wciąż jest zajęty Alkają i jej przyjaciółkami; jeśli tylko zdobył wystarczający dowód przeciwko nim, użyje go, by rzucić na mnie oskarżenie. Jak możecie oczekiwać, moja obawa o Joannę była przytłaczająca. A jeśli odrygluję drzwi jej celi tylko po to, by stwierdzić... Boże miłosierny, że ona nie jest w stanie chodzić? Pamiętam, że kiedy ta możliwość po raz pierwszy przeszła mi przez głowę, wyskoczyłem z łóżka, wykręcając sobie przy tym ręce, i krążyłem po pokoju jak wilk w klatce. Pamiętam, jak waliłem się w głowę kostkami dłoni, w szaleńczej próbie od odpędzenia tych straszliwych obrazów.

Nie mogłem pozwolić sobie na rozważanie takich myśli. Doprowadzały mnie do szaleństwa i zaciemniały mój rozum. Rozpacz przynosi jedynie klęskę; jeśli ma mi się powieść, potrzebuję nadziei. „Dobrze jest czekać z milczeniem zbawienia Bożego”. Musiałem też obmyślić, jak związać dozorcę, i tę kwestię rozstrzygnąłem, kiedy dokładnie zanalizowałem swój strój. Pasem zwiążę mu ręce, a pończochami nogi. Okład włożę mu w usta jako knebel. Ale jak mam dokonać takiej skomplikowanej czynności, trzymając nóż przy jego gardle?

Gdybym miał go zabić, nie byłoby problemów. Przez chwilę rozważałem to wyjście, nim odrzuciłem je jako barbarzyńskie. Poza tym przyszło mi do głowy, że wcale nie muszę go krępować; zabiorę go ze sobą. Będę mógł zamknąć go w skrzyni Piotra Juliana albo poprosić Joannę, żeby go związała.

Mógłby posłużyć za zakładnika, gdybyśmy w którymś momencie spotkali patrol.

Takimi myślami zajęty byłem w długi, samotny wieczór. Kiedy dzwony dały znak na kompletę, odmówiłem modlitwę najlepiej, jak umiałem. Potem położyłem się do łózka, wiedząc, że sygnał na jutrznię, chociaż słaby, obudzi mnie – tak jak to czynił od wielu lat. Pomiędzy jutrznią a laudą będę się przygotowywał, albowiem bramy Lazet są otwierane o świcie, a lauda zazwyczaj kończy się w tym samym momencie. Dlatego więc, kiedy tylko dzwony oznajmią laudę, wprowadzę swój plan w czyn.

Takie były moje zamiary. Ale okazało się, że nie mogę spać nawet pomiędzy kompletą a jutrznią; leżałem, pocąc się, jakbym biegł całą drogę z Lazet do Carcassonne. (Zupełnie wedle słów „z bojaźnią i drżeniem zbawienie wasze sprawujcie”). Szybko zdałem sobie sprawę, że nie ma dla mnie spoczynku, póki Joanna jest w więzieniu, pogrążyłem się więc w modlitwie, aż słowa Ewangelii zaczęły uspokajać moją udręczoną duszę. „Pan oświecenie moje i zbawienie moje, kogóż się będę bał? Pan obrońca żywota mego, kogóż się będę lękał?” Tej nocy przed moimi oczyma przewinęło się wiele twarzy. W myślach pojawiło się wiele miłych i rzewnych wspomnień. Zrozumiałem, że moje życie, w pewnym sensie, jest skończone. Mogłem mieć jedynie nadzieję, że czeka mnie nowe.

U świętego Dominika szukałem wybaczenia. U Boga, Pana naszego, szukałem wybaczenia. Moje śluby leżały zniweczone. Byłem rzucony na wody bez steru. A jednak wydawało się, że nie mam wyboru; miłość napędzała mnie jak wiatry nieba. Zastanawiałem się, jak mogło do tego dojść? Zawsze postrzegałem siebie jako grzecznego, wstrzemięźliwego, wrażliwego, a zarazem obdarzonego dumą i gniewem, ale nie wiedzionego skrajnymi odczuciami. Jak to się stało, że opuściłem drogę rozumu – porzuciłem swoją własną naturę?

Wygląda na to, że przez miłość. Albowiem jak śmierć potężna jest miłość, a jeśli by kto oddał za miłość całe bogactwo swego domu, pogardzą nim tylko.

Refleksje tego rodzaju raczej nie rozświetliły ciemności wokół mnie. Ale kiedy noc gęstniała, odstępował mnie strach, stawałem się potulny, a nawet niecierpliw. Chciałem działać. Pragnąłem rzucić swoimi kośćmi i zobaczyć, jak upadły. Usłyszawszy dzwony na

jutrznię, raz jeszcze powtórzyłem szeptem swoje zadanie, pomijając jedynie te działania, którym towarzyszyły słowa. Potem, po omacku szukając rękoma, zjadłem chleb, który mi wcześniej przyniesiono.

Cóż mogę wam powiedzieć o tym ostatnim, najczarniejszym, najdłuższym okresie oczekiwania? Słyszałem piski szczurów i daleki płacz dziecka. Czułem nóż pod głową. Widziałem najlżejsze smugi światła, sączące się pod drzwiami i przez dziurkę od klucza, rzucające przez lampę w korytarzu.

Poczułem się całkowicie porzucony.

Chwilami zastanawiałem się, czy ta noc nigdy się nie skończy. Myślałem sobie: czy światło się zmienia? Czy nadchodzi świt? Musiałem się zdrzemnąć w którymś momencie, skoro wydawało mi się, że Joanna wchodzi do pokoju i dołącza do mnie w łóżku, i pieści moją tonsurę. Oczywiście uznałem, że to niemożliwe i obudziłem się natychmiast, przerażony, że nie dosłyszałem dzwonów na laudę. Dopiero kiedy usiadłem z łomoczącym sercem, dotarło do mnie stłumione bicie i wiedziałem, co ono oznacza.

Nadszedł czas. Panie, Boże mój, do Ciebie się uciekam; wybaw mnie i uwolnij od wszystkich prześladowców.

Wcisnąwszy palec w gardło, zwymiotowałem na podłogę. Potem znowu się położyłem z nożem przyciśniętym do piersi i naciągnąłem koc pod brodę. Kiedy zawołałem po raz pierwszy, mój głos brzmiał jak krakanie; piszczałem jak szczury, które przemykały z kąta w kąt mojego pokoju. Kiedy jednak odchrząknąłem, zdołałem wydusić z płuc więcej powietrza, tak że moje wezwanie było głośniejsze. Bardziej naglące. Władcze.

– Pons! – zawołałem. – Pons, pomóż mi!

Nic się nie poruszyło, chociaż mój krzyk zdawał się odbijać jak grzmot w ciszy.

– Pons! Jestem chory! Pons, błagam!

A jeśli patrol usłyszy mnie szybciej niż Pons? Taka możliwość aż do tej pory nie przeszła mi przez myśl.

– Pons! Pons!!!

A jeśli odmówi przyjścia? A jeśli byłem skazany na to, by leżeć tu, w smrodzie własnych wymiocin, aż do wschodu albo i dłużej?

– Pomóż mi, Pons, jestem chory!

W końcu gderanie i szuranie stóp obwieściły nadejście nadzorcy. Złowieszczo jednak towarzyszyły im zawodzące jęki kobiecego głosu.

Wraz z nim nadchodziła żona.

– Co jest? – warknął, kiedy jego klucz grzechotał w zamku. – Co ci dolega?

Nic nie powiedziałem. Drzwi otworzyły się, skrzypiąc i stanęły w nich dwie osoby, ciemne na tle oświetlonej lampą korytarza. Jedna z nich – nadzorca – zamachała sobie ręką przed twarzą.

– Fu! – powiedział Pons. – Co za smród!

- Czy on nabrudził?
- Ojczy, co się stało?

Napinając się, wymamrotałem coś niezrozumiałego i jęknąłem. Dozorca podszedł do mnie.

- Może sam to posprzątać! – rzuciła kobieta, na co mąż kazał jej zamknąć usta.

Podszedł ostrożnie, starannie unikając wymiocin, które trudno było zauważyć w słabym świetle. Kiedy dotarł do mojego łóżka, schylił się i spojrzał mi w twarz.

- Jesteście chorzy? – zapytał.

Sięgnąłem po niego słabą, drżącą ręką. Wyszepiałem prośbę i szarpnąłem go za ramię. Marszcząc się, zbliżył ucho do moich ust.

I nagle stwierdził, że ma nóż na gardle.

- Powiedz jej, żeby przyniosła lampę – wydyszałem.

Widziałem, jak lśnią jego zęby. Dostrzegłem błysk jego oczu.

- Przynieś lampę! – polecił chrapliwie.
- Co?
- Przynieś lampę, kobieto! Natychmiast!

Mamrocząc złorzeczenia, poczłapała, by spełnić jego żądanie. Kiedy wyszła, bardzo cicho powiedziałem nadzorcy, że gdy ona wróci, musi jej kazać zamknąć drzwi. O dziwo, leżąc tam, nie doznawałem żadnego wstydu ani odrazy, chociaż czułem pod ręką szybki puls Ponsa, a jego oddech ogrzewał mój policzek. Miałem jedynie świadomość zimnego gniewu i silnego podniecenia, które nie było, obawiam się, rodzajem odwagi danej od Boga, ale czymś niższym i mniej cnotliwym.

– Jeśli powiesz cokolwiek głupiego – wysyczałem – umrzesz. Umrzesz, Pons. Czy to jasne?

Skinął głową niemal niezauważalnie. Gdy tylko jego żona znowu się pojawiła, powiedział:

– Zamknij drzwi – a w krótkiej chwili, kiedy ona była odwrócona do nas tyłem, ja usiadłem, przerzucając nogi na brzeg łóżka.

Kiedy zobaczyła, co robię, chwyciła łapczywie powietrze.

- Jeśli krzykniesz, on umrze – ostrzegłem. – Po prostu postaw lampę.

W odpowiedzi zaskamlała.

- Po-staw lam-pę – powtórzyłem.

– Na miłość Boską, postawisz w końcu tę lampę? – poczynił wymówkę mój zakładnik. – Zrób to! Szybko!

Posłuchała.

– A teraz: widzisz ten pas? I te pończochy? W nogach łóżka? – Starłem się nie odrywać wzroku od Ponsa. – Weź te pończochy i zwiąż mu nogi. Zrób to ciasno albo odetnę mu ucho.

Oczywiście nie uczyniłbym niczego takiego. Ale mój ton musiał być przekonujący, ponieważ kobieta ruszyła się z miejsca. Słyszałem, jak krząta się po omacku, słyszałem brzęk sprzączki. W końcu stanęła przede mną, ściskając mój skórzany pas.

Zmusiłem dozorcę, żeby usiadł z rękoma na kolanach, tak bym cały czas je widział. Patrzyłem, jak żona krępuje mu stopy, pouczając ją, jak ma to zrobić. Potem przywiązała mu ręce z tyłu do łóżka, a ja sprawdziłem oba wiązania, cały czas trzymając nóż przy gardle Ponsa. W końcu wepchnąłem mu okład w usta.

– A teraz zdejmij mu pas – rozkazałem. Albowiem Pons, chociaż fragmentarycznie odziany, zadał sobie trud wzięcia pasa, prawdopodobnie dlatego, że były doń przytroczone klucze. – Daj mi klucze. Nie, nie pas. Tym pasem zwiążę nogi tobie. Skrępuję ci też ręce.

– Oszczędź moje dzieci – łkała głupia kobieta, płacząc się z tkanym pasem swego męża.

Zapewniłem ją, że nie mam zamiaru krzywdzić jej dzieci, o ile ona nie narobi hałasu. I drugą pończochą przywiązawszy ręce kobiety do łóżka, zakneblowałem ją jej własną.

– Wybaczcie mi – powiedziałem, wstając w końcu, żeby przyjrzeć się swemu dziełu w świetle lampy (która była niespodziewanym błogosławieństwem). – Wybaczcie zapach. To było nieuniknione.

Gdyby Pons mógł mnie wtedy zabić, zrobiłby to. Ale musiał się zadowolić niemiłym spojrzeniem, przepojonym całą nienawiścią naturalną człowiekowi, który został poniżony przed własną żoną. Jeśli o mnie chodzi, podszedłem do drzwi, otworzyłem je ostrożnie i wyjrzałem. Nic nie zobaczyłem, nic nie usłyszałem. Zanosząc cichą modlitwę, wysunąłem się na korytarz i przekręciłem klucz w drzwiach izby strażników. „Czekając czekałem na Pana i skłonił się ku mnie. I wysłuchał prośby moje”. Jakże cudownie wiodła się do tej pory moja ucieczka! Jak łatwo udało mi się uczynić pierwszy krok!

Wiedziałem jednak, że nie mam powodu do radości, nie znając zmian warty więziennej. Albowiem wszystko, co wiedziałem, to że strażników rannej zmiany zastąpią inni. Wartownicy mogą być w kuchni dozorczy albo w drodze do niej. Niewykłuczone, że brat Lucjusz jeszcze nie przyszedł. Ogromna liczba okoliczności mogła mi przeszkodzić w ucieczce.

Co więcej, Pons i jego żona mogli narobić hałasu. Wcześniej czy później uda im się wypluć kneble albo uwolnić kończyny, w końcu ktoś ich usłyszy. Wiedziałem, że mam niewiele czasu. Niemniej jednak musiałem postępować z jak największą ostrożnością, schodząc krok po kroku schodami, nasłuchując zbliżających się familiarów ze wstrzymanym oddechem. Niestety, ktoś w *murus largus* był chory. Odgłosy jego jęków oraz przekleństw i obelg tych, którym zakłócał sen, utrudniały mi rozpoznanie stłumionego rytmu zbliżających się kroków. Kiedy jednak zszedłem na wschodni korytarz, nie dosłyszałem żadnych kroków – chociaż rozlegały się tu jęki, chrapanie i złorzeczenia, które mogły pochodzić od duchów, tak silnie zdawały się odcieleśnione (przez to, że ludzie wydający te odgłosy byli zamknięci za drzwiami). I przyszło mi do głowy, że ten zgiełk może zamaskować moją ostrożną wędrówkę.

Odnalazłszy więc celę, w której najpewniej znajdowała się Joanna i jej towarzyski, podszedłem do drzwi i wypowiedziałem imię mojej ukochanej, bez strachu, że usłyszysz mnie odległy patrol.

– Joanno? – powiedziałem, nerwowo spoglądając w dal kamiennego korytarza. – Joanno!

– Be... Bernard? – Jej odpowiedź była słaba i pełna niedowierzania.

Już miałem się do niej zwrócić raz jeszcze, kiedy ubiegł mnie stłumiony śmiech; natężywszy słuch, rozpoznałem brzęk kolczugi i stąpanie ciężkich butów. Ale z którego kierunku?

Od schodów, uznałem. Patrol wchodził z piętra pode mną.

To naprawdę szczęście, że więzienie zajmuje jedną z wież obronnych Lazet, albowiem wszystkie wieże miejskie są wyposażone w kręczone schody. W związku z tym byłem w stanie wycofać się z niższego poziomu niezauważony a i nieusłyszany, dzięki wyciu chorego więźnia. Wyczekując u szczytu schodów, świadom, że izba strażników i jej więźniowie leżą zaledwie cztery kroki od miejsca, w którym stoję, nakreślałem kurs dwóch uzbrojonych familiarów i modliłem się, żeby obrali swoją zwyczajną trasę.

Normalnie nie mieli obowiązku patrolować górnego piętra. Zazwyczaj nie było tu więźniów. Ale jeśli Pons zmienił warty, byłem w ogromnym niebezpieczeństwie.

– Do Ciebie wołam, Panie, prędko mi dopomóż; usłysz głos mój, gdy wołam do Ciebie – modliłem się. – Niechaj występni wpadną w swoje sieci, podczas gdy ja ujdę cało.

Możecie sobie wyobrazić moją radość i wdzięczność, kiedy ciężkie kroki, brzęk broni, wymieniane uwagi zaczęły cichnąć. Rozległo się silne pukanie i ostre polecenie – „Koniec tych hałasów albo stracisz język!” – po którym nastąpiła martwa cisza, zdająca się sugerować, że ten bezwzględny nakaz był skierowany do chorego więźnia.

Czekałem, aż strażnicy odejdą z zasięgu słuchu, wiedząc, że muszą sprawdzić całe *murus largus*, zanim zejdą z powrotem do *murus strictus*. Jeśli się pośpieszę, zdołam sprowadzić moich uciekinierów schodami w dół przed patrolem. Ale musiałem być bardzo, bardzo szybki.

Musiałem też być bardzo, bardzo cichy.

Ponownie dotarłszy do celi Joanny, nie oznajmiałem się już. Po prostu odryglowałem drzwi, krzywiąc się na każde szurnięcie i skrzypnięcie, pchnąłem je, by się otworzyły – i nagle połączyłem się z moją ukochaną. Stała przede mną (cała i zdrowa, Bogu niech będą dzięki!) i skryłbym ją w ramionach, gdyby okoliczności były mniej ryzykowne. W słabym świetle wyglądała na wychudzoną; włosy miała w nieładzie, a jej uroda była przyćmiona. A jednak kochałem ją czulej za tę cerę poszarzałą i pobrużdżone czoło.

– Chodźcie szybko – wyszeptałem, zaglądając w ciemności za nią. Chociaż celę zbudowano na jedną tylko osobę, teraz panował w niej tłok, podobnie jak w całym budynku.

– Babilonio? Chodź! Alkajo? – I wtedy zobaczyłem czwartą postać. – Witalia?!

– Przynieśli ją z powrotem ze szpitala – wychrypiała Joanna. – Spalili Alkai stopę.

Jej głos się załamał; Babilonia zaczęła głośno płakać.

– Ćśśś... – Przez chwilę poczułem się zagubiony. Myśli pędziły przez mój umysł i zdawały się zderzać ze sobą nawzajem. Będą tylko cztery konie, a Witalia spoczywała na łożu śmierci. Alkaję okaleczono, ale mogła jechać, jeśli ręce ma zdrowe. Powinienem ją nieść? Powinienem dać moją lampę i nóż Joannie? A co ze strażnikami? Najbliżsi więźniowie już zadawali pytania; wkrótce zaczną błagać o uwolnienie.

Moje błędzące spojrzenie znalazło Alkaję. Wyglądał na bardzo chorą; jej wilgotna twarz błyszcząca w świetle lampy. Ale jej oczy pozostały jasne i cierpiała spokojnie.

– Alkajo – zacząłem, wyciągając rękę.

Wtedy ona pokręciła głową.

– Idźcie – powiedziała cicho. – Nie mogę opuścić mojej siostry.

– Nie ma czasu się spierać...

– Wiem. Idź, moje dziecko. Mój pączusku. – I tutaj byłem świadkiem cudu największego może ze wszystkich. Albowiem kiedy Alkaja objęła Babilonię i wyszeptła jej coś do ucha, dziewczyna przestała płakać. Zdawała się słuchać uważnie, kiedy Alkaja wypowiadała jakieś proroctwa, niesłyszalne dla nas, a wprawiające Babilonię w zdumiewający spokój.

Wierzę, że to ręka Boga, działająca w tym momencie przez Alkaję, uspokoiła demony w duszy Babilonii. Cała sztywność odeszła z jej ciała; bez protestu pozwoliła, by przyjaciółka pocałowała ją i puściła. Podniosła się ciężko, lecz posłusznie i stanęła u boku matki.

Nagle przyszło mi do głowy, że nie wziąłem Babilonii pod uwagę. A co będzie, jeśli w trakcie ucieczki jej demon wpędzi ją w atak szału?

To był kolejny powód do pośpiechu.

– Chodźmy – ponagliłem Joannę. – Już! Zanim wrócą strażnicy.

– Błogosławię was – powiedziała Alkaja z miłością.

I to było jej pożegnanie, albowiem nie zgodziłem się na dalsze opóźnienie. Wypchnąłem Joannę i jej córkę z maleńkiej, cuchnącej, posępnej izby, każąc im co sił w nogach pędzić schodami w dół. Kiedy podążyły wykonać moje polecenie, z powrotem zarygłowałem drzwi celi, mając nadzieję, że opóźnię odkrycie naszej ucieczki. Wkrótce deptałem po skraju spódniczki Babilonii, schodząc do *murus strictus*.

U stóp schodów dogoniłem moje towarzyszki. Bez słowa zaprowadziłem je do drzwi, które były przedmiotem moich trosk. Czy zastaniemy je otwarte? Czy brat Lucjusz już przybył? Czy spotkamy strażnika z siedziby idącego do kuchni na górze?

Jeśli tak, pomyślałem, to go zabiję. I podniosłem nóż, przygotowując się do ataku.

Mieliśmy jednak szczęście. Drzwi były otwarte; w sieni, w której tyle długich dni spędziłem na ściganiu heretyckiej zarazy, nie czekał żaden familiar. Poczułem jednak niespodziewany zapach. Zapach dymu.

– Czekać – powiedziałem, zaalarmowany.

Kiedy zbliżyłem się do schodów, zaniepokoiłem się jeszcze bardziej, albowiem zapach przybrał na sile.

Odwróciłem się do mojej ukochanej.

– Zaczekajcie tutaj – wyszeptalem. – Jeśli coś się zdarzy, uciekajcie przez te drzwi. Otwierają się na ulicę. Może znajdziecie jakieś schronienie

– Czy tam jest... czy ty...?

– Chcę się upewnić, że mamy wolną drogę – powiedziałem. – Jeśli tak jest, wrócę zaraz. Patrz i módl się.

Musiałem wziąć lampę; nie miałem wyboru. Bez tego nie znalazłbym drogi do stajennych drzwi ani nie odryglowałbym ich w pośpiechu. Dla pewności wszedłem do stajni z nożem w gotowości, ale uprzytomniwszy sobie, że zapach dymu jest o wiele mniej wyraźny u dołu schodów, nie przewidywałem żadnego zagrożenia.

I miałem słuszną przeczucie. Nikt mnie nie zaatakował, kiedy darłem się do tej cuchnącej piwnicy; w słabym świetle rzucanym przez moją lampę nie dojrzałem żadnych umykających cieni ani błyskającej broni, żadnych pochodni ani gorących węgli. Zadowolony rozejrzałem się. Wspiąłem się po schodach, przekonany, że brat Lucjusz musiał rozpalić piecyk w skryptorium, albowiem zapach dymu przybierał na sile z każdym stopniem.

Zdziwiło mnie to, jako że normalnie piecyk był używany dopiero po Bożym Narodzeniu.

– Droga wolna – powiedziałem Joannie. – Weź tę lampę i zjeżdż na dół. Znajdziesz dwoje wielkich drzwi prowadzących na ulicę; nasze konie są po drugiej stronie tych drzwi.

– A co z tobą? – zapytała. – Dokąd idziesz?

– Muszę przynieść księgę. Jako zapłatę za konie.

– Może powinniśmy poczekać...

– Nie. Pośpieszcie się.

Wzięła lampę. Bez niej czułem się upośledzony, jako że droga do skryptorium nie była oświetlona; kiedy moje towarzyszkę pędziły schodami w dół, musiałem szukać drogi do góry po omacku, póki słaby błysk nie powiadomił mnie, że osiągnąłem szczytowy stopień. Prawdopodobnie moje zajęcie tą niebezpieczną wspinaczką (jako że schody były bardzo strome i wąskie) oderwało mnie od niezwykłej natury dźwięków dobiegających ze skryptorium. W każdym razie, kiedy dotarłem do celu i zaprzestałem kontemplowania swych butów, przez chwilę stałem sparaliżowany ze zdumienia.

Albowiem ujrzałem brata Lucjusza rozniecającego ogień pod swoim miejscem pracy.

Od tej chwili wypadki potoczyły się z wielką prędkością. Ale zanim zdążyłem z nich relację, chcę opisać wam scenę, która otworzyła się przed moimi oczyma, kiedy stanąłem na progu skryptorium z rozdziawionymi ustami. Obie skrzynie z rejestrami były otwarte, a ich zawartość leżała rozrzucona na podłodze, wraz z wieloma arkuszami pergaminu i welinu. Ze skrzyń, jakby z podwójnego stosu, buchały płomienie oświetlające niektóre z rozrzuconych dokumentów – te mianowicie, które leżały najdalej ode mnie.

Odwrócony do mnie plecami, brat Lucjusz rozlewał olej z lampy na zaśmieconą podłogę. W jednej dłoni trzymał pochodnię. Było jasne, że zamierza zmoczyć całe skryptorium łatwopalnym olejem, zanim ucieknie schodami. Ale nie zdołał zrealizować swego planu.

Albowiem kiedy wciągnąłem głośno powietrze i krzyknąłem, zaskoczony odwrócił się szybko. I nagle on sam przemienił się w płonąca pochodnię, jego habit płonął wściekle.

Miałem wiele tygodni, by odbudować w głowie przyczyny jego niepowodzenia. Szczegóły zdawały się wyryc (a może wypalić) w mojej pamięci: Bóg wie, że nigdy ich nie zapomnę. Przypominam sobie, że kiedy się odwrócił, ochlapał się olejem lampy. W tym samym czasie rzucił pochodnię, która padając, musiała otrzeć się o jego tłuste odzienie.

Jego krzyk wciąż odbija się echem w moim sercu.

Boże, wybac mi, nie wiedziałem, co robić; wycofywałem się, kiedy on kroczył do przodu, albowiem bałem się go dotknąć. Tyłem szedłem po schodach, upuszczając nóż, szamocząc się, by zdjąć z siebie płaszcz. Kiedy Lucjusz padł na mnie, z włosami w ogniu, odsunąłem się bezmyślnie na bok.

Oczywiście przewrócił się, stoczył i zatrzymał gdzieś na dole schodów. Owijałem go swoim płaszczem, kiedy pojawiła się Joanna; dyszała i miała dzikość w oczach.

– Stój! – krzyknąłem, chociaż nie groziło jej, że się zapali. Mój płaszcz był ciężki i równie skuteczny jak zagaszacz świec. Zacząłem oburącz oklepywać schowane w nim ciało.

– Co jest? Co się stało? – krzyknęła Joanna.

– Trzymaj – rzuciłem jej klucze dozorczy. Pozwólcie, że wyjaśnię ich układ: zwisaly ze skórzanej obręczy, przez którą kiedyś był przewleczony pas Ponsa. Odkąd zdobyłem te klucze, niosłem je na środkowym palcu. Teraz miałem powód dziękować Bogu, że obarczyłem się takim kłopotliwym, hałaśliwym ciężarem. – Zamknij drzwi do więzienia! – powiedziałem, kaszląc i krztusząc się od straszliwego odoru.

– Którym kluczem?

– Nie wiem. Wypróbuj wszystkie. Pośpiesz się! – podejrzewałem, że krzyk brata Lucjusza był słyszany z wielkiej odległości i chciałem zabezpieczyć siedzibę przed wszelkimi intruzami. Ale co zrobić z rannym człowiekiem? Połamany w upadku, spalony ogniem, potrzebował szybkiej pomocy. Kiedy Joanna pomknęła, odwróciłem się do niego i zawahałem się.

Ledwie ośmieliłem się podnieść mój płaszcz z jego dymiącej głowy.

– Boże miłosierny. – Nie mam słów, by opisać jego wygląd. Ale po co próbować opisu? Niewątpliwie widzieliście już kiedyś spalonych heretyków.

Moje oczy wypełniły się łzami.

– Och, Boże miłosierny – bluźniłem. – Lucjuszu, co ty...? Co ja mam zrobić? Nie mogę... nie ma...

– Ojczce. – Przysięgam, że kiedy przemówił, pomyślałem, że musiałem się przestyszeć, że odezwał się ktoś inny. Bóg raczy wiedzieć, skąd wziął na to siłę. – Ojczce... ojczce Bernardzie...

Dym był niemal duszący. Płakałem z rozpaczy, jak mógłbym go bowiem zostawić? A jednak, z drugiej strony, jak mógłbym zostać?

– Chcę się wyświadczyć – wychrypiał. – Umieram, ojczy, wysłuchaj mojej spowiedzi.

– Nie teraz – próbowałem podnieść Lucjusza, ale upuściłem go, kiedy krzyknął z bólu. – Musimy iść... ogień...

– Ja zabiłem Rajmunda Donatusa – wyszeptał straszliwym głosem. – Rozgrzesz mnie, ojczy, albowiem żałuję za grzechy.

– Co? – znowu pomyślałem, że musiałem się przesyśleć. – Coś ty powiedział?

– Zabiłem Rajmunda Donatusa. Podpaliłem rejestry Świętego Oficjum. Umieram w grzechu...

– Bernardzie – to była Joanna. – Zamknęłam drzwi. Nikt nie nadchodzi. Ale...

– Ćśśś! – Gdyby w tym momencie groziła mi cała armia familiarów, nie ruszyłbym się z miejsca. Nic nie miało znaczenia oprócz spowiedzi brata Lucjusza. (Taka jest inkwizytorska natura tych na co dzień zajętych śledzeniem tajników duszy). – Czy to prawda, bracie? Lucjuszu, mów do mnie!

– Moje oczy – jęknął.

– Jak go zabiłeś? Z jakiego powodu?

– Bernardzie...

– Cicho! Czekaj! Muszę tego wysłuchać!

I tak odbyła się spowiedź. Ale ponieważ postępowała mozolnie, z wieloma przerwami, powtórzeniami i błaganiami o wybaczenie – ponieważ pewne przerwy w opowieści wypełniłem własnymi sugestiami i domysłami – nie zrelacjonuję jej słowo po słowie. Postaram się natomiast podsumować ją jak najlepiej, poświęcając dramatyczne podniecenie rekonstrukcji na rzecz precyzji i przejrzystości.

W efekcie smutna opowieść wygląda tak.

Brat Lucjusz był nieślubnym synem kobiety, której oczy przestały widzieć. Biedna i pozbawiona przyjaciół, byłaby zdana na bezduszne miłosierdzie jałmużnicy albo szpitala, gdyby nie zarobki syna wypłacane jej przez Święte Oficjum. Pieniądze te, za zgodą jego zwierzchników, były przekazywane kobiecie, która kwaterowała i dbała o jego matkę jak krewna. Obie kobiety żyły razem szczęśliwie przez wiele lat.

Teraz jednak oczy brata Lucjusza zaczęły zawodzić. Rozpoznał objawy; wiedział, że pokryją się ołowiem. A o ile ślepy kanonik może dokonać żywota pod pieczę swoich braci, jaki los czeka kobietę, której jedyna przyjaciółka nie jest w stanie jej karmić bez finansowej pomocy?

Lucjusz nie mógł znieść perspektywy skazania matki na brudne, ponure życie, które musiało wieść tylu okaleczonych biedaków – jeśli już mają tyle szczęścia, że żyją. Jako że była dumnej i pogardliwej natury, nie potrafiłaby prosić; co więcej znała każdy krok, każdy kąt, każdą dziurę po sęku w domu, który teraz w takim szczęściu zamieszkiwała. To był jej dom, i

poruszała się po nim z ufnością. W swoim zaawansowanym wieku nie poznałaby już innego domu tak dobrze, jak znała ten.

Brat Lucjusz udał się do jałmużnika od Świętego Polikarpa po pomoc. Stamtąd nie można było jednak jej oczekiwać. Suma jałmużnicy okazała się za niska. – Kapituła ma zbyt wielu dependentów – powiedziano bratu Lucjuszowi. – Muszą przyjmować, co dostają.

Przeklęty przez ziemskie przeszkody, skryba zaczął więc się modlić. Oddawał się kontemplacji niewysłowionego cierpienia Chrystusa. Pogrążył się w ściganiu miłości Boga. Pościł, powstrzymywał się od snu i umartwiał swe ciało. Ale bez korzyści; jego wzrok wciąż się pogarszał.

I wtedy, wraz z przybyciem Piotra Juliana dostrzegł alternatywę – rozpaczliwą, niewątpliwie, ale wówczas Lucjusz był już zrozpaczony.

Kopiując zeznania, dowiedział się dzięki dziwnym, precyzyjnym przesłuchaniom Piotra Juliana, że można wywołać demony, jeśli się dokona pewnych specyficznych ceremonii. Usłyszał, że rozdzielając na kawałki ludzkie ciało i zostawiając je na skrzyżowaniu dróg, można mieć nadzieję na osiągnięcie upragnionego celu. Dowiedział się, że zło może przynieść jakieś dobre rezultaty.

Ja jestem zdania, że brat Lucjusz nie był przy zdrowych zmysłach, kiedy składał tę ostatnią spowiedź. Na pewno bełkotał o „drętwieniu” i „głosach” i że jest „zmęczony, taki zmęczony”. To właśnie kiedy jesteś najślabszy, pokusy diabła wydają się najbardziej nieodparte, a brat Lucjusz bardzo osłabł od narzuconego sobie pokutnego cierpienia. Niemniej jednak był nadal na tyle silny, by odrąbać toporem głowę Rajmunda.

Uczył to w stajniach, używając topora zazwyczaj służącego do rąbania drewna dla Świętego Oficjum. Było bardzo dużo krwi, ale większość z niej dostała się do końskiego żłobu, ponieważ brat Lucjusz zadał sobie trud, by umieścić szyję Rajmunda na skraju rzeczonożego żłobu. Krew Rajmunda powędrowała później do beczek na solankę w chochli pożyczonej z kuchni dozorczy.

– Wiedziałem, że... nikt nie zobaczy... – wydyszał kanonik. – Tak ciemno. Wilgotno... I świnie... cała krew...

– Ale on żył, kiedy odcinałeś mu głowę?

– Musiał żyć.

– Zatem zaprowadziłeś go do stajni i przekonałeś, by położył głowę na końskim żłobie...

– Nie.

Wyglądało na to, że wybór ofiary brata Lucjusza został podyktowany jedną jedyną okolicznością: faktem, że często gdy przychodził do siedziby, znajdował Rajmunda leżącego w pijackim otępieniu. Najwyraźniej notariusz miał zwyczaj spędzać całą noc na stosie starych płaszczy w skryptorium, pożegnawszy się ze swoją ostatnią zdobyczą. Brat Lucjusz musiał często stawiać go na nogi wstrząśaniem albo policzkiem, albo nawet cebrem wody.

Mogłem mieć nadzieję, że Rajmund zmarł, nie odzyskując przytomności, kiedy pewnego ranka Lucjusz, znalazłszy notariusza w zwykłym stanie nieświadomości, zaciągnął go do stajni i odrąbał mu głowę. Kanonik dokonał tego dzieła rozebrany do naga, z obawy, że popłami sobie habit. Kiedy ciało zostało rozczłonkowane i złożone w beczkach solanki, Lucjusz umył starannie siebie i narzędzia, zanim wrócił do pracy. Miał zamiar przenieść części ciała Rajmunda do grotty Galamusa, która leżała w samym środku skrzyżowania dróg.

– Trzy rundy – jękał się. – Owinąłem je jego płaszczem... użyłem toreb na rejestry.

– Toreb na rejestry! – Znałem je, oczywiście. Kiedy Lucjusz kopiował zeznania dla biblioteki biskupa albo zabierał arkusze do oprawy, albo odbierał oprawiony rejestr, nosił te rzeczy w jednej lub dwóch specjalnie do tego przeznaczonych skórzanych torbach. Często widziano go, jak wychodzi z siedziby z torbą pod pachą. Nikt nie zwróciłby uwagi, gdyby obarczony dwiema wybrzuszonymi skórzanymi torbami zniknął na krótko ze Świętego Oficjum – nawet tego dnia, kiedy zaginął Rajmund.

Ale złożenie ciała Rajmunda wymagało trzech wizyt w *grotto*, a trzy podróże tego samego dnia zostałyby zauważone. Dlatego Lucjusz musiał czekać na dzień, tak aby mógł wybrać się w jedną ze swoich podróży przed wschodem słońca, kiedy nikt by go nie widział. (Drugą potajemną rundę odbył wieczorem, zanim grotę opróżniono). Być może, powiedział, odstęp jednego dnia jakoś zepsuł obrządek. Albo może Rajmunda należało zabić na skrzyżowaniu dróg. Bez względu na przyczynę, żaden demon nie objawił się bratu Lucjuszowi.

Teraz był zgubiony. Ludzie, których znał, nie mieli zwyczaju upijać się do nieprzytomności – i w ten sposób wystawiać się na atak – w odosobnionych miejscach. Odniósł jednak jakąś korzyść. Wiedział bowiem, iż pewien urzędnik, który powinien pozostać bezimienny, oferował kiedyś Rajmundowi duże pieniądze za spalenie archiwów Świętego Oficjum. Rajmund w większości sam zdecydował się odmówić temu człowiekowi, i nie nazywając winowajcy, ujawnił bratu Lucjuszowi, że zamelduje o tej sprawie ojcu Jakubowi.

Ale o tej sprawie nigdy nie zameldowano, a przynajmniej nie była ona ścigana. Prawdę mówiąc, kiedy notariusz narzekał na swoje wydatki, często żartował o „spaleniu rejestrów”. Stało się to takim codziennym żartem, że Rajmund robił się coraz bardziej nieostrożny, aż raz, całkiem nieuważnie, pozwolił, by wymknęło mu się nazwisko urzędnika

Uzbrojony w to nazwisko, brat Lucjusz poszedł teraz zaoferować swoje usługi.

– Gdybym stracił wzrok – wydyszał – przynajmniej moja matka... byłyby jakieś pieniądze...

– Rozumiem...

– Bernardzie, słuchaj! – Joanna ciągnęła mnie za rękaw, kaszląc straszliwie. – Ktoś jest u drzwi! Ktoś tu się dobija! Musimy iść Bernardzie!

Wiedziałem, że ma słuszność i zdawałem też sobie sprawę, że jeśli nie weźmiemy ze sobą brata Lucjusza, zginie w dymie i płomieniach, zanim ktokolwiek wyłamie drzwi i go dopadnie.

Ale to nastąpi szybko, pomyślałem. Gorsze jest to, co czeka go z drugiej strony. Albowiem nikt tak poważnie ranny nie przeżyje długo.

Zostawiłem więc tam Lucjusza, Boże, wybacz mi. Zostawiłem go tam, ponieważ miałem tak mało czasu; ponieważ on już oddychał z trudnością; ponieważ, w głębi duszy, wierzyłem, że zasługuje na taką karę. Zostawiłem go, bo byłem przerażony i wściekły, bo nie miałem możliwości się zastanowić.

Trzeba było podjąć decyzję. Podjąłem ją więc. Ale żyję, by cierpieć jej konsekwencje. Każdego dnia od owej chwili znoszę takie męki sumienia, takie udręki, że moja twarz staje się mokra od łez, a moje powieki są w cieniu śmierci. Jestem wypełniony gorzkim żalem, nie tyle dlatego, że go zostawiłem, co dlatego, że odszedłem, nie dając mu rozgrzeszenia. To rozgrzeszenia potrzebował – sam okazywał skruchę – ale ja odmówiłem mu go i zostawiłem, by umarł sam. Sam w obliczu Boga. „Wybaw mnie ze krwi, Boże zbawienia mego, a język mój z radością będzie wystawiał sprawiedliwość Twoją!” Modlę się do Boga, by oddalił ode mnie ten kielich, albowiem jest wypełniony goryczą i piołunem. Uznaję moją nieprawość, a grzech mój jest zawsze przede mną.

Był przede mną nawet wtedy, kiedy niepewnym krokiem zszedłem po schodach do stajni. Pamiętam, jak myślałem „Boże, wybacz mi mój grzech”, kiedy odryglowywałem wielkie drzwi, które tak długo pozostawały zamknięte. Wtedy zapomniałem o Lucjuszu, ponieważ stanął przede mną Lotar Carbonel, domagając się swojej księgi, a ja jej nie miałem.

– Księga! – krzyknął, jego twarz była zacieniona w słabym świetle, a oddech wywoływał obłoki białej pary. – Gdzie jest księga?

– Spalona.

– Co?

– Jest spalona. Wszystkie księgi zostały spalone. Widzisz? Patrz tam.

Podnieśliśmy wzrok i ujrzeliśmy! Z najwyższego okna siedziby wydobywały się kłęby dymu i deszcz iskier. Wkrótce podłoga buchnęła jasnością i zapadła się na pokój pod spodem.

– Potrzebujemy tylko trzech koni – wydyszałem, wsiadając na pierwszego z pewnym trudem, albowiem wykasływałem dym z płuc. – Czwarty może zostać.

Ale Lotar nic nie powiedział. Stał sparaliżowany tym widokiem pożogi, który on – i niewątpliwie wielu inny – tak często pragnęli ujrzeć. Zostawiłem go więc, tak jak zostawiłem brata Lucjusza. Odjechałem chyżo w stronę bram miasta. Umykałem, kiedy pierwszy, słaby krzyk alarmu zabrzmiał w moich uszach.

Był świt Wszystkich Świętych. Tego ranka zabrałem Joannę z Caussade i jej córkę i uciekłem z Lazet, zanim zauważono moją nieobecność.

Nie potrafię powiedzieć wam nic więcej. Moja historia na tym się kończy. Toczyć ją dalej oznaczałoby narażać na niebezpieczeństwo wiele żywotów.

Conclusio

Teraz piszę z kryjówki. Piszę w dotkliwym zimnie, mam odrętwiałe i pokurczone palce, a mój oddech jest jak dym przed moimi oczyma. Siedzę tu jak czyhająca na drodze pantera, lecz nie będąc widzianym, świadek i uciekinier. Znalazłem schronienie daleko, bardzo daleko od Lazet. Niemniej jednak wiem o wypadkach, które rozegrały się po moim wyjeździe. Moje uszy są bystre, a oczy sokole; mam przyjaciół, którzy mają przyjaciół, którzy też mają przyjaciół. To tak właśnie mój list do Was dotrze, wielbny ojcze. Jak każdy inny inkwizytor heretyckiej nieprawości, mam ramię długie jak pamięć Świętego Oficjum.

Dlatego wiem pewne rzeczy. Wiem, że ogień rozniecony przez brata Lucjusza strawił całą siedzibę, chociaż miłosiernie oszczędził więzienie. Wiem, że jestem ekskomunikowany i wezwany do stawienia się przed Piotrem Julianem Faure jako zatwardziały heretyk. Wiem, że Lotar Carbonel został aresztowany jako sprzyjający heretykom, był bowiem na tyle głupi, że oddał mi własne konie. Niełatwo zatuszować nieobecność trzech koni. Powinien był je ukraść. Albo odkupić od godnych zaufania krewnych. Boże, wybacz mi, albowiem byłem sprawcą jego upadku; wydaje mi się czasami, że zniszczenie zawsze mi towarzyszy i kwiaty więdną tam, gdzie przechodzę.

Witalia nie żyje. Alkaja nie żyje. Dzięki łasce Boga umarli od swej cielesnej choroby wynikłej z uwięzienia, a nie na stosie – tak przynajmniej słyszałem – ale moje ręce są splamione ich krwią. Durand Fogasset też nie żyje, powalony chorobą; gdyby żył, nie wspomniałbym o jego udziale w mojej ucieczce. Niewątpliwie był grzesznikiem i może jego śmierć to kara za grzechy. Ale ja wiem i najgłębiej wierzę, że znalazł spokój w wiecznej chwale. Albowiem ani śmierć, ani życie, ani aniołowie, ani zwierzchności, ani rzeczy teraźniejsze, ani przyszłe, ani co wysokie, ani co głębokie, ani jakiegokolwiek inne stworzenie nie zdoła nas odłączyć miłości Boga, która jest w Chrystusie Jezusie, Panu naszym.

Wielbny Ojcze, powiedziałem Wam wszystko, co było do powiedzenia. Podałem Wam krwawą opowieść o śmierci i zepsuciu, ale te grzechy nie są moje. Chociaż zgrzeszyłem przeciwko ślubom czystości i posłuszeństwa, nie zgrzeszyłem przeciwko Świętemu Kościołowi Apostolskiemu. Ale każdego dnia znieważają mnie moi wrogowie; szydzą i mówią złośliwie; przemoc szatą, co ich odziewa. Szukają mojej duszy, bo w ich mieszkaniach jest wśród nich nikczemność.

A ja? Ja jadłem prochy jak chleb. Hańba złamała moje serce i sił mi zabrakło: przez cały czas lamentuję. Ojcze, musicie mi pomóc. Niech się zmieszają i razem okryją rumieńcem ci, co na życie me czyhają, aby je odebrać. Niech się cofną zawstydzeni ci, którzy z niedoli mojej się weselą. Moi wrogowie spiskują, wielbny ojcze. Kłamią i porzucają moralność. Trucizna ich podobna jest do jadu węża.

Ale wy skłoniliście swe serce do świadectwa Boga. Macie czyste ręce i czyste serce i sądzicie uczciwie. Moja niesprawiedliwość jest przed Wami, wielbny ojcze, i pytam teraz: czyj grzech jest większy? Doświadcz mnie i wystaw na próbę: wybadaj moje nerki i serce. Nie cierpię zgromadzenia złoczyńców, a nie przestaję z występnyimi. Dlatego też wejrzyj na mnie i zmiłuj się nade mną, albowiem oczy me zawsze zwrócone są na Pana.

Wielbny ojcze, błagam was – spełnijcie moją prośbę. Przedstawcie moją sprawę papieżowi Janowi. Przedstawcie ją Inkwizytorowi Francji. Albowiem jest to sprawa człowieka skazanego niesprawiedliwie, który cierpi prześladowania wśród cnotliwych. Moja obrona jest tutaj, w tej epistole: rozważ ją dobrze. Jestem Waszym kochającym synem, Ojcze. Nie odrzucaj mnie, tak jak wielu wcześniej. Spójrz na mnie z miłosierdziem i pamiętaj słowa świętego Pawła: tak więc trwają wiara, nadzieja, miłość – te trzy: z nich największa jest miłość.

Wzrastaj w chwale i w wiedzy Pana naszego i Zbawcy, Jezusa Chrystusa. Jego jest chwała i majestat, i panowanie, i władza, teraz i zawsze i na wieki. Amen.

Datum w miejscu schronienia
31 grudnia, Anno Domini 1318